„NESBØ STRĄCIŁ Z TRONU LARSSONA”

gazeta.pl

JO NESBØ

WYBAWICIEL

Norweski kryminał mrożący krew w żyłach

Wydawnictwo Dolnośląskie

JO NESBØ

WYBAWICIEL

Przełożyła z norweskiego
Iwona Zimnicka

Wydawnictwo Dolnośląskie

Tytuł oryginału *Frelseren*

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz

Redakcja: Sylwia Mazurkiewicz-Petek

Korekta: Korekta: Bogusława Otfinowska

Redakcja techniczna: Jolanta Krawczyk

Copyright © Jo Nesbø 2005
Published in arrangement with Salomonsson Agency.
Polish editions © Publicat S.A. MMXIII (wydanie elektroniczne)

Wykorzystywanie e-booka niezgodne z regulaminem dystrybutora, w tym nielegalne jego kopiowanie i rozpowszechnianie, jest zabronione.

Wydanie elektroniczne 2015

ISBN 978-832-459-329-3

Wydawnictwo Dolnośląskie
50-010 Wrocław, ul. Podwale 62
oddział Publicat S.A. w Poznaniu
tel. 71 785 90 40, fax 71 785 90 66
e-mail: wydawnictwodolnoslaskie@publicat.pl
www.wydawnictwodolnoslaskie.pl

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej

SPIS TREŚCI

Część I. Adwent

1. Sierpień 1991. Gwiazdy
2. Niedziela, 13 grudnia 2003. Wizyty domowe
3. Niedziela, 13 grudnia. Ugryzienie
4. Poniedziałek, 14 grudnia. Pożegnanie
5. Poniedziałek, 14 grudnia. Latarnia Morska
6. Poniedziałek, 14 grudnia. Halvorsen
7. Wtorek, 15 grudnia. Anonimowość
8. Środa, 16 grudnia. Posiłek

Część II. Wybawiciel

9. Środa, 16 grudnia. Śnieg
10. Czwartek, 17 grudnia. Wiara
11. Czwartek, 17 grudnia. Chorwat
12. Czwartek, 17 grudnia. Szpital i popiół
13. Czwartek, 17 grudnia. Cykanie
14. Noc z 17 na 18 grudnia. Ciemność
15. Noc z 17 na 18 grudnia. Uderzenie
16. Piątek, 18 grudnia. Uciekinier
17. Piątek, 18 grudnia. Twarz
18. Piątek, 18 grudnia. Zsyp
19. Piątek, 18 grudnia. Kontener

Część III. Ukrzyżowanie

20. Piątek, 18 grudnia. Świątynia
21. Sobota, 19 grudnia. Zagrzeb

22. Sobota, 19 grudnia. Miniaturki
23. Noc z niedzieli na poniedziałek, 20 grudnia. Psy
24. Niedziela, 20 grudnia. Obietnica
25. Niedziela, 20 grudnia. Przebaczenie
26. Niedziela, 20 grudnia. Czarodziejska sztuczka
27. Poniedziałek, 21 grudnia. Apostoł
28. Poniedziałek, 21 grudnia. Pocałunek

Część IV. Łaska

29. Wtorek, 22 grudnia. Dowódca
30. Wtorek, 22 grudnia. Milczenie
31. Wtorek, 22 grudnia. Zmartwychwstanie
32. Wtorek, 22 grudnia. Exodus
33. Wtorek, 22 grudnia. Najkrótszy dzień
34. Wtorek, 22 grudnia. Ukrzyżowanie

Część V. Epilog

35. Wina

Przypisy

Któż to jest ten, który przybywa z Edomu,
z Bosry idzie w szatach szkarłatnych?
Ten wspaniały w swoim odzieniu,
który kroczy z wielką swą mocą?
– To ja jestem tym, który mówi sprawiedliwie,
potężny w wybawianiu.

Proroctwo Izajasza, 63,1[1]

Część pierwsza

ADWENT

1 SIERPIEŃ 1991. GWIAZDY

Miała czternaście lat i była pewna, że jeśli zaciśnie powieki i mocno się skoncentruje, to przez dach zobaczy gwiazdy.

Wokół niej przez sen oddychały kobiety. Równymi, ciężkimi oddechami. Chrapała tylko jedna, ciotka Sara, którą umieściły na materacu pod otwartym oknem.

Zamknęła oczy i starała się oddychać jak pozostałe. Trudno było usnąć, zwłaszcza odkąd wszystko wokół niej stało się takie nowe i takie inne. Odgłosy nocy i lasu za oknem na Østgård były inne. Ludzie, których tak dobrze znała ze spotkań w Świątyni i z letnich obozów, byli jakby odmienieni. Ona też nie była taka sama. Tego lata jej twarz i ciało w lustrze nad umywalką wyglądały inaczej. Nowe też były jej uczucia, te dziwne prądy, na przemian gorące i zimne, które przez nią przepływały, gdy czuła na sobie wzrok któregoś z chłopców, a raczej wzrok jednego z nich. Roberta. On też w tym roku się zmienił.

Otworzyła oczy i zapatrzyła się przed siebie. Wiedziała, że Bóg posiada moc czynienia wielkich rzeczy, może również sprawić, że uda jej się zobaczyć gwiazdy przez dach. Gdyby tylko zechciał.

To był długi, obfitujący w wydarzenia dzień. Suchy letni wiatr szumiał w zbożu na polach, listki na drzewach tańczyły rozgorączkowane, a migotliwe światło sączyło się na letników siedzących na trawie na podwórzu. Słuchali opowieści jednego z kadetów Szkoły Oficerskiej Armii Zbawienia o jego działalności kaznodziejskiej na Wyspach Owczych. Kadet był sympatyczny, mówił z wielkim zaangażowaniem i zapałem. Ale ją bardziej interesowało odganianie trzmiela krążącego nad głową, a gdy owad nagle odleciał, upał wprawił ją w senność. Kiedy kadet skończył opowiadać, oczy wszystkich zwróciły się na komandora[2], Davida Eckhoffa, który patrzył na nich roześmianymi, młodymi, choć liczącymi już ponad pięćdziesiąt lat oczami. Komandor zasalutował charakterystycznym gestem Armii Zbawienia: uniósł ponad bark prawą dłoń z palcem wskazującym skierowanym w Królestwo Niebieskie, towarzyszyło temu dźwięczne „Alleluja!". Potem pomodlił się o błogosławieństwo dla pracy kadeta wśród ubogich i odrzuconych, przypomniał też wszystkim słowa z Ewangelii świętego Mateusza o tym, że Jezus Zbawiciel może chodzić wśród nich, po ulicach, pod postacią nieznajomego, głodnego, nieodzianego czy wtrąconego do więzienia. I o tym, że w dniu Sądu Ostatecznego sprawiedliwi, ci, którzy pomagali najmniejszym, pójdą do życia wiecznego. Zapowiadała się dłuższa przemowa, ale ktoś coś szepnął, komandor się roześmiał i powiedział, że oczywiście, przecież w programie jest teraz „Kwadrans Młodzieży", więc kolej na Rikarda Nilsena.

Usłyszała, że Rikard, dziękując komandorowi, stara się nadać swemu głosowi bardziej dorosłe niż w rzeczywistości brzmienie. Jak zwykle przygotował swoje wystąpienie pisemnie i nauczył się go na pamięć. Stanął i zaczął rozprawiać o walce, której pragnął poświęcić życie, o walce Jezusa dla Królestwa Bożego. Mówił

nerwowo, lecz jednocześnie monotonnie, usypiająco. Jego ponury, zazwyczaj zwrócony ku sobie wzrok spoczywał teraz na niej. Zamrugała, wpatrzona w jego spoconą górną wargę, która, poruszając się, formułowała znajome, bezpieczne, nudne frazy. Nie zareagowała, kiedy czyjaś dłoń dotknęła jej pleców, okrytych letnią sukienką. Dreszcz przeszył ją dopiero, gdy poczuła koniuszki palców sunące wzdłuż kręgosłupa aż do krzyża i jeszcze niżej.

Odwróciła się i popatrzyła w roześmiane piwne oczy Roberta. Pożałowała, że nie ma równie ciemnej cery jak on, nie mógłby wtedy zauważyć jej rumieńca.

– Cicho – powiedział Jon.

Robert i Jon byli braćmi. W dzieciństwie wiele osób brało ich za bliźniaków, mimo że Jon był o rok starszy. Ale teraz Robert miał już siedemnaście lat i chociaż braterskie podobieństwo zachowało się w rysach twarzy, różnice między chłopakami stały się wyraźne. Robert był wesoły, beztroski, lubił żartować i dobrze grał na gitarze, ale nierzadko się spóźniał na nabożeństwa w Świątyni, a w żartach czasami posuwał się za daleko, szczególnie gdy widział, że rozśmiesza innych. W takich sytuacjach często ingerował Jon. Starszy z braci był sumiennym, obowiązkowym chłopcem, panowało więc przekonanie, że pójdzie do Szkoły Oficerskiej i – chociaż tego nie mówiono głośno – poszuka sobie dziewczyny w Armii. To ostatnie nie wydawało się aż tak oczywiste w wypadku Roberta. Jon był o dwa centymetry wyższy niż Robert, lecz, o dziwo, to młodszy brat wydawał się większy. Wynikało to stąd, że Jon już jako dwunastolatek zaczął się garbić, jakby dźwigał na barkach brzemię całego świata. Obaj mieli śniadą cerę i ładne, regularne rysy, ale Robert miał w sobie coś, czego brakowało Jonowi. Coś w oczach, jakąś mroczność, rozbawienie, coś, co miała ochotę, a zarazem nie miała ochoty zbadać.

Podczas przemowy Rikarda przesuwała wzrokiem po znajomych twarzach. Któregoś dnia poślubi chłopca z Armii Zbawienia, być może otrzymają rozkaz przeniesienia się do innego miasta, w inny obszar kraju. Ale zawsze będą wracać tu, na Østgård, na niedawno kupioną przez Armię farmę, która od tej pory będzie ich wspólnym letniskiem.

Poza kręgiem zebranych, na schodach do domu siedział jasnowłosy chłopiec i głaskał kota, który ułożył mu się na kolanach. Wyczuła, że chłopak przed chwilą na nią patrzył, ale zdążył uciec wzrokiem, zanim go na tym przyłapała. Był tutaj jedyną nieznajomą osobą, ale wiedziała, że nazywa się Mads Gilstrup i jest wnukiem poprzednich właścicieli Østgård, że jest od niej starszy o jakieś dwa lata i że rodzina Gilstrupów jest bogata. Był całkiem przystojny, ale sprawiał wrażenie samotnego. I co on właściwie tu robił? Zjawił się poprzedniego wieczoru i kręcił po podwórzu ze zmarszczką gniewu na czole, z nikim nie rozmawiając. Ale ona parę razy czuła jego wzrok na sobie. Wszyscy w tym roku na nią patrzyli. To również było nowe.

Z zamyślenia wyrwał ją Robert, który włożył jej coś do ręki, mówiąc:

– Przyjdź do stodoły, kiedy ten przyszły generał skończy przemawiać. Chciałbym ci coś pokazać.

Wstał i odszedł, a ona spojrzała na dłoń i mało brakowało, a krzyknęłaby głośno. Zasłaniając drugą dłonią usta, wypuściła trzmiela w trawę. Wciąż się poruszał, ale nie miał ani nóg, ani skrzydeł.

Rikard wreszcie skończył, ale ona nie ruszyła się z miejsca, patrząc, jak jej rodzice wraz z rodzicami Roberta i Jona podchodzą do stolików nakrytych do kawy. Wszyscy czworo zaliczali się

w Armii do tak zwanych silnych rodzin, wiedziała więc, że stale jest pod obserwacją.

Skierowała się w stronę wygódki. Dopiero za węgłem, kiedy nikt już nie mógł jej widzieć, pomknęła do stodoły.

– Wiesz, co to? – spytał Robert głębokim głosem, którego nie miał poprzedniego lata.

Leżał na plecach w sianie i składanym nożem, który zawsze nosił przy pasku, rzeźbił korzeń.

Podniósł go do góry, a ona wtedy zobaczyła, co to jest. Widziała to na obrazkach. Miała nadzieję, że w stodole jest za ciemno, by dostrzegł, że znów się zaczerwieniła.

– Nie – skłamała, siadając obok niego na sianie.

Popatrzył na nią tym swoim żartobliwym spojrzeniem, jakby wiedział o niej coś, czego sama nie wiedziała. Wytrzymała jego wzrok i położyła się, opierając na łokciach.

– Coś, co wchodzi tutaj – powiedział ze śmiechem w oczach, wsuwając jej nagle rękę pod sukienkę. Poczuła korzeń na wewnętrznej stronie uda i nim zdążyła ścisnąć nogi, korzeń dotknął majtek. Szyję owionął gorący oddech.

– Robert, nie – szepnęła.

– Ale ja go zrobiłem specjalnie dla ciebie – wydyszał.

– Przestań, nie chcę!

– Odmawiasz? Mnie?

Zaparło jej dech w piersiach, nie była w stanie ani odpowiedzieć, ani krzyknąć. Nagle od drzwi stodoły dobiegł ich głos Jona:

– Robert! Nie! Robert!

Poczuła, że Robert ustępuje, rezygnuje i tylko drewniany korzeń został między jej zaciśniętymi udami, gdy ręka wysunęła się spod sukienki.

– Chodź tu! – Jon mówił takim tonem, jakby zwracał się do nieposłusznego psa.

Robert już się podniósł ze śmiechem, puścił do niej oczko i wybiegł na słońce, do brata.

Ona usiadła, otrzepała się z siana, czuła jednocześnie ulgę i wstyd. Ulgę dlatego, że Jon przerwał tę szaloną zabawę. Wstyd, ponieważ on najwyraźniej uważał, że to było coś więcej niż zabawa.

Później, podczas modlitwy przed kolacją, patrzyła prosto w piwne oczy Roberta i widziała, jak jego wargi formują słowo, którego nie zrozumiała, ale zaczęła chichotać. Co za szaleniec! A ona... No właśnie, jaka była ona? Też szalona. Szalona. I zakochana? Tak, właśnie zakochana. Nie tak zakochana, jak wtedy, gdy miała dwanaście czy trzynaście lat. Teraz miała już czternaście i to było coś większego, ważniejszego i bardziej emocjonującego.

Czuła, że nawet teraz, gdy leżąc, próbowała wzrokiem zrobić dziurę w dachu, znów wzbiera w niej śmiech.

Ciotka Sara pod oknem zamruczała i przestała chrapać. Coś zahuczało. Sowa?

Musiała iść siusiu.

Właściwie nie miała siły, ale musiała. Musiała przejść przez mokrą od rosy trawę, minąć stodołę, ciemną i zupełnie inną teraz, w środku nocy. Zamknęła oczy, ale to się na nic nie zdało. Wypełzła ze śpiwora, wsunęła stopy w sandały i po cichutku podeszła do drzwi.

Na niebie pojawiło się kilka gwiazd, ale już za godzinę miały zniknąć, kiedy rozjaśni się na wschodzie. Powietrze owiewało ją chłodem, gdy biegła, słuchając odgłosów nocy, których nie umiała nazwać. Owadów przesypiających dzień. Polujących zwierząt. Rikard mówił, że w zagajniku widział lisa. A może to były te same

zwierzęta, które krążyły w ciągu dnia, tylko teraz wydawały inne dźwięki. Zmieniały się. Trochę tak, jakby zmieniały skórę.

Wygódka stała osobno na niewielkim wzniesieniu, za stodołą. Powiększała się z każdym jej krokiem. Dziwny krzywy domek, zbudowany z surowych desek, wypaczonych, popękanych i poszarzałych ze starości, nie miał okien, tylko serduszko w drzwiach. Ale najgorsze, że nigdy nie było wiadomo, czy ktoś już w nim nie siedzi.

Teraz miała zdecydowane wrażenie, że ktoś tam jest.

Zakasłała, aby ewentualna osoba w środku mogła dać sygnał, że zajęte.

Z gałęzi drzewa na skraju lasu poderwała się sroka. Poza tym panowała cisza.

Weszła na kamienny stopień. Sięgnęła do drewnianego kołka pełniącego funkcję klamki. Pociągnęła. Otwarła się przed nią czarna, pusta przestrzeń.

Odetchnęła z ulgą. Przy siedzeniu stała latarka, ale nie musiała jej zapalać. Podniosła klapę i dopiero potem zamknęła drzwi na haczyk. Podciągnęła nocną koszulę, spuściła majtki i usiadła. W ciszy, która zapadła, wydało jej się, że coś słyszy. Coś, co nie było ani owadem, ani sroką, ani zwierzęciem, które zmieniło skórę. Coś, co poruszało się szybko w wysokiej trawie na tyłach wygódki. Zaraz jednak plusk zagłuszył tamten odgłos. Ale jej serce już zaczęło walić jak młotem.

Kiedy skończyła, szybko podciągnęła majtki i po ciemku nasłuchiwała. Ale teraz słyszała jedynie lekki szum w koronach drzew i pulsowanie własnej krwi w uszach. Zaczekała, aż tętno jej się uspokoi, podniosła haczyk i otworzyła drzwi. Mroczna postać wypełniła niemal cały otwór drzwiowy. Musiał czekać nieruchomo

na schodku. Moment później leżała na siedzeniu ubikacji, a on stał nad nią. Zamknął drzwi za sobą.

– To ty? – spytała.

– Ja – odparł obcym, drżącym, niewyraźnym głosem.

Rzucił się na nią. Oczy błyszczały mu w ciemności, gdy gryzł ją w wargę do krwi, wsuwając rękę pod nocną koszulę i ściągając majtki. A ona leżała jak sparaliżowana pod ostrzem noża palącym w szyję, kiedy uderzał w nią podbrzuszem, jeszcze zanim ściągnął spodnie, jak oszalały na punkcie parzenia się pies.

– Jedno słowo, a potnę cię na kawałki – szepnął.

Nigdy nie powiedziała ani jednego słowa. Miała czternaście lat i była pewna, że jeśli dostatecznie mocno zaciśnie powieki i się skoncentruje, będzie mogła zobaczyć gwiazdy przez dach. Bóg posiadał moc sprawiania takich rzeczy. Jeśli tylko zechciał.

2 NIEDZIELA, 13 GRUDNIA 2003. WIZYTY DOMOWE

Studiował odbicie własnych rysów w oknie pociągu. Usiłował się zorientować, co to jest, w czym tkwi tajemnica. Ale nad czerwoną apaszką nie mógł dojrzeć nic szczególnego, jedynie twarz bez wyrazu z oczami i włosami, które na tle ścian tunelu między Courcelles i Ternes wydawały się równie czarne jak odwieczna noc panująca w metrze. „Le Monde" na jego kolanach zapowiadał śnieg, lecz ulice Paryża nad nim wciąż były zimne i nagie pod niską, nieprzeniknioną pokrywą chmur. Nozdrza mu się rozszerzyły, gdy wciągnął słaby, ale charakterystyczny zapach wilgotnego cementu, ludzkiego potu, spalonego metalu, wody kolońskiej, tytoniu, mokrej wełny i kwasu żółciowego, zapach, którego nigdy nie dało się ani zmyć, ani wywietrzyć z siedzeń wagonów.

Zmiana ciśnienia powietrza wywołana ruchem pociągu nadjeżdżającego z przeciwnej strony wprawiła szybę w wibracje, a mrok na chwilę ustąpił bladym prostokątom światła przemykającym za oknem. Podsunął rękaw płaszcza i zerknął na zegarek, Seiko SQ50, który dostał jako część zapłaty od jednego z klientów. Na szkiełku już pojawiły się rysy, nie miał więc pewności, czy zegarek jest oryginalny. Piętnaście po siódmej. Była niedziela wieczór i wagon zapełniony ledwie w połowie. Rozejrzał się. Ludzie w metrze spali. Spali zawsze. Szczególnie w dni powszednie. Wyłączali się, zamykali oczy i pozwalali, by codzienna podróż zmieniała się w pozbawioną snów międzyprzestrzeń nicości z czerwoną albo niebieską kreską na mapie metra, będącą niemym łącznikiem między pracą a wolnością. Czytał o mężczyźnie, który przesiedział w metrze cały dzień z zamkniętymi oczami, jeżdżąc tam i z powrotem, i dopiero kiedy opróżniano wagony na noc, zorientowano się, że nie żyje. Być może ten człowiek zstąpił tu, do tych katakumb, właśnie w tym celu, żeby bez przeszkód narysować w bladożółtej trumnie niebieską kreskę łączącą życie z zaświatami.

On sam rysował kreskę w odwrotną stronę. W stronę życia. Pozostawała mu jeszcze do załatwienia dzisiejsza robota i ta w Oslo. Ostatnia. Potem już na dobre opuści katakumby.

Fałszywie zadźwięczał dzwonek alarmowy i drzwi zatrzasnęły się na stacji Ternes. Znów się rozpędzili.

Zamknął oczy, próbował wyobrazić sobie ten drugi zapach. Zapach odświeżających tabletek do pisuarów i świeżego ciepłego moczu. Zapach wolności. Ale być może rację miała jego matka, nauczycielka, mówiąc, że ludzki mózg jest w stanie ze szczegółami przypomnieć sobie wszystko, co człowiek widział albo słyszał, lecz nie potrafi odtworzyć nawet najbardziej podstawowego zapachu.

Zapach. Pod powiekami zaczęły przesuwać się obrazy. Miał piętnaście lat i siedział w korytarzu szpitala w Vukovarze, słuchając, jak matka na okrągło mamrocze modlitwę do świętego Tomasza Apostoła, patrona budowniczych, błagając go, by oszczędził jej męża. Słyszał ryk artylerii serbskiej strzelającej znad rzeki i krzyki ludzi operowanych w sali dla noworodków, w której nie było już noworodków, bo kobiety z Vukovaru od rozpoczęcia oblężenia miasta przestały rodzić. Pracował w szpitalu jako chłopiec na posyłki i nauczył się odcinać od dźwięków, i od krzyków, i od artylerii. Ale nie potrafił odgrodzić się od zapachów. Szczególnie od jednego. Podczas amputacji chirurdzy musieli najpierw przeciąć ciało do kości i po to, by pacjent nie wykrwawił się na śmierć, urządzeniem przypominającym lutownicę przypalali naczynia krwionośne, by w ten sposób je zamknąć. Palone ciało i krew miały zupełnie inny zapach niż wszystko.

Na korytarz wyszedł lekarz i gestem przywołał matkę i jego. Kiedy zbliżali się do łóżka, nie miał odwagi spojrzeć na ojca. Patrzył jedynie na wielką śniadą pięść zaciskającą się na materacu, jak gdyby usiłowała rozerwać go na dwoje. I byłaby w stanie to zrobić. To były najsilniejsze ręce w mieście. Jego ojciec zajmował się gięciem żelaza. To on przychodził na place budowy, kiedy murarze kończyli robotę, kładł swoje wielkie ręce na wystających z betonu końcówkach prętów zbrojeniowych i szybkim, ale starannie wyćwiczonym ruchem przyginał je i splatał ze sobą. Widział ojca przy pracy. Wyglądało to tak, jakby wykręcał ścierkę. Wciąż jeszcze nie wynaleziono maszyny, która lepiej by sobie z tym radziła.

Zacisnął oczy, słysząc głos ojca zanoszącego się krzykiem bólu i rozpaczy.

– Wyprowadźcie chłopca!

– Sam prosił...

– Wyprowadźcie!

Głos lekarza:

– Krwawienie ustało, zaczynamy!

Ktoś złapał go pod ramiona i uniósł. Próbował się opierać, ale był taki mały, taki lekki. I wtedy poczuł ten zapach. Spalonego ciała i krwi.

Na koniec znów usłyszał głos lekarza:

– Piła.

Drzwi się za nim zatrzasnęły, osunął się na kolana i podjął modlitwę w miejscu, w którym przerwała ją matka. Ocal go. Niech będzie kaleką, ale niech przeżyje. Bóg posiada moc sprawiania takich rzeczy. Jeśli tylko zechce.

Poczuł, że ktoś na niego patrzy. Otworzył oczy i znalazł się z powrotem w metrze. Naprzeciwko niego siedziała kobieta z napiętymi mięśniami szczęki, miała zmęczone, dalekie spojrzenie, które uciekło od jego wzroku. Wskazówka sekundnika na zegarku przesuwała się skokami, gdy w duchu powtarzał adres. Sprawdził. Puls wydawał się normalny. Głowa lekka, ale nie za lekka. Nie było mu ani zimno, ani się nie pocił, nie czuł lęku ani radości, przyjemności ani nieprzyjemności. Pociąg zwolnił. Charles de Gaulle-Étoile. Ostatni raz zerknął na kobietę. Przyglądała mu się uważnie, lecz gdyby jeszcze kiedyś go spotkała, może nawet dziś wieczorem, i tak by go nie rozpoznała.

Podniósł się i stanął przy drzwiach. Hamulce jęknęły cicho. Tabletki odświeżające i mocz. I wolność. Równie niewyobrażalna jak zapach. Drzwi się rozsunęły.

Harry wysiadł na peronie, stanął i wciągając ciepły piwniczny zapach, zerknął na kartkę z adresem. Usłyszał, że drzwi się zamykają, i kiedy pociąg znów ruszył, poczuł lekki powiew powietrza na plecach. Skierował się w stronę wyjścia. Tablica

reklamowa nad ruchomymi schodami powiedziała mu, że istnieją sposoby na uniknięcie przeziębienia. Zakasłał jakby w odpowiedzi, myśląc: Za cholerę nie. Wsunął rękę do głębokiej kieszeni wełnianego płaszcza, pod piersiówką i pudełkiem z tabletkami na gardło znalazł paczkę papierosów.

Papieros podskakiwał mu w ustach, kiedy wychodził przez szklane drzwi, zostawiając za sobą wilgotne, nienaturalne ciepło podziemnej kolejki Oslo, i wbiegał po schodach prowadzących do jak najbardziej naturalnego zimna i grudniowych ciemności stolicy. Odruchowo się skulił. Egertorget. Niewielki otwarty plac stanowił skrzyżowanie deptaków w samym sercu Oslo, o ile miasto miało jakiekolwiek serce o tej porze roku. Sklepy były otwarte mimo niedzieli, ponieważ był ostatni weekend przed świętami, i w żółtym świetle padającym z okien skromnych trzypiętrowych, zajmowanych przez firmy kamienic, które otaczały plac, roiło się od ludzi spieszących w różne strony. Harry przyjrzał się torbom z zapakowanymi prezentami i upomniał się w duchu, że musi pamiętać o kupieniu czegoś dla Bjarnego Møllera, który nazajutrz miał po raz ostatni przyjść do pracy. Szef Harry'ego i jego główny obrońca w policji przez wszystkie te lata wprowadził wreszcie w życie swój plan zwalniania tempa i od następnego tygodnia miał objąć stanowisko tak zwanego starszego śledczego do spraw specjalnych w Komendzie Policji w Bergen, co w praktyce oznaczało, że Bjarne Møller do przejścia na emeryturę będzie mógł robić, co chce. Może i nieźle, ale Bergen? Deszcz i cisnące się na miasto góry. Møller nigdy się stamtąd nie wydostanie. Harry zawsze lubił Bjarnego Møllera, ale nie zawsze go rozumiał.

Mężczyzna w puchowym kombinezonie, spowijającym go od stóp do głów, minął Harry'ego krokiem astronauty, szczerząc zęby w uśmiechu i wydmuchując obłoczki pary z okrągłych

zaróżowionych policzków. Przygarbione plecy i zamknięte zimowe twarze. Harry dostrzegł bladą kobietę ubraną w cienką czarną skórzaną kurtkę z dziurą na łokciu, która przestępowała z nogi na nogę pod ścianą zakładu zegarmistrza, wzrokiem przeszukując tłum w nadziei na znalezienie swojego dilera. Żebrak, długowłosy i nieogolony, ale dobrze ubrany w ciepłe, modne, młodzieżowe ubranie, siedział na ziemi w pozycji jogina, oparty o słup latarni z głową pochyloną jak do medytacji, przed nim stał brązowy kartonowy kubek po cappuccino. Harry w ostatnim roku zauważał coraz więcej żebraków i uświadomił sobie, że są do siebie podobni. Mieli nawet takie same kartonowe kubki, jak gdyby posługiwali się tajemnym kodem. Może to były istoty z kosmosu, które po cichu zajmowały jego miasto, jego ulice? I co z tego? Zapraszamy!

Harry wszedł do zakładu zegarmistrza.

– Da się go zreperować? – spytał młodego człowieka za kontuarem, podając mu zegarek po dziadku. Harry dostał go w Åndalsnes tego dnia, kiedy pochowali matkę. Był wtedy jeszcze chłopcem i prawie się przeraził, ale dziadek uspokoił go, mówiąc, że zegarki to coś, co się oddaje w prezencie, Harry powinien więc pamiętać o przekazaniu go dalej, „zanim będzie za późno".

Harry całkiem zapomniał o zegarku aż do tej jesieni, kiedy w mieszkaniu na Sofies gate odwiedził go Oleg i w szufladzie, w której szukał gameboya Harry'ego, znalazł srebrny zegarek. Oleg miał dziewięć lat, ale już dawno pokonał Harry'ego w będącej ich wspólną namiętnością, chociaż trochę niemodnej grze komputerowej Tetris. Zapomniał o planowanym pojedynku, na który tak się cieszył, i zaczął grzebać w zegarku z nadzieją, że go uruchomi.

„On jest zepsuty", powiedział Harry.

„Phi – mruknął Oleg. – Wszystko można naprawić".

Harry miał w głębi serca nadzieję, że to twierdzenie jest prawdziwe, ale bywały dni, gdy mocno w to wątpił. A jednak momentami się zastanawiał, czy nie powinien zaprezentować Olegowi zespołu Jokke&Valentinerne i albumu zatytułowanego właśnie *Wszystko można naprawić*. Po dłuższym zastanowieniu doszedł jednak do wniosku, że matki Olega, Rakel, nie zachwyciłaby taka konstelacja: jej były facet, alkoholik, wciska synowi piosenki o tym, jak to jest być alkoholikiem, napisane i wykonywane przez zmarłego nałogowca.

– Nadaje się do naprawy? – spytał młodego człowieka za kontuarem. W odpowiedzi zręczne dłonie szybko otworzyły zegarek.

– Nie opłaca się.

– Nie opłaca?

– Jak pan pójdzie do antykwariatu, dostanie pan lepszy zegarek, na chodzie, za mniejsze pieniądze, niż będzie kosztować naprawa.

– Proszę mimo wszystko spróbować – powiedział Harry.

– Dobrze. – Młody człowiek już zaczął studiować wnętrzności zegarka i właściwie wydawał się całkiem zadowolony z decyzji Harry'ego. – Proszę przyjść w środę w przyszłym tygodniu.

Po wyjściu z zakładu Harry usłyszał kruchy dźwięk pojedynczej gitarowej struny ze wzmacniacza. Dźwięk się wzmógł, gdy gitarzysta, chłopak z rzadkim zarostem, w mitenkach, podkręcił głośność. Była pora jednego ze stałych przedświątecznych koncertów na Egertorget, podczas których znani artyści grali na rzecz Armii Zbawienia. Ludzie już zaczęli gromadzić się przed zespołem, który ustawił się za wiszącym na statywie na środku placu czarnym świątecznym kociołkiem, do którego Armia Zbawienia tradycyjnie zbierała datki dla potrzebujących.

– To ty?

Harry odwrócił się. Zaczepiła go ta kobieta z oczami narkomanki.

– To ty, prawda? Ty jesteś od Snoopy'ego. Muszę natychmiast dostać działkę, bo mam...

– *Sorry* – przerwał jej Harry. – To nie ja.

Przyjrzała mu się. Lekko przekrzywiła głowę, mrużąc oczy, jakby oceniała, czy ją okłamał.

– Właśnie, że ty. Już cię kiedyś widziałam.

– Jestem z policji.

Wstrzymała oddech. Harry wypuścił powietrze. Reakcja nastąpiła z opóźnieniem, jak gdyby wiadomość musiała przejść okrężną drogą, omijając przepalone włókna nerwowe i zniszczone synapsy. W końcu w oczach kobiety zapłonęło słabe światełko nienawiści, na które Harry czekał.

– Gliniarz?

– Myślałem, że obowiązuje umowa, że będziecie się trzymać Plata. – Harry przeniósł wzrok na wokalistę.

– Phi! – Kobieta stanęła tuż przed nim. – Ty nie jesteś z Narkotyków. Ty jesteś ten z telewizji, ten, co zabił...

– Wydział Zabójstw. – Harry ujął ją lekko pod rękę. – Posłuchaj, to, czego szukasz, znajdziesz na Plata. Nie zmuszaj mnie, żebym cię zamknął.

– Nie mogę – wyrwała mu się.

Harry natychmiast pożałował, że jej dotknął, obie ręce podniósł do góry.

– Powiedz przynajmniej, że nie będziesz próbowała nic tu kupić, to będę mógł sobie iść. Okej?

Przekrzywiła głowę. Cienkie bezkrwiste wargi odrobinę się napięły, jak gdyby dostrzegała w tej sytuacji coś zabawnego.

– Powiedzieć ci, dlaczego nie mogę tam iść?

Harry czekał.

– Bo mój syn tam chodzi.

Poczuł ściskanie w żołądku.

– Nie chcę, żeby mnie zobaczył taką. Rozumiesz, gliniarzu?

Popatrzył na jej zadziorną twarz, próbując ułożyć jakieś zdanie.

– Wesołych świąt – dodała, odwracając się do niego plecami.

Harry rzucił papierosa w biały sproszkowany śnieg i ruszył dalej. Chciał mieć tę robotę za sobą. Nie patrzył na ludzi nadchodzących z przeciwka, a oni nie patrzyli na niego, tylko gapili się w lód, jakby mieli wyrzuty sumienia, jakby jako obywatele najhojniejszej socjaldemokracji na świecie mimo wszystko się wstydzili. „Bo mój syn tam chodzi".

Na Fredensborgveien, obok Biblioteki Deichmana Harry zatrzymał się pod numerem zapisanym na kopercie, którą miał przy sobie. Odchylił głowę. Niedawno odremontowaną fasadę pomalowano na szaro-czarno. Mokry sen grafficiarza. W niektórych oknach wisiały już świąteczne ozdoby, ich kontury rysowały się wyraźnie na tle żółtego miękkiego światła bijącego z tego, co wyglądało na ciepłe, bezpieczne domy. I może rzeczywiście tak było, usiłował przekonywać się Harry. Usiłował, bo nie można przepracować dwunastu lat w policji, nie zarażając się pogardą dla ludzi, nieuniknioną w tym zawodzie. Ale starał się jej opierać, to trzeba przyznać.

Znalazł nazwisko przy domofonie, zamknął oczy, próbując wymyślić właściwy sposób sformułowania. Nie pomogło. Jej głos wciąż mu przeszkadzał.

„Nie chcę, żeby mnie zobaczył taką..."

Poddał się. Czy istnieje jakiekolwiek właściwe sformułowanie na wyrażenie tego, co niemożliwe?

Dotknął kciukiem zimnego metalowego przycisku i gdzieś we wnętrzu domu rozległ się dzwonek.

Kapitan Jon Karlsen puścił przycisk, odstawił ciężkie plastikowe torby na chodnik, odchylił głowę i spojrzał na fasadę. Kamienica wyglądała na ostrzelaną przez lekką artylerię. Tynk odpadał płatami, a okna uszkodzonego w pożarze mieszkania na pierwszym piętrze zakrywały deski. W pierwszej chwili minął niebieski dom Fredriksena, miał wrażenie, że mróz wyssał wszelkie kolory, upodobniając do siebie wszystkie fasady na Hausmanns gate. Dopiero gdy zobaczył okupowaną kamienicę z namalowanym na ścianie napisem „Zachodni Brzeg", zrozumiał, że poszedł za daleko. Pęknięcie w szybie drzwi wejściowych tworzyło literę V. Symbol zwycięstwa.

Jon zadrżał, z zadowoleniem myśląc o tym, że pod wiatrówką ma mundur Armii Zbawienia z czystej grubej wełny. Kiedy po ukończeniu Szkoły Oficerskiej miał dostać nowy mundur, okazało się, że żaden z rozmiarów w dziale handlowym Armii Zbawienia na niego nie pasuje. Przydzielono mu więc materiał i posłano do krawca, który dmuchnął mu dymem w twarz i niepytany wyparł się Jezusa jako swego osobistego Zbawiciela. Ale krawiec znał się na swojej robocie i Jon ciepło mu podziękował, bo nie był przyzwyczajony do dobrze leżącego ubrania. Podobno z powodu przygarbionych pleców. Ci, którzy widzieli, jak idzie w górę Hausmanns gate tego popołudnia, prawdopodobnie sądzili, że pochyla się tak, by ochronić się przed lodowatym grudniowym wiatrem, zmiatającym igiełki lodu i sztywne śmieci z chodników przy wtórze szumu nieustannie przejeżdżających samochodów. Ale ci, którzy go znali, mówili, że Jon Karlsen garbi się, żeby zniwelować swój wzrost. I żeby dotrzeć do tych, których ma pod sobą. Teraz też się schylił, by dwudziestokoronowa moneta trafiła do brązowego tekturowego kubka tkwiącego w brudnej drżącej dłoni przy bramie.

– Co tam słychać? – spytał Jon przypominającego stos szmat człowieka, który w śnieżnej zadymce siedział po turecku na rozłożonym na chodniku kawałku kartonu.

– Jestem w kolejce na kurację metadonem – odparł nieszczęśnik obojętnie, zacinając się, jakby wygłaszał marnie wyćwiczony wers psalmu, nie odrywał przy tym oczu od kolan czarnych mundurowych spodni Jona.

– Powinieneś się wybrać do naszej kawiarni na Urtegata – powiedział Jon. – Trochę się ogrzać, coś zjeść i...

Reszta słów zniknęła w ryku samochodów, kiedy światło zmieniło się na zielone.

– Nie mam czasu – odparł żebrak. – A ty nie znalazłbyś przypadkiem pięćdziesiątki?

Jona nigdy nie przestała dziwić niezłomna koncentracja narkomanów wokół jednego. Z westchnieniem wepchnął stukoronowy banknot do kubka.

– Idź, poszukaj jakiegoś ciepłego ubrania we Freteksie[3]. Jak tam nic nie znajdziesz, to wiem, że mamy nowe zimowe kurtki w naszym ośrodku, w Latarni Morskiej. W tej cienkiej dżinsowej zamarzniesz na śmierć.

Powiedział to z rezygnacją człowieka, który już ma świadomość, że jego dar pójdzie na narkotyki, ale co z tego? To był ten sam refren. Po prostu jeden z tych niemożliwych moralnych dylematów, które wypełniały mu dni.

Jeszcze raz nacisnął guzik domofonu. Widział swoje odbicie w brudnej szybie wystawowej obok drzwi wejściowych. Thea mówiła, że jest wielki. A on wcale nie był wielki, tylko mały. Mały żołnierzyk. Ale później mały żołnierzyk pobiegnie przez „Dolinkę" na Møllerveien, przez most na rzece Aker, gdzie zaczyna się wschodnia część miasta i dzielnica Grünerløkka, przez park

Sofienberg, do kamienicy na Gøteborggata cztery, będącej własnością Armii i wynajmowanej jej pracownikom. Otworzy kluczem drzwi do klatki B, może przywita się krótko z jakimś lokatorem, który, miejmy nadzieję, uzna, że Jon zmierza do swojego mieszkania na czwartym piętrze. A on zamiast tego pojedzie windą na piąte, przez strych przejdzie na klatkę A, chwilę będzie nasłuchiwał, czy droga wolna, a potem podbiegnie pod mieszkanie Thei i zastuka umówionym kodem. Ona otworzy drzwi i objęcia, w które będzie mógł się wtulić i odtajać.

Zatrzęsło się.

W pierwszej chwili myślał, że to trzęsie się ziemia, miasto, fundamenty. Odstawił jedną torbę i sięgnął do kieszeni spodni. Komórka wciąż wibrowała mu w ręku. Na wyświetlaczu ukazał się numer Ragnhild. To już trzeci raz, tylko dzisiaj. Wiedział, że nie może dłużej tego odkładać, musi jej w końcu powiedzieć. Powiedzieć, że zamierza się zaręczyć z Theą. Kiedy tylko znajdzie właściwe słowa. Schował telefon z powrotem do kieszeni, unikając swojego odbicia. Ale podjął już decyzję. Musi przestać być tchórzem. Będzie dzielny. Będzie wielkim żołnierzem. Dla Thei na Gøteborggata. Dla ojca w Tajlandii. Dla Pana Boga w niebiosach.

– Co znowu? – burknęło w głośniku nad przyciskami.

– O, cześć, tu Jon.

– Co?

– Jon z Armii Zbawienia.

Jon czekał.

– Czego chcesz? – zatrzeszczał głos.

– Przyniosłem trochę jedzenia, może by się wam przydało...

– Papierosy masz?

Jon przełknął ślinę i tupnął w śniegu.

– Nie, tym razem starczyło mi pieniędzy tylko na jedzenie.

– Cholera!

Znów zapadła cisza.

– Halo? – zawołał Jon.

– Tak, tak. Myślę.

– Mogę wrócić później.

Rozległ się brzęczyk, więc Jon czym prędzej pchnął drzwi.

Na klatce schodowej, wśród żółtych pagórków zamarzniętego moczu, walały się gazety i puste butelki. Mróz jednak sprawił, że Jon nie musiał wdychać przenikliwego słodko-kwaśnego odoru, który wypełniał klatkę w cieplejsze dni.

Starał się stąpać lekko, ale i tak tupał na schodach. Kobieta oczekująca go w drzwiach wbiła spojrzenie w torby. Nie chce patrzeć bezpośrednio na mnie, pomyślał Jon. Miała obwisłą, nabrzmiałą po wielu latach nałogu twarz, nadwagę, a pod szlafrokiem brudny biały T-shirt. Z drzwi buchał smród.

Jon odstawił torby na podeście schodów.

– Czy pani mąż jest w domu?

– Tak, jest – odparła miękko po francusku.

Była piękna. Miała mocno zarysowane kości policzkowe i duże oczy w kształcie migdałów. Wąskie bezkrwiste wargi. I była dobrze ubrana. Przynajmniej ta jej część, którą widział przez szparę w drzwiach.

Odruchowo poprawił czerwoną apaszkę.

Oddzielał ich od siebie łańcuch z solidnego mosiądzu, przymocowany do ciężkich dębowych drzwi bez tabliczki z nazwiskiem. Kiedy stał pod kamienicą na Avenue Carnot i czekał, aż konsjerżka mu otworzy, zauważył, że wszystko wygląda tu na nowe i drogie. Okucia, domofon, zamki. A fakt, że bladożółta fasada i białe żaluzje były pociągnięte warstwą brudu z miejskich

zanieczyszczeń, podkreślał tylko stałość i solidność tej dzielnicy Paryża. Na klatce wisiały oryginalne obrazy olejne.

– O co chodzi?

Jej spojrzenie i ton nie były ani życzliwe, ani nieżyczliwe, może skrywały odrobinę sceptycyzmu z powodu jego słabego francuskiego akcentu.

– Przynoszę wiadomość, *madame*.

Zawahała się. Ale w końcu zachowała się tak, jak się spodziewał.

– Ach tak. Proszę poczekać, zaraz go zawołam.

Zamknęła drzwi, naoliwiony zamek zatrzasnął się z miękkim kliknięciem.

Przestąpił z nogi na nogę. Powinien lepiej nauczyć się francuskiego. Matka wieczorami wbijała mu do głowy angielski, ale z francuskim nigdy nie mogła sobie poradzić. Wpatrywał się w drzwi. Ładna.

Pomyślał o Giorgim. Giorgi o białym uśmiechu, blondynek, drobny jak dziewczyna, był od niego o rok starszy. Czy wciąż był tak samo ładny? Zakochał się w Giorgim, bez uprzedzeń i bez warunków, tak jak potrafią się zakochiwać tylko dzieci.

Ze środka usłyszał kroki. Kroki mężczyzny. Majstrowanie przy zamku. Niebieska kreska między pracą a wolnością, prowadząca stąd do mydła i moczu. Wkrótce spadnie śnieg. Przygotował się.

Twarz mężczyzny ukazała się w drzwiach.

– Czego, do cholery, chcesz?

Jon podniósł torby i spróbował się uśmiechnąć.

– Świeży chleb. Ładnie pachnie, prawda?

Fredriksen położył wielką brązową dłoń na ramieniu kobiety i ją odepchnął.

– Czuję jedynie krew chrześcijanina – słowa trolla z baśni zostały wypowiedziane z wyraźną, trzeźwą dykcją, ale rozmyte tęczówki

w zarośniętej twarzy opowiadały całkiem inną historię. Oczy próbowały się skupić na torbach z zakupami. Ten człowiek wyglądał jak wielki silny mężczyzna, który wewnętrznie się skurczył. Jakby szkielet, sama czaszka zmniejszyła się pod skórą, ciężko obwisłą i o trzy numery za dużą dla tej pełnej złości twarzy. Fredriksen przeciągnął brudnym palcem po świeżych rozcięciach na grzbiecie nosa.

– Nie będziesz głosił kazania? – spytał.

– Nie, właściwie chciałem tylko...

– Dalej, żołnierzu! Musicie przecież coś z tego mieć, prawda? Na przykład moją duszę.

Jon zadrżał.

– Nie ja mam władzę nad duszami, panie Fredriksen. Ale trochę jedzenia mogę...

– No, najpierw trochę pogadaj!

– Już mówiłem, że...

– Gadaj!

Jon patrzył na Fredriksena.

– Gadaj tą swoją małą zasraną gębą! – ryknął Fredriksen. – Gadaj, żebyśmy mogli jeść z czystym sumieniem, ty cholerny dewocie! Dalej, miejmy to już za sobą! Jaką masz dziś wiadomość od Boga?

Jon otworzył usta i zaraz je zamknął. Przełknął ślinę. Spróbował jeszcze raz i tym razem struny głosowe go usłuchały.

– Dobra nowina jest taka, że oddał Swego Syna, aby ten umarł... za nasze grzechy.

– Kłamiesz!

– Nie, niestety to prawda – odparł Harry, patrząc na przerażoną twarz mężczyzny w drzwiach. Pachniało obiadem, a w tle szczękały sztućce. Głowa rodziny. Ojciec. Do tej chwili. Mężczyzna podrapał się po przedramieniu, wbijając wzrok gdzieś ponad głową

Harry'ego, jakby ktoś się nad nim pochylał. Drapaniu towarzyszył nieprzyjemny szorstki odgłos.

Podzwanianie sztućców ucichło. Drepczące kroki zatrzymały się za mężczyzną, na jego ramieniu pojawiła się drobna dłoń. Zza pleców wyjrzała twarz kobiety o wielkich wystraszonych oczach.

– Co się stało, Birger?

– Ten policjant przyniósł wiadomość – powiedział Birger Holmen płaskim głosem.

– Co się stało? – Kobieta popatrzyła na Harry'ego. – Chodzi o naszego syna? O Pera?

– Tak, pani Holmen. – Harry zobaczył, jak lęk nadpełza do jej oczu. Szukał niemożliwych słów. – Znaleźliśmy go dwie godziny temu. Państwa syn nie żyje.

Nie mógł dłużej patrzeć jej w oczy.

– Ale on... on... gdzie...

Spojrzenie kobiety przeskoczyło z Harry'ego na męża, który nie przestawał się drapać.

Zaraz podrapie się do krwi, pomyślał Harry i odchrząknął.

– W kontenerze w Bjørvika. Tak jak się obawialiśmy. Nie żył już od pewnego czasu.

Birger Holmen nagle jakby stracił równowagę. Zatoczył się w tył oświetlonego przedpokoju i uchwycił wieszaka. Kobieta stanęła w drzwiach, a Harry za jej plecami zobaczył, że mężczyzna osuwa się na ziemię.

Harry odetchnął głębiej, włożył rękę do wewnętrznej kieszeni płaszcza. Metal piersiówki zmroził mu palce. Wyjął kopertę. Nie czytał tego pisma, ale znał jego treść aż za dobrze. Oficjalna krótka wiadomość o śmierci odarta z wszelkich zbędnych słów. Przesłanie śmierci jako czynność biurokratyczna.

– Bardzo mi przykro, ale moim obowiązkiem jest oddać to państwu.

– Co jest pana obowiązkiem? – spytał nieduży mężczyzna w średnim wieku z przesadnie elegancką wymową francuską, charakteryzującą nie klasę wyższą, tylko tych, którzy do niej aspirują. Gość mu się przyglądał. Wszystko się zgadzało ze zdjęciem w kopercie. Nawet skąpy węzeł krawata i luźny czerwony tużurek.

Nie wiedział, co złego zrobił ten człowiek. Raczej nie wyrządził nikomu krzywdy fizycznej, bo mimo irytacji malującej się na twarzy, mowa ciała wyrażała defensywę, niemal lęk, nawet tu, w drzwiach do własnego domu. Może ukradł pieniądze, może dokonał malwersacji. Sprawiał wrażenie osoby pracującej z liczbami. Ale nie chodziło o duże kwoty. Mimo pięknej żony wyglądał na takiego, który uszczknie trochę tu, trochę tam. Może cudzołożył, może spał z żoną niewłaściwego człowieka? Nie. Niskich mężczyzn, zamożnych zaledwie lekko powyżej średniej, mających żony znacznie atrakcyjniejsze od nich samych, z reguły bardziej interesuje właśnie niewierność żon. Mężczyzna go irytował. Może o to chodziło. Może po prostu kogoś zirytował.

Wsunął rękę do kieszeni.

– Mój obowiązek – powiedział, przykładając do napiętego mosiężnego łańcucha lufę llamy minimax, który kupił zaledwie za trzysta dolarów. – ...polega na tym.

Wycelował wzdłuż tłumika. Była to prosta metalowa rurka przykręcona do lufy na gwincie, który zrobił mu rusznikarz w Zagrzebiu. Czarna taśma klejąca, owijająca złączenie, służyła wyłącznie jako uszczelnienie. Oczywiście mógł kupić tak zwany tłumik wysokiej jakości za ponad sto euro, ale po co? I tak żaden nie był w stanie zdławić odgłosu kuli przełamującej mur dźwięku, gorącego gazu stykającego się z zimnym powietrzem,

mechanicznych metalowych cząstek pistoletu uderzających o siebie. Jedynie w rzeczywistości hollywoodzkiej pistolet z tłumikiem wydawał taki odgłos jak popcorn pękający pod pokrywką.

Odgłos zabrzmiał jak strzelenie batem. Wcisnął twarz w wąski otwór.

Mężczyzna zniknął ze szpary w drzwiach, upadł do tyłu bez hałasu. W holu panował półmrok, ale w lustrze na ścianie zobaczył światło wpadające z klatki i swoje własne szeroko otwarte oko w obramowaniu ze złota. Zmarły leżał na grubym bordowym dywanie. Perskim? Może jednak miał pieniądze.

Teraz miał tylko małą dziurkę w czole.

Podniósł wzrok i napotkał spojrzenie żony. Jeśli to była żona. Stała w progu następnego pomieszczenia. Za nią wisiała duża żółta lampa z papieru ryżowego. Kobieta wpatrywała się w niego, zasłaniając usta ręką. Krótko skinął jej głową. Potem delikatnie zamknął drzwi, schował pistolet do kabury pod pachą i ruszył schodami w dół. W powrotnej drodze nigdy nie używał windy. Ani wynajętych samochodów czy motocykli lub innych pojazdów, które mogły nagle bez przyczyny stanąć. I nie biegł. Nie mówił ani nie wołał, bo głos mógł być wykorzystany w rysopisie.

Odwrót stanowił najbardziej krytyczny etap zadania, lecz również ten, który najbardziej lubił. Był niczym unoszenie się w powietrzu, jak pozbawiona marzeń nicość.

Konsjerżka wyszła przed drzwi swojego mieszkania na parterze i przyglądała mu się niepewnie. Szepnął jej słowa pożegnania, lecz ona dalej tylko patrzyła w milczeniu. Gdy za godzinę będzie ją przesłuchiwać policja, poprosi o rysopis, a ona im go poda. Mężczyzna średniego wzrostu, o zwykłym wyglądzie. Dwadzieścia lat, a może trzydzieści. Na pewno nie czterdzieści. Tak jej się przynajmniej wydaje.

Wyszedł na ulicę. Paryż huczał cicho jak burza, która nie chce się zbliżyć, ale też nie chce minąć. Wrzucił llamę minimax do upatrzonego wcześniej kontenera na śmieci. Dwa nowe nieużywane pistolety tej samej marki czekały w Zagrzebiu. Dostał rabat za ilość.

Gdy pół godziny później autobus na lotnisko mijał Porte de la Chapelle na autostradzie między Paryżem a lotniskiem Charles'a de Gaulle'a, w powietrzu zaroiło się od płatków śniegu. Kładły się między rzadkimi bladożółtymi źdźbłami, które zmarznięte wyciągały się ku szaremu niebu.

Kiedy się odprawił na swój lot i minął kontrolę bezpieczeństwa, skierował się prosto do męskiej toalety. Stanął na końcu rzędu białych pisuarów, rozpiął rozporek i wycelował strumień moczu w białe tabletki odświeżające na dnie miski. Zamknął oczy, koncentrując się na słodkawym zapachu paradichlorobenzenu i aromatu cytrynowego z J&J Chemicals. Na niebieskiej kresce wiodącej do wolności został tylko jeden przystanek. Próbował posmakować tej nazwy. Os-lo.

3 NIEDZIELA, 13 GRUDNIA. UGRYZIENIE

W czerwonej strefie na szóstym piętrze Budynku Policji, kolosa z betonu i szkła, gromadzącego największą liczbę policjantów w Norwegii, Harry siedział odchylony na krześle w swoim pokoju numer 605. Halvorsen – młody sierżant, z którym Harry dzielił te dziesięć metrów kwadratowych – uwielbiał nazywać to pomieszczenie „Gabinetem Rozwikłań", Harry zaś, gdy Halvorsena należało nieco przyhamować, „Gabinetem Powikłań".

Teraz jednak Harry był sam i gapił się w ścianę, w której prawdopodobnie znajdowałoby się okno, gdyby w „Gabinecie

Rozwikłań" istniało coś takiego.

Była niedziela, napisał już raport i mógł iść do domu. Dlaczego więc tego nie robił? Za nieistniejącym oknem widział ogrodzony teren portu w Bjørvika, gdzie świeży śnieg niczym konfetti sypał się na zielone, czerwone i niebieskie kontenery. Sprawa była przecież wyjaśniona. Per Holmen, młody heroinista, miał dość życia i w kontenerze strzelił sobie po raz ostatni. Z pistoletu. Oznak przemocy i udziału osób trzecich nie stwierdzono, a pistolet leżał tuż obok. Z tego, co ustalili wywiadowcy, Per Holmen nikomu nie był winien żadnych pieniędzy. Zresztą kiedy dilerzy wykonują egzekucję na ludziach z długami za narkotyki, nigdy się nie starają, żeby to wyglądało na cokolwiek innego. Wprost przeciwnie. Czyli oczywiste samobójstwo. Po co więc marnować wieczór na wałęsanie się po wietrznym, nieprzyjemnym porcie kontenerowym, gdzie i tak nie znajdzie się nic oprócz większego smutku i beznadziei?

Harry wpatrywał się w wełniany płaszcz, który wisiał na stojącym wieszaku. Mała piersiówka w wewnętrznej kieszeni była pełna. I nietknięta, odkąd w październiku poszedł do sklepu monopolowego, kupił butelkę ze swoim największym wrogiem Jimem Beamem i napełnił nim piersiówkę, a resztę wylał do zlewu. Od tamtej chwili nosił tę truciznę przy sobie. Mniej więcej tak jak przywódcy hitlerowców nosili kapsułki z cyjankiem w podeszwach butów. Skąd ten idiotyczny pomysł? Nie wiedział. To nie było takie istotne. Działało.

Spojrzał na zegarek. Prawie jedenasta. W domu miał mocno już zużytą maszynę do espresso i nietknięty film DVD, oszczędzany na taki właśnie wieczór. *Wszystko o Ewie*, arcydzieło Mankiewicza z 1950 roku z Bette Davis i George'em Sandersem.

Zastanowił się. I wiedział, że wybór padnie na port kontenerowy.

Harry podniósł kołnierz płaszcza i stanął odwrócony plecami do północnego wiatru, który dmuchał przez wznoszące się przed nim wysokie ogrodzenie, nawiewając śnieg w ostre zaspy wokół kontenera. Nocą rozległe opustoszałe tereny portu przypominały pustynię.

Ogrodzony obszar był oświetlony, ale słupy latarni kołysały się w porywach wiatru i po uliczkach między metalowymi skrzyniami, ustawionymi po dwie albo trzy jedne na drugich, biegały cienie. Kontener, na który patrzył Harry, był czerwony. Ten kolor gryzł się z otaczającymi go pomarańczowymi taśmami policyjnymi. Było to jednak niezłe miejsce schronienia w Oslo w grudniu, o dokładnie takich samych rozmiarach i stopniu komfortu co izolatka w areszcie w Budynku Policji.

W raporcie grupy badającej miejsce zdarzenia – którą w zasadzie trudno nazwać grupą, bo składała się tylko z jednego śledczego i z jednego technika kryminalistyki – zapisano, że kontener od pewnego czasu stał pusty. I niezamknięty. Kierownik portu wyjaśnił, że tak nie pilnują zamykania pustych kontenerów zbyt skrupulatnie, skoro cały rejon jest i tak ogrodzony, a poza tym dozorowany. A jednak narkomanowi udało się tu przedostać. Prawdopodobnie Per Holmen był jednym z wielu ćpunów przebywających w rejonie Bjørvika, położonym o rzut kamieniem od supermarketu narkomanów na Plata. Może kierownik świadomie patrzył przez palce na to, że jego kontenery od czasu do czasu służą jako noclegownia? Może wiedział, że w ten sposób ratuje komuś życie?

Sam kontener nie miał zamka, ale furtkę w ogrodzeniu zamknięto na grubą kłódkę. Harry żałował, że nie zadzwonił z pracy i nie uprzedził, że się zjawi. Jeśli w ogóle ktokolwiek tu pilnował, bo nikogo nie widział.

Spojrzał na zegarek. Chwilę się zastanawiał, potem przeniósł wzrok na szczyt ogrodzenia. Był w dobrej formie. W o wiele lepszej niż od dawna. Nie tknął alkoholu od tamtego fatalnego załamania latem i regularnie trenował na siłowni w Budynku Policji. A nawet więcej niż regularnie. Zanim spadł śnieg, pobił dawny rekord Toma Waalera na ścieżce zdrowia na Økern. Kilka dni później Halvorsen ostrożnie spytał, czy całe to trenowanie ma jakiś związek z Rakel, bo odniósł wrażenie, że przestali się spotykać. Harry wyjaśnił młodemu sierżantowi w sposób zwięzły, ale dobitny, że nawet jeśli dzielą pokój, to nie oznacza jeszcze, że dzielą życie prywatne. Halvorsen tylko wzruszył ramionami, spytał, z kim innym Harry może o tym porozmawiać, a jego podejrzenia się potwierdziły, kiedy Harry po prostu wstał i wyszedł z pokoju numer 605.

Trzy metry. Nie ma drutu kolczastego. Łatwe. Harry złapał za ogrodzenie najwyżej jak mógł, oparł stopy na słupku i wyprostował się. Prawa ręka do góry, potem lewa, zawisnąć na wyprostowanych ramionach, zanim znajdzie się oparcie dla stóp. Ruchy larwy. Przerzucił się na drugą stronę.

Wyciągnął bolec i otworzył luk kontenera. Wyjął solidną czarną latarkę Army, schylił się pod taśmami policyjnymi i wszedł do środka.

W kontenerze panowała dziwna cisza, jak gdyby również dźwięki zamarzły.

Zapalił latarkę i skierował ją w położoną najbardziej w głębi część metalowej skrzyni. W snopie światła zobaczył wykonany kredą rysunek na podłodze w miejscu, gdzie znaleziono Pera Holmena. Beate Lønn, szefowa Wydziału Techniki Kryminalistycznej mieszczącego się na Brynsalléen, pokazywała mu zdjęcia. Per Holmen z dziurą w prawej skroni siedział oparty o ścianę, a pistolet leżał po jego prawej stronie. Mało krwi. To zaleta strzału w głowę.

Jedyna. Pistolet miał naboje skromnego kalibru, więc rana wlotowa była niewielka, a wylotowej nie było. W Zakładzie Medycyny Sądowej znajdą więc pocisk w czaszce, przez którą najprawdopodobniej przeleciał jak kula do flippera, robiąc miazgę z tego, czego Per Holmen używał do myślenia. Do podjęcia tej decyzji. A na koniec do wydania polecenia palcowi wskazującemu, by nacisnął spust.

„Niepojęte", mawiali zwykle koledzy Harry'ego, znajdując młodych ludzi, którzy zdecydowali się na samobójstwo. Harry przypuszczał, że mówią tak, by chronić samych siebie, by odrzucić samą ideę. Oprócz tego nie rozumiał, co w tym było niepojętego.

A jednak właśnie tym słowem posłużył się wcześniej tego dnia, po południu, kiedy stojąc na klatce schodowej i zaglądając do pogrążonego w półmroku przedpokoju, patrzył na klęczącego ojca Pera Holmena, na jego zgięte plecy drżące od płaczu. A ponieważ Harry nie miał żadnych słów pociechy o śmierci, Bogu, zbawieniu, życiu po życiu czy też sensie tego wszystkiego, mruknął tylko bezradnie: „Niepojęte...".

Zgasił latarkę, wsunął ją do kieszeni płaszcza i ciemność wokół niego się zamknęła.

Pomyślał o swoim ojcu. O Olavie Holem. O emerytowanym nauczycielu i wdowcu, który mieszkał w domu na Oppsal, o jego oczach, które się rozjaśniały, gdy raz w miesiącu odwiedzali go Harry albo córka zwana Sio, i o tym, jak to światło powoli gasło, gdy pili kawę i rozmawiali o sprawach bez wielkiego znaczenia. Jedyna bowiem sprawa, która miała jakiekolwiek znaczenie, znajdowała się na zdjęciu królującym na pianinie, na którym kiedyś grała. Olav Hole prawie nic już nie robił. Czytał tylko swoje książki. O krajach i krainach, których nigdy nie zobaczy i których właściwie już nie chce oglądać, skoro ona nie może mu towarzyszyć.

Rozmawiali o niej rzadko, ale zawsze wtedy powtarzał: „Największa strata". A Harry zastanawiał się teraz, jak Olav Hole określiłby dzień, w którym przekazano by mu wiadomość o śmierci syna.

Wyszedł z kontenera i skierował się w stronę ogrodzenia. Złapał się za nie rękami. A potem nastąpiła jedna z tych niezwykłych chwil nagłej całkowitej ciszy, w której wiatr wstrzymuje oddech jakby po to, by nasłuchiwać albo się zastanowić. W zimowej ciemności słychać było jedynie spokojne burczenie miasta. I jeszcze odgłos szeleszczącego papieru trącego o asfalt. Ale przestało wiać. To nie był papier, tylko kroki. Szybkie, lekkie kroki. Lżejsze niż kroki ludzkich stóp.

Łapy.

Serce Harry'ego przyspieszyło dziko, błyskawicznie podciągnął kolana pod siebie i oparł się nimi o ogrodzenie. Wyprostował się. Dopiero później miał sobie uświadomić, co go tak wystraszyło. Ta cisza. I to, że w tej ciszy niczego nie usłyszał, żadnego warczenia, żadnych oznak agresji. Jak gdyby to, co znajdowało się w ciemności za jego plecami, nie chciało go przestraszyć. Przeciwnie, jakby na niego polowało. A gdyby Harry znał się na psach, być może wiedziałby, że jest tylko jedna rasa psów, które nigdy nie warczą, ani wtedy kiedy się boją, ani wtedy gdy atakują: czarny metzner. Harry przesunął ręce w górę i znów podciągnął kolana. Nagle wychwycił zmianę rytmu, potem ciszę i już wiedział, że pies skoczył. Zamachnął się nogą.

Twierdzenie, że nie czuje się bólu, kiedy strach napompuje krew adrenaliną, jest w najlepszym razie pozbawione niuansów. Harry ryknął, kiedy zęby dużego smukłego psa przebiły skórę prawej łydki i zatopiły się w ciele, naciskając w końcu bezpośrednio na wrażliwą okostną. Ogrodzenie zaśpiewało, siła ciążenia działała na nich obu, ale Harry wiedziony czystą desperacją zdołał się

utrzymać. I normalnie powinien być teraz ocalony. Bo każdy inny pies o takim ciężarze ciała, jaki ma dorosły czarny metzner, musiałby puścić. Ale czarny metzner ma zęby i mięśnie szczęki obliczone na zgniatanie kości, stąd plotka o tym, że jest spokrewniony ze zjadającą kości cętkowaną hieną. Dlatego zawisł zaczepiony o łydkę Harry'ego dwoma lekko zakrzywionymi kłami górnej szczęki i jednym dolnym, stabilizującym ugryzienie. Drugi kieł w dolnej szczęce złamał na stalowej protezie, kiedy miał zaledwie trzy miesiące.

Harry przerzucił lewy łokieć nad krawędzią ogrodzenia i próbował podciągnąć ich obu do góry, ale pies jedną łapą zaplątał się w siatkę. Prawą ręką Harry sięgnął więc do kieszeni płaszcza, zacisnął ją na gumowanej oprawie latarki, spojrzał w dół i po raz pierwszy zobaczył to zwierzę. Błysnęły czarne ślepia w równie czarnym pysku. Harry zamachnął się latarką. Uderzyła psa w łeb między uszami tak mocno, że usłyszał trzask. Uniósł latarkę i zamierzył się jeszcze raz, trafił we wrażliwy nos. Desperacko próbował walić w oczy, które jeszcze ani razu nie mrugnęły. W końcu latarka wypadła mu z rąk na ziemię, a pies ani drgnął. Harry czuł, że wkrótce zabraknie mu sił na trzymanie się ogrodzenia. Nie chciał myśleć, co będzie dalej, ale nie mógł się powstrzymać.

– Ratunku!

Nieśmiałe wołanie porwał wiatr, który znów się wzmógł. Harry zmienił chwyt i nagle zachciało mu się śmiać. To przecież nie może być prawda. Miałby zostać znaleziony w porcie kontenerowym z gardłem rozszarpanym przez stróżującego psa? Odetchnął głębiej. Zakończenie siatkowego ogrodzenia kłuło go w pachę, palce drętwiały. Jeszcze sekundy i będzie musiał się puścić. Gdyby tylko miał broń! Gdyby zamiast piersiówki miał porządną butelkę, to mógłby ją stłuc i próbować nią dźgać.

Piersiówka!

Ostatnim wysiłkiem wsunął rękę do wewnętrznej kieszeni i wyciągnął piersiówkę. Włożył ją do ust, wbił zęby w metalowy korek i obrócił. Korek puścił, a on poczuł w ustach smak alkoholu. Ciało przeszył dreszcz. O Boże. Przycisnął twarz do ogrodzenia, aż oczy mu się zmrużyły, a odległe światła hoteli Plaza i Opera zmieniły w białe smugi wśród czerni. Prawą ręką opuścił piersiówkę i przytrzymał tak, by znalazła się dokładnie w linii nad czerwoną paszczą psa. Potem wypluł korek i alkohol, mruknął „na zdrowie" i odwrócił piersiówkę. Przez dwie długie sekundy czarne ślepia wpatrywały się w niego zdezorientowane, gdy brunatny płyn lał się po łydce Harry'ego wprost w otwarty pysk. W końcu zwierzę puściło. Harry usłyszał plaśnięcie żywego ciała uderzającego o goły asfalt. Potem rozległo się charczenie i zduszony pisk. Łapy zaskrobały po ziemi i pies zniknął pochłonięty przez ciemność, z której się wyłonił.

Harry podciągnął nogi i przerzucił się przez płot. Podsunął nogawkę. Nawet bez latarki mógł stwierdzić, że zamiast filmu *Wszystko o Ewie* czeka go wieczór w pogotowiu.

Jon leżał z głową na kolanach Thei z zamkniętymi oczami, wsłuchując się w jednostajny szum telewizora. Leciał jeden z tych seriali, które tak lubiła. *The King of Bronx*. A może *of Queens*?

– Pytałeś brata, czy weźmie ten dyżur na Egertorget? – odezwała się Thea. Nakryła mu ręką oczy. Czuł słodkawy zapach jej skóry, oznaczający, że niedawno zrobiła sobie zastrzyk z insuliny.

– Jaki dyżur? – spytał Jon.

Cofnęła dłoń i popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

Jon się roześmiał.

– Spokojnie! Już dawno rozmawiałem z Robertem. Zgodził się.

Jęknęła z rezygnacją. Jon ujął jej dłoń i znów położył sobie na oczach.

– Nie powiedziałem tylko, że to twoje urodziny. Nie wiadomo, czy by się wtedy zgodził.

– Dlaczego?

– Bo on za tobą szaleje, a ty dobrze o tym wiesz.

– Tylko tak mówisz.

– A ty go nie lubisz.

– To nieprawda!

– To dlaczego cała sztywniejesz na samo jego imię?

Zaśmiała się głośno. Może z czegoś z *Bronksu*? Albo z *Queens*.

– Zamówiłeś stolik w tej restauracji? – spytała.

– Tak.

Uśmiechnęła się i uścisnęła go za rękę. Potem zmarszczyła brwi.

– Wiesz, zastanawiałam się. Ktoś może nas tam zobaczyć.

– Ktoś z Armii? Wykluczone.

– A co będzie, jeśli mimo wszystko tak się stanie?

Jon nie odpowiedział.

– Może najwyższa pora, żebyśmy ogłosili to publicznie – stwierdziła.

– Nie wiem. Czy nie lepiej poczekać, aż będziemy mieć całkowitą pewność, że...

– Ty nie masz tej pewności, Jon?

Odsunął jej rękę i popatrzył na nią zdziwiony.

– Daj spokój, Thea! Przecież wiesz, że kocham cię ponad wszystko. Nie o to chodzi.

– W takim razie o co?

Jon westchnął i usiadł obok niej.

– Ty nie znasz Roberta, Theo.

Uśmiechnęła się krzywo.

– Znam go od dziecka.

Jon próbował się tłumaczyć:

– Owszem, ale są rzeczy, o których nie masz pojęcia. Nie wiesz na przykład, jaki potrafi być wściekły. Kiedy go to najdzie, to jakby stawał się kimś innym. Ma to po ojcu. Może być niebezpieczny, Theo.

Oparła głowę o ścianę, w milczeniu patrząc przed siebie.

– Proponuję, żebyśmy to jeszcze na trochę odłożyli. – Jon złożył ręce. – Przecież chodzi też o twojego brata.

– O Rikarda? – zdumiała się.

– Tak. Co on powie, jeśli ty, jego rodzona siostra, ogłosisz, że się zaręczasz, właśnie ze mną i właśnie teraz?

– A, o to ci chodzi? O to, że obaj ubiegacie się o stanowisko nowego szefa administracji?

– Dobrze wiesz, że dla Rady Kierowniczej istotne jest, by oficerowie na najwyższych stanowiskach zawierali małżeństwa z oficerami równie mocno zaangażowanymi w sprawy Armii. Ogłoszenie, że zamierzam poślubić Theę Nilsen, córkę Franka Nilsena, prawej ręki komandora, byłoby świetnym posunięciem taktycznym z mojej strony, to oczywiste, ale czy byłoby moralnie słuszne?

Thea przygryzła dolną wargę.

– Dlaczego to stanowisko jest takie ważne i dla ciebie, i dla Rikarda?

Jon wzruszył ramionami.

– Armia sfinansowała nam obu naukę w Szkole Oficerskiej i cztery lata studiów ekonomicznych w Wyższej Szkole Handlowej. Rikard zapewne myśli jak ja: w takiej sytuacji należy się stawić, jeśli w Armii jest do objęcia stanowisko, do którego człowiek posiada odpowiednie kwalifikacje.

– A może żaden z was go nie dostanie? Tata mówi, że jeszcze nigdy szefem administracji w Armii nie został ktoś, kto nie ma trzydziestu pięciu lat.

– Wiem – westchnął Jon. – Nie mów o tym nikomu, ale właściwie ulżyłoby mi, gdyby to Rikard dostał tę pracę.

– Ulżyło? – zdziwiła się Thea. – Przecież od ponad roku jesteś odpowiedzialny za wszystkie nasze nieruchomości pod wynajem w całym Oslo.

– No tak, ale szef administracji ma pod sobą całą Norwegię, Islandię i Wyspy Owcze. Wiesz, że w samej Norwegii Armia jest właścicielem ponad dwustu pięćdziesięciu nieruchomości z trzystoma budynkami? – Jon lekko klepnął się po brzuchu i zapatrzył w sufit ze swoją zwykłą zatroskaną miną. – Zobaczyłem się dzisiaj w szybie wystawowej i zdziwiło mnie, że jestem taki mały.

Thea jakby tego nie słyszała.

– Ktoś powiedział Rikardowi, że ten z was, który dostanie to stanowisko, zostanie następnym wodzem.

– Następnym komandorem? – roześmiał się głośno Jon. – W takim razie w ogóle nie chcę tej pracy.

– Nie wygłupiaj się, Jon!

– Wcale się nie wygłupiam. Ty i ja jesteśmy dla mnie o wiele ważniejsi. Powiem, że nie będę się ubiegał o stanowisko szefa administracji, i ogłosimy zaręczyny. Mogę się zająć inną ważną pracą. Korpusy też potrzebują ekonomistów.

– Nie, Jon! – przeraziła się Thea. – Nie mamy nikogo lepszego od ciebie. Musisz pracować tam, gdzie jesteś najbardziej potrzebny. Rikard to mój brat, ale on... nie ma twojej mądrości. Możemy wstrzymać się z ogłoszeniem zaręczyn do czasu, aż zostaniesz zatrudniony.

Jon wzruszył ramionami.

Thea spojrzała na zegarek.

– Musisz dziś wyjść przed dwunastą. Wczoraj w windzie Emma powiedziała, że się o mnie niepokoi, bo słyszała, że u mnie otwierają się drzwi w środku nocy.

Jon spuścił nogi na podłogę.

– Właściwie nie rozumiem, dlaczego chcemy tu mieszkać.

Thea skarciła go spojrzeniem.

– Tu przynajmniej dbamy o siebie nawzajem.

– Tak, tak – westchnął. – Dbamy. Wobec tego dobranoc.

Przybliżyła się do niego i wsunęła mu rękę pod koszulę, a on ze zdziwieniem poczuł, że jej dłoń jest mokra od potu, jakby była zamknięta, jakby coś w niej zaciskała. Thea wtuliła się w niego, zaczęła oddychać ciężej.

– Thea – powiedział. – Nie możemy...

Zesztywniała. W końcu westchnęła i przyciągnęła rękę do siebie.

Jon był zaskoczony. Dotychczas Thea nie wychodziła z inicjatywą zbliżenia, przeciwnie, sprawiała wrażenie osoby bojącej się fizycznego kontaktu. A on tę wstrzemięźliwość cenił. I wydawała się raczej uspokojona, kiedy po ich pierwszej randce przypomniał, że w statucie zostało zapisane, iż Armia Zbawienia uważa czystość przedmałżeńską za wzór dla każdego chrześcijanina. I chociaż zdaniem niektórych istniała różnica między „wzorem" a „zakazem", do którego w statucie odwoływano się w związku z tytoniem i alkoholem, to jednak on nie widział powodu, by łamać obietnicę daną Bogu z powodu tego rodzaju niuansów.

Uściskał Theę, wstał i wyszedł do toalety. Zamknął drzwi za sobą i odkręcił kran. Pozwolił, by woda lała mu się na ręce, podczas gdy on wpatrywał się w gładką powierzchnię stopionego piasku i odbijające się w niej rysy twarzy osoby, która według wszelkich

znaków na niebie i ziemi powinna być szczęśliwa. Musi zadzwonić do Ragnhild. Zakończyć to. Odetchnął głęboko. Przecież był szczęśliwy. Niektóre dni bywały po prostu trudniejsze od innych.

Wytarł twarz i wrócił do Thei.

Poczekalnię pogotowia ratunkowego w Oslo na Storgata czterdzieści zalewało ostre białe światło. O tej porze doby znajdowała się tu zwykła ludzka menażeria. Roztrzęsiony narkoman wstał i wyszedł po dwudziestu minutach od przyjścia Harry'ego. Tacy jak on zwykle nie byli w stanie usiedzieć nawet przez dziesięć minut. Harry dobrze go rozumiał. Wciąż miał w ustach smak alkoholu, który przebudził ze snu dawnych nieprzyjaciół, ciągnęli teraz i szarpali za łańcuchy w brzuchu. Łydka bolała jak cholera, a wyprawa do portu kontenerowego okazała się, jak dziewięćdziesiąt procent wszystkich czynności policyjnych, bezskuteczna. Przyrzekł sobie, że następnym razem dotrzyma umowy z Bette Davis.

– Harry Hole?

Harry popatrzył na mężczyznę w białym kitlu, który zatrzymał się przed nim.

– Tak?

– Proszę za mną.

– Dziękuję, ale wydaje mi się, że teraz jej kolej. – Harry ruchem głowy wskazał na dziewczynę siedzącą z głową w rękach na krześle w rzędzie naprzeciwko.

Mężczyzna pochylił się nad nim.

– Ona już tylko dzisiaj jest tu drugi raz. Da sobie radę.

Harry, kulejąc, poszedł za białym fartuchem w głąb korytarza i dalej do ciasnego gabinetu, gdzie stało biurko i prosta półka na książki. Nie dostrzegł tu żadnych rzeczy osobistych.

– Sądziłem, że policjanci mają własnych lekarzy – powiedział Biały Fartuch.

– Niestety. Zwykle nie przyjmują nas nawet poza kolejką. Skąd pan wie, że jestem policjantem?

– Przepraszam. Jestem Mathias. Po prostu cię zobaczyłem, przechodząc przez poczekalnię. – Lekarz z uśmiechem wyciągnął rękę. Harry zauważył, że ma równe zęby. Tak równe, że można by go podejrzewać o sztuczną szczękę, gdyby nie to, że i cała reszta twarzy była równie symetryczna, czysta i regularna. Oczy niebieskie, okolone drobnymi zmarszczkami od uśmiechu, a uścisk dłoni mocny i suchy. Jak żywcem wyjęty z serialu o lekarzach, pomyślał. Lekarz o ciepłych dłoniach.

– Mathias Lund-Helgesen – dodał mężczyzna, uważnie patrząc na Harry'ego.

– Rozumiem, że powinienem wiedzieć, kim jesteś – mruknął Harry.

– Mieliśmy okazję się poznać. Latem zeszłego roku. Na przyjęciu ogrodowym u Rakel.

Harry zdrętwiał na dźwięk jej imienia w ustach tego drugiego.

– Ach tak?

– To byłem ja – powiedział Mathias Lund-Helgesen szybko i cicho.

– Mhm. – Harry wolno kiwnął głową. – Krwawię.

– Świetnie to rozumiem. – Lund-Helgesen zrobił poważną, współczującą minę.

Harry podciągnął nogawkę.

– Tutaj.

– Aha, o to chodzi? – Mathias Lund-Helgesen uśmiechnął się lekko zdezorientowany. – Co to za rana?

– Pies mnie ugryzł. Możesz coś z tym zrobić?

– Nie bardzo jest co. Krwawienie samo ustanie. Oczyszczę ranę i coś przyłożę. – Nachylił się. – Widzę ślady trzech zębów. No i dostaniesz zastrzyk przeciwtężcowy.

– Ugryzł mnie aż do kości.

– Tak, często ma się takie uczucie.

– Nie, on mnie naprawdę ugryzł... – Harry urwał i wypuścił powietrze przez nos. Uświadomił sobie, że Mathias Lund-Helgesen uważa, że on jest pijany. Dlaczego zresztą miałoby być inaczej? Policjant w podartym płaszczu, pogryziony przez psa, owiany złą sławą i cuchnący świeżym alkoholem. Czy tak właśnie go opisze, gdy będzie opowiadał Rakel, że jej były facet znów pękł?

– ...mocno – zakończył Harry.

4 PONIEDZIAŁEK, 14 GRUDNIA. POŻEGNANIE

Drrr!

Poderwał się i usiadł w łóżku, słysząc echo własnego głosu wśród białych nagich ścian hotelu. Dzwonił telefon na nocnym stoliku. Podniósł słuchawkę.

– *This is your wake-up call...*

– *Hvala* – podziękował, chociaż wiedział, że to tylko głos z taśmy.

Był w Zagrzebiu. Dziś miał jechać do Oslo. Na najważniejszą robotę. Ostatnią.

Zamknął oczy. Znów mu się śniło. Nie Paryż, nie inne zadania, one nie śniły mu się nigdy. Zawsze śnił mu się Vukovar. Zawsze ta jesień. Oblężenie.

Dziś w nocy śniło mu się, że biegnie. Jak zawsze biegł w deszczu i jak zawsze był to ten sam wieczór, kiedy na oddziale dla noworodków ojcu obcięli rękę. Cztery godziny później ojciec nagle

umarł, chociaż lekarze twierdzili, że operacja się udała. Powiedzieli, że serce po prostu przestało mu bić. On uciekł wtedy od matki, wybiegł w ciemność i w deszcz nad rzekę, z pistoletem ojca w dłoni, w stronę stanowisk Serbów, posłali w niebo rakietnice, strzelali do niego, a on był obojętny, słuchał miękkich plaśnięć kul o ziemię, która nagle gdzieś zniknęła, bo wpadł w wielki lej po bombie. Woda go pochłonęła, połknęła wszystkie dźwięki, zrobiło się cicho, a on dalej biegł pod wodą, ale nie mógł nigdzie dotrzeć. W końcu czując, jak członki mu sztywnieją, a senność znieczula, ujrzał coś czerwonego, co poruszało się w całej tej czerni jak ptak bijący skrzydłami na zwolnionym filmie. A kiedy doszedł do siebie, leżał owinięty w wełniany koc, nad nim huśtała się naga żarówka, artyleria Serbów wciąż grała, a jemu do oczu i ust sypały się drobiny ziemi i tynku. Splunął, wtedy ktoś się nad nim pochylił i powiedział, że z wypełnionego wodą leja po bombie uratował go Bobo, sam kapitan, mówiący wskazał przy tym na łysego mężczyznę stojącego przy schodach do wyjścia z bunkra. Ten człowiek był w mundurze, a na szyi miał zawiązaną czerwoną apaszkę.

Otworzył oczy i spojrzał na termometr, który położył na nocnym stoliku. Temperatura w pokoju od listopada nie przekraczała szesnastu stopni, chociaż w recepcji hotelu twierdzono, że ogrzewanie jest włączone na maksimum. Wstał. Musiał się pospieszyć. Autobus na lotnisko będzie przed hotelem za pół godziny.

Popatrzył w lustro nad umywalką i spróbował sobie wyobrazić twarz Boba. Była jednak niczym zorza polarna, niezauważalnie zniknęła, gdy na nią patrzył. Telefon zadzwonił jeszcze raz.

– *Da, majka.*

Ogolił się, wytarł i szybko ubrał. Wyjął i otworzył jedno z dwóch przechowywanych w sejfie czarnych metalowych pudełek. Llama minimax sub compact, w którym mieściło się siedem naboi, sześć w magazynku plus jeden w komorze. Rozłożył broń, a części rozdzielił do czterech niewielkich, specjalnie przygotowanych komór pod narożnymi wzmocnieniami walizki. Gdyby go zatrzymano na cle, a walizkę prześwietlono, metal we wzmocnieniach zasłoniłby części pistoletu. Przed wyjściem sprawdził jeszcze, czy ma paszport i kopertę z biletem lotniczym, którą dostał od niej, zdjęcie obiektu i niezbędne informacje o tym, kiedy i gdzie. To się miało stać jutro wieczorem o siódmej w miejscu publicznym. Powiedziała, że ta robota jest bardziej ryzykowna od poprzedniej. Mimo to się nie bał. Od czasu do czasu myślał, że stracił tę zdolność, że mu ją amputowano tamtego wieczoru razem z ręką ojca. Bobo twierdził, że ktoś, kto się nie boi, nie jest w stanie długo przeżyć.

Na zewnątrz Zagrzeb ledwie się budził. Bezśnieżny, szary od mgły i ze ściągniętym smutkiem obliczem. Stanął przed wejściem do hotelu i pomyślał, że za kilka dni pojadą nad Adriatyk, do maleńkiej miejscowości, gdzie będzie maleńki hotel z niższymi cenami poza sezonem i odrobiną słońca. I będą rozmawiać o nowym domu.

Autobus na lotnisko powinien już tu być. Zaczął wpatrywać się w mgłę. Gapił się tak jak tamtej jesieni, skulony obok Boba, na próżno próbując cokolwiek dostrzec przez biały dym. Jego robota polegała na przenoszeniu wiadomości, które bali się przekazywać przez radio, ponieważ Serbowie mieli nasłuch na każdą częstotliwość i wyłapywali wszystko. A on, ponieważ był taki mały, mógł biegać pędem przez okopy, bo nie musiał się schylać. Bobowi powiedział, że chce zabijać czołgi.

Bobo pokręcił głową.

– Jesteś łącznikiem. Te wiadomości są ważne, synu. Do czołgów mam mężczyzn.

– Ale oni się boją, a ja nie.

Bobo uniósł brew.

– Jesteś zaledwie chłopcem.

– Nie zrobię się starszy od tego, że kule dosięgną mnie tu, zamiast tam. A ty sam powiedziałeś, że jeśli nie uda nam się powstrzymać czołgów, zdobędą miasto.

Bobo długo na niego patrzył.

– Daj mi się zastanowić – stwierdził w końcu.

Siedzieli w milczeniu, wpatrując się w biel, nie widząc, co jest jesienną mgłą, a co dymem wznoszącym się z ruin płonącego miasta. W końcu Bobo chrząknął.

– Dziś w nocy posłałem Franja i Mirka do wyrwy w wale, którą przejeżdżają czołgi. Mieli za zadanie się ukryć i przyczepiać miny do czołgów, które się nad nimi przetaczały. Wiesz, jak to się skończyło?

Znów kiwnął głową. Widział trupy Franja i Mirka przez lornetkę.

– Gdyby byli mniejsi, może zdołaliby się ukryć w zagłębieniu w ziemi – stwierdził Bobo.

Chłopiec otarł ręką zasmarkany nos.

– A jak się przyczepia miny do czołgów?

O świcie następnego dnia przyczołgał się z powrotem na własne pozycje, trzęsąc się z zimna, cały ubłocony. Za nim na polanie stały dwa zniszczone serbskie czołgi, z otwartych włazów walił dym. Bobo zaciągnął go do okopu, wołając triumfalnie:

– Oto narodził się nam Mały Wybawiciel!

Tego samego dnia Bobo, dyktując meldunek do głównej kwatery w centrum, nadał mu pseudonim, który miał mu towarzyszyć

aż do chwili, gdy Serbowie zajęli jego rodzinne miasto, zamienili je w kupę gruzów, zabili Boba, zmasakrowali lekarzy i pacjentów w szpitalu, uwięzili i torturowali tych, którzy stawiali opór. W tym pseudonimie zawierał się gorzki paradoks. Nadał go jeden z tych wszystkich, których nie zdołał ocalić. *Mali Spasitelj*. Mały Wybawiciel.

Z morza mgły wyłonił się czerwony autobus.

Z sali konferencyjnej w czerwonej strefie na szóstym piętrze dobiegał szum ściszonych rozmów i tłumionego śmiechu, kiedy zjawił się Harry, stwierdzając, że odpowiednio wyliczył czas. Spóźnił się na wstępne pogawędki, jedzenie ciastek i wymianę koleżeńskich złośliwości i żarcików, do których często uciekają się mężczyźni, kiedy mają się pożegnać z kimś, kogo cenią. Przybył w porę na wręczanie prezentów i przemowy zawierające, jego zdaniem, zbyt wiele napuszonych słów, jakich mężczyźni ośmielają się używać, kiedy stoją przed publicznością, a nie rozmawiają w cztery oczy.

Harry omiótł wzrokiem duże pomieszczenie i odnalazł jedyne trzy naprawdę życzliwe twarze. Swojego odchodzącego szefa, Bjarnego Møllera. Sierżanta Halvorsena. I Beate Lønn, młodej szefowej Wydziału Techniki Kryminalistycznej. Nie napotkał żadnych innych spojrzeń i nikt inny nie napotkał jego spojrzenia. Harry zdawał sobie sprawę, że nie jest osobą uwielbianą w Wydziale Zabójstw. Møller powiedział kiedyś, że jest tylko jedna rzecz, której ludzie nie lubią bardziej niż humorzastego alkoholika, a mianowicie potężnego humorzastego alkoholika. Harry był humorzastym alkoholikiem o wzroście metr dziewięćdziesiąt trzy, a to, że był na dodatek znakomitym śledczym, stanowiło jedynie okoliczność lekko łagodzącą. Wszyscy wiedzieli, że gdyby nie chroniąca dłoń Bjarnego Møllera, Harry'ego już dawno usunięto

by z szeregów policji. A skoro Møller odchodził, to wszyscy zdawali sobie sprawę również z tego, że szefostwo tylko czeka na pierwszy błąd Harry'ego. To, co go teraz chroniło, paradoksalnie naznaczyło go również na zawsze piętnem outsidera: to on rozpracował jednego z nich. Księcia. Toma Waalera, komisarza z Wydziału Zabójstw, który stał za potężnym przemytem broni do Oslo w ciągu ostatnich ośmiu lat. Tom Waaler dokonał żywota w kałuży krwi w piwnicy akademika na wzgórzu Kampen, a trzy tygodnie później podczas krótkiej uroczystości w kantynie naczelnik Biura Kryminalnego z zaciśniętymi zębami udzielił Harry'emu pochwały za posprzątanie w ich własnych szeregach. Harry za tę pochwałę podziękował.

„Dziękuję", powiedział, rozglądając się po zebranych tylko po to, żeby sprawdzić, czy ktokolwiek spojrzy mu w oczy. Właściwie zamierzał ograniczyć swoją przemowę do tego jednego słowa, ale widok odwróconych twarzy podbił w nim gniew, dlatego dodał: „Pewnie teraz trudniej będzie mnie wywalić. Prasa mogłaby jeszcze pomyśleć, że ten, kto to robi, boi się, że zasadzam się również na niego".

Wtedy wreszcie na niego spojrzeli. Z niedowierzaniem. Równie dobrze więc mógł ciągnąć:

„Nie ma powodu, żeby tak się gapić, moi drodzy. Tom Waaler był komisarzem u nas, w Wydziale Zabójstw, uzależnionym od swojej pozycji, by móc realizować swoje zamierzenia. Nazwał się Księciem, a jak wiecie... – Tu Harry zrobił pauzę, przenosząc spojrzenie z twarzy na twarz i wreszcie zatrzymując się na szefie Biura Kryminalnego. – Tam, gdzie jest książę, tam z reguły bywa i król".

– I co, staruszku? Zamyśliłeś się?

Harry podniósł wzrok. To Halvorsen pytał.

– Tak sobie myślę o królach – mruknął Harry, biorąc z rąk młodego sierżanta filiżankę z kawą.

– Tam masz nowego króla. – Halvorsen pokazał palcem.

Przy stole z prezentami stał mężczyzna w granatowym garniturze, zajęty rozmową z naczelnikiem Biura Kryminalnego i Bjarnem Møllerem.

– To jest Gunnar Hagen? – spytał Harry, upijając łyk kawy. – Nowy NWP?

– To się już nie nazywa NWP, Harry.

– Nie?

– NK. Nadkomisarz. Już cztery miesiące temu zmienili nazwy stopni.

– Naprawdę? Może akurat tego dnia chorowałem. Ty ciągle jesteś sierżantem?

Halvorsen się uśmiechnął.

Nowy nadkomisarz wydawał się dziarski i nie wyglądał na pięćdziesiąt trzy lata, jak podano w okólniku. Bardziej średniego wzrostu niż wysoki, uznał Harry. I chudy. Siatka wyraźnych mięśni na twarzy, wokół szczęki i wzdłuż szyi świadczyła o ascetycznym trybie życia. Usta miał proste i zdecydowane, a wysunięta broda mogła oznaczać wytrwałość albo po prostu krzywy zgryz. Włosy, które mu jeszcze zostały, okalały czaszkę zaledwie czarnym półwianuszkiem, ale za to były tak grube i gęste, że nowy szef wydziału budził podejrzenia o nieco ekscentryczny wybór fryzury. Krzaczaste, diabolicznie uformowane brwi świadczyły w każdym razie o tym, że owłosienie na ciele miało dobre warunki wzrostu.

– Prosto z wojska – powiedział Harry. – Może wprowadzi poranną musztrę.

– Podobno przed zmianą pastwiska był niezłym policjantem.

– Sądząc po tym, co sam o sobie napisał w tym okólniku?

– Miło słyszeć, że jesteś pozytywnie nastawiony, Harry.

– Ja? Ja zawsze jestem gotów dać nowym ludziom szansę.

– Z akcentem na „ę”. – Podeszła do nich Beate. Odgarnęła na bok krótkie jasne włosy. – Harry, jak wchodziłeś, wydawało mi się, że kulejesz.

– Wczoraj wieczorem w porcie kontenerowym natknąłem się na nadpobudliwego kundla.

– A co tam robiłeś?

Harry, zanim odpowiedział, spojrzał na Beate. Stanowisko szefowej na Brynsalléen dobrze jej zrobiło. Zrobiło też dobrze Wydziałowi Techniki Kryminalistycznej. Beate zawsze była dobrym fachowcem, ale Harry musiał przyznać, że nie dostrzegł widocznych cech przywódczych u wręcz chorobliwie nieśmiałej dziewczyny, która po Szkole Policyjnej przyszła do Wydziału Napadów.

– Chciałem tylko obejrzeć ten kontener, w którym znaleziono Pera Holmena. Powiedz, jak on się dostał na teren portu?

– Przeciął kłódkę obcęgami. Leżały przy nim. A jak ty się tam dostałeś?

– Co oprócz tych obcęgów znaleźliście?

– Harry, nic nie wskazuje na to, że...

– Wcale nie mówię, że tak jest. Co jeszcze?

– A jak myślisz? Sprzęt, działkę heroiny i plastikową torebkę z tytoniem. Wiesz, oni wydłubują tytoń z petów, które podnoszą z ziemi. I oczywiście ani korony.

– A beretta?

– Numer seryjny usunięty. Ale ślady szlifowania znajome. Szmuglowana broń z czasów Księcia.

Harry zauważył, że Beate unika wymawiania nazwiska Toma Waalera.

– Mhm. Są już wyniki badań krwi?

– A i owszem – odparła. – Zaskakująco czysty. W każdym razie nie miał w sobie nic świeżego. Czyli świadomy i jak najbardziej w stanie popełnić samobójstwo. A dlaczego pytasz?

– Miałem przyjemność przekazać nowinę rodzicom.

– Uf – westchnęli Lønn i Halvorsen chórem. Zdarzało się to coraz częściej, chociaż byli parą zaledwie od półtora roku.

Naczelnik Biura Kryminalnego chrząknął, zebrani odwrócili się twarzami do stołu z prezentami i umilkli.

– Bjarne poprosił o głos – powiedział naczelnik i zakołysał się na piętach, zawieszając zdanie. – I go otrzymał.

Ludzie się zaśmiali. Harry zauważył ostrożny uśmiech Bjarnego Møllera skierowany do przełożonego.

– Dziękuję, Torleif. Dziękuję też tobie i komendantowi głównemu policji za pożegnalny prezent. A zwłaszcza chciałbym podziękować za ten piękny obraz, który dostałem od was wszystkich. – Wskazał ręką na stół.

– Od wszystkich? – szepnął Harry do Beate.

– Tak. Skarre i paru innych zbierało pieniądze.

– Nic o tym nie słyszałem.

– Może zapomnieli cię spytać.

– A teraz ja chciałbym wręczyć kilka prezentów – powiedział Møller. – Z masy spadkowej, że się tak wyrażę. Po pierwsze, mam szkło powiększające.

Podniósł je na wysokość twarzy. Buchnął śmiech na widok zniekształconych rysów byłego NWP.

– Lupa przejdzie na dziewczynę, która tak samo świetnie się spisuje w śledztwie i jest równie dobrą policjantką jak jej ojciec. Chwała za pracę nigdy nie przypada jej, bo zawsze to my z Wydziału Zabójstw wychodzimy na takich zdolnych. Jak wiecie, badali ją specjaliści od mózgu, ponieważ jest rzadkim przypadkiem

osoby posiadającej tak rozwinięty *gyrus fusiformus*, że zapamiętuje każdą raz zobaczoną twarz.

Harry zauważył, że Beate się czerwieni. Nie lubiła znajdować się w centrum uwagi, a już zwłaszcza z powodu owej wyjątkowej zdolności, przez którą wciąż wykorzystywano ją do rozpoznawania twarzy recydywistów na niewyraźnych filmach wideo nakręconych podczas napadów.

– Mam nadzieję – powiedział Møller – że nie zapomnisz również tej twarzy, chociaż przez jakiś czas nie będziesz jej oglądać. A gdybyś miała wątpliwości, to zawsze możesz posłużyć się tym.

Halvorsen lekko pchnął Beate w plecy. Kiedy Møller oprócz wręczenia szkła powiększającego jeszcze ją uściskał, a zebrani przyjęli to oklaskami, nawet czoło miała w kolorze wozu strażackiego.

– Następna cząstka masy spadkowej to moje krzesło biurowe – powiedział Bjarne. – O ile dobrze zrozumiałem, mój następca, Gunnar Hagen, zażyczył sobie nowego, z czarnej skóry z wysokim oparciem i w ogóle. – Møller uśmiechnął się do Hagena, który nie odwzajemnił uśmiechu, tylko krótko skinął mu głową. – Moje krzesło przechodzi więc na własność funkcjonariusza ze Steinkjer, który odkąd do nas przyszedł, był skazany na siedzenie w jednym pokoju z największym awanturnikiem w tym budynku. W dodatku na zepsutym krześle. Junior, myślę, że najwyższa pora na zmianę.

– Hura! – krzyknął Halvorsen.

Wszyscy popatrzyli na niego ze śmiechem, a on też się roześmiał.

– A na koniec środek pomocniczy dla człowieka, który jest dla mnie kimś wyjątkowym. Był moim najlepszym śledczym i moim największym koszmarem. Zawsze idzie za własnym nosem, posługując się własnym kalendarzem i – ze szkodą dla nas, którzy próbujemy nakłonić was do punktualnego stawiania się

na porannych odprawach – własnym czasomierzem. – Møller z kieszeni marynarki wyjął zegarek. – Mam nadzieję, że dzięki temu zaczniesz się posługiwać tą samą rachubą czasu co inni. W każdym razie jest mniej więcej zsynchronizowany z resztą zegarków w Wydziale Zabójstw. No, sporo tu było między wierszami, Harry.

Tu i ówdzie rozległy się oklaski, kiedy Harry wyszedł po nieznanej mu marki zegarek, na prostym czarnym pasku.

– Dziękuję – powiedział.

Dwaj wysocy mężczyźni mocno się objęli.

– Specjalnie nastawiłem go tak, że się spieszy dwie minuty, żebyś wszędzie zdążył, nawet jeśli uznasz, że jest już za późno – szepnął Møller. – Koniec tych pouczeń. Rób to, co musisz.

– Dziękuję – powtórzył Harry. Wydawało mu się, że Møller ściska go trochę za mocno i trochę za długo. Upomniał się w duchu, że musi pamiętać o zostawieniu na stole prezentu, który przyniósł z domu. Na szczęście nie zdążył zerwać folii z *Wszystko o Ewie*.

5 PONIEDZIAŁEK, 14 GRUDNIA. LATARNIA MORSKA

Jon znalazł Roberta na zapleczu Freteksu na Kirkeveien.

Brat stał oparty o framugę z założonymi rękami i patrzył na mężczyzn przenoszących czarne worki na śmieci z ciężarówki do sklepowego magazynu. Tragarze wypuszczali z ust białe chmurki jak w komiksach, wypełnione przekleństwami w rozmaitych dialektach i językach.

– Dobry połów? – spytał Jon.

Robert wzruszył ramionami.

– Ludzie z radością oddają całą letnią garderobę, żeby w przyszłym roku kupić sobie nową. Ale nam potrzebna jest teraz zimowa odzież.

– Twoi chłopcy mają świeże podejście do języka. To typy z paragrafu dwanaście?

– Wczoraj liczyłem. Tych, którzy dobrowolnie odbywają karę, jest tu teraz dwa razy więcej od tych, którzy przyjęli Jezusa.

– Niezaorane pole misyjne – uśmiechnął się Jon. – Wystarczy zacząć.

Robert krzyknął do jednego z chłopaków, który w odpowiedzi rzucił mu paczkę papierosów. Robert wsunął do ust gwóźdź do trumny bez filtra.

– Wyjmij to! – upomniał go Jon. – Przysięga wojskowa. Możesz wylecieć.

– Nie mam zamiaru go zapalać, braciszku. Czego chcesz?

Jon wzruszył ramionami.

– Tylko chwilę porozmawiać.

– O czym?

Jon zaśmiał się krótko.

– To chyba normalne, że bracia od czasu do czasu ze sobą rozmawiają.

Robert kiwnął głową i zdjął z języka odrobinę tytoniu.

– Kiedy mówisz, że chcesz ze mną porozmawiać, to z reguły chcesz mi powiedzieć, jak mam żyć.

– Przestań!

– No to o co chodzi?

– O nic! Po prostu zastanawiam się, jak się miewasz.

Robert wyjął papierosa i splunął w śnieg. Zmrużył oczy, patrząc na białą wysoką pokrywę chmur.

– Mam po dziurki w nosie tej roboty. Mam po dziurki w nosie mieszkania. I tej cholernej zasuszonej hipokrytki, sierżant major, która prowadzi to zasrane przedstawienie. Gdyby nie była taka paskudna, to chętnie bym... – Robert się uśmiechnął – ...za karę zerżnął tę pomarszczoną skórę.

– Zimno mi – powiedział Jon. – Możemy wejść do środka?

Robert ruszył przodem do maleńkiego biura i usiadł na obrotowym krześle, które ledwie się mieściło między załadowanym papierzyskami biurkiem, wąskim oknem z widokiem na tylne podwórze i czerwono-złotym sztandarem z symbolem Armii Zbawienia i hasłem „Krew i ogień". Jon zdjął plik papierów, część pożółkłych ze starości, z drewnianego krzesła, które, jak wiedział, Robert przywłaszczył sobie z pomieszczeń Korpusu dzielnicy Majorstua, z którym sąsiadowali przez ścianę.

– Ona mówi, że się nie stawiasz do pracy – powiedział Jon.

– Kto?

– Sierżant major Rue. – Jon uśmiechnął się kwaśno. – Pomarszczona skóra.

– Ho, ho! To ona do ciebie zadzwoniła? Do tego już doszło? – Robert dziobał biurko składanym nożem. W końcu zawołał: – Aha, zapomniałem! Jesteś nowym szefem administracji! Bossem całej tej cholernej fabryki.

– Na razie jeszcze nikt nie został wybrany. Równie dobrze może nim zostać Rikard.

– Wszystko jedno. – Robert narysował na blacie dwa półkola, tak aby tworzyły serce. – Powiedziałeś już to, co przyszedłeś powiedzieć, ale zanim sobie pójdziesz, to może dasz mi te pięć stów za dyżur pojutrze?

Jon wyjął pieniądze z portfela i położył je na biurku przed bratem. Robert ostrzem noża pogładził się po brodzie. Zaszeleścił krótki czarny zarost.

– No i przypomnę ci o jeszcze jednej rzeczy.

Jon przełknął ślinę; wiedział, co zaraz usłyszy.

– A mianowicie?

Ponad ramieniem Roberta zobaczył, że zaczął padać śnieg, ale wznoszące się w górę ciepło bijące z domów wokół podwórza sprawiało, że lekkie białe płatki nieruchomiały w powietrzu za oknem, jakby podsłuchiwały.

Robert wbił czubek noża w sam środek serca.

– Jeśli odkryję, że jeszcze raz bodaj zbliżysz się do tej dziewczyny... – Położył dłoń na czubku rękojeści i pochylił się do przodu. Pod naciskiem jego ciała ostrze z trzaskiem wbiło się w suche drewno. – Zniszczę cię, Jon. Przysięgam.

– Przeszkadzam? – rozległ się głos od drzwi.

– Ależ nie, pani Rue – odparł Robert głosem słodkim jak cukier. – Mój brat właśnie wychodzi.

Naczelnik Biura Kryminalnego i nowo mianowany szef wydziału, Gunnar Hagen, przerwali rozmowę, gdy Bjarne Møller wszedł

do swojego gabinetu. A raczej do gabinetu, który właśnie przestał należeć do niego.

– I jak, podoba ci się widok? – spytał Møller tonem, który, miał nadzieję, zabrzmiał wesoło, i zaraz dodał: – ...Gunnar.

Imię miało dziwny smak.

– Hm. W grudniu Oslo zawsze wygląda smutno – odparł Gunnar Hagen. – Ale zobaczymy, czy i tego nie uda nam się naprawić.

Bjarne Møller miał ochotę spytać, co rozumie przez „i tego", ale się wstrzymał, widząc, że naczelnik z aprobatą kiwa głową.

– Właśnie wprowadzałem Gunnara w kilka szczegółów dotyczących naszych ludzi. W pełnym zaufaniu.

– No tak. Wy dwaj się przecież znacie.

– Owszem – odparł naczelnik. – Znamy się, odkąd obaj byliśmy kadetami w tym, co wtedy nazywano Szkołą Policyjną.

– W okólniku było napisane, że co roku bierzesz udział w biegu narciarskim Birkebeinerów. – Møller zwrócił się do Hagena. – Wiedziałeś, że naczelnik też?

– Oczywiście. – Hagen z uśmiechem popatrzył na szefa Biura Kryminalnego. – Zdarza się, że Torleif i ja biegniemy razem.

– No proszę – uśmiechnął się wesoło Møller. – Czyli że gdyby naczelnik Biura Kryminalnego siedział w Radzie do spraw Zatrudnienia, można by go było podejrzewać o zatrudnienie kumpla.

Naczelnik zaśmiał się cierpko i rzucił Møllerowi ostrzegawcze spojrzenie.

– Akurat opowiadałem Gunnarowi o człowieku, którego tak hojnie obdarowałeś.

– O Holem?

– Tak – odparł Hagen. – Rozumiem, że on uśmiercił komisarza policji w związku z tą nieprzyjemną sprawą przemytu. Słyszałem,

że urwał mu rękę w windzie. I że również jego podejrzewa się o to, że był źródłem przecieku całej tej sprawy do prasy. Niedobrze.

– Po pierwsze, ta nieprzyjemna sprawa przemytu dotyczyła profesjonalnego gangu z powiązaniami w policji, który przez ładnych kilka lat zalewał Oslo tanią bronią. – Bjarne Møller na próżno starał się zapanować nad irytacją w głosie. – Hole zajmował się tą sprawą, pomimo oporów ze strony firmy. I rozwiązał ją całkowicie sam. Dzięki kilkuletniej starannej pracy policyjnej. Po drugie, zabił Waalera w samoobronie. To zresztą winda urwała rękę Waalerowi. A po trzecie, nie mamy absolutnie żadnych punktów zaczepienia, jeśli chodzi o tę sprawę przecieku.

Gunnar Hagen i naczelnik wymienili spojrzenia.

– Tak czy owak – powiedział szef Biura Kryminalnego – powinieneś na niego uważać, Gunnar. O ile wiem, niedawno rzuciła go kobieta, a przecież wiemy, że w takich sytuacjach ludzie obarczeni tak złymi nałogami jak Harry stają się wyjątkowo podatni na nawrót. A tego oczywiście nie możemy zaakceptować, bez względu na to, ile spraw zdołał rozwiązać.

– Będę go trzymać na smyczy – oświadczył Hagen.

– On jest komisarzem – zauważył Møller i zamknął oczy. – Nie szeregowym. I nie bardzo lubi chodzić na smyczy.

Gunnar Hagen wolno kiwnął głową, przegarnął palcami gęsty wianuszek włosów.

– Kiedy zaczynasz w Bergen... – Hagen zniżył głos – ...Bjarne?

Møller domyślał się, że jego imię w ustach tamtego ma równie dziwny smak.

Harry maszerował w dół Urtegata i po butach nadchodzących z przeciwka ludzi mógł stwierdzić, że zbliża się do Latarni Morskiej. Chłopcy z Wydziału Narkotykowego mawiali zwykle, że nic nie przyczynia się do zidentyfikowania narkomanów bardziej niż

magazyny z nadwyżkami dla wojska. Prędzej czy później bowiem buty wojskowe za pośrednictwem Armii Zbawienia trafiały na stopy narkomana. Latem było to niebieskie obuwie sportowe, teraz, zimą, czarne buty do marszu, które wraz z zieloną plastikową torebką z prowiantem przydzielanym przez Armię Zbawienia stanowiło umundurowanie wałęsających się po ulicach ćpunów.

Harry otworzył drzwi i skinął głową dyżurnemu, ubranemu w bluzę Armii Zbawienia z kapturem.

– Nic? – spytał dyżurny.

Harry uderzył się po kieszeniach.

– Nic.

Tablica na ścianie informowała, że alkohol należy zdeponować zaraz po wejściu, a odebrać go można, wychodząc. Harry wiedział, że z odbierania narkotyków i sprzętu zrezygnowano, bo żaden narkoman nie ma odwagi tego oddać.

Wszedł do środka, nalał sobie filiżankę kawy i usiadł na ławce pod ścianą. Latarnia Morska była kawiarnią prowadzoną przez Armię Zbawienia, charakterystycznym dla nowego tysiąclecia wariantem punktu wydawania zupy, w którym potrzebujący mogli dostać darmowe kanapki i kawę. Sympatyczny, jasny lokal od zwykłego barku serwującego cappuccino różniła jedynie klientela. Dziewięćdziesiąt procent stanowili narkomani, resztę – narkomanki. Jedzono tu kanapki z brunatnym albo żółtym serem, czytano gazety i prowadzono spokojne rozmowy przy stolikach. To był wolny obszar. Możliwość odtajania i złapania oddechu w pościgu za dzienną działką. Chociaż policyjni wywiadowcy zaglądali tu od czasu do czasu, obowiązywała niepisana umowa i nigdy nie dokonywano tu zatrzymań.

Mężczyzna przy stoliku obok Harry'ego skamieniał w połowie głębokiego ukłonu. Głowę opuścił na blat, a przed sobą w czarnych

palcach trzymał bibułkę na tytoń. Na stoliku leżały dwa puste pety.

Harry spojrzał na obciągnięte mundurem plecy miniaturowej kobietki, która zmieniała wypalone świece na małym stoliku z czterema ramkami na fotografie. W trzech ramkach były zdjęcia, w czwartym tylko krzyż i nazwisko na białym tle.

Harry podszedł do stolika.

– Co to jest? – spytał.

Może to szczupły kark i miękkość ruchów albo gładkie, kruczoczarne i wręcz nienaturalnie błyszczące włosy sprawiły, że Harry zaczął myśleć o kocie, jeszcze zanim kobieta się odwróciła. Wrażenie to się wzmogło, kiedy się okazało, że w drobnej twarzy tkwią nieproporcjonalnie szerokie usta i nos widoczny jedynie jako niezbędna wypukłość, taki jak u postaci z japońskich komiksów. Ale przede wszystkim oczy. Harry nie potrafił stwierdzić, w czym rzecz, ale coś w nich było nie tak.

– Listopad – odpowiedziała dziewczyna spokojnym, głębokim i miękkim altem, a Harry zadał sobie pytanie, czy to naturalny, czy też wyćwiczony sposób mówienia. Znał kobiety, które to potrafiły. Umiały zmienić głos, tak jak inne zmieniały ubranie. Jeden głos na użytek domowy, inny na wywieranie pierwszego wrażenia w sytuacjach towarzyskich, trzeci zarezerwowany na noc i bliskość.

– O czym ty mówisz?

– O naszych zgonach w listopadzie.

Harry spojrzał na zdjęcia i pojął.

– Cztery? – spytał. Przy jednym ze zdjęć leżał list, napisany ołówkiem drżącymi literami.

– Przeciętnie umiera jeden gość tygodniowo. Cztery zgony to całkiem normalne. Nabożeństwa żałobne są w pierwszą środę każdego miesiąca. Czy kogoś...

Harry pokręcił głową.

„Mój najdroższy Oddzie” – zaczynał się list. Kwiatów nie było.

– Mogę ci w czymś pomóc?

Harry pomyślał, że może jednak ta dziewczyna nie ma więcej głosów w repertuarze, jedynie ten głęboki, przyjemny ton.

– Per Holmen... – zaczął Harry, ale nie bardzo wiedział, jak ma kontynuować.

– Tak, biedny Per. Nabożeństwo w jego intencji zorganizujemy w styczniu.

Harry pokiwał głową.

– W pierwszą środę.

– No właśnie. Serdecznie cię zapraszamy, bracie.

„Bracie” zostało wypowiedziane z tak naturalną lekkością, jak domyślny i dlatego niewymagający specjalnego akcentowania dodatek do zdania. Przez moment Harry nawet zaczął jej wierzyć.

– Jestem z policji – powiedział.

Różnica wzrostu między nimi była tak duża, że dziewczyna musiała zadzierać głowę, by móc na niego spojrzeć.

– Gdzieś już cię może widziałam, ale chyba dawno temu.

Harry kiwnął głową.

– Możliwe. Zaglądałem tutaj, ale ciebie nie zauważyłem.

– Pracuję tu tylko na pół etatu. Resztę czasu spędzam w Kwaterze Głównej Armii. A ty się zajmujesz narkotykami?

Harry pokręcił głową.

– Zabójstwami.

– Zabójstwami? Ale Per przecież nie został...

– Możemy gdzieś na chwilę usiąść?

Rozejrzała się z wahaniem.

– Dużo pracy? – spytał Harry.

– Przeciwnie, jest wyjątkowo spokojnie. W normalny dzień wydajemy tysiąc osiemset kanapek. Ale dzisiaj wypłacają zasiłek.

Krzyknęła do jednego z chłopców za ladą, który potwierdził, że przejmie jej obowiązki. Harry w przelocie uchwycił jej imię. Martine. Głowa mężczyzny z pustą bibułką papierosową obsunęła się jeszcze o kilka ząbków.

– Parę rzeczy mi się nie zgadza – zaczął Harry, kiedy usiedli. – Jaką on był osobą?

– Trudno powiedzieć – westchnęła na widok pytającej miny Harry'ego. – Kiedy jest się narkomanem przez tyle lat co Per, mózg ulega takim zniszczeniom, że trudno dopatrzyć się jakiejś osobowości. Do tego stopnia dominuje pragnienie zdobycia narkotyku.

– Rozumiem, ale chodzi mi... Jaki był dla ludzi, którzy go dobrze znali?

– Niestety. Możesz spytać ojca Pera, co zostało z jego osobowości. Nie raz przychodził go tu szukać. W końcu zrezygnował. Powiedział, że Per zaczął im grozić, kiedy wracał do domu, ponieważ zamykali na klucz wszystkie wartościowe przedmioty. Prosił mnie, żebym go pilnowała. Mówiłam, że będziemy się starali, w miarę możliwości, ale nie możemy obiecać żadnego cudu. No i się nie ziścił...

Harry spojrzał na nią. Jej twarz nie zdradzała nic oprócz znajomej rezygnacji pracownika socjalnego.

– To musi być piekło. – Harry podrapał się w łydkę.

– Tak, trzeba chyba samemu być narkomanem, żeby w pełni to zrozumieć.

– Miałem na myśli rodziców.

Martine nie odpowiedziała. Do sąsiedniego stolika podszedł chłopak w porwanej puchówce. Otworzył przezroczystą plastikową torebkę i wysypał na blat suchy tytoń pochodzący z kilkuset petów. Zasypał nim i bibułkę, i czarne palce człowieka, który już tam siedział.

– Wesołych świąt – mruknął i odszedł, charakterystycznym dla ćpunów krokiem starego człowieka.

– Co ci się nie zgadza?

– Badanie krwi wykazało, że był prawie zupełnie czysty – powiedział Harry.

– I co z tego?

Harry spojrzał na mężczyznę przy sąsiednim stoliku, który rozpaczliwie starał się zwinąć bibułkę, ale palce nie chciały go słuchać. Po ciemnym policzku ściekła łza.

– Trochę się znam na odurzaniu – powiedział Harry. – Nie wiesz, czy on był komuś winien pieniądze?

– Nie – odparła krótko. Tak krótko, że Harry już się domyślał odpowiedzi na swoje następne pytanie.

– Ale może mogłabyś...

– Nie mogłabym – przerwała mu. – Nie mogę się rozpytać. Posłuchaj, to są ludzie, którymi nikt inny się nie przejmuje. A ja jestem tu po to, żeby im pomagać, a nie ich prześladować.

Harry długo na nią patrzył.

– Masz rację. Przepraszam, że w ogóle spytałem. To się już nie powtórzy.

– Dziękuję.

– Jeszcze tylko ostatnie pytanie, dobrze?

– No to pytaj.

– Czy ty... – Harry zawahał się, pomyślał, że chyba popełnia błąd. – Czy uwierzyłabyś mi, gdybym powiedział, że ja się przejmuję?

Przekrzywiła głowę, uważnie mu się przyglądając.

– A powinnam?

– No cóż. Badam sprawę uważaną przez wszystkich za oczywiste samobójstwo osoby, którą nikt się nie przejmuje.

Nie odpowiedziała.

– Dobra kawa – Harry wstał.

– Na zdrowie. Niech cię Bóg błogosławi.

– Dziękuję. – Harry ku swemu zdumieniu poczuł, że palą go uszy.

Wychodząc, zatrzymał się przy dyżurnym i odwrócił, ale dziewczyna już zniknęła. Chłopak w bluzie z kapturem zaproponował Harry'emu zieloną torbę z prowiantem, ale on odmówił. Mocniej owinął się płaszczem i wyszedł na ulicę, gdzie zobaczył czerwone ze wstydu słońce chowające się do fiordu. Ruszył w stronę rzeki Aker. Koło Eika w środku zaspy stał chłopak z rękawem podartej puchówki podwiniętym do góry i ze strzykawką zwisającą z przedramienia. Z uśmiechem patrzył przez Harry'ego i lodowatą mgłę nad Grønland.

6 PONIEDZIAŁEK, 14 GRUDNIA. HALVORSEN

Pernille Holmen wyglądała na jeszcze drobniejszą, kiedy siedziała w fotelu na Fredensborgveien, wpatrując się w Harry'ego wielkimi zapłakanymi oczyma. Na kolanach trzymała przeszkloną ramkę ze zdjęciem syna, Pera.

– Tutaj miał dziewięć lat – powiedziała.

Harry musiał przełknąć ślinę. Częściowo dlatego, że żaden roześmiany dziewięciolatek w kapoku nie wygląda na takiego, który skończy w kontenerze z kulą w głowie. A częściowo dlatego, że Oleg potrafił się zapomnieć i nazwać Harry'ego tatą. Harry zastanawiał się, ile czasu upłynie, zanim zacznie tak mówić do Mathiasa Lund-Helgesena.

– Kiedy Per znikał na kilka dni, Birger, mój mąż, chodził go szukać. Chociaż prosiłam, żeby z tym skończył, bo już nie wytrzymywałam, kiedy Per tu był.

Harry odsunął od siebie inne myśli.

– Dlaczego?

Birger Holmen był w zakładzie pogrzebowym. Tak mu powiedziała, kiedy Harry niezapowiedziany zadzwonił do drzwi.

Pociągnęła nosem.

– Czy pan mieszkał kiedykolwiek z narkomanem?

Harry nie odpowiedział.

– Kradł wszystko, co tylko wpadło mu w ręce. Akceptowaliśmy to. To znaczy Birger akceptował. To on z nas dwojga ma więcej serca. – Skrzywiła się, a Harry zrozumiał, że to miał być uśmiech. – Bronił Pera we wszystkim. Aż do pewnego dnia jesienią. Per wtedy mi groził.

– Groził?

– Tak. Groził, że mnie zabije. – Zapatrzyła się w zdjęcie, pocierając szkło, jak gdyby nagle zmatowiało. – Któregoś dnia przed południem Per zadzwonił do drzwi, a ja nie chciałam go wpuścić, bo byłam sama. Płakał i błagał, ale już znałam tę zabawę, więc starałam się być twarda. Poszłam do kuchni i usiadłam. Nie wiem, w jaki sposób dostał się do mieszkania, ale nagle stanął przede mną z pistoletem.

– Tym samym pistoletem, którym...

– Tak. Tak sądzę.

– Proszę mówić dalej.

– Zmusił mnie do otwarcia szafki, w której przechowywałam biżuterię. To znaczy resztki, bo większość już wcześniej zabrał. Potem zniknął.

– A pani?

– Ja? Ja się załamałam. Kiedy Birger wrócił, zawiózł mnie do szpitala. – Zaszlochała. – A tam nie chcieli mi nawet dać więcej tabletek. Powiedzieli, że wzięłam już dość.

– Jakie to tabletki?

– A jak pan myśli? Na uspokojenie. Dość! Kiedy ma się syna, przez którego człowiek co noc nie może zasnąć ze strachu, że wróci... – urwała, przyciskając do ust zaciśniętą pięść. W oczach wezbrały łzy. Potem szepnęła tak cicho, że do Harry'ego ledwie dotarły słowa: – Czasami zdarza się, że człowiek nie chce dłużej żyć...

Harry spojrzał na swój notatnik. Kartka była czysta.

– Dziękuję – powiedział.

– *One night, is that correct, Sir?*

Recepcjonistka w hotelu Scandia przy Dworcu Centralnym w Oslo zadała pytanie, nie odrywając oczu od rezerwacji na ekranie komputera.

– *Yes* – odparł stojący przed nią mężczyzna.

Zakonotowała, że jest ubrany w jasny brązowy płaszcz. Wielbłądzia wełna. Albo imitacja.

Jej długie, pomalowane na czerwono paznokcie biegały po klawiaturze jak wystraszone karaluchy. Sztuczne wielbłądy w zimowej Norwegii. Czemu nie? Widziała zdjęcia wielbłądów w Afganistanie, a narzeczony pisał, że tam potrafi być równie zimno jak tutaj.

– *Will you pay by VISA or cash, Sir?*

– *Cash.*

Podsunęła mu formularz rejestracyjny wraz z długopisem i poprosiła o paszport.

– *No need. I will pay now.*

Mówił po angielsku prawie jak Brytyjczyk, ale coś w sposobie wymawiania spółgłosek skojarzyło jej się z Europą Wschodnią.

– I tak muszę zobaczyć pana paszport, *Sir*. Zasady międzynarodowe.

Ze zrozumieniem kiwnął głową, podał jej gładki banknot tysiąckoronowy i paszport. Republika Hrvatska? Pewnie jeden

z tych nowych krajów na wschodzie. Wydała mu resztę, banknot schowała do kasy, upominając się w duchu, że musi pamiętać o sprawdzeniu go pod światło zaraz po odejściu gościa. Starała się utrzymać pewien styl, chociaż trzeba było przyznać, że na razie pracowała w jednym ze skromniejszych hoteli w mieście. A ten gość nie wyglądał wcale na oszusta hotelowego, tylko już raczej na... Jak on właściwie wyglądał? Wręczyła mu plastikową kartę, wygłosiła lekcję o piętrze, windzie, śniadaniu i dobie hotelowej.

– *Will there be anything else, Sir?* – zaćwierkała ze świadomością, że jej angielski i zaangażowanie w profesjonalną obsługę są za dobre dla tego hotelu. Wkrótce przeniesie się do jakiegoś lepszego. Albo, jeśli to okaże się niemożliwe, przestanie się tak angażować.

Gość chrząknął i spytał, gdzie znajdzie najbliższą *phone booth*.

Wyjaśniła, że może zadzwonić ze swojego pokoju, ale pokręcił głową.

Musiała się zastanowić. Telefony komórkowe skutecznie usunęły większość budek telefonicznych z Oslo, ale była pewna, że jedna została całkiem niedaleko, na Jernbanetorget, placu Dworcowym. Chociaż do tego miejsca było zaledwie sto metrów, wyjęła niewielką mapę, zaznaczyła i wyjaśniła. Tak jak robili w Radissonie i w hotelach Choice. Kiedy podniosła głowę, żeby sprawdzić, czy wszystko zrozumiał, przez moment poczuła się zdezorientowana, chociaż sama nie wiedziała, dlaczego.

– My dwaj przeciwko całej bandzie, Halvorsen! – Harry, wpadając do wspólnego pokoju, wygłosił swoje stałe powitanie.

– Dwie wiadomości – oznajmił Halvorsen. – Masz się zgłosić do gabinetu nowego NK. No i dzwoniła jakaś babka, pytała o ciebie. Bardzo przyjemny głos.

– Tak? – Harry cisnął płaszczem w kierunku wieszaka. Płaszcz zwalił się na ziemię.

– O rany! – wyrwało się Halvorsenowi. – Wreszcie ci przeszło?

– Słucham?

– Znów rzucasz łachy na wieszak. I mówisz, że jest nas dwóch przeciwko całej bandzie. Nie robiłeś tego od czasu, kiedy cię Rakel rzu...

Halvorsen zamknął się, widząc ostrzegawczą minę kolegi.

– Czego chciała ta babka?

– Przekazać ci wiadomość. Nazywa się... – Halvorsen przeszukał żółte samoprzylepne karteczki. – ...Martine Eckhoff.

– Nie znam.

– Korpus Latarnia Morska.

– Aha!

– Powiedziała, że trochę rozpytała. I że nikt nie słyszał, żeby Per Holmen komukolwiek był winien pieniądze.

– Naprawdę? Mmm. Może powinienem do niej zadzwonić, upewnić się, czy nie chodziło o coś jeszcze.

– Pomyślałem o tym, ale kiedy spytałem o jej numer, powiedziała, że nic więcej nie ma do powiedzenia.

– Tak? Okej. No to dobrze.

– Dobrze? To dlaczego wyglądasz, jakby cię ktoś oszukał?

Harry pochylił się po płaszcz, ale zamiast powiesić go na wieszaku, włożył go na siebie.

– Wiesz co, junior? Muszę już iść.

– Ale nadkomisarz...

– ...zaczeka.

Brama do portu kontenerowego była otwarta, ale na ogrodzeniu wisiała tabliczka jasno informująca, że wjazd tu jest wzbroniony, i kierowała na parking na zewnątrz. Harry podrapał się w bolącą

łydkę, rzucił okiem na długi otwarty odcinek między kontenerami i wjechał. Biuro kierownika mieściło się w niskim budynku, wyglądającym jak barak z fabryki systemów modułowych w Moelven, do którego dobudowywano coś regularnie przez ostatnich trzydzieści lat. Nie było to dalekie od prawdy. Harry zaparkował przed wejściem, a pozostałe metry dzielące go od budynku pokonał szybkim krokiem.

Kierownik siedział w milczeniu, odchylony na krześle, z rękami założonymi za głowę i żuł zapałkę, gdy Harry wyjaśniał mu, po co przyszedł. I co się wydarzyło poprzedniego wieczoru.

W twarzy kierownika poruszyła się jedynie zapałka, ale Harry'emu wydało się, że dostrzega cień uśmiechu, gdy opowiadał o siłowaniu się z psem.

– Czarny metzner – powiedział kierownik. – Kuzyn rhodesian ridgebacka. Ledwie udało mi się go sprowadzić. Cholernie dobry pies do stróżowania. No i taki cichy.

– Zauważyłem.

Zapałka podskoczyła wesoło.

– Metzner to myśliwy, więc się podkrada. Nie chce wystraszyć zwierzyny.

– Chce pan powiedzieć, że to zwierzę planowało mnie... hm... zjeść?

– No, nie tak od razu zjeść.

Kierownik nie zagłębiał się w wyjaśnienia, patrzył tylko na Harry'ego obojętnie. Splecione dłonie obejmowały całą głowę, a Harry pomyślał, że ten człowiek musi mieć albo niezwykle duże ręce, albo niezwykle małą głowę.

– Więc ani nie widzieliście, ani nie słyszeliście nic w tym okresie, w którym, jak przypuszczamy, zastrzelono Pera Holmena?

– Zastrzelono?

– Sam się zastrzelił. Nic?

– Strażnicy zimą siedzą w środku, a metzner jest, jak już mówiłem, cichy.

– To chyba niepraktyczne? Mam na myśli to, że nie podnosi alarmu.

Kierownik wzruszył ramionami.

– Robi swoją robotę, a my nie musimy wychodzić.

– Nie zauważył Pera Holmena, jak się tu dostawał.

– To duży obszar.

– Ale później.

– Ma pan na myśli zwłoki? No cóż. Były głęboko zamrożone. A metznera nie interesuje padlina. On łapie żywą zwierzynę.

Harry'ego przeszedł dreszcz.

– W protokole policyjnym napisano, że pan nigdy wcześniej nie widział tu Pera Holmena.

– Zgadza się.

– Właśnie byłem u jego matki, pożyczyłem rodzinną fotografię. – Harry położył zdjęcie na biurku. – Może się pan jej przyjrzeć i z całą pewnością stwierdzić, że nigdy wcześniej nie widział pan tej osoby?

Kierownik spuścił wzrok. Przesunął zapałkę w kącik ust, żeby odpowiedzieć, ale się powstrzymał. Ręce zniknęły zza głowy, podniósł zdjęcie. Długo się mu przyglądał.

– Najwyraźniej się pomyliłem. Widziałem go. Był tu latem. Niełatwo było rozpoznać... to, co leżało w kontenerze.

– Rozumiem.

Kiedy Harry parę minut później stanął w drzwiach, żeby wyjść, uchylił je najpierw lekko i wyjrzał na zewnątrz. Kierownik się roześmiał.

– W ciągu dnia jest zamknięty. A poza tym zęby metznera są cienkie. Rana szybko się goi. Zastanawiałem się, czy nie kupić

kentucky terriera. On ma haczykowate zęby. Wyrywa kawałki ciała. Miał pan szczęście, komisarzu.

– No dobrze – odparł Harry. – Niech pan uprzedzi tego cerbera, że wkrótce odwiedzi go pewna dama i da mu do zgryzienia coś innego.

– A co? – spytał Halvorsen, ostrożnie wymijając samochodem pług śnieżny.

– Coś miękkiego – wyjaśnił Harry. – Coś w rodzaju gliny. Później Beate i jej ludzie obłożą tę glinę gipsem, a jak stwardnieje, to pstryk i masz model psiej szczęki.

– Aha. I to ma być wystarczający dowód na to, że Per Holmen został zabity przez kogoś innego?

– Nie.

– Wydawało mi się, że powiedziałeś...

– Powiedziałem, że tego mi potrzeba, żeby udowodnić, że to było jednak zabójstwo. *The missing link* w łańcuchu dowodów.

– Aha. A jakie są te inne ogniwa?

– Zwyczajne. Motyw, narzędzie zbrodni i sposobność. To tu, na prawo.

– Nie rozumiem. Mówiłeś, że podejrzenie opierasz na sposobie, w jaki Per Holmen przedostał się na teren portu kontenerowego, przy użyciu obcęgów.

– Powiedziałem, że to mnie zdumiało, a mówiąc konkretniej, że heroinista, z którym jest aż tak źle, że musi szukać schronienia w kontenerze, okazuje się jednocześnie na tyle przytomny, że załatwia sobie narzędzie, by przedostać się przez bramę. Dlatego przyjrzałem się tej sprawie bliżej. Zaparkuj tutaj.

– Nie rozumiem, jak możesz twierdzić, że wiesz, kto jest sprawcą.

– Zastanów się, Halvorsen. To nie jest takie trudne. Znasz wszystkie fakty.

– Nie cierpię, kiedy tak robisz.

– Po prostu chcę, żebyś był dobry.

Halvorsen zerknął na starszego kolegę, sprawdzając, czy ten żartuje. Wysiedli z samochodu.

– Nie zamykasz? – spytał Harry.

– Zamek w nocy zamarzł. Rano złamałem kluczyk. Od jak dawna wiesz, kto jest sprawcą?

– Od jakiegoś czasu.

Przeszli przez ulicę.

– Dowiedzieć się kto, to z reguły najłatwiejszy etap. Zazwyczaj oczywisty kandydat. Mąż. Najlepszy przyjaciel. Facet z zafajdaną kartoteką. I nigdy lokaj. Nie to jest problemem. Problemem jest udowodnienie tego, co od dawna mówią ci i brzuch, i głowa. – Harry wcisnął guzik przy nazwisku Holmen. – I to właśnie teraz zrobimy. Zdobędziemy ten maleńki kawałeczek, który zmieni pozornie oderwane informacje w idealny łańcuch dowodów.

W głośniku rozległo się trzeszczące „Słucham".

– Harry Hole z policji. Czy możemy...

Rozległ się brzęczyk.

– I ważne jest, żeby działać szybko – ciągnął Harry. – Większość spraw związanych z zabójstwem rozwiązuje się albo w ciągu dwudziestu czterech godzin, albo nigdy.

– Dziękuję, to już słyszałem – westchnął Halvorsen.

Birger Holmen czekał na nich na szczycie schodów.

– Proszę – powiedział, idąc przodem do salonu.

Przy portfenetrze stała naga choinka czekająca na ubranie.

– Żona odpoczywa – oznajmił, zanim zdążyli o nią spytać.

– Będziemy mówić cicho – powiedział Harry.

Birger Holmen uśmiechnął się ze smutkiem.

– Ona się raczej nie obudzi.

Halvorsen od razu zerknął na Harry'ego.

– Mhm – mruknął komisarz. – Pewnie wzięła coś na uspokojenie.

Birger Holmen kiwnął głową.

– Jutro pogrzeb.

– Tak, to oczywiście wielkie przeżycie. No cóż, dziękuję, że państwo mi to pożyczyli. – Harry położył na stole zdjęcie. Był na nim Per Holmen. Siedział, rodzice stali po jego bokach. Chronili go. Albo, w zależności od tego, jak się na to spojrzy, okrążali. Zapadła cisza, bo nikt się nie odzywał. Birger Holmen przez koszulę drapał się w przedramię. Halvorsen przesunął się bardziej w przód na krześle, potem w tył.

– Czy pan dużo wie o uzależnieniu od narkotyków, panie Holmen? – spytał Harry, nie podnosząc oczu.

Birger Holmen zmarszczył czoło.

– Moja żona wzięła tylko proszek na sen, to nie oznacza...

– Ja nie mówię o pańskiej żonie. Ją być może zdoła pan uratować. Mówię o pańskim synu.

– No cóż, czy coś wiem? Był uzależniony od heroiny, a przez to nieszczęśliwy. – Wyraźnie chciał powiedzieć coś więcej, ale zrezygnował. Zapatrzył się w zdjęcie na stole. – Wszyscy byliśmy przez to nieszczęśliwi.

– W to nie wątpię. Ale gdyby pan wiedział coś o nałogu, to miałby pan świadomość, że narkotyk jest najważniejszy.

W głosie Birgera Holmena dała się słyszeć uraza:

– Twierdzi pan, że o tym nie wiem, komisarzu? Twierdzi pan... Moja żona została... on... – Do głosu zakradły się łzy. – ...rodzona matka...

– Wiem – powiedział Harry cicho. – Ale nałóg jest ważniejszy od matek. Od ojców. Od życia. – Harry nabrał powietrza. – I od śmierci.

– Jestem zmęczony, komisarzu. Do czego pan zmierza?

– Badanie krwi wykazało, że pański syn w chwili śmierci był czysty. A to znaczy, że źle się czuł. Kiedy heroinista źle się czuje, to potrzeba wybawienia jest tak silna, że stać go na to, by grozić rodzonej matce pistoletem, byle tylko osiągnąć wybawienie. A wybawieniem nie jest strzał w głowę, tylko w rękę, w szyję, w pachwinę czy w jakiekolwiek inne miejsce, gdzie się ma zdrową żyłę. Pańskiego syna znaleziono ze sprzętem i z torebką heroiny w kieszeni, panie Holmen. On nie mógł się zastrzelić. Narkotyk, jak już mówiłem, jest ważniejszy od wszystkiego, również...

– ...od śmierci. – Birger Holmen podpierał głowę dłońmi, ale głos miał wyraźny. – Chce pan powiedzieć, że mój syn został zabity? Dlaczego?

– Odpowiedź miałem nadzieję uzyskać od pana.

Birger Holmen nic nie powiedział.

– Dlatego, że jej groził? Dlatego, żeby żona miała wreszcie spokój?

Holmen podniósł głowę.

– O czym pan mówi?

– Przypuszczam, że kręcił się pan po Plata i czekał. A kiedy on się zjawił i kupił działkę, poszedł pan za nim. Zabrał go pan do portu kontenerowego, bo czasami Per tam chodził, kiedy nie miał już żadnego innego miejsca, w którym mógłby się schronić.

– A co ja mogę o tym wiedzieć? To niesłychane, żeby...

– Oczywiście, że pan o tym wiedział. Pokazałem to zdjęcie kierownikowi portu. Rozpoznał osobę, o którą pytałem.

– Pera?

– Nie, pana. Był pan tam latem i prosił, by pozwolono panu poszukać syna w pustych kontenerach.

Holmen wpatrywał się w Harry'ego.

– Zaplanował pan to bardzo dokładnie. Obcęgi, żeby dostać się do środka. Pusty kontener, odpowiednie miejsce na to, by narkoman zakończył w nim życie, a poza tym nikt nie mógł usłyszeć ani zobaczyć, jak pan do niego strzela. Z pistoletu należącego do Pera, co mogła, jak pan wiedział, potwierdzić jego matka.

Halvorsen obserwował Birgera Holmena, czekając w pogotowiu, ale Holmen nawet nie próbował nic robić. Ciężko oddychał przez nos i tylko drapał się w przedramię, patrząc przed siebie pustym wzrokiem.

– Nic pan nie zdoła udowodnić.

Powiedział to zrezygnowanym tonem, jak gdyby za coś przepraszał.

Harry machnął ręką. W ciszy, która zapadła, usłyszeli wesołe pobrzękiwanie dzwonków, dobiegające z ulicy.

– To swędzenie nie chce ustąpić, prawda? – spytał nagle Harry.

Holmen natychmiast przestał się drapać.

– Możemy zobaczyć, co tak swędzi?

– Nic.

– Możemy to zrobić tu albo na komendzie. Wybór należy do pana.

Dzwonki dzwoniły coraz intensywniej. Sanie w środku miasta? Halvorsen miał wrażenie, że coś zaraz wybuchnie.

– Dobrze – szepnął Holmen, rozpiął guzik przy mankiecie i podsunął rękaw do góry.

Na białym owłosionym przedramieniu widniały dwie małe zasklepione ranki. Skóra wokół nich się zaogniła.

– Proszę odwrócić rękę – nakazał Harry.

Na spodniej stronie przedramienia Holmen miał identyczną rankę.

– Takie ugryzienie cholernie swędzi, prawda? Szczególnie po mniej więcej dwóch tygodniach, kiedy wreszcie zaczyna się goić. Lekarz w pogotowiu mi powiedział, że muszę się starać tego nie drapać. Pan też nie powinien, panie Holmen.

Birger Holmen pustym wzrokiem wpatrywał się w swoje ranki.

– Nie powinienem?

– Trzy otwory w skórze. Mając model szczęki, możemy udowodnić, że ugryzł pana konkretny pies z portu kontenerowego. Mam nadzieję, że jakoś mu się pan odpłacił.

Holmen pokręcił głową.

– Nie chciałem... Pragnąłem ją tylko uwolnić.

Dzwonki na ulicy nagle ucichły.

– Przyzna się pan? – spytał Harry, dając sygnał Halvorsenowi, który natychmiast sięgnął do wewnętrznej kieszonki, ale nie znalazł ani długopisu, ani kartki. Harry przewrócił oczami i położył przed nim własny notatnik.

– Mówił, że jest taki zmęczony. Że nie ma już więcej siły. Że naprawdę chce z tym zerwać. Znalazłem dla niego miejsce w Schronisku, tym ośrodku Armii Zbawienia. Łóżko i trzy posiłki dziennie za tysiąc dwieście koron miesięcznie. Obiecali też, że włączą go do tego projektu z metadonem. Mowa była tylko o paru miesiącach czekania. Ale potem nie miałem od niego żadnej wiadomości, więc zadzwoniłem do Schroniska. Powiedzieli, że zniknął, nie płacąc czynszu i... i znów się tu pojawił. Z pistoletem.

– I wtedy podjął pan decyzję?

– On był stracony. Ja już straciłem syna. Nie mogłem pozwolić, żeby i ją pociągnął za sobą.

– Jak go pan znalazł?

– Wcale nie na Plata. Znalazłem go koło Eika i powiedziałem, że chcę od niego kupić ten pistolet. Miał go przy sobie. Pokazał mi.

Chciał pieniądze od razu. Ale ja oświadczyłem, że tyle nie mam i żeby się ze mną spotkał następnego dnia wieczorem przy bramie na tyłach portu kontenerowego. Wiecie, właściwie cieszę się, że wy... ja...

– Ile? – przerwał mu Harry.

– Co?

– Ile pan miał zapłacić?

– Piętnaście tysięcy koron.

– I...

– Przyszedł. Okazało się, że nie ma nabojów do tej broni. Twierdził, że nigdy ich nie miał.

– Ale pan zapewne to przewidział, to przecież standardowy kaliber, więc je pan wcześniej załatwił?

– Tak.

– Zapłacił mu pan najpierw?

– Co?

– Nic ważnego.

– Zrozumcie, nie tylko Pernille i ja cierpieliśmy. Dla Pera każdy dzień był jedynie przedłużeniem cierpienia. Mój syn był martwym człowiekiem, który czekał wyłącznie na to... na to, żeby ktoś zatrzymał to jego serce, które nie chciało przestać bić. Na... na...

– Na wybawiciela?

– No właśnie, na wybawiciela.

– Ale to nie pana sprawa, Holmen.

– Nie. To sprawa dla Boga. – Holmen spuścił głowę, mrucząc coś.

– Słucham? – spytał Harry.

Holmen uniósł głowę, ale na nic nie patrzył, kiedy mówił:

– Ale kiedy Bóg nie robi swojej roboty, musi się nią zająć ktoś inny.

Na ulicy brunatny zmrok otoczył żółte światła. Kiedy spadł śnieg, w Oslo nawet w środku nocy nie było nigdy całkiem ciemno. Dźwięki wydawały się owinięte w watę, a skrzypienie śniegu pod butami brzmiało jak odległe fajerwerki.

– Dlaczego od razu go nie zabierzemy? – spytał Halvorsen.

– On się nigdzie nie wybiera. Musi najpierw powiedzieć coś żonie. Przyślemy samochód za jakieś dwie godziny.

– Niezły z niego aktor.

– Co?

– A czy nie wypłakiwał wnętrzności, kiedy przyniosłeś mu wiadomość o śmierci syna?

Harry z rezygnacją pokręcił głową.

– Wiele się jeszcze musisz nauczyć, junior.

Halvorsen z irytacją kopnął w śnieg.

– No to oświeć mnie, mędrcze!

– Popełnienie zabójstwa jest działaniem tak ekstremalnym, że wiele osób wypiera je ze świadomości. Mogą z tym żyć jak z czymś w rodzaju na poły zapomnianego koszmaru. Już nieraz to widziałem. Dopiero kiedy ktoś inny powie o tym głośno, uświadamiają sobie, że to się wydarzyło naprawdę, a nie tylko istnieje w ich głowie.

– Aha. W każdym razie to zimna ryba.

– Nie widziałeś, że ten człowiek był załamany? Pernille Holmen przypuszczalnie miała rację, mówiąc, że z nich dwojga to Birger ma więcej serca.

– Serca? Zabójca? – Głos Halvorsena aż się zaostrzył z oburzenia.

Harry położył rękę na ramieniu sierżanta.

– Zastanów się. Czy to nie jest ostateczny akt miłości, jaki można ofiarować jedynemu synowi?

– Ale...

– Wiem, co myślisz, Halvorsen. Ale musisz się przyzwyczaić, że właśnie tego rodzaju paradoksy moralne będą wypełniać ci dni.

Halvorsen szarpnął za niezamknięte na klucz drzwiczki, ale przymarzły. Ogarnięty nagłą wściekłością szarpał za nie, dopóki z ostrym chrzęstem nie odkleiły się od gumy na karoserii.

Wsiedli. Harry przyglądał się Halvorsenowi, który obracał kluczyk, drugą ręką pstrykając sobie w czoło. Silnik zaskoczył z wyciem.

– Halvorsen... – zaczął Harry.

– Tak czy owak, sprawa jest rozwiązana i nowy nadkomisarz na pewno się ucieszy – powiedział Halvorsen głośno i zjechał na ulicę tuż przed nosem trąbiącej ciężarówki. Podniósł do lusterka wyprostowany środkowy palec. – Więc uczcijmy to z uśmiechem. – Opuścił rękę i dalej pstrykał się w czoło.

– Halvorsen...

– O co chodzi? – warknął.

– Zjedź na bok.

– Co?

– Zjedź.

Halvorsen podjechał pod krawężnik, puścił kierownicę, ale dalej wpatrywał się przed siebie. Podczas ich pobytu u Holmena lodowe róże zdążyły obrosnąć szybę od środka niczym błyskawicznie atakujący grzyb. Halvorsen oddychał ciężko, pierś wyraźnie mu się podnosiła i opadała.

– Bywają dni, kiedy ta praca to prawdziwe babranie się w gównie – powiedział Harry. – Nie daj się temu złamać.

– Nie dam.

– Ty to ty, a oni to oni.

– Wiem.

Harry położył Halvorsenowi rękę na plecach i czekał. Po chwili poczuł, że kolega się uspokaja.

– Twardziel – stwierdził Harry.

Żaden już więcej się nie odezwał, gdy samochód z wysiłkiem przedzierał się przez popołudniowe korki, sunąc w stronę Grønland.

7 WTOREK, 15 GRUDNIA. ANONIMOWOŚĆ

Stał w najwyższym punkcie najbardziej ruchliwego ze wszystkich deptaków w Oslo, ulicy nazwanej imieniem szwedzko-norweskiego króla Karla Johana. Nauczył się na pamięć planu miasta, który dostał w hotelu, i wiedział, że budynek na zachodzie to Zamek Królewski, a na wschodnim krańcu ulicy znajduje się Dworzec Centralny Oslo.

Zadrżał z zimna.

Wysoko na ścianie kamienicy stopnie mrozu świeciły czerwonym neonowym blaskiem, a każde najmniejsze drgnienie powietrza wydawało się epoką lodowcową, wdzierającą się pod płaszcz z wielbłądziej wełny, z którego do tej pory był bardzo zadowolony, szczególnie że kupił go w Londynie za wyjątkowo niską cenę.

Zegar obok stopni mrozu wskazywał tysiąc dziewięćset. Ruszył na wschód. Wyglądało to nieźle. Ciemno, dużo ludzi, a jedyne kamery, jakie zauważył, umieszczone były na dwóch bankach i skierowane na należące do nich bankomaty. Kolejkę podziemną już wykluczył jako możliwość odwrotu z uwagi na kombinację dużej liczby kamer monitoringu i niewielkiej liczby ludzi. Oslo okazało się mniejsze, niż przypuszczał.

Wszedł do sklepu z odzieżą. Znalazł niebieską czapkę za czterdzieści dziewięć koron i wełniany sweter za dwieście, ale zmienił zdanie na widok cienkiej kurtki przeciwdeszczowej za sto

dwadzieścia. Kiedy ją wkładał w przymierzalni, odkrył, że w kieszeni marynarki wciąż leżą odświeżające tabletki do pisuaru, jeszcze z Paryża, teraz w stanie sproszkowanym i częściowo wtartym w materiał.

Restauracja znajdowała się sto metrów dalej na tym deptaku, po lewej stronie. Przede wszystkim, stwierdził, jest w niej samoobsługowa szatnia. Świetnie, to wiele upraszczało. Wszedł do restauracji. Pustawo. I przejrzyście, z miejsca, w którym stał, widział wszystkie stoliki. Kiedy podszedł do niego kelner, zamówił stolik przy oknie na szóstą na następny dzień.

Przed opuszczeniem restauracji sprawdził jeszcze toaletę. Nie miała okien. Jedyne inne wyjście prowadziło więc przez kuchnię. No i dobrze. Nie ma miejsc idealnych. Zresztą bardzo mało prawdopodobne, by potrzebował alternatywnej drogi ucieczki.

Po wyjściu na ulicę spojrzał na zegarek i ruszył w stronę dworca. Ludzie patrzyli w dół i w bok. Nieduże miasto, ale pełne chłodnego dystansu metropolii. Świetnie.

Ponownie spojrzał na zegarek, stanąwszy na peronie szybkiej kolei na lotnisko. Sześć minut piechotą od restauracji. Pociąg odjeżdżał co dziesięć minut i jechał dziewiętnaście. Mógł więc być w pociągu o dziewiętnastej dwadzieścia, a na lotnisku o dziewiętnastej czterdzieści. Bezpośredni samolot do Zagrzebia odlatywał o dwudziestej pierwszej dziesięć, a bilet miał w kieszeni. W promocyjnej cenie SAS-u.

Zadowolony zszedł po schodach z nowego terminalu pod szklany dach, będący najwyraźniej starą halą odjazdów, teraz pełną sklepów, i wyszedł na otwarty plac. Jernbanetorget. Plac Dworcowy. Tak było napisane na planie miasta. Na środku placu, między szynami tramwajowymi, samochodami i ludźmi, skamieniał w pół kroku dwa razy większy od normalnego tygrys. Nigdzie

jednak nie było widać automatów telefonicznych, o których mówiła recepcjonistka. Na końcu placu przy jakiejś wiacie stała grupka ludzi. Podszedł bliżej. Nachylali do siebie głowy w kapturach, o czymś rozmawiając. Może wszyscy przyjechali z tego samego miejsca, może byli sąsiadami i czekali na ten sam autobus? Ale przypominali mu o czymś innym. Zauważył, że jakieś przedmioty przechodzą z rąk do rąk, po czym chudzi mężczyźni odchodzą zgięci wpół dla ochrony przed lodowatym wiatrem. Zrozumiał wtedy, co to jest. Widział, jak się sprzedaje heroinę, i w Zagrzebiu, i w innych miastach Europy. Ale nigdzie tak otwarcie jak tutaj. W końcu uświadomił sobie, co przypomina mu ten widok. Grupki ludzi, w których sam stał po odejściu Serbów. Uchodźców.

Autobus jednak przyjechał. Był biały i zatrzymał się w pewnej odległości od wiaty. Drzwi się otworzyły, ale nikt nie wsiadł. Wysiadła natomiast dziewczyna w mundurze, który od razu rozpoznał. Armia Zbawienia. Zwolnił kroku.

Dziewczyna podeszła do jednej z kobiet i pomogła jej wsiąść do autobusu. Za nią poszło dwóch mężczyzn.

Zatrzymał się i patrzył. Przypadek, pomyślał. Nic więcej. Odwrócił się. I nagle na ścianie wieżyczki z dzwonkami ujrzał trzy automaty telefoniczne.

Pięć minut później dzwonił już do Zagrzebia i mówił jej, że wszystko wydaje się w porządku.

– Ostatnia robota – powtórzyła.

A Fred powiedział, że na stadionie Maksimir prowadzą jego niebieskie lwy, Dynamo Zagrzeb, jeden zero z Rijeką do przerwy.

Rozmowa kosztowała pięć koron. Zegar na wieży wskazywał dziewiętnastą dwadzieścia pięć. Odliczanie już się zaczęło.

Grupa spotykała się w domu parafialnym przy kościele Vestre Aker.

Żwirową drogę prowadzącą do niewielkiego murowanego domku na zboczu obok cmentarza obramowywały z obu stron wysokie zaspy odrzuconego śniegu. W nieprzytulnej sali, w której pod ścianami ustawiono słupy plastikowych krzeseł, przy długim stole na środku siedziało czternaście osób. Ktoś, kto trafiłby tu przypadkiem, uznałby może, że to zebranie członków spółdzielni mieszkaniowej, ale tak naprawdę nic w twarzach, wieku, płci czy ubraniu nie zdradzało, co to za rodzaj wspólnoty. Ostre światło odbijało się w szybach i w pokrywającym podłogę linoleum. Pomrukiwano pod nosem i obracano w palcach tekturowe kubki. Gdzieś syknęła otwierana butelka wody mineralnej.

Dokładnie o dziewiętnastej na końcu stołu uniosła się ręka i zadzwoniła małym dzwoneczkiem, a wszystkie rozmowy ucichły. Oczy zebranych skierowały się na mniej więcej trzydziestopięcioletnią kobietę. Odpowiedziała bezpośrednim, śmiałym spojrzeniem. Miała wąskie, surowe wargi, którym nieco łagodności dodała szminka, długie, gęste, jasne włosy, spięte prostą spinką i duże dłonie spoczywające teraz spokojnie i pewnie na blacie. Kobieta była, jak to się mówi, przystojna, co oznacza piękne rysy, ale bez wdzięku kwalifikującego do określenia „słodka". Mowa jej ciała świadczyła o opanowaniu i sile, podkreślonych jeszcze przez mocny głos, który moment później wypełnił zimne pomieszczenie:

– Cześć, mam na imię Astrid i jestem alkoholiczką.

– Cześć, Astrid – odpowiedzieli zebrani chórem.

Astrid nachyliła się nad rozłożoną książką i zaczęła czytać:

– „Jedynym warunkiem uczestnictwa we wspólnocie jest chęć zaprzestania picia" – podjęła, a wokół stołu poruszyły się wargi tych, którzy Dwanaście Tradycji Anonimowych Alkoholików znali

na pamięć. W przerwach na nabranie oddechu słychać było śpiew chóru parafialnego ćwiczącego piętro wyżej.

– Tematem dzisiejszego mityngu jest Krok Pierwszy – powiedziała Astrid – który brzmi następująco: „Przyznaliśmy, że jesteśmy bezsilni wobec alkoholu, że przestaliśmy kierować własnym życiem". Mogę zacząć, ale będę mówić krótko, bo uważam, że już się uporałam z Krokiem Pierwszym.

Odetchnęła, uśmiechając się krzywo.

– Żyję w trzeźwości od siedmiu lat, ale codziennie zaraz po przebudzeniu mówię sobie, że jestem alkoholiczką. Moje dzieci o niczym nie wiedzą. Sądzą jedynie, że mama bardzo łatwo się upijała, a przestała pić dlatego, że po wypiciu wpadała w złość. W moim życiu dla utrzymania równowagi potrzebna jest odpowiednia dawka prawdy i odpowiednia dawka kłamstwa. Może się okazać, że wszystkie moje wysiłki zdadzą się psu na budę, ale staram się przeżywać każdy dzień z osobna, unikam pierwszego kieliszka i obecnie pracuję nad Krokiem Jedenastym.

– Dziękujemy, Astrid – padło od zgromadzonych, po czym nastąpiły oklaski. Na piętrze chór chwalił Pana.

Astrid skinęła głową wysokiemu mężczyźnie o jasnych, krótko obciętych włosach, siedzącemu na lewo od niej.

– Cześć, mam na imię Harry – powiedział mężczyzna trochę niewyraźnie. Delikatna siateczka czerwonych żyłek na dużym nosie świadczyła o długim życiu poza szeregami trzeźwych. – Jestem alkoholikiem.

– Cześć, Harry.

– Jestem tu świeży. To mój szósty mityng. Albo siódmy. I jeszcze się nie uporałem z Krokiem Pierwszym. To znaczy wiem, że jestem alkoholikiem, ale wydaje mi się, że potrafię nad tym zapanować. Jest więc pewna sprzeczność w tym, że teraz tu siedzę. Ale

przyszedłem tu, ponieważ dałem słowo pewnemu psychologowi, przyjacielowi, który mi dobrze życzy. Twierdził, że jeśli tylko uda mi się wytrzymać gadanie o Bogu i duchowości w pierwszych tygodniach, to odkryję, że to działa. No cóż, nie wiem, czy anonimowi alkoholicy mogą sami sobie pomóc, ale jestem skłonny spróbować. Dlaczego nie?

Odwrócił się w lewo, sygnalizując, że skończył. Zanim jednak oklaski na dobre się rozległy, przerwała je Astrid.

– Chyba pierwszy raz się odezwałeś na naszych mityngach, Harry. To miłe. Ale może opowiesz nam coś więcej, skoro już zacząłeś?

Harry popatrzył na nią zdumiony. Pozostali również, ponieważ wywieranie nacisku na kogokolwiek w grupie było oczywistym złamaniem zasad.

Astrid wytrzymała jego spojrzenie. Czuł je na sobie podczas wcześniejszych spotkań, lecz odpowiedział tylko raz. W zamian zmierzył ją wtedy wzrokiem od stóp do głów i w drugą stronę. Nawet spodobało mu się to, co zobaczył, ale najbardziej był zadowolony, kiedy wrócił do głów i spostrzegł, że jej twarz jest wyraźnie czerwona. A na następnym spotkaniu zachowywała się, jakby był powietrzem.

– Nie, dziękuję.

Nieśmiały aplauz.

Gdy głos zabrała kolejna osoba, Harry obserwował Astrid kątem oka.

Po spotkaniu spytała go, gdzie mieszka, i zaproponowała, że podrzuci go do domu samochodem. Harry wahał się, słuchając chóru uporczywie wielbiącego Pana piętro wyżej.

Półtorej godziny później w milczeniu palili papierosy, patrząc, jak dym barwi sypialnię na niebiesko. Wilgotne prześcieradło w wąskim łóżku Harry'ego wciąż było ciepłe, ale panujący

w pokoju chłód skłonił Astrid do podciągnięcia cienkiej białej kołdry aż pod brodę.

– Było cudownie – powiedziała.

Harry nie odpowiedział. Uznał, że to może nie jest pytanie.

– Doszłam. I to za naszym pierwszym razem. To nie jest...

– A więc twój mąż jest lekarzem? – przerwał jej Harry.

– Pytasz już drugi raz, a odpowiedź ciągle brzmi: tak.

Pokiwał głową.

– Słyszysz ten dźwięk?

– Jaki dźwięk?

– Cykanie. To twój zegarek?

– Ja nie mam zegarka, to musi być twój.

– Mam elektroniczny, on nie cyka.

Położyła mu dłoń na biodrze. Harry wysunął się z łóżka. Lodowate linoleum aż zapiekło w podeszwy stóp.

– Chcesz szklankę wody?

– Mhm.

Poszedł do łazienki i kiedy woda popłynęła z kranu, przejrzał się w lustrze. Co ona takiego powiedziała? Że widzi samotność w jego spojrzeniu? Nachylił się, ale nie zobaczył nic oprócz niebieskich tęczówek wokół maleńkich źrenic i delty naczyń krwionośnych na białkach. Kiedy Halvorsen pojął, że z Rakel wszystko skończone, powiedział, że Harry powinien się pocieszyć innymi kobietami, czy jak poetycznie się wyraził, wybzykać z siebie melancholię. Ale Harry nie miał na to ani sił, ani ochoty. Wiedział, że każda kobieta, którą tknie, zmieni się w Rakel. A on potrzebował zapomnienia. Pozbycia się jej z krwi, a nie kuracji metadonem miłości.

Ale to może on się pomylił, a Halvorsen miał rację. Bo to było przyjemne. Naprawdę było cudownie. I zamiast pustego uczucia, że próbował uciszyć pożądanie, zaspokajając kogoś innego, czuł się

naładowany. A jednocześnie odprężony. Ona się nim poczęstowała. A jemu spodobał się sposób, w jaki to zrobiła. Może to rzeczywiście mogło być tak proste również w jego wypadku?

Zrobił krok w tył i obejrzał w lustrze swoje ciało. Schudł w ciągu ostatniego roku. Miał mniej tłuszczu, ale też i mniej mięśni. Zaczynał przypominać swego ojca. Chyba nic dziwnego.

Wrócił do łóżka z dużą półlitrową szklanką wody, z której pili wspólnie. Później Astrid przytuliła się do niego. Początkowo skórę miała lepką i zimną, ale po chwili zaczęła go ogrzewać.

– Teraz możesz mi opowiedzieć.

– O czym? – Harry obserwował dym układający się w kształt litery.

– Jak ona miała na imię? No bo jest jakaś ona, prawda?

Litera się rozwiała.

– To właśnie z jej powodu do nas przyszedłeś.

– Może i tak. – Harry patrzył, jak żar powoli zjada papierosa, podczas gdy on opowiadał. Najpierw trochę. Kobieta obok niego była obca, panowała ciemność, słowa wznosiły się i rozwiewały, a on myślał, że tak musi być przy konfesjonale. Wyrzucanie z siebie. Albo dzielenie się, jak nazywali to w AA. Opowiadał zatem więcej. Opowiadał o Rakel, która przed rokiem wyrzuciła go z domu, bo uznała, że myśl o dopadnięciu kreta działającego w policji, Księcia, dosłownie go opętała. I o Olegu, jej synu, który został porwany z pokoju dziecinnego i wykorzystany jako zakładnik, kiedy Harry wreszcie znalazł się w odległości strzału od Księcia. Oleg sobie z tym poradził, zważywszy na okoliczności porwania i to, że był świadkiem uśmiercenia porywacza przez Harry'ego w windzie na Kampen. Gorzej było z Rakel. Dwa tygodnie po porwaniu, kiedy poznała wszystkie szczegóły, oświadczyła,

że dla Harry'ego nie ma już miejsca w jej życiu, a raczej w życiu Olega.

Astrid pokiwała głową.

– Odeszła z powodu ran, które im zadałeś?

Harry pokręcił głową.

– Z powodu ran, których im nie zadałem. Jeszcze.

– Jak to?

– Powiedziałem, że sprawa jest zakończona, ale ona stwierdziła, że jestem opętany. Że to się nigdy nie skończy, dopóki oni wciąż istnieją. – Harry zgasił papierosa w popielniczce na nocnym stoliku. – A jeśli nie oni, to znajdę sobie kogoś nowego. Jakichś innych, którzy będą mogli skrzywdzić ją i jej syna. Powiedziała, że nie jest w stanie udźwignąć takiej odpowiedzialności.

– Brzmi to tak, jakby to ona była opętana.

– Nie – uśmiechnął się Harry. – Ona ma rację.

– Tak? Zechcesz to jakoś rozwinąć?

Harry wzruszył ramionami.

– Okręt podwodny – zaczął, ale przerwał mu gwałtowny atak kaszlu.

– Co powiedziałeś o okręcie podwodnym?

– To ona powiedziała. Że ja jestem okrętem podwodnym. Schodzę tam, gdzie jest ciemno, zimno i nie można oddychać. A na powierzchnię wynurzam się raz na dwa miesiące. Nie chciała mi towarzyszyć na dnie. To zrozumiałe.

– Wciąż ją kochasz?

Harry nie był pewien, czy podoba mu się obrót, jaki przybiera ta rozmowa. Odetchnął głęboko. W głowie miał dalszy ciąg ostatniej wymiany zdań z Rakel. Jego własny głos, taki jego ton, jaki zwykle przybierał, kiedy był zły albo się bał: „Okręt podwodny, tak?".

Głos Rakel: „Wiem, że to złe porównanie, ale rozumiesz...".

Harry podnosi ręce do góry.

„Ależ nie, to świetne porównanie. A kim jest ten... ten lekarz? Lotniskowcem?"

„On nie ma z tym nic wspólnego, Harry – jęczy Rakel. – Tu chodzi o ciebie i o mnie. I o Olega".

„Nie zasłaniaj się Olegiem".

„Ja się nie zasłaniam..."

„Wykorzystujesz go jako zakładnika, Rakel..."

„Ja go wykorzystuję jako zakładnika? To ja porwałam Olega i przystawiłam mu pistolet do skroni, żebyś ty zaspokoił swoją żądzę zemsty?"

Żyły na jej szyi wychodzą i krzyczy tak, że aż głos jej brzydnie, staje się głosem jakiejś innej osoby, jej struny głosowe nie są w stanie znieść takiej wściekłości. Harry wychodzi i miękko, prawie bezszelestnie zamyka za sobą drzwi.

Odwrócił się do kobiety leżącej w jego łóżku.

– Tak. Kocham ją. A ty kochasz swojego męża lekarza?

– Tak.

– Więc dlaczego to?

– On mnie nie kocha.

– Mhm. To znaczy, że się mścisz?

Popatrzyła na niego zdziwiona.

– Nie. Jestem po prostu samotna. No i mam ochotę na ciebie. Przypuszczam, że twoje powody są takie same. Chciałbyś, żeby to było bardziej skomplikowane?

– Nie – roześmiał się Harry. – Nie, tak jest dobrze.

– Dlaczego go zabiłeś?

– Kogo?

– A było ich więcej? Tego porywacza.

– To nie jest ważne.

– Może i nie, ale chciałabym usłyszeć, jak opowiadasz... – Wsunęła mu ręce między nogi, przytuliła się do niego i szepnęła mu do ucha. – ...szczegóły.

– Chyba raczej nie.

– Mylisz się.

– No dobrze, ale ja nie lubię...

– Och, przestań! – syknęła zirytowana, mocno ściskając go za członek. W ciemności oczy błysnęły jej twardo. Czym prędzej się uśmiechnęła i dodała głosem słodkim jak cukier: – Zrób to dla mnie.

Za oknem sypialni temperatura nadal spadała, aż dachy na Bislett trzeszczały i śpiewały, gdy Harry opowiadał jej o szczegółach, czując, jak najpierw zesztywniała, potem przyciągnęła rękę do siebie, a wreszcie szepnęła, że wystarczy.

Kiedy wyszła, Harry stanął w sypialni, nasłuchując. Trzeszczenia. I cykania.

W końcu pochylił się nad kurtką, którą rzucił na podłogę razem z resztą ubrania podczas biegu od drzwi wejściowych do sypialni. W kieszeni znalazł źródło dźwięku. Pożegnalny podarunek od Bjarnego Møllera. Błysnęło szkiełko zegarka.

Schował go do szuflady nocnego stolika, ale cykanie towarzyszyło mu przez całą drogę do krainy snów.

Starł nadmiar smaru z elementów broni białym hotelowym ręcznikiem.

Ruch uliczny z zewnątrz docierał do niego pod postacią monotonnego huku, zagłuszającego ustawiony w kącie pokoju mały telewizor, który odbierał tylko trzy kanały z ziarnistym obrazem w języku będącym, jak przypuszczał, norweskim. Dziewczyna z recepcji przyjęła jego marynarkę, obiecując, że będzie wyprana na rano. Układał części broni obok siebie na gazecie. Po oczyszczeniu wszystkich złożył pistolet, wycelował nim w lustro

i nacisnął spust. Rozległo się gładkie kliknięcie. Czuł, jak ruch metalu przenosi się na dłoń i ramię. Suchy strzał. Fałszywa egzekucja.

Właśnie tak próbowali złamać Boba.

W listopadzie 1991 roku po trzech miesiącach nieprzerwanego oblężenia i bombardowań Vukovar wreszcie skapitulował. Z nieba lał się deszcz, gdy Serbowie wmaszerowali do miasta. Wraz z niedobitkami oddziału Boba, liczącymi około osiemdziesięciu śmiertelnie zmęczonych i wygłodzonych chorwackich jeńców wojennych, rozkazano mu stanąć w szeregu na baczność przed ruinami tego, co było kiedyś główną ulicą miasta. Serbowie zapowiedzieli, że nie wolno im nawet drgnąć, a sami schowali się w ogrzewanych namiotach. Deszcz lał z taką siłą, że błoto zaczęło się pienić. Po dwóch godzinach pierwsi zaczęli się przewracać. Kiedy porucznik Boba wystąpił z szeregu, żeby pomóc jednemu z tych, którzy upadli w błoto, z namiotu wyskoczył młody serbski szeregowy, ledwie chłopiec, i strzelił porucznikowi w brzuch. Od tej pory żaden się nie ruszył. Wpatrywali się tylko w deszcz, przesłaniający okoliczne wzgórza, z nadzieją, że porucznik przestanie wreszcie krzyczeć. On sam zaczął płakać, ale usłyszał za plecami głos Boba: „Nie płacz". I przestał.

Minęło popołudnie i zapadł zmierzch, kiedy przyjechał otwarty dżip. Serbowie wybiegli z namiotu i zaczęli salutować. Zrozumiał, że mężczyzna na siedzeniu pasażera to komendant, „Kamień o miękkim głosie", jak go nazywano. Z tyłu siedział cywil z pochyloną głową. Dżip zaparkował tuż przed oddziałem, a ponieważ on stał w pierwszym rzędzie, słyszał, jak komendant każe cywilowi przyjrzeć się jeńcom. Kiedy mężczyzna podniósł głowę, on od razu go rozpoznał. To był jeden z mieszkańców Vukovaru, ojciec chłopaka, który chodził do ich szkoły. Spojrzenie

tego człowieka przesuwało się wzdłuż rzędów, natrafiło na niego, ale nie dostrzegł żadnej reakcji, nie został rozpoznany, spojrzenie powędrowało dalej. Komendant westchnął, wstał w samochodzie i wcale nie miękkim głosem przekrzyczał deszcz:

– Który z was nosi pseudonim „Mały Wybawiciel”?

Żaden z oddziału się nie ruszył.

– *Mali Spasitelj*, boisz się ujawnić? Ty, który wysadziłeś dwanaście naszych czołgów, odebrałeś naszym kobietom mężów, a serbskie dzieci pozbawiłeś ojców?

Czekał.

– Jak nie, to nie. Który z was jest Bobo?

Teraz też żaden się nie ruszył.

Komendant spojrzał na cywila, a ten drżącym palcem wskazał Boba w drugim szeregu.

– Wystąp! – krzyknął Serb.

Bobo podszedł kilka kroków do dżipa i kierowcy, który wysiadł i stał obok pojazdu. Kiedy Bobo stanął na baczność i zasalutował, kierowca strącił mu z głowy czapkę. Wpadła w błoto.

– Po meldunkach radiowych zorientowaliśmy się, że Mały Wybawiciel jest pod twoim dowództwem – powiedział komendant. – Wskaż go!

– Nigdy nie słyszałem o żadnym Wybawicielu – odparł Bobo.

Komendant podniósł pistolet i uderzył. Z nosa Boba popłynęła strużka krwi.

– Szybko, bo nie chcę moknąć, a poza tym obiad czeka.

– Jestem Bobo. Kapitan chorwackiej arm...

Komendant skinieniem głowy dał znak kierowcy, który pociągnął Boba za włosy, odwracając jego twarz w górę, a wtedy deszcz spłukał krew spływającą z nosa i ust, wsiąkającą w czerwoną apaszkę.

– Dureń! – warknął komendant. – Nie ma żadnej armii chorwackiej, sami zdrajcy! Możesz wybrać, czy chcesz zginąć tu i teraz, czy wolisz oszczędzić nam czasu. I tak go znajdziemy.

– A ty i tak nas rozstrzelasz – jęknął Bobo.

– Oczywiście.

– Dlaczego?

Komendant przeładował pistolet. Z rękojeści spadły krople deszczu. Przyłożył lufę do skroni Boba.

– Dlatego, że jestem serbskim oficerem. A mężczyzna musi szanować swoją pracę. Jesteś gotowy na śmierć?

Bobo zacisnął oczy, na rzęsach wisiały mu krople deszczu.

– Gdzie jest Mały Wybawiciel? Liczę do trzech, potem strzelam. Raz...

– Jestem Bobo...

– Dwa!

– ...kapitan armii chorwackiej, ja...

– Trzy!

Nawet wśród ulewnego deszczu suche kliknięcie zabrzmiało jak wybuch.

– O, przepraszam, zapomniałem załadować broń – powiedział komendant.

Kierowca podał mu magazynek. Komendant wsunął go w rękojeść, przeładował i znów podniósł pistolet.

– Ostatnia szansa. Raz!

– Ja... Mój... oddział... jest...

– Dwa!

– ...pierwszy batalion piechoty w... w...

– Trzy.

Kolejny suchy trzask. Z ust cywila na tylnym siedzeniu wydarł się szloch.

– Ho, ho, pusty magazynek! Spróbujemy takiego z błyszczącymi nabojami?

Wymienił magazynek na nowy i przeładował.

– Gdzie jest Mały Wybawiciel? Raz!

Mamrotanie Boba:

– *Oče naš...*

– Dwa!

Niebiosa się otworzyły, deszcz runął z rykiem, jak gdyby podejmował rozpaczliwą próbę powstrzymania ludzi, a widok Boba sprawił, że on sam nie był w stanie dłużej tego wytrzymać. Już otworzył usta, żeby krzyknąć, że to on, to on jest Małym Wybawicielem, to o niego im chodzi, a nie o Boba, o niego, mogą dostać jego krew. Ale w tym momencie spojrzenie Boba prześlizgnęło się po nim i ujrzał w nim oszalałą, błagalną prośbę. Zobaczył, że Bobo kręci głową. I zaraz postacią dowódcy szarpnęło, gdy kula przecięła połączenie ciała z duszą. Spojrzenie zgasło, kiedy z oczu uszło życie.

– Ty! – krzyknął komendant, wskazując na innego z mężczyzn w pierwszym szeregu. – Kolej na ciebie! Podejdź tutaj!

W tej samej chwili przybiegł młody serbski żołnierz, ten, który zabił porucznika.

– Strzelają koło szpitala – oznajmił.

Komendant zaklął i skinął na kierowcę. Moment później silnik zawył z rykiem i dżip zniknął w zmierzchu. A przecież Serbowie nie mieli o co się niepokoić. W szpitalu nie było żadnego Chorwata, który mógłby strzelać. Nie mieli broni.

Zostawili Boba leżącego z twarzą w czarnym błocie. Ale kiedy zrobiło się tak ciemno, że Serbowie w namiocie nie mogli ich już widzieć, on wystąpił z szeregu, nachylił się nad martwym kapitanem, rozwiązał węzeł i ściągnął mu z szyi jedwabną apaszkę.

8 ŚRODA, 16 GRUDNIA. POSIŁEK

Dochodziła ósma rano, a dzień, który w Oslo miał być najzimniejszym szesnastym grudnia od dwudziestu czterech lat, wciąż jeszcze był ciemny jak noc. Harry opuścił Budynek Policji, pokwitowawszy u Gerd zabranie klucza do mieszkania Toma Waalera. Szedł z postawionym kołnierzem płaszcza, a kiedy kasłał, miał wrażenie, że dźwięk znika w wacie, jak gdyby mróz zagęścił powietrze.

W godzinach porannego szczytu ludzie gnali po chodnikach, jakby nie mogli się doczekać, kiedy wreszcie znajdą się pod dachem. Ale Harry stawiał uważne, długie kroki, lekko uginając nogi w kolanach na wypadek, gdyby gumowe podeszwy martensów nie sprawdziły się na gładkim lodzie.

Kiedy otwierał drzwi do położonej w centrum kawalerki Toma Waalera, niebo nad wzgórzem Ekeberg ledwie zaczęło blednąć. Po śmierci Waalera mieszkanie pozostawało zamknięte przez długie tygodnie, ale śledztwo nie przyniosło żadnych dowodów demaskujących ewentualnych współwinnych z gangu przemytników broni. Tak przynajmniej powiedział naczelnik Biura Kryminalnego, gdy informował, że ta sprawa przestaje mieć priorytet z uwagi na „inne pilne zadania śledcze".

Harry zapalił światło w salonie i stwierdził, że w mieszkaniu nieżyjącego człowieka panuje dziwna, charakterystyczna cisza. Na ścianie przed meblami z lśniącej czarnej skóry wisiał olbrzymi telewizor plazmowy z metrowej wysokości kolumnami głośników po obu stronach, najwyraźniej będącymi elementami systemu surround w mieszkaniu. Wisiało też kilka obrazów z sześcianowatymi wzorami w błękitach, z rodzaju tych, które Rakel nazywała sztuką linijki i cyrkla.

Wszedł do sypialni. Przez okno sączyło się szare światło. W pokoju panował porządek. Na biurku stał monitor, samego komputera jednak nigdzie nie było widać. Pewnie zabrano go do przeszukania. Ale nie zauważył go wśród materiału dowodowego w Budynku Policji. Zabroniono mu wszelkiej styczności ze sprawą. Oficjalnym powodem było objęcie go prowadzonym przez SEFO, Wydział Kontroli Wewnętrznej, śledztwem w związku ze śmiercią Waalera. Harry nie potrafił jednak pozbyć się myśli, że jest wśród nich ktoś, kto nie życzy sobie odwrócenia wszystkich kamieni domina.

Miał wyjść z sypialni, kiedy to usłyszał.

W masie spadkowej nie panowała już zupełna cisza.

Jakiś dźwięk, odległe cykanie, przyprawił go o gęsią skórkę, a delikatnym włoskom na rękach kazał się podnieść. Dźwięk dochodził z szafy ubraniowej. Harry się zawahał. W końcu ją otworzył. Tuż za drzwiami stało kartonowe pudło. Natychmiast rozpoznał kurtkę, którą Waaler miał na sobie tamtej nocy na Kampen. Na samym wierzchu na kurtce leżał zegarek i cykał. Cykał tak samo jak wtedy, gdy Tom Waaler wcisnął rękę w okienko w drzwiach windy, która ruszyła i mu ją odcięła. Potem siedzieli w tej windzie, a ręka leżała między nimi. Woskowa i martwa, jak urwana część manekina. Z tą jedną różnicą, że na tej ręce był zegarek. Zegarek, który cykał, który nie chciał stanąć, tylko żył. Jak w tym opowiadaniu czytanym Harry'emu przez ojca w dzieciństwie, tym o sercu zabitej ofiary, które nie chciało przestać bić i w końcu doprowadziło zabójcę do szaleństwa.

To było bardzo charakterystyczne cykanie, energiczne i intensywne. Takie, które się zapamiętuje. Rolex. Ciężki i na pewno horrendalnie drogi.

Harry mocno zatrzasnął drzwi szafy. Ruszył w stronę drzwi wejściowych, ciężko tupiąc, aż wśród ścian poniosło się echo. Zamykając, głośno zabrzęczał kluczami i gorączkowo nucił, dopóki nie znalazł się na ulicy, gdzie błogosławiony hałas zagłuszał wszystko.

O trzeciej po południu na placu Komandora T.I. Øgrima numer 4 cienie już bardzo się wydłużyły, a w oknach Kwatery Głównej Armii Zbawienia zaczęły zapalać się światła. O piątej było całkiem ciemno, a słupek rtęci spadł poniżej piętnastu stopni. Kilka samotnych zbłąkanych płatków śniegu upadło na dach komicznego samochodziku, w którym czekała Martine Eckhoff.

– Przyjdź wreszcie, tato! – mruknęła, z lękiem zerkając na wskaźnik akumulatora. Nie była pewna, jak to elektryczne autko – podarunek dla Armii od króla – zachowa się na mrozie. Przed zamknięciem biura nie zapomniała o niczym. Zostawiła w sieci informację o nowych i odwołanych spotkaniach, zaktualizowała listy dyżurów w autobusie rozwożącym zupę i przy kociołku-skarbonce na Egertorget, przeczytała korektę odpowiedzi na pismo z Kancelarii Premiera, dotyczące dorocznego koncertu gwiazdkowego w Sali Koncertowej.

Drzwiczki się otworzyły i do środka wtargnęło zimno wraz z mężczyzną o gęstych siwych włosach pod mundurową czapką i najjaśniejszych niebieskich oczach, jakie Martine kiedykolwiek widziała. W każdym razie u kogoś, kto już przekroczył sześćdziesiątkę. Komandor z pewnym wysiłkiem wcisnął nogi w wąską przestrzeń między siedzeniem a deską rozdzielczą.

– No, to jedziemy – rzucił, strzepując śnieg z dystynkcji komandorskich, świadczących o tym, że jest najwyższym dowódcą Armii Zbawienia w Norwegii. Powiedział to z wesołością

i niewymuszonym autorytetem, naturalnym dla ludzi przywykłych do tego, że ich polecenia są wypełniane.

– Spóźniłeś się.

– A ty jesteś aniołkiem. – Pogładził ją po policzku wierzchem dłoni, a błękitne oczy rozjaśniły energia i rozbawienie. – Pospieszmy się teraz!

– Tato...

– Chwileczkę. – Komandor opuścił szybę samochodu. – Rikardzie!

Przed wejściem do Świątyni, mieszczącej się obok i pod tym samym dachem co Kwatera Główna, stał młody człowiek. Drgnął, słysząc wołanie, ale zaraz podbiegł do samochodu, szeroko rozstawiając nogi, a ręce przyciskając do ciała. Poślizgnął się, o mało nie przewrócił, ale zdołał odzyskać równowagę. Kiedy stanął przy aucie, już był zdyszany.

– Słucham, komandorze?

– Mów do mnie David, jak wszyscy inni, Rikardzie!

– Dobrze, Davidzie.

– Tylko nie w każdym zdaniu.

Spojrzenie Rikarda przeskoczyło z komandora Davida Eckhoffa na jego córkę Martine i z powrotem. Przeciągnął dwoma palcami nad spoconą górną wargą. Martine często się zastanawiała, jak to możliwe, że ten człowiek poci się intensywnie w jednym konkretnym miejscu na ciele, bez względu na pogodę i temperaturę, a szczególnie wtedy, gdy siadał obok niej podczas nabożeństwa lub gdzie indziej i szeptał coś, co w zamierzeniu miało być zabawne, i co właściwie mogło takie być, gdyby nie marnie skrywana nerwowość i nieco zbyt intensywna bliskość. No i pot nad górną wargą. Czasami, kiedy Rikard siedział blisko, a wokół panowała cisza, słyszała szorstki odgłos, kiedy przeciągał po wardze palcami. Bo oprócz potu Rikard Nilsen wytwarzał też zarost, strasznie dużo

zarostu. Bywało, że przychodził rano do Kwatery Głównej świeżo ogolony, z twarzą gładką jak pupa niemowlęcia, a już po lunchu jego skóra nabierała niebieskawego odcienia. Często przed wieczornymi zebraniami golił się po raz drugi.

– Żartuję, Rikardzie – uśmiechnął się David Eckhoff.

Martine wiedziała, że ojciec pogrywając tak z ludźmi, nie ma złych intencji, ale czasami miała wrażenie, że komandor nie zdaje sobie sprawy, że nimi pomiata.

– No tak. – Rikard zdobył się na śmiech. Nachylił się i powiedział: – Cześć, Martine.

– Cześć – odparła, udając, że bardzo ją interesuje kontrolka akumulatora.

– Zastanawiałem się, Rikardzie, czy mógłbym cię prosić o przysługę – powiedział komandor. – Strasznie dużo lodu na drogach ostatnio, a w moim samochodzie są zwykłe zimowe opony, bez kolców. Powinienem je zmienić, ale jadę do Latarni Morskiej...

– Wiem – odparł Rikard z ożywieniem. – Na obiad z ministrem spraw społecznych. Mamy nadzieję, że przyjdzie dużo prasy. Rozmawiałem z szefem do spraw informacji.

David Eckhoff uśmiechnął się wyrozumiale.

– Dobrze, że śledzisz wydarzenia na bieżąco, Rikardzie. Rzecz w tym, że mój samochód stoi w garażu tutaj, a chętnie bym go widział z założonymi oponami z kolcami. Rozumiesz?

– Te z kolcami leżą w bagażniku?

– Tak. Ale wyłącznie pod warunkiem, że nie masz nic ważniejszego do roboty. Akurat dzwoniłem do Jona, powiedział, że może...

– Nie, nie – Rikard zdecydowanie pokręcił głową. – Ja to załatwię od razu. Możesz mi ufać, eee... Davidzie.

– Na pewno?

Rikard zaskoczony spojrzał na komandora.

– Że możesz mi ufać?

– Że nie masz nic ważniejszego do załatwienia.

– Oczywiście, zrobię to z przyjemnością. Lubię grzebać przy samochodach i... i...

– Zmieniać opony?

Rikard przełknął ślinę i w odpowiedzi na szeroki uśmiech komandora kiwnął głową.

Kiedy szyba podsunęła się wreszcie do góry, a oni wyjechali z placu, Martine oświadczyła, że, jej zdaniem, ojciec niełądnie postąpił, wykorzystując uczynność Rikarda.

– Masz chyba na myśli służalczość – odpowiedział. – Spokojnie, to tylko test.

– Test? Na ofiarność czy na lęk przed autorytetami?

– Na to ostatnie – roześmiał się komandor. – Rozmawiałem z Theą, siostrą Rikarda. Powiedziała mimochodem, że Rikard bardzo się stara skończyć projekt budżetu na jutrzejszy termin. Powinien więc raczej zająć się tym, a opony zostawić Jonowi.

– I co z tego? Może Rikard jest po prostu miły.

– Owszem, jest miły i zdolny. Pracowity i poważny. Chcę mieć po prostu pewność, że ma kręgosłup i odwagę, jakiej wymaga ważne stanowisko kierownicze.

– Wszyscy mówią, że to Jon dostanie tę pracę.

David Eckhoff popatrzył na swoje dłonie i prawie niezauważalnie się uśmiechnął.

– Naprawdę? Bardzo zresztą cenię sobie, że stajesz w obronie Rikarda.

Martine nie odrywała oczu od drogi, ale czuła na sobie spojrzenie ojca, gdy ciągnął:

– Nasze rodziny przyjaźnią się od wielu lat, przecież wiesz. To dobrzy ludzie, mocno zakotwiczeni w Armii.

Martine zaczęła oddychać głęboko, próbując zwalczyć irytację.

Robota wymagała tylko jednej kuli.

Mimo to umieścił w magazynku wszystkie naboje. Po pierwsze dlatego, że broń była w idealnej równowadze tylko z pełnym magazynkiem. I dlatego, że to minimalizowało ryzyko błędu technicznego. Sześć w magazynku plus jeden w komorze.

Potem włożył kaburę pod pachę. Kupił ją używaną. Była miękka, pachniała solą i goryczą skóry, smarem i potem. Pistolet tkwił w niej jak należy. Stanął przed lustrem, włożył marynarkę. Pistoletu nie było widać. Większa broń gwarantowała lepszą precyzję, ale on nie zamierzał się zajmować strzelaniem precyzyjnym. Włożył kurtkę od deszczu. Na nią płaszcz. Czapkę wepchnął do kieszeni i sprawdził, czy w wewnętrznej kieszonce leży czerwona apaszka.

Popatrzył na zegarek.

– Kręgosłup – powiedział Gunnar Hagen. – I odwaga. Te dwie cechy uważam za najważniejsze u moich komisarzy.

Harry nie odpowiedział. Pomyślał, że to może wcale nie było pytanie, rozejrzał się więc po gabinecie, w którym często siedział tak jak teraz. Ale oprócz sceny zatytułowanej „Nadkomisarz mówi podwładnemu, co się z czym naprawdę wiąże", wszystko się zmieniło. Zniknęły stosy papierów Bjarnego Møllera, wydania zbiorowe komiksów *Kaczor Donald i spółka*, wciśnięte na półkę między podręcznikami prawa a instrukcjami policyjnymi, duże zdjęcie rodziny i jeszcze większe golden retrievera, którego dostały dzieci i o którym dawno już zapomniały, bo nie żył od dziewięciu lat, a Bjarne Møller wciąż go opłakiwał.

Został czysty blat biurka, jedynie z monitorem komputera i klawiaturą, małym srebrnym cokolikiem z kawałeczkiem białej jak kreda kości, no i z łokciami Gunnara Hagena, na których w tej chwili się opierał, wbijając w Harry'ego wzrok spod okapów gęstych brwi.

– Ale jest pewna trzecia cecha, którą uważam za jeszcze ważniejszą, Hole. Domyślasz się, co to może być?

– Nie – odparł Harry płaskim głosem.

– Dyscyplina. Dys-cy-pli-na.

Taki podział na sylaby sprawił, że Harry właściwie zaczął się już spodziewać lingwistycznego wykładu na temat pochodzenia tego słowa. Tymczasem Hagen wstał i zaczął przechadzać się po gabinecie w jedną i w drugą stronę z rękami założonymi na plecy, co było formą zaznaczania rewiru, którą Harry zawsze uważał za odrobinę komiczną.

– Odbywam takie spotkania ze wszystkimi z oddziału, żeby podczas rozmowy twarzą w twarz powiedzieć jasno, czego oczekuję.

– Z wydziału.

– Słucham?

– U nas to się nie nazywa oddział, tylko wydział. Tak tylko powiedziałem, dla informacji.

– Dziękuję, orientuję się w tym, komisarzu. O czym to ja mówiłem?

– O dys-cy-pli-nie.

Hagen spiorunował go wzrokiem, ale ponieważ Harry zachował kamienną twarz, nadkomisarz kontynuował swój marsz.

– Przez ostatnich dziesięć lat wykładałem w Akademii Wojskowej. Moją specjalnością była wojna w Birmie. Przypuszczam, że zaskoczy cię, kiedy powiem, że to miało bardzo istotne znaczenie dla mojej pracy tutaj, Hole.

– No cóż. – Harry podrapał się w łydkę. – Czyta pan we mnie jak w otwartej księdze, szefie.

Hagen przeciągnął palcem wskazującym po parapecie i z niechęcią przyjrzał się opuszce.

– W czterdziestym drugim niespełna sto tysięcy japońskich żołnierzy podbiło Birmę. Birma była dwa razy większa od Japonii i w tym czasie opanowana przez oddziały brytyjskie przewyższające Japończyków zarówno pod względem liczby ludzi, jak i broni. – Hagen podniósł do góry ubrudzony palec. – Ale była jedna dziedzina, w której Japończycy górowali i która umożliwiła im przegnanie Brytyjczyków i najemnych żołnierzy indyjskich. Dyscyplina. Kiedy Japończycy maszerowali na Rangun, szli przez czterdzieści pięć minut i spali przez piętnaście. Kładli się wprost na drodze z plecakami, stopami ułożeni w stronę kierunku marszu, żeby po przebudzeniu nie wejść do rowu ani nie ruszyć w przeciwnym kierunku. Kierunek jest bardzo ważny. Rozumiesz, Hole?

Harry domyślał się, co teraz usłyszy.

– Rozumiem, że w końcu doszli do Rangunu, szefie.

– Owszem, doszli wszyscy. Ponieważ wykonywali polecenia. Właśnie się dowiedziałem, że podpisałeś odbiór kluczy do mieszkania Toma Waalera. Czy moja wiedza jest prawdziwa?

– Chciałem tam tylko zajrzeć, szefie. Z przyczyn czysto terapeutycznych.

– Mam nadzieję. Ta sprawa jest już pogrzebana. Węszenie w mieszkaniu Waalera to nie tylko strata czasu, lecz również niepodporządkowanie się poleceniu, które wcześniej otrzymałeś od naczelnika Biura Kryminalnego, a teraz otrzymujesz ode mnie. Myślę, że nie muszę się rozwodzić o konsekwencjach nieusłuchania rozkazu. Wspomnę tylko, że japońscy oficerowie strzelali do swoich

żołnierzy za picie wody poza czasem wyznaczonym na zaspokojenie pragnienia. Nie z sadyzmu, tylko dlatego, że dyscyplina to natychmiastowe wycinanie narośli rakowych. Wyrażam się jasno, Hole?

– Jasno jak... Hm. Jak coś, co jest bardzo jasne, szefie.

– To wszystko na teraz, Hole. – Hagen usiadł na krześle, wyjął z szuflady jakiś papier i zaczął go czytać z takim zaangażowaniem, jakby Harry już opuścił gabinet. W oczach miał zdumienie, kiedy podniósł głowę i zobaczył, że Harry wciąż przed nim stoi.

– Coś jeszcze, Hole?

– Mhm. Zastanawiałem się nad jedną rzeczą. Czy to się nie skończyło tak, że Japończycy przegrali tę wojnę?

Po wyjściu Harry'ego Gunnar Hagen jeszcze długo wpatrywał się w kartkę.

Restauracja była zapełniona w połowie. Dokładnie tak jak poprzedniego dnia. W drzwiach przywitał go młody przystojny kelner z niebieskimi oczami i jasnymi kręconymi włosami. Był tak podobny do Giorgiego, że przez chwilę tylko stał i mu się przyglądał. Zrozumiał, że jego zainteresowanie zostało zauważone, bo na ustach kelnera pojawił się uśmiech. Kiedy odwieszał płaszcz i kurtkę przeciwdeszczową w szatni, czuł na sobie jego wzrok.

– *Your name?* – spytał kelner, a on wymamrotał odpowiedź.

Kelner zaczął przesuwać długim szczupłym palcem po karcie w książce rezerwacji i w końcu się zatrzymał.

– *I got my finger on you now* – powiedział, a niebieskie oczy przytrzymały go wzrokiem tak długo, że w końcu się zaczerwienił.

Restauracja nie wyglądała na szczególnie ekskluzywną, lecz jeśli nie zawiodła go zdolność liczenia w pamięci, ceny w menu przekraczały wszelką zdolność pojmowania rozumu. Zamówił spaghetti i szklankę wody. Był głodny. Ale serce biło mu równo

i spokojnie. Inni ludzie w restauracji rozmawiali, uśmiechali się i śmiali, jak gdyby nic złego nie mogło ich spotkać. Zawsze go dziwiło, że to nie jest widoczne, że nie otacza go czarna aureola, że nie bije od niego chłód ani odór zgnilizny.

A raczej, że inni tego nie wyczuwają.

Na zewnątrz zegar na wieży ratusza wybił swoje trzy tony sześć razy.

– Przyjemne miejsce – stwierdziła Thea, rozglądając się dokoła. Restauracja nie była zatłoczona, a ich stolik miał widok na deptak. Z ukrytych głośników sączyła się ledwie słyszalna medytacyjna muzyka w stylu New Age.

– Starałem się, żeby to było coś szczególnego – powiedział Jon i spojrzał w kartę. – Co byś chciała zjeść?

Wzrok Thei chaotycznie skakał po karcie dań.

– Najpierw muszę się napić wody.

Thea piła dużo wody. Jon wiedział, że ma to związek z cukrzycą i nerkami.

– Naprawdę niełatwo się zdecydować – powiedziała. – Wszystko wygląda na bardzo smaczne.

– Ale nie można zjeść wszystkiego, co jest w karcie.

– No tak...

Jon przełknął ślinę. Te słowa same mu się wyrwały. Lekko uniósł wzrok. Thea najwyraźniej niczego nie zauważyła. Nagle jednak uniosła głowę.

– Co właściwie chciałeś przez to powiedzieć?

– Przez co? – spytał lekko.

– Przez to „wszystko, co jest w karcie". Próbowałeś coś powiedzieć. Znam cię, Jon. O co chodzi?

Wzruszył ramionami.

– Ustaliliśmy, że zanim się zaręczymy, powiemy sobie o wszystkim, prawda?

– Tak. I co?

– Jesteś pewna, że opowiedziałaś mi... wszystko?

Westchnęła z rezygnacją.

– Jestem pewna, Jon. Nie byłam z nikim. Nie w ten... sposób.

Ale on dostrzegł coś w jej spojrzeniu, w jej twarzy, czego wcześniej tam nie widział. Ściągnięty mięsień przy ustach, może coś czarnego w oczach, jakby zamykającą się przesłonę migawki. I nie zdołał się powstrzymać od pytania:

– Z Robertem też nie?

– Co?

– Z Robertem. Pamiętam przecież, że flirtowaliście ze sobą w tamto pierwsze lato na Østgård.

– Miałam wtedy czternaście lat!

– I co z tego?

W pierwszej chwili wpatrywała się w niego z niedowierzaniem. Potem jakby zapatrzyła się w siebie, gasnąc i oddalając się. Jon obiema dłońmi złapał ją za rękę, nachylił się i szepnął:

– Przepraszam. Przepraszam, Theo. Nie wiem, co mnie naszło. Ja... Możemy zapomnieć o tym pytaniu?

– Już się państwo zdecydowali?

Oboje popatrzyli na kelnera.

– Świeże szparagi na przystawkę. – Thea podała mu menu. – A jako danie główne chateaubriand z borowikami.

– Świetny wybór. Czy mogę polecić wyborne i niezbyt drogie czerwone wino, które akurat dostaliśmy?

– Może pan, ale nam wystarczy woda – odpowiedziała z promiennym uśmiechem. – Dużo wody.

Jon patrzył na nią. Podziwiał jej zdolność skrywania uczuć.

Kiedy kelner odszedł, Thea wbiła oczy w Jona.

– Jeśli już skończyłeś mnie przesłuchiwać, to powiedz, co z tobą.

Jon uśmiechnął się niepewnie.

– Ty nigdy nie miałeś dziewczyny. Nawet na Østgård.

– A wiesz dlaczego? – Jon nakrył jej dłoń swoją.

Pokręciła głową.

– Bo tamtego lata się zakochałem. – Jon odnalazł jej oczy. – Miała zaledwie czternaście lat, ale od tamtej pory się w niej kocham. – Uśmiechnął się i ona też się uśmiechnęła. Zobaczył, że wychodzi ze swojej kryjówki i dołącza do niego.

– Pyszna zupa – powiedział minister spraw społecznych, zwracając się do komandora Davida Eckhoffa, na tyle jednak głośno, by usłyszeli to zebrani przedstawiciele prasy.

– Nasz własny przepis – odparł komandor. – Parę lat temu wydaliśmy książkę kucharską i pomyśleliśmy, że może panu ministrowi...

Na sygnał ojca do stolika podeszła Martine i położyła książkę obok talerza ministra.

– ...mogłaby się przydać, gdyby miał pan ochotę na smaczny i pożywny posiłek w swoim służbowym mieszkaniu.

Nieliczni dziennikarze i fotografowie, którzy stawili się w Latarni Morskiej, zaśmiali się głośno. W lokalu było pustawo, siedziało tylko dwóch starszych mężczyzn ze Schroniska, zapłakana kobieta w płaszczu i ranny narkoman, któremu krew leciała z czoła i który trząsł się jak liść osiki, bo tak się bał iść do „Lazaretu", czyli gabinetu lekarskiego na piętrze. Nic dziwnego, że ludzi było tak mało. O tej porze Latarnię Morską zwykle już zamykano. Ale, niestety, wizyta przed południem nie pasowała do kalendarza ministra, nie mógł więc zobaczyć, jak pełno tu bywa zazwyczaj. Wszystko to wyjaśniał komandor. Mówił, jak efektywnie prowadzony jest ośrodek i ile to

kosztuje. Minister tylko kiwał głową, z obowiązku podnosząc do ust jeszcze jedną łyżkę zupy.

Martine popatrzyła na zegarek. Za piętnaście siódma. Sekretarz ministra zapowiedział: dziewiętnasta zero zero. O tej godzinie będą musieli wyjść.

– Bardzo dziękuję za posiłek – powiedział minister. – Zdążymy porozmawiać z którymś z gości?

Sekretarz stanu kiwnął głową.

To kokieteria, pomyślała Martine. Oczywiście, że zdążą, przecież w tym celu tu przyszli. Nie po to, żeby przyznać pieniądze, bo to można było załatwić przez telefon, tylko po to, żeby zaprosić prasę i pokazać, jak minister spraw społecznych porusza się między potrzebującymi, jak je zupę, podaje rękę narkomanom i jak ich słucha z empatią i zaangażowaniem.

Rzeczniczka prasowa dała sygnał fotografom, że mogą robić zdjęcia, a raczej, że właśnie tego by chciała.

Minister wstał, zapiął marynarkę i rozejrzał się po lokalu. Martine domyślała się, że rozważa trzy możliwości: dwaj starsi faceci wyglądali na zwykłych mieszkańców domu starców i nie służyliby celowi „minister tak wita się z narkomani, a tak z prostytutkami". Ranny ćpun sprawiał wrażenie nieobliczalnego, to mogła być przesada. Za to kobieta... Wyglądała na zwykłą obywatelkę, taką, z którą wszyscy mogli się zidentyfikować i której chętnie by pomogli, a już na pewno po wysłuchaniu jej rozdzierającej serce historii.

– Czy ceni pani sobie możliwość przychodzenia tutaj? – spytał minister, wyciągając do niej rękę.

Kobieta popatrzyła na niego, minister się przedstawił.

– Pernille... – zaczęła, ale on jej przerwał.

– Imię wystarczy. Wie pani, tu jest prasa. Chcieliby zrobić nam zdjęcie, zgadza się pani?

– ...Holmen – Kobieta zaszlochała w chusteczkę. – Jestem Pernille Holmen. – Wskazała na stolik, na którym przed jednym ze zdjęć paliła się świeca. – Przyszłam tu powspominać syna. Czy możecie zostawić mnie w spokoju?

Martine została przy kobiecie, gdy minister ze swoim orszakiem szybko się wycofał. Zauważyła, że zdecydował się jednak na dwóch staruszków.

– Przykro mi z powodu tego, co się stało z Perem – powiedziała Martine cicho.

Kobieta podniosła twarz spuchniętą od płaczu. I od tabletek, pomyślała Martine.

– Znałaś Pera? – spytała szeptem.

Martine wolała prawdę. Również wtedy, gdy drogo kosztowała. Nie dlatego, że tak została wychowana, po prostu przekonała się, że na dłuższą metę prawda ułatwia życie. Ale w tym zduszonym od płaczu głosie wychwyciła prośbę. Błaganie, żeby ktoś powiedział, że jej syn nie był jedynie nafaszerowanym narkotykami robotem, ciężarem, którego społeczeństwo wreszcie się pozbyło, tylko człowiekiem, o którym ktoś mógł powiedzieć, że go znał, że się z nim przyjaźnił, że może nawet go lubił.

– Tak, pani Holmen – Martine przełknęła ślinę. – Znałam go. To był fajny chłopak.

Pernille Holmen mrugnęła dwa razy, próbowała się uśmiechnąć, ale próby skończyły się na grymasie. Ledwie zdołała wyszeptać „dziękuję", zanim łzy popłynęły jej po policzkach.

Martine zobaczyła, że komandor przywołuje ją do siebie, ale usiadła.

– Oni... oni zabrali też mojego męża – wyszlochała Pernille Holmen.

– Kto?

– Policja. Mówią, że to on zrobił.

Martine, odchodząc od Pernille Holmen, myślała o wysokim jasnowłosym policjancie. Wydawał się taki szczery, kiedy mówił, że się przejmuje. Poczuła gniew. Ale również zakłopotanie. Nie bardzo rozumiała, dlaczego miałaby być taka zła na kogoś, o kim nic nie wiedziała. Popatrzyła na zegarek. Za pięć siódma.

Harry ugotował zupę rybną. Z torebki firmy Findus, do której dolał mleka i uzupełnił kawałeczkami puddingu rybnego. Do tego bagietka. Wszystko kupione u Niaziego, w kolonialnym sklepiku na dole, który prowadził mieszkający pod nim sąsiad Ali razem z bratem. Obok talerza z zupą na stoliku w salonie stanęła jeszcze półlitrowa szklanka z wodą.

Włożył płytę CD do odtwarzacza i podkręcił głośność. Opróżnił głowę z myśli, koncentrując się na muzyce i zupie. Na dźwięku i smaku. Tylko na tym.

W połowie talerza i trzeciego utworu zadzwonił telefon. Harry zamierzał pozwolić mu dzwonić, ale przy ósmym dzwonku wstał i ściszył muzykę.

– Harry.

To była Astrid.

– Co robisz? – mówiła cicho, lecz mimo to jej głos rozbrzmiewał echem. Harry podejrzewał, że zamknęła się w łazience.

– Jem i słucham muzyki.

– Idę się przejść. W pobliżu ciebie. Masz jakieś plany na resztę wieczoru?

– Tak.

– A jakie?

– Jeszcze posłuchać muzyki.

– Powiedziałeś to tak, jakbyś nie miał ochoty na towarzystwo.

– No cóż.

Milczenie. Astrid westchnęła.

– Daj znać, gdybyś zmienił zdanie.

– Astrid?

– Tak?

– Nie chodzi o ciebie. Tylko o mnie.

– Nie musisz się tłumaczyć, Harry. Mówię to na wypadek, gdybyś miał tkwić w błędnym przekonaniu, że to życiowa sprawa dla któregokolwiek z nas. Pomyślałam tylko, że mogłoby nam być przyjemnie.

– Może kiedy indziej.

– Na przykład kiedy?

– Na przykład kiedy indziej.

– Zupełnie kiedy indziej?

– Mniej więcej.

– Okej. Ale ja cię lubię, Harry. Nie zapominaj o tym.

Kiedy się rozłączyli, Harry dalej stał, wcale się nie wsłuchując w nagłą ciszę. Był zdumiony. Kiedy zadzwoniła Astrid, stanęła mu przed oczami twarz. Jego zdumienie nie wynikało stąd, że widział twarz, lecz z faktu, że nie była to twarz Rakel. Ani Astrid. Ciężko usiadł w fotelu, postanawiając od razu, że nie będzie się nad tym dłużej zastanawiać. Bo jeżeli to oznaczało, że lecznicza kuracja czasu skutkowała i Rakel powoli opuszczała jego organizm, to już były dostatecznie dobre wiadomości. Na tyle dobre, że nie chciał komplikować tego procesu. Nastawił głośniej muzykę i opróżnił głowę z myśli.

Zapłacił rachunek. Odłożył wykałaczkę do popielniczki i spojrzał na zegarek. Za trzy siódma. Kabura lekko uwierała w mięsień

na piersi. Z wewnętrznej kieszeni wyjął zdjęcie, zerknął na nie po raz ostatni. Czas już się zbliżał.

Nikt z innych gości w restauracji – również para przy sąsiednim stoliku – nie zwrócił na niego uwagi, kiedy wstawał i wychodził do toalety. Zamknął się w jednej z kabin, odczekał minutę i zdołał oprzeć się chęci sprawdzenia, czy pistolet jest naładowany. Od Boba nauczył się, że kiedy człowiek przyzwyczaja się do luksusu, jakim jest możliwość sprawdzenia wszystkiego dwa razy, popada w otępienie.

Minuta minęła. Wyszedł do szatni, włożył kurtkę od deszczu, zawiązał na szyi czerwoną apaszkę i naciągnął czapkę na uszy. Otworzył drzwi i znalazł się na Karl Johans gate.

Szybkim krokiem ruszył pod górę ku najwyższemu punktowi ulicy. Nie spieszyło mu się, ale takie tempo zaobserwował u większości tutejszych ludzi. Tempo, dzięki któremu się nie wyróżniał. Minął kosz na śmieci przy słupie latarni, upatrzony poprzedniego dnia jako ten, do którego wyrzuci pistolet w powrotnej drodze. Na samym środku tłumnego deptaka. Policja go znajdzie, ale to nic nie szkodzi. Najważniejsze, żeby nie znalazła go przy nim.

Muzykę słyszał już z daleka.

Przed muzykami, którzy właśnie kończyli piosenkę, kiedy wysuwał się naprzód, zebrało się w półkolu ze dwieście osób. Bicie dzwonów rozlegające się podczas oklasków powiedziało mu, że jest punktualny. Przed zespołem, nieco z boku, na drewnianym statywie wisiał czarny kociołek-skarbonka, a przy nim stał mężczyzna ze zdjęcia. Wprawdzie oświetlały go jedynie latarnia i dwie pochodnie, ale nie było najmniejszych wątpliwości. Zwłaszcza że ten człowiek miał na sobie mundurową czapkę i płaszcz Armii Zbawienia.

Wokalista zawołał coś do mikrofonu, ludzie zaczęli się śmiać i klaskać. Błysnął flesz. Grali głośno. Perkusista wysoko unosił prawą rękę za każdym razem, gdy miał uderzyć w werbel.

Przeciskał się przez tłum, dopóki nie znalazł się w odległości trzech metrów od mężczyzny z Armii Zbawienia. Sprawdził, czy ma wolną drogę odwrotu. Przed nim stały dwie nastolatki, wypuszczając na mroźne powietrze oddechy pachnące gumą do żucia. Były niższe od niego. Nie myślał o niczym szczególnym, nie spieszył się, robił tylko to, po co przyszedł, bez zbędnych ceremonii: wyjął pistolet i przytrzymał go w wyciągniętej ręce. To zmniejszyło odległość do niespełna dwóch metrów. Wycelował. Mężczyzna przy kociołku rozpłynął się w dwóch mężczyzn. Przestał celować i dwie postacie znów stopiły się w jedną.

– Zdrowie! – powiedział Jon.

Z głośników płynęła muzyka gęsta jak nadzienie do ciasta.

– Na zdrowie! – Thea posłusznie uniosła szklankę.

Wypili. Popatrzyli na siebie, a on samymi wargami szepnął: „Kocham cię".

Zażenowana spuściła wzrok, ale się uśmiechnęła.

– Mam dla ciebie upominek – oznajmił.

– Tak? – Ton miała lekki, kokieteryjny.

Wsunął rękę do kieszeni marynarki. Pod telefonem komórkowym wymacał twardy plastik pudełeczka od jubilera. Serce zabiło mu szybciej. Boże, jak on się cieszył i jak się bał tego wieczoru. Tej chwili.

Komórka zaczęła wibrować.

– Coś się stało? – spytała Thea.

– Nie, ja... Przepraszam. Za moment wrócę.

W toalecie wyjął telefon i popatrzył na wyświetlacz. Westchnął i wcisnął przycisk „OK".

– Cześć, słodziaku, jak tam? – Głos brzmiał wesoło, jakby właśnie usłyszała coś zabawnego, coś, co przypomniało jej o nim i kazało zadzwonić, najzupełniej impulsywnie. Ale na wyświetlaczu była informacja o sześciu nieudanych próbach połączenia.

– Cześć, Ragnhild.

– Jaki dziwny dźwięk! Jesteś...

– Stoję w toalecie. W restauracji. Wyszliśmy z Theą coś zjeść. Zdzwońmy się innym razem.

– Kiedy?

– Kiedy indziej.

Milczenie.

– Ach, tak.

– Sam miałem do ciebie dzwonić, Ragnhild. Muszę ci coś powiedzieć. Na pewno wiesz, o co mi chodzi. – Nabrał powietrza. – Ty i ja... my nie możemy...

– Jon? Prawie nie słychać, co mówisz.

Wątpił, by to była prawda.

– Nie mogłabym wpaść do ciebie jutro wieczorem? – spytała Ragnhild. – Żebyś mógł mi to wyjaśnić?

– Jutro wieczorem nie będę sam. Raczej kiedy in...

– No to spotkaj się ze mną w Grandzie na lunchu. Wyślę ci SMS-em numer pokoju.

– Ragnhild, nie...

– Nie słyszę, co mówisz. Zadzwoń do mnie jutro, Jon. A zresztą przez cały dzień będę na spotkaniach, więc sama do ciebie zadzwonię. Nie wyłączaj telefonu. Baw się dobrze, słodziaku!

– Ragnhild? – Jon spojrzał na wyświetlacz. Już się rozłączyła. Mógł wyjść z toalety i zadzwonić do niej. Mieć to już za sobą. Skoro już raz zaczął. To byłaby jedyna słuszna decyzja. Jedyne mądre posunięcie. Zadanie śmiertelnego pchnięcia, oczyszczenie drogi.

Stali teraz naprzeciwko siebie, ale dla człowieka w mundurze Armii Zbawienia pozostawał jakby niewidzialny. Oddychał równo, palec spokojnie spoczywał na spuście, powoli go naciskając. W końcu ich spojrzenia się spotkały. Pomyślał, że ten żołnierz nie okazuje żadnego zaskoczenia, żadnego szoku ani strachu, przeciwnie, można było odnieść wrażenie, że twarz rozjaśnił mu blask objawienia, jak gdyby widok pistoletu przyniósł mu odpowiedź na pytanie, nad którym się zastanawiał. Potem rozległ się huk.

Gdyby strzał padł jednocześnie z uderzeniem w werbel, muzyka być może zdołałaby go całkiem zagłuszyć, tymczasem jednak na huk wystrzału wielu ludzi obróciło się i spojrzało na mężczyznę w kurtce przeciwdeszczowej. Na jego pistolet. I na żołnierza Armii Zbawienia, u którego w otoku mundurowej czapki tuż pod literą B pojawiła się dziura, a który teraz osuwał się do tyłu, machając rękami jak lalka.

Harry drgnął w fotelu. Zasnął. W pokoju panowała cisza. Co go obudziło? Nasłuchiwał, z zewnątrz dochodziło tylko ciche, jednostajne burczenie miasta. Ale towarzyszył mu jeszcze inny odgłos. Harry nastawił uszu. Tak, to to. Ledwie słyszał ten dźwięk, lecz gdy już raz go zidentyfikował, dźwięk wypłynął na powierzchnię wszystkich innych dźwięków i stał się wyraźniejszy. Ciche cykanie.

Harry dalej siedział w fotelu z zamkniętymi oczami.

Nagle wezbrała w nim złość i bez zastanowienia pomaszerował do sypialni, wysunął szufladę nocnego stolika, chwycił zegarek Møllera i po otworzeniu okna z całej siły cisnął nim w ciemność. Usłyszał, że zegarek najpierw trafił w mur sąsiedniej kamienicy, a potem uderzył w oblodzony asfalt. Harry zatrzasnął okno, założył haczyki, wrócił do pokoju i podkręcił głośność. Tak mocno, że membrany głośników zaczęły mu się rozpływać przed oczami,

dyszkant wokalisty cudownie zakłuł w błonę bębenkową, a basy wypełniły usta.

Publiczność odwróciła się od zespołu i wpatrywała w człowieka rozciągniętego na śniegu. Czapka mundurowa spadła mu z głowy, potoczyła się na bok i ułożyła koło statywu mikrofonu wokalisty, który jeszcze się nie zorientował, co się stało, i dalej śpiewał.

Dwie dziewczyny, stojące najbliżej leżącego mężczyzny, cofnęły się, jedna zaczęła krzyczeć.

Wokalista, który do tej pory występował z zamkniętymi oczami, teraz je otworzył i spostrzegł, że nie skupia się już na nim uwaga publiczności. Odwrócił się i zobaczył leżącego człowieka. Spojrzeniem zaczął szukać strażnika, organizatora, opiekuna tournée, kogoś, kto zająłby się tą sytuacją, ale to był tylko zwyczajny koncert uliczny, każdy czekał, aż ktoś inny coś zrobi, a akompaniament nie milknął.

Nagle w tłumie zrobił się jakiś ruch i ludzie się odsunęli, przepuszczając kobietę przeciskającą się do przodu.

– Robert! – Głos miała zachrypnięty i szorstki. Była blada, ubrana w cienką czarną skórzaną kurtkę z dziurą na łokciu. Zachwiała się przy leżącym bez życia mężczyźnie, osunęła przy nim na kolana.

– Robert? – Przyłożyła wychudzoną dłoń do jego szyi. Potem drżącym palcem wskazała na zespół. – Zamknijcie się, do cholery!

Członkowie zespołu kolejno przestawali grać.

– Chłopak umiera, sprowadźcie lekarza, szybko!

Znów przyłożyła mu rękę do szyi. Wciąż nie mogła znaleźć pulsu. Widziała to już wiele razy wcześniej. Czasami kończyło się dobrze. Na ogół źle. Poczuła się zdezorientowana. To nie mogło być przedawkowanie. Chłopak z Armii nie mógł przecież nic brać? Zaczął padać śnieg, płatki topniały mu na policzkach, na zamkniętych oczach, na rozchylonych ustach. Taki piękny chłopak! Pomyślała,

że teraz, taki rozluźniony, przypomina jej śpiącego syna. Moment później dostrzegła jednak czerwoną strużkę sączącą się z dziury w głowie, ukosem spływającą przez czoło do skroni i dalej do ucha.

Ktoś złapał ją pod pachy i podniósł, a nad chłopakiem pochylił się mężczyzna. Po raz ostatni mignęła jej przed oczami jego twarz z dziurą w czole i nagle ogarnęła ją bolesna pewność, że taki sam los czeka również jej syna.

Szedł szybko. Nie za szybko, bo nie uciekał. Spoglądał na plecy, które miał przed sobą. Wypatrzył kogoś, kto lekko biegł, i do tej osoby się przyłączył. Nikt nie próbował go zatrzymywać. Oczywiście, że nie. Huk wystrzału każe ludziom się cofnąć. Widok prowokuje do ucieczki. A w tym wypadku większość nawet się nie zorientowała, co się stało.

Ostatnia robota.

Słyszał, że zespół jeszcze gra.

Zaczął padać śnieg. To dobrze. Ludzie będą patrzeć w dół, żeby chronić oczy.

Kilkaset metrów dalej, na krańcu ulicy, widział żółty budynek dworca. Ogarnęło go uczucie, które czasami go nachodziło, wrażenie, że wszystko jest płynne, że nic złego nie może go spotkać, że serbski czołg T-55 to jedynie niezdarny kolos z żelaza, ślepy i głuchy, a jego miasto będzie stało, kiedy wróci do domu.

Ktoś zajął upatrzone miejsce.

Ubranie tego człowieka wyglądało na nowe i modne, z wyjątkiem niebieskich adidasów. Ale twarz miał pociętą i osmaloną jak kowal. Mężczyzna czy chłopak, wszystko jedno, najwyraźniej zamierzał zostać w tym miejscu jeszcze przez jakiś czas, w każdym razie całą prawą rękę miał wsuniętą w otwór zielonego kosza na śmieci.

Spojrzał na zegarek, nie zatrzymując się. Dwie minuty temu oddał strzał i do odejścia pociągu pozostawało ich jeszcze jedenaście. A on wciąż miał broń przy sobie. Minął kosz na śmieci, kierując się w stronę restauracji.

Jakiś mężczyzna nadchodzący z przeciwnej strony gapił się na niego, ale nie odwrócił głowy, kiedy się mijali.

Podbiegł do drzwi restauracji, pchnął je.

W szatni matka pochylała się nad małym chłopczykiem, usiłując zapiąć mu kurtkę na suwak. Żadne nie podniosło głowy i nie spojrzało na niego. Brązowy płaszcz z wielbłądziej wełny wisiał na swoim miejscu. Pod nim stała walizka. Zabrał obie te rzeczy do męskiej toalety. Zamknął się w kabinie, zdjął kurtkę przeciwdeszczową, czapkę schował do kieszeni i włożył płaszcz. Chociaż w pomieszczeniu nie było okien, i tak słyszał syreny. Wiele syren. Rozejrzał się. Musi się pozbyć pistoletu. Nie miał zbyt wielu miejsc do wyboru. Stanął na klozecie, podciągnął się do otworu wentylacyjnego na ścianie i tam próbował wcisnąć pistolet, ale przeszkadzała mu krata.

Zeskoczył na ziemię. Oddychał teraz ciężko, poczuł też, że oblewa go gorąco. Osiem minut do odjazdu pociągu. Naturalnie mógł pojechać późniejszym, to jeszcze nie kryzys. Ale minęło pięć minut, on wciąż nie pozbył się broni, a ona zawsze powtarzała, że wszystko, co przekracza cztery minuty, jest ryzykiem nie do zaakceptowania. To był kryzys.

Oczywiście mógł rzucić pistolet na podłogę, ale jedna z zasad, według których pracowali, mówiła, że nie wolno dopuścić do znalezienia broni, dopóki on sam nie znajdzie się w bezpiecznym miejscu.

Opuścił kabinę i podszedł do umywalki. Myjąc ręce, spojrzeniem przeszukiwał puste pomieszczenie. *Upomoć!* Wzrok zatrzymał się

na pojemniku z mydłem do rąk przy umywalce.

Jon i Thea wyszli z restauracji przy Torggata mocno objęci.

Thea krzyknęła głośno, gdy poślizgnęła się na lodzie ukrytym pod zdradzieckim świeżym śniegiem. Mało brakowało, a pociągnęłaby za sobą Jona, ale w ostatniej chwili ocalił oboje. Jej śmiech tak cudownie brzmiał w jego uszach.

– Powiedziałaś „tak”! – zawołał do nieba, czując, jak płatki śniegu topnieją mu na twarzy. – Powiedziałaś „tak”!

Noc rozcięła syrena. Kilka syren. Dźwięk dochodził od strony Karl Johans gate.

– Pójdziemy zobaczyć, co się dzieje? – spytał Jon, biorąc ją za rękę.

– Nie, Jon! – Na czole Thei ukazała się zmarszczka.

– Chodźmy!

Thea zaparła się stopami, ale gładkie podeszwy nie stawiały żadnego oporu.

– Nie, Jon!

On tylko się roześmiał i dalej ciągnął ją za sobą jak sanki.

– Mówię, że nie chcę!

Ton jej głosu natychmiast kazał mu ją puścić. Spojrzał zdziwiony.

Thea westchnęła.

– Nie mam ochoty akurat w tej chwili oglądać jakiegoś pożaru. Chcę się położyć. Razem z tobą.

Jon długo na nią patrzył.

– Taki jestem szczęśliwy, Theo. To ty dałaś mi tyle szczęścia!

Nie usłyszał jej odpowiedzi, bo ukryła twarz w jego kurtce.

Część druga

WYBAWICIEL

9 ŚRODA, 16 GRUDNIA. ŚNIEG

Śnieg padający na Egertorget barwiły na żółto reflektory grupy pracującej na miejscu zdarzenia.

Harry z Halvorsenem stali przed pubem 3 Bracia, obserwując gapiów i dziennikarzy napierających na taśmy policyjne. Harry wyjął papierosa z ust i zaniósł się głębokim mokrym kaszlem.

– Dużo prasy – stwierdził.

– Szybko zwąchali – odparł Halvorsen. – To przecież rzut kamieniem od ich redakcji.

– Niezła sensacja dla gazet. Zabójstwo w samym środku okresu przedświątecznego na najsłynniejszej ulicy Norwegii. Na dodatek ofiarę widzieli wszyscy, bo to facet, który czuwa przy kociołku Armii Zbawienia. A w tle gra słynny zespół. Czego więcej można chcieć?

– Wywiadu z gwiazdą policji, Harrym Holem?

– Na razie zostaniemy tutaj – zdecydował Harry. – Znasz czas zabójstwa?

– Parę minut po siódmej.

Harry spojrzał na zegarek.

– Prawie godzinę temu. Dlaczego nikt wcześniej do mnie nie zadzwonił?

– Nie wiem. Miałem telefon od nadkomisarza ciut przed pół do ósmej. Myślałem, że kiedy przyjdę, już cię tu zastanę.

– To znaczy, że zadzwoniłeś do mnie z własnej inicjatywy?

– No, jesteś jakby komisarzem.

– Jakby – mruknął Harry, rzucając papierosa na ziemię. Niedopałek wtopił się w puszysty śnieg i zniknął.

– Wszystkie ślady techniczne zaraz zginą pod półmetrową warstwą śniegu – stwierdził Halvorsen. – Typowe.

– Nie będzie żadnych śladów technicznych – orzekł Harry.

Podeszła do nich Beate, miała śnieg w jasnych włosach. W palcach trzymała malutką plastikową torebkę z łuską.

– Pomyłka. – Halvorsen triumfalnie uśmiechnął się do Harry'ego.

– Dziewięć milimetrów – powiedziała, krzywiąc się, Beate. – Najpowszechniejszy kaliber. To wszystko, co mamy.

– Zapomnijcie o tym, co mamy, a czego nie mamy – nakazał Harry. – Jakie było twoje pierwsze wrażenie? Nie zastanawiaj się, mów!

Beate się uśmiechnęła. Już go znała. Najpierw intuicja, potem fakty. Ponieważ intuicja to również fakty. To wszystkie te informacje, które przekazuje miejsce zbrodni, ale mózg chwilowo nie potrafi ich nazwać.

– Nie mam za dużo do powiedzenia. Egertorget to najbardziej uczęszczane metry kwadratowe w Oslo, w związku z tym miejsce było bardzo zanieczyszczone, chociaż przyjechaliśmy zaledwie dwadzieścia minut po zabójstwie. Wygląda mi to na profesjonalistę. Lekarz bada teraz ofiarę. Ale została chyba trafiona tylko jednym strzałem. Prosto w czoło. Profesjonalista. Tak, właśnie takie mam uczucie.

– Tu się pracuje na bazie uczuć, komisarzu?

Wszyscy troje odwrócili się w stronę głosu, który rozległ się za ich plecami. To był Gunnar Hagen, ubrany w zieloną wojskową kurtkę i wełnianą czapkę. Uśmiech ledwie się czaił w kącikach ust.

– Próbujemy wszystkiego, co działa, szefie – odparł Harry. – A co szefa tu sprowadza?

– A czy to nie tu wszystko się dzieje?

– W pewnym sensie.

– Słyszałem, że Bjarne Møller wolał gabinet. Osobiście jestem zdania, że miejsce dowódcy jest na polu walki. Oddano więcej niż jeden strzał, Halvorsen?

Halvorsen drgnął.

– Świadkowie, z którymi rozmawialiśmy, twierdzą, że nie.

Hagen poruszył palcami w rękawiczkach.

– Rysopis?

– Mężczyzna. – Halvorsen przenosił spojrzenie z nadkomisarza na Harry'ego. – Na razie wiemy tylko tyle. Ludzie wpatrywali się w muzyków, a to wszystko wydarzyło się bardzo szybko.

Hagen prychnął.

– W takim tłumie ktoś chyba musiał przyjrzeć się uważniej osobie, która strzelała.

– Przypuszczam, że tak – odparł Halvorsen. – Ale na razie jeszcze nie wiemy dokładnie, gdzie w tłumie stał zabójca.

– Rozumiem. – Znów ten cień uśmiechu.

– Stał dokładnie naprzeciwko ofiary – oświadczył Harry. – Odległość maksimum dwa metry.

– Tak?

Hagen, Beate i Halvorsen, wszyscy jak na komendę odwrócili głowy w jego stronę.

– Zabójca wiedział, że jeśli chce się zabić człowieka bronią małego kalibru, to trzeba celować w głowę – powiedział Harry. – Skoro oddał tylko ten jeden strzał, musiał być pewien rezultatu. Z tego wynika, że musiał stać tak blisko, by widzieć dziurę w czole i mieć pewność, że nie spudłował. Badając ubranie ofiary, powinniście trafić na ślady potwierdzające to, co mówię. Maksimum dwa metry.

– Półtora – oświadczyła Beate. – Większość pistoletów wyrzuca łuskę na prawo, ale niezbyt daleko. Tę znaleźliśmy wdeptaną w śnieg w odległości stu czterdziestu sześciu centymetrów od ciała. A ofiara miała na płaszczu spalone wełniane nitki.

Harry spojrzał na Beate. Najbardziej cenił w niej wcale nie wrodzoną zdolność rozpoznawania twarzy, tylko inteligencję, dokładność i to idiotyczne przekonanie, które wspólnie podzielali: że praca, którą wykonują, jest ważna.

Hagen tupnął na śniegu.

– Dobrze, Lønn. Ale kto, w imię niebios, strzela do oficera Armii Zbawienia?

– On nie był oficerem – sprostował Halvorsen. – Był zwykłym żołnierzem. Oficerowie są zatrudnieni na stałe, żołnierze to wolontariusze albo pracują na kontraktach. – Otworzył swój notes. – Robert Karlsen. Dwadzieścia dziewięć lat. Kawaler, bezdzietny.

– Ale najwyraźniej nie bez wrogów – stwierdził Hagen. – Co ty na to, Lønn?

Beate, odpowiadając, nie patrzyła na Hagena, tylko na Harry'ego.

– Może strzał nie był skierowany przeciwko tej konkretnej osobie?

– Ach, tak? – uśmiechnął się Hagen. – A przeciwko komu?

– Może przeciwko Armii Zbawienia.

– Co cię skłania, żeby tak myśleć?

Beate wzruszyła ramionami.

– Kontrowersyjne poglądy – wyjaśnił Halvorsen. – Na homoseksualizm. Kobiety-pastorów. Aborcję. Może jakiś fanatyk...

– Teoria odnotowana – powiedział Hagen. – Pokażcie mi zwłoki.

Beate i Halvorsen popatrzyli na Harry'ego. Skinął głową na Beate.

– Rany! – jęknął Halvorsen, kiedy Hagen z Beate odeszli. – Czyżby nadkomisarz miał zamiar przejąć śledztwo?

Harry w zamyśleniu potarł brodę, patrząc na teren ogrodzony taśmami, rozjaśniany błyskami fleszy dziennikarzy.

– Profesjonalista – powiedział.

– Co?

– Beate uważa, że sprawca to profesjonalista. Zacznijmy więc od tego. Co robi profesjonalista zaraz po dokonaniu zabójstwa?

– Ucieka?

– Niekoniecznie. Ale w każdym razie pozbywa się wszystkiego, co może go powiązać z zabójstwem.

– Broni.

– Słusznie. Chcę, żebyś sprawdził wszystkie studzienki, kontenery, kosze na śmieci i podwórza w promieniu pięciu kwartałów wokół Egertorget. I to teraz. Jeśli potrzebna ci będzie pomoc, weź ludzi z pogotowia policji.

– Dobra.

– I zdobądź kasety wideo ze wszystkich kamer monitoringu w sklepach z całej okolicy z okresu tuż przed i tuż po dziewiętnastej zero zero.

– Powiem, żeby Skarre się tym zajął.

– I jeszcze jedno. „Dagbladet" współorganizuje te uliczne koncerty. Potem przygotowują z tego materiał. Sprawdź, czy ich fotograf nie robił zdjęć publiczności.

– Oczywiście. O tym nie pomyślałem.

– Prześlij te zdjęcia Beate. Niech rzuci na nie okiem. I chcę, żeby wszyscy śledczy zebrali się w sali konferencyjnej w czerwonej strefie jutro rano o dziesiątej. Obdzwonisz wszystkich?

– *Yes*.

– A gdzie Li i Li?

– Przesłuchują świadków w Budynku Policji. Dwie dziewczyny stały tuż obok zabójcy.

– Okej. Poproś Olę, żeby zrobił listę krewnych i przyjaciół ofiary. Zaczniemy od sprawdzenia, czy tam nie ma jakichś oczywistych motywów.

– Wydawało mi się, że przed chwilą powiedziałeś, że to profesjonalista?

– Musimy mieć w głowie kilka różnych pomysłów równocześnie, Halvorsen. I zacząć szukać od miejsca, gdzie jest jasno. Rodziny i przyjaciół zazwyczaj łatwo znaleźć. A w ośmiu na dziesięć przypadków...

– ...sprawca zna ofiarę – westchnął Halvorsen.

Przerwało im wołanie. Głośno padło nazwisko Harry'ego. Odwrócili się w porę, by zobaczyć dziennikarzy, tłumnie rzucających się w ich stronę wśród zadymki.

– No, zaczęło się przedstawienie – powiedział Harry. – Odeślij ich do Hagena. Ja wracam do firmy.

Walizka już została odprawiona w okienku linii lotniczych, mógł więc przejść do kontroli bezpieczeństwa. Czuł radość. Zakończył ostatnią robotę. Miał tak dobry humor, że postanowił przeprowadzić test biletowy. Kobieta ochroniarz z Securitas pokręciła głową, kiedy z wewnętrznej kieszeni wyjął niebieską kopertę, żeby pokazać jej bilet.

– Telefon komórkowy? – spytała po norwesku.

– *No.*

Położył kopertę z biletem na stoliku między aparatem rentgenowskim a bramką dla personelu, żeby zdjąć płaszcz z wielbłądziej wełny. Zorientował się, że wciąż ma na szyi czerwoną apaszkę, rozwiązał ją więc i schował do kieszeni. Płaszcz włożył do kosza przygotowanego przez ochronę i przeszedł przez bramkę, czując na sobie spojrzenia jeszcze dwojga ludzi w mundurach. Wraz z tym strażnikiem, który nieustannie wgapiał się w ekran maszyny prześwietlającej płaszcz, i tym na końcu taśmy naliczył pięcioro ludzi, których jedyne zadanie polegało na pilnowaniu, żeby nie miał przy sobie nic, co na pokładzie samolotu mogłoby posłużyć jako broń.

Przeszedłszy przez bramkę, włożył płaszcz, potem zawrócił i zabrał bilet ze stolika. Nikt go nie zatrzymał, wyminął więc Securitas. A więc tak łatwo byłoby przemycić ostrze noża w kopercie z biletem.

Wyszedł do wielkiej hali odlotów. Pierwszą rzeczą, która go tam uderzyła, był widok z olbrzymiego panoramicznego okna. A raczej jego brak. Śnieg zaciągnął białą zasłonę, skrywając cały krajobraz.

Martine nachylała się ku wycieraczkom zbierającym śnieg.

– Minister był bardzo pozytywnie nastawiony – powiedział zadowolony David Eckhoff. – Bardzo pozytywnie.

– Przecież o tym wiedziałeś z góry. Tacy ludzie nie przychodzą na zupę i nie zawiadamiają prasy, jeśli mają zamiar czegoś odmówić. Przecież chcą, żeby ich wybrano.

– Tak – westchnął Eckhoff. – Chcą, żeby ich wybrano. – Wyjrzał przez okno. – Rikard to miły chłopak, prawda?

– Powtarzasz się, tato.

– Potrzebuje tylko trochę wskazówek, a mógłby stać się dla nas bardzo odpowiednim człowiekiem.

Martine skręciła w stronę garażu pod Kwaterą Główną, wcisnęła guzik pilota i stalowe drzwi zagrzechotały. Wtoczyli się do środka. Opony z kolcami zachrzęściły na betonowej posadzce pustego parkingu.

Pod lampą obok niebieskiego volvo komandora stał Rikard w kombinezonie i rękawicach. Ale Martine nie patrzyła na niego, tylko na wysokiego jasnowłosego mężczyznę, którego od razu poznała.

Zaparkowała obok volvo, ale nie ruszała się z miejsca, szukając czegoś w torebce. Ojciec wysiadł, drzwiczki zostawił otwarte, usłyszała więc głos policjanta:

– Pan Eckhoff? – Dźwięk odbił się od gołych ścian.

– Owszem. Mogę ci w czymś pomóc, młody człowieku?

Martine dobrze znała ton, którego użył ojciec. Życzliwy, ale władczy ton komandora.

– Nazywam się Harry Hole i jestem komisarzem w Komendzie Okręgowej Policji w Oslo. Przyszedłem w związku z jednym z pańskich pracowników. Robertem...

Martine, wysiadając z auta, poczuła na sobie wzrok policjanta.

– ...Karlsenem – dokończył Hole, znów zwracając się do komandora.

– To brat – powiedział David Eckhoff.

– Słucham?

– Traktujemy naszych kolegów jak członków rodziny.

– Rozumiem. W takim razie muszę poinformować o śmierci w rodzinie, panie Eckhoff.

Martine poczuła, że pierś jej się zaciska. Policjant zaczekał, aż jego słowa do nich dotrą, ale zaraz podjął:

– Dziś wieczorem, o siódmej, Robert Karlsen został zastrzelony na Egertorget.

– Dobry Boże! – zawołał Eckhoff. – Jak to?

– Nie wiemy nic poza tym, że nieznany mężczyzna z tłumu zastrzelił go i uciekł.

Komandor z niedowierzaniem kręcił głową.

– Ale... ale o siódmej, tak pan mówi? Dlaczego... dlaczego wcześniej mnie o tym nie poinformowano?

– Ponieważ zwykłą procedurą w podobnych sprawach jest przede wszystkim informowanie krewnych. Niestety, tym razem nie udało nam się ich odszukać.

Martine z rzeczowego, cierpliwego tonu policjanta zrozumiała, że jest przyzwyczajony do podobnych nieistotnych pytań w reakcji na wiadomość o zgonie.

– Rozumiem. – Eckhoff nadął policzki i wypuścił powietrze przez usta. – Rodzice Roberta nie mieszkają już w Norwegii. Ale powinien pan znaleźć jego brata, Jona.

– Nie ma go w domu, a komórka nie odpowiada. Ktoś mi podpowiedział, że może jest tu, w Kwaterze Głównej, i pracuje do późna. Ale tutaj zastałem tylko tego młodego człowieka. – Ruchem głowy wskazał na Rikarda, który stał niczym smutny goryl o szklanym spojrzeniu, z rękami w wielkich roboczych rękawicach zwieszonymi wzdłuż boków i z sinoczarną górną wargą błyszczącą od potu.

– Ma pan jakiś pomysł, gdzie znajdę tego brata? – spytał policjant.

Martine i jej ojciec popatrzyli na siebie i pokręcili głowami.

– A jakiś pomysł na to, kto mógł chcieć zabić Roberta Karlsena?

Znów zaprzeczyli.

– No cóż, w każdym razie już o tym wiecie. Spieszy nam się, ale chcielibyśmy wrócić tu jutro i zadać więcej pytań.

– Oczywiście, komisarzu – odparł komandor, prostując się. – Ale zanim pan odejdzie, poproszę o więcej szczegółów.

– Proszę spróbować w telegazecie. Ja już muszę biec.

Martine widziała, jak kolor twarzy jej ojca się zmienia. Spojrzała na policjanta.

– Przykro mi – powiedział Hole. – Czas to bardzo ważny czynnik w tej fazie śledztwa.

– Może... może pan próbować u mojej siostry, Thei Nilsen.

Wszyscy troje jak na komendę odwrócili się do Rikarda, a on przełknął ślinę.

– Thea mieszka na Gøteborggata, w kamienicy należącej do Armii.

Policjant pokiwał głową. Już miał odejść, ale jeszcze odwrócił się do Eckhoffa.

– Dlaczego rodzice Roberta Karlsena nie mieszkają już w Norwegii?

– To długa historia. Odpadli.

– Odpadli?

– Stracili wiarę. Ludzie, którzy wyrośli w Armii, po wybraniu innej drogi często napotykają trudności.

Martine przyglądała się ojcu, lecz nawet ona, jego córka, nie potrafiła wyśledzić kłamstwa w tej twarzy wykutej z granitu. Policjant odwrócił się tyłem, a ona poczuła pierwsze łzy napływające do oczu. Kiedy odgłos oddalających się kroków zamarł, Rikard chrząknął.

– Schowałem zimowe opony do bagażnika.

Wiadomość, która rozległa się z głośników w Porcie Lotniczym Oslo, ani trochę go nie zaskoczyła:

– *Due to weather conditions, the airport has been temporarily closed.*

Nie ma dramatu, powiedział sobie, tak jak mówił, kiedy godzinę wcześniej podano pierwszy komunikat mówiący o przesunięciu lotu z powodu opadów śniegu.

Czekali, a śnieg okładał stojące na zewnątrz samoloty miękkimi kocami.

Odruchowo rozglądał się za ludźmi w mundurach. Wyobrażał sobie, że na lotnisku muszą być umundurowani. I kiedy kobieta za kontuarem przy wyjściu czterdzieści dwa podniosła mikrofon, poznał to po jej mimice. Już wiedział, że lot do Zagrzebia odwołano. Przepraszała. Powiedziała, że został przeniesiony na jutro, na dziesiątą czterdzieści. Rozległ się jednogłośny, ale stłumiony jęk pasażerów. Stewardesa zaćwierkała, że pasażerom podróżującym tranzytem lub posiadającym bilet powrotny linie lotnicze zapewnią powrót do Oslo i miejsce w hotelu SAS-u.

Nie ma dramatu, powtórzył, gdy pociąg mknął przez spowity nocnym mrokiem pejzaż. Zatrzymał się tylko w jednym miejscu przed Oslo, przy skupisku domów na białym polu. Na peronie pod ławką trząsł się pies, a w snopach światła padał śnieg. Pies był podobny do Tinta, wesołego bezpańskiego kundla, który wałęsał się po okolicy w Vukovarze, kiedy był jeszcze dzieckiem. Giorgi i paru innych starszych chłopców założyło mu obrożę z napisem: „Imię: Tinto. Właściciel: *Svi*". Wszyscy. Nikt nie chciał wyrządzić Tintowi żadnej krzywdy. Nikt. Ale czasami to za mało.

Pociąg jęknął przeciągle i znów ruszyli w śnieżycę.

Jon przemieścił się w ten kraniec pokoju, którego nie było widać od drzwi do mieszkania Thei, kiedy ona poszła otworzyć. Rozległ się głos Emmy, sąsiadki:

– Bardzo cię przepraszam, Theo, ale ten człowiek twierdzi, że bardzo mu zależy na znalezieniu Jona Karlsena.

– Jona?

Męski głos:

– Tak. Uzyskałem informację, że być może zastanę go u osoby, która nazywa się Thea Nilsen, pod tym adresem. Przy domofonie nie było żadnych nazwisk, ale ta pani zechciała mi pomóc.

– Jon tutaj? Nie wiem, w jaki sposób...

– Jestem z policji. Nazywam się Harry Hole. Chodzi o brata Jona.

– Roberta?

Jon stanął w drzwiach. Z klatki patrzył na niego mężczyzna o jasnych niebieskich oczach, dorównujący mu wzrostem.

– Robert zrobił coś złego? – spytał, starając się zignorować sąsiadkę, która wspięła się na palce, żeby móc zajrzeć do środka ponad ramieniem policjanta.

– Tego nie wiemy – odparł policjant. – Czy mogę wejść?

– Proszę – powiedziała Thea.

Wszedł i zamknął drzwi przed nosem wyraźnie rozczarowanej sąsiadki.

– Obawiam się, że przynoszę złe wiadomości. Może powinniście usiąść.

Wszyscy troje zajęli miejsca wokół niskiego stołu w salonie. Kiedy policjant powiedział, co się stało, Jon miał wrażenie, że otrzymał cios w brzuch, i odruchowo zgiął się wpół.

– Nie żyje? – usłyszał szept Thei. – Robert nie żyje?

Policjant odchrząknął i mówił dalej. Do Jona słowa docierały pod postacią mrocznych, tajemniczych, wręcz niezrozumiałych dźwięków. Słuchając, jak policjant wyjaśnia okoliczności, przez cały czas wzrok miał utkwiony w jeden punkt. W półotwarte usta Thei. W jej wargi, lekko błyszczące, wilgotne i czerwone. Oddech miała krótki, urywany. Jon nie zorientował się, że policjant przestał mówić, dopóki nie usłyszał głosu Thei:

– Jon! On cię o coś spytał.

– Przepraszam. Ja... O co pytałeś?

– Wiem, że to trudny moment, ale zastanawiałem się, czy nie wiesz o kimś, komu mogło zależeć na śmierci twojego brata.

– Roberta? – Jon miał wrażenie, że wszystko dzieje się na zwolnionym filmie. Nawet jego własne kręcenie głową.

– No tak. – Policjant nic nie zapisał w wyjętym przed chwilą notatniku. – A czy coś w jego życiu zawodowym lub prywatnym mogło przysporzyć mu wrogów?

Jon usłyszał swój śmiech, bardzo nie na miejscu.

– Robert jest w Armii Zbawienia. Naszym wrogiem jest ubóstwo. Materialne i duchowe. Rzadko ktoś nam odbiera życie z tego powodu.

– Tyle o pracy, a jeśli chodzi o życie prywatne?

– To dotyczyło również życia prywatnego.

Policjant czekał.

– Robert był dobry. – Jon poczuł, że głos zaczyna mu się załamywać. – Lojalny. Wszyscy lubili Roberta. – Głos nie wytrzymał.

Policjant omiótł wzrokiem pokój. Nie wyglądał na zadowolonego z sytuacji, ale czekał. I czekał.

A Jon przełykał i przełykał ślinę.

– Czasami potrafił być trochę szalony. Trochę... impulsywny. No i niektórzy mogli go uważać za cynika. Ale to był po prostu sposób bycia. W głębi ducha Robert był łagodnym chłopakiem.

Policjant odwrócił się do Thei i zajrzał do notatnika.

– Ty jesteś Thea Nilsen, siostra Rikarda Nilsena, o ile dobrze rozumiem. Czy ta opinia zgadza się z twoim odbiorem Roberta Karlsena?

Thea wzruszyła ramionami.

– Ja nie znałam Roberta aż tak dobrze. On... – Założyła ręce na piersi, unikając spojrzenia Jona. – Z tego co wiem, nigdy nikogo nie skrzywdził.

– Czy Robert wspominał coś, co mogło wskazywać, że wszedł z kimś w konflikt?

Jon mocno pokręcił głową, jakby próbował się czegoś pozbyć. Robert nie żył. Nie żył.

– Czy Robert był winien komuś pieniądze?

– Nie. To znaczy tak. Mnie. Trochę.

– Na pewno nie był nic winien nikomu innemu?

– O co chodzi?

– Czy Robert zażywał narkotyki?

Jon spojrzał na policjanta z niedowierzaniem, zanim odpowiedział:

– Absolutnie nie.

– Skąd taka pewność? Nie zawsze...

– My pracujemy z narkomanami. Znamy objawy. Robert nie zażywał narkotyków. W porządku?

Policjant pokiwał głową i coś zapisał.

– Przepraszam, ale musimy zadawać takie pytania. Oczywiście nie możemy wykluczyć, że ten, kto strzelał, jest po prostu niezrównoważony psychicznie, a Robert był przypadkowo wybraną ofiarą. Albo że jako żołnierz Armii Zbawienia, dyżurujący przy świątecznym kociołku-skarbonce na Egertorget, stał się niemalże symbolem, a zabójstwo było skierowane przeciwko waszej organizacji. Czy wiecie o czymś, co mogłoby poprzeć tę teorię?

Młodzi, jak zsynchronizowani, oboje pokręcili głowami.

– Dziękuję za pomoc. – Policjant schował notatnik do kieszeni płaszcza i wstał. – Nie mamy żadnego numeru telefonu ani adresu waszych rodziców...

– Sam się tym zajmę – powiedział Jon, wciąż patrząc przed siebie pustym wzrokiem. – Jesteście najzupełniej pewni?

– Pewni czego?

– Że to Robert.

– Obawiam się, że tak.

– Ale tylko tego jesteście pewni – odezwała się nagle Thea. – Poza tym nic nie wiecie.

Policjant zatrzymał się przy drzwiach i zastanowił.

– To chyba rzeczywiście bardzo trafne podsumowanie sytuacji.

O drugiej w nocy śnieg przestał padać. Chmury, do tej pory wiszące nad miastem niczym czarna ciężka kurtyna, odsunęły się na bok, a na scenę wkroczył duży żółty księżyc. Pod nagim niebem temperatura znów zaczęła spadać, aż trzaskały i skrzypiały ściany domów.

10 CZWARTEK, 17 GRUDNIA. WIARA

Siódmy dzień przed Bożym Narodzeniem przyniósł zimno, które niczym stalowa rękawica dławiło ludzi poruszających się po ulicach Oslo szybko i w milczeniu, skupionych wyłącznie na tym, by dotrzeć tam, gdzie mogliby się wyrwać z oków mrozu.

Harry siedział w sali konferencyjnej w czerwonej strefie Budynku Policji i słuchał przygnębiającego referatu Beate Lønn, próbując jednocześnie zignorować gazety leżące przed nim na stole. We wszystkich sprawa zabójstwa trafiła na pierwszą kolumnę, we wszystkich zamieszczono niewyraźne zdjęcie z pogrążonego w zimowej ciemności Egertorget. I odesłanie do dwóch albo trzech stron wewnątrz gazety. „VG” i „Dagbladet” zdołały na podstawie przypadkowych rozmów z przyjaciółmi i znajomymi sklecić coś,

co przy pewnej dawce dobrej woli dawało się nazwać portretem Roberta Karlsena. „Fajny facet". „Zawsze gotowy do pomocy". „Tragedia". Harry dokładnie je przeczytał, nie znajdując kompletnie nic, co przedstawiałoby jakąkolwiek wartość. Nikomu nie udało się odszukać rodziców, a „Aftenposten" jako jedyna z gazet cytowała Jona: „Niepojęte", brzmiała krótka wypowiedź pod zrobionym przed kamienicą na Gøteborggata zdjęciem chłopaka z rozczochranymi włosami o twarzy wyrażającej szok. Artykuł podpisał stary znajomy, Roger Gjendem.

Harry przez rozdarcie w dżinsach podrapał się po udzie i pomyślał, że powinien był włożyć kalesony. Kiedy dotarł do pracy o pół do ósmej, poszedł do Hagena z pytaniem, kto będzie kierował śledztwem. Hagen popatrzył na niego i odparł, że po naradzie z naczelnikiem Biura Kryminalnego wybór padł na Harry'ego. Na razie. Harry nie poprosił o żadne głębsze wyjaśnienie, co ma oznaczać „na razie", tylko kiwnął głową i wyszedł.

Dwanaścioro śledczych z Wydziału Zabójstw plus Beate Lønn i Gunnar Hagen, który chciał „tylko posłuchać", siedziało razem od dziesiątej.

A podsumowanie Thei Nilsen z poprzedniego wieczoru wciąż obowiązywało.

Po pierwsze, nie mieli żadnych świadków. Żadna z osób znajdujących się na Egertorget nie zauważyła nic istotnego. Wciąż przeglądano filmy z kamer monitoringu w okolicy, ale na razie nic im to nie dało. Nikt z pracowników sklepów czy restauracji na Karl Johan, z którymi rozmawiali, nie zauważył nic szczególnego, a żaden inny świadek się nie zgłosił. Beate, której już poprzedniego wieczoru przesłano z „Dagbladet" zdjęcia publiczności, miała do powiedzenia jedynie to, że albo zrobiono je z bliska grupkom

uśmiechniętych dziewczynek, albo też były to zdjęcia z daleka, zbyt ziarniste, by dało się odróżnić rysy twarzy. Powiększyła fragmenty przedstawiające publiczność naprzeciwko Roberta Karlsena, ale nie dostrzegła żadnej broni ani innego elementu, który pomógłby zidentyfikować poszukiwaną osobę.

Po drugie, nie mieli żadnych śladów technicznych oprócz ekspertyzy balistycznej z Wydziału Techniki Kryminalistycznej, stwierdzającej, że kula, która wtargnęła do wnętrza głowy Roberta Karlsena, była w istocie ściśle powiązana ze znalezioną łuską.

A po trzecie, nie mieli motywu.

Beate skończyła i Harry przekazał głos Magnusowi Skarremu.

– Rozmawiałem rano z szefową sklepu Fretex na Kirkeveien, gdzie pracował Robert Karlsen. – Los, lubujący się w kiepskich żartach, sprawił, że Skarre nie wymawiał „r". – Była załamana. Powiedziała, że Roberta wszyscy lubili, że był czarujący i zawsze miał dobry humor. Przyznała jednak, że czasami potrafił być nieobliczalny. Na przykład bez uprzedzenia nie przychodził do pracy. Ale w głowie jej się nie mieściło, żeby mógł mieć jakichś wrogów.

– Taka sama laurka od tych, z którymi ja rozmawiałem – powiedział Halvorsen.

Gunnar Hagen przez cały ten seans siedział z rękami na karku i patrzył na Harry'ego z wyczekującym uśmiechem, jakby był widzem na pokazie iluzjonisty i tylko czekał, aż Harry wyciągnie królika z cylindra. Ale żaden z takich rekwizytów się nie pojawił. Były tylko stałe mieszkanki: teorie.

– Jakieś domysły? – spytał Harry głośno. – Mówcie. Teraz wolno się wygłupić. Po zakończeniu zebrania zezwolenie zostanie cofnięte.

– Zastrzelony w publicznym miejscu w środku dnia – odezwał się Skarre. – Tylko w jednej branży robi się takie rzeczy. To

profesjonalnie wykonana egzekucja. Ku przestrodze dla innych, którzy nie rozliczą się z długów za narkotyki.

– No dobrze – powiedział Harry. – Ale żaden z wywiadowców z Wydziału Narkotykowego nigdy nie słyszał o Robercie Karlsenie. Miał czystą kartotekę. Nic na niego nie ma ani w Rejestrze Karnym, ani w naszych rejestrach wewnętrznych. Czy ktoś z was słyszał o ćpunach bez pieniędzy, którzy nigdy za nic do nas nie trafili?

– No i Zakład Medycyny Sądowej nie znalazł żadnych śladów nielegalnych substancji w próbkach krwi – dodała Beate. – Nikt też nie wspomniał o śladach zastrzyków i podobnych rzeczach.

Hagen chrząknął, zebrani odwrócili się do niego.

– To oczywiste, żołnierz Armii Zbawienia nie może być w coś podobnego zamieszany. Idźcie dalej.

Harry zobaczył, że Magnusowi Skarremu wystąpiły na czole czerwone plamy. Skarre, nieduży facet, były gimnastyk sportowy, miał gładkie ciemnoblond włosy i przedziałek na boku. Był jednym z najmłodszych śledczych, aroganckim i ambitnym karierowiczem, pod wieloma względami przypominającym młodego Toma Waalera. Nie posiadał jednak wyjątkowej inteligencji Waalera i talentu do pracy w policji. W ostatnim roku jednak ambicje Skarrego trochę spiłowano i Harry nie wykluczał, że chłopak z czasem może zostać dobrym policjantem.

– Ale z drugiej strony Robert Karlsen lubił, zdaje się, eksperymentować – powiedział Harry. – A wiemy, że w sklepach Freteksu pracują narkomani odbywający karę w systemie otwartym. Ciekawość i dostępność to marna kombinacja.

– No właśnie – podchwycił Skarre. – A kiedy spytałem tę kobietę z Freteksu, czy Robert jest singlem, odparła, że tak jej się wydaje, chociaż parę razy zaglądała tam jakaś cudzoziemka i pytała o niego, ale wydawała jej się za młoda. Kobieta przypuszczała,

że dziewczyna pochodzi gdzieś z byłej Jugosławii. Założę się, że to Albanka z Kosowa.

– Dlaczego? – spytał Hagen.

– Albanka z Kosowa. Narkotyki, prawda?

– Halo, halo! – Hagen zakołysał się na krześle. – To mi wygląda na jakieś bardzo silne uprzedzenia, młody człowieku.

– Słusznie – powiedział Harry. – Ale nasze uprzedzenia pozwalają nam rozwiązywać sprawy, ponieważ nie są oparte na braku wiedzy, tylko na suchych faktach i doświadczeniu. Dlatego w tym pokoju zastrzegamy sobie prawo do dyskryminowania wszystkich, bez względu na rasę, religię i płeć. Naszą jedyną obroną jest to, że dyskryminujemy nie tylko najsłabszych w społeczeństwie.

Halvorsen wyszczerzył zęby. Słyszał tę zasadę już wcześniej.

– Geje, aktywni członkowie związków wyznaniowych i kobiety są, statystycznie rzecz ujmując, bardziej praworządni niż heteroseksualni mężczyźni między osiemnastym a sześćdziesiątym rokiem życia. Ale jeśli kobieta, lesbijka, nawet religijna, jest Albanką z Kosowa, to prawdopodobieństwo, że sprzedaje narkotyki, jest większe niż w wypadku tłustego, mówiącego po norwesku brzydala z tatuażem na czole jeżdżącego na wypasionym motocyklu. Jeśli więc musimy wybierać, a musimy, to ściągniemy najpierw na przesłuchanie tę Albankę. Że to niesprawiedliwe wobec praworządnych Kosowian? Oczywiście. Ale ponieważ pracujemy, opierając się na przypuszczeniach i przy ograniczonych środkach, nie stać nas na rezygnowanie z wiedzy tam, gdzie możemy ją znaleźć. Gdyby doświadczenie nas nauczyło, że duży procent przyłapanych na przemycie na lotnisku Gardermoen to użytkownicy wózków inwalidzkich, którzy szmuglują narkotyki w otworach ciała, to każdego bez wyjątku ściągnęlibyśmy z wózka i wyrypali palcem

w gumowej rękawiczce. Tyle że o takich rzeczach nie mówimy prasie.

– Interesująca filozofia, Hole. – Hagen rozejrzał się, żeby sprawdzić reakcję innych, ale zamknięte twarze niczego nie zdradzały. – Wracaj do sprawy.

– Okej – powiedział Harry. – Kontynuujemy poszukiwanie broni tam, gdzie je przerwaliśmy. Ale zwiększymy przeszukiwany obszar do promienia sześciu kwartałów. Dalej przesłuchujemy świadków, obejdziemy też te sklepy w okolicy, które wczoraj były zamknięte. Nie będziemy tracić czasu na oglądanie filmów z monitoringu, dopóki nie zaczniemy w nich szukać czegoś konkretnego. Li i Li, wy macie nakaz przeszukania mieszkania Roberta Karlsena. To gdzieś na Gørbitz' gate, prawda?

Li i Li pokiwali głowami.

– Obejrzyjcie też jego biuro, może tam się znajdzie coś ciekawego. Zabierzcie z obu tych miejsc korespondencję i twarde dyski, żebyśmy mogli zobaczyć, z kim się kontaktował. Rozmawiałem z Centralą Policji Kryminalnej, dzisiaj skontaktują się z Interpolem, sprawdzą, czy w Europie nie było innych spraw podobnych do tej. Halvorsen, ty potem pójdziesz ze mną do Kwatery Głównej Armii Zbawienia. Beate, z tobą chcę porozmawiać po zebraniu. No, do roboty!

Stukanie krzeseł i szuranie stóp.

– Chwileczkę, moi państwo!

Cisza. Popatrzyli na Gunnara Hagena.

– Widzę, że niektórzy z was przychodzą do pracy w dziurawych dżinsach i bluzach reklamujących, jak przypuszczam, klub piłkarski Vålerengen. Możliwe, że poprzedni szef to akceptował, ale ja sobie tego nie życzę. Prasa będzie nas obserwować argusowym okiem. Od jutra chcę widzieć wyłącznie całą, niepodartą odzież bez

jakiejkolwiek reklamy. Mamy publiczność i chcemy się pokazywać jako poważni i neutralni funkcjonariusze. A teraz proszę wszystkich od stopnia komisarza wzwyż o pozostanie.

Kiedy sala opustoszała, zostali w niej tylko Harry i Beate.

– Zamierzam przygotować pismo do wszystkich komisarzy w wydziale o obowiązku noszenia broni od przyszłego poniedziałku – zaczął Hagen.

Harry i Beate popatrzyli na niego z niedowierzaniem.

– Wojna się zaostrza. – Hagen zadarł brodę. – Musimy po prostu przyzwyczaić się do myśli, że w przyszłości broń na służbie będzie konieczna. Dowódcy muszą iść przodem i wskazywać drogę. Broń nie może być obcym elementem, tylko naturalnym narzędziem na równi z telefonem komórkowym i komputerem. Rozumiemy się?

– No cóż – westchnął Harry. – Ja nie mam zezwolenia na broń.

– Zakładam, że to żart – powiedział Hagen.

– Nie poszedłem jesienią na test strzelania. Oddałem broń do depozytu.

– Wobec tego ja ci wydam zezwolenie. Mam do tego prawo. Na swojej półce z pocztą znajdziesz podpisany wniosek o przydział, żebyś mógł pobrać broń. Nikt się nie wywinie. No, ruszajcie do roboty!

Hagen wyszedł.

– On jest kompletnie szalony – stwierdził Harry. – Na co nam, do cholery, broń?

– Trzeba będzie załatać portki i kupić pas rewolwerowy – powiedziała Beate z uśmiechem w oczach.

– Mhm. Chciałbym zerknąć na te zdjęcia Egertorget z „Dagbladet".

– Bardzo proszę. – Podała mu żółtą teczkę. – Mogę cię spytać o jedną rzecz, Harry?

– Oczywiście.

– Dlaczego to robisz?

– Co robię?

– Dlaczego broniłeś Magnusa Skarrego? Przecież wiesz, że to rasista. I absolutnie nie myślisz tego, co powiedziałeś o dyskryminacji. Zrobiłeś to wyłącznie po to, żeby zdenerwować tego nowego szefa? Upewnić się, że od pierwszego dnia stracisz jego sympatię?

Harry otworzył kopertę.

– Oddam ci te zdjęcia później.

Stał w oknie hotelu Radisson SAS na Holbergs plass i patrzył na białe, zastygłe o świcie miasto. Niskie, nieduże budynki. Dziwne, że to stolica jednego z najbogatszych krajów świata. Zamek Królewski, żółta anonimowa budowla, był kompromisem między pietystyczną demokracją a królestwem bez pieniędzy. Przez gałęzie nagich drzew prześwitywał wielki balkon. To pewnie stamtąd król zwracał się do swoich poddanych. Uniósł wyimaginowany karabin na ramię, przymknął oko i wycelował. Balkon natychmiast się rozdwoił.

W nocy śnił mu się Giorgi.

Kiedy pierwszy raz go spotkał, Giorgi kucał przy piszczącym psie. Psem był Tinto, ale kim był ten chłopiec z niebieskimi oczami i jasnymi kręconymi włosami? Wspólnymi siłami ułożyli Tinta w drewnianej skrzynce i zanieśli go do miejskiego weterynarza, który mieszkał w szarym dwuizbowym domu w zarośniętym sadzie nad rzeką. Weterynarz stwierdził, że to na pewno ból zębów, a on nie jest dentystą. Poza tym kto zapłaci za leczenie starego bezpańskiego kundla, któremu zęby i tak niedługo wypadną? Lepiej go uśpić od razu, oszczędzić mu bólu i powolnej śmierci głodowej. Ale wtedy Giorgi zaczął płakać. Jasnym, rozdzierającym serce, niemal melodyjnym płaczem. A kiedy weterynarz spytał, dlaczego

płacze, Giorgi powiedział, że ten pies może być Jezusem, bo ojciec mu mówił, że Jezus czasami ukrywa się wśród nas pod postacią jednego ze swych najmniejszych braci, na przykład żałosnego biednego psa, któremu nikt nie daje schronienia ani pożywienia. Weterynarz, kręcąc głową, zadzwonił do dentysty. Po szkole obaj z Giorgim wrócili do niego, gdzie powitał ich merdający ogonem Tinto, a weterynarz pokazał eleganckie czarne plomby w szczęce psa.

Chociaż Giorgi był o klasę wyżej, później czasem się razem bawili. Ale to trwało zaledwie kilka tygodni, bo zaraz nastały letnie wakacje. A kiedy jesienią szkoła znów się zaczęła, Giorgi jakby o nim zapomniał. W każdym razie udawał, że go nie widzi, jakby nie chciał już mieć z nim do czynienia.

Zapomniał Tinta, ale nigdy Giorgiego. Natomiast kilka lat później, podczas oblężenia, w ruinach na południowym krańcu miasta natknął się na wychudzonego psa. Kundel podszedł do niego z podkulonym ogonem i polizał go w twarz. Nie miał już obroży i dopiero widok czarnych plomb uświadomił mu, że to Tinto.

Popatrzył na zegarek. Autobus, który miał ich zawieźć z powrotem na lotnisko, odjeżdżał za dziesięć minut. Sięgnął po walizkę, ostatni raz rzucił okiem na pokój, upewniając się, czy niczego nie zostawił. Kiedy pchnął drzwi, zaszeleścił papier. Na podłodze w korytarzu leżała gazeta. Ruszył korytarzem i zorientował się, że ten sam dziennik rzucono również pod inne drzwi. Z pierwszej strony biło w oczy zdjęcie z miejsca zbrodni. Nachylił się i podniósł gruby plik z nieczytelną nazwą na „A”, zapisaną gotykiem.

Czekając na windę, próbował coś przeczytać, lecz chociaż pojedyncze słowa przypominały niemiecki, i tak nic nie mógł zrozumieć. Przerzucił jednak na strony wskazane pod zdjęciem. W tej samej chwili drzwi windy się rozsunęły, postanowił więc

odłożyć tę wielką niewygodną gazetę do kosza na śmieci między dwiema windami. Winda jednak okazała się pusta, więc zabrał gazetę, wcisnął „0” i skoncentrował się na zdjęciach. Jego spojrzenie przyciągnął tekst pod jednym z nich. Najpierw nie uwierzył w to, co przeczytał, ale w momencie kiedy winda ruszyła, uświadomił sobie prawdę z tak straszliwą jasnością, że na moment zrobiło mu się czarno przed oczami i musiał oprzeć się o ścianę. Gazeta wyślizgnęła mu się z rąk i w pierwszej chwili nie zauważył nawet, że drzwi windy się otworzyły.

Kiedy wreszcie podniósł głowę, ujrzał przed sobą ciemność i zrozumiał, że trafił do piwnicy, a nie na poziom recepcji, który z jakiegoś powodu oznaczano w tym kraju jedynką.

Wysiadł z windy, drzwi się za nim zasunęły. W ciemności usiadł, próbując się skupić. Wszystko stanęło na głowie. Do odjazdu autobusu na lotnisko zostało osiem minut. Tyle miał czasu na podjęcie decyzji.

– Próbuję obejrzeć te zdjęcia – powiedział Harry z rezygnacją.

Halvorsen podniósł głowę znad biurka ustawionego naprzeciwko Harry’ego.

– Bardzo cię proszę.

– To może mógłbyś przestać pstrykać? Co to właściwie jest?

– O to ci chodzi? – Halvorsen spojrzał na swoje palce, pstryknął i zaśmiał się zażenowany. – To taki stary nawyk.

– Tak?

– Mój ojciec był fanem Lwa Jaszyna, tego rosyjskiego bramkarza, popularnego w latach sześćdziesiątych.

Harry czekał na dalszy ciąg.

– Ojciec koniecznie chciał, żebym został bramkarzem w Steinkjer. Kiedy byłem mały, pstrykał mi między oczami, o, tak. Żeby mnie

zahartować, żebym się nie bał strzałów. Podobno ojciec Jaszyna tak robił. Jak nie mrugnąłem, dostawałem kostkę cukru.

Po tych słowach w pokoju zapadła totalna cisza.

– Żartujesz – powiedział w końcu Harry.

– Nie, taką brązową, pyszną.

– Myślałem o tym pstrykaniu. To prawda?

– Oczywiście. Pstrykał cały czas. Przy obiedzie, kiedy oglądaliśmy telewizję, nawet kiedy koledzy przychodzili. W końcu sam zacząłem sobie pstrykać. Na wszystkich szkolnych workach pisałem „Jaszyn". Wydrapałem to też na ławce. Nawet teraz, w komputerze, kiedy gdzieś trzeba podać hasło, zawsze wpisuję „Jaszyn". Chociaż wiem, że zostałem zmanipulowany, rozumiesz?

– Nie. A to pstrykanie pomogło?

– Tak. Nie boję się strzałów.

– To znaczy, że...

– Nie. Okazało się, że nie mam talentu do piłki.

Harry ścisnął palcami górną wargę.

– Znajdujesz coś na tych zdjęciach? – zainteresował się Halvorsen.

– Nic nie znajdę, dopóki będziesz siedział i pstrykał. I gadał.

Halvorsen powoli pokręcił głową.

– Czy my nie mieliśmy iść do Kwatery Głównej Armii Zbawienia?

– Owszem, jak skończę. Halvorsen!

– Co?

– Czy ty musisz oddychać... tak dziwnie?

Halvorsen zacisnął usta i wstrzymał oddech. Harry podniósł wzrok i prędko go spuścił. Halvorsenowi wydało się, że widzi lekki uśmiech, ale nie założyłby się, czy naprawdę tak było. Uśmiech zresztą zaraz zniknął i na czole komisarza pojawiła się głęboka zmarszczka.

– Chodź to zobaczyć, Halvorsen!

Halvorsen obszedł biurko. Przed Harrym leżały dwa zdjęcia. Oba przedstawiały publiczność na Egertorget.

– Widzisz tego w czapce i apaszce na szyi, tu, z boku? – Harry wskazał na ziarnistą twarz. – On w każdym razie stoi na wprost Roberta Karlsena. Całkiem z boku w stosunku do muzyków, prawda?

– No tak...

– A teraz popatrz na to drugie zdjęcie. Tutaj. Ta sama czapka i apaszka, ale teraz stoi na środku, na wprost zespołu.

– To takie dziwne? Pewnie przeszedł na środek, żeby lepiej widzieć i słyszeć.

– Może. Ale jeśli zrobił odwrotnie?

Halvorsen nie odpowiedział, więc Harry ciągnął:

– Nie zamienia się miejsca przy orkiestrze na boczne, z głową w głośniku, z którego prawie nie widać zespołu. Chyba że ma się ku temu dobry powód.

– Na przykład chce się kogoś zastrzelić?

– Przestań sobie żartować.

– No dobrze, ale nie wiesz, które z tych zdjęć zostało zrobione najpierw. Założę się, że on się przesunął na środek.

– Ile stawiasz?

– Dwie stówy.

– Dobra. No to popatrz na światło pod latarnią, która jest na obu zdjęciach. – Harry podał Halvorsenowi szkło powiększające. – Widzisz jakąś różnicę?

Halvorsen z namysłem kiwnął głową.

– Śnieg – wyjaśnił Harry. – Na tym zdjęciu, gdzie on stoi z boku, śnieg już zaczął padać. A wczoraj, kiedy śnieg już raz zaczął padać, to przestał dopiero w środku nocy. Znaczy, że to zdjęcie zrobiono jako ostatnie. Zadzwonimy do tego Wedloga z „Dagbladet". Jeśli używał

cyfrowego aparatu z wbudowanym zegarem, to może nam poda dokładny czas.

Hans Wedlog z „Dagbladet” należał do tych, którzy wciąż trzymali się lustrzanek i klisz, dlatego musiał rozczarować komisarza Holego w kwestii dokładnej godziny zrobienia poszczególnych zdjęć.

– No dobrze – powiedział Harry. – Ale czy to również ty robiłeś zdjęcia podczas koncertu przedwczoraj?

– Tak. Razem z Rødbergiem obstawiam całą tę imprezę z ulicznymi muzykantami.

– Skoro używasz klisz, to pewnie masz gdzieś zdjęcia publiczności z tego przedwczorajszego koncertu?

– Mam. A gdybym używał cyfrówki, to dawno już bym je skasował.

– Tak właśnie myślałem. Chciałem cię też prosić o przysługę.

– Tak?

– Mógłbyś zerknąć na te zdjęcia publiczności z przedwczoraj i sprawdzić, czy znajdziesz na nich faceta w wełnianej czapce i czarnej przeciwdeszczowej kurtce? Z apaszką na szyi? Siedzimy właśnie nad twoim zdjęciem, na którym on jest. Halvorsen może je zeskanować i ci wysłać, jeśli jesteś gdzieś w pobliżu komputera.

Harry zorientował się, że Wedlog się waha.

– Zdjęcia mogę wam wysłać, owszem, ale oglądanie ich to chyba praca policyjna, a jako człowiek z prasy nie chciałbym się do tego za bardzo mieszać.

– Zrozum, trochę nam się spieszy. Chcesz zdjęcie pokazujące, kogo policja szuka w tej sprawie, czy nie chcesz?

– Mam rozumieć, że pozwolisz nam to wykorzystać?

– No właśnie.

W głosie Wedloga pojawiło się ożywienie.

– Jestem teraz w laboratorium, więc mogę sprawdzić od razu. Zawsze robię mnóstwo zdjęć publiczności, więc jest nadzieja. Daj mi pięć minut.

Halvorsen zeskanował i wysłał zdjęcie, a Harry, czekając na odpowiedź, siedział i bębnił palcami o blat.

– Skąd u ciebie taka pewność, że on tam był dzień wcześniej? – spytał Halvorsen.

– Nie mam żadnej pewności – odparł Harry. – Ale jeśli Beate ma rację i mamy do czynienia z zawodowcem, to powinien przeprowadzić rozpoznanie. Najlepiej w porze, kiedy warunki są jak najbardziej zbliżone do zaplanowanego momentu zabójstwa. A poprzedniego wieczoru też był koncert uliczny.

Pięć minut minęło. Dopiero po jedenastu zadzwonił telefon.

– Mówi Wedlog. *Sorry*. Nie ma żadnej czapki, żadnej kurtki ani żadnej apaszki.

– Jasna cholera! – zaklął Harry głośno i wyraźnie.

– Przykro mi. Przesłać ci je, żebyś sam mógł sprawdzić? Tamtego wieczoru ustawiłem jeden reflektor na publiczność, więc lepiej widać twarze.

Harry się wahał. Ustalenie priorytetów było bardzo ważne, szczególnie w krytycznej pierwszej dobie.

– Przyślij, później na nie zerkniemy – powiedział i już chciał podać Wedlogowi swój adres mailowy. – A zresztą wyślij raczej te zdjęcia do Lønn z Techniki Kryminalistycznej. Ona ma lepsze pojęcie o twarzach, może coś jej się uda zobaczyć. – Podał Wedlogowi adres. – Tylko żeby jutro w gazecie nie było nic o mnie, okej?

– Nie, nie, będzie „anonimowe źródło w policji". Przyjemnie robić z tobą interesy.

Harry odłożył słuchawkę i kiwnął głową Halvorsenowi, który siedział z szeroko otwartymi oczami.

– Okej, junior. No to jedziemy do kwatery Armii Zbawienia.

Halvorsen zerkał na Harry'ego, który nie potrafił ukryć zniecierpliwienia, gdy przestępując z nogi na nogę, przyglądał się tablicy z ogłoszeniami o spotkaniach z wędrownymi kaznodziejami, próbach zespołów muzycznych i listami dyżurów. Wreszcie siwowłosa recepcjonistka w mundurze przestała odbierać telefony i z uśmiechem zwróciła się do nich.

Harry krótko przedstawił sprawę, z jaką przyszli. Porozumiewawczo skinęła wtedy głową, jakby ich oczekiwała, i wskazała drogę.

W milczeniu czekali na windę, ale Halvorsen dostrzegał kropelki potu na czole komisarza. Wiedział, że Harry nie lubi wind. Kiedy wysiedli na piątym piętrze, Halvorsen musiał biec za Harrym żółtym korytarzem kończącym się otwartymi drzwiami do biura. Tam Harry zatrzymał się tak gwałtownie, że Halvorsen wpadł mu na plecy.

– Cześć – powiedział Harry.

– Cześć – odparł mu kobiecy głos. – To znowu ty?

Potężna postać Harry'ego zapełniła drzwi, uniemożliwiając Halvorsenowi zobaczenie osoby, z którą Harry rozmawia, ale wyczuł zmianę w jego głosie.

– No tak, najwyraźniej tak. Jest komandor?

– Czeka na was. Wejdźcie.

Halvorsen poszedł za Harrym przez mały sekretariat i zdążył kiwnąć głową drobnej dziewczynie siedzącej za biurkiem. Ściany w gabinecie komandora zdobiły drewniane tarcze, maski i włócznie. Na zapełnionych książkami półkach stały afrykańskie figurki z drewna i zdjęcia osób będących, jak sądził Halvorsen, rodziną komandora.

– Dziękujemy, że zechciał pan nas przyjąć tak szybko, panie Eckhoff – powiedział Harry. – To jest sierżant Halvorsen.

– Tragiczna historia. – Eckhoff wstał zza biurka i rozkładając ręce, wskazał dwa krzesła. – Prasa uczepiła się nas już od rana. Mówcie, co wam się na razie udało ustalić.

Harry i Halvorsen wymienili spojrzenia.

– Na razie nie chcemy tego ujawniać.

Brwi komandora opadły groźnie ku oczom, a Halvorsen bezgłośnie westchnął, szykując się na jeszcze jedną kogucią walkę Harry'ego. Ale brwi komandora zaraz się podniosły.

– Proszę mi wybaczyć, Hole. To taka choroba zawodowa. Jako naczelny wódz czasami zapominam, że nie każdy ma obowiązek składania mi raportów. Czym wam mogę służyć?

– Krótko mówiąc, chciałbym wiedzieć, czy jest pan w stanie wyobrazić sobie jakiś ewentualny motyw tego, co się stało.

– Hm. Oczywiście dużo się nad tym zastanawiałem. I trudno mi znaleźć powód. Robert był bałaganiarzem, ale miłym chłopakiem, zupełnie innym niż jego brat.

– Jon nie jest miły?

– Nie jest bałaganiarzem.

– W jaki rodzaj bałaganu był zamieszany Robert?

– Zamieszany? Robi pan aluzje do czegoś, o czym nie wiem. Chodziło mi jedynie o to, że Robert nie miał wyznaczonego kierunku w życiu, w przeciwieństwie do brata. Dobrze znałem ich ojca. Josef był jednym z naszych najlepszych oficerów. No ale stracił wiarę.

– Mówił pan, że to długa historia. Da się przedstawić skróconą wersję?

– Dobre pytanie. – Komandor westchnął ciężko i wyjrzał przez okno. – Josef pracował w Chinach podczas powodzi. Mało kto

słyszał tam o Bogu. Ludzie ginęli jak muchy. Według Josefa każdy, kto nie przyjął Jezusa, miał nie dostąpić zbawienia, tylko smażył się w piekle. Tak Josef rozumiał Biblię. To się działo w prowincji Hunan. Rozdawali leki. W wyniku powodzi żmije Russella pływały wszędzie. Ukąsiły wielu ludzi. Chociaż Josef i jego zespół zabrali ze sobą całe opakowanie surowicy, z reguły przybywali za późno, bo ta żmija ma jad hemotoksyczny, który rozpuszcza ścianki naczyń krwionośnych i ukąszony człowiek zaczyna krwawić z oczu, uszu i wszystkich innych otworów ciała. Umiera w ciągu godziny albo dwóch. Sam byłem świadkiem działania tego jadu, kiedy pracowałem jako misjonarz w Tanzanii i widziałem ludzi ukąszonych przez węże boomslang. Straszny widok.

Eckhoff na moment zamknął oczy.

– No nic. W jednej z wiosek Josef i jego pielęgniarka podawali penicylinę bliźniętom chorym na zapalenie płuc. Kiedy się tym zajmowali, przyszedł ojciec dzieci, którego właśnie ukąsiła żmija Russella, pływająca w wodzie na polu ryżowym. Josefowi została tylko jedna dawka surowicy. Kazał pielęgniarce napełnić strzykawkę i zrobić zastrzyk temu człowiekowi. Sam wyszedł się wypróżnić, bo tak jak wszyscy, którzy tam przebywali, miał biegunkę i skurcze żołądka. I kiedy kucał w wodzie, którą przyniosła wezbrana rzeka, żmija ukąsiła go w jądra. Przewrócił się w wodę, krzycząc tak głośno, że wszyscy zrozumieli, co się stało. Kiedy znalazł się pod dachem, pielęgniarka powiedziała, że Chińczyk poganin nie zgodził się na zastrzyk, bo skoro Josef też został ukąszony, to jemu powinno się podać surowicę. Mówił, że jeśli Josef przeżyje, będzie mógł uratować więcej dzieci, a on był tylko wieśniakiem, który nie miał już nawet własnej zagrody. – Eckhoff głęboko odetchnął. – Josef mi opowiadał, że ogarnięty strachem nawet się nie zastanawiał, czy nie odmówić, tylko kazał

pielęgniarce od razu zrobić sobie zastrzyk. Potem zaczął płakać, a tamten chiński wieśniak próbował go pocieszać. A kiedy Josef w końcu zdołał wziąć się w garść i kazał pielęgniarce spytać poganina, czy słyszał o Jezusie, nie zdążyła nawet zadać pytania, bo spodnie tego chłopa zrobiły się czerwone. Umarł w ciągu kilku chwil.

Eckhoff patrzył na nich, czekając, aż historia do nich dotrze.

Wyćwiczona pauza kaznodziei, pomyślał Harry.

– Więc ten człowiek teraz smaży się w piekle?

– W przekonaniu Josefa Karlsena tak. W jego rozumieniu Biblii. To znaczy Josef odrzucił już jej tekst.

– A więc taki był powód, dla którego stracił wiarę i wyprowadził się z kraju?

– Tak mi powiedział.

Harry pokiwał głową i zaczął mówić z oczami wbitymi w wyciągnięty notatnik.

– Czyli że teraz Josef Karlsen sam będzie się smażył w piekle, ponieważ nie zdołał zaakceptować tego... hm... paradoksu wiary? Dobrze zrozumiałem?

– Wkracza pan na problematyczny pod względem teologicznym obszar, Hole. Jest pan wierzący?

– Nie. Jestem śledczym. Wierzę w dowody.

– A to oznacza?

Harry, wahając się, zerknął na zegarek, ale w końcu odpowiedział szybko, głosem bez emocji:

– Mam problemy z religią, która mówi, że wiara sama w sobie zapewnia bilet wstępu do nieba. Czyli z tym, że ideałem ma być zdolność takiego zmanipulowania własnego rozumu, żeby zaakceptował coś, czego nie akceptuje. To ten sam model podporządkowania intelektualnego, którym od zarania dziejów

posługiwały się dyktatury. Idea wyższego rozumu, na którego istnienie nie wymaga się dowodów.

Komandor pokiwał głową.

– Stwierdzenie z dużą dawką refleksji, komisarzu. Oczywiście nie pan pierwszy je przedstawia, a jednak jest wielu ludzi znacznie inteligentniejszych od pana i ode mnie, którzy wierzą. Czy nie uważa pan tego za paradoks?

– Nie – odparł Harry. – Spotykam wielu ludzi znacznie inteligentniejszych ode mnie. Niektórzy z nich odbierają innym życie z powodów, których ani ja, ani oni sami nie rozumieją. Myśli pan, że zabójstwo Roberta mogło być wymierzone przeciwko Armii Zbawienia?

Komandor odruchowo wyprostował się na krześle.

– Jeśli ma pan na myśli grupy interesów politycznych, to wątpię. Zasadą Armii Zbawienia zawsze była polityczna neutralność i pod tym względem jesteśmy bardzo konsekwentni. Nawet podczas drugiej wojny światowej nie wystąpiliśmy z żadną oficjalną krytyką okupacji niemieckiej, tylko staraliśmy się w miarę możności kontynuować dotychczasową pracę.

– Gratuluję – powiedział Halvorsen cierpko, ale Harry posłał mu ostrzegawcze spojrzenie.

– Jedyną pobłogosławioną przez nas inwazją była chyba ta w roku 1888 – ciągnął Eckhoff niewzruszenie. – Kiedy szwedzka Armia Zbawienia zdecydowała się na okupację Norwegii i udało nam się otworzyć pierwszy punkt wydawania darmowej zupy w najuboższej dzielnicy robotniczej Oslo, a mianowicie tam, gdzie teraz stoi wasz Budynek Policji.

– Nikt chyba z tego powodu nie żywi urazy – stwierdził Harry. – Mam wrażenie, że Armia Zbawienia jest teraz bardziej popularna niż kiedykolwiek.

– I tak, i nie – odparł Eckhoff. – Cieszymy się zaufaniem społeczeństwa i wyraźnie to czujemy. Ale z rekrutacją bywa różnie. Jesienią w naszej Szkole Oficerskiej w Asker mieliśmy zaledwie jedenastu kadetów, chociaż w internacie jest miejsce dla sześćdziesięciu. A ponieważ trzymamy się konserwatywnego odczytywania Biblii, na przykład w kwestiach homoseksualizmu, to oczywiście nie cieszymy się jednakową popularnością we wszystkich obozach. Zapewne i my kiedyś do tego dojdziemy, tyle że u nas to się toczy wolniej niż w bardziej liberalnych społecznościach wyznaniowych. Ale wie pan co? Myślę, że w naszych zmiennych czasach nic nie szkodzi, jeśli coś zmienia się nieco wolniej. – Uśmiechnął się do Halvorsena i Harry'ego, jakby się z nim zgodzili. – Tak czy owak, teraz młodsze siły przejmują stery. I, przypuszczam, z młodszymi poglądami. Właśnie zamierzamy zatrudnić nowego szefa administracji, a kandydaci na to stanowisko są bardzo młodzi.

– Czy Robert był jednym z nich? – spytał Harry.

Komandor z uśmiechem pokręcił głową.

– Na to pytanie mogę z całą pewnością odpowiedzieć, że nie. Ale kandydatem jest jego brat Jon. Osoba na tym stanowisku będzie zarządzać znacznymi aktywami, między innymi wszystkimi naszymi nieruchomościami, a Robert nie był człowiekiem, któremu powierza się taką odpowiedzialność. Nie uczęszczał też do Szkoły Oficerskiej.

– Nieruchomości to te na Gøteborggata?

– Mamy ich więcej. Na Gøteborggata mieszkają tylko pracownicy Armii. Ale w innych miejscach, na przykład na Jacob Aalls gate, mieszkają również uchodźcy z Erytrei, Somalii i Chorwacji.

– Mhm. – Harry zerknął na notatnik, stuknął długopisem w podłokietnik i wstał.

– Chyba już i tak zajęliśmy panu dużo czasu, panie Eckhoff.

– Ależ nie, ta sprawa bardzo przejmuje nas wszystkich.

Komandor odprowadził ich do drzwi.

– Czy mogę panu zadać osobiste pytanie, Hole? – spytał. – Gdzieś już pana widziałem. Ja nigdy nie zapominam twarzy.

– Może w telewizji albo w gazecie – odparł Harry. – Było wokół mnie sporo hałasu w związku z zabójstwem Norweżki w Australii.

– Nie, twarze z gazet zapominam. Musiałem gdzieś widzieć pana na żywo.

– Pójdziesz wyprowadzić samochód? – Harry zwrócił się do Halvorsena.

Po wyjściu kolegi popatrzył na komandora.

– Nie mam pewności, ale kiedyś mi pomogliście. Zabraliście mnie zimą z ulicy, kiedy byłem tak pijany, że nie mogłem sam się o siebie zatroszczyć. Żołnierz, który mnie znalazł, chciał początkowo zadzwonić na policję, bo uważał, że oni lepiej się mną zajmą, ale wyjaśniłem, że jestem policjantem i natychmiast by mnie wylali. Zabrał mnie wtedy do „Lazaretu", zrobił zastrzyk i pozwolił się wyspać. Winien wam jestem wielką wdzięczność.

David Eckhoff pokiwał głową.

– Tak właśnie sobie myślałem, ale nie chciałem mówić o tym głośno. A jeśli chodzi o wdzięczność, to na razie to odłóżmy. Powiedzmy, że to my będziemy wam wdzięczni, jeśli znajdziecie zabójcę Roberta. Niech Bóg błogosławi pana i pańską pracę, Hole.

Harry skinął mu głową i wyszedł do sekretariatu, gdzie przez chwilę stał, wpatrzony w zamknięte drzwi do gabinetu Eckhoffa.

– Jesteście do siebie bardzo podobni – odezwał się w końcu.

– Tak? – spytał głęboki kobiecy głos. – Był surowy?

– Mam na myśli zdjęcie, które tam stoi.

– Miałam dziewięć lat – powiedziała Martine Eckhoff. – Nieźle, skoro mnie rozpoznałeś.

Harry pokręcił głową.

– Chciałem się zresztą z tobą skontaktować. Porozmawiać.

– Tak?

Harry zorientował się, jak jego słowa mogły zabrzmieć, więc czym prędzej dodał:

– O tej sprawie z Perem Holmenem.

– A czy tu jest o czym rozmawiać? – Dziewczyna obojętnie wzruszyła ramionami, ale temperatura w jej głosie spadła. – Ty robisz swoją robotę, a ja swoją.

– Może i tak. Ale ja... chciałem tylko powiedzieć, że to nie było tak, jak mogło wyglądać.

– A jak wyglądało?

– Mówiłem ci, że przejmuję się Perem Holmenem. A skończyło się tak, że zniszczyłem to, co zostało z jego rodziny. Taka po prostu bywa czasami moja praca.

Już miała coś odpowiedzieć, ale zadzwonił telefon. Podniosła słuchawkę i słuchała.

– Kościół Vestre Aker – powiedziała. – W poniedziałek, dwudziestego, o dwunastej. Tak.

Odłożyła słuchawkę.

– Wszyscy wybierają się na pogrzeb – wyjaśniła, przerzucając jakieś papiery. – Politycy, duchowni i gwiazdy. Każdy chce z tej żałoby uszczknąć coś dla siebie. Wczoraj zatelefonował menedżer jednej z naszych nowych piosenkarek z propozycją, że artystka zaśpiewa na pogrzebie.

– No cóż. – Harry nie wiedział, co odpowiedzieć. – To...

Ale telefon znów zadzwonił, więc nie musiał nic wymyślać. Zrozumiał, że pora wyjść, skinął Martine głową i ruszył do drzwi.

– Wpisałam Olego na Egertorget na czwartek – usłyszał za plecami. – Tak, za Roberta. Pozostaje więc pytanie, czy możesz

wziąć ze mną autobus z zupą dziś wieczorem.

W windzie zaklął cicho i potarł rękami twarz. Potem zaśmiał się z rezygnacją. Tak jak człowiek się śmieje z marnych klaunów.

Biuro Roberta, o ile to możliwe, wydawało się dzisiaj jeszcze mniejsze. I równie chaotyczne. Sztandar Armii Zbawienia królował obok róż namalowanych przez mróz na szybie, a w blat biurka obok pliku papierów i nieotwartych kopert wbity był składany nóż. Jon siedział przy biurku i przesuwał wzrokiem po ścianach. Zatrzymał się na fotografii, na której byli Robert i on. Skąd to zdjęcie? Zrobiono je na Østgård, oczywiście, ale którego lata? Robert wyglądał tak, jakby starał się zachować powagę, ale musiał się uśmiechnąć. Jego własny uśmiech wyglądał na wymuszony, sztuczny.

Czytał dzisiejsze gazety. Chociaż teraz znał wszystkie szczegóły, cała sprawa wydawała mu się nierzeczywista, jak gdyby dotyczyła kogoś innego, nie Roberta.

Drzwi się otworzyły. Stanęła w nich wysoka blondynka w krótkiej zgniłozielonej kurtce. Miała wąskie bezkrwiste usta, twarde neutralne spojrzenie i twarz bez wyrazu. Zza niej wyglądał rudowłosy niewysoki facet o twarzy jak księżyc w pełni i uśmiechu tego rodzaju, który na twarzach niektórych ludzi wydaje się wyryty na stałe i którym witają zarówno dobre, jak i złe dni.

– Kim pan jest? – spytała kobieta.

– Jon Karlsen – odparł, a ponieważ spojrzenie kobiety stało się jeszcze surowsze, dodał: – Jestem bratem Roberta.

– Przepraszam – powiedziała beznamiętnym głosem. Przestąpiła próg i wyciągnęła rękę. – Toril Li, sierżant policji z Wydziału Zabójstw. – Dłoń miała kościstą, ale ciepłą. – A to sierżant Ola Li.

Mężczyzna skinął mu głową, Jon odpowiedział tak samo.

– Przykro nam z powodu tego, co się stało – ciągnęła policjantka. – Ale ponieważ mamy do czynienia z zabójstwem, musimy zaplombować ten pokój.

Jon nadal kiwał głową, lecz jego spojrzenie wróciło do zdjęcia na ścianie.

– To oznacza, że musimy pana prosić o...

– A tak, oczywiście. Przepraszam, trochę się zamyśliłem.

– To najzupełniej zrozumiałe – powiedziała Toril Li z uśmiechem. Nie z szerokim, serdecznym uśmiechem, tylko z lekkim, życzliwym, jak najbardziej na miejscu. Jon pomyślał, że policjanci muszą mieć doświadczenie w podobnych sytuacjach, przecież pracują przy morderstwach i tego typu sprawach. Tak samo jak duchowni. Jak ojciec.

– Dotykał pan czegoś? – spytała.

– Czy dotykałem? Nie, a po co? Siedziałem tylko na krześle.

Jon wstał i, nie wiedząc dlaczego, wyciągnął składany nóż z blatu, złożył go i wsunął do kieszeni.

– Bardzo proszę – powiedział, wychodząc. Drzwi cicho się za nim zamknęły. Doszedł do schodów i uświadomił sobie, że postąpił idiotycznie, zabierając nóż, odwrócił się więc, żeby go oddać. Pod zamkniętymi drzwiami zatrzymał się, bo usłyszał wesoły głos kobiety:

– O rany, ale się przestraszyłam! Przecież on jest identyczny jak ten jego brat. W pierwszej chwili myślałam, że widzę ducha!

– Wcale nie jest do niego podobny – zaprotestował mężczyzna.

– Bo ty widziałeś tylko zdjęcie!

Jonowi przyszła do głowy straszna myśl.

SK-655 do Zagrzebia wystartował z Portu Lotniczego w Oslo punktualnie o dziesiątej czterdzieści, zakręcił w lewo nad jeziorem Hurdal i skierował się na południe w stronę wieży nawigacyjnej

w Ålborg. Ponieważ dzień był niezwykle zimny, warstwa atmosfery ziemskiej zwana tropopauzą opadła tak nisko, że samolot MD-81 przebił się przez nią już wtedy, gdy mijał centrum Oslo. A ponieważ to w tropopauzie samolot zostawia smugi kondensacyjne na niebie, on mógłby, gdyby podniósł głowę, kiedy stał, trzęsąc się z zimna, przy automatach telefonicznych na Jernbanetorget, zobaczyć samolot, na który bilet miał w kieszeni płaszcza z wielbłądziej wełny.

Zostawił walizkę w boksach do przechowywania bagażu na Dworcu Centralnym. Potrzebował pokoju w hotelu. No i musiał dokończyć robotę. A to oznaczało, że potrzebna mu broń. Ale skąd wziąć broń w mieście, w którym nie ma się żadnego kontaktu?

Wysłuchał telefonistki z biura numerów, która po angielsku ze śpiewnym skandynawskim akcentem tłumaczyła mu, że w Oslo jest siedemnastu Jonów Karlsenów, a ona niestety nie może mu podać adresów ich wszystkich. Za to numer do Armii Zbawienia chętnie mu poda.

Kobieta, która odebrała telefon w Kwaterze Głównej Armii Zbawienia, powiedziała, że u nich jest tylko jeden Jon Karlsen, ale ma dzisiaj wolne. Wyjaśnił więc, że chciałby wysłać prezent gwiazdkowy i spytał o adres domowy.

– Zaraz zobaczymy. Gøteborggata cztery, kod pocztowy 0566. Dobrze, że ktoś myśli teraz o tym biedaku.

– O biedaku?

– No tak, wczoraj zastrzelono jego brata.

– Brata?

– Tak, na Egertorget. Piszą dziś o tym w gazetach.

Podziękował i odłożył słuchawkę.

Coś stuknęło go w ramię. Odwrócił się.

Był to tekturowy kubek, który tłumaczył, w jakiej sprawie zwrócił się do niego młody człowiek. Jego dżinsowa kurtka była wprawdzie trochę brudna, ale pozostałemu ubraniu niczego nie brakowało, miał modnie obcięte włosy, był świeżo ogolony, spoglądał otwarcie i czujnie. Chłopak coś powiedział, a widząc jego wzruszenie ramion na znak, że nie rozumie po norwesku, przerzucił się na płynny angielski:

– *I'm Kristoffer. I need money for a room tonight. Or else I'll freeze to death.*

Zabrzmiało to jak zdanie wyuczone na kursie marketingu. Krótka, zwięźle przedstawiona wiadomość z podaniem imienia gwarantującym skuteczną emocjonalną bliskość. Prośbie towarzyszył szeroki uśmiech.

On pokręcił głową, chciał odejść, ale żebrak z tekturowym kubkiem zagrodził mu drogę.

– *Mister?* Czy kiedykolwiek musiał pan spać na dworze i marznąć tak, że przepłakał pan całą noc?

– *Yes, actually I have.*

Przez moment przypływu szaleństwa miał ochotę opowiedzieć, że kiedyś cztery doby spędził w zalanej wodą lisiej norze, czekając na serbski czołg.

– Wobec tego wie pan, o czym mówię, *mister*.

W odpowiedzi wolno kiwnął głową. Wsunął rękę do kieszeni, wyjął banknot i nie patrząc na niego, podał go Kristofferowi.

– I tak będziesz spał na dworze, prawda?

Kristoffer czym prędzej wetknął banknot do kieszeni i dopiero potem uśmiechnął się przepraszająco.

– Lekarstwo ma priorytet, *mister*.

– A gdzie zwykle wtedy nocujesz?

– Tam. – Ćpun wskazał kierunek długim szczupłym palcem o wypielęgnowanym paznokciu. – W porcie kontenerowym. Latem zaczną tam budować operę. – Znów uśmiechnął się szeroko.

– Nie zimno tam teraz?

– Dziś w nocy może pójdę do Armii Zbawienia. W Schronisku zawsze mają jakieś wolne łóżko.

– Tak?

Popatrzył na chłopaka. Kristoffer wyglądał na zadbanego, a w uśmiechu pokazywał białe zęby. Mimo to cuchnął zgnilizną. A kiedy się wsłuchał, wydało mu się, że słyszy chrzęst tysiąca szczęk pożerających ciało chłopaka od środka.

11 CZWARTEK, 17 GRUDNIA. CHORWAT

Halvorsen za kierownicą cierpliwie czekał, aż stojący przed nimi samochód na rejestracji bergeńskiej, którego kierowca wciskał gaz do dechy na lodzie, wreszcie ruszy. Harry rozmawiał z Beate przez komórkę.

– Co ty mówisz? – spytał Harry głośno, przekrzykując warkot bergeńczyka.

– Że moim zdaniem na tych dwóch zdjęciach nie ma tej samej osoby.

– Mają takie same czapki, takie same kurtki i takie same apaszki na szyi. To chyba musi być ta sama osoba?

Nie odpowiedziała.

– Beate?

– Twarze są niewyraźne. Jest w tym coś dziwnego, nie bardzo wiem co. Może to po prostu kwestia oświetlenia.

– Mhm. Myślisz, że wpadliśmy na fałszywy trop?

– Nie wiem. Jego pozycja tuż przed Karlsenem zgadza się ze śladami technicznymi. Co tak hałasuje?

– Bambi na lodzie. Zdzwonimy się później.

– Zaczekaj!

Harry czekał.

– Jest jeszcze coś – powiedziała Beate. – Oglądałam też te inne zdjęcia. Te z poprzedniego dnia.

– I co?

– Nie znalazłam żadnej twarzy identycznej z tymi, które były tam dzień później. Ale zauważyłam pewien szczegół. Na zdjęciu jest mężczyzna w jakimś takim żółtym płaszczu, może z wielbłądziej wełny. Ma na szyi szalik.

– Mhm. Masz na myśli apaszkę, tak?

– Nie, to mi wygląda na zwykły wełniany szalik. Ale ten szalik jest zawiązany w taki sam sposób jak u tego czy tych ludzi z apaszkami. Prawy koniec wystaje z węzła. Zauważyłeś to?

– Nie.

– Jeszcze nie widziałam, żeby ktoś tak wiązał szalik.

– Przyślij mi te zdjęcia mailem. Popatrzę.

Pierwszą rzeczą, jaką Harry zrobił po przyjściu do biura, było wydrukowanie zdjęć od Beate. Kiedy poszedł po wydruki do pomieszczenia z drukarkami, stał tam już Gunnar Hagen.

Harry kiwnął mu głową, ale stali w milczeniu, przyglądając się szarej maszynie wypluwającej kolejne kartki.

– Coś nowego? – spytał w końcu Hagen.

– I tak, i nie.

– Prasa na mnie wsiadła. Dobrze by było coś im dać.

– Aha, prawie zapomniałem, szefie. Podrzuciłem im informację, że szukamy tego faceta. – Harry sięgnął po jeden z wydruków i wskazał mężczyznę w apaszce.

– Co zrobiłeś?

– Podrzuciłem informację prasie, o konkretnie mówiąc „Dagbladet”.

– Za moimi plecami?

– To rutynowe działanie, szefie. Nazywamy to konstruktywnym przeciekiem. Mówimy, że informacje pochodzą z anonimowych źródeł w policji, żeby to wyglądało na ciężką pracę dziennikarską. Oni to lubią. Poświęcają wtedy takiej wiadomości więcej miejsca, niż gdybyśmy oficjalnie poprosili o zamieszczenie zdjęcia. Teraz możemy liczyć na pomoc społeczeństwa w zidentyfikowaniu tego człowieka. I wszyscy będą zadowoleni.

– Ja nie, Hole.

– Wobec tego szczerze mi przykro, szefie. – Harry podkreślił szczerość zmartwioną miną.

Hagen patrzył na niego, poruszając górną i dolną szczęką bez synchronizacji w jakimś miażdżącym ruchu, który Harry’emu przywiódł na myśl przeżuwacze.

– I co z tym facetem?

Hagen wziął kartkę od Harry’ego.

– Nie bardzo wiemy. Może jest ich więcej. Beate uważa, że mają... No, że wiążą apaszkę w szczególny sposób.

– To węzeł krawatowy. – Hagen jeszcze raz przyjrzał się zdjęciu. – I co to ma do rzeczy?

– Jak pan powiedział, szefie, że co to jest?

– Węzeł krawatowy. Czyli chorwacki.

– Co?

– To przecież elementarna znajomość historii!

– Wdzięczny byłbym za bliższe informacje, szefie.

Hagen założył ręce za plecy.

– Co wiesz o wojnie trzydziestoletniej?

– Prawdopodobnie zdecydowanie za mało.

– Podczas wojny trzydziestoletniej król Gustaw Adolf przed wkroczeniem do Niemiec uzupełnił swoją zdyscyplinowaną, ale niewielką armię o żołnierzy uważanych za najlepszych w Europie. Byli najlepsi po prostu dlatego, że kompletnie nie znali strachu. Najął Chorwatów.

Harry pokręcił głową.

– Chociaż Chorwaci walczyli w obcym kraju i musieli nosić mundury Gustawa Adolfa, pozwolono im jednak zachować coś, co odróżniało ich od innych żołnierzy: chustkę kawalerii. Chorwaci wiązali ją w bardzo szczególny sposób. Zaadaptowali ją później i udoskonalili Francuzi. Ale nazwę przejęli od Chorwatów i z tego zrobił się krawat.

– *Cravate*.

– No właśnie.

– Dziękuję, szefie. – Harry zabrał z drukarki ostatnią kartkę ze zdjęciami i spojrzał na mężczyznę w szaliku, którego Beate zaznaczyła kółkiem. – Możliwe, że podsunął nam szef jakiś trop.

– Nie musimy sobie dziękować za wypełnianie obowiązków, Hole. – Hagen zabrał swoje kartki i wyszedł.

Halvorsen podniósł głowę, kiedy Harry wpadł jak burza do pokoju.

– Złapaliśmy nitkę – oznajmił.

Halvorsen westchnął. To określenie zazwyczaj oznaczało mnóstwo pracy i zerowy rezultat.

– Dzwonię do Aleksa z Europolu – zapowiedział Harry.

Halvorsen wiedział, że Europol to młodszy brat Interpolu w Hadze, założony przez kraje Unii po akcjach terrorystycznych w Madrycie w 1998 roku, specjalizujący się w rozpracowywaniu międzynarodowego terroryzmu i przestępczości zorganizowanej. Nie

rozumiał natomiast, dlaczego ten Alex regularnie zgadzał się pomagać Harry'emu, skoro Norwegia nie jest członkiem Unii.

– *Alex? Harry in Oslo. Could you check on a thing for me, please?*

Halvorsen słuchał, jak Harry swoim kulawym, ale skutecznym angielskim prosi Aleksa o przeszukanie bazy danych przestępstw popełnionych przypuszczalnie przez sprawcę działającego w różnych krajach Europy w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Słowa klucze to: „płatny zabójca" i „Chorwat".

– *I'll wait* – powiedział Harry i czekał. A potem ze zdumieniem: – *Really? That many?* – Podrapał się w brodę i poprosił, żeby Alex dodał jeszcze „pistolet" i „kaliber dziewięć milimetrów".

– Dwadzieścia trzy trafienia, Alex? Dwadzieścia trzy zabójstwa, których możliwym sprawcą był Chorwat? *Jesus!* Tak, tak, wiem, że wojny tworzą profesjonalnych zabójców, ale mimo wszystko... Spróbuj Skandynawię. Nic? Okej, masz jakieś nazwiska, Alex? Żadnych? *Hang on a sec.*

Harry wpatrywał się w Halvorsena, jakby miał nadzieję, że ten powie coś niezwykle mądrego, ale Halvorsen tylko wzruszył ramionami.

– Okej, Alex, ostatnia próba.

Poprosił, żeby Alex przy rysopisie dodał czerwoną apaszkę albo szalik.

Halvorsen usłyszał śmiech Aleksa w słuchawce.

– Dzięki, Alex. Do usłyszenia.

Harry się rozłączył.

– No i co? – spytał Halvorsen. – Nitka pękła?

Harry kiwnął głową. Obsunął się odrobinę na krześle, ale zaraz znów się poderwał.

– Musimy myśleć od nowa. Co mamy? Nic? Cudownie, uwielbiam niezapisane kartki!

Halvorsen pamiętał, jak Harry kiedyś powiedział, że tym, co różni dobrego śledczego od średniego, jest umiejętność zapominania. Dobry śledczy zapomina o wszystkich tych momentach, kiedy zawiodła go intuicja, o wszystkich śladach, w które wierzył, a które zwiodły go na manowce, i naiwnie znów bierze się do roboty z nie mniejszym entuzjazmem.

Zadzwonił telefon. Harry natychmiast podniósł słuchawkę.

– Harr... – Ale głos na drugim końcu już zaczął mówić.

Harry wstał, a Halvorsen zobaczył, że kostki dłoni trzymającej telefon pobielały.

– *Wait, Alex*. Poproszę Halvorsena, żeby notował.

Zakrył ręką słuchawkę i zawołał do Halvorsena:

– On podjął ostatnią próbę, tylko dla zabawy. Wyrzucił Chorwata, dziewięć milimetrów i pozostałe rzeczy, szukał tylko „czerwonego szalika". Miał cztery trafienia. Cztery zabójstwa, zrealizowane profesjonalnie za pomocą pistoletu, w których świadkowie wspominają o możliwym sprawcy w czerwonym szaliku. Zapisz: Zagrzeb 2000 i 2001. Monachium 2002 i Paryż 2003.

Znów zaczął mówić do słuchawki:

– *This is our man, Alex*. Nie, nie jestem pewien, ale mój brzuch jest. A głowa mi mówi, że te dwa zabójstwa w Chorwacji to nie przypadek. Masz jakiś bardziej szczegółowy rysopis, żeby Halvorsen mógł zanotować?

Halvorsen zobaczył, że Harry rozdziawia usta.

– Co masz na myśli, mówiąc „nie ma rysopisu"? Skoro zapamiętali szalik, to musieli też zapamiętać coś jeszcze. Co? Normalny wzrost? To wszystko?

Harry, słuchając, kręcił głową.

– Co on mówi? – szepnął Halvorsen.

– Że to się kupy nie trzyma – odszepnął Harry.

Halvorsen zanotował: „Nie trzyma się kupy".

– Tak, dobrze by było, gdybyś mi przesłał wszystkie szczegóły mailem. No cóż, dzięki na razie, Alex. Jeślibyś znalazł coś więcej, przypuszczalne miejsce pobytu czy coś takiego, to zadzwoń, dobrze? Co? Ha, ha. Dobrze, dobrze, niedługo ci wyślę film z moją żoną.

Harry odłożył słuchawkę i zauważył pytające spojrzenie Halvorsena.

– To taki stary dowcip – powiedział Harry. – Alex uważa, że wszystkie skandynawskie małżeństwa kręcą prywatne filmy pornograficzne. – Wybrał nowy numer telefonu, a czekając na połączenie, zauważył, że Halvorsen nie spuszcza z niego wzroku. Westchnął.

– Ja nigdy nawet nie byłem żonaty, Halvorsen.

Magnus Skarre musiał krzyczeć, żeby zagłuszyć ekspres do kawy, który zachowywał się tak, jakby cierpiał na poważną chorobę płuc.

– Może to różni zabójcy z jakiegoś nierozpracowanego dotychczas gangu, którzy noszą czerwone szaliki jako coś w rodzaju uniformu?

– Bzdury! – oświadczyła Toril Li i stanęła w kolejce po kawę za Skarrem. W ręku trzymała pusty kubek z napisem „Najlepsza mama na świecie".

Ola Li zaśmiał się cichym wesołym śmiechem. Siedział przy stoliku w głębi niedużej kuchni, w praktyce działającej jako wydziałowa kantyna.

– Bzdury? – oburzył się Skarre. – Przecież może chodzić o terroryzm, prawda? O religijną wojnę przeciwko chrześcijanom! Muzułmanie! Piekło się rozpęta. A może to Hiszpańce, oni przecież noszą czerwone chustki.

– Wolą, kiedy się ich nazywa Hiszpanami – poprawiła go Toril Li.

– Baskami – rzucił Halvorsen, który siedział przy stoliku naprzeciwko Oli Li.

– Co?

– Gonitwy byków. San Fermín w Pampelunie. Kraj Basków.

– ETA! – zawołał Skarre. – Cholera, dlaczego wcześniej o nich nie pomyśleliśmy?

– Powinieneś pisać scenariusze filmowe – stwierdziła Toril Li.

Tym razem roześmiał się Ola Li, ale jak zwykle nic nie powiedział.

– A wy powinniście się trzymać tych swoich rabusiów, napadających na banki na rohypnolu – burknął Skarre, pijąc do tego, że Toril Li i Ola Li, niespokrewnieni ani niespowinowaceni ze sobą, przeszli do nich z Wydziału Napadów.

– Tyle tylko, że terroryści zwykle od razu przyznają się do winy – powiedział Halvorsen. – A w tych czterech sprawach przysłanych nam z Europolu było *hit and run*, a potem kompletna cisza. Ofiary natomiast z reguły były w coś zamieszane. W Zagrzebiu Serbowie, których uniewinniono od zarzutu zbrodni wojennych, człowiek w Monachium zagrażał hegemonii lokalnego króla w branży przemytu ludzi, a ten w Paryżu miał dwa wcześniejsze wyroki za pedofilię.

Przyszedł Harry z kubkiem w ręku. Skarre, Li i Li nalali sobie kawy i zamiast usiąść, wyszli. Halvorsen już wcześniej zauważył, że Harry w ten sposób działa na kolegów z pracy. Komisarz usiadł, a Halvorsen zauważył u niego zmarszczkę zamyślenia na czole.

– Zbliża się dwudziesta czwarta godzina – powiedział Halvorsen.

– Wiem. – Harry patrzył w swój nadal pusty kubek.

– Coś jest nie tak?

Harry się wahał.

– Nie wiem. Dzwoniłem do Bjarnego Møllera do Bergen, żeby usłyszeć od niego jakieś konstruktywne propozycje.

– I co ci powiedział?

– Właściwie nic. Mówił tak, jakby był... – Harry szukał słowa. – ...samotny.

– Nie ma przy nim rodziny?

– Mają, zdaje się, przyjechać później.

– Jakieś kłopoty?

– Nie wiem. Nic nie wiem.

– No to co cię tak dręczy?

– On był pijany.

Halvorsen podskoczył tak, że aż kawa się rozlała.

– Møller? Pijany w pracy? Wygłupiasz się?

Harry nie odpowiedział.

– Może po prostu źle się czuł czy coś?

– Wiem, jak mówi pijany człowiek, Halvorsen. Muszę jechać do Bergen.

– Teraz? Kierujesz śledztwem w sprawie zabójstwa, Harry.

– Obrócę tam i z powrotem w ciągu jednego dnia. Ty w tym czasie będziesz bronił fortu.

Halvorsen się uśmiechnął.

– Czy ty się starzejesz, Harry?

– Starzeję? O co ci chodzi?

– Starzejesz się i stajesz bardziej ludzki. Pierwszy raz słyszę, żeby żywi mieli u ciebie pierwszeństwo przed zmarłymi.

Natychmiast pożałował swoich słów, widząc minę Harry'ego.

– Nie chciałem...

– W porządku. – Harry prędko wstał. – Chcę, żebyś zdobył listy pasażerów linii lotniczych, które miały loty do Chorwacji w ostatnich dniach. Jeśli będziesz potrzebował wniosku prokuratora policyjnego, zwróć się do posterunku na lotnisku. Jeśli zażądają nakazu sądowego, pójdziesz do sądu i załatwisz to od ręki. Jak już

będziesz miał te listy, zadzwonisz do Aleksa z Europolu z prośbą, żeby nam sprawdził nazwiska. Powiedz, że to dla mnie.

– I jesteś pewien, że on zechce nam pomóc?

Harry tylko kiwnął głową.

– Ja w tym czasie wezmę Beate i pójdziemy pogadać z Jonem Karlsenem.

– O?

– Do tej pory słyszeliśmy o Robercie Karlsenie same hymny pochwalne. A ja myślę, że jest coś więcej.

– Dlaczego nie weźmiesz mnie?

– Bo Beate w przeciwieństwie do ciebie wie, kiedy ludzie kłamią.

Wziął głęboki oddech i ruszył na górę po schodach do restauracji Biscuit.

W odróżnieniu od poprzedniego wieczoru teraz nie było tam prawie nikogo. Ale ten sam kelner opierał się o futrynę w drzwiach do sali. Ten z kędziorami jak Giorgi i niebieskimi oczami.

– *Hello there* – powiedział kelner. – Nie poznałem cię.

Mrugnął dwa razy, zaskoczony, bo przecież te słowa oznaczały, że jednak został rozpoznany.

– Ale poznałem płaszcz – ciągnął kelner. – Bardzo elegancki. To z wielbłąda?

– Mam nadzieję, że tak – wyjąkał z uśmiechem.

Kelner roześmiał się i położył mu rękę na ramieniu, bez cienia strachu w oczach. Najwidoczniej chłopak niczego nie podejrzewał. Na szczęście mogło to również oznaczać, że policja jeszcze tu nie dotarła i nie znalazła broni.

– Nie będę nic jadł. Chciałem tylko skorzystać z toalety.

– Z toalety? – Kelner niebieskimi oczami zaczął szukać jego wzroku. – Przyszedłeś tutaj jedynie po to, żeby skorzystać z toalety? Naprawdę?

– Tylko na chwilę – odparł, przełykając ślinę. Bliskość kelnera wprawiła go w zakłopotanie.

– Tylko na chwilę – powtórzył kelner. – *I see*.

Toaleta była pusta i pachniała mydłem. Ale nie wolnością.

Zapach mydła jeszcze się wzmógł, kiedy zdjął pokrywkę pojemnika nad umywalką. Podwinął rękaw i zanurzył rękę w zielonej zimnej mazi. Przez głowę przeleciała mu myśl, że mogli wymienić pojemniki, ale wreszcie go wyczuł. Wyjął go powoli, a mydło wyciągnęło długie zielone palce do białej porcelanowej umywalki. Po umyciu i lekkim nasmarowaniu pistolet będzie równie dobry jak był, a w magazynku wciąż tkwiło sześć naboi. Zaczął go pospiesznie opłukiwać i już miał schować do kieszeni płaszcza, kiedy drzwi się otworzyły.

– *Hello again* – szepnął kelner z szerokim uśmiechem, który zamarł mu na ustach na widok pistoletu.

On szybko wsunął broń do kieszeni, szepnął „*Good bye*" i przeciskając się w wąskich drzwiach, minął kelnera. Poczuł na twarzy jego szybki oddech i erekcję na udzie.

Dopiero kiedy znów znalazł się na mrozie, zwrócił uwagę na swoje serce. Na to, że bije. Jakby się bał. Krew napływała do ciała, rozgrzewając go i sprawiając, że poczuł się lekki.

Kiedy Harry przyjechał na Gøteborggata, Jon Karlsen akurat wychodził.

– To już? – spytał Jon i zdezorientowany popatrzył na zegarek.

– Przyjechałem trochę za wcześnie – wyjaśnił Harry. – Moja koleżanka za chwilę będzie.

– Zdążę kupić mleko? – Był w cienkiej kurtce, a włosy miał świeżo uczesane.

– Ależ oczywiście.

Sklep spożywczy znajdował się na rogu po drugiej stronie ulicy i w czasie gdy Jon wysupływał należność za litr odtłuszczonego mleka, Harry zafascynowany oglądał szeroki wybór ozdób choinkowych ułożonych między papierem toaletowym a paczkami płatków zbożowych. Żaden nie skomentował gazet na statywie przy kasie, z których sprawa zabójstwa na Egertorget biła po oczach czcionką zastrzeżoną dla informowania o wojnie. „Dagbladet" na pierwszej stronie zamieściła ziarnisty, nieostry fragment zrobionego przez Wedloga zdjęcia publiczności z zaznaczoną czerwonym kółkiem głową mężczyzny w szaliku. Pod zdjęciem był podpis: „To człowiek, którego poszukuje policja".

Wyszli. Jon zatrzymał się przed rudowłosym żebrakiem z obwisłymi wąsami w stylu lat siedemdziesiątych. Długo grzebał w kieszeni, nim znalazł coś, co wrzucił do brązowego tekturowego kubka.

– Nie mam szczególnie czym poczęstować – powiedział do Harry'ego. – A kawa, prawdę mówiąc, już od jakiegoś czasu stoi w ekspresie, pewnie smakuje jak asfalt.

– To dobrze, taką lubię.

– Ty też? – uśmiechnął się blado Jon. – Au! – Złapał się za głowę i odwrócił do żebraka. – Rzucasz we mnie pieniędzmi? – spytał zdumiony.

Urażony żebrak prychnął w wąsy i zdumiewająco wyraźnym głosem zawołał:

– Przyjmujemy tylko aktualne monety!

Mieszkanie Jona było identyczne jak Thei Nilsen. Urządzenie, czyste i porządne, niezbicie jednak świadczyło o tym, że to mieszkanie kawalera. Harry wysunął trzy szybkie przypuszczenia: że stare, ale jeszcze w dobrym stanie meble pochodzą z tego samego źródła co jego własne, a mianowicie z Elevatora, sklepu Armii

Zbawienia na Ullevålsveien. Że Jon nie był na wystawie sztuki, którą reklamował samotny plakat na ścianie salonu. I że więcej posiłków spożywano tutaj w półzgięciu nad niskim stolikiem przed telewizorem niż przy stole, który zmieścił się w kącie kuchennym. Na półce z kilkoma zaledwie książkami stało zdjęcie mężczyzny w mundurze Armii Zbawienia patrzącego na pokój władczym spojrzeniem.

– To twój ojciec? – spytał Harry.

– Tak – odparł Jon. Z kuchennej szafki wyjął dwa kubki i nalał kawy z przypalonego szklanego dzbanka.

– Podobni jesteście.

– Dziękuję – powiedział Jon. – Mam nadzieję, że to prawda.

Postawił kubki na stoliku, na którym wśród kolekcji kółek na lakierze, wskazujących, gdzie zwykle spożywano tu posiłek, umieścił również kupiony przed chwilą karton z mlekiem. Harry już miał spytać, jak rodzice przyjęli wiadomość o śmierci Roberta, ale zmienił decyzję.

– Zacznijmy od hipotezy – zaczął – która mówi, że twój brat zginął, ponieważ coś komuś zrobił. Oszukał kogoś, pożyczył pieniądze, komuś ubliżył, groził, skrzywdził, cokolwiek. Wszyscy twierdzą, że twój brat był dobrym człowiekiem. To normalna charakterystyka, jaką zazwyczaj słyszymy na początku spraw związanych z zabójstwem. Ludzie chętnie wyciągają dobre strony. Ale większość z nas ma też strony ciemne. A ty jak myślisz?

Jon kiwnął głową, ale Harry nie potrafił orzec, czy to miało być potwierdzenie.

– Chciałbym, żebyś rzucił trochę światła na ciemne strony Roberta.

Jon patrzył na niego zdziwiony.

Harry chrząknął.

– Zacznijmy wobec tego od pieniędzy. Czy Robert miał problemy finansowe?

Jon wzruszył ramionami.

– Nie. I tak. Nie żył na wysokiej stopie, więc nie bardzo potrafię sobie wyobrazić, żeby mógł narobić jakichś wielkich długów, jeśli o to ci chodzi. Jeśli pożyczał, to chyba głównie ode mnie. Chociaż czy pożyczał... – Jon uśmiechnął się ze smutkiem.

– O jakich kwotach mówimy?

– Niedużych. Oprócz tego, co było tej jesieni.

– Ile?

– No... Trzydzieści tysięcy.

– Na co?

Jon podrapał się w głowę.

– Chodziło o jakiś projekt, ale Robert nie chciał powiedzieć, w czym rzecz. Tylko tyle, że to wymaga wyjazdu za granicę. Mówił, że sam zobaczę. Owszem, uważałem, że to spore pieniądze, ale mieszkam tanio i nie mam samochodu. A on wydawał się wyjątkowo rozentuzjazmowany. Bardzo byłem ciekaw, co to może być, ale... ale wydarzyło się to.

Harry zanotował.

– Mhm. A co z ciemnymi stronami Roberta jako człowieka?

Zadał to pytanie i czekał. Utkwił wzrok w stole, pozwalając, by Jon siedział i myślał, poddany oddziaływaniu próżni wytwarzającej się pod wpływem ciszy, tej próżni, która prędzej czy później zawsze coś z człowieka wyciąga. Kłamstwo, rozpaczliwą dygresję, a w najlepszym razie prawdę.

– Kiedy Robert był młody, to... – zaczął Jon, ale urwał.

Harry nic nie powiedział. Nawet nie drgnął.

– Brakowało mu... hamulców.

Harry kiwnął głową, nie podnosząc wzroku. Zachęcał, nie niszcząc próżni.

– Bałem się tego, co mógł wymyślić. Był taki gwałtowny. I miał w sobie jakby dwie osoby. Jedna była chłodna, opanowana, o naturze badacza, ciekawa... jak to powiedzieć? ...reakcji, uczuć, również cierpienia.

– Możesz podać jakiś przykład? – spytał Harry.

Jon przełknął ślinę.

– Raz wróciłem do domu, a on powiedział, że chce mi coś pokazać na dole w pralni. Do małego akwarium, w którym ojciec hodował gupiki, wsadził naszego kota i wsunął węża ogrodowego pod drewnianą płytę położoną na akwarium. Potem na maksimum odkręcił kran. To się stało tak szybko, że woda zdążyła wypełnić prawie całe akwarium, zanim mnie się udało zdjąć tę deskę i wyciągnąć kota. Robert twierdził, że chciał tylko zobaczyć, jak zareaguje kot. Ale ja czasami myślę, że to moja reakcja go interesowała.

– Mhm. Ale skoro był taki, to dziwne, że nikt o tym nie wspomniał.

– Niewiele osób znało tę stronę Roberta. Częściowo to moja zasługa. Już kiedy byliśmy mali, musiałem obiecać ojcu, że będę pilnował Roberta, żeby nie wymyślił nic naprawdę złego. Starałem się, jak mogłem. Robert zresztą też potrafił się kontrolować. Był jednocześnie i zimny, i gorący, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi. Głównie więc to najbliżsi doświadczyli jego... innych stron. No i jedna czy druga żaba – uśmiechnął się. – Wyprawiał je w podróż balonem napełnionym helem. Przyłapany przez ojca powiedział, że wydawało mu się takie smutne być żabą i nigdy nie móc zobaczyć świata z ptasiej perspektywy. A ja... – Jon zapatrzył się przed siebie. Harry zauważył, że oczy mu zwilgotniały. – Ja się

zacząłem śmiać. Ojciec był wściekły, ale nie mogłem się powstrzymać. Tylko Robert potrafił mnie tak rozśmieszyć.

– Mhm. Wyrósł z tego?

Jon wzruszył ramionami.

– Szczerze mówiąc, nie wiem o wszystkim, czym Robert się zajmował przez ostatnie lata. Kiedy rodzice przenieśli się do Tajlandii, Robert i ja w dużej mierze straciliśmy ze sobą kontakt.

– Dlaczego?

– Często tak bywa z braćmi. Nie musi istnieć ku temu żaden wyraźny powód.

Harry nie odpowiedział, znów czekał. Gdzieś na klatce trzasnęły drzwi.

– Były jakieś historie z dziewczynami – powiedział Jon.

Daleki odgłos syreny karetki. Winda nuciła metalicznie. Jon nabrał powietrza i dodał z westchnieniem:

– Młodymi.

– Jak młodymi?

– Tego nie wiem. Ale jeśli Robert nie kłamał, to chyba bardzo młodymi.

– Dlaczego miałby kłamać?

– Tak jak mówiłem. Chyba lubił obserwować moje reakcje.

Harry wstał i podszedł do okna. Przez park Sofienberg ścieżką, która wyglądała jak nierówna brązowa kreska narysowana przez dziecko na kredowobiałej kartce, szedł mężczyzna. Po północnej stronie kościoła rozciągał się nieduży ogrodzony cmentarz żydowski; Ståle Aune, psycholog, opowiadał mu kiedyś, że sto lat temu cały park Sofienberg był cmentarzem.

– Czy on stosował przemoc wobec tych dziewcząt? – spytał Harry.

– Nie! – zawołał Jon, a słowo odbiło się echem od pustych ścian.

Harry nic nie powiedział. Mężczyzna przeszedł już przez park i dotarł na drugą stronę Helgesens gate, kierując się w stronę kamienicy.

– O niczym takim mi nie mówił – powiedział Jon. – A nawet gdyby, i tak bym mu nie uwierzył.

– Znasz którąś z tych dziewcząt, z którymi się spotykał?

– Nie. To nigdy nie trwało długo. Właściwie wiem tylko o jednej dziewczynie, którą kiedykolwiek interesował się na serio.

– Tak?

– Theą Nilsen. Jakby był nią opętany, już kiedy byliśmy nastolatkami.

– Twoją dziewczyną?

Zamyślony Jon wpatrywał się w kubek z kawą.

– Należałoby przypuszczać, że mógłbym się trzymać z daleka od tej jednej jedynej dziewczyny, którą upatrzył sobie mój brat, prawda? I Bóg wie, że zadawałem sobie pytanie, dlaczego stało się inaczej.

– I?

– Wiem tylko, że Thea jest najbardziej fantastyczną osobą, jaką spotkałem.

Nucenie windy nagle się urwało.

– Czy twój brat wiedział o tobie i Thei?

– Dowiedział się, że kilka razy się spotkaliśmy. Miał swoje podejrzenia. Ale Thea i ja trochę się staraliśmy utrzymywać nasz związek w tajemnicy.

Rozległo się pukanie do drzwi.

– To Beate, moja koleżanka – uznał Harry. – Ja otworzę.

Odwrócił notatnik, położył długopis równolegle do niego i zrobił kilka kroków dzielących go od drzwi wejściowych. Przez chwilę z nimi walczył, zanim zrozumiał, że drzwi otwierają się do środka.

Twarz za nimi wydawała się równie zaskoczona jak jego własna i przez moment tylko się w siebie wpatrywali. Harry wyczuł słodkawy zapach perfum, jakby ten człowiek przed chwilą użył ostro pachnącego dezodorantu.

– Jon? – spytał mężczyzna ostrożnie, na próbę.

– Oczywiście – powiedział Harry. – Przepraszam, po prostu oczekiwaliśmy kogoś innego. Chwileczkę.

Wrócił na kanapę.

– To ktoś do ciebie.

W momencie zapadania się w miękki mebel uświadomił sobie, że coś się stało. Teraz, w ciągu tych kilku sekund. Sprawdził, czy długopis wciąż leży równolegle do notatnika. Był nietknięty. Ale jego mózg coś zarejestrował, tylko on nie zdążył jeszcze umieścić tego we właściwym kontekście.

– Dobry wieczór? – usłyszał za plecami głos Jona. Uprzejme, wypowiedziane z rezerwą słowa. Pytający ton. Taki, jakim wita się osobę, której się nie zna, ani nie wie, czego ona może chcieć. Ale znów to samo. Coś się działo. Coś było nie tak. Coś z tą osobą. Ten człowiek, pytając o Jona, posłużył się jego imieniem, ale dla Jona najwyraźniej był obcy.

– *What message?* – spytał Jon.

W tej samej sekundzie mózg Harry'ego zaskoczył. Szyja. Ten człowiek miał coś na szyi. Apaszkę. Węzeł krawatowy. Harry zawadzając kolanami o stół i wywracając przy tym oba kubki, krzyknął:

– Zamknij drzwi!

Ale Jon stał jak zahipnotyzowany, lekko przygarbiony, jak gdyby chciał pomóc.

Harry jednym krokiem nabrał pędu, przeskoczył przez kanapę i rzucił się do przodu.

– *Don't...* – powiedział Jon.

Harry namierzył się i skoczył, a potem wszystko nagle jakby się zatrzymało. Doświadczył tego już wcześniej, takiego przypływu adrenaliny, który zmienia wszelkie poczucie czasu. To było jak poruszanie się w wodzie. Wiedział, że jest za późno. Pod prawym barkiem czuł drzwi, pod lewym biodro Jona, a na błonie bębenkowej falę dźwiękową wywołaną przez wybuchający proch i kulę, która właśnie opuściła lufę pistoletu.

Potem nastąpił huk. Kuli. Drzwi walących w futrynę i zatrzaskującego się zamka. I Jona, który uderzył o szafę i krawędź kuchennego blatu. Harry obrócił się na bok i podniósł oczy. Klamka opadła.

– Cholera – szepnął Harry i podniósł się na kolana.

Drzwi szarpnięto dwukrotnie. Harry złapał bezwładnego Jona za pasek, pociągnął go po parkiecie w stronę sypialni.

Coś zachrobotało przy drzwiach i znów huknęło. Ze środka drzwi oderwały się drzazgi, drgnęła poduszka na kanapie, pojedyncze szaro-czarne pióro uniosło się pod sufit, a w kartonie z mlekiem zaczęło pluskać. Strumyk mleka narysował na blacie stolika łagodną białą parabolę.

Ludzie nie doceniają tego, co może zdziałać dziewięciomilimetrowa kula, pomyślał Harry, obracając Jona na plecy. Z otworu w głowie chłopaka spłynęła pojedyncza kropla krwi.

Znów huknęło. Zadzwoniło szkło.

Harry wyciągnął z kieszeni telefon komórkowy i klawiszem skrótu wybrał numer Beate.

– Tak, tak, marudo, już idę – odezwała się Beate po pierwszym dzwonku. – Jestem przed...

– Słuchaj mnie! – przerwał jej Harry. – Zgłoś przez radio, niech przyślą tu wszystkie radiowozy. Z syrenami. Pod drzwiami do mieszkania stoi facet i ładuje w nas ołów. Sama trzymaj się z daleka. Jasne?

– Jasne. Nie rozłączaj się.

Harry położył telefon na podłodze przed sobą. Coś zaskrobało w ścianę. Czy on mógł ich słyszeć? Harry znieruchomiał. Skrobanie było coraz bliżej. Jakie oni tu mają ściany? Pocisk, który przebił dźwiękoszczelne drzwi, nie miałby żadnych problemów z poradzeniem sobie z dwiema płytami gipsowymi i wełną izolacyjną lekkiej ścianki. Jeszcze bliżej. Ustało. I wtedy to usłyszał. Oddech Jona.

Moment później z równego szmeru miasta wyłonił się dźwięk, który w uszach Harry'ego zabrzmiał jak muzyka. Syrena policyjna. Dwie syreny. Harry słuchał chrobotania. Nic. Uciekaj, błagał. Zwiewaj! I został wysłuchany. Usłyszał pospieszne kroki, oddalające się korytarzem i zbiegające ze schodów.

Tyłem głowy dotknął zimnego parkietu i zapatrzył się w sufit. Ciągnęło spod drzwi. Zamknął oczy. Dziewiętnaście lat. Boże! Dziewiętnaście lat do emerytury!

12 CZWARTEK, 17 GRUDNIA. SZPITAL I POPIÓŁ

W wystawie sklepowej dostrzegł za sobą odbicie radiowozu policyjnego, sunącego ulicą. Nie przestawał iść. Musiał się powstrzymywać, żeby nie biec. Tak samo jak przed kilkoma minutami, kiedy zbiegł ze schodów do mieszkania Jona Karlsena, wyskoczył na chodnik, o mały włos nie przewracając młodej

kobiety z komórką w ręce, przebiegł przez park, kierując się na zachód, w stronę tłumnych ulic, na których się teraz znajdował.

Radiowóz utrzymywał to samo tempo co on. Kiedy więc zobaczył jakieś drzwi, otworzył je i zaraz ogarnęło go wrażenie, że wkroczył do filmu. Do amerykańskiego filmu z cadillacami, krawatami cienkimi jak sznurówki i młodymi Elvisami. Muzyka płynąca z głośników brzmiała jak hillbilly ze starych płyt na potrójnej szybkości, a garnitur barmana wyglądał na wydarty z okładki płyty.

Rozejrzał się po zaskakująco tłocznym maleńkim barze i zorientował się, że barman się do niego odezwał.

– *Sorry?*

– *A drink, Sir?*

– Dlaczego nie? Co proponujesz?

– Hm. Może *Slow Comfortable Screw-Up*. A zresztą wygląda pan na kogoś, komu potrzeba whisky z Orkadów.

– Dziękuję.

Odgłos syreny policyjnej podnosił się i opadał. Gorąco w barze sprawiło, że pot buchnął teraz ze wszystkich porów. Zerwał z szyi apaszkę i wcisnął ją do kieszeni płaszcza, zadowolony, że lokal jest tak zadymiony, bo dym maskował zapach leżącego w kieszeni pistoletu.

Dostał drinka i znalazł sobie miejsce pod ścianą przy oknie.

Kim był ten drugi mężczyzna w mieszkaniu? Kolegą Jona Karlsena? Krewnym? A może kimś, z kim Jon Karlsen mieszkał? Wypił łyk whisky. Miała smak szpitala i popiołu. Dlaczego zadaje sobie takie idiotyczne pytania? Tylko policjant mógł zareagować tak jak tamten facet. Tylko policjant mógł wezwać pomoc tak szybko. A teraz wiedzą już, jaki jest jego cel. To bardzo utrudni robotę. Powinien się zastanowić nad odwrotem. Wypił jeszcze łyk.

Policjant widział płaszcz z wielbłądziej wełny.

Wyszedł do toalety, przełożył pistolet, apaszkę i paszport do kieszeni marynarki, a płaszcz wepchnął do kosza na śmieci pod umywalką. Po wyjściu z baru stanął i zacierając ręce na zimnie, popatrzył w górę i w dół ulicy.

Ostatnia robota. Najważniejsza. Od niej zależało wszystko.

Spokojnie, mówił sobie. Nie wiedzą, kim jesteś. Wracaj na start. Myśl konstruktywnie.

A jednak pytanie powróciło. Nie zdołał go powstrzymać:

Kim był ten człowiek w mieszkaniu?

– Nie wiemy – powiedział Harry. – Wiemy tylko, że to mógł być ten sam człowiek, który zabił Roberta.

Przyciągnął nogi do siebie, umożliwiając pielęgniarce przepchnięcie pustego łóżka przez ciasny korytarz.

– Mógł być? – wyjąkała Thea Nilsen. – Ich jest więcej? – Siedziała lekko pochylona, zaciskając palce na drewnianym siedzeniu krzesła, jakby się bała, że zaraz spadnie.

Beate nachyliła się i uspokajającym gestem położyła rękę na kolanie Thei.

– Nie wiemy. Najważniejsze, że dobrze się skończyło. Lekarz mówi, że to tylko wstrząs mózgu.

– Który w dodatku ja mu zafundowałem – uzupełnił Harry. – Przy współudziale kantu kuchennego blatu, który wyrył mu dziurę w czole. Kula z pistoletu nie trafiła. Znaleźliśmy ją w ścianie. Druga kula zatrzymała się w kartonie z mlekiem. Wyobraź to sobie, w środku, w kartonie! A trzecia w kuchennej szafce między rodzynkami i...

Beate posłała Harry'emu spojrzenie, które, jak rozumiał, miało znaczyć, że Thei nie interesują w tej chwili balistyczne niezwykłości.

– Wszystko jedno. Z Jonem wszystko dobrze, ale stracił przytomność, więc lekarze na razie zatrzymają go na obserwacji.

– Mogę teraz do niego iść?

– Oczywiście – odpowiedziała Beate. – Chcieliśmy tylko, żebyś najpierw obejrzała te zdjęcia i powiedziała nam, czy widziałaś już wcześniej któregoś z tych mężczyzn.

Wyjęła trzy zdjęcia z teczki i podała je Thei. Fotografie z Egertorget powiększono tak, że twarze stanowiły mozaiki czarno-białych punktów.

Thea pokręciła głową.

– To trudne. Ja nawet nie widzę, czym się różnią.

– Ja też – przyznał Harry. – Ale Beate jest specjalistką od twarzy i mówi, że to dwie różne osoby.

– Tak mi się wydaje – poprawiła go Beate. – A poza tym ten, który wybiegł z budynku na Gøteborggata, o mało mnie nie przewrócił. Wydawało mi się, że to nie był żaden z tych ludzi na zdjęciach.

Harry zadrżał. Nigdy nie słyszał, żeby Beate miała jakieś wątpliwości w podobnych kwestiach.

– Dobry Boże! – szepnęła Thea. – To ilu ich właściwie jest?

– Spokojnie – powiedział Harry. – Pod drzwiami pokoju Jona czuwa policjant.

– Co? – Thea popatrzyła na niego wielkimi oczami, a on pojął, że nawet przez myśl jej nie przeszło, że Jon mógłby znaleźć się w niebezpieczeństwie tu, w Szpitalu Ullevål. Dopiero teraz sobie to uświadomiła. No pięknie.

– Chodź, pójdziemy zobaczyć, jak on się czuje – zaproponowała Beate życzliwie.

Dobrze, pomyślał Harry. A idiota niech siedzi i trochę się zastanowi nad problemem „traktowanie ludzi".

Odwrócił się, słysząc szybkie kroki na drugim końcu korytarza.

To Halvorsen biegł slalomem między pacjentami, odwiedzającymi i pielęgniarkami w kłapiących drewniakach. Zdyszany zatrzymał się przed Harrym i podał mu błyszczącą kartkę pokrytą wyblakłymi literami. Jakość papieru i druku powiedziała Harry'emu, że to wydruk z faksu w Wydziale Zabójstw.

– Jedna strona z list pasażerów. Próbowałem do ciebie dzwonić.

– Tu komórka musi być wyłączona – wyjaśnił Harry. – Coś ciekawego?

– Listy pasażerów wydali mi bez problemów. Wysłałem je zaraz mailem do Aleksa, który od razu się tym zajął. Dwóch pasażerów ma jakieś drobiazgi w kartotece, ale nic, co by dawało jakiekolwiek powody do podejrzeń. Ale jedna rzecz była trochę dziwna.

– Tak?

– Jeden z pasażerów z tej listy przyleciał do Oslo dwa dni temu i miał bilet powrotny na samolot, który powinien odlecieć wczoraj, ale lot przełożono na dzisiaj. Christo Stankić. Nie zgłosił się. Dziwne, ponieważ miał tani bilet, którego nie można przebukować. Na liście pasażerów figuruje jako obywatel chorwacki, poprosiłem więc Aleksa o sprawdzenie w spisie ludności w Chorwacji. Chorwacja nie należy wprawdzie do Europolu, ale ponieważ tak im zależy na wejściu do Unii, to bardzo chętnie współpracują, kiedy...

– Do rzeczy, Halvorsen.

– Christo Stankić nie istnieje.

– Interesujące. – Harry podrapał się w brodę. – Chociaż oczywiście Christo Stankić może nie mieć nic wspólnego z naszą sprawą.

– Oczywiście.

Harry wpatrywał się w nazwisko na liście. Christo Stankić. Nie człowiek, tylko nazwisko. Ale skoro to nazwisko znalazło się na liście pasażerów, bezwzględnie musiało być również

w paszporcie, którego okazania linie lotnicze żądają przy odprawie. Tego samego paszportu domagają się przy zameldowaniu hotele.

– Chcę, żeby sprawdzono listy gości wszystkich hoteli w Oslo – powiedział. – Zobaczymy, czy któryś z nich nie przyjął w ciągu ostatnich dwóch dni Christa Stankicia.

– Zajmę się tym od razu.

Harry wyprostował się i skinął Halvorsenowi głową. Miał nadzieję, że w tym geście mieści się wszystko, co chciał wyrazić: swoje zadowolenie z Halvorsena.

– Wobec tego ja pójdę do mojego psychologa – oświadczył.

Gabinet psychologa Stålego Aune mieścił się w tej części Sporveisgata, czyli ulicy Tramwajowej, na której nie ma żadnych szyn, można natomiast zaobserwować interesującą rozmaitość kroków na chodnikach. Pewny siebie, żwawy krok dbających o formę gospodyń domowych, idących na trening do ośrodka sportowego sieci SATS. Krok ostrożny właścicieli psów przewodników z budynku Związku Niewidomych i krok nieuważny zmęczonej, lecz niczym niezrażonej klienteli schroniska dla narkomanów.

– A więc ten Robert Karlsen lubił dziewczynki poniżej dopuszczalnej granicy wieku – powiedział Aune, wciskając drugi podbródek w muszkę. Tweedową marynarkę powiesił na oparciu krzesła. – To oczywiście może mieć wiele przyczyn, ale z tego, co rozumiem, wychował się w pietystycznym środowisku Armii Zbawienia.

– No tak. – Harry rozglądał się po zapełnionych, chociaż w chaotyczny sposób, półkach na książki swojego osobistego i zawodowego doradcy. – Ale czy twierdzenie, że człowiek popada w perwersję, dorastając w zamkniętych surowych środowiskach religijnych, nie jest tylko mitem?

– Nie – odparł Aune po prostu. – Środowiska sekt chrześcijańskich są bardzo szeroko reprezentowane w tego rodzaju aktach przemocy, o jakich mówisz.

– Dlaczego?

Aune złączył koniuszki palców obu dłoni i cmoknął zadowolony.

– Jeśli w dzieciństwie lub młodości ktoś jest karany albo upokarzany, na przykład przez rodziców, za eksponowanie swojej naturalnej seksualności, zaczyna wypierać tę część swojej osobowości. Naturalne dojrzewanie seksualne zostaje wstrzymane, a preferencje seksualne zaczynają, można powiedzieć, krążyć po bezdrożach. Wiele osób, osiągając wiek dorosły, cofa się wtedy do tego stadium, kiedy wciąż wolno im było w naturalny sposób okazywać swoją seksualność.

– Na przykład nosić pieluchy?

– Tak. Albo bawić się ekskrementami. Pamiętam pewien przypadek senatora z Kalifornii, który...

Harry chrząknął.

– Albo wracać do tak zwanego *core-event* – ciągnął Aune – którym często bywa ostatnia udana czynność seksualna. Krótko mówiąc, do tego, co im ostatnio wyszło. Może to być uczucie albo kontakt seksualny w wieku nastoletnim, który nie został ujawniony albo ukarany.

– Albo gwałt?

– Owszem. Sytuacja, w której mieli kontrolę, a przez to czuli się silni, czyli przeciwieństwo upokorzenia. Resztę życia poświęcają odtworzeniu tej sytuacji.

– Ale chyba nie tak łatwo stać się gwałcicielem?

– No nie. Niejednego chłopaka, przyłapanego z pismem pornograficznym w wieku nastu lat, sprano tak, że aż zsiniał, a jednak ich seksualność rozwinęła się najzupełniej zwyczajnie

i zdrowo. Ale jeśli chcesz zmaksymalizować czyjeś szanse na zostanie gwałcicielem, to powinieneś go zaopatrzyć w niestroniącego od przemocy ojca, zdecydowanie ingerującą, a najchętniej ostro piętnującą seksualizm matkę i środowisko charakteryzujące się przemilczaniem tematów związanych z seksem z jednej strony, a z drugiej – obietnicami smażenia się w piekle za uleganie żądzom lędźwi.

Komórka Harry'ego pisnęła raz. Wyjął ją i przeczytał SMS od Halvorsena. Jakiś Christo Stankić zatrzymał się w hotelu Scandia koło Dworca Centralnego na noc przed zabójstwem.

– Jak było w AA? – spytał Aune. – Pomagają ci w abstynencji?

– No cóż. – Harry wstał. – I tak, i nie.

Krzyk sprawił, że cały drgnął.

Odwrócił głowę i spojrzał prosto w parę dziko rozszerzonych oczu i otwartą czarną czeluść ust w odległości zaledwie kilku centymetrów od swojej twarzy. Dziecko przywarło nosem do szyby w pokoju zabaw Burger Kinga, a potem z radosnym piskiem upadło na plecy w czerwone, żółte i niebieskie plastikowe piłki.

Otarł resztki keczupu z ust, opróżnił tacę do pojemnika na śmieci i wyszedł na Karl Johans gate. Próbował się skulić w cienkiej marynarce, ale zimno było bezwzględne. Postanowił kupić nowy płaszcz, gdy tylko znajdzie tani pokój w hotelu Scandia.

Sześć minut później już wchodził do hotelowego lobby i stawał za parą, która najwyraźniej się meldowała. Recepcjonistka zerknęła na niego bez najmniejszej oznaki, że go poznaje, i zaraz znów nachyliła się nad dokumentami nowych gości. Rozmawiali po norwesku. Kobieta odwróciła się i popatrzyła na niego. Blondynka. Uśmiechała się. Ładna, stwierdził. Chociaż w dosyć zwyczajny sposób. Odwzajemnił uśmiech. Przyszło mu to z trudem,

bo już ją kiedyś widział. Zaledwie kilka godzin temu. Przed budynkiem na Gøteborggata.

Nie odsuwając się, schylił głowę, a ręce wsunął do kieszeni marynarki. Twarda rękojeść pistoletu dawała poczucie bezpieczeństwa. Ostrożnie podniósł wzrok, odnalazł lustro za plecami recepcjonistki i zaczął się w nie wpatrywać. Ale obraz się rozdwoił. Zamknął oczy, odetchnął głębiej i znów je otworzył. Powoli wyostrzało się odbicie wysokiego mężczyzny. Krótko obcięte włosy, blada cera z czerwonym nosem, ostre wyraźne rysy, dla których przeciwwagę stanowiły delikatne usta. To był on. Ten drugi mężczyzna w mieszkaniu. Policjant.

Szybko omiótł wzrokiem recepcję. Byli tu tylko oni. I jakby po to, by usunąć ostatnie resztki wątpliwości, wśród wszystkich tych norweskich słów usłyszał nagle dwa znajome. Christo Stankić. Zmusił się do stania w miejscu. Nie miał pojęcia, jak mu się to udało, lecz powoli zaczynał sobie zdawać sprawę z konsekwencji.

Blondynka dostała od recepcjonistki klucz, podniosła coś, co wyglądało na walizkę z narzędziami, i skierowała się do windy. Wielki mężczyzna natomiast powiedział coś recepcjonistce, a ona zanotowała. Potem policjant się odwrócił, ich spojrzenia na moment się zetknęły, ale zaraz poszedł w stronę wyjścia.

Recepcjonistka się uśmiechnęła. Powiedziała coś uprzejmie wyćwiczonym tonem po norwesku i popatrzyła na niego pytająco. Spytał, czy ma pokój dla niepalących na samej górze.

– Zaraz sprawdzę, *Sir*. – Wstukała coś w komputer.

– *Excuse me*. Czy ten mężczyzna, z którym pani przed chwilą rozmawiała, to nie ten policjant, którego zdjęcie było w gazecie?

– Tego nie wiem – uśmiechnęła się.

– On jest sławny. Jak on się nazywa...

Kobieta zerknęła na swój notatnik.

– Harry Hole. Sławny?

– Harry Hole?

– Tak.

– To nie to nazwisko. Musiałem się pomylić.

– Mam wolny pokój. Jeśli pan się zdecyduje, będzie pan musiał wypełnić tę kartę i pokazać paszport. Jak pan będzie płacić?

– A ile kosztuje pokój?

Podała cenę.

– Przykro mi – uśmiechnął się. – Za drogo.

Wyszedł z hotelu na dworzec, znalazł toaletę i zamknął się w kabinie. Siedząc tam, próbował uporządkować myśli. Mieli już nazwisko. Będzie więc musiał poszukać takiego noclegu, gdzie nikt nie zażąda paszportu. No i Christo Stankić może zapomnieć o zabukowaniu biletu na samolot, statek, pociąg czy choćby o przekroczeniu granicy. Co robić? Powinien zadzwonić do niej, do Zagrzebia.

Wyszedł na Jernbanetorget. Paraliżujący wiatr hulał po otwartym placu, kiedy on, dzwoniąc zębami, wpatrywał się w automaty telefoniczne. O biały wózek, z którego na środku placu sprzedawano kiełbaski, opierał się mężczyzna. Był ubrany w puchowy kombinezon, przez co przypominał astronautę. Czy on tylko sobie wmawiał, czy ten człowiek miał oko na automaty telefoniczne? Czy możliwe, żeby wyśledzili jego rozmowy, a teraz czekali, aż tu wróci? Wykluczone. Zawahał się jednak. Jeśli podsłuchują rozmowy z automatów, istniało ryzyko, że ją zdradzi. Podjął decyzję. Rozmowa telefoniczna mogła zaczekać. Potrzebował teraz pokoju z łóżkiem i piecykiem. Takie miejsce, za jakim się teraz rozglądał, będzie wymagało gotówki, a ostatnia poszła na hamburgera.

W wysokiej hali dworca między sklepami i peronami znalazł bankomat. Wyjął kartę VISA, przeczytał angielską instrukcję

obsługi, która mówiła, że pasek magnetyczny należy skierować do dołu w prawo, i włożył kartę w szczelinę. Dłoń znieruchomiała. Karta też została wydana na nazwisko Stankicia. Transakcja zostanie zarejestrowana i gdzieś zadzwoni alarm. Zawahał się, schował kartę z powrotem do portfela. Wolno przeszedł przez halę. Sklepy już zamykano. Nie miał pieniędzy nawet na kupno ciepłej kurtki. Ochroniarz z Securitas długo mu się przyglądał. Znów wyszedł na plac. Hulał po nim północny wiatr. Mężczyzna spod budki z kiełbaskami zniknął, ale przy odlanym z metalu tygrysie stał inny.

– Potrzebuję trochę pieniędzy, żeby mieć gdzie dzisiaj przenocować.

Nie musiał znać norweskiego, żeby wiedzieć, o co prosi ten chłopak. To był ten sam młody ćpun, któremu wcześniej tego dnia dał pieniądze. Gotówkę, której w tej chwili sam tak bardzo potrzebował. Pokręcił głową i zerknął na grupkę trzęsących się z zimna narkomanów w miejscu, które początkowo brał za przystanek. Przyjechał biały autobus.

Harry'ego bolała pierś i okolice płuc. Dobry ból. Uda płonęły. Dobry ogień.

Zdarzało się, że kiedy utknął w jakiejś sprawie, schodził na dół do policyjnej siłowni w piwnicy i wsiadał na rower. Nie dlatego, że dzięki temu lepiej myślał, tylko dlatego, że przestawał myśleć.

– Powiedzieli mi, że cię tu znajdę. – Gunnar Hagen zajął miejsce na sąsiednim rowerze. Obcisły żółty T-shirt i kolarzówki bardziej podkreślały, niż zakrywały mięśnie na chudym, wręcz udręczonym ciele nadkomisarza. – Jaki program robisz?

– Numer dziewięć – wysapał Harry.

Hagen wyregulował wysokość siodełka, stojąc na pedałach, a potem szybko wbił niezbędne ustawienia do komputera podłączonego do roweru.

– Wiem, że brałeś dzisiaj udział w dość dramatycznych wydarzeniach.

Harry kiwnął głową.

– Zrozumiem, jeśli poprosisz o zwolnienie – powiedział Hagen. – Przecież mamy czas pokoju.

– Dziękuję, szefie, ale czuję się całkiem dobrze.

– To świetnie. Właśnie rozmawiałem z Torleifem.

– Z naczelnikiem Biura Kryminalnego?

– Chcielibyśmy wiedzieć, na czym stoicie. Były telefony. Armia Zbawienia jest popularna i wpływowe osoby w mieście pytają, czy uda nam się wyjaśnić sprawę przed świętami. Wszyscy chcieliby mieć spokojne święta.

– Spokojne święta polityków w zeszłym roku jakoś wytrzymały sześć zgonów z przedawkowania.

– Pytałem, na czym stoicie, Hole.

Harry czuł, że pot piecze go w sutki.

– No cóż. Mimo zdjęć zamieszczonych dzisiaj w „Dagbladet", nie zgłosili się żadni świadkowie, a zdaniem Beate Lønn fotografie wskazują na to, że mamy do czynienia nie z jednym, a co najmniej z dwoma zabójcami. Podzielam to przekonanie. Mężczyzna, który przyszedł do Jona Karlsena, miał płaszcz z wielbłądziej wełny i apaszkę na szyi, a to ubranie zgadza się ze zdjęciem mężczyzny, który był na Egertorget w wieczór poprzedzający zabójstwo.

– Tylko ubranie się zgadza?

– Nie zdążyłem się przyjrzeć jego twarzy. A Jon Karlsen niewiele pamięta. Jedna z mieszkanek przyznaje, że wpuściła wczoraj na klatkę Anglika, który chciał zostawić prezent gwiazdkowy pod drzwiami Jona Karlsena.

– Aha – mruknął Hagen. – Tę teorię o kilku zabójcach zachowamy dla siebie. Mów dalej.

– Nie ma za dużo do powiedzenia.

– Nic?

Harry popatrzył na prędkościomierz i spokojnie przyspieszył do trzydziestu pięciu kilometrów na godzinę.

– Wiemy jeszcze o fałszywym paszporcie Chorwata, niejakiego Christa Stankicia, który nie wsiadł do samolotu do Zagrzebia, chociaż miał dzisiaj lecieć. Stwierdziliśmy, że mieszkał w hotelu Scandia. Lønn sprawdza jego pokój w poszukiwaniu śladów DNA. W hotelu nie ma zbyt dużo gości, mieliśmy więc nadzieję, że recepcjonistka rozpozna człowieka z naszych zdjęć.

– I?

– Niestety.

– Co nam pozwala podejrzewać, że ten Stankić to nasz człowiek?

– Właściwie tylko ten fałszywy paszport. – Harry'emu udało się zerknąć na prędkościomierz Hagena. Czterdzieści na godzinę.

– I jak chcesz go znaleźć?

– No cóż. W epoce informacji nazwisko zostawia ślady. Postawiliśmy wszystkie nasze stałe kontakty w stan gotowości alarmowej. Jeśli ktoś podający nazwisko Christo Stankić chciałby zatrzymać się w hotelu, kupić bilet lotniczy albo skorzystać z karty kredytowej w Oslo, zaraz będziemy o tym wiedzieć. Recepcjonistka powiedziała, że on pytał o automat telefoniczny, odesłała go na Jernbanetorget. Telenor przyśle nam listę rozmów wychodzących z tych aparatów w ciągu ostatnich dwóch dni.

– A więc masz jedynie Chorwata z fałszywym paszportem, który nie zgłosił się na swój samolot – podsumował Hagen. – Utknąłeś, prawda?

Harry nie odpowiedział.

– Staraj się myśleć alternatywnie – polecił Hagen.

– Dobrze, szefie – odparł Harry beznamiętnie.

– Zawsze są alternatywy. Opowiadałem ci o japońskim oddziale, w którym wybuchła cholera?

– Chyba nie miałem tej przyjemności, szefie.

– Znajdowali się w dżungli na północ od Rangunu i wszystko, co zjedli albo wypili, zaraz z nich wypływało. Powoli schli. Ale dowódca nie zgadzał się na to, żeby położyli się i umarli. Kazał więc wszystkim opróżnić swoje strzykawki z morfiną i wykorzystać je do dożylnego podawania wody z manierek.

Hagen zwiększył częstotliwość, Harry na próżno usiłować wyłowić oznaki zasapania.

– To zadziałało. Ale po kilku dniach została im jedna beczka wody, w której roiło się od larw komarów. Wtedy zastępca dowódcy wymyślił, że mogą spróbować strzykawkami nabierać soku wprost z owoców, które rosły wokół nich. Sok owocowy przynajmniej w teorii składa się w dziewięćdziesięciu procentach z wody. No i co mieli do stracenia? Fantazja i śmiałość, Hole. To ocaliło oddział. Fantazja i śmiałość.

– Fantazja i śmiałość – wydyszał Harry. – Dziękuję, szefie.

Pedałował z całych sił i szmer własnego oddechu wydawał mu się głośny niczym trzaskanie ognia w otwartych drzwiczkach pieca. Prędkościomierz pokazywał czterdzieści dwa. Zerknął na sąsiedni rower. Czterdzieści siedem. Spokojny oddech. Harry'emu przypomniało się zdanie z napisanej przed tysiącem lat książki, którą dostał od pewnego przestępcy napadającego na banki, *Sztuka wojny*. „Wybieraj swoje walki". I wiedział, że z tej walki powinien zrezygnować, bo bez względu na jej wynik i tak przegra.

Zwolnił. Do trzydziestu pięciu. I ku swojemu zdumieniu nie poczuł frustracji, tylko pełną zmęczenia rezygnację. Może dorastał. Może przestawał być idiotą, który wystawia rogi i atakuje, gdy tylko ktoś zamacha czerwoną szmatą. Zerknął w bok. Nogi Hagena

poruszały się jak stemple, a twarz pokryła gładka warstewka potu, lśniącego w białym świetle lampy.

Harry otarł pot. Dwa razy odetchnął głęboko i znów nacisnął pedały. Cudowny ból pojawił się zaledwie po sekundach.

13 CZWARTEK, 17 GRUDNIA. CYKANIE

Martine od czasu do czasu myślała, że Plata to muszą być schody do piekła. W równym stopniu przerażały ją jednak plotki o tym, że Wydział Rady Miejskiej do spraw Społecznych do wiosny chce zlikwidować to miejsce swobodnego handlu narkotykami. Oficjalnie przeciwnicy Plata argumentowali, że miejsce to funkcjonuje jako reklama narkotyków dla młodych ludzi. W opinii Martine ci, którzy uważali, że życie rozgrywające się na Plata może komukolwiek wydać się kuszące, albo byli idiotami, albo ich noga nigdy tam nie postała.

Nieoficjalnie chodziło o to, że ów skrawek ziemi, którego granicę zaznaczono wymalowanym na asfalcie białym pasem z boku Jernbanetorget, psuł obraz miasta. Bo czyż zezwolenie na to, by narkotyki i pieniądze swobodnie przechodziły z rąk do rąk w samym sercu stolicy, nie było krzykliwą deklaracją bankructwa najszczęśliwszej – a w każdym razie najbogatszej – socjaldemokracji na świecie?

Z tym Martine się zgadzała. Z tym, że to bankructwo. Z tym, że walka o społeczeństwo bez narkotyków została przegrana. Jeśli natomiast chciano przeciwstawić się kolejnym zdobyczom terytorialnym narkotyków, lepiej, żeby handel odbywał się pod okiem nigdy nieodpoczywających kamer na Plata niż pod mostami wzdłuż rzeki Aker, w ciemnych podwórkach przy Rådhusgata czy po południowej stronie twierdzy Akershus. Martine wiedziała, że większość ludzi, w jakiś sposób działających na terenie narkotykowego Oslo: policja, opieka społeczna, ćpuny, uliczni kaznodzieje i prostytutki, jest zgodna: Plata jest lepsza od innych rozwiązań.

Ale rzeczywiście nie był to piękny widok.

– Langemann! – zawołała do mężczyzny, który stał w ciemności koło autobusu. – Nie chcesz dzisiaj zupy?

Ale Langemann się odsunął. Pewnie już dostał swoją działkę i ruszył, żeby wstrzyknąć sobie lekarstwo.

Skupiła się na nalewaniu zupy jakiemuś ubranemu w niebieską kurtkę facetowi z południa kraju, kiedy tuż obok usłyszała podzwanianie zębami i zobaczyła cienką marynarkę mężczyzny czekającego na swoją kolej.

– Proszę – podała mu pełny talerz.

– Cześć, ślicznotko – rozległ się ochrypły głos.

– Wenche!

– Chodź, rozgrzej biedaczkę! – roześmiała się serdecznie podstarzała prostytutka i objęła Martine. Odór spryskanej perfumami skóry i widok ciała wylewającego się z obcisłego stroju w panterkę przytłaczał. Ale Martine poczuła też inny zapach, taki, który coś jej przypominał. Pojawił się wcześniej, jeszcze zanim kanonada aromatów Wenche zagłuszyła wszystko inne.

Usiadły przy jednym z pustych stolików.

Chociaż część zagranicznych dziwek, których potop zalał dzielnicę w ostatnim roku, również zażywała narkotyki, było to jednak znacznie mniej rozpowszechnione niż wśród ich norweskich konkurentek. Wenche jako jedna z niewielu Norweżek nie ćpała. Poza tym, jak sama mówiła, zaczęła pracować w domu, utrzymując krąg stałych klientów, Martine więc coraz rzadziej ją widywała.

– Przyszłam poszukać syna koleżanki – powiedziała Wenche. – Kristoffera. Podobno wpadł w ciąg.

– Kristoffer? Nie znam.

– A tam! – machnęła ręką. – Nie myśl o tym. Masz inne zmartwienia, jak widzę.

– Ja?

– Nie udawaj. Widzę, kiedy dziewczyna jest zakochana. To ten? – Wenche ruchem głowy wskazała na chłopaka w mundurze Armii, który z Biblią w ręku przysiadał się właśnie do mężczyzny w cienkiej marynarce.

– Rikard? – prychnęła Martine. – Nie, dziękuję.

– Na pewno? Odkąd przyszłam, wodzi za tobą oczami.

– Rikard jest w porządku – westchnęła Martine. – W każdym razie zgodził się wziąć dodatkowy dyżur. Ten, który miał dzisiaj ze mną być, nie żyje.

– Robert Karlsen?

– Znałaś go?

Wenche ze smutkiem pokiwała głową, ale zaraz się rozjaśniła.

– No dobrze, zapomnijmy o zmarłych, lepiej powiedz mamusi, w kim się zakochałaś. Najwyższa zresztą na to pora.

– Nawet nie wiedziałam, że jestem zakochana – uśmiechnęła się Martine.

– No dalej, mów!

– Nie, to niemądre. Ja...

– Martine? – rozległ się inny głos.

Podniosła głowę i zobaczyła proszące oczy Rikarda.

– Człowiek, który tam siedzi, nie ma ubrania, pieniędzy, ani gdzie spać. Nie wiesz, czy w Schronisku mają coś wolnego?

– Zadzwoń do nich i spytaj. Na pewno jest przynajmniej jakaś zimowa odzież.

– Dobrze. – Rikard dalej stał, chociaż Martine znów odwróciła się do Wenche. Nie musiała wcale się upewniać, żeby wiedzieć, że poci się nad górną wargą.

Mruknął „dziękuję" i wrócił do mężczyzny w marynarce.

– No, opowiadaj! – przynagliła ją szeptem Wenche.

Na zewnątrz północny wiatr sięgnął po amunicję małego kalibru.

Harry szedł z workiem treningowym przerzuconym przez ramię, mrużąc oczy przed wiatrem niosącym ostre, prawie niewidoczne drobinki śniegu, które kłuły w rogówkę jak igły. Kiedy mijał Blitz, okupowaną przez radykalną młodzież kamienicę na Pilestredet, zadzwonił telefon. To był Halvorsen.

– W ciągu ostatnich dwóch dni dwa razy dzwoniono do Zagrzebia z automatów telefonicznych na Jernbanetorget. Za każdym razem pod ten sam numer. Zadzwoniłem tam i połączyłem się z recepcją w jakimś hotelu. Hotel International. Nie umieli mi powiedzieć, kto dzwonił do nich z Oslo, ani z kim ten człowiek chciał rozmawiać. Nie słyszeli też o żadnym Chriście Stankiciu.

– Mhm.

– Mam to dalej ciągnąć?

– Nie – westchnął Harry. – Zostawiamy, dopóki coś ewentualnie nam nie powie, że ten Stankić może być interesujący. Pogaś światła, wychodząc. Pogadamy jutro.

– Zaczekaj!

– Ja nigdzie nie idę.

– Bo jest coś jeszcze. Pogotowie policji odebrało właśnie telefon od kelnera z Biscuita. Powiedział, że dziś przed południem zszedł do toalety i natknął się na jednego z gości.

– Co on tam robił?

– Zaraz do tego dojdę. Ten gość trzymał...

– Chodzi mi o kelnera. Pracownicy w knajpach zawsze mają własne toalety.

– O to go nie spytałem – zniecierpliwił się Halvorsen. – Posłuchaj. Ten gość trzymał w ręku coś zielonego, z czego kapało.

– Chyba powinien skontaktować się z lekarzem.

– Bardzo śmieszne. Kelner przysięgał, że to był pistolet usmarowany mydłem w płynie. Pokrywa pojemnika z mydłem była zdjęta.

– Biscuit – powtórzył Harry, trawiąc informację. – To na Karl Johan.

– Dwieście metrów od miejsca zbrodni. Założę się o skrzynkę piwa, że to nasz pistolet. E... *Sorry*, założę się o...

– Już mi jesteś winien dwie stówy. Mów dalej!

– A teraz rodzynek. Poprosiłem o rysopis. Nie był w stanie mi go podać.

– To brzmi jak refren w tej sprawie.

– Oprócz tego, że rozpoznał faceta po płaszczu. Po jakimś ekstremalnie paskudnym płaszczu z wielbłądziej wełny.

– *Yes!* – zawołał Harry. – Facet w apaszce na zdjęciu publiczności z Egertorget wieczorem przed zabójstwem Roberta Karlsena!

– Kelner zresztą uważał, że to imitacja wielbłąda, a mówił tak, jakby miał o tym pojęcie.

– Co masz na myśli?

– No wiesz... sposób, w jaki oni mówią.

– Jacy oni?

– Halo! Geje. Tak czy owak, facet zniknął, zabierając pistolet. To wszystko, co mam na razie. Już idę do Biscuita, żeby pokazać kelnerowi zdjęcia.

– Dobrze – zgodził się Harry.

– Nad czym się zastanawiasz?

– Ja się zastanawiam?

– Zaczynam cię już znać, Harry.

– Mhm. Zastanawiam się, dlaczego ten kelner nie zadzwonił na pogotowie policji od razu przed południem. Spytaj go o to, dobrze?

– Sam o tym pomyślałem, Harry.

– Oczywiście, przepraszam.

Harry się rozłączył, ale sekundę później telefon znów zabrzęczał.

– Zapomniałeś o czymś? – spytał Harry.

– Co?

– A, to ty, Beate. No i co?

– Dobre wiadomości. Właśnie skończyłam robotę w Scandii.

– Znalazłaś ślady DNA?

– Tego jeszcze nie wiem. Mam tylko kilka włosów, które równie dobrze mogą należeć do pokojówki albo do jakiegoś wcześniejszego gościa. Ale pół godziny temu dostałam wyniki chłopców od balistyki. Kula w kartonie z mlekiem w mieszkaniu Jona Karlsena została wystrzelona z tej samej broni co kula, którą znaleźliśmy na Egertorget.

– Mhm. To osłabia teorię o kilku sprawcach.

– Owszem. I jeszcze jedno. Recepcjonistka z hotelu Scandia coś sobie przypomniała po twoim wyjściu. Ten Christo Stankić miał jakieś wyjątkowo brzydkie okrycie. Uważała, że to coś w rodzaju imitacji...

– Pozwól, że zgadnę. Wielbłądziej wełny?

– Tak powiedziała.

– No to go mamy! – zawołał Harry tak głośno, że pokryty graffiti mur Blitzu rzucił echo na wyludnioną ulicę w centrum.

Rozłączył się i oddzwonił do Halvorsena.

– Tak, Harry?

– Christo Stankić to nasz człowiek. Podaj opis płaszcza z wielbłądziej wełny pogotowiu policji i Centrali Operacyjnej. Niech przekażą informację wszystkim radiowozom. I... – Harry uśmiechnął się do starszej pani, która dreptała w jego stronę, szorując antypoślizgowymi kolcami założonymi na obcasy. – ...chcę

też natychmiastowego wprowadzenia kontroli sieci telefonicznej, żebyśmy mieli sygnał, jeśli ktoś zadzwoni z Oslo do hotelu International w Zagrzebiu. I numer, spod którego ta osoba dzwoni. Porozmawiaj z Klausem Torkildsenem z Regionu Oslo w Telenorze.

– To podsłuch, Harry. Musimy mieć nakaz sądowy, a to może potrwać kilka dni.

– To nie podsłuch. Chodzi nam tylko o adres dzwoniącego.

– Obawiam się, że Telenor nie wyczuje różnicy.

– Powiedz Torkildsenowi, że rozmawiałeś ze mną. Okej?

– Mogę spytać, dlaczego miałby z taką chęcią ryzykować dla ciebie utratę pracy?

– To stara historia. Kilka lat temu uratowałem go przed pobiciem w areszcie. Tom Waaler i jego kumple. Wiesz, jacy potrafią być niektórzy, kiedy się zwinie ekshibicjonistę czy kogoś takiego.

– To znaczy ekshibicjonista?

– W każdym razie były. Chętnie odpłaci przysługą za milczenie.

– Rozumiem.

Harry się rozłączył. Coś się działo. Nie czuł już północnego wiatru ani wściekłego ataku śnieżnych igiełek. Czasami praca potrafiła napawać go szczęściem. Zawrócił i ruszył z powrotem do Budynku Policji.

W separatce w Szpitalu Ullevål Jon poczuł wibrację telefonu na prześcieradle i natychmiast odebrał.

– Słucham?

– To ja.

– A, cześć – nie zdołał ukryć rozczarowania.

– Mówisz tak, jakbyś miał nadzieję, że to ktoś inny. – Nieco zbyt wesoły ton Ragnhild zdradzał zranioną kobietę.

– Nie mogę za długo rozmawiać. – Jon zerknął na drzwi.

– Chciałam tylko powiedzieć, że to straszne, co się stało z Robertem, i że bardzo ci współczuję.

– Dziękuję.

– To musi bardzo boleć. Gdzie ty właściwie jesteś? Próbowałam się dodzwonić do ciebie do domu.

Jon nie odpowiedział.

– Mads pracuje do późna, więc jeśli chcesz, mogę do ciebie zajrzeć.

– Nie, dziękuję, Ragnhild. Dam sobie radę.

– Myślałam o sobie. Jest tak ciemno i zimno. Boję się.

– Ty się nigdy nie boisz, Ragnhild.

– Owszem, czasami. – W jej głosie zabrzmiała udawana złość. – Tu jest tyle pokoi i ani żywej duszy.

– To przeprowadź się do mniejszego domu. Muszę się rozłączyć. Nam tutaj nie wolno używać komórek.

– Zaczekaj! Gdzie ty jesteś, Jon?

– Mam lekki wstrząs mózgu. Leżę w szpitalu.

– W jakim szpitalu? Na jakim oddziale?

Jon się wzdrygnął.

– Większość osób spytałaby, co się stało.

– Wiesz, że zawsze muszę wiedzieć, gdzie jesteś.

Jon wyobraził sobie Ragnhild wkraczającą nazajutrz w porze odwiedzin z wielkim bukietem róż. I pytające spojrzenie Thei, najpierw na nią, a potem na niego.

– Słyszę, że idzie pielęgniarka – szepnął. – Muszę się rozłączyć.

Wcisnął klawisz wyłączający telefon i patrzył w sufit, dopóki aparat nie odegrał swojej pożegnalnej fanfary i nie zgasł wyświetlacz. Miała rację. Było ciemno. Ale to on się bał.

Ragnhild Gilstrup stała przy oknie z zamkniętymi oczami. Patrzyła na zegarek. Mads powiedział, że ma coś do zrobienia w związku z zebraniem zarządu i wróci późno. Ostatnio zaczął tak

mówić. Wcześniej zawsze podawał konkretną godzinę i wracał punktualnie, a często nawet trochę wcześniej. Wcale nie miała ochoty widzieć go wcześniej w domu, ale trochę ją to dziwiło. Tylko tyle. Tak samo jak zdziwiło ją, że do ostatniego rachunku za telefon stacjonarny dołączono billing. A ona nic takiego nie zamawiała. Ale billing przyszedł, kartka formatu A4 zawierająca za dużo informacji. Powinna przestać dzwonić do Jona, ale nie potrafiła się powstrzymać. Bo on miał to spojrzenie. Spojrzenie Johannesa. Nie chodziło o to, czy jest miłe, mądre czy łagodne. To było spojrzenie, które potrafiło odczytać jej myśli, zanim jeszcze sama pomyślała. Które widziało ją taką, jaka jest. A mimo to ją lubiło.

Znów otworzyła oczy i zapatrzyła się na ponadpółhektarową leśną działkę. Widok przypomniał jej szkołę z internatem w Szwajcarii. Słońce wpadało do dużej sypialni, rzucając niebieskobiałe światło na sufit i ściany.

To ona uparła się, żeby budowali właśnie tutaj. Wysoko nad miastem, właściwie w lesie. Mówiła, że może dzięki temu będzie się czuła mniej zamknięta, bardziej swobodna. Mąż, Mads Gilstrup, który sądził, że w jej pojęciu to miasto ogranicza jej swobodę, z radością zdecydował się zbudować dom za cząstkę pieniędzy, jakie mieli. To cudo kosztowało dwadzieścia milionów. Kiedy się tu przeprowadzili, Ragnhild miała wrażenie, że przeniosła się z celi na spacerniak. Słońce, powietrze i przestrzeń, ale wciąż zamknięta. Tak samo jak w internacie.

Od czasu do czasu, tak jak dziś wieczorem, zastanawiała się, dlaczego tu trafiła. Okoliczności zewnętrzne po podsumowaniu wyglądały następująco: Mads Gilstrup był spadkobiercą jednej z wielkich fortun w Oslo. Poznała go podczas studiów w Illinois, pod Chicago, w Stanach Zjednoczonych Ameryki, gdzie oboje studiowali ekonomię na przeciętnych uniwersytetach, co jednak

gwarantowało większy prestiż niż studia na dobrej uczelni w Norwegii. A poza tym było zabawniejsze. Oboje mieli bogate rodziny, ale on bogatszą. I podczas gdy Mads pochodził z rodu armatorów od pięciu pokoleń, ze starymi pieniędzmi, Ragnhild wywodziła się z prostego chłopskiego rodu, a jej pieniądze wciąż pachniały farbą drukarską i hodowlą ryb. Żyli w punkcie skrzyżowania subsydiów dla rolnictwa z urażoną dumą, dopóki jej ojciec i stryj nie sprzedali każdy swojego traktora i nie postawili na niewielką hodowlę w fiordzie, zaraz za oknem chałupy na wietrznym wzgórzu w Vest-Agder. Moment wybrali idealnie. Konkurencja minimalna, ceny za kilogram astronomiczne, więc w ciągu czterech lat tłustych stali się multimilionerami. Chałupę na wzgórzu zburzono, zastąpiła ją większa od stodoły budowla przypominająca tort, z ośmioma wykuszami i podwójnym garażem.

Kiedy Ragnhild skończyła szesnaście lat, matka wysłała ją z jednego wzgórza na drugie: do prywatnej szkoły dla dziewcząt Arona Schüstera, położonej w Szwajcarii, dziewięćset metrów nad poziomem morza w osadzie przy stacji kolejowej, z sześcioma kościołami i jedną piwiarnią. Wypowiedzianym powodem wyjazdu Ragnhild była nauka francuskiego, niemieckiego i historii sztuki, przedmiotów, które bardzo mogły się przydać, ponieważ ceny za kilogram hodowlanych ryb wciąż biły nowe rekordy.

Ale prawdziwym powodem banicji był oczywiście jej ukochany, Johannes. Johannes o gorących dłoniach, Johannes o łagodnym głosie i spojrzeniu, które wiedziało, co Ragnhild pomyśli, jeszcze zanim pomyślała. Wieśniak Johannes, który nigdzie się nie wybierał. Po Johannesie wszystko się zmieniło. Po Johannesie zmieniła się ona sama.

W prywatnej szkole Arona Schüstera pozbyła się koszmarów, poczucia winy i zapachu ryb. Uczyła się wszystkiego, czego

potrzebują młode dziewczęta, żeby zdobyć męża z ich pozycją albo wyższą. A dzięki odziedziczonemu instynktowi przetrwania, który umożliwił jej rodzinie przeżycie na wzgórzu w Norwegii, powoli, ale nieodwołalnie pogrzebała tę Ragnhild, którą Johannes tak dobrze znał, i stała się tą, która zmierzała w różne miejsca, która tworzyła swoje własne miejsca i nie dawała się powstrzymać nikomu, a już na pewno nie wyniosłym dziewczętom z francuskich wyższych sfer ani rozpieszczonym Dunkom, szepczącym po kątach, że bez względu na to, jak takie jak Ragnhild będą próbować, i tak na zawsze zostaną wulgarnymi prowincjuszkami.

Jej małą zemstą było uwiedzenie pana Brehme, młodego nauczyciela niemieckiego, w którym wszystkie trochę się podkochiwały. Nauczyciele mieszkali w osobnym budynku *vis-à-vis* uczennic, a ona po prostu przeszła po brukowanym placyku i zapukała do jego drzwi. Odwiedziła go cztery razy. I cztery razy wracała nocą przez plac, głośno stukając obcasami o bruk, aż echo odbijało się od ścian po obu stronach. Zaczęły krążyć plotki, a ona nie robiła nic, albo mało, by je powstrzymać. Kiedy rozeszła się wieść, że pan Brehme złożył wypowiedzenie i w pośpiechu wyjechał do nowej pracy w Zurychu, Ragnhild uśmiechała się triumfalnie do wszystkich zdjętych żałobą twarzy młodych dziewcząt w klasie.

Po ostatnim roku nauki w Szwajcarii Ragnhild wróciła do kraju. Nareszcie w domu, myślała. Ale spojrzenie Johannesa znów się pojawiło. W srebrze na fiordzie, w cieniach jaskrawozielonego lasu, za czarnymi błyszczącymi oknami w domu modlitwy albo w mknących drogą samochodach, po których zostawała gorzka chmura kurzu trzeszczącego w zębach. Kiedy więc z Chicago przyszedł list z ofertą studiów, business administration, trzyletnich

licencjackich, pięcioletnich magisterskich, poprosiła ojca, żeby natychmiast przelał wymagane czesne.

Wyjazd przyniósł ulgę. Znów mogła stać się nową Ragnhild. Cieszyła się, że zapomni, ale by to osiągnąć, potrzebowała jakiegoś projektu, celu. W Chicago ten cel znalazła. Był nim Mads Gilstrup.

Sądziła, że to będzie proste. Przecież mimo wszystko miała zarówno teoretyczne, jak i praktyczne podstawy do uwodzenia chłopców z wyższych sfer. I była piękna. Powiedział tak Johannes, a inni za nim powtarzali. Przede wszystkim jej oczy. Los pobłogosławił ją błękitnymi po matce tęczówkami, otoczonymi niezwykle czystą, białą twardówką, co, jak zostało naukowo udowodnione, przyciąga drugą płeć, ponieważ sygnalizuje solidne zdrowie i dobry materiał genetyczny. Z tego powodu Ragnhild rzadko widywano w okularach słonecznych, chyba że zaplanowała efekt, jakim było ich zdjęcie w szczególnie dogodnym momencie.

Niektórzy mówili, że jest podobna do Nicole Kidman. Rozumiała, o co im chodzi. Piękna w surowy, oschły sposób. Może to był powód. Surowość. Bo kiedy próbowała nawiązać kontakt z Madsem Gilstrupem w korytarzach czy stołówce w kampusie, on zachowywał się jak spłoszony dziki koń. Uciekał wzrokiem, nerwowo odrzucał grzywkę i chował się w bezpiecznej strefie.

W końcu postawiła wszystko na jedną kartę.

W wieczór poprzedzający jedną z wielu dorocznych i, jak twierdzono, bogatych w tradycje idiotycznych zabaw Ragnhild dała współlokatorce pieniądze na nowe buty i wynajęcie pokoju hotelowego w mieście, a potem spędziła trzy godziny przed lustrem. Wyjątkowo przyszła na zabawę wcześnie. Po pierwsze, wiedziała, że Mads Gilstrup przychodzi wcześnie na wszystkie imprezy, a po drugie, chciała uprzedzić ewentualne konkurentki.

Mads Gilstrup jąkał się i dukał, nie śmiąc spojrzeć jej w oczy, pomimo jasnoniebieskich tęczówek i nadzwyczaj czystej twardówki, a co dopiero w wyeksponowany dekolt. Ona zaś wbrew swoim wcześniejszym przekonaniom stwierdziła, że pewność siebie nie zawsze bywa nieodłączną towarzyszką pieniędzy. Dopiero później miała zrozumieć, że winę za kompleksy Madsa ponosił jego błyskotliwy, wymagający i nienawidzący słabości ojciec, który nie był w stanie pojąć, dlaczego nie został obdarzony synem przypominającym jego samego.

Ona jednak się nie ugięła. Kiwała się przed nosem Madsa Gilstrupa jak przynęta i tak wyraźnie okazywała swoją dostępność, że widziała, jak te dziewczęta, które nazywała przyjaciółkami i vice versa, przysuwają do siebie głowy, ponieważ gdy przychodziło co do czego, zawsze okazywały się zwierzętami stadnymi. W końcu po sześciu amerykańskich lekkich piwach i rodzącym się podejrzeniu, że Mads Gilstrup jest homoseksualistą, dziki koń odważył się wreszcie wyjść na otwarty teren i po kolejnych dwóch piwach opuścili imprezę.

Pozwoliła mu się dosiąść, ale w łóżku współlokatorki. To mimo wszystko były drogie buty. A kiedy trzy minuty później wycierała go szydełkową narzutą koleżanki, wiedziała, że udało jej się nałożyć mu uzdę. Uprząż i siodło miały pojawić się później.

Po studiach wrócili do domu zaręczeni. Mads Gilstrup po to, by zarządzać swoją częścią rodzinnego majątku, w bezpiecznym przekonaniu, że nigdy nie będzie musiał się sprawdzać w jakimś wyścigu szczurów. Jego praca polegała na znajdowaniu właściwych doradców.

Ragnhild z powodzeniem ubiegała się o posadę u zarządcy funduszu inwestycyjnego, który nigdy nie słyszał o tamtejszym przeciętnym uniwersytecie, słyszał natomiast o Chicago, i podobało

mu się to, co słyszał. I to, co widział. Nie był zbyt błyskotliwy, ale wymagający, i pod tym względem znalazł w Ragnhild bratnią duszę. Dlatego w stosunkowo krótkim czasie została odsunięta od nieco zbyt wymagającej pod względem intelektualnym pracy analityka rynku akcji i umieszczona przy monitorze i telefonie na jednym ze stolików w „kuchni", jak nazywali pokój maklerów. I właśnie tutaj Ragnhild Gilstrup (zmieniła nazwisko panieńskie na Gilstrup, już kiedy się zaręczyli, ponieważ tak było „praktyczniej") naprawdę pokazała, co potrafi. Jeśli instytucjonalnym i z założenia profesjonalnym inwestorom, a takimi byli klienci funduszu, nie wystarczyło d o r a d z a n i e zakupu akcji Opticomu, to mogła mruczeć, flirtować, syczeć, manipulować, kłamać i płakać. Ragnhild Gilstrup potrafiła otrzeć się o parę męskich nóg – a w miarę potrzeby również damskich – w sposób, który podnosił wartość akcji o wiele skuteczniej niż jakakolwiek z dokonywanych przez nią analiz. Ale jej główna zaleta polegała na wyjątkowym zrozumieniu dla najistotniejszego czynnika na rynku akcji: chciwości.

Nagle pewnego dnia okazało się, że jest w ciąży. I ku swojemu zdumieniu odkryła, że zastanawia się nad aborcją. Do tej pory szczerze wierzyła, że chce mieć dzieci, przynajmniej jedno. Osiem miesięcy później urodziła Amalie. Ogarnęło ją wtedy szczęście, które natychmiast wyparło wspomnienie planów aborcyjnych. Po dwóch tygodniach Amalie trafiła do szpitala z wysoką gorączką. Ragnhild zauważyła niepokój lekarzy, ale nie umieli jej powiedzieć, co dolega malutkiej. Którejś nocy Ragnhild rozważała modlitwę do Boga, ale z tego zrezygnowała. Następnego dnia o dwudziestej trzeciej maleńka Amalie umarła na zapalenie płuc. Ragnhild zamknęła się u siebie i przepłakała cztery dni.

„Mukowiscydoza – powiedział jej lekarz podczas rozmowy w cztery oczy. – Choroba uwarunkowana genetycznie, co oznacza, że albo pani, albo pani mąż jesteście jej nosicielami. Słyszała pani o kimś w rodzinie, kto by na to cierpiał? Może się to, na przykład, objawiać częstymi atakami astmy".

„Nie – odparła Ragnhild. – I liczę, że pan pamięta o swoim obowiązku dochowania tajemnicy".

Żałobą zajęli się profesjonaliści. Po kilku miesiącach znów była w stanie rozmawiać z ludźmi. Kiedy przyszło lato, pojechali do letniego domku Gilstrupów na zachodnim wybrzeżu Szwecji i próbowali spłodzić nowe dziecko. Ale pewnego wieczoru Mads Gilstrup zastał żonę płaczącą przed lustrem w sypialni. Mówiła, że śmierć dziecka jest karą za to, że chciała usunąć ciążę. Pocieszał ją, ale kiedy jego czułe pieszczoty nabrały śmiałości, odepchnęła go od siebie, oświadczając, że to był ostatni raz na długo. Mads sądził, że ma na myśli porody, i natychmiast się z nią zgodził. Dlatego poczuł się rozczarowany i zrozpaczony, gdy dała mu do zrozumienia, że chce odpocząć od samego aktu. Mads Gilstrup poznał już smak kopulacji, a szczególnie cenił wzrost poczucia własnej wartości, jaki przynosiła mu świadomość, że zapewnia żonie krótkie, ale wyraźne orgazmy. Mimo wszystko zaakceptował jej żądanie, tłumacząc je następstwami żałoby i zmian hormonalnych po porodzie. Ragnhild nie uważała za stosowne poinformować go, że przez dwa ostatnie lata żyła z nim wyłącznie z obowiązku, a resztki pożądania dla niego, jakie była w stanie z siebie wydusić, wyparowały na porodówce, gdy patrzyła w jego głupią, zdumioną i przerażoną twarz. A kiedy płacząc ze szczęścia, upuścił na ziemię nożyczki, którymi miał przeciąć sznur zwycięstwa wszystkich rodzących ojców, miała jedynie ochotę go uderzyć. Nie uważała również za stosowne poinformować go, że ona i jej mało błyskotliwy szef

przez ostatni rok dostatecznie zaspokajali nawzajem swoje wymagające potrzeby w dziedzinie współżycia seksualnego.

Ragnhild była jedynym maklerem giełdowym w Oslo, któremu zaproponowano wejście do spółki na pełnych prawach, kiedy szła na urlop macierzyński. Ale ona, ku zdumieniu wszystkich, złożyła wypowiedzenie. Zaproponowano jej inną posadę. Zarządzanie rodzinnym majątkiem Madsa Gilstrupa.

Na wieczorku pożegnalnym wyjaśniła szefowi, że, jej zdaniem, przyszedł najwyższy czas, by maklerzy umizgiwali się do niej, a nie odwrotnie. Ani słowem nie zdradziła prawdziwej przyczyny swojej decyzji: tego, że Mads Gilstrup, niestety, nie zdołał się wywiązać ze swojego jedynego zadania, polegającego na znalezieniu dobrych doradców, w związku z czym majątek rodzinny zaczął się kurczyć w tempie tak zastraszającym, że w końcu teść, Albert Gilstrup, i Ragnhild musieli wspólnie interweniować. Było to ostatnie spotkanie Ragnhild z szefem funduszu. Kilka miesięcy później dowiedziała się, że poszedł na długie zwolnienie, bo już od dawna dokuczała mu astma.

Ragnhild nie lubiła kręgów, w których obracał się Mads, podobnie zresztą jak on sam, z tego co zrozumiała. Chodzili jednak na przyjęcia, na które ich zapraszano, ponieważ alternatywa, czyli wypadnięcie poza środowisko ludzi, którzy coś znaczyli lub coś posiadali, była mimo wszystko znacznie gorsza. Napuszeni, zadowoleni z siebie mężczyźni, szczerze przekonani, że ich pieniądze dają im do tego prawo, to jedna rzecz. Gorzej było z ich żonami, „babskami", jak Ragnhild nazywała je w duchu. Z plotkarami siedzącymi w domu, zakupoholiczkami zwariowanymi na punkcie zdrowego stylu życia, z cyckami wyglądającymi na całkiem prawdziwe, i opalenizną, która faktycznie była prawdziwa, ponieważ akurat razem z dziećmi spędziły wakacje w Saint-Tropez,

gdzie mogły „odpocząć” od *au pair* i hałaśliwych robotników, którzy nigdy nie potrafili skończyć budowy basenu czy remontu kuchni. Ze szczerze zmartwionymi minami rozmawiały o tym, jak marnym miejscem do robienia zakupów stała się w ostatnim roku Europa, lecz poza tym ich horyzonty nigdy nie sięgały dalej niż od Slemdal do Bogstad i ewentualnie do Kragerø latem. Ubrania, operacje plastyczne i urządzenia do ćwiczeń były najpopularniejszymi tematami wśród przyjaciółek, ponieważ dotyczyły narzędzi niezbędnych do zatrzymania przy sobie bogatych napuszonych mężów, co przecież stanowiło ich jedyną misję na ziemi.

Kiedy Ragnhild się nad tym zastawiała, czasami ją to zaskakiwało. Czy one były aż tak inne od niej? Być może różnica polegała na tym, że ona naprawdę miała pracę. Czy to dlatego nie znosiła ich zarozumiałych min w otwartej przed południem restauracji na Vinderen, kiedy skarżyły się na wyłudzanie zasiłków i uchylanie się od płacenia podatków w tym, co z lekką pogardą nazywały „społeczeństwem”? Czy może chodziło o coś innego? Coś bowiem się wydarzyło. Rewolucja. Ragnhild zaczęła troszczyć się o drugiego człowieka. Nie czuła tego od czasu Amalie. I Johannesa.

Wszystko zaczęło się od planu. Z powodu błędnych inwestycji Madsa wartość majątku wciąż spadała, należało więc podjąć drastyczne kroki. Nie chodziło jedynie o przeniesienie środków na aktywa o mniejszym stopniu ryzyka. Narosły również długi, które wymagały spłaty. Krótko mówiąc, należało dokonać przewrotu finansowego. Pomysłodawcą był teść. A cała rzecz w istocie pachniała przewrotem, czy nawet wręcz rabunkiem. W dodatku nie obrabowaniem dobrze strzeżonego banku, tylko napaścią na staruszkę. Tą staruszką była Armia Zbawienia. Ragnhild przejrzała portfel nieruchomości Armii, który okazał się wręcz

imponujący. Wprawdzie kamienice znajdowały się w średnim stanie, ale miały wyjątkowy potencjał i lokalizację. Przede wszystkim chodziło o kamienice położone w centralnych dzielnicach Oslo, a zwłaszcza te na Majorstua. Bilanse Armii pokazały Ragnhild co najmniej dwie rzeczy: po pierwsze, Armia Zbawienia potrzebowała pieniędzy. A po drugie, nieruchomości były mocno niedowartościowane w bilansie. Prawdopodobnie ci ludzie nie mieli pojęcia, co posiadają, wątpiła bowiem mocno, by decydenci z Armii Zbawienia zaliczali się do rekinów finansowych. Poza tym najprawdopodobniej był akurat idealny moment na kupno, ponieważ ceny na rynku nieruchomości poszły w dół, a jednocześnie kursy akcji i inne główne indeksy znów zaczęły piąć się w górę.

Jeden telefon i miała już umówione spotkanie.

Był cudowny, wiosenny dzień, kiedy podjechała pod Kwaterę Główną Armii Zbawienia.

Przyjął ją komandor David Eckhoff, a ona w ciągu trzech sekund przejrzała go na wskroś. Za fasadą jowialności dostrzegła dominującego przewodnika stada z rodzaju tych, których tak świetnie umiała owinąć sobie wokół palca, i pomyślała, że to się może udać. Przyjął ją w sali konferencyjnej i podjął tradycyjnymi wiejskimi goframi i zaskakująco paskudną kawą. Towarzyszył mu jeden starszy i dwóch młodszych współpracowników. Starszy był szefem administracji w stopniu podpułkownika i wkrótce miał przejść na emeryturę. Jednym z tych młodszych okazał się Rikard Nilsen, zamknięty w sobie młody człowiek, który na pierwszy rzut oka wykazywał podobieństwo do Madsa Gilstrupa. Ale to było nic w porównaniu z szokiem, jakiego doznała, witając się z drugim z młodych mężczyzn, który z ostrożnym uśmiechem ujął jej rękę i przedstawił się jako Jon Karlsen. Nie chodziło o jego wysoką,

nieco przygarbioną postać, otwartą chłopięcą twarz czy ciepły głos, tylko o spojrzenie. Patrzyło wprost na nią. W nią. Tak jak Johannes. To było spojrzenie Johannesa.

Pierwszą część spotkania, podczas której szef administracji ocenił obroty norweskiej Armii Zbawienia na blisko miliard koron, z czego znaczną część stanowiły dochody z wynajmu dwustu trzydziestu nieruchomości, znajdujących się w posiadaniu Armii na terenie całego kraju, Ragnhild przesiedziała jak w transie, starając się nie patrzeć na chłopaka. Na jego włosy, na dłonie spokojnie spoczywające na blacie. Na barki, nie do końca wypełniające czarny mundur, który Ragnhild od dzieciństwa kojarzyła z podstarzałymi mężczyznami i kobietami śpiewającymi w chórku piosenki na trzy akordy, uśmiechniętymi, mimo że nie wierzyli w żadne życie przed śmiercią. Pewnie myślała – właściwie się na tym nie zastanawiając – że Armia Zbawienia jest dla takich, którzy nie znajdują dla siebie miejsca gdzie indziej. Dla prostych. Dla tych, którzy nie są na tyle zabawni i bystrzy, żeby jacyś inni chcieli się z nimi bawić, lecz którzy rozumieli, że Armia to wspólnota, stawiająca wymagania, jakie spełnić mogli nawet oni: śpiewać w chórku.

Kiedy szef administracji skończył, Ragnhild podziękowała, otworzyła przyniesioną teczkę i pchnęła przez stół do komandora zwykłą kartkę formatu A4.

– To nasza oferta – powiedziała. – Wynika z niej, którymi nieruchomościami jesteśmy zainteresowani.

– Dziękuję. – Komandor zerknął na papier.

Ragnhild próbowała czytać w jego twarzy, zrozumiała jednak, że mina nie będzie miała wielkiego znaczenia. Przed komandorem na stole leżały nietknięte okulary do czytania.

– Nasz specjalista zastanowi się nad tym i sporządzi opinię. – Komandor uśmiechnął się i przesunął kartkę. W stronę Jona

Karlsena. Ragnhild zauważyła skurcz przebiegający po twarzy Rikarda Nilsena.

Przez stół pchnęła do Jona Karlsena swoją wizytówkę.

– Jeśli coś okaże się niejasne, proszę po prostu do mnie zadzwonić – powiedziała, czując na sobie jego spojrzenie niczym fizyczny dotyk.

– Dziękujemy za wizytę, pani Gilstrup. – Komandor Eckhoff złożył ręce. – Obiecujemy, że odpowiemy w ciągu... Jon?

– Krótkiego czasu.

Komandor uśmiechnął się jowialnie.

– Krótkiego czasu.

Do windy odprowadzili ją wszyscy czterej. Żaden się nie odezwał, gdy czekali. Kiedy drzwi windy się rozsunęły, nachyliła się lekko do Jona Karlsena i powiedziała cicho:

– W każdej chwili. Na komórkę.

Usiłowała pochwycić jego spojrzenie, by jeszcze raz je poczuć, ale nie zdążyła. Zjeżdżając windą w dół, Ragnhild Gilstrup poczuła, jak krew boleśnie mocno w niej pulsuje i zaczęła niekontrolowanie drżeć.

Upłynęły trzy dni, nim zadzwonił i powiedział „nie". Ocenili ofertę i doszli do wniosku, że nie będą nic sprzedawać. Ragnhild gorączkowo argumentowała ceną, wskazywała jednostronną ekspozycję Armii Zbawienia na rynku nieruchomości, mówiła, że obiekty nie są profesjonalnie zarządzane, że niskie odpisy w księgach świadczą o tym, że nieruchomości przy tak niskich cenach najmu przynoszą wręcz straty, i że Armia powinna zdywersyfikować swoje inwestycje.

Jon Karlsen słuchał, nie przerywając.

– Dziękuję – powiedział, kiedy skończyła. – Dziękuję za to, że tak wnikliwie zapoznała się pani z tą sprawą, pani Gilstrup. I jako

ekonomista zgadzam się z panią, ale...

– Ale co? Rachunek jest prosty... – Słyszała swój własny podniecony oddech w słuchawce.

– Ale jest też aspekt ludzki.

– Ludzki?

– Najemcy. Ludzie. Starzy ludzie, którzy mieszkają w tych domach przez całe życie, emerytowani oficerowie Armii, uchodźcy, osoby, które potrzebują poczucia bezpieczeństwa. To jest mój aspekt ludzki. Wy ich wyrzucicie, żeby odnowić te mieszkania i wynająć je albo sprzedać z zyskiem. Rachunek jest, jak pani powiedziała, prosty. To jest pani aspekt ekonomiczny, który przesłania wszystko, i ja to akceptuję. Czy pani akceptuje mój?

Wstrzymała oddech.

– Ja... – zaczęła.

– Chętnie panią ze sobą zabiorę, żeby mogła pani poznać niektórych z tych ludzi. Może wtedy zrozumie to pani lepiej.

Aż pokręciła głową.

– Z przyjemnością wyjaśnię ewentualne nieporozumienia co do naszych intencji – powiedziała. – Czy jest pan zajęty w czwartek wieczór?

– Nie, ale...

– Spotkajmy się wobec tego w Feinschmeckerze o ósmej.

– Co to jest Feinschmecker?

Musiała się uśmiechnąć.

– To restauracja na Frogner. Powiem tak, taksówkarz będzie wiedział, gdzie to jest.

– Jeśli to na Frogner, przyjadę rowerem.

– Dobrze, do zobaczenia.

Wezwała Madsa i teścia na naradę i opowiedziała im o rozmowie.

– Wygląda na to, że kluczem do sprawy jest ten ich doradca – stwierdził teść, Albert Gilstrup. – Jeśli uda nam się przeciągnąć go na naszą stronę, nieruchomości są nasze.

– Ale przecież mówię, że jego nie interesuje cena, jaką proponujemy.

– Ależ tak! – upierał się teść.

– Nie!

– Nie cena dla Armii Zbawienia. Tu może wywijać tym swoim moralnym sztandarem. Musimy się odwołać do jego osobistej chciwości.

Ragnhild pokręciła głową.

– Z tym człowiekiem to się nie uda. To nie jest ktoś, kto na to pójdzie.

– Każdy ma swoją cenę – oświadczył Albert Gilstrup ze smutnym uśmiechem, kiwając jej palcem przy twarzy jak metronomem. – Armia Zbawienia wyrosła z pietyzmu, a pietyzm zbliżał z religią człowieka myślącego praktycznie. Dlatego stał się przebojem na ubogiej północy. Najpierw chleb, potem modlitwa. Proponuję dwa miliony.

– Dwa miliony? – jęknął Mads Gilstrup. – Za... za opinię, że powinni sprzedać?

– Oczywiście tylko wtedy, jeśli dojdzie do sprzedaży. *No cure, no pain*.

– To i tak idiotycznie wysoka suma – zaprotestował Mads.

Teść odpowiedział, nie patrząc na syna.

– Jedynym idiotyzmem, jaki dostrzegam w tej sytuacji, jest zdziesiątkowanie rodzinnego majątku w czasach, kiedy wszystko idzie w górę.

Mads dwa razy otworzył usta jak rybka akwariowa, ale nic się z nich nie wydobyło.

– Ten ich doradca nie będzie miał odwagi do negocjowania ceny, jeśli uzna, że nasza pierwsza oferta jest za niska – stwierdził teść. – Musimy go znokautować w pierwszej rundzie. Dwa miliony. Co ty na to, Ragnhild?

Ragnhild powoli pokiwała głową, utkwiwszy wzrok za oknem, nie miała bowiem siły patrzeć na męża, który siedział ze spuszczoną głową poza kręgiem światła biurkowej lampy.

Kiedy przyszła do restauracji, Jon Karlsen czekał już przy stoliku. Sprawiał wrażenie niższego, niż zapamiętała, ale może było tak dlatego, że zamienił mundur na workowaty garnitur kupiony, jak przypuszczała, we Freteksie. Albo też wyglądał na zagubionego w modnej restauracji. Kiedy wstał, żeby się z nią przywitać, przewrócił wazon. Wspólnymi siłami uratowali kwiaty, śmiejąc się z całego zamieszania. Później rozmawiali na różne tematy. Kiedy spytał, czy ma dzieci, pokręciła tylko głową.

A czy on miał dzieci? Nie. No właśnie, ale może miał... Nie, też nie.

Rozmowa zeszła na nieruchomości Armii Zbawienia, ale Ragnhild zorientowała się, że Jon argumentuje bez poprzedniego ognia. Uśmiechał się uprzejmie, ledwie mocząc usta w winie. Podniosła ofertę o dziesięć procent. Pokręcił głową, wciąż z uśmiechem, i skomplementował jej naszyjnik, który, jak wiedziała, pięknie podkreślał kolor jej skóry.

– To prezent od matki – skłamała bez wysiłku, myśląc, że on tak naprawdę patrzy na jej oczy, na jasnoniebieskie tęczówki i czyste białka.

Propozycję osobistego wynagrodzenia w wysokości dwóch milionów przedstawiła między daniem głównym a deserem. Nie patrzyła mu przy tym w oczy, bo on w milczeniu wpatrywał się w kieliszek. Nagle gwałtownie pobladł.

– Czy to pani własny pomysł?

Zorientowała się, że ma krótki oddech.

– Mój i mojego teścia.

– Alberta Gilstrupa?

– Tak. Oprócz nas dwojga i mojego męża nikt nigdy się o tym nie dowie. Będziemy mieć równie dużo do stracenia, gdyby rzecz wyszła na jaw, jak... jak pan.

– Czy ja coś powiedziałem albo zrobiłem?

– Słucham?

– Co skłania panią i pani teścia do przekonania, że zgodzę się na przyjęcie tych srebrników? – Podniósł na nią wzrok. Ragnhild poczuła rumieniec wypełzający na twarz. Ostatnio tak się zaczerwieniła chyba w podstawówce.

– Zrezygnujemy z deseru?

Zdjął serwetkę z kolan i położył ją na stole przy talerzu.

– Proszę się nie spieszyć i zastanowić. Dla pańskiego dobra. To może być szansa na zrealizowanie marzeń.

Słowa zabrzmiały fałszywie i brzydko nawet w jej własnych uszach. Jon dał sygnał kelnerowi, że proszą o rachunek.

– A jakie to marzenia? O tym, żeby być skorumpowanym sługą? Żałosnym dezerterem? Jeździć pięknym samochodem, podczas gdy całe to człowieczeństwo, które chciało się osiągnąć, legło w gruzach? – Jego głos trząsł się z wściekłości. – Takie są pani marzenia, Ragnhild Gilstrup?

Nie umiała odpowiedzieć.

– Najwyraźniej jestem ślepy – powiedział. – Bo wie pani, kiedy panią poznałem, wydawało mi się, że widzę... zupełnie innego człowieka.

– Widział pan mnie. – Czuła, że zaraz się roztrzęsie, tak samo jak wtedy w windzie.

– Co?

Odchrząknęła.

– Zobaczył pan mnie. A ja pana obraziłam. Bardzo mi przykro.

W ciszy, która nastąpiła, Ragnhild miała wrażenie, że zapada się w na przemian zimne i ciepłe warstwy wody.

– Zapomnijmy o tym – powiedziała, kiedy kelner wziął z jej ręki kartę. – To nie jest ważne. Ani dla mnie, ani dla pana. Pójdzie pan ze mną do parku Frogner?

– Ja...

– Bardzo proszę.

Spojrzał na nią zaskoczony.

Ale czy na pewno?

Jak to spojrzenie – widzące wszystko – mogło być czymkolwiek zaskoczone?

Ragnhild Gilstrup przez swoje okno na Holmenkollen wpatrywała się w widoczny daleko w dole ciemny prostokąt. Park Frogner. To tam zaczęło się szaleństwo.

Minęła północ. Autobus rozwożący zupę stał już zaparkowany w garażu, a Martine czuła się cudownie wycieńczona, lecz również pobłogosławiona. Stała na chodniku przed Schroniskiem w ciasnej ciemnej Heimdalsgata i czekała na Rikarda, który poszedł po samochód, kiedy usłyszała skrzypienie śniegu za plecami.

– Cześć.

Odwróciła się i poczuła, że serce jej zamiera na widok konturów potężnej postaci, rysujących się na tle światła samotnej latarni.

– Nie poznajesz mnie?

Serce uderzyło raz. Potem drugi. Potem trzeci i czwarty. Rozpoznała ten głos.

– Co ty tu robisz? – spytała z nadzieją, że nie słychać, jak bardzo się przestraszyła.

– Dowiedziałem się, że pracowałaś dzisiaj w autobusie, który parkuje tutaj około północy. Mamy postęp w sprawie, jak to się mówi. Trochę myślałem. – Zrobił krok w przód i światło padło mu na twarz. Była twardsza, starsza, niż zapamiętała. Dziwne, jak dużo można zapomnieć w ciągu jednej doby.

– I mam parę pytań.

– Które nie mogły zaczekać? – uśmiechnęła się. Zobaczyła, że na widok jej uśmiechu twarz policjanta zmiękła.

– Czekasz na kogoś? – spytał Harry.

– Tak. Rikard odwiezie mnie do domu.

Popatrzyła na torbę przewieszoną przez ramię policjanta. Torba miała z boku napis „JETTE", ale wyglądała na zbyt starą i zniszczoną, by mogła być modnym wariantem retro.

– Powinieneś sobie kupić świeże wkładki do butów, które tam masz. – Wskazała ręką.

Spojrzał na nią zdumiony.

– Nie trzeba być Jeanem-Baptiste'em Grenouille'em, żeby poczuć zapach – powiedziała.

– Patrick Süskind. *Pachnidło*.

– Policjant, który czyta?

– Żołnierz Armii Zbawienia, który czyta o zabójstwie? – odciął się. – Co, niestety, prowadzi nas do sprawy, z którą przychodzę.

Podjechał do nich saab dziewięćset. Okno opadło bezszelestnie.

– Jedziemy, Martine?

– Momencik, Rikardzie. Dokąd idziesz?

– Na Bislett. Ale wolałbym...

– Rikard, zgadzasz się podwieźć Harry'ego na Bislett? Przecież ty też tam mieszkasz.

Rikard zapatrzył się w ciemność, zanim odparł płaskim głosem:

– Oczywiście.

– Wsiadaj. – Martine wyciągnęła do Harry'ego rękę. Spojrzał na nią zdziwiony.

– Śliskie buty – szepnęła, łapiąc go za dłoń. Poczuła, że jego ręka, ciepła i sucha, odruchowo zacisnęła się na jej dłoni, jakby się bał, że upadnie od razu.

Rikard jechał ostrożnie, przez cały czas przenosząc wzrok z lusterka na lusterko, jakby się spodziewał ataku z zasadzki.

– I co? – spytała Martine z przedniego siedzenia.

Harry chrząknął.

– Próbowano dzisiaj strzelać do Jona Karlsena.

– Co? – zawołała Martine.

Harry napotkał w lusterku wzrok Rikarda.

– Ty już o tym słyszałeś? – spytał Harry.

– Nie.

– Kto... – zaczęła Martine.

– Nie wiemy.

– Ale... i Robert, i Jon... Czy to ma jakiś związek z rodziną Karlsenów?

– Wydaje mi się, że przez cały czas zasadzali się tylko na jednego – powiedział Harry.

– Co to znaczy?

– Zabójca odłożył powrót do domu. Pewnie odkrył, że zastrzelił niewłaściwego człowieka. To nie Robert miał zginąć.

– Nie Ro...

– Właśnie dlatego chciałem z tobą porozmawiać. Myślę, że możesz mi odpowiedzieć na pytanie, które potwierdzi moją teorię.

– Jaką teorię?

– Że Robert zginął, ponieważ nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności wziął za Jona dyżur na Egertorget.

Martine na przednim siedzeniu odwróciła się zdumiona.

– Ty układasz listy dyżurów – wyjaśnił Harry. – Kiedy byłem u was pierwszy raz, zauważyłem, że lista wisi na tablicy w recepcji. Każdy mógł na niej sprawdzić, kto ma tego wieczoru dyżur na Egertorget. I że to był Jon Karlsen.

– Jak...

– Zajrzałem po drodze ze szpitala i sprawdziłem. Na liście jest Jon. Ale Robert z Jonem zamienili się już po wydrukowaniu listy, prawda?

Martine przygryzła wargę.

– Cały czas ktoś się z kimś zamienia na dyżur. Często nic nawet o tym nie wiem.

Rikard skręcił w Sofies gate. Martine rozszerzyły się oczy.

– Już sobie przypominam! Robert zadzwonił powiedzieć, że się zamienili, więc nie muszę się o nic starać. Pewnie dlatego w ogóle się nad tym nie zastanawiałam. Ale... ale to przecież oznacza, że...

– Jon i Robert byli do siebie bardzo podobni – stwierdził Harry. – A w mundurze...

– Był wieczór i padał śnieg... – dodała Martine półgłosem, jakby do siebie.

– Chciałem się dowiedzieć, czy ktoś do ciebie dzwonił i pytał o listę dyżurów. Szczególnie na ten wieczór.

– Nic takiego sobie nie przypominam – odparła.

– A możesz się jeszcze nad tym zastanowić? Zadzwonię do ciebie jutro.

– Dobrze.

Harry przytrzymał ją wzrokiem i w świetle latarni, które omiotło samochód, znów dostrzegł nieregularności jej źrenic.

Rikard gwałtownie zahamował.

– Skąd wiesz? – spytał Harry.

– Co wiem? – zdziwiła się Martine.

– Pytałem kierowcę – wyjaśnił Harry. – Skąd wiesz, że tu mieszkam?

– Przecież powiedziałeś – odparł Rikard. – Znam tę okolicę. Martine już mówiła, że mieszkam na Bislett.

Harry stanął na chodniku i patrzył za odjeżdżającym samochodem.

Oczywiste było, że chłopak jest zakochany. Nadłożył drogi, jadąc najpierw tutaj, byle tylko bodaj przez kilka minut zostać z Martine sam na sam. Porozmawiać z nią. Uzyskać tę ciszę i spokój niezbędne do tego, by coś przekazać, zademonstrować, kim jest, rozebrać duszę do naga, odkryć samego siebie i wszystko to, co przynależne młodości, a z czym sam Harry nareszcie już skończył. Wszystko to w nadziei na życzliwe słowo, uścisk, pocałunek, zanim ona wysiądzie.

Ruszył wolno w stronę frontowych drzwi, ręka odruchowo zaczęła szukać kluczy w kieszeni spodni, a myśli czegoś, co stale umykało, gdy tylko się do tego zbliżał. Spojrzenie zaś szukało czegoś, co ledwie słyszał. To był tylko ledwie stłumiony odgłos, ale na Sofies gate o tej porze panowała cisza. Harry zapatrzył się w szare zaspy, usypane przez pług śnieżny, który dziś tędy przejeżdżał. Coś jakby trzeszczało. Jakby topniało. Niemożliwe. Było minus osiemnaście.

Włożył klucz w zamek.

I usłyszał, że nic nie topnieje. Cyka.

Odwrócił się i popatrzył na zaspy. Błysnęło szkło.

Zawrócił, nachylił się i podniósł zegarek. Szkiełko prezentu Møllera było gładkie jak tafla wody, nie miało najmniejszej rysy, a czas się zgadzał co do sekundy. Dwie minuty do przodu

w porównaniu z jego zegarkiem. Co takiego powiedział Møller? Że ma zdążyć tam, gdzie uważał, że jest już spóźniony.

14 NOC Z 17 NA 18 GRUDNIA. CIEMNOŚĆ

Grzejnik panelowy w świetlicy Schroniska trzaskał, jakby ktoś rzucał w niego kamykami. Gorące powietrze drgało, unosząc się na tle brązowych smug spalenizny na materiałowej tapecie pocącej się nikotyną, klejem i tłustym zapachem ludzi, którzy tu mieszkali i zniknęli. Pokrycie kanapy gryzło go przez spodnie.

Mimo suchego trzeszczącego ciepła, bijącego z grzejnika, trząsł się z zimna, oglądając wiadomości w telewizorze umieszczonym na statywie wysoko na ścianie świetlicy. Poznawał zdjęcia z placu, ale nie rozumiał ani słowa. W drugim kącie siedział w fotelu jakiś stary człowiek i palił cienkiego skręta. Kiedy z papierosa zostało mu już tak mało, że parzył go w czarne końce palców, szybko wyjął z pudełka dwie zapałki, ujął w nie peta i zaciągał się, dopóki żar nie zaczął parzyć mu warg. Odcięty i ubrany czubek świerka stał na stoliku w rogu i próbował lśnić.

Pomyślał o świątecznym obiedzie w Dalju.

To się zdarzyło dwa lata po wojnie i po wycofaniu się Serbów z tego, co kiedyś było Vukovarem. Władze chorwackie upchnęły ich razem w hotelu International w Zagrzebiu. Pytał wiele osób, czy nie wiedzą, co się stało z rodziną Giorgiego, aż pewnego dnia spotkał innego uchodźcę, który pamiętał, że matka Giorgiego zmarła podczas oblężenia, a ojciec uciekł do Dalja, przygranicznego miasteczka niedaleko Vukovaru. Drugiego dnia świąt wsiadł więc w pociąg i pojechał do Osijeka, a stamtąd dalej do Dalja. Porozmawiał z konduktorem i dowiedział się, że pociąg jedzie do Borova, będącego stacją końcową, a do Dalja wróci o pół

do siódmej. Była druga, kiedy wysiadł w Dalju. Rozpytał o adres, okazało się, że to niska kamienica, tak samo szara jak miasto. Wszedł na klatkę, znalazł drzwi i zanim zadzwonił, pomodlił się w duchu o to, żeby ich zastać. Serce mu zabiło, kiedy usłyszał za drzwiami lekkie kroki.

Otworzył mu Giorgi. Niewiele się zmienił. Był bledszy, ale miał te same jasne kędziory, niebieskie oczy i usta w kształcie serca, które jemu zawsze kojarzyły się z młodym bogiem. Ale uśmiech z jego oczu gdzieś zniknął. Zgasły jak zepsuta żarówka.

– Nie poznajesz mnie, Giorgi? – spytał po chwili. – Mieszkaliśmy w tym samym mieście. Chodziliśmy do tej samej szkoły.

Giorgi zmarszczył czoło.

– Naprawdę? Zaczekaj. Ten głos. Ty musisz być Serg Dolac. Oczywiście, to ty tak szybko biegałeś. Aleś ty się zmienił! Dobrze zobaczyć kogoś znajomego z Vukovaru. Przecież wszyscy zginęli.

– Ja nie.

– No tak, ty nie, Serg.

Giorgi go objął i ściskał tak długo, aż poczuł ciepło w zmarzniętym ciele. Potem zaciągnął go do mieszkania.

Zapadał wczesny zimowy zmierzch, gdy siedzieli w spartańsko umeblowanym pokoju i rozmawiali o wszystkim, co się wydarzyło, o znajomych z Vukovaru i o tym, co się z nimi stało. Kiedy spytał, czy Giorgi pamięta Tinta, psa, Giorgi uśmiechnął się trochę zmieszany.

Powiedział, że jego ojciec niedługo wróci do domu, i spytał, czy Serg zostanie na obiedzie.

Spojrzał na zegarek, pociąg miał być na stacji dopiero za trzy godziny.

Ojca bardzo zaskoczył gość z Vukovaru.

– To jest Serg. Serg Dolac.

– Serg Dolac? – powtórzył mężczyzna, przyglądając mu się uważnie. – Rzeczywiście, jest w tobie coś znajomego. Hm. Czy ja znałem twojego ojca? Nie?

Zrobiło się ciemno, a kiedy usiedli przy stole, ojciec dał im duże białe serwetki. On zdjął wtedy swoją czerwoną apaszkę i zawiązał serwetkę na szyi. Ojciec odmówił krótką modlitwę, przeżegnał się i ukłonił jedynemu zdjęciu w pokoju. Zdjęciu kobiety w ramkach.

Kiedy ojciec i Giorgi sięgnęli po sztućce, on sam pochylił głowę i wymamrotał:

– Któż to jest ten, który przybywa z Edomu, z Bosry idzie w szatach szkarłatnych? Ten wspaniały w swoim odzieniu, który kroczy z wielką swą mocą? To ja jestem tym, który mówi sprawiedliwie, potężny w wybawianiu.

Ojciec Giorgiego popatrzył na niego zdziwiony, a potem podał mu półmisek z dużymi bladymi kawałkami mięsa.

Posiłek mijał w milczeniu. Cienkie okna trzeszczały na wietrze.

Po mięsie był deser. *Palacšinke*, cienkie naleśniki z konfiturami, polewane czekoladą. Nie jadł tego od dzieciństwa w Vukovarze.

– Weź jeszcze jednego, Serg – powiedział ojciec Giorgiego. – Są święta.

Spojrzał na zegarek. Do odjazdu pociągu zostało pół godziny. Nadszedł już czas. Chrząknął, odłożył serwetkę i wstał.

– Giorgi i ja rozmawialiśmy o wszystkich, których pamiętamy z Vukovaru. Ale o jednej osobie jeszcze nie mówiliśmy.

– Ach tak? – uśmiechnął się ojciec zdziwiony. – A o kim to, Serg? – Obrócił się lekko, tak że patrzył na niego jednym okiem, jakby próbował uchwycić coś, czego nie potrafił określić.

– Miał na imię Bobo.

Po oczach ojca Giorgiego poznał, że ten już teraz zrozumiał. Może tylko na to czekał. Usłyszał swój własny głos wśród nagich ścian.

– Pan siedział w dżipie i wskazał go serbskiemu dowódcy. – Przełknął ślinę. – Bobo zginął.

W pokoju zapadła cisza. Ojciec Giorgiego odłożył sztućce.

– Była wojna, Serg. Wszyscy umrzemy – powiedział to spokojnie, niemal z rezygnacją.

Giorgi i jego ojciec siedzieli nieruchomo, kiedy wyciągał pistolet zza paska spodni, odbezpieczał go, wymierzał przez stół i naciskał spust. Huk był krótki i suchy. Ojciec Giorgiego drgnął, a jednocześnie nogi krzesła zaskrzypiały o podłogę. Mężczyzna nachylił się, patrząc na dziurę w serwetce, którą miał na piersi. Nagle serwetkę jakby wessało w pierś, a jednocześnie na białym płótnie rozlała się krew.

– Spójrz na mnie – nakazał głośno, a ojciec Giorgiego odruchowo podniósł głowę.

Drugi strzał zostawił niedużą czarną dziurę w czole, które pochyliło się w przód i miękko opadło na talerz z naleśnikami.

Giorgi wpatrywał się w niego z otwartymi ustami. Z ust ciekła mu czerwona smuga. Minęła chwila, nim zrozumiał, że to konfitury z *palačšinki*. Wsunął pistolet za pasek.

– Mnie też musisz zastrzelić, Serg.

– Nie mam z tobą żadnej niezałatwionej sprawy.

Wyszedł z pokoju i sięgnął po kurtkę wiszącą przy drzwiach.

Giorgi ruszył za nim.

– Ja się będę mścił! Znajdę cię i zabiję, jeśli ty nie zabijesz mnie!

– A jak mnie znajdziesz?

– Nie zdołasz się schować. Wiem, kim jesteś.

– Wiesz? Myślisz, że ja jestem Serg. Ale Serg Dolac miał rude włosy i był ode mnie wyższy. Ja nie umiem szybko biegać, Giorgi. Ale cieszmy się, że mnie nie poznałeś, bo to znaczy, że mogę ci pozwolić żyć.

Nachylił się, pocałował Giorgiego mocno w usta, otworzył drzwi i wyszedł.

Gazety pisały o tym zabójstwie, ale nikogo nie poszukiwano. A trzy miesiące później matka powiedziała mu, że pewien Chorwat zwrócił się do niej z prośbą o pomoc. Ten człowiek nie mógł dużo zapłacić, ale zebrał trochę pieniędzy wśród rodziny, odkryto bowiem, że Serb, który torturował jego nieżyjącego już brata podczas wojny, mieszka w sąsiedztwie, a ktoś wspomniał o kimś, kogo nazywają Małym Wybawicielem.

Staruszek znów sparzył palce cienkim papierosem i głośno zaklął.

On wstał i wyszedł do recepcji. Za chłopakiem po drugiej stronie szklanej ściany stał czerwony sztandar Armii Zbawienia.

– *Could I please use the phone?*

Chłopak spojrzał na niego niechętnie.

– Tylko pod warunkiem, że to miejscowa rozmowa.

– Tak, miejscowa.

Wszedł do wskazanego przez chłopaka biura za recepcją, usiadł przy biurku i zapatrzył się w telefon. Myślał o głosie matki, o tym, jak potrafi być jednocześnie zmartwiony i wystraszony, a zarazem łagodny i ciepły. Ten głos był jak objęcia. Wstał, zamknął drzwi do recepcji i szybko wybrał numer hotelu International. Nie zastał jej. Nie zostawił żadnej wiadomości. Drzwi się otworzyły.

– Nie wolno zamykać drzwi – powiedział chłopak. – Dobrze?

– Dobrze. *Sorry*. Masz książkę telefoniczną?

Chłopak przewrócił oczami, wskazał na grube tomiszcze obok telefonu i wyszedł.

On odnalazł w książce Jona Karlsena na Gøteborggata cztery i wybrał numer.

Thea Nilsen wpatrywała się w dzwoniący telefon.

Otworzyła drzwi do mieszkania Jona kluczem, który jej dał.

Mówili, że gdzieś będzie dziura od kuli. Poszukała jej i znalazła w drzwiach szafki.

Ten człowiek próbował zastrzelić Jona. Uśmiercić go. Ta myśl w dziwny sposób ją podnieciła, wcale nie wystraszyła. Czasami myślała, że już nigdy nie będzie się bać, nie tak. Nie tego. Nie śmierci.

Policjanci tu byli, ale krótko. Stwierdzili, że nie ma żadnych śladów oprócz kul.

W szpitalu słuchała wdechów i wydechów Jona, gdy na nią patrzył. W dużym szpitalnym łóżku wyglądał tak bezradnie, że wystarczyłoby nakryć mu twarz poduszką i już by nie żył. Spodobała jej się jego słabość. Może nauczyciel domowy w *Wiktorii* Hamsuna miał rację, że odczuwana przez niektóre kobiety potrzeba litowania się nad kimś sprawia, że nienawidzą swoich zdrowych, silnych mężów i potajemnie pragną, aby stali się kalekami, zależnymi od ich dobroci.

Ale teraz była sama w jego mieszkaniu, a telefon dzwonił. Spojrzała na zegarek. Noc. Nikt nie dzwoni o tej porze. Nikt w uczciwych zamiarach. Thea nie bała się śmierci. Ale tego się bała. Czy to ona, ta kobieta, o której Jon sądził, że nie wiedziała?

Zrobiła dwa kroki do telefonu. Zatrzymała się. Czwarty dzwonek. Po piątym przestanie dzwonić. Zawahała się. Podeszła i szybko podniosła słuchawkę.

– Tak?

Na drugim końcu na moment zapadła cisza, zanim w końcu ktoś odezwał się po angielsku.

– *Sorry for calling so late*. Nazywam się Edom. Czy zastałem Jona?

– Nie – odparła z ulgą. – Jon jest w szpitalu.

– A tak, słyszałem, co się dzisiaj wydarzyło. Jestem jego starym przyjacielem i chętnie bym go odwiedził. W którym szpitalu leży?

– W Ullevål.

– W Ullevål?

– Tak. Nie wiem, jak ten oddział się nazywa po angielsku, ale po norwesku to neurochirurgia. Ale przed wejściem siedzi policjant i on cię nie wpuści. Rozumiesz, co mówię?

– Czy rozumiem?

– Nie mówię zbyt dobrze... po angielsku...

– Rozumiem doskonale. Bardzo dziękuję.

Odłożyła słuchawkę i długo wpatrywała się w telefon. Potem znów zaczęła szukać. Mówili, że śladów po kulach jest więcej.

Chłopcu z recepcji Schroniska powiedział, że idzie się przejść, i podał mu klucz do pokoju. Chłopak zerknął na zegar na ścianie pokazujący, że jest za piętnaście dwunasta, i kazał mu zabrać klucz. Wyjaśnił, że zaraz zamyka i idzie spać, a klucz od pokoju pasuje też do głównych drzwi.

Zimno zaatakowało go, gdy tylko znalazł się na zewnątrz. Kąsało i drapało. Schylił głowę i ruszył szybkim, zdecydowanym krokiem. To było ryzykowne. Wyjątkowo ryzykowne. Ale nie miał innego wyjścia.

Ola Henmo, kierownik działu technicznego w Hafslund Energi, siedział w pomieszczeniu nadzoru w centrali na Montebello w Oslo i wpatrując się w czterdzieści monitorów rozstawionych dookoła, myślał o tym, że cholernie miło byłoby zapalić. W ciągu dnia pracowało tu dwanaście osób, ale teraz, w nocy, tylko trzy. Zazwyczaj każdy z nich siedział na swoim zwykłym miejscu, ale dzisiaj panujący na zewnątrz mróz jakby ich ścisnął przy jednym biurku, ustawionym na środku pomieszczenia.

Geir i Ebbe jak zwykle kłócili się o konie i kolejność V75. Robili to już od ośmiu lat i nigdy nie przyszło im do głowy, że każdy

powinien grać oddzielnie.

Ola bardziej się martwił o stację transformatorową na Kirkeveien między Ullevålsveien a Sognsveien.

– Trzydzieści sześć procent przeciążenia na T1, dwadzieścia dziewięć na T2 do T4 – powiedział.

– Boże, ale ci ludzie grzeją! – westchnął Geir. – Boją się, że zamarzną na śmierć? Przecież jest noc. Zaraz mogą się schować pod kołdrą. Sweet Revenge na trzecim? Masz udar mózgu?

– Nikt z tego powodu nie przykręca ciepła – powiedział Ebbe. – Nie w tym kraju. Ludzie srają pieniędzmi.

– To się nie może dobrze skończyć – stwierdził Ola.

– Nie martw się – uspokoił go Ebbe. – Po prostu wpompujemy więcej oleju.

– Myślę o T1 – Ola wskazał na monitor. – Teraz mu bije sześćset osiemdziesiąt amperów. Przy obciążeniu nominalnym pięciuset.

– Spokojnie! – zdążył powiedzieć Ebbe, zanim alarm zaczął piszczeć.

– Cholera! – westchnął Ola. – No i trzasnął. Sprawdźcie listę i zadzwońcie do chłopaków, którzy mają nocny dyżur.

– Dobra – powiedział Geir. – T2 też się wyłączył. A teraz padł T3.

– Bingo! – zawołał Ebbe. – Założymy się, że T4...

– Za późno. Już po nim – stwierdził Geir.

Ola popatrzył na mapę.

– No dobra – westchnął. – Nie ma prądu w dolnym Sogn, na Fagerborg i na Bislett.

– No to zakładamy się, co poszło – zaproponował Ebbe. – Stawiam tysiąc na izolację.

Geir zmrużył jedno oko.

– Stacja trafo. I wystarczy pięć stów.

– Przestańcie! – burknął Ola. – Ebbe, dzwoń po straż pożarną. Założę się, że tam się pali.

– Przyjmuję – powiedział Ebbe. – O dwie stówy?

Kiedy w szpitalnym pokoju zgasło światło, nastała ciemność tak totalna, że Jon w pierwszej chwili pomyślał, że oślepł. Że przy uderzeniu uszkodził mu się nerw wzrokowy, ale skutki kazały na siebie czekać aż do tej pory. Zaraz jednak usłyszał krzyki na korytarzu, dostrzegł zarys okna i zrozumiał, że po prostu nie ma prądu.

Na zewnątrz zaszurało krzesło, drzwi się uchyliły i ktoś spytał:

– Hej, jesteś tam?

– Tak – odparł Jon głosem cieńszym, niż zamierzał.

– Pójdę tylko sprawdzić, co się stało. Nigdzie się stąd nie ruszaj, dobrze?

– Tak, ale...

– Ale co?

– Czy oni nie mają awaryjnego agregatu?

– Myślę, że tylko dla sal operacyjnych i dla systemu monitoringu.

– Aha.

Jon, wsłuchany w oddalające się kroki policjanta, wpatrywał się w zieloną tabliczkę „Exit" nad drzwiami. Ten znak znów mu przypomniał o Ragnhild. To się również zaczęło po ciemku. Z restauracji wyszli w nocny mrok do parku Frogner. Stanęli na pustym placu przed Monolitem, patrząc na wschód, w stronę centrum. Opowiedział jej historię o tym, jak to Gustav Vigeland, artysta-dziwak z Mandal, zgodził się ozdobić swoimi rzeźbami park pod warunkiem, że zostanie poszerzony w taki sposób, by Monolit dało się umieścić symetrycznie w stosunku do pobliskich kościołów, a główne wejście do parku miało się znaleźć dokładnie na wprost kościoła Uranienborg. A kiedy przedstawiciel rady miasta wyjaśnił

mu, że parku nie da się przenieść, Vigeland zażądał przestawienia kościołów.

Gdy opowiadał, Ragnhild wpatrywała się w niego z powagą, a on pomyślał wtedy, że siła i inteligencja tej kobiety go przerażają.

– Zimno mi – powiedziała, trzęsąc się, mimo płaszcza.

– Może powinniśmy wró... – zaczął, ale ona położyła mu rękę na karku i obróciła jego twarz w swoją stronę. Miała najbardziej niezwykłe oczy, jakie w życiu widział. Jasnoniebieskie, niemal turkusowe, z taką bielą białek, że blada skóra nabierała przy nich koloru.

A on zrobił to co zawsze, zgarbił się i spuścił głowę. Jej język wdarł mu się do ust, mokry i ciepły, natarczywy mięsień, tajemnicza anakonda, która zaczęła się wić wokół jego języka, szukając możliwości zdobycia przewagi. Nawet przez gruby wełniany materiał garniturowych spodni z Freteksu poczuł ciepło tam, gdzie z imponującą precyzją wylądowała jej dłoń.

– Chodź – szepnęła mu do ucha, opierając stopę o ogrodzenie, a on spuścił głowę i zanim zdołał się od niej oderwać, dostrzegł nad brzegiem pończoch przebłysk białej skóry.

– Nie mogę – powiedział.

– Dlaczego? – wydusiła z siebie.

– Złożyłem obietnicę. Bogu.

Popatrzyła na niego, w pierwszej chwili nic nie rozumiejąc. Potem jej oczy napełniły się łzami, zaczęła cicho płakać. Przyłożyła głowę do jego piersi i wyznała, że nigdy nie przypuszczała, że go odnajdzie. Nie zrozumiał, o co jej chodzi, ale głaskał ją po włosach, i tak się to zaczęło. Spotykali się zawsze w jego mieszkaniu i zawsze z jej inicjatywy. Na początku kilka razy podejmowała niezbyt serdeczne próby doprowadzenia go do złamania obietnicy wstrzemięźliwości, ale później wydawało się, że i ona jest

zadowolona z samego leżenia przy nim na łóżku, z głaskania i bycia głaskaną.

Czasami z przyczyn, których nie rozumiał, potrafiła wpaść w rozpacz i powtarzać, że nigdy nie może jej opuścić. Nie rozmawiali wiele, ale miał wrażenie, że wstrzemięźliwość jeszcze mocniej ją z nim wiąże. Ich spotkania gwałtownie się urwały, kiedy związał się z Theą. Właściwie wcale nie chciał zrywać z Ragnhild, ale Thea zażyczyła sobie, żeby wymienili się na klucze do mieszkań. Powiedziała, że to kwestia zaufania, a on nie potrafił wymyślić nic, żeby zaprotestować.

Obrócił się w szpitalnym łóżku i zamknął oczy. Chciał teraz śnić. Śnić i zapomnieć. Jeśli to w ogóle możliwe. Powoli zapadał w sen, kiedy nagle wydało mu się, że czuje w pokoju chłodny powiew. Wiedziony instynktem otworzył oczy i obrócił się. W bladozielonej poświacie bijącej od szyldu wyjścia awaryjnego zobaczył, że drzwi są zamknięte. Wpatrywał się w cienie, wstrzymując oddech i nasłuchując.

Martine stała w ciemnościach przy oknie swojego mieszkania na Sorgenfrigata, równie ciemnej, odkąd wyłączyli prąd. Mimo wszystko dostrzegała stojący na dole samochód. Był podobny do auta Rikarda.

Rikard nie próbował jej pocałować, kiedy wysiadała z samochodu. Popatrzył na nią tylko tym swoim psim spojrzeniem i powiedział, że pewnie zostanie nowym szefem administracji. Dotarły do niego sygnały, pozytywne sygnały. To będzie on. Miał jakąś dziwną sztywność w oczach. Spytał, czy i ona tak myśli.

Odpowiedziała, że na pewno będzie się dobrze spisywał na tym stanowisku, i sięgnęła do klamki, czekając na dotyk. Ale nic takiego nie nastąpiło. A chwilę później była już na zewnątrz.

Westchnęła, wyjęła telefon komórkowy i wybrała numer, który jej podał.

– Słucham. Proszę mówić.

Głos Harry'ego w telefonie brzmiał zupełnie inaczej. Może tylko dlatego, że był w domu. Może to był jego domowy głos.

– Mówi Martine – powiedziała.

– Cześć.

Nie dało się stwierdzić, czy się ucieszył.

– Prosiłeś, żebym sobie przypomniała, czy ktoś nie dzwonił i nie pytał o listy dyżurów. O dyżur Jona.

– I co?

– Zastanowiłam się.

– I?

– Nikt nie dzwonił.

Długa przerwa.

– Zadzwoniłaś, żeby mi to powiedzieć? – Głos miał ciepły i szorstki, jakby spał.

– Tak. A nie powinnam?

– Ależ tak, oczywiście. Bardzo ci dziękuję za pomoc.

– Nie ma za co.

Martine zamknęła oczy i czekała, aż znów usłyszy jego głos.

– Czy... Czy dotarłaś bezpiecznie do domu?

– Tak, tak. Nie ma prądu.

– U mnie też – powiedział. – Pewnie zaraz włączą.

– A jeśli nie?

– O co ci chodzi?

– Czy wpadniemy w otchłań chaosu?

– Często myślisz o takich rzeczach?

– Zdarza się. Wydaje mi się, że infrastruktura cywilizacji jest o wiele bardziej krucha, niż chcemy wiedzieć. A ty jak sądzisz?

Długo milczał, zanim odpowiedział:

– No cóż. Ja myślę, że wszystkie systemy, którym ufamy, mogą w każdej chwili doznać krótkiego spięcia i wyrzucić nas w noc, gdzie nie będą nas już chronić żadne prawa ani zasady. Gdzie rządzi chłód i dzikie zwierzęta, i gdzie każdy musi ratować własną skórę.

– To – powiedziała Martine, kiedy Harry nic więcej już nie dodał – to była kiepska bajka na dobranoc dla małych dziewczynek. Myślę, że jesteś prawdziwym antyutopistą, Harry.

– Oczywiście. Jestem policjantem. Dobranoc.

Odłożył słuchawkę, zanim mu odpowiedziała.

Harry skulił się pod kołdrą i zapatrzył w ścianę.

Temperatura w mieszkaniu spadła.

Myślał o niebie na zewnątrz. O Åndalsnes. O dziadku. I o matce. O pogrzebie. O wieczornej modlitwie, którą szeptała takim miękkim, bardzo miękkim głosem. „Nasz Bóg jest mocną twierdzą". Ale w momencie nieważkości, zanim zasnął, myślał o Martine, a w głowie wciąż miał jej głos.

Telewizor w pokoju ocknął się z jękiem i zaczął szumieć. W korytarzu zapaliła się żarówka, przez otwarte drzwi sypialni rzucając światło na twarz Harry'ego. Ale on już wtedy spał.

Dwadzieścia minut później zadzwonił telefon. Harry otworzył oczy i zaklął. Trzęsąc się zimna, wyszedł do przedpokoju i podniósł słuchawkę.

– Proszę mówić, tylko cicho.

– Harry?

– Prawie. Co jest, Halvorsen?

– Coś się wydarzyło.

– Coś czy dużo?

– Dużo.

– Jasna cholera.

15 NOC Z 17 NA 18 GRUDNIA. UDERZENIE

Sail trząsł się z zimna na ścieżce biegnącej wzdłuż rzeki Aker. Niech jasna cholera weźmie tego przeklętego Albańczyka! Rzeka mimo mrozu była wolna od lodu i czarna. Jeszcze bardziej zagęszczała mrok pod prostym żelaznym mostem. Sail miał szesnaście lat. Z Somalii przyjechał jako dwunastolatek, razem z matką. Jako czternastolatek zaczął sprzedawać haszysz, zeszłej wiosny heroinę, a teraz Hux znów go oszukał. Istniało ryzyko, że będzie tu stał z towarem przez całą noc i nic nie sprzeda. Dziesięć działek. Gdyby miał osiemnaście lat, mógłby iść na Plata i tam próbować to opylić. Ale gliny zwijały nieletnich dilerów, snujących się po Plata. Ich terytorium znajdowało się nad rzeką. To głównie młodzi chłopcy z Somalii obsługiwali klientów, którzy albo sami byli nieletni, albo też mieli inne powody, żeby nie pokazywać się na Plata. Niech cholera weźmie tego Huksa! Przecież tak rozpaczliwie potrzebował tych pieniędzy!

Ścieżką zbliżał się jakiś człowiek. Z całą pewnością nie był to Hux, który wciąż kulał po tym, jak Pakistany z gangu B sprały go za rozcieńczoną amfetaminę. Jakby była jakaś inna! Ten człowiek nie wyglądał też na wywiadowcę, ani na ćpuna, chociaż miał niebieską kurtkę z rodzaju tych, jakie widział u wielu narkomanów. Sail się rozejrzał. Byli sami.

Kiedy mężczyzna dostatecznie się zbliżył, Sail wyłonił się z cienia pod mostem.

– Działka?

Mężczyzna uśmiechnął się krótko, pokręcił głową i chciał iść dalej, ale Sail zagrodził mu drogę. Sail był duży jak na swój wiek. I tak samo duży był jego nóż. Rambo First Blood z otworem

na kompas i żyłkę na ryby. W Army-shopie kosztował około tysiąca koron, ale Sail kupił go za trzy stówy od kumpla.

– Chcesz kupić czy tylko zapłacić? – spytał, trzymając nóż tak, by w ząbkowanym ostrzu odbijało się nikłe światło latarni.

– *Excuse me?*

Cudzoziemska mowa. Niezbyt mocna strona Saila.

– *Money*. – Sail słyszał, że jego głos się wznosi. Zawsze się złościł, kiedy rabował ludzi, nie miał pojęcia dlaczego. – *Now!*

Cudzoziemiec kiwnął głową, powstrzymując go gestem uniesionej lewej ręki, a prawą sięgnął pod kurtkę. Potem szybko ją stamtąd wyciągnął. Sail nie zdążył zareagować. Szepnął tylko „cholera", kiedy zrozumiał, że patrzy wprost w lufę pistoletu. Chciał uciekać, ale czarne oko metalu jakby go zamroziło.

– Ja... – zaczął.

– *Run* – powiedział mężczyzna. – *Now*.

I Sail pobiegł. Biegł, czując, jak zimne wilgotne powietrze znad rzeki pali go w płucach, a światła z hotelu Plaza i Budynku Poczty podskakują w górę i w dół na siatkówce. Biegł aż tam, gdzie rzeka wpada do fiordu i gdzie dalej nie mógł już biec. Zaczął krzyczeć do płotu otaczającego port kontenerowy, że któregoś dnia pozabija ich wszystkich.

Minął kwadrans od chwili, gdy Harry'ego zbudził telefon Halvorsena, kiedy radiowóz policyjny zatrzymał się przy krawężniku na Sofies gate i Harry usiadł na tylnym siedzeniu obok kolegi. Mruknął „dobry wieczór" umundurowanym policjantom z przodu.

Kierowca, mężczyzna dobrze już w latach, z zamkniętą twarzą policjanta, ruszył powoli.

– Dodaj trochę gazu – powiedział blady, młody i pryszczaty funkcjonariusz na siedzeniu pasażera.

– Ilu nas jest? – Harry, mrużąc oczy, spojrzał na zegarek.

– Oprócz tego jeszcze dwa samochody.

– Czyli sześciu plus nas dwóch. Nie chcę kogutów, spróbujemy to zrobić cicho i spokojnie. Ty, ja i jeden w mundurze i z bronią załatwimy zatrzymanie. Pięciu pozostałych będzie tylko obstawiać ewentualne drogi ucieczki. Masz broń?

Halvorsen uderzył się w kieszeń na piersi.

– To dobrze, bo ja nie mam – powiedział Harry.

– Nie załatwiłeś jeszcze tego zezwolenia?

Harry pochylił się między przednie siedzenia.

– Który z was ma większą ochotę wziąć udział w zatrzymaniu profesjonalnego zabójcy?

– Ja – zgłosił się natychmiast chłopak na siedzeniu pasażera.

– Wobec tego ty pójdziesz z nami – zwrócił się Harry do kierowcy, który tylko powoli kiwnął głową.

Sześć minut później już parkowali na samym dole Heimdalsgata na Grønland i patrzyli na wejście, przy którym Harry stał wcześniej tego wieczoru.

– Nasz człowiek z Telenoru miał pewność? – spytał Harry.

– Tak – odparł Halvorsen. – Torkildsen sprawdził, że z jednego z numerów wewnętrznych w Ośrodku Mieszkalno-Terapeutycznym „Schronisko" pięćdziesiąt minut temu ktoś próbował się połączyć z hotelem International.

– Raczej nie wygląda to na zbieg okoliczności. – Harry otworzył drzwiczki. – To terytorium Armii Zbawienia. Przeprowadzę szybki rekonesans, za minutę jestem z powrotem.

Kiedy wrócił, kierowca miał na kolanach pistolet maszynowy MP-5, który nowa instrukcja zezwalała patrolom trzymać w zamkniętym bagażniku radiowozu.

– Nie masz nic bardziej dyskretnego? – spytał Harry.

Kierowca pokręcił głową.

– A ty? – Harry zwrócił się do Halvorsena.

– Tylko ślicznego maleńkiego smith&wessona trzydzieści osiem.

– Możesz pożyczyć mój – z ożywieniem w głosie zaproponował młody policjant z przodu. – Jericho dziewięćset czterdzieści jeden. Niezła rzecz. Policja w Izraelu używa ich do urywania łbów tym arabskim świniom.

– Jericho? – powtórzył Harry.

Halvorsen widział, że oczy mu się zwęziły.

– Nie zamierzam cię pytać, skąd wziąłeś ten pistolet, ale czuję się w obowiązku poinformować cię, że ta broń z ogromnym prawdopodobieństwem pochodzi z przemytu zorganizowanego przez gang, którym dowodził twój były kolega, Tom Waaler.

Młody policjant na siedzeniu pasażera się odwrócił. Niebieskie oczy stały się wyraźniejsze niż zaognione pryszcze.

– Pamiętam Toma Waalera. I wiesz co, komisarzu? Większość z nas uważa, że to był fajny facet.

Harry przełknął ślinę i odwrócił się do okna.

– Większość z was się myli – podsumował Halvorsen.

– Dajcie mi radio – powiedział Harry.

Szybko i sprawnie wydał instrukcje pozostałym samochodom. Wyjaśnił, gdzie który ma stać, bez wymieniania nazw ulic czy budynków, które mogłyby zostać zidentyfikowane przez stałą publiczność policyjnego radia, dziennikarzy zajmujących się sprawami kryminalnymi, bandytów i zwykłych ciekawskich, prowadzących nasłuch na tej częstotliwości i prawdopodobnie już zorientowanych, że coś się dzieje.

– No to ruszamy – zakończył Harry, patrząc na siedzenie pasażera. – Ty zostaniesz tutaj i będziesz utrzymywał kontakt z Centralą

Operacyjną. Gdyby coś się działo, wezwij nas przez krótkofalówkę twojego partnera. Okej?

Młody mężczyzna wzruszył ramionami.

Dopiero kiedy Harry trzy razy zadzwonił do drzwi wejściowych Schroniska, zjawił się młody chłopak, szurając nogami w kapciach. Uchylił drzwi i patrzył na nich zaspanymi oczami.

– Policja – powiedział Harry, grzebiąc w kieszeni. – Cholera, chyba zostawiłem identyfikator w domu. Pokaż mu swój, Halvorsen.

– Wam nie wolno tu przychodzić – stwierdził chłopak. – Dobrze o tym wiecie.

– Chodzi o zabójstwo, nie o narkotyki.

– Co?

Chłopak wielkimi oczami wpatrywał się ponad ramieniem Harry'ego w umundurowanego policjanta, który uniósł swój MP-5. Potem otworzył drzwi i cofnął się, nie zerkając nawet na identyfikator Halvorsena.

– Macie tu niejakiego Christa Stankicia? – spytał Harry.

Chłopak pokręcił głową.

– A cudzoziemca w płaszczu z wielbłądziej wełny? – dodał Halvorsen, kiedy Harry przechodził już za kontuar recepcji i otwierał książkę gości.

– Jedyny cudzoziemiec, jakiego dzisiaj mamy, to jeden z tych, których przywiózł wieczorem autobus rozwożący zupę – wyjąkał chłopak. – Ale nie miał płaszcza z wielbłądziej wełny. Był w samej marynarce. Rikard Nilsen dał mu zimową kurtkę z magazynu.

– Telefonował stąd? – zawołał Harry zza kontuaru.

– Korzystał z telefonu w biurze za tobą.

– O której?

– Koło dwunastej.

– To się zgadza z telefonem do Zagrzebia – powiedział cicho Halvorsen.

– Ten człowiek tu jest? – spytał Harry.

– Nie wiem. Wziął klucz, a ja poszedłem spać.

– Masz klucz uniwersalny?

Chłopak kiwnął głową, odłączył jeden klucz z pęku, który miał przy pasku, i położył go na wyciągniętej dłoni Harry'ego.

– Pokój?

– Dwadzieścia sześć. Tymi schodami na górę, w głębi korytarza.

Harry już tam się kierował. Policjant w mundurze szedł tuż za nim, ściskając pistolet w obu rękach.

– Nie wychodź ze swojego pokoju, dopóki to się nie skończy – polecił Halvorsen chłopakowi, wyciągając swój rewolwer smith&wesson, puścił do niego oko i poklepał go po ramieniu.

Otworzył drzwi kluczem i zobaczył, że recepcja jest pusta. To naturalne. Równie naturalne jak to, że kawałek dalej na ulicy stał radiowóz z jednym policjantem. Przecież właśnie przed chwilą otrzymał dowód, że okolica jest niebezpieczna.

Wszedł na górę po schodach i gdy okrążył róg, usłyszał trzaski, dobrze mu znane z bunkrów w Vukovarze. Krótkofalówka.

Uniósł wzrok. W głębi korytarza przed drzwiami do jego pokoju stało dwóch mężczyzn w cywilu i jeden umundurowany policjant z pistoletem maszynowym. Natychmiast rozpoznał cywila, który już trzymał rękę na klamce. Ten w mundurze podniósł krótkofalówkę i cicho zaczął coś do niej mówić.

Tamci dwaj odwrócili się w jego stronę. Za późno na odwrót.

Pozdrowił ich z daleka, zatrzymał się przy drzwiach pokoju dwadzieścia dwa i pokręcił głową, żeby okazać dezaprobatę dla rosnącej przestępczości w okolicy, udając jednocześnie, że z trudem przetrząsa kieszenie, szukając klucza. Kątem oka zauważył,

że policjant, którego wcześniej widział w Scandii, bezszelestnie otwiera drzwi do jego pokoju i wchodzi, a zaraz za nim dwaj pozostali.

Gdy tylko zniknęli mu z oczu, zawrócił tą samą drogą, którą przyszedł, i dwoma skokami pokonał schody. Już wcześniej, kiedy tylko tu przyjechał białym autobusem, rutynowo rozpoznał wszystkie wyjścia i teraz przez chwilę rozważał wycofanie się tylnymi drzwiami na ogród. Ale to było zbyt oczywiste. Jeśli się nie mylił, ustawili tam funkcjonariusza. Największe szanse dawały mu frontowe drzwi. Wyszedł i skręcił w lewo. Kierował się prosto na radiowóz, ale wiedział, że przynajmniej tutaj jest tylko jeden. Jeśli uda mu się go wyminąć, będzie mógł zejść nad rzekę, w ciemność.

– Jasna cholera! – krzyknął Harry, kiedy stwierdzili, że pokój jest pusty.

– Może poszedł się przejść – powiedział Halvorsen.

Obaj obrócili się do kierowcy, który co prawda się nie odezwał, ale krótkofalówka na jego piersi przemówiła:

– To ten sam facet, który przedtem wchodził. Teraz wychodzi. Idzie tutaj.

Harry wciągnął powietrze. W pokoju unosił się osobliwy perfumowany zapach, wydawał mu się znajomy.

– To on – powiedział Harry. – Daliśmy się nabrać.

– To on – zgłosił kierowca do mikrofonu, biegnąc za Harrym, który już wypadł za drzwi.

– Świetnie, mam go! – wychrypiało radio. – Wychodzę!

– Nie! – krzyknął Harry, gdy pokonywali korytarz. – Nie próbuj go zatrzymać. Czekaj na nas!

Kierowca powtórzył jego słowa do mikrofonu, ale radio w odpowiedzi tylko zatrzeszczało.

Zobaczył, że drzwiczki policyjnego samochodu się otwierają. Wysiadł z nich młody mężczyzna w mundurze, z pistoletem.

– Stać! – zawołał policjant, stając na szeroko rozstawionych nogach z bronią wycelowaną w niego.

Brak doświadczenia, pomyślał. Dzieliło ich od siebie co najmniej pięćdziesiąt metrów ciemnej ulicy, a w przeciwieństwie do młodego rabusia spod mostu, ten policjant nie miał dość oleju w głowie, żeby czekać, aż ofiara zostanie bez jakiejkolwiek możliwości odwrotu. Po raz drugi tego wieczoru wyciągnął więc swój llama minimax i zamiast uciekać, puścił się biegiem w stronę radiowozu.

– Stać! – powtórzył policjant.

Odległość zmniejszyła się do trzydziestu metrów. Dwudziestu.

Uniósł pistolet i strzelił.

Większość ludzi przecenia możliwości trafienia w drugiego człowieka z odległości ponad dziesięciu metrów, nie doceniają natomiast z reguły efektu psychologicznego, jaki wywołuje dźwięk, huk prochu w połączeniu z odgłosem przypominającym strzelenie z bata, gdy ołów uderzy w coś w bezpośredniej bliskości. Kiedy kula trafiła w szybę, która zbielała, zanim wypadła, to samo stało się z policjantem. Zbladł i osunął się na kolana, palcami wczepiając się w swój nieco zbyt ciężki jericho 941.

Harry i Halvorsen wypadli na Heimdalsgata jednocześnie.

– Tam! – powiedział Halvorsen.

Młody policjant wciąż klęczał przy samochodzie z pistoletem wskazującym w niebo, ale nieco bardziej w głębi ulicy dostrzegli plecy w niebieskiej kurtce, którą widzieli w korytarzu.

– On biegnie w stronę Eika – stwierdził Halvorsen.

Harry odwrócił się do kierowcy, który wreszcie się pojawił.

– Daj mi MP!

Policjant podał mu broń.

– On nie ma...

Ale Harry już biegł. Słyszał Halvorsena za plecami, ale gumowe podeszwy martensów pozwalały mu się lepiej odbijać od lodu. Mężczyzna z przodu miał sporą przewagę, już zdążył okrążyć róg przy Vahls gate, biegnącej wzdłuż parku. Harry trzymał pistolet w jednej ręce, koncentrując się na tym, żeby biec lekko i skutecznie. Zanim dotarł do rogu, zwolnił i ujął broń w pozycji gotowej do strzału. Starał się za dużo nie myśleć, gdy wysuwał głowę, patrząc w prawo.

Nikt tam na niego nie czekał.

W głębi ulicy też nikogo nie było widać.

Ale taki człowiek jak Stankić na pewno nie był na tyle głupi, żeby wbiec na któreś z podwórek będących czystymi pułapkami, pełnymi zamkniętych drzwi. Harry zapatrzył się w park, gdzie wielkie białe płaszczyzny śniegu odbijały światło okolicznych budynków. Czy tam, zaledwie sześćdziesiąt-siedemdziesiąt metrów dalej, coś się nie poruszyło? Jakaś postać brnęła przez śnieg. Niebieska kurtka. Harry przeskoczył przez drogę, odbił się, pofrunął nad zaspą i o mało nie poleciał na twarz, kiedy zapadł się po pas w świeży śnieg.

– Jasny gwint!

Zgubił pistolet. Postać przed nim odwróciła się i dalej brnęła naprzód. Harry grzebał w śniegu, szukając pistoletu, ale cały czas obserwował, jak Stankić gorączkowo walczy z sypkim śniegiem, który nie daje oparcia dla nóg, a zarazem hamuje wszelkie ruchy. Wreszcie palce natrafiły na coś twardego. Jest! Wyciągnął broń i zaczął przeć do przodu. Udało mu się wyjąć jedną nogę, wyrzucił ją przed siebie najdalej, jak mógł, przesunął górną połowę ciała,

wyciągnął drugą nogę ze śniegu, wyrzucił w przód. Po dwudziestu metrach kwas mlekowy zapiekł w udach, ale dzieląca ich odległość się zmniejszyła. Stankić był już blisko ścieżki, prawie wydostał się z tego śniegowego bagna. Harry zacisnął zęby, zdołał zwiększyć częstotliwość kroków. Odległość oceniał na piętnaście metrów. Dostatecznie blisko. Rzucił się w śnieg na brzuch i przyjął pozycję. Zdmuchnął biały puch z celownika, odbezpieczył, ustawił wybór na pojedynczy strzał i czekał, aż mężczyzna dotrze do snopa światła rzucanego przez latarnię przy ścieżce.

– *Police!* – Harry nie zdążył nawet pomyśleć o komizmie zawartym w następnym słowie. – *Freeze!*

Mężczyzna dalej przedzierał się przez śnieg. Harry przycisnął palec do spustu.

– Zatrzymaj się, bo będę strzelał!

Tamtego od ścieżki dzieliło już tylko pięć metrów.

– Będę celował w głowę! – krzyknął Harry. – I nie spudłuję!

Stankić skoczył w przód, obiema rękami uchwycił się słupa latarni i wydostał się ze śniegu. Harry miał niebieską kurtkę na celowniku. Wstrzymał oddech i zrobił to, czego się nauczył, żeby powstrzymać impuls z międzymózgowia, który z logiką wypracowaną w toku ewolucji mówi, że nie wolno zabijać nikogo z własnego gatunku: Skupił się na technice, na przesuwaniu, a nie potrącaniu cyngla. Poczuł, że mechanizm sprężynowy mu ulega, i usłyszał metaliczne kliknięcie, ale ramieniem nie wyczuł odrzutu. Jakiś błąd w działaniu? Nacisnął jeszcze raz. Kolejne kliknięcie.

Mężczyzna podniósł się ze śniegu, który opadł z niego jak chmura, i ciężkim krokiem wyszedł na ścieżkę. Odwrócił się i popatrzył na Harry'ego. Harry się nie ruszył. Mężczyzna stał z rękami zwieszonymi wzdłuż boków. Jak lunatyk, pomyślał Harry. Stankić uniósł broń. Harry widział pistolet i miał świadomość,

że na śniegu jest bezbronny. Ale ręka Stankicia powędrowała do czoła w ironicznym salucie. Zaraz potem odwrócił się i zaczął biec ścieżką.

Harry zamknął oczy i poczuł, że serce tłucze mu się o żebra.

Kiedy przedzierał się do drogi, Stankicia już dawno pochłonęła ciemność. Harry wyjął magazynek swojego MP-5 i sprawdził. Rzeczywiście. W przypływie nagłej wściekłości odrzucił broń, która na tle fasady hotelu Plaza wzleciała jak czarny brzydki ptak i z miękkim pluskiem wpadła do czarnej wody w dole.

Kiedy zjawił się Halvorsen, Harry siedział w śniegu z papierosem w ustach. Halvorsen oparł się rękami o kolana, pierś mu falowała.

– Cholera, ale ty biegasz! – wydyszał. – Zniknął?

– Przepadł na amen – odparł Harry. – Wracajmy.

– Gdzie MP-5?

– A nie o to pytałeś?

Halvorsen popatrzył na Harry'ego i zdecydował, że więcej pytań zadawać nie będzie.

Przed Schroniskiem stały dwa policyjne radiowozy migające niebieskimi światłami. Grupka trzęsących się z zimna mężczyzn z długimi lufami sterczącymi im z piersi cisnęła się do wejścia, które najwyraźniej zostało zamknięte. Harry i Halvorsen weszli w Heimdalsgata. Halvorsen kończył rozmowę przez komórkę.

– Dlaczego, kiedy ich widzę, zawsze myślę o kolejce na film pornograficzny? – spytał Harry.

– Jak ci dziennikarze wywęszyli, że tu jesteśmy?

– Spytaj tego młodego, który miał pilnować radia. To na pewno on się wygadał. Co powiedzieli w centrali?

– Zaraz skierują nad rzekę wszystkie dostępne patrole. Dyżur kryminalny wyśle tuzin piechoty. Co o tym myślisz?

– On jest dobry. Nigdy go nie znajdą. Zadzwoń do Beate i poproś, żeby przyjechała.

Jeden z dziennikarzy już ich zauważył i ruszył w ich stronę.

– I co, Harry?

– Jeszcze nie śpisz, Gjendem?

– Co się dzieje?

– Niewiele.

– Tak? Widziałem, że ktoś strzelił w przednią szybę jednego z waszych samochodów.

– A kto powiedział, że nie została wybita?

Dziennikarz wciąż nie odstępował Harry'ego na krok.

– Ten, który siedział w środku. Mówi, że ktoś do niego strzelał.

– No to będę musiał z nim pogadać – stwierdził Harry. – Przepraszam państwa.

Gromada niechętnie się rozstąpiła i Harry zastukał do frontowych drzwi Schroniska. Trzasnęły migawki, błysnęły światła lamp.

– Czy to ma związek z zabójstwem na Egertorget? – zawołał któryś z dziennikarzy. – Czy są w to zamieszani ludzie z Armii Zbawienia?

Drzwi się uchyliły, ukazała się w nich twarz kierowcy. Odsunął się, a Harry i Halvorsen wcisnęli się do środka. Przeszli przez recepcję, w której młody policjant siedział na krześle, spoglądając przed siebie pustym wzrokiem, a jakiś kolega kucał przed nim i łagodnie do niego przemawiał.

Na piętrze drzwi do pokoju dwadzieścia sześć wciąż były otwarte.

– Starajcie się jak najmniej tu dotykać! – zapowiedział Harry kierowcy. – Panna Lønn chętnie zbierze trochę odcisków palców i DNA.

Rozejrzeli się, otworzyli drzwi szafy, zajrzeli pod łóżko.

– O rany! – zdumiał się Halvorsen. – Kompletnie nic. Facet nie miał przy sobie nic więcej oprócz tego, w czym stał.

– Musiał mieć jakąś walizkę czy coś, żeby wwieźć broń do kraju – zauważył Harry. – Oczywiście mógł się jej pozbyć. Albo oddać gdzieś na przechowanie.

– W Oslo nie ma już zbyt wielu miejsc, gdzie można coś przechować.

– No to myśl.

– No... Przechowalnia w hotelu, w którym mieszkał. No i boksy na Dworcu Centralnym oczywiście.

– Idź dalej za tą myślą.

– Za jaką myślą?

– Że on sterczy gdzieś w nocy, a w jakimś miejscu ma bagaż.

– Rzeczywiście, mógłby mu się teraz przydać. Zadzwonię do centrali, niech wyślą ludzi do Scandii, na Dworzec Centralny i... Jak się nazywał ten drugi hotel, który miał Stankicia na liście gości?

– Radisson SAS na Holbergs plass.

– Dzięki.

Harry odwrócił się do kierowcy i spytał, czy nie wyszedłby z nim zapalić.

Na pokrytym śniegiem skrawku ogrodu na cichym tylnym podwórzu palił już papierosa stary człowiek, wpatrzony w brudnożółte niebo. Nie zwracał na nich uwagi.

– Jak się czuje twój kolega? – spytał Harry, przypalając papierosy dla siebie i dla kierowcy.

– Da sobie radę. Głupio mi za tych dziennikarzy.

– To nie twoja wina.

– Moja. Kiedy mnie wezwał przez krótkofalówkę, powiedział, że jakiś człowiek właśnie otworzył sobie kluczem drzwi. Wymienił

nazwę Schroniska. Powinienem go lepiej wytresować w takich sprawach.

– Powinieneś lepiej wytresować parę innych spraw.

Kierowca prędko podniósł wzrok na Harry'ego. Dwa razy mrugnął.

– Przykro mi. Próbowałem cię ostrzec, ale od razu pognałeś.

– No dobrze, ale dlaczego?

Żar z papierosa błysnął ostrzegawczo, gdy kierowca głęboko się zaciągał.

– Większość i tak od razu się poddaje na sam widok wycelowanego w siebie MP-5.

– Nie o to pytałem.

Mięśnie szczęk napięły się i rozluźniły.

– To stara historia.

– Mhm. – Harry popatrzył na policjanta. – Wszyscy mamy jakieś stare historie. Ale to nie znaczy, że narażamy życie kolegów, trzymając broń z pustym magazynkiem.

– Masz rację. – Kierowca upuścił wypalonego do połowy papierosa, który z sykiem zniknął w śniegu. Odetchnął głęboko. – I nie będziesz miał z tego powodu żadnej awantury, Hole. Potwierdzę twój raport.

Harry przeniósł ciężar ciała na drugą nogę, wpatrzony w swojego papierosa. Oceniał policjanta na około pięćdziesiątki. Niewielu w tym wieku wciąż jeździło w radiowozach patrolowych.

– Czy chciałbym usłyszeć tę starą historię?

– Już ją słyszałeś.

– Mhm. Młody chłopak?

– Dwadzieścia dwa lata. Niekarany.

– Ze skutkiem śmiertelnym?

– Sparaliżowany od piersi w dół. Trafiłem go w brzuch, ale kula przeszła na wylot.

Staruszek zakasłał. Harry zerknął na niego. Trzymał papierosa w dwóch zapałkach.

W recepcji młody policjant wciąż siedział na krześle i przyjmował pocieszenia. Harry skinieniem głowy dał znak jego troskliwemu koledze, że ma się odsunąć, i sam przykucnął.

– Psychiatria kryzysowa ci nie pomoże – powiedział blademu młodemu mężczyźnie. – Sam się zreperuj.

– Co?

– Boisz się, bo ci się wydaje, że byłeś o włos od śmierci, tylko on nie trafił. Ale tak wcale nie było. On nie celował w ciebie, tylko w samochód.

– Co? – powtórzył młody człowiek monotonnie.

– Ten facet to zawodowiec. Wie, że gdyby zabił policjanta, nie miałby szans, żeby się wywinąć. Strzelał, żeby cię przestraszyć.

– Skąd wiesz?

– Do mnie też nie strzelił. Powiedz to sobie, a będziesz mógł zasnąć. I nie zgadzaj się na psychologa, inni ich bardziej potrzebują. – Kiedy Harry wstawał, kolana paskudnie mu zatrzeszczały. – I pamiętaj, że ludzie, którzy są od ciebie wyżsi rangą, z definicji są mądrzejsi. A następnym razem słuchaj rozkazów, okej?

Serce waliło mu jak u ściganego zwierzęcia. Powiew wiatru sprawił, że latarnie, zawieszone nad drogą na cienkich drutach, zakołysały się, a jego cień zatańczył na chodniku. Żałował, że nie może iść dłuższym krokiem, ale lodowa glazura sprawiała, że musiał trzymać nogi maksymalnie blisko ciała.

To ten telefon do Zagrzebia musiał ściągnąć policję do Schroniska. Strasznie szybko się uwinęli! To oznaczało, że od tej pory nie mógł już do niej dzwonić. Usłyszał za plecami nadjeżdżający samochód

i zmusił się, żeby się nie odwrócić. Zamiast tego nasłuchiwał. Auto na razie nie zwalniało, minęło go, ciągnąc za sobą zimną chmurę śnieżnego pyłu, który przylepił się do odsłoniętego skrawka szyi, wystającej z kołnierza niebieskiej kurtki. Kurtki, w której widział go ten policjant, przez co przestał już być niewidzialny. Zastanawiał się, czy jej nie wyrzucić, ale człowiek w samej koszuli po pierwsze, wyglądałby podejrzanie, a po drugie, zamarzłby na śmierć. Spojrzał na zegarek. Jeszcze tyle godzin do czasu, gdy miasto zacznie się budzić, gdy otworzą kawiarnie i sklepy, do których będzie mógł wejść. Musi wcześniej znaleźć jakieś miejsce dla siebie. Kryjówkę, gdzie mógłby się ogrzać i odpocząć do świtu.

Minął brudnożółtą fasadę pokrytą graffiti. Oczy uchwyciły namalowane słowa „Zachodni Brzeg". Nieco dalej na ulicy zgarbiony mężczyzna opierał się o bramę. Z daleka wyglądało to tak, jakby wtulał głowę w drzwi. Kiedy podszedł bliżej, okazało się, że ten człowiek naciska guzik domofonu.

Zatrzymał się i zaczekał. To mógł być ratunek.

W domofonie zaskrzeczał jakiś głos, zgarbiony człowiek wyprostował się, zachwiał i ryknął coś w odpowiedzi. Czerwona, spalona alkoholem skóra wisiała mu na twarzy jak u chińskiego psa rasy shar pei. Nagle mężczyzna urwał i echo umilkło wśród fasad pogrążonego w nocnej ciszy miasta. Rozległo się ciche elektroniczne brzęczenie i mężczyzna z pewnym wysiłkiem przeniósł punkt ciężkości przed siebie, pchnął drzwi i chwiejąc się, wszedł do środka.

Drzwi same zaczęły się zamykać, a on wtedy zadziałał błyskawicznie. Za szybko. Podeszwa poślizgnęła się na lodzie, ledwie zdążył wysunąć ręce i uderzyć nimi o lodowatą powierzchnię, a zaraz potem reszta ciała zetknęła się z chodnikiem. Dźwignął się jakoś, zobaczył, że drzwi prawie się już zatrzasnęły. Podbiegł do przodu, wypchnął stopę i poczuł ciężar drzwi

naciskający na kostkę. Wemknął się do środka i stanął, nasłuchując. Szurające kroki prawie całkiem się zatrzymały, zanim znów podjęły wędrówkę. Pukanie. Otworzyły się drzwi i kobiecy głos wyskrzeczał coś w tym dziwnym, śpiewnym języku. Urwał się nagle, jakby ktoś poderżnął kobiecie gardło. Po paru sekundach ciszy usłyszał ściszony pisk, jaki wydaje dziecko, które zaczyna dochodzić do siebie po tym, jak się uderzyło. Drzwi znów trzasnęły i zapadła cisza.

Pozwolił, żeby drzwi się za nim zamknęły. Wśród śmieci pod schodami leżało kilka gazet. W Vukovarze wykładali gazetami buty, izolowały i chłonęły wilgoć. Z ust wciąż buchała mu para, ale na razie był ocalony.

Harry siedział w biurze Schroniska na tyłach recepcji i czekał ze słuchawką przy uchu, próbując wyobrazić sobie mieszkanie, do którego dzwoni. Widział przyklejone do lustra nad telefonem zdjęcia przyjaciół, uśmiechniętych, rozbawionych, może z jakiegoś wyjazdu za granicę. Głównie przyjaciółki. Proste, ale przytulne umeblowanie. Złote myśli na drzwiczkach lodówki. Plakat z Che Guevarą w toalecie. Ale czy na pewno wciąż go wieszają?

– Halo? – rozległ się miękki od snu głos.

– To znowu ja.

– Tatuś?

Tatuś? Harry'emu dech zaparło, poczuł, że się czerwieni.

– Policjant.

– A, tak. – Cichy śmiech. Jasny i głęboki zarazem.

– Przepraszam, że cię obudziłem, ale my...

– Nic nie szkodzi.

Zapadła jedna z tych przerw, których Harry tak chciał uniknąć.

– Jestem w Schronisku. Próbowaliśmy zatrzymać podejrzanego. Recepcjonista mi powiedział, że to ty z Rikardem Nilsenem

przywieźliście go tutaj wieczorem.

– Tego biedaka bez ubrania?

– Tak.

– A co on zrobił?

– Podejrzewamy go o zabójstwo Roberta Karlsena.

– O Panie Boże!

Harry zauważył, że w jej ustach te słowa nie były zwykłym wykrzyknikiem.

– Jeśli się zgodzisz, przyślę funkcjonariusza, który z tobą porozmawia, a ty do tego czasu spróbuj sobie przypomnieć, co on mówił.

– Dobrze, ale czy nie mógłbyś raczej... – urwała.

– Halo – odezwał się Harry.

– On nic nie mówił – stwierdziła. – Tak samo jak uchodźcy wojenni. Widać to po sposobie, w jaki się poruszają. Jakby chodzili we śnie. Jak prowadzeni autopilotem. Jakby już nie żyli.

– Mhm. Czy Rikard z nim rozmawiał?

– Może. Chcesz jego numer?

– Chętnie.

– Chwileczkę.

Odeszła. Miała rację. Harry pomyślał o chwili, kiedy ten człowiek podnosił się ze śniegu. O tym, jak śnieg z niego opadał, o zwieszonych rękach, o twarzy bez wyrazu, jak zombi, które wstawały z grobów w *Nocy żywych trupów*.

Usłyszał chrząknięcie i obrócił się na krześle. W drzwiach do biura stał Gunnar Hagen z Davidem Eckhoffem.

– Przeszkadzamy? – spytał Hagen.

– Wejdźcie.

Mężczyźni usiedli po drugiej stronie biurka.

– Chcemy dostać raport – oświadczył Hagen.

Zanim Harry zdążył spytać, kogo Hagen ma na myśli, mówiąc „my", Martine zaczęła podawać mu numer. Harry zapisał.

– Dziękuję – powiedział. – Dobranoc.

– Zastanawiałam się...

– Muszę lecieć.

– Aha. No to dobranoc.

Odłożył słuchawkę.

– Przyjechaliśmy najszybciej, jak mogliśmy – odezwał się ojciec Martine. – To przecież straszne. Co się stało?

Harry spojrzał na Hagena.

– Opowiadaj! – nakazał Hagen.

Harry w krótkich zdaniach opisał nieudane zatrzymanie, strzał oddany w stronę samochodu i pościg przez park.

– Skoro byłeś tak blisko i miałeś MP-5, to dlaczego do niego nie strzeliłeś? – spytał Hagen.

Harry chrząknął, ale milczał. Patrzył na Eckhoffa.

– No, słucham. – W głosie Hagena pojawiła się irytacja.

– Było za ciemno.

Hagen długo się wpatrywał w swojego komisarza, nim wreszcie się odezwał:

– A więc on wyszedł na spacer w czasie, kiedy wy wchodziliście do jego pokoju. Jakiś pomysł na to, dlaczego zabójca krąży po Oslo w środku nocy przy dwudziestostopniowym mrozie? – Zniżył głos. – Bo zakładam, że masz pełną kontrolę nad Jonem Karlsenem.

– Nad Jonem? – zdziwił się David Eckhoff. – Przecież on jest w Szpitalu Ullevål.

– Zostawiłem funkcjonariusza na straży przed jego salą. – Harry miał nadzieję, że jego głos świadczy o posiadaniu kontroli nad sytuacją, której wcale nie miał. – Właśnie chciałem do niego zadzwonić, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku.

Wśród nagich ścian korytarza oddziału neurochirurgii w Szpitalu Ullevål rozległy się cztery pierwsze takty *London Calling* zespołu The Clash. Ubrany w szlafrok mężczyzna z przylizanymi włosami spacerujący ze statywem z kroplówką spojrzeniem skarcił policjanta, który, wbrew przepisom, odebrał telefon.

– Tu Stranden.

– Hole. Masz coś do powiedzenia?

– Niewiele. Po korytarzu snuje się facet cierpiący na bezsenność. Trochę straszny widok, ale wydaje się raczej niegroźny.

Oburzony mężczyzna z kroplówką, prychając, powędrował dalej.

– A wcześniej wieczorem nic się nie wydarzyło?

– Tottenham dostał w skórę od Arsenalu na White Hart Lane. No i nie było prądu.

– A pacjent?

– Nawet nie piśnie.

– Sprawdzałeś, czy wszystko w porządku?

– Oprócz hemoroidów, wygląda na to, że tak.

Stranden słuchał złowieszczej ciszy.

– To tylko żart. Zaraz pójdę sprawdzić. Zaczekaj, nie rozłączaj się.

Sala pachniała czymś słodkim. Pewnie cukierkami. Światło z korytarza omiotło wnętrze i zniknęło, kiedy drzwi się za nim zamknęły, ale dostrzegł twarz na białej poduszce. Podszedł bliżej. Strasznie tu cicho. Za cicho. Jakby brakowało dźwięku. Konkretnego dźwięku.

– Karlsen?

Żadnej reakcji. W środku było tak cicho, że głos Harry'ego z komórki zabrzmiał głośno i wyraźnie:

– Co się dzieje?

Stranden przyłożył telefon do ucha.

– On śpi jak dziecko.

– Na pewno?

Stranden spojrzał na twarz na poduszce i zrozumiał, że właśnie to go zaniepokoiło. To, że Karlsen spał jak dziecko. Dorośli mężczyźni zwykle wydają więcej odgłosów. Pochylił się nad twarzą, żeby posłuchać oddechu.

– Halo? – wołanie Harry'ego dobiegło z komórki. – Halo!

16 PIĄTEK, 18 GRUDNIA. UCIEKINIER

Słońce go grzało, a lekki wiatr poruszał długimi źdźbłami trawy na wydmach. Gięły się zadowolone. Musiał akurat się wykąpać, bo ręcznik pod nim był mokry. „Spójrz", powiedziała matka, pokazując coś. Zrobił daszek nad oczami, zapatrzył się w rozmigotany, niewiarygodnie błękitny Adriatyk i zobaczył, że przez wodę w stronę lądu idzie uśmiechnięty mężczyzna. To był ojciec. Za nim Bobo. I Giorgi. Obok płynął niewielki pies z ogonem uniesionym jak stewa. Kiedy tak na nich patrzył, z morza wyłoniło się ich więcej, niektórych znał dobrze, tak jak ojca Giorgiego, innych ledwie poznawał. Twarz z uchylonych drzwi w Paryżu. Rysy rozciągnięte nie do rozpoznania, zmienione w groteskowe maski, które się do niego wykrzywiały. Słońce zniknęło za chmurą, a temperatura gwałtownie spadła. Maski zaczęły krzyczeć.

Obudził go palący ból w boku. Otworzył oczy. Był w Oslo. Na podłodze pod schodami na jakiejś klatce. Pochylał się nad nim ktoś z otwartymi ustami i krzyczał. Rozpoznał jedno słowo brzmiące niemal tak samo w jego własnym języku. Narkoman.

Ten człowiek, mężczyzna w krótkiej skórzanej kurtce, zrobił krok do tyłu i uniósł stopę. Kopniak trafił go w bok, który już wcześniej go bolał, więc z jękiem się obrócił. Za mężczyzną w skórzanej kurtce stał jeszcze jeden i trzymał się za nos. Ten w skórze wskazał na drzwi.

Popatrzył na nich, dotknął dłonią kieszeni kurtki i poczuł, że jest mokra. I że wciąż ma pistolet. W magazynku zostały jeszcze dwie kule. Ale gdyby zagroził im bronią, istniało ryzyko, że powiadomią policję.

Ten w kurtce ryknął i uniósł rękę.

On zasłonił się ramieniem i wstał. Mężczyzna, który trzymał się za nos, ze śmiechem otworzył drzwi i na pożegnanie kopnął go w tyłek. Brama zatrzasnęła się za nim, usłyszał ciężkie kroki na schodach. Spojrzał na zegarek. Czwarta w nocy. Było tak samo ciemno, a on był przemarznięty. I mokry. Sprawdził dłonią, że kurtka na plecach jest nasiąknięta, nogawki przemoczone. Cuchnęło szczynami. Czyżby się posikał? Nie, musiał leżeć w kałuży. Na podłodze. W zamarzniętej kałuży szczyn, którą roztopił ciepłem własnego ciała. Wsunął ręce w kieszenie i ruszył truchtem w dół ulicy. Nie przejmował się już nielicznymi samochodami, które go mijały.

Pacjent mruknął „dziękuję", a Mathias Lund-Helgesen zamknął za nim drzwi i ciężko usiadł na krześle w swoim gabinecie. Ziewnął i spojrzał na zegarek. Szósta. Jeszcze godzina, zanim przyjdzie poranna zmiana. Zanim będzie mógł wrócić do domu. Prześpi się kilka godzin, a potem pojedzie do Rakel. Leżała teraz pod kołdrą w tej wielkiej willi z drewnianych bali na Holmenkollen. Nie nawiązał jeszcze pełnego porozumienia z chłopcem, ale to na pewno przyjdzie z czasem. Tak zwykle bywało z Mathiasem Lund-Helgesenem. No i rzecz nie w tym, że Oleg go nie lubił. Chodziło raczej o to, że chłopiec za bardzo przywiązał się do tego poprzedniego. Do policjanta. Właściwie to dziwne, dziecko potrafi bez najmniejszych uprzedzeń przywiązać się i uznać za wzór alkoholika, osobę wyraźnie zaburzoną.

Od dawna planował rozmowę z Rakel o Olegu, ale na razie się nie zdecydował. Wyszedłby tylko na bezradnego głupka. Może nawet Rakel zaczęłaby wątpić, że on jest dla nich tym właściwym. A on chciał nim być. Tym właściwym. Był skłonny być wszystko jedno kim, byle ją zatrzymać, a żeby wiedzieć, kim ma być, musiał spytać. Więc spytał. O to, co ją łączyło z tym policjantem. A ona

odpowiedziała, że nic szczególnego. Nic poza tym, że go kochała. I gdyby tak tego nie sformułowała, nie wiadomo, czy w ogóle kiedykolwiek by się zastanawiał nad tym, że w stosunku do niego nigdy nie użyła takiego słowa.

Mathias Lund-Helgesen otrząsnął się z bezsensownych myśli, sprawdził w komputerze nazwisko następnego pacjenta i wyszedł do łącznika, gdzie zwykle najpierw przyjmowały pacjentów pielęgniarki. Ale o tej porze nocy było tu pusto, poszedł więc dalej, do poczekalni.

Pięć osób popatrzyło na niego spojrzeniem błagającym o to, by uznał, że teraz ich kolej. Nie spojrzał na niego jedynie mężczyzna, który w kącie spał z otwartymi ustami i głową opartą o ścianę. Najwyraźniej narkoman. Niebieska kurtka i bijący od niego falami odór starego moczu dobitnie o tym świadczyły. Na pewno facet będzie się skarżył na bóle i poprosi o tabletki.

Mathias podszedł, krzywiąc nos. Mocno potrząsnął śpiącym i szybko się cofnął. Niektórzy narkomani reagowali w wyuczony sposób. Po latach doświadczeń, wielokrotnie obrabowani z narkotyków i pieniędzy, po obudzeniu stawali do walki albo rzucali się do ucieczki.

Mężczyzna otworzył oczy i spojrzał na Mathiasa zaskakująco przytomnym wzrokiem.

– Co panu dolega? – spytał Mathias. Oczywiście takie pytanie powinien zadać pacjentowi dopiero, gdy znajdą się sam na sam, ale Mathias był zmęczony i miał serdecznie dość ćpunów i pijaków, zabierających mu czas i uwagę, którą mógł poświęcić innym pacjentom.

Mężczyzna mocniej owinął się kurtką, nie odpowiadając.

– Halo! Musi pan mi powiedzieć, co pana tu sprowadza.

Pokręcił głową, wskazując na kogoś z pozostałych oczekujących, jakby wyjaśniał, że to nie jego kolej.

– To nie jest noclegownia – oświadczył Mathias. – Tu nie wolno spać. Proszę natychmiast wyjść.

– *I don't understand* – powiedział mężczyzna.

– *Leave* – odparł Mathias. – *Or I'll call the police.*

Ku swemu zaskoczeniu poczuł, że musi nad sobą panować, żeby nie ściągnąć cuchnącego ćpuna z krzesła. Wszyscy im się przyglądali.

Mężczyzna kiwnął głową i powoli wstał. Mathias patrzył za nim jeszcze wtedy, gdy szklane drzwi się zasunęły.

– Dobrze, że wyrzucacie takich ja ten – rozległ się głos za jego plecami.

Mathias w roztargnieniu skinął głową. Może nie powtarzał jej dostatecznie często, że ją kocha. Może po prostu w tym rzecz.

Było pół do ósmej i na zewnątrz wciąż panowała ciemność. Na oddziale neurochirurgicznym, w sali numer dziewiętnaście sierżant Stranden patrzył na puste, zaścielone łóżko, wcześniej zajmowane przez Jona Karlsena. Wkrótce miał na nie trafić inny pacjent. Dziwne uczucie. Ale na razie Stranden sam zamierzał poszukać łóżka, do którego będzie mógł się położyć. Na długo. Ziewnął, sprawdził, czy niczego nie zostawił na nocnym stoliku, zabrał gazetę z krzesła i odwrócił się, żeby wyjść.

W drzwiach stał mężczyzna. Komisarz Hole.

– Gdzie on jest?

– Nie ma go – odparł Stranden. – Zabrali go przed kwadransem. Wywieźli.

– Tak? Kto wydał takie polecenie?

– Ordynator. Nie chcieli go tu dłużej trzymać.

– A kto go wywiózł? I dokąd?

– Dzwonił nowy szef z Wydziału Zabójstw.

– Hagen? Osobiście?

– Tak. Przewieźli Karlsena do mieszkania jego brata.

Hole wolno pokręcił głową i poszedł.

Na wschodzie zaczęło się rozjaśniać, kiedy Harry tupał po schodach rudobrązowego budynku z cegły na Gørbitz' gate, dziurawym kawałku asfaltu między Kirkeveien a Fagerborggata. Zatrzymał się na piętrze, tak jak wyjaśniono mu przez domofon. Na bladoniebieskim kawałku plastiku przyklejonym do uchylonych drzwi wysztancowano białe litery: Robert Karlsen.

Harry wszedł do środka i się rozejrzał. Panujący w małym jednopokojowym mieszkaniu bałagan potwierdzał wrażenie z biura Roberta Karlsena, chociaż oczywiście nie dało się wykluczyć, że do bałaganu przyczynili się Li i Li, szukając listów i innych papierów, które mogły im pomóc. Jedną ścianę zdobiła kolorowa odbitka z Jezusem, a Harry uprzytomnił sobie, że gdyby koronę cierniową zamienić na beret, miałoby się Che Guevarę.

– Więc Gunnar Hagen postanowił, że należy cię tu przywieźć – zwrócił się Harry do pleców usadowionych przy biurku pod oknem.

– Tak. – Jon Karlsen odwrócił się do niego. – Stwierdził, że tu będę bezpieczniejszy, ponieważ zabójca zna adres mojego mieszkania.

– Mhm. – Harry rozejrzał się. – Dobrze spałeś?

– Niezbyt. – Jon uśmiechnął się zakłopotany. – Leżałem, nasłuchując dźwięków, których wcale nie było. A kiedy wreszcie zasnąłem, przyszedł Stranden, ten, który mnie pilnował, i wystraszył mnie do obłędu.

Harry zdjął plik komiksów z krzesła i usiadł.

– Rozumiem, że się boisz, Jon. Zastanawiałeś się trochę więcej nad tym, kto może chcieć pozbawić cię życia?

Jon westchnął.

– Przez ostatnią dobę nie myślałem o niczym innym. Ale odpowiedź ciągle jest taka sama. Nie mam pojęcia.

– Byłeś kiedykolwiek w Zagrzebiu? Albo w ogóle w Chorwacji?

Jon pokręcił głową.

– Najdalej od Norwegii byłem w Szwecji i Danii, a i to jako chłopiec.

– Znasz jakichś Chorwatów?

– Tylko tych uchodźców, którym dajemy schronienie.

– Mhm. Czy ci policjanci powiedzieli, dlaczego umieszczają cię właśnie tutaj?

Jon wzruszył ramionami.

– Wspomniałem, że mam klucz do tego mieszkania i że stoi puste, więc...

Harry przeciągnął ręką po twarzy.

– Tu stał komputer. – Jon wskazał biurko.

– To my go zabraliśmy. – Harry wstał.

– Już idziesz?

– Muszę zdążyć na samolot do Bergen.

– Aha. – Jon patrzył przed siebie pustym wzrokiem.

Harry miał ochotę położyć rękę na wąskich ramionach szczupłego chłopaka.

Pociąg na lotnisko miał opóźnienie. Już trzeci raz z kolei. „Z powodu przestoju", tak brzmiał krótki, nieprecyzyjny komunikat z głośników. Øystein Eikeland, jedyny kumpel Harry'ego z dzieciństwa, taksówkarz, tłumaczył mu, że silnik elektryczny w pociągu to jedna z najprostszych rzeczy, jakie istnieją, tak prosta, że nawet siostra Harry'ego byłaby w stanie go uruchomić. A gdyby na jeden dzień zamienić sztaby techniczne SAS-u z Norweskimi Kolejami Państwowymi, wszystkie pociągi jeździłyby punktualnie,

natomiast wszystkie samoloty pospadałyby na ziemię. Harry wolał, żeby zostało, jak jest.

Kiedy wyjechali z tunelu przed Lillestrøm, zadzwonił pod bezpośredni numer Gunnara Hagena.

– Mówi Hole.

– Słyszę.

– Poleciłem, żeby Jonowi Karlsenowi dano ochronę policyjną przez całą dobę. I nie wydałem polecenia, żeby go zabierano z Ullevål.

– O tym ostatnim decyduje szpital – odparł Hagen. – A o tym pierwszym ja.

Harry naliczył trzy domy daleko wśród białych pól, zanim odpowiedział:

– To szef wyznaczył mnie do prowadzenia tego śledztwa.

– Owszem, ale nie oddałem ci do dyspozycji budżetów naszych nadgodzin. Sam powinieneś wiedzieć, że już dawno zostały przekroczone.

– Ten chłopak się śmiertelnie boi – powiedział Harry – a szef umieszcza go w mieszkaniu poprzedniej ofiary zabójcy, jego rodzonego brata. Żeby zaoszczędzić kilka stów na hotelu.

Z głośnika popłynęła informacja o następnym przystanku.

– Lillestrøm? – zdumiał się Hagen. – Jesteś w pociągu na lotnisko?

Harry zaklął w duchu.

– Taki krótki wypad do Bergen.

– Teraz?

– Wracam dziś po południu.

– Czyś ty oszalał, człowieku? Wszyscy się nam przyglądają w związku z tą sprawą. Prasa...

– Będzie tunel. – Harry wyłączył telefon.

Ragnhild Gilstrup wolno budziła się ze snu. W pokoju było ciemno. Rozumiała, że jest rano, ale nie mogła pojąć, czym jest ten dźwięk. Brzmiał jak duży mechaniczny zegar, ale oni nie mieli takiego zegara w sypialni. Obróciła się w łóżku i drgnęła przestraszona. W półmroku zobaczyła nagą nieruchomą postać, która przyglądała jej się, stojąc w nogach łóżka.

– Dzień dobry, skarbie.

– Mads! Przestraszyłeś mnie.

– Tak?

Najwyraźniej właśnie wziął prysznic. Drzwi do łazienki były otwarte, a ściekająca z jego ciała woda rytmicznie kapała na parkiet.

– Długo tak stoisz? – spytała, mocniej owijając się kołdrą.

– A dlaczego?

Wzruszyła ramionami, ale przeszedł ją dreszcz. Było coś dziwnego w sposobie, w jaki to powiedział. Wesoło, niemal drwiąco. No i ten uśmieszek. Mads zwykle tak się nie zachowywał. Przeciągnęła się i ziewnęła. Sztucznie. Sama to wyczuła.

– O której wróciłeś do domu? – spytała. – Nawet się nie obudziłam.

– Spałaś pewnie snem sprawiedliwych. – I znów ten uśmieszek.

Przyjrzała mu się uważniej. Naprawdę się zmienił w ostatnich miesiącach. Zawsze był szczupły, ale teraz sprawiał wrażenie silniejszego, lepiej wytrenowanego. Oczywiście przeszło jej przez myśl, że może mieć kochankę, ale to za bardzo jej nie dręczyło. Tak przynajmniej jej się wydawało.

– Gdzie byłeś?

– Jadłem obiad z Janem Petterem Sissenerem.

– Z tym maklerem giełdowym?

– Tak. Jego zdaniem widoki na rynku są niezłe. Również jeśli chodzi o nieruchomości.

– Czy rozmowa z nim nie należy do moich obowiązków?

– Po prostu chciałem mieć jakąś orientację.

– Uważasz, że ja cię nie informuję w dostateczny sposób, mój drogi?

Popatrzył na nią, przytrzymując jej wzrok, aż poczuła coś, czego nigdy nie doświadczyła podczas rozmowy z Madsem: krew napłynęła jej do twarzy.

– Jestem pewien, że informujesz mnie o tym, co powinienem wiedzieć, skarbie. – Odwrócił się i wszedł do łazienki.

Usłyszała, że odkręca kran.

– Zerkałam na dwa interesujące projekty związane z nieruchomościami – zawołała, głównie po to, żeby powiedzieć coś, co przerwałoby tę dziwną ciszę.

– Ja też! – odkrzyknął Mads. – Oglądałem wczoraj kamienicę na Gøteborggata. Tę, która jest własnością Armii Zbawienia, wiesz.

Ragnhild zdrętwiała. Mieszkanie Jona.

– Niebrzydka kamienica. Ale jedne drzwi były oklejone taśmą policyjną. Ktoś z lokatorów mi powiedział, że tam była strzelanina. Słyszałaś coś podobnego?

– Nie! – zawołała. – A na co ta taśma?

– Policja zawsze tak robi. Zagradza wstęp do mieszkania, a w tym czasie przewraca wszystko do góry nogami, szuka odcisków palców i DNA, żeby się zorientować, kto tam bywał. Tak czy owak, możliwe, że Armia Zbawienia zgodzi się spuścić z ceny, skoro w kamienicy się strzelają. Jak myślisz?

– Mówiłam ci już, że oni nie chcą sprzedać.

– Nie chcieli, skarbie.

Przyszło jej coś do głowy.

– Dlaczego policja chce sprawdzać mieszkanie, skoro strzelano w korytarzu?

Usłyszała, że Mads zakręca kran, i uniosła wzrok. Stał w progu i uśmiechając się żółto wśród białej piany, bawił się brzytwą. Wkrótce się skropi drogą wodą po goleniu, której zapachu nie znosiła.

– O czym ty mówisz? – spytał. – Przecież ja nie mówiłem nic o żadnym korytarzu. I dlaczego tak nagle pobladłaś, skarbie?

Dzień wstał późno, a nad parkiem Sofienberg wciąż unosiła się rzadka mroźna mgła, gdy Ragnhild gnała przez Helgesens gate, oddychając przez beżowy szalik Bottega Veneta. Nawet kupiona w Mediolanie za dziewięć tysięcy koron wełna nie była w stanie zatrzymać zimna, ale przynajmniej zasłaniała jej twarz.

Odciski palców. DNA. Żeby się zorientować, kto tam bywał. Nie mogła do tego dopuścić, konsekwencje byłyby katastrofalne.

Skręciła w Gøteborggata. Przynajmniej na zewnątrz nie było policji.

Klucz gładko wsunął się w wejściowe drzwi. Pospiesznie weszła do środka i skierowała się do windy. Od dawna już tu nie przychodziła i oczywiście pierwszy raz pojawiła się bez zapowiedzi.

Serce waliło jej, gdy winda uniosła ją w górę. Pomyślała o swoich włosach w odpływie prysznica, o włóknach z ubrania na dywanie, o odciskach palców wszędzie.

Korytarz był pusty. Pomarańczowa taśma rozpięta na framudze świadczyła o tym, że nikogo nie było w środku, ale ona i tak zapukała i czekała. Potem wyjęła klucz, włożyła go w zamek. Nie chciał wejść. Spróbowała jeszcze raz, ale zmieścił się tylko czubek. Boże, czyżby Jon zmienił zamki? Nabrała powietrza, odwróciła klucz i pomodliła się w duchu.

Klucz wsunął się, a zamek z cichym kliknięciem puścił.

Wciągnęła w nozdrza znajomy zapach mieszkania i podbiegła do szafy ubraniowej, w której, jak wiedziała, Jon przechowuje

odkurzacz. Był to Siemens VS08G2040, ten sam model, jaki mieli w domu, dwa tysiące watów, najmocniejszy na rynku. Jon lubił czystość. Odkurzacz ryknął ochryple, gdy włączyła go do gniazdka. Była dziesiąta. W ciągu godziny powinna zdążyć odkurzyć wszystkie podłogi i umyć wszystkie ściany i płaszczyzny. Popatrzyła na zamknięte drzwi do sypialni, zadając sobie pytanie, czy nie lepiej zacząć tam, gdzie wspomnienia są najmocniejsze, a śladów najwięcej. Nie. Przyłożyła końcówkę rury odkurzacza do przedramienia. Poczuła jakby ukąszenie. Odciągnęła końcówkę i zobaczyła, że na skórze już zaczyna tworzyć się siniak.

Odkurzała zaledwie przez kilka minut, gdy nagle sobie coś uświadomiła. Listy! Boże, zapomniała, że mogą znaleźć napisane przez nią listy! Zarówno te pierwsze, w których pisała o swoich najskrytszych marzeniach i pragnieniach, jak i te ostatnie, rozpaczliwe, obnażone, w których błagała go o kontakt. Zostawiła odkurzacz włączony, odłożyła tylko wąż na krzesło i podbiegła do biurka Jona. Zaczęła wyciągać szuflady. W pierwszej były długopisy, taśma klejąca, dziurkacz. W drugiej książki telefoniczne. Trzecia była zamknięta na klucz. Oczywiście.

Sięgnęła po leżący na biurku nóż do papieru, wsunęła go w szparę tuż nad zamkiem i z całej siły naparła na rękojeść. Zatrzeszczało stare suche drewno. W chwili, gdy pomyślała, że nóż się złamie, przednia ścianka szuflady pękła wzdłuż. Wyciągnęła ją szarpnięciem, strzepnęła drzazgi i popatrzyła na koperty. Całe pliki. Palce przerzucały je szybko. Hafslund Energi. Bank DnB. Towarzystwo Ubezpieczeniowe If. Armia Zbawienia. Jedna czysta koperta. Otworzyła ją. *Drogi synu*, było napisane na samej górze kartki. Przerzucała dalej. Jest! Koperta z nadrukowaną nazwą funduszu, Gilstrup Invest. Dyskretny niebieski nadruk, na dole, w prawym rogu.

Z ulgą wyjęła list.

Kiedy skończyła go czytać, odłożyła kartkę i poczuła, że łzy płyną jej po policzkach. Jakby oczy otwarły jej się na nowo. Jakby była ślepa, a teraz odzyskała wzrok i okazało się, że wszystko jest po staremu. Jak gdyby to, w co kiedyś wierzyła i co odrzuciła, znów okazało się prawdą. Treść była krótka, a jednak po jej przeczytaniu wszystko się zmieniło.

Odkurzacz wył natarczywie, zagłuszając wszystko, z wyjątkiem tych prostych, wyraźnych zdań na kartce, tego, co w nich absurdalne, a zarazem w oczywisty sposób logiczne. Nie słyszała odgłosów ruchu ulicznego, skrzypienia drzwi ani kroków człowieka, który teraz stał za jej krzesłem. Dopiero gdy poczuła jego zapach, włoski na karku jej się zjeżyły.

Samolot SAS-u wylądował na Flesland w porywach zachodniego wiatru. W taksówce do Bergen wycieraczki uciszały opony z kolcami trzeszczącymi na mokrym czarnym asfalcie wijącym się wśród pagórków, na których kępy mokrej trawy i nagie drzewa gięły się pod naporem wiatru. Zima na zachodzie kraju.

Kiedy dotarli do Fyllingsdalen, zadzwonił Skarre.

– Coś znaleźliśmy.

– Mów.

– Przejrzeliśmy twardy dysk Roberta Karlsena. Jedyne rzeczy o wątpliwym charakterze to cookie do paru stron pornograficznych w internecie.

– Na twoim komputerze też by się coś takiego trafiło, Skarre. Do rzeczy.

– Nie znaleźliśmy też żadnych podejrzanych nazwisk w jego papierach czy listach.

– Skarre... – powiedział Harry ostrzegawczym tonem.

– Znaleźliśmy natomiast interesującą kopię biletu lotniczego – powiedział Skarre. – Zgadnij dokąd?

– Bo cię palnę.

– Do Zagrzebia – czym prędzej odpowiedział Skarre, a ponieważ Harry nie zareagował, dodał ostrożnie: – W Chorwacji.

– Dziękuję. Kiedy tam był?

– W październiku. Wylot dwunastego października, powrót tego samego dnia wieczorem.

– Mhm. Jeden jedyny październikowy dzień w Zagrzebiu. To raczej nie wygląda na wakacje.

– Rozmawiałem z jego szefową we Freteksie na Kirkeveien. Twierdzi, że Robert z całą pewnością nie miał od nich żadnego zlecenia za granicą.

Harry, rozłączywszy się, zaczął się zastanawiać, dlaczego nie powiedział Skarremu, że jest zadowolony z jego pracy. Przecież mógł to zrobić. Czyżby w miarę upływu lat stawał się niefajny? Nie, uznał, biorąc cztery korony reszty od taksówkarza. Nigdy nie był fajny.

Harry wysiadł na smutną, syfilisowatą bergeńską mżawkę, która według legendy rozpoczynała się w któreś popołudnie we wrześniu, a kończyła w któreś popołudnie w marcu. Przeszedł kilka kroków dzielących go od drzwi kawiarni Børs, stanął za nimi i omiótł wzrokiem lokal, zastanawiając się, co nowa ustawa antynikotynowa, czająca się tuż za progiem, zrobi z miejscami takimi jak to. Był w tej knajpie już dwa razy wcześniej, instynktownie czuł się tu jak w domu, a jednocześnie pozostawał kompletnie anonimowy. Kelnerzy w czerwonych marynarkach krążyli z takimi minami, jakby pracowali w najelegantszym przybytku, serwując półlitrowe szklanki piwa i cierpkie żarty emerytowanym rybakom, obdarzonym dziewięcioma życiami

marynarzom, żeglującym jeszcze w czasie wojny, i wszystkim innym życiowym rozbitkom. Za pierwszej bytności Harry'ego zapomniana gwiazda tańczyła między stolikami tango z rybakiem, a starsza, odświętnie ubrana dama śpiewała niemieckie romanse przy akompaniamencie akordeonu, rytmicznie wyrzucając z siebie podczas partii instrumentalnych obsceniczne słowa z „r" charakterystycznym dla tego regionu.

Spojrzenie Harry'ego odnalazło wreszcie to, czego szukało. Czym prędzej ruszył do stolika, przy którym siedział wysoki chudy mężczyzna nad jedną pustą, a drugą prawie pustą półlitrową szklanką piwa.

– Szefie.

Głowa Møllera poderwała się na dźwięk głosu Harry'ego. Oczy poszły za nią z maleńkim opóźnieniem. Za błoną alkoholowego odurzenia źrenice się skurczyły.

– Harry! – głos zabrzmiał zdumiewająco przytomnie i wyraźnie.

Harry przyciągnął sobie krzesło od sąsiedniego stolika.

– Przejazdem? – spytał Bjarne Møller.

– Tak.

– Jak mnie tu znalazłeś?

Harry nie odpowiedział. Był wprawdzie przygotowany, ale nie wierzył w to, co widział.

– A więc gadają na komendzie? Tak, tak. – Møller upił spory łyk ze szklanki. – Dziwna zamiana ról, prawda? Zwykle to ja znajdowałem ciebie. Piwo?

Harry nachylił się nad stołem.

– Co się stało, szefie?

– A co się zwykle dzieje, kiedy dorosły mężczyzna pije w środku dnia pracy?

– Albo go wylali, albo żona od niego odeszła.

– Jeszcze mnie nie wylali. Przynajmniej z tego, co wiem. – Møller zaśmiał się cicho. Ramiona mu się zatrzęsły, ale żadnego dźwięku nie było słychać.

– Czy Kari... – Harry urwał. Nie wiedział, jak sformułować pytanie.

– Ani ona, ani dzieciaki nie przyjechały. No i dobrze. To było z góry ustalone.

– Co?

– Brakuje mi chłopców, to oczywiste. Ale dam sobie radę. To tylko... jak to się mówi... faza przejściowa? No, tak, ale istnieje na to ładniejsze słowo. Trans... Nie... – Bjarne Møller opuścił głowę nad szklanką.

– Przejdźmy się. – Harry już prosił o rachunek.

Dwadzieścia minut później stali we dwóch w tej samej chmurze deszczu przy balustradzie na szczycie góry, która nazywa się Fløyen, i spoglądali w dół na to, co być może było miastem Bergen. Przywiózł ich tu z centrum wagonik kolejki, ucięty ukośnie jak kawałek tortu i ciągnięty po szynach na grubych stalowych linach.

– To dlatego przyjechałeś tutaj? – spytał Harry. – Dlatego, że ty i Kari chcieliście się rozejść?

– Tu rzeczywiście stale pada, tak jak mówią – odparł Møller.

Harry westchnął.

– Picie nie pomoże, szefie. Będzie tylko gorzej.

– To moja kwestia, Harry. Jak ci się układa z Gunnarem Hagenem?

– No cóż. To dobry wykładowca.

– Pilnuj się, Harry, jego nie wolno nie docenić. On jest kimś więcej niż tylko wykładowcą. Gunnar Hagen był przez siedem lat w FSK.

– W wojskowej jednostce specjalnej? – zdumiał się Harry.

– Owszem. Właśnie się o tym dowiedziałem od naczelnika Biura Kryminalnego. Hagena przyjęto w osiemdziesiątym pierwszym, kiedy tworzono tę jednostkę, która miała chronić nasze platformy wiertnicze na Morzu Północnym. Ponieważ te służby to wielka tajemnica, Hagen nigdy nie odnotował tego w żadnym swoim życiorysie.

– FSK – Harry poczuł, że lodowaty deszcz zaczął przesiąkać przez materiał kurtki na ramionach. – Słyszałem, że tam panuje niesamowita lojalność.

– To jest jak bractwo – powiedział Møller. – Nie do przeniknięcia.

– Wiesz jeszcze o kimś, kto tam był?

Møller pokręcił głową. Już wyglądał na trzeźwego.

– Coś nowego w śledztwie? Czytałem wewnętrzne informacje.

– Nie mamy nawet motywu.

– Motywem są pieniądze – oświadczył Møller i zaniósł się kaszlem. – Chciwość. Iluzja, że życie się zmieni, jeśli się będzie miało pieniądze. Że człowiek sam się od tego zmieni.

– Pieniądze – Harry zerknął na Møllera. – Może i tak – powiedział z wahaniem.

Møller z pogardą splunął na szarą zupę w dole.

– Szukaj pieniędzy. Znajdź je i idź za nimi. One zawsze cię doprowadzą do rozwiązania.

Harry nigdy nie słyszał, żeby Møller mówił z taką goryczą, jakby posiadł wiedzę, bez której chętnie by się obył.

Harry nabrał powietrza i zdecydował się.

– Wiesz, szefie, że ja nie za bardzo umiem owijać w bawełnę, więc posłuchaj. Ty i ja jesteśmy takimi facetami, którzy nie mogą mieć wielu przyjaciół. I chociaż być może nie uważasz mnie za przyjaciela, to jestem przynajmniej kimś w tym rodzaju. –

Popatrzył na Møllera, ale nie otrzymał odpowiedzi. – Przyjechałem tu spytać, czy mogę coś zrobić. Czy chcesz o czymś pogadać albo...

Wciąż milczenie.

– Wiem, do cholery, szefie. Ale w każdym razie tu jestem.

Møller odwrócił twarz do nieba.

– Wiesz, że to, co mamy za plecami, to płaskowyż? Prawdziwy. Sześć minut drogi kolejką linową od centrum drugiego co do wielkości miasta Norwegii, i ludzie idą w góry, błądzą i giną. Śmieszne, prawda?

Harry wzruszył ramionami. Møller westchnął.

– Ten deszcz chyba się nie skończy. Zabierajmy się tym blaszakiem z powrotem.

Zjechali w dół i razem poszli na postój taksówek.

– Teraz, przed godziną szczytu, dojazd na Flesland zajmie tylko dwadzieścia minut – powiedział Møller.

Harry kiwnął głową, ale nie wsiadał. Kurtkę miał już całkiem mokrą.

– Idź za pieniędzmi – Møller położył mu dłoń na ramieniu. – Rób to, co musisz.

– Ty też, szefie.

Møller podniósł rękę do góry i zaczął iść, ale odwrócił się jeszcze, gdy Harry wsiadał do taksówki, i coś zawołał, lecz zagłuszył go uliczny szum. Po drodze przez Danmarks plass Harry włączył komórkę. SMS od Halvorsena. Żeby zadzwonił. Harry wystukał numer.

– Mamy kartę kredytową Stankicia – oznajmił Halvorsen. – Połknął ją bankomat przy Youngstorget dziś w nocy, tuż przed dwunastą.

– Czyli, że stamtąd wracał, kiedy zrobiliśmy nalot na Schronisko.

– Owszem.

– Youngstorget to spory kawałek od Schroniska – zamyślił się Harry. – Na pewno poszedł aż tam, bo się bał, że gdzieś bliżej szybciej skojarzymy to ze Schroniskiem. A to oznacza, że rozpaczliwie potrzebuje pieniędzy.

– Ale mam jeszcze lepszą wiadomość – oświadczył Halvorsen. – Ten bankomat jest pod nadzorem kamer.

– Co?

Halvorsen zrobił artystyczną pauzę.

– No mów! – ponaglił go Harry. – On nie chowa twarzy, o to chodzi?

– Uśmiecha się wprost do kamery jak gwiazda filmowa!

– Beate dostała już to nagranie?

– Siedzi w House of Pain i je teraz przegląda.

Ragnhild Gilstrup myślała o Johannesie. O tym, że wszystko mogło być inaczej. Gdyby tylko usłuchała głosu serca, które zawsze było mądrzejsze niż głowa. Dziwiła się też, że nigdy nie czuła się tak nieszczęśliwa jak teraz, a mimo to nigdy tak bardzo nie pragnęła żyć.

Żyć jeszcze trochę dłużej. Bo teraz już wszystko rozumiała.

Patrzyła w czarny otwór i rozumiała, co widzi.

I co się stanie.

Jej krzyk zagłuszył warkot prostego silnika VS08G240. Przewróciło się krzesło. Mocno zasysająca końcówka zbliżyła się do oka. Ragnhild próbowała zaciskać powieki, ale przytrzymywały je silne palce, które chciały, by patrzyła. Patrzyła więc. I wiedziała, doskonale wiedziała, co się stanie.

17 PIĄTEK, 18 GRUDNIA. TWARZ

Ścienny zegar nad kontuarem w wielkiej aptece wskazywał pół do dziesiątej. Siedzący wzdłuż ścian ludzie kasłali, sennie przymykali oczy albo spoglądali to na czerwone cyfry numeru wyświetlanego pod sufitem, to na trzymany w ręku numerek, jak gdyby był losem na loterii życia, a każde kliknięcie nowym losowaniem.

On nie wziął żadnego numerka. Chciał jedynie posiedzieć przy grzejnikach apteki, ale miał wrażenie, że niebieska kurtka ściąga uwagę, bo obsługa już zaczęła na niego zerkać. Wyjrzał przez okno. Poza mgłą dostrzegł kontury bladego bezsilnego słońca. Przejechał radiowóz policyjny. W aptece były kamery. Powinien iść gdzieś dalej, ale dokąd? Bez pieniędzy wyrzucą go z kawiarni i barów. Teraz nie miał już nawet karty kredytowej. Poprzedniego wieczoru zdecydował, że musi jednak wypłacić pieniądze, chociaż ryzykował, że będą go tropić po karcie. Wybrał się na wieczorny spacer ze Schroniska i w końcu znalazł bankomat położony w znacznej odległości. Ale maszyna po prostu połknęła kartę, nie dając nic w zamian oprócz potwierdzenia tego, co już wiedział: że go okrążyli. Że znów przeżywa oblężenie.

Prawie pusta sala w restauracji Biscuit pławiła się w muzyce fletni Pana. To była akurat spokojna pora, po lunchu, a przed obiadem, Tore Bjørgen stanął więc przy oknie i w rozmarzeniu wyglądał na Karl Johan. Widok nieszczególnie do niego przemawiał, ale grzejniki były umieszczone pod oknami, a on wciąż nie mógł się rozgrzać. Był w marnym humorze. W ciągu dwóch najbliższych dni powinien odebrać bilety lotnicze do Kapsztadu, a właśnie potwierdził to, co wiedział już od dawna: nie miał pieniędzy. Chociaż tyle pracował, gdzieś się rozpłynęły. Oczywiście pochłonęło je rokokowe lustro, które jesienią kupił do mieszkania, ale było też za dużo szampana, proszku i innych kosztownych

zabawek. Nie żeby stracił panowanie nad życiem, ale szczerze mówiąc, przyszła pora na wyrwanie się z błędnego kręgu. Z proszku, żeby się bawić, tabletek, żeby spać, i znów proszku, żeby mieć siłę pracować w nadgodzinach, aby zarobić na sfinansowanie nałogów. I akurat w tej chwili konto miał kompletnie wyczyszczone. Od pięciu lat spędzał święta i Nowy Rok w Kapsztadzie, zamiast jechać do domu na wieś, do Vegårdshei, do religijnej ciasnoty umysłowej, do milczących oskarżeń rodziców, do źle skrywanego obrzydzenia wujów i kuzynów. Zamieniał trzy tygodnie nieznośnego zimna, przygnębiającego mroku i nudy na słońce, pięknych ludzi i bujne nocne życie. I na zabawę. Na niebezpieczną zabawę. W grudniu i styczniu Kapsztad przeżywał najazd pracowników europejskich agencji reklamowych, ekip filmowych, modelek i modeli. Ze wszystkich zabaw najbardziej lubił ślepą randkę. W mieście takim jak Kapsztad zawsze wiązało się to z pewnym ryzykiem, a spotkanie z mężczyzną w ciemności wśród slumsów Cape Flat stanowiło zagrożenie wręcz śmiertelne. A jednak z tego nie rezygnował. Nie zawsze miał świadomość, dlaczego zachowuje się tak idiotycznie, wiedział jedynie, że potrzebował niebezpieczeństwa, by poczuć, że żyje; w zabawę musiała być wliczona potencjalna strata, aby mogła być interesująca.

Tore Bjørgen wciągnął powietrze przez nos. Z marzeń na jawie wyrwał go zapach, który, miał nadzieję, nie pochodził z kuchni. Odwrócił się.

– *Hello again* – odezwał się mężczyzna, który stanął tuż za nim.

Gdyby Tore Bjørgen był mniej profesjonalnym kelnerem, skrzywiłby się z niechęcią. Nie dość, że stojący przed nim człowiek miał na sobie nietwarzową niebieską zimową kurtkę, najwyraźniej modną wśród narkomanów na Karl Johan, to jeszcze facet był nieogolony, miał zaczerwienione oczy i cuchnął jak pisuar.

– *Remember me*? – spytał mężczyzna. – *At the men's room*.

Tore Bjørgen w pierwszej chwili sądził, że nieznajomy odwołuje się do nocnego klubu o takiej nazwie, ale w końcu zrozumiał, że facet miał po prostu na myśli toaletę. Dopiero wtedy go rozpoznał. To znaczy rozpoznał głos. I pomyślał, że to wprost niewiarygodne, co może z człowiekiem zrobić jedna doba bez zdobyczy cywilizacji takich jak maszynka do golenia, prysznic i osiem godzin snu.

Może to właśnie przerwane intensywne marzenia na jawie sprawiły, że dwie wyraźnie się od siebie różniące reakcje Torego Bjørgena nastąpiły w takiej, a nie innej, kolejności: najpierw słodkie ukłucie pożądania. Ten mężczyzna najwyraźniej wrócił po tamtym krótkim flircie i przelotnym, ale intymnym, kontakcie cielesnym. Później odezwało się przerażenie na wspomnienie tego człowieka z pistoletem ociekającym mydłem. I na fakt, że policjant, który tu był, łączył tamto zdarzenie z zabójstwem nieszczęśnika z Armii Zbawienia.

– Nie mam gdzie spać – powiedział mężczyzna.

Tore Bjørgen dwa razy mocno mrugnął. Wprost nie mógł w to uwierzyć. Oto stał naprzeciwko osoby będącej być może mordercą, podejrzanej o zastrzelenie człowieka na środku ulicy. Dlaczego więc nie rzucił wszystkiego, co trzymał w rękach, i nie wybiegł na środek jadalni, krzykiem domagając się wezwania policji? Przecież tamten policjant mówił nawet, że wyznaczono nagrodę za informacje, które doprowadzą do aresztowania tego człowieka. Bjørgen spojrzał na drugi koniec restauracji, gdzie kierownik sali przeglądał książkę rezerwacji. Dlaczego poczuł w brzuchu tę dziwną pulsującą radość, która rozlewała się po ciele, wprawiając go w drżenie, kiedy szukał słów, które miałyby jakiś sens?

– Tylko na jedną noc – dodał nieznajomy.

– Ja dzisiaj pracuję – odparł Tore Bjørgen.

– Mogę zaczekać.

Tore Bjørgen popatrzył na niego.

To szaleństwo, pomyślał, a jego mózg w tym czasie powoli i nieubłaganie łączył ochotę na zabawę z możliwym rozwiązaniem problemu. Przełknął ślinę i przeniósł ciężar ciała na drugą nogę.

Z peronu pociągów na lotnisko na Dworcu Centralnym Harry pognał przez Grønland do Budynku Policji, wjechał windą na górę do Wydziału Napadów i przebiegł korytarzami do House of Pain, policyjnego pomieszczenia ze sprzętem wideo.

W ciasnym, pozbawionym okien pokoju było ciemno, gorąco i duszno. Usłyszał palce szybko biegające po klawiaturze komputera.

– Co oglądasz? – zwrócił się do postaci, której kontur rysował się na tle obrazów migających na ekranie umieszczonym na krótszej ze ścian.

– Coś bardzo interesującego – odparła Beate Lønn, nie odwracając się, ale Harry wiedział, że ma zaczerwienione oczy. Nie raz już obserwował sposób pracy Beate. Widział, jak godzinami gapi się w ekran, przewijając, zatrzymując, przybliżając, powiększając, zapisując. Nie wiedząc, czego szuka. Ani co widzi. To było jej terytorium.

– To może sporo wyjaśnić – dodała.

– Zamieniam się w słuch. – Harry po omacku przesunął się do przodu, łydką uderzył o krzesło i przeklinając, usiadł.

– Gotowy?

– Strzelaj!

– No dobrze. Poznaj Christa Stankicia.

Na ekranie jakiś człowiek podchodził do bankomatu.

– Jesteś pewna? – spytał Harry.

– Nie poznajesz go?

– Poznaję tę niebieską kurtkę, ale... – Harry słyszał dezorientację we własnym głosie.

– Chwileczkę – powiedziała Beate.

Mężczyzna na ekranie wsunął kartę do bankomatu i czekał. W końcu zwrócił twarz do kamery i skrzywił się. Udawany uśmiech. Mający dokładnie przeciwne znaczenie.

– Odkrył, że nie dostanie pieniędzy – stwierdziła Beate.

Wciskał kolejne klawisze, a w końcu uderzył pięścią w klawiaturę bankomatu.

– A tu się zorientował, że nie odzyska karty – powiedział Harry.

Mężczyzna długo wpatrywał się w wyświetlacz. W końcu podciągnął rękaw, odwrócił się i odszedł.

– Co to za zegarek? – spytał Harry.

– W szkiełku odbija się światło, ale powiększyłam obraz. Na cyferblacie jest napis Seiko SQ50.

– Mądra dziewczynka. Ale nie widzę, żeby to cokolwiek wyjaśniało.

– I właśnie to jest wyjaśnienie.

Beate stuknęła parę razy w klawiaturę i na ekranie ukazały się dwa zdjęcia mężczyzny, którego przed chwilą oglądali. Jedno, gdy wyjmował kartę, drugie, gdy patrzył na zegarek.

– Wybrałam te dwa zdjęcia, bo twarz znajduje się mniej więcej w tej samej pozycji i dlatego to łatwo zobaczyć. Te dwa zdjęcia dzieli około stu sekund. Widzisz?

– Nie – odparł Harry zgodnie z prawdą. – Najwyraźniej jestem ślepy. Nie potrafię nawet dostrzec, że na tych dwóch zdjęciach jest ta sama osoba, a tym bardziej ten, którego widziałem nad rzeką.

– No i dobrze. Właśnie to zobaczyłeś.

– Co?

– To jest jego fotografia z karty kredytowej. – Beate puknęła w klawiaturę i ukazała się twarz mężczyzny z krótko obciętymi włosami, w krawacie. – A to jego zdjęcia zrobione przez „Dagbladet" na Egertorget.

Dwa kolejne zdjęcia.

– Widzisz, że to ta sama osoba? – spytała Beate.

– No nie.

– Ja też nie.

– Ty? Jeśli ty tego nie widzisz, to chyba znaczy, że to po prostu nie jest ta sama osoba?

– Wcale nie. To oznacza, że mamy do czynienia z przypadkiem tak zwanej hipermobilności. W kręgach fachowców nazywa się to *visage du pantomime*.

– O czym ty, w imię niebios, mówisz?

– O człowieku, który po to, żeby zmieniać wygląd, nie potrzebuje makijażu, przebrania czy operacji plastycznych.

W sali konferencyjnej w czerwonej strefie Harry zaczekał, aż wszyscy z grupy śledczej usiądą, nim zabrał głos.

– Wiemy już, że szukamy jednego i tylko jednego człowieka. Na razie nazywamy go Christo Stankić. Beate?

Beate włączyła projektor i na ekranie ukazał się obraz przedstawiający twarz z zamkniętymi oczami i maską przypominającą czerwone spaghetti.

– Widzicie tu muskulaturę ludzkiej twarzy – zaczęła. – Mięśnie, których używamy do tworzenia wyrazu twarzy, a przez to do zmieniania wyglądu. Najważniejsze umieszczone są na czole, wokół oczu i ust. To na przykład jest *musculus frontalis*, który wraz z tym – *musculus corrugator supercilii* unosi i ściąga brwi. *Orbicularis oculi* rozszerza albo ściąga okolice oczu. I tak dalej.

Beate przycisnęła pilota. Na zdjęciu ukazał się klaun z wielkimi nadętymi policzkami.

– Mamy w twarzy setki takich mięśni i chociaż ich zadaniem jest robienie min, to wykorzystujemy zaledwie ułamek ich możliwości. Aktorzy i kuglarze specjalnie trenują muskulaturę twarzy w celu uzyskania maksymalnej ruchliwości mięśni, a zwykli ludzie tracą tę zdolność już w młodym wieku. Ale nawet aktorzy i mimowie wykorzystują ruchy mimiczne głównie do wyrażania konkretnych uczuć, a te chociaż bardzo ważne, są jednak dość uniwersalne i nieliczne. Gniew, radość, zakochanie, zdumienie, lekki śmiech, dużo śmiechu i tak dalej. Tymczasem natura, wyposażając nas w tę maskę mięśni, podarowała nam miliony, a właściwie wręcz nieograniczoną liczbę wyrazów twarzy. Pianista tak potrafi wytrenować połączenie mózgu z muskulaturą palców, że jest w stanie symultanicznie wykonywać dziesięć niezależnych czynności, a przecież w palcach nie mamy aż tylu mięśni. Co wobec tego moglibyśmy zrobić z twarzą?

Beate przerzuciła na zdjęcie Christa Stankicia pod bankomatem.

– Możemy zrobić na przykład to.

Ruszył film w zwolnionym tempie.

– Zmiany są prawie niedostrzegalne. To maleńkie mięśnie ściągają się i rozluźniają. Sumą tych drobnych ruchów jest zmieniony wyraz twarzy. Czy twarz naprawdę aż tak bardzo się zmienia? Nie, ale część mózgu odpowiedzialna za rozpoznawanie twarzy, *gyrus fusiformus*, jest niezwykle wrażliwa nawet na bardzo drobne zmiany, ponieważ jej zadaniem jest rozróżnienie tysięcy identycznych pod względem fizjologicznym twarzy. Przez stopniową regulację skurczów mięśni twarzy uzyskujemy coś, co pozornie wygląda na inną osobę, a mianowicie tę.

Obraz zatrzymał się na ostatniej klatce filmu wideo.

– Halo? Ziemia wzywa Marsa!

Harry rozpoznał głos Magnusa Skarrego. Ktoś się roześmiał, a Beate się zaczerwieniła.

– No więc, *sorry* – zarechotał Skarre i rozejrzał się zadowolony. – To ciągle jest ten sam facio, Stankić. Science fiction jest zabawne, ale faceci, którzy tu trochę naciągną, a tu trochę popuszczą, i już stają się nierozpoznawalni, to, moim zdaniem, trochę historia o duchach.

Harry miał się włączyć, ale zrezygnował. W napięciu obserwował Beate. Dwa lata temu taki komentarz załamałby ją na miejscu, rozwalił na kawałki, które on musiałby zmiatać.

– Z tego, co wiem, nikt cię nie pytał o zdanie – odparła Beate ciągle czerwona. – Ale skoro tak to czujesz, to pozwól, że posłużę się przykładem, który z pewnością do ciebie trafi.

– Hej, hej! – Skarre uniósł dłonie na wysokość piersi. – To nie był żaden przytyk osobisty, Lønn.

– Po śmierci występuje u ludzi, jak wiadomo, *rigor mortis* – ciągnęła Beate pozornie nieprzejęta, ale Harry zauważył, że ma rozszerzone nozdrza. – Mięśnie ciała, również twarzy, sztywnieją. To taki sam efekt jak napinanie mięśni. I jaka jest typowa reakcja bliskich identyfikujących zwłoki?

W ciszy słychać było tylko szum projektora. Harry już się uśmiechał.

– Nie rozpoznają ich – rozległ się mocny, czysty głos. Harry nie zorientował się, kiedy Gunnar Hagen wszedł do sali. – Nie jest to wcale rzadki problem na wojnie, kiedy trzeba zidentyfikować poległych żołnierzy. Są przecież w mundurach i często się zdarza, że nawet koledzy z tego samego oddziału muszą sprawdzać identyfikator, żeby mieć pewność.

– Dziękuję – powiedziała Beate. – To pomogło twojej zdolności rozumienia, Skarre?

Skarre wzruszył ramionami, a Harry usłyszał czyjś głośny śmiech. Beate wyłączyła projektor.

– Plastyczność czy mobilność twarzy to cecha bardzo indywidualna. Trochę można wytrenować, reszta najprawdopodobniej jest uwarunkowana genetycznie. Niektórzy nie potrafią odróżnić prawej strony twarzy od lewej, inni dzięki treningowi uczą się operować wszystkimi mięśniami niezależnie od siebie, tak jak pianista. I właśnie to nazywa się hipermobilnością albo *visage du pantomime*. Znane przypadki wskazują, że jest to cecha w wysokim stopniu dziedziczna. Zdolności te człowiek rozwija w sobie, będąc bardzo młodym albo wręcz dzieckiem, a ekstremalnemu stopniowi hipermobilności towarzyszą zwykle zaburzenia osobowości, lub też cecha pojawia się pod wpływem bardzo silnej traumy w okresie dorastania.

– Chcesz powiedzieć, że mamy do czynienia z szaleńcem? – spytał Gunnar Hagen.

– Ja się specjalizuję w twarzach, a nie w psychologii – odparła Beate. – Ale w każdym razie nie możemy tego wykluczyć. Harry?

– Dziękuję, Beate. – Harry wstał. – No, teraz już trochę więcej wiecie, na czym stoimy, kochani. Jakieś pytania? Proszę, Li?

– Jak złapiemy taką kreaturę?

Harry i Beate wymienili spojrzenia. Hagen chrząknął.

– Nie mam pojęcia – powiedział Harry. – Wiem tylko, że to się nie skończy, dopóki on nie zrobi swojej roboty. Albo my naszej.

Po powrocie do swojego pokoju Harry zastał wiadomość od Rakel. Oddzwonił do niej od razu, żeby przestać się zastanawiać.

– Jak ci się wiedzie? – spytała.

– Jak cholera – odparł Harry.

Rakel się roześmiała. Tym swoim miękkim dźwięcznym śmiechem, za który kiedyś gotów był oddać wszystko, byle tylko

móc słyszeć go co dzień. Wciąż tak działał.

– Sam jesteś?

– Nie. Halvorsen jak zawsze siedzi i słucha.

Halvorsen oderwał się od przesłuchań świadków z Egertorget i wykrzywił.

– Oleg potrzebuje rozmowy z kimś – powiedziała Rakel.

– Ach tak?

– Uf! Niezręcznie się wyraziłam. Nie z kimś. On potrzebuje rozmowy z tobą.

– Potrzebuje?

– Kolejna poprawka. Mówił, że chce z tobą porozmawiać.

– I poprosił, żebyś do mnie zadzwoniła?

– Nie. Tego by nigdy nie zrobił.

– Rzeczywiście. – Harry uśmiechnął się na samą myśli. – Więc...

– Znalazłbyś czas któregoś wieczoru?

– Jasne.

– To dobrze. Mógłbyś wpaść i zjeść z nami obiad.

– Z nami?

– Z Olegiem i ze mną.

– Mhm.

– Wiem, że spotkałeś się z Mathiasem...

– Owszem – odparł Harry prędko. – Wygląda na miłego faceta.

– No tak.

Harry nie wiedział, jak chce i jak powinien tłumaczyć sobie jej ton.

– Jesteś tam jeszcze?

– Jestem. Posłuchaj, mamy tu zabójstwo, więc trochę się u nas gotuje. Mogę się zorientować i zadzwonić, kiedy znajdę odpowiedni dzień?

Milczenie.

– Rakel?

– Tak, dobrze. A co poza tym?

Pytanie było tak nie na miejscu, że Harry przez moment się zastanawiał, czy nie kryła się za tym ironia.

– Dni płyną – powiedział.

– Nic nowego nie wydarzyło się ostatnio w twoim życiu?

Odetchnął głęboko.

– Muszę pędzić, Rakel. Zadzwonię, jak będę wolny. Pozdrów ode mnie Olega, dobrze?

– Dobrze.

Harry odłożył słuchawkę.

– I co? – spytał Halvorsen. – Co to za „odpowiedni dzień"?

– Tylko obiad. Coś z Olegiem. Po co Robert pojechał do Zagrzebia?

Halvorsen już miał coś powiedzieć, ale rozległo się ciche pukanie. Odwrócili się, w drzwiach stał Skarre.

– Właśnie dzwoniła policja z Zagrzebia. Kartę kredytową Stankicia wydano na podstawie fałszywego paszportu.

– Mhm – mruknął Harry, odchylając się na krześle z rękami za głową. – Co Robert robił w Zagrzebiu, Skarre?

– Wiecie, co o tym myślę.

– Narkotyki – dopowiedział Halvorsen.

– Czy ty nie wspominałeś o jakiejś dziewczynie, która pytała o Roberta we Freteksie na Kirkeveien, Skarre? O dziewczynie, którą personel w sklepie uważał za Jugosłowiankę?

– Owszem. Tamtejsza szefowa...

– Dzwoń do Freteksu, Halvorsen.

W pokoju zapadła cisza, kiedy Halvorsen przerzucał książkę telefoniczną i wybierał numer. Harry zaczął bębnić palcami o stół, zastanawiając się, jak powinien sformułować, że jest zadowolony

ze Skarrego. Chrząknął, ale w tym momencie Halvorsen podał mu słuchawkę.

Sierżant major Rue słuchała, mówiła i działała. Gdy Harry dwie minuty później odłożył słuchawkę, stwierdził, że to bardzo skuteczna osoba. Znów chrząknął.

– Dziewczynę zapamiętał jeden z jej chłopaków z paragrafem dwanaście, Serb. Wydaje mu się, że ma na imię Sofia, ale nie jest pewien. Za to z całą pewnością pamięta, że pochodzi z Vukovaru.

Harry zastał Jona w mieszkaniu Roberta na łóżku, z Biblią rozłożoną na brzuchu. Wyglądał tak, jakby miał za sobą nieprzespaną noc i wydawał się zalękniony. Harry zapalił papierosa. Usiadł na delikatnym taborecie i spytał, co według Jona Robert mógł robić w Zagrzebiu.

– Nie mam pojęcia. Nic mi o tym nie mówił. Może to miało związek z tym tajemniczym projektem, na który pożyczyłem mu pieniądze?

– No dobrze. A wiesz coś o tym, żeby miał dziewczynę? Młodą Chorwatkę, której na imię Sofia?

– Sofia Miholjec? Żartujesz!

– Właściwie nie. To znaczy, że wiesz, kto to jest?

– Sofia mieszka w jednej z naszych kamienic na Jacob Aalls gate. Jej rodzina była wśród chorwackich uchodźców z Vukovaru, których komandor sprowadził tutaj. Ale Sofia... Sofia ma dopiero piętnaście lat.

– Może po prostu podkochiwała się w Robercie? Młoda dziewczyna, przystojny starszy chłopak. Nie ma w tym nic aż tak niezwykłego.

Jon chciał coś powiedzieć, ale zrezygnował.

– Sam mówiłeś, że Robert lubił młode dziewczyny – stwierdził Harry.

Jon wpatrywał się w podłogę.

– Mogę ci podać adres tej rodziny, będziesz mógł ją zapytać.

– Dobrze. – Harry spojrzał na zegarek. – Potrzebujesz czegoś?

Jon się rozejrzał.

– Powinienem zajrzeć do swojego mieszkania. Zabrać trochę ubrań i przybory toaletowe.

– Podrzucę cię. Tylko włóż kurtkę i czapkę, bo zrobiło się jeszcze zimniej.

Jazda zajęła im dwadzieścia minut. Po drodze minęli stary, zrujnowany stadion Bislett, który miał zostać zburzony, i restaurację U Schrødera, pod którą stała jakaś znajoma postać w grubym wełnianym płaszczu i czapce. Harry zaparkował nieprawidłowo przed samą bramą Gøteborggata cztery, weszli do środka i stanęli przy windzie. Harry na czerwonym wyświetlaczu zobaczył, że winda stoi na czwartym. Na piętrze, na którym mieściło się mieszkanie Jona. Zanim zdążyli nacisnąć guzik przywołujący windę, usłyszeli, że ruszyła. A po zmieniających się cyfrach poznali, że jedzie w dół. Harry wytarł dłonie o uda.

– Nie lubisz wind – stwierdził Jon.

Harry spojrzał na niego zaskoczony.

– To widać?

Jon się uśmiechnął.

– Ojciec też nie lubi. Chodź, wejdziemy po schodach.

Kiedy byli już dość wysoko, Harry usłyszał hałas otwierających się drzwi windy.

Otworzyli mieszkanie kluczem. Harry stanął w drzwiach, a Jon przyniósł z łazienki kosmetyczkę.

– Dziwne – powiedział, marszcząc czoło. – Mam takie wrażenie, jakby ktoś tu był.

– To technicy, szukali kul – przypomniał Harry.

Jon zniknął w sypialni i wrócił stamtąd z torbą.

– Taki dziwny zapach – stwierdził.

Harry rozejrzał się. Przy zlewie stały dwie szklanki, ale bez śladów mleka czy innego widocznego płynu, który coś by zdradzał. Nie było żadnych mokrych plam ani kałuży z topniejącego śniegu na podłodze, a jedynie kilka jasnych drzazg koło biurka, pochodzących prawdopodobnie z frontu szuflady, który wyglądał na pęknięty.

– No, chodźmy stąd – powiedział Harry.

– Dlaczego mój odkurzacz tu stoi? – zdziwił się Jon. – Twoi ludzie go używali?

Harry dobrze znał procedury kryminalistyczne i wiedział, że żadna z nich nie obejmuje użycia odkurzacza znalezionego w miejscu zdarzenia.

– Ktoś jeszcze ma klucze do tego mieszkania? – spytał.

Jon się wahał.

– Thea. Moja dziewczyna. Ale jej nigdy nie wpadłoby do głowy dobrowolnie tu odkurzać.

Harry przyglądał się drzazgom na podłodze. Pierwszym drobinom, jakie powinien pochłonąć odkurzacz. Podszedł do urządzenia. Z plastikowej rury założonej na wąż zdjęto końcówkę. Ciarki przebiegły mu po plecach. Zajrzał do okrągłego czarnego wlotu. Przeciągnął palcem wokół brzegu i spojrzał na opuszkę.

– Co to jest? – spytał Jon.

– Krew – odparł Harry. – Sprawdź, czy drzwi są zamknięte.

Już wiedział. Wiedział, że stoi w progu pokoju, którego nienawidził, ale nigdy nie potrafił trzymać się od niego z daleka. Zdjął plastikową pokrywę odkurzacza. Wyciągnął żółty worek na kurz, myśląc, że oto prawdziwy *House of Pain*. Miejsce,

w którym zawsze musiał wykorzystywać swoją zdolność wczucia się w zło. Zdolność, o której coraz częściej myślał, że za bardzo się rozwinęła.

– Co robisz? – spytał Jon.

Worek był tak pełny, że aż pękaty. Harry rozerwał gruby, miękki papier. Chmura delikatnego czarnego kurzu podniosła się jak dżin z butelki i wzbiła pod sufit. Jon i Harry wpatrywali się w zawartość worka widoczną teraz na podłodze.

– Łaski – szepnął Jon.

18 PIĄTEK, 18 GRUDNIA. ZSYP

– O Panie Boże! – jęknął Jon, ręką szukając krzesła. – Co tu się działo? To przecież... To...

– Tak – powiedział Harry, który kucał przy odkurzaczu i koncentrował się na tym, żeby równo oddychać. – To jest oko.

Gałka oczna wyglądała jak zakrwawiona, wyrzucona na brzeg meduza. Do białej powierzchni przylgnął kurz. Na spodzie Harry rozróżnił zaczepy mięśni i grubsze, białe, przypominające robaka, wiązanie, będące nerwem wzrokowym.

– Zastanawiam się, w jaki sposób przedostało się do worka przez filtr, jeśli oczywiście zostało w ten sposób wessane.

– Usunąłem filtr – powiedział Jon drżącym głosem. – Bez niego lepiej ciągnie.

Harry długopisem wyjętym z kieszeni kurtki ostrożnie obrócił oko. Miało miękką konsystencję, ale z twardym jądrem. Przysunął się tak, żeby światło padało na źrenicę, dużą, czarną i rozlaną, ponieważ mięśnie oka nie trzymały jej już w okrągłej formie. Jasna, niemal turkusowa tęczówka lśniła niczym barwne smużki

w szklanej kulce. Harry słyszał, że Jon za jego plecami gwałtownie zaczerpuje powietrza.

– Niespotykanie jasna niebieska tęczówka – stwierdził Harry. – Znasz kogoś takiego?

– Nie... ja... nie wiem.

– Posłuchaj, Jon. – Harry nie odwrócił się. – Nie wiem, jak długo ćwiczyłeś kłamanie, ale niezbyt dobrze ci wychodzi. Nie mogę cię zmusić do opowiadania pikantnych szczegółów o twoim bracie, ale to... – Harry wskazał na zakrwawioną gałkę oczną. – Zmuszę cię, żebyś mi powiedział, kto to jest.

Teraz się odwrócił. Jon siedział na jednym z dwóch kuchennych taboretów ze spuszczoną głową.

– Ja... ona... – Głos miał zduszony od płaczu.

– A więc to jakaś ona – pomógł mu Harry.

Jon kiwnął głową, ale wciąż jej nie podnosił.

– Nazywa się Ragnhild Gilstrup. Nikt inny nie ma takich oczu.

– A jak jej oko tu trafiło?

– Nie mam pojęcia. Ona... my... zwykle się spotykaliśmy tutaj. Miała klucz do mieszkania. Co ja takiego zrobiłem, Harry? Dlaczego to się dzieje?

– Nie wiem, Jon. Ale mam tu robotę do zrobienia i najpierw musimy gdzieś cię umieścić.

– Mogę wrócić na Ullevålsveien.

– Nie! – zawołał Harry. – Masz klucze do mieszkania Thei?

Jon kiwnął głową.

– No dobrze, idź tam. Zamknij dobrze drzwi i nie otwieraj nikomu oprócz mnie.

Jon ruszył do drzwi, ale się zatrzymał.

– Harry?

– Słucham.

– Czy to o Ragnhild i o mnie musi wyjść na jaw? Zerwałem z nią, kiedy zacząłem spotykać się z Theą.

– Więc chyba nie ma w tym nic groźnego?

– Ty nic nie rozumiesz. Ragnhild Gilstrup była mężatką.

Harry z namysłem pokiwał głową.

– Ósme przykazanie?

– Dziewiąte.

– Nie mogę utrzymywać tego w tajemnicy, Jon.

Jon popatrzył na Harry'ego ze zdumieniem. W końcu wolno pokręcił głową.

– Co się stało?

– Nie mogę uwierzyć w to, co powiedziałem. Ragnhild nie żyje, a ja myślę jedynie o ratowaniu własnej skóry.

W oczach stanęły mu łzy. Przez moment bezbronności Harry odczuł wyłącznie czyste współczucie, nie to współczucie, które czuł dla ofiary lub krewnych, tylko takie, które przez rozdzierającą serce chwilę pozwala ujrzeć własne żałosne człowieczeństwo.

Sverre Hasvold czasami żałował, że zrezygnował z pływania w zagraniczne rejsy i zamienił je na pracę dozorcy w nowiutkiej kamienicy na Gøteborggata cztery. Szczególnie w takie mroźne dni jak ten, gdy lokatorzy dzwonili ze skargą, że zsyp znów się zatkał. Zdarzało się to co najmniej raz w miesiącu, a powód był prosty: otwory do wrzucania śmieci na każdym piętrze miały tę samą średnicę co sam szyb. O ileż lepsze były stare kamienice! Nawet w latach trzydziestych, kiedy pojawiły się pierwsze zsypy, architekci mieli dość rozumu, żeby budować otwory o mniejszej średnicy, dzięki temu ludzie nie wciskali do środka rzeczy klinujących się w samym szybie. Teraz myślało się jedynie o wyglądzie, stylu i świetle.

Hasvold otworzył klapę zsypu na trzecim piętrze, wsunął głowę do środka i zapalił latarkę. Zajaśniały plastikowe worki. Stwierdził, że problem, jak zwykle, tkwi między parterem a pierwszym piętrem, gdzie szyb odrobinę się zwężał.

Otworzył kluczem piwniczne pomieszczenie, do którego wpadały śmieci, i zapalił światło. Panowały tu taki chłód i wilgoć, że okulary zaszły mu parą. Zadrżał z zimna, ale sięgnął po niemal trzymetrowy żelazny drąg, który leżał pod ścianą, służący właśnie do tego celu. Nabił na niego nawet plastikową piłkę, żeby nie dziurawić worków ze śmieciami, gdy przepychał szyb. Ze zsypu kapało, spadające krople głośno uderzały o plastik worków leżących już w kontenerze. W regulaminie kamienicy wyraźnie było napisane, że zsypu należy używać wyłącznie do wyrzucania suchych śmieci w starannie zawiązanych workach. Ale ludzie, nawet ci gorliwi chrześcijanie, którzy tutaj mieszkali, nie zwracają uwagi na takie rzeczy.

Zachrzęściły skorupki jajek i kartony po mleku, kiedy wszedł do kontenera i zbliżył się do okrągłego otworu w suficie. Zerknął do dziury, ale zobaczył jedynie ciemność. Wsunął drąg, spodziewając się, że jak zwykle natknie się na miękką masę worków ze śmieciami, ale drąg natrafił na coś twardego. Dźgnął mocniej. To coś się nie poruszyło. Najwyraźniej całkiem mocno się zaklinowało.

Włączył latarkę, którą miał przy pasku, i skierował snop światła w głąb zsypu. Kropla spadła mu prosto na okulary, zaklął oślepiony. Zdjął okulary i wytarł je o niebieski fartuch, latarkę trzymając pod pachą. Przesunął się trochę i mrużąc oczy krótkowidza, spojrzał w górę. Zadrżał. Poświecił dokładniej, a wyobraźnia już zaczęła pracować. Serce zwolniło. Z niedowierzaniem włożył okulary. Serce całkiem przestało bić.

Żelazny drąg z szorstkim odgłosem przesunął się wzdłuż ściany i z brzękiem uderzył w podłogę. Sverre Hasvold zorientował się, że siedzi wśród worków ze śmieciami. Ale latarka wypadła mu z ręki i zginęła gdzieś między odpadkami. Kolejna kropla uderzyła w plastikowy worek między jego nogami. Cofnął się, jak przed żrącym kwasem. Zdołał się jakoś podnieść i wybiegł na zewnątrz.

Potrzebował powietrza. Na morzu widział różne rzeczy, ale nic takiego jak to. To było... nienormalne. Chore. Pchnął drzwi frontowe i wytoczył się na chodnik, nie zwracając uwagi na stojących przed domem dwóch wysokich mężczyzn. Oszołomił go mróz. Oparł się o ścianę. Było mu słabo i brakowało tchu. Wyjął telefon komórkowy i bezradnie na niego patrzył. Już kilka lat temu zmienili numery telefonów alarmowych na takie, które łatwiej zapamiętać, ale on oczywiście pamiętał tylko te poprzednie. Nagle dostrzegł tych dwóch mężczyzn. Jeden rozmawiał przez komórkę, w drugim rozpoznał lokatora kamienicy.

– Przepraszam, nie wiecie, jak się dzwoni na policję? – spytał. Usłyszał, że głos ma tak zachrypnięty, jakby długo krzyczał.

Lokator spojrzał na tego drugiego, który przez chwilę przyglądał się dozorcy, a potem powiedział do telefonu:

– Chwileczkę. Bardzo możliwe, że niepotrzebny nam już Ivan z psem. – Opuścił telefon i zwrócił się do Sverrego Hasvolda: – Komisarz Hole z policji w Oslo. Proszę pozwolić, że zgadnę...

W mieszkaniu przy Vestkanttorget Tore Bjørgen wyglądał przez okno sypialni na podwórze. Na zewnątrz panowała taka sama cisza jak w środku. Nie było dzieci hałaśliwie bawiących się na śniegu. Pewnie już za ciemno i za zimno. Zresztą minęło sporo lat, odkąd ostatnio widział dzieci brykające zimą na dworze. Z salonu dobiegał głos prezentera wiadomości, zapowiadającego rekordowe mrozy, w związku z którymi minister spraw społecznych zamierzał podjąć

dodatkowe kroki mające sprowadzić żebraków i bezdomnych pod dach, a samotne starsze osoby zachęcić do podkręcenia ciepła w mieszkaniach. Potem poinformował, że policja poszukuje obywatela chorwackiego o nazwisku Christo Stankić. I że za informacje, które doprowadzą do jego zatrzymania, wyznaczono nagrodę. Nie podał sumy, ale Tore Bjørgen założył, że na pewno będzie większa niż koszt jednego biletu lotniczego i trzech tygodni pobytu w Kapsztadzie.

Oczyścił nozdrza i wtarł resztki kokainy w dziąsła, usuwając tym samym ostatnie pozostałości smaku pizzy, który wciąż czuł w ustach. Szefowi Biscuit powiedział, że boli go głowa, i wyszedł wcześniej. Christo czy Mike, bo takie imię mu podał, czekał na niego na ławce na Vestkanttorget, tak jak się umówili. Gościowi najwyraźniej smakowała mrożona pizza Grandiosa, bo rzucił się na nią, nie czując smaku piętnastu miligramów stesolidu w postaci sproszkowanej pigułki.

Tore zerknął na uśpionego Christa, który leżał nagi na brzuchu w jego łóżku. Oddychał równo i głęboko mimo knebla z uzdą. Nic nie wskazywało na to, żeby się budził, kiedy Tore przygotowywał scenografię. Tabletki na uspokojenie kupił od zdesperowanego ćpuna na ulicy tuż pod Biscuitem za piętnaście koron sztuka. Reszta też nie kosztowała za dużo. Kajdanki na ręce i nogi, knebel z uzdą i błyszczące kulki analne na sznurku wchodziły w skład tak zwanego zestawu dla początkujących, który kupił w internecie na stronie Lekshop.com za jedyne pięćset dziewięćdziesiąt dziewięć koron.

Kołdra leżała na podłodze, a skóra Christa lśniła w świetle migoczących płomieni świec porozstawianych w pokoju. Ciało układało się w odwróconą literę Y na tle białego prześcieradła. Złączone ręce były przykute do wezgłowia solidnego mosiężnego

łóżka, natomiast nogi rozłożone i przymocowane każda do swojego słupka na nogach. Pod brzuch Christa Tore wcisnął poduszkę, żeby unieść mu pośladki.

Zdjął wieczko pudełka z wazeliną, nabrał porcję palcem wskazującym, a drugą ręką rozsunął pośladki Christa. I znów pomyślał o tym samym. O tym, że to gwałt. Trudno to było nazwać inaczej. I już samo słowo „gwałt" wywołało w nim podniecenie. Co prawda nie był wcale pewien, czy Christo aż tak bardzo sprzeciwiałby się takim igraszkom. Dawał niejasne sygnały. Ale mimo wszystko zabawa z mordercą była niebezpieczna. Cudownie niebezpieczna. Ale nie bezsensowna. Przecież tego człowieka i tak czekało dożywocie.

Spojrzał na własną erekcję, potem wyjął kulki analne z pudełka i mocno pociągnął za oba końce cienkiej, ale mocnej, nylonowej żyłki, na której kule tkwiły jak korale: pierwsze były małe, ale stopniowo się powiększały, największa miała rozmiar piłki do golfa. Zgodnie z instrukcją obsługi należało umieścić je w odbycie, a następnie powoli wyciągać, aby uzyskać maksymalną stymulację nerwów we wrażliwym otworze. Kule miały różne kolory. Ktoś, kto nie wiedziałby do czego służą, mógłby przypuszczać, że to coś zupełnie innego. Tore uśmiechnął się do swojego zniekształconego odbicia w największej. Ojciec pewnie by się zdziwił, rozpakowując gwiazdkowy prezent od Torego, który słał świąteczne pozdrowienia z Kapsztadu i wyrażał nadzieję, że jego podarunek ozdobi choinkę. Ale nikt z rodziny w Vegårdshei nie miałby zielonego pojęcia, co to za kule błyszczą na choince, kiedy oni śpiewają kolędy i tańczą wokół drzewka, z obowiązku trzymając się za ręce. Ani gdzie te kule wcześniej były.

Harry sprowadził Beate i jej dwoje asystentów do piwnicy. Dozorca wpuścił ich do pomieszczenia ze śmieciami.

Beate miała nową asystentkę, dziewczynę, której nazwisko Harry pamiętał dokładnie przez trzy sekundy.

– Tam, w górze – powiedział.

Technicy, ubrani w stroje przypominające białe kombinezony pszczelarzy, ostrożnie stanęli pod otworem zsypu, snopy światła z latarek czołówek zniknęły wśród ciemności. Harry obserwował nową asystentkę, czekał na reakcję na jej twarzy. Kiedy się pojawiła, przyszedł mu na myśl koralowiec, który odruchowo się zamyka, czując dotyk palców nurka. Beate ledwie zauważalnie pokręciła głową, jak hydraulik trzeźwo oceniający trochę większe od przeciętnej pęknięcie rury pod wpływem mrozu.

– Enukleacja – odezwała się. Jej głos odbił się echem w ścianie szybu. – Zapiszesz, Margaret?

Asystentka oddychała głośno, szukając długopisu i notatnika pod białym kombinezonem.

– O co chodzi? – spytał Harry.

– Lewa gałka oczna została usunięta. Margaret?

– Słyszę.

– Kobieta, wisi głową w dół, prawdopodobnie zaklinowana w szybie zsypu, lekko krwawi z oczodołu, od wewnętrznej strony widzę białe smugi, najprawdopodobniej wnętrze czaszki prześwitujące przez tkankę. Krew ciemnoczerwona, czyli że uległa koagulacji jakiś czas temu. Patolog sprawdzi temperaturę i stopień stężenia, kiedy przyjdzie. Za szybko?

– Nie, w porządku – odparła Margaret.

– Znaleźliśmy ślady krwi przy otworze zsypu na czwartym piętrze, tym samym, na którym znaleziono oko, więc pewnie zwłoki wrzucono właśnie tam. Otwór jest wąski i stąd widać, że najprawdopodobniej prawy bark został wyrwany ze stawu. Mogło się to stać, gdy ciało wciskano do otworu lub w wyniku

zaklinowania. Trudno to stwierdzić z pewnością pod takim kątem, pod jakim stoję, ale wydaje mi się, że widzę zasinienia na szyi, mogące wskazywać na to, że została uduszona. Patolog sprawdzi bark i określi przyczynę zgonu. Niewiele więcej da się tu zrobić. Bardzo proszę, Gilberg.

Beate odsunęła się na bok, a jej asystent, mężczyzna, wielokrotnie rozświetlił szyb fleszem.

– Co to jest to coś żółto-białe w oczodole? – spytał.

– Tłuszcz – odpowiedziała Beate. – Sprzątnij kontener, poszukaj rzeczy, które mogą należeć do ofiary albo do zabójcy. Potem funkcjonariusze czekający na zewnątrz pomogą ci ją ściągnąć. Margaret, ty pójdziesz ze mną.

Wyszli na korytarz, Margaret podeszła do windy i wcisnęła guzik.

– Pójdziemy po schodach – rzuciła Beate lekko.

Margaret spojrzała na nią zdziwiona, ale ruszyła za dwójką starszych kolegów.

– Niedługo przyjedzie jeszcze troje moich ludzi – oświadczyła Beate, jakby w odpowiedzi na niewypowiedziane pytanie Harry'ego. Mimo że długonogi Harry pokonywał schody po dwa stopnie, drobna dziewczyna dotrzymywała mu kroku. – Jacyś świadkowie? – spytała.

– Na razie żadnych – odparł Harry. – Ale robimy rundę. Trzej funkcjonariusze dzwonią po kolei do wszystkich mieszkań w kamienicy, później popytają w sąsiednich domach.

– Zaopatrzeni w zdjęcie Stankicia?

Harry zerknął na nią, żeby sprawdzić, czy w pytaniu kryje się ironia. Trudno to było stwierdzić.

– Jakie było twoje pierwsze wrażenie? – spytał Harry.

– Mężczyzna.

– Dlatego że zabójca musiał być silny, żeby ją wrzucić do zsypu?

– Być może.

– Coś jeszcze?

– Harry, czy my mamy wątpliwości, kto to zrobił? – westchnęła.

– Tak, Beate. Mamy wątpliwości. Z zasady mamy wątpliwości, dopóki nie wiemy na pewno.

Harry odwrócił się do Margaret, która już się zdyszała.

– A twoje pierwsze wrażenie?

– Co?

Skręcili właśnie w korytarz na czwartym piętrze. Pod drzwiami mieszkania Jona Karlsena stał korpulentny mężczyzna w tweedowym garniturze, widocznym pod rozpiętym tweedowym płaszczem. Widać było, że czeka na nich.

– Ciekaw jestem, co czułaś, kiedy weszłaś do mieszkania – wyjaśnił Harry. – I kiedy zajrzałaś do zsypu.

– Co czułam? – powtórzyła zaskoczona Margaret.

– Tak, co czułaś? – huknął Ståle Aune, wyciągając rękę, którą Harry natychmiast ujął. – Słuchaj pilnie i ucz się, kochana, bo to słynna ewangelia Holego. Zanim wkroczysz na miejsce zbrodni, powinnaś opróżnić głowę ze wszystkich myśli, zmienić się w nieznające języka nowo narodzone dziecko i otworzyć się na święte pierwsze wrażenie. Na pierwsze ważne sekundy, które są twoją wielką i jedyną szansą dostrzeżenia tego, co się wydarzyło, jeszcze przed poznaniem jakichkolwiek faktów. Brzmi to trochę jak wywoływanie duchów, prawda? Świetny strój, Beate. A kim jest twoja czarująca koleżanka?

– To Margaret Svendsen.

– Ståle Aune – przedstawił się mężczyzna, ujął dłoń Margaret w rękawiczce i pocałował ją. – Mój ty świecie, masz smak gumy, moja droga!

– Aune to psycholog – powiedziała Beate. – Zwykle nam pomaga.

– Zwykle p r ó b u j e wam pomóc – poprawił ją Aune. – Psychologia to, niestety, nauka, która wciąż jest w powijakach, a wartość jej twierdzeniom będzie można przypisać dopiero za jakieś pięćdziesiąt do stu lat. No a jaka jest twoja odpowiedź na pytanie komisarza Holego, moja droga?

Margaret wzrokiem szukała pomocy u Beate.

– Ja... nie wiem. Oczywiście trochę wstrętne było to z okiem.

Harry otworzył drzwi.

– Wiesz, że nie znoszę widoku krwi – ostrzegł go Aune.

– Myśl o tym jak o szklanym oku. – Harry odsunął się na bok. – Chodźcie po folii i niczego nie dotykajcie.

Aune ostrożnie wkroczył na ścieżkę z czarnego plastiku biegnącą po podłodze. Przykucnął przy oku wciąż leżącym na kupce kurzu obok odkurzacza. Pojawiła się na nim szara błona.

– To, zdaje się, nazywa się enukleacja – odezwał się Harry.

Aune uniósł brew.

– Przeprowadzona odkurzaczem przyłożonym do oka?

– Odkurzaczem nie da się wyssać oka – stwierdził Harry. – Zapewne mógł unieść je na tyle, żeby pod spód włożyć dwa palce. Mięśnie i nerw wzrokowy są solidne.

– Czego ty nie wiesz, Harry?

– Aresztowałem kiedyś kobietę, która utopiła swoje dziecko w wannie. W areszcie wyrwała sobie oko. Lekarz trochę wprowadził mnie w technikę.

Usłyszeli, że Margaret ciężko oddycha.

– Usunięcie oka samo w sobie nie jest śmiertelne – powiedział Harry. – Beate przypuszcza, że ta kobieta mogła zostać uduszona. Jaka jest twoja pierwsza myśl?

– Oczywiście zrobiła to osoba w stanie zaburzenia emocjonalnego lub umysłowego – odparł Aune. – Okaleczenie wskazuje na niekontrolowany gniew. Rzecz jasna, sprawca mógł wyrzucić zwłoki do zsypu na śmieci z przyczyn praktycznych...

– Raczej nie – przerwał mu Harry. – Jeśli chciał, żeby ciało nie zostało znalezione przez jakiś czas, lepiej było zostawić je w pustym mieszkaniu.

– W takim wypadku podobne zachowanie jest działaniem mniej lub bardziej symbolicznym.

– Mhm. Usunięcie oka i potraktowanie reszty ciała jak odpadków?

Harry spojrzał na Beate.

– To nie wygląda na profesjonalistę.

Aune wzruszył ramionami.

– Można chyba sobie wyobrazić, że to rozzłoszczony profesjonalny zabójca.

– Profesjonaliści z reguły mają swoje metody, w które wierzą. Metodą Christa Stankicia było do tej pory strzelanie do ofiar.

– Może ma większy repertuar – powiedziała Beate. – Albo ofiara zaskoczyła go w mieszkaniu.

– Może nie chciał strzelać, żeby nie alarmować sąsiadów – odezwała się Margaret.

Wszyscy troje się do niej odwrócili. Uśmiechnęła się przerażona.

– Chodzi mi o to, że... może potrzebował spokoju w mieszkaniu. Może czegoś szukał.

Harry zauważył, że Beate nagle zaczęła głęboko oddychać przez nos i pobladła bardziej niż zwykle.

– Jak to wszystko brzmi? – spytał Aunego.

– Jak psychologia – odparł Aune. – Mnóstwo pytań, a w odpowiedzi tylko hipotezy.

Po wyjściu z mieszkania Harry spytał Beate, czy coś jest nie tak.

– Trochę mi się zrobiło niedobrze – wyjaśniła.

– Nie pozwalam, żebyś się akurat teraz rozchorowała. Jasne?

Tajemniczo uśmiechnęła się w odpowiedzi.

Obudził się, otworzył oczy i zobaczył światło na pomalowanym na biało suficie. Ciało i głowa bolały, było mu zimno. Miał coś w ustach, a kiedy próbował się poruszyć, zrozumiał, że jest przywiązany. Uniósł głowę. W lustrze w nogach łóżka wśród blasku migoczących świec zobaczył, że jest nagi. Miał też coś na głowie. Coś czarnego, co wyglądało jak uzda dla konia. Jeden z rzemieni przechodził przez środek twarzy, łącząc się z czarną piłką, która blokowała mu usta. Ręce miał skute kajdankami, stopy czymś czarnym, co wyglądało jak mankiety. Zapatrzył się w lustro. Na prześcieradle między nogami widać było kawałek żyłki znikającej między pośladkami, a na brzuchu miał coś białego. Wyglądało jak sperma. Z powrotem opuścił głowę na poduszkę i zamknął oczy. Chciał krzyczeć, ale wiedział, że piłka w ustach skutecznie stłumi wszelkie próby.

Usłyszał głos z sąsiedniego pokoju.

– Halo, policja?

Szarpnął się na łóżku, próbował przyciągnąć ręce do siebie i jęknął z bólu, kiedy metal wbił mu się w ciało pod kciukiem, rozcinając skórę. Wykręcił dłonie, palcami chwytając łańcuch łączący kajdanki. Kajdanki. Stal zbrojeniowa. Ojciec nauczył go, że materiał budowlany niemal zawsze wytwarzano tak, by wytrzymywał obciążenie w jednym kierunku, a sztuka wyginania żelaza polegała na umiejętności stwierdzenia, w którą stronę metal będzie stawiać najmniejszy opór. Łańcuch łączący kajdanki zrobiono po to, żeby nie dało się ich oderwać od siebie.

Słyszał głos mówiący coś do telefonu w salonie, potem nastąpiła cisza.

Przyłożył łańcuch w miejscu złączenia z kajdankiem do poprzeczki w ramie łóżka, ale zamiast ciągnąć, zaczął nim obracać. Po ćwierci obrotu ogniwo łańcucha się rozpięło. Spróbował rozgiąć je jeszcze bardziej, ale nie chciało ani drgnąć. Podjął kolejną próbę, ale dłonie się obsunęły.

– Halo? – rozległ się głos z salonu.

Odetchnął głęboko. Zamknął oczy i zobaczył ojca w koszuli z krótkimi rękawami i odsłoniętymi potężnymi przedramionami, nachylającego się nad prętami zbrojeniowymi na placu budowy i szepczącego do chłopca: „Odsuń od siebie wątpliwości, jest miejsce tylko na wolę. Żelazo nie posiada żadnej woli, dlatego zawsze przegrywa".

Tore Bjørgen niecierpliwie bębnił palcami o rokokowe lustro ozdobione perłowoszarymi muszlami. Właściciel sklepu z antykami powiedział mu, że rokoko to właściwie niepochlebne określenie wypaczonego baroku. Tore po pewnym czasie zrozumiał, że to było języczkiem u wagi, gdy podejmował decyzję o wzięciu kredytu, dwunastu tysięcy koron, bo tyle kosztowało lustro.

Centrala Policji skierowała go do Wydziału Zabójstw, ale tam nikt nie odbierał. Spróbował więc pogotowia policji. Z sypialni dochodziły jakieś odgłosy. Podzwanianie łańcucha o ramę łóżka. Najwyraźniej stesolid nie był dostatecznie skutecznym środkiem nasennym.

– Pogotowie policji, słucham. – Trochę przestraszył go głęboki, spokojny głos.

– No, chodzi mi... Ja w sprawie nagrody za... No, za tego faceta, co zastrzelił tego faceta z Armii Zbawienia.

– Z kim rozmawiam i skąd pan dzwoni?

– Jestem Tore i dzwonię z Oslo.

– A konkretniej?

Tore przełknął ślinę. Miał – z wielu powodów – zastrzeżony numer i wiedział, że teraz na wyświetlaczu pogotowia policji widać tylko „numer prywatny".

– Mogę wam pomóc. – Głos przybrał wyższy ton.

– Najpierw muszę poznać...

– Mam go tutaj. Przykutego.

– Pan kogoś przykuł?

– Przecież to zabójca, człowieku. Jest niebezpieczny. Na własne oczy widziałem go z pistoletem w restauracji. Nazywa się Christo Stankić. Widziałem nazwisko w gazecie.

Na drugim końcu na chwilę zapadła cisza, potem głos znów się rozległ, równie głęboki, lecz odrobinę bardziej poruszony:

– Proszę mówić spokojnie. Proszę powiedzieć, kim pan jest i gdzie pan jest. Zaraz przyjedziemy.

– A co z nagrodą?

– Jeżeli to doprowadzi do zatrzymania właściwej osoby, potwierdzę, że pan nam pomógł.

– I wtedy dostanę nagrodę od razu?

– Tak.

Tore zaczął myśleć. O Kapsztadzie. O mikołajach w palącym słońcu. W telefonie zatrzeszczało. Nabrał powietrza, żeby odpowiedzieć i spojrzał w swoje rokokowe lustro za dwanaście tysięcy koron. Uświadomił sobie jednocześnie trzy rzeczy. Że to nie w telefonie trzeszczało. Że kajdanki z zestawu dla początkujących kupione za zaliczeniem pocztowym za pięćset dziewięćdziesiąt dziewięć koron nie mogą być bardzo wysokiej jakości. I że najprawdopodobniej ostatnią Wigilię w życiu miał już za sobą.

– Halo – zniecierpliwił się głos w telefonie.

Tore Bjørgen chętnie by odpowiedział, ale cienka nylonowa żyłka z błyszczącymi kulami do złudzenia przypominającymi bombki na choinkę zamknęła mu dopływ powietrza, niezbędny, by struny głosowe wydały dźwięk.

19 PIĄTEK, 18 GRUDNIA. KONTENER

W samochodzie sunącym przez ciemność i zadymkę między wysokimi śnieżnymi zaspami siedziały cztery osoby.

– Østgård jest tutaj, w lewo – odezwał się Jon z tylnego siedzenia, na którym obejmował ramieniem skuloną Theę.

Halvorsen skręcił z szosy. Harry patrzył na porozrzucane na szczytach wzgórz w kępach drzew zagrody, które mrugały światłami jak latarnie morskie.

Kiedy Harry powiedział, że mieszkanie Roberta nie jest już bezpieczną kryjówką, Jon sam zaproponował Østgård i uparł się, że Thea musi pojechać z nim.

Halvorsen skręcił na podwórze między białym budynkiem mieszkalnym i czerwoną stodołą.

– Będziemy musieli zadzwonić do sąsiada i poprosić, żeby trochę nam odśnieżył – stwierdził Jon, gdy brnęli przez świeży śnieg w stronę domu.

– O nie! – zaprotestował Harry. – Nikt nie może się dowiedzieć, że tu jesteście. Nawet policja.

Jon podszedł do schodów budynku, odliczył pięć desek w ścianie i zanurzył rękę w śnieg.

– Mam – powiedział i podniósł do góry klucz.

Wydawało się, że wewnątrz jest jeszcze zimniej, jak gdyby malowane drewniane ściany zamarzły na lód, w którego otoczeniu ich głosy zdawały się trzaskać. Otupawszy śnieg z butów, weszli

do wielkiej kuchni, w której były olbrzymi stół, szafki kuchenne, ława do siedzenia i piecyk Jøtul w kącie.

– Zaraz napalę. – Jonowi z ust leciała para, rozcierał ręce. – Na pewno jest trochę drewna w ławie, ale będzie nam potrzeba więcej z drewutni.

– Mogę przynieść – zaofiarował się Halvorsen.

– Będziesz musiał odkopać ścieżkę. W komórce są dwie łopaty.

– Pójdę z tobą – mruknęła Thea.

Nagle śnieg przestał padać, przejaśniło się. Harry stanął przy oknie i paląc papierosa, obserwował, jak Halvorsen i Thea w białym świetle księżyca odrzucają świeży śnieg. Zatrzeszczało w piecu. Jon kucał zapatrzony w płomienie.

– Jak twoja dziewczyna przyjęła tę historię z Ragnhild Gilstrup? – spytał Harry.

– Wybacza mi – odparł. – Mówiłem już, że to było przed nią.

Harry zapatrzył się w żar papierosa.

– Wciąż nie masz żadnego pomysłu na to, co Ragnhild Gilstrup mogła robić w twoim mieszkaniu?

Jon pokręcił głową.

– Nie wiem, czy zwróciłeś uwagę, ale wyglądało na to, że dolna szuflada twojego biurka została wyłamana. Co tam miałeś?

Jon wzruszył ramionami.

– Rzeczy osobiste. Głównie listy.

– Miłosne? Na przykład od Ragnhild?

Jon się zarumienił.

– Ja... nie pamiętam. Większość wyrzuciłem, ale może zatrzymałem jeden albo dwa. Ta szuflada zawsze była zamknięta na klucz.

– Żeby Thea ich nie znalazła, kiedy będzie sama w mieszkaniu?

Jon wolno kiwnął głową.

Harry wyszedł na schody prowadzące na podwórze, ostatni raz zaciągnął się papierosem, wyrzucił go w śnieg i wyjął komórkę. Gunnar Hagen odebrał po trzecim dzwonku.

– Przeniosłem Jona Karlsena – powiedział Harry.

– Proszę dokładniej.

– Nie ma takiej potrzeby.

– Słucham?

– Jest w bezpieczniejszym miejscu, niż był. Halvorsen zostanie tu na noc.

– Gdzie, Hole?

– Tutaj.

Harry domyślał się, co zaraz nastąpi, ale na razie słuchał ciszy w telefonie. W końcu znów rozległ się głos Hagena, ściszony, ale w pełni wyraźny:

– Hole, twój przełożony właśnie zadał ci konkretne pytanie. Brak odpowiedzi będzie potraktowany jak odmowa wykonania rozkazu. Czy wyrażam się jasno?

Harry często żałował, że jest poskręcany właśnie tak, a nie inaczej, że brak mu tego społecznego instynktu przetrwania, jaki ma większość ludzi. Ale po prostu tego nie potrafił. Zwyczajnie nie potrafił.

– Dlaczego to takie ważne?

Głos Hagena trząsł się z wściekłości.

– Powiem, kiedy będziesz mógł mi zadawać pytania, Hole. Zrozumiano?

Harry czekał. I czekał. Aż w końcu kiedy usłyszał, że Hagen nabiera powietrza, odezwał się:

– Gospodarstwo Skansen.

– Co?

– Leży na wschód od Strømmen, przy poligonie policyjnym w Lørenskog.

– Aha – powiedział wreszcie Hagen.

Harry rozłączył się i wybrał kolejny numer, obserwując Theę, która stała oświetlona przez księżyc i wpatrywała się w wygódkę. Przestała odrzucać śnieg. Wydawała się jakby zamarznięta w dziwnej sztywnej pozycji.

– Skarre.

– Mówi Harry. Coś nowego?

– Nie.

– Żadnych cynków?

– Żadnych poważnych.

– Ale ludzie dzwonią?

– O rany, pewnie że tak. Załapali, że obiecano nagrodę. Moim zdaniem to zły pomysł, tylko mnóstwo dodatkowej pracy dla nas.

– No i co mówią?

– A co mogą mówić? Opisują twarze, ich zdaniem podobne. Najśmieszniejszy był facet, który zadzwonił na pogotowie policji i twierdził, że przykuł Stankicia do łóżka u siebie w domu. Pytał, czy to się kwalifikuje do nagrody.

Harry zaczekał, aż głośny śmiech Skarrego ucichnie.

– A jak sprawdzili, że tak nie jest?

– Nie musieli, odłożył słuchawkę. Najwyraźniej wariat. Twierdził, że widział Stankicia już wcześniej, z pistoletem w restauracji. A wy co robicie?

– My... Coś ty powiedział?

– Spytałem, co...

– Nie, to o Stankiciu z pistoletem.

– He, he, ludzie mają niezłą fantazję, prawda?

– Przełącz mnie do tej osoby z pogotowia policji, z którą rozmawiałeś.

– Ale...

– Już, Skarre!

Połączył Harry'ego z oficerem dyżurnym, z którym Harry zamienił trzy zdania i poprosił, żeby zaczekał.

– Halvorsen! – ryknął przez podwórze.

– Tak?

Halvorsen ukazał się w świetle księżyca przed stodołą.

– Jak się nazywał ten kelner, który w toalecie widział faceta z pistoletem całym w mydle?

– A jak ja mam to pamiętać?

– Pieprzę jak, tylko sobie przypomnij!

Nocną ciszę między ścianą domu a stodoły zakłócało echo.

– Jakiś Tore. Być może.

– Trafiony! Tore, właśnie takie imię podał przez telefon. A teraz przypomnij sobie nazwisko, kochany!

– Eee... Bjørg. Nie. Bjørang? Nie...

– Dalej, Lwie Jaszynie!

– Bjørgen. Tak, to to. Bjørgen.

– Zostaw łopatę! Będziesz mógł pojechać jak pirat drogowy.

Radiowóz patrolowy już czekał, kiedy Halvorsen i Harry dwadzieścia osiem minut później minęli Vestkanttorget i skręcili w Schives gate pod adres Torego Bjørgena, który oficer dyżurny dostał od kierownika sali w Biscuicie.

Halvorsen zatrzymał się na wysokości radiowozu i opuścił okno.

– Trzecie piętro. – Policjantka na przednim siedzeniu wskazała oświetlone okno w szarej fasadzie.

Harry wychylił się ponad Halvorsenem.

– Halvorsen i ja idziemy na górę. Jedno z was zostanie tutaj i będzie utrzymywać kontakt z centralą, a drugie pójdzie na tylne podwórze i przypilnuje kuchennych schodów. Macie w bagażniku jakąś broń, którą mógłbym pożyczyć?

– Jasne – powiedziała kobieta.

Ale jej kolega się wychylił.

– Ty jesteś ten Harry Hole, prawda?

– Zgadza się, sierżancie.

– Ktoś w pogotowiu policji mówił, że nie masz zezwolenia na broń.

– Nie m i a ł e m, sierżancie.

– O?

Harry uśmiechnął się.

– Zaspałem na pierwszy test strzelania jesienią. Ale mogę cię ucieszyć informacją, że w drugim zająłem trzecie miejsce w całej firmie. W porządku?

Policjanci z radiowozu popatrzyli na siebie.

– W porządku – mruknął w końcu mężczyzna.

Harry szarpnął drzwiczki samochodu, zatrzeszczała przymarznięta gumowa listwa.

– No dobrze, sprawdźmy, czy ta informacja była coś warta.

Już drugi raz w ciągu dwóch dni Harry trzymał w rękach MP-5. Zadzwonił domofonem do niejakich Sejerstedtów i wylęknionemu damskiemu głosowi wyjaśnił, że są z policji, o czym kobieta może się przekonać, podchodząc do okna, żeby zobaczyć radiowóz, zanim im otworzy. Zrobiła, jak powiedział. Policjantka zajęła pozycję na tylnym podwórzu, natomiast Harry z Halvorsenem ruszyli na górę po schodach. Nazwisko Torego Bjørgena widniało wypisane czarnymi literami na mosiężnej tabliczce nad dzwonkiem. Harry pomyślał o Bjarnem Møllerze, który za pierwszym razem, gdy poszli

na wspólną akcję, nauczył Harry'ego najprostszego i wciąż bardzo skutecznego sposobu sprawdzania, czy ktoś jest w domu. Przyłożył ucho do szkła w drzwiach. Ze środka nic nie było słychać.

– Naładowany i odbezpieczony? – szepnął Harry.

Halvorsen wyciągnął swój służbowy rewolwer i stanął pod ścianą, po lewej stronie drzwi. Harry zadzwonił.

Wstrzymał oddech i słuchał. Potem zadzwonił jeszcze raz.

– Włamywać się czy nie włamywać? – szepnął. – Oto jest pytanie.

– W takim razie powinniśmy najpierw zadzwonić do prokuratora i dostać nakaz przeszuka... – Halvorsenowi przerwał odgłos tłuczonego szkła, kiedy MP-5 trafił w drzwi. Harry prędko wsunął rękę do środka i otworzył.

Weszli do przedpokoju. Harry wskazał, które drzwi ma sprawdzić Halvorsen, sam prędko wszedł do salonu. Pusto. Ale od razu zauważył lustro nad stolikiem z telefonem. Trafiło w nie coś ciężkiego. Okrągły odłamek lustrzanej tafli na samym środku wypadł, od niego niczym od czarnego słońca rozchodziły się do ozdobnej złoconej ramy czarne kreski. Harry skupił się na ledwie uchylonych drzwiach na końcu salonu.

– W kuchni i łazience nikogo nie ma – szepnął Halvorsen za jego plecami.

– Okej, bądź w gotowości.

Harry ruszył w stronę drzwi. Czuł już po sobie, że jeśli ktokolwiek tu jest, znajdą go właśnie tam. Na ulicy strzelił zepsuty tłumik, gdzieś w oddali zazgrzytał tramwaj. Harry zorientował się, że instynktownie się skulił, jak gdyby chciał się zmienić w jak najmniejszy cel.

Lufą pistoletu maszynowego pchnął drzwi, wszedł do środka i uskoczył w bok, żeby zarys jego sylwetki nie był widoczny na tle

światła. Przycisnął się do ściany i napiął palec na spuście, czekając, aż oczy przyzwyczają mu się do ciemności.

W świetle wpadającym przez drzwi zobaczył wielkie łóżko z mosiężnym zagłówkiem. Spod kołdry wystawały gołe nogi. Zrobił krok w przód, złapał za koniec kołdry i ją ściągnął.

– Jezu Chryste! – krzyknął Halvorsen. Stał w drzwiach i powoli opuszczał rękę z rewolwerem, z niedowierzaniem wpatrując się w łóżko.

Zmierzył wzrokiem drut kolczasty wieńczący ogrodzenie. Potem wziął rozbieg i skoczył. Sunął w górę ruchem larwy, tak jak nauczył go Bobo. Pistolet w kieszeni uderzył go w brzuch, gdy przerzucał się na drugą stronę. Kiedy już stanął na pokrytym lodem asfalcie, w świetle latarni zobaczył duże rozdarcie w niebieskiej kurtce. Ze środka wyłaziło coś białego.

Jakiś odgłos kazał mu wycofać się spod światła w cień kontenerów ustawionych jedne na drugich w rzędach na wielkim obszarze portowym. Zaczął nasłuchiwać, rozejrzał się. Cicho gwizdały wybite okna w ciemnym, rozpadającym się baraku.

Nie wiedział dlaczego, ale miał wrażenie, że jest obserwowany. A właściwie nie tyle obserwowany, co odkryty, ujawniony. Ktoś wiedział o jego obecności, chociaż niekoniecznie go widział. Przeszukał wzrokiem oświetlony fragment ogrodzenia, wypatrując możliwych urządzeń alarmowych. Nic takiego.

Sprawdził dwa rzędy kontenerów, zanim znalazł otwarty. Wszedł w nieprzeniknioną ciemność i natychmiast zrozumiał, że to się nie uda. Że zamarznie na śmierć, jeśli tutaj zaśnie. Zatrzaskując za sobą drzwi, poczuł ruch powietrza, jakby otoczyła go substancja, która się przesunęła.

Zaszeleściło, kiedy nadepnął na gazetę. Musi mieć ciepło.

Po wyjściu na zewnątrz znów ogarnęło go wrażenie, że jest obserwowany. Podszedł do baraku, chwycił za deskę i pociągnął. Puściła z suchym trzaskiem. Wydało mu się, że coś się porusza, i natychmiast się obrócił. Zobaczył jednak tylko światła z gościnnie mrugających hoteli wokół dworca i ciemność w wejściu do kontenera, który miał być jego schronieniem na tę noc.

Oderwawszy jeszcze dwie deski, wrócił pod kontener. Na śniegu widniały ślady. Ślady łap. Wielkich łap. Stróżującego psa. Czy te ślady były tam już wcześniej? Wszedł do kontenera, odłamał drzazgi od desek, które oparł o stalową ścianę przy wejściu. Drzwi zostawił uchylone w nadziei, że wyleci przez nie przynajmniej część dymu. Pudełko zapałek zabrane z pokoju w Schronisku leżało w tej samej kieszeni co pistolet. Podpalił papier gazetowy i wsunął go pod drzazgi. Trzymał ręce nad ciepłem. Małe płomyki pełzły w górę rudoczerwonej ściany.

Myślał o przerażonych oczach kelnera, który wpatrywał się w lufę pistoletu, opróżniając kieszenie z drobnych i tłumacząc się, że to wszystko, co ma. Wystarczyło na hamburgera i bilet na podziemną kolejkę. Za mało na miejsce, w którym mógłby się ukryć, ogrzać, wyspać. Kelner był na tyle głupi, żeby powiedzieć, że policja już została poinformowana i będzie tu lada chwila, zrobił więc to, co musiał.

Blask płomieni padał na śnieg na zewnątrz. Zauważył więcej śladów łap przed wejściem. Dziwne, że ich nie dostrzegł, kiedy pierwszy raz podszedł do kontenera. Słuchał własnego oddechu, odbijającego się echem od metalowych ścian pudła, w którym siedział, jakby było ich tam dwóch, i śledził wzrokiem ślady łap. Nagle znieruchomiał. Jego własne ślady krzyżowały się ze śladami zwierzęcia. I na samym środku odcisku własnego buta ujrzał odcisk łapy.

Mocno zatrzasnął drzwi, przy wtórze głuchego huku płomienie zgasły. W grobowej ciemności żarzył się jedynie brzeg gazety. Oddychał teraz głośniej. Coś na niego polowało, coś, co wyczuło jego zapach i mogło go rozpoznać. Wstrzymał oddech. I wtedy sobie to uświadomił. To coś, co go szukało, wcale nie było na zewnątrz, a echo oddechu wcale nie było echem. To coś znajdowało się tu, w środku. Gdy w desperacji sięgnął do kieszeni po pistolet, ledwie zdążył pomyśleć, że to coś nawet nie warknęło, nie wydało żadnego odgłosu, i nawet teraz rozległ się jedynie szorstki chrobot pazurów o metalową podłogę w momencie odbicia. Ledwie zdążył unieść rękę, a szczęki już się na niej zacisnęły. Pod wpływem bólu myśli eksplodowały, zmieniając się w deszcz odłamków.

Harry przyglądał się łóżku i, jak przypuszczał, Toremu Bjørgenowi.

Halvorsen stanął tuż obok.

– Jezu Chryste – szepnął. – Co tu się działo?

Harry, nie odpowiadając, rozsunął zamek błyskawiczny czarnej maski, którą mężczyzna miał na twarzy, i odchylił klapkę. Uszminkowane na czerwono wargi i umalowane oczy przywiodły mu na myśl Roberta Smitha, wokalistę The Cure.

– To jest ten kelner, z który rozmawiałeś w Biscuicie? – spytał, wzrokiem przeszukując pokój.

– Chyba tak. Co on, na miłość boską, ma za strój?

– Lateks. – Harry przeciągnął palcem po drobniutkich metalowych opiłkach na prześcieradle, a potem wziął do ręki coś, co leżało obok szklanki do połowy napełnionej wodą na nocnym stoliku. Tabletka. Przyjrzał się jej uważnie.

– Przecież to jest całkiem chore – jęknął Halvorsen.

– To taka forma fetyszyzmu – stwierdził Harry. – I wcale nie bardziej chora niż to, że ty lubisz kobiety w mini, w pasach do pończoch, czy co tam cię podnieca.

– Uniformy – wyznał Halvorsen. – Wszelkiego rodzaju. Pielęgniarki. Te strażniczki od parkometrów...

– Dziękuję, wystarczy – przerwał mu Harry.

– No i jak myślisz? Samobójstwo za pomocą tabletek?

– Jego spytaj. – Harry wylał zawartość szklanki na twarz leżącego przed nim człowieka. Halvorsen gapił się na swojego komisarza z otwartymi ustami. – Gdybyś nie miał takich uprzedzeń, usłyszałbyś, że on oddycha. To stesolid. Niewiele gorszy od valium.

Mężczyzna zachłysnął się powietrzem. Twarz mu się ściągnęła i zaniósł się kaszlem.

Harry przysiadł na brzegu łóżka, czekając, aż para przerażonych, lecz mimo to maleńkich źrenic wreszcie zdoła się na nim skupić.

– Jesteśmy z policji, Bjørgen. Przepraszamy, że tak brutalnie tu wpadliśmy, ale zrozumieliśmy, że masz coś, co my chcielibyśmy mieć. Ale ty chyba już tego nie masz.

Oczy mrugnęły dwa razy.

– O czym ty mówisz? – spytał chrapliwy głos. – Jak się tu dostaliście?

– Drzwiami – wyjaśnił Harry. – Wieczorem już miałeś jednego gościa.

Chłopak pokręcił głową.

– Tak przynajmniej powiedziałeś policji.

– Nikogo tu nie było. Na żadną policję nie dzwoniłem. Mam zastrzeżony numer. Nie mogliście go wytropić.

– Owszem, mogliśmy. Zresztą ja wcale nie powiedziałem, że dzwoniłeś. Ale przez telefon podałeś, że przykułeś kogoś do łóżka, i rzeczywiście zauważyłem na prześcieradle opiłki metalu

z wezgłowia. Wygląda na to, że zwierciadłu w salonie też się dostało. On zwiał, Bjørgen?

Mężczyzna zdezorientowany przeniósł wzrok z Harry'ego na Halvorsena i z powrotem.

– Groził ci? – Harry mówił tym samym monotonnym, cichym głosem. – Powiedział, że jeśli coś nam zdradzisz, to wróci? O to chodzi? Boisz się?

Chłopak otworzył usta. Może to ta skórzana maska kazała Harry'emu myśleć o pilocie, który zabłądził. Robert Smith na wycieczce na jagody.

– Z reguły tak mówią – stwierdził. – Ale wiesz, co? Gdyby naprawdę tak myślał, to już byś nie żył.

Chłopak patrzył na Harry'ego.

– Wiesz, dokąd on się wybierał, Bjørgen? Zabrał coś stąd? Pieniądze? Ubranie?

Cisza.

– No dalej, to ważne. Poszukuje pewnej osoby w Oslo, którą chce zabić.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz – szepnął Tore Bjørgen, nie odrywając oczu od Harry'ego. – Czy możecie już sobie iść?

– Oczywiście. Ale powinienem ci zwrócić uwagę na to, że ryzykujesz zarzut udzielenia pomocy ukrywającemu się zabójcy, co sąd w najgorszym razie może uznać za współudział w zbrodni.

– Jakie macie dowody? No dobrze, może i dzwoniłem. To był taki blef. Miałem ochotę się trochę zabawić, i co z tego?

Harry wstał z łóżka.

– Jak sobie chcesz. My sobie pójdziemy. Ale ty spakuj coś do ubrania, przyślę po ciebie dwoje naszych ludzi.

– Po mnie?

– Tak. Zostaniesz aresztowany. – Harry dał Halvorsenowi znak, że wychodzą.

– Aresztowany? Ja? – Głos Bjørgena nie był już ochrypły. – Dlaczego? Przecież nic mi nie możecie udowodnić!

Harry pokazał to, co trzymał w dwóch palcach.

– Stesolid to narkotyk na receptę. Tak samo jak amfetamina i kokaina, Bjørgen. Więc jeśli nie potrafisz przedstawić recepty, to niestety musimy cię aresztować za posiadanie. Czyn zagrożony karą dwóch lat.

– Żartujesz sobie? – Bjørgen uniósł się w łóżku i sięgnął po leżącą na podłodze kołdrę. Po raz pierwszy uświadomił sobie swój strój.

Harry ruszył do drzwi.

– Osobiście się z tobą zgadzam, że ustawodawstwo norweskie jest bardzo surowe, jeśli chodzi o miękkie narkotyki, i dlatego w innych okolicznościach być może popatrzyłbym przez palce na to, co tu znalazłem. Dobranoc.

– Zaczekajcie!

Harry zatrzymał się. I czekał.

– Jego... bracia – wyjąkał Tore Bjørgen.

– Bracia?

– Powiedział, że jeśli mu się coś w stanie w Oslo, naśle na mnie swoich braci. Jeśli zostanie aresztowany albo zabity, przyjdą do mnie, bez względu na to, jak do tego dojdzie. Mówił, że bracia zwykle posługują się kwasem.

– On nie ma żadnych braci – oświadczył Harry.

Tore Bjørgen uniósł głowę, popatrzył na wysokiego policjanta i spytał ze szczerym zdumieniem w głosie:

– Nie ma?

Harry powoli pokręcił głową.

Bjørgen załamał ręce.

– Ja... zażyłem te tabletki tylko dlatego, że taki byłem wstrząśnięty. Przecież one na to są, prawda?

– Dokąd on poszedł?

– Nie mówił.

– Dostał od ciebie jakieś pieniądze?

– Tylko trochę drobnych, które miałem w kieszeni. Potem uciekł, a ja... siedziałem tu i tak się bałem... – Nagły szloch przerwał potok słów i chłopak skulił się pod kołdrą. – Ciągle się boję.

Harry popatrzył na niego uważnie.

– Jeśli chcesz, możesz dzisiejszą noc spędzić w Budynku Policji.

– Zostanę tu – zaszlochał Bjørgen.

– Okej. Rano ktoś od nas przyjdzie z tobą porozmawiać.

– Dobrze. Zaczekajcie. Jeśli go złapiecie...

– Tak?

– Ta nagroda wciąż będzie aktualna, prawda?

Udało mu się wreszcie rozpalić porządne ognisko. Płomienie odbijały się w trójkątnym kawałku szkła, który wyłamał z pękniętego okna w baraku. Przyniósł więcej drewna i czuł, że zmarznięte ciało powoli zaczyna odtajać. Wiedział, że gorzej będzie w nocy, ale przynajmniej żył. Zakrwawione palce obwiązał paskami materiału z koszuli, którą pociął kawałkiem szkła. Psia szczęka zacisnęła się na dłoni trzymającej pistolet. I na pistolecie.

Na ścianie kontenera kołysał się cień czarnego metznera, zawieszonego między sufitem a podłogą. Pysk był otwarty, a ciało rozciągnięte, zastygłe w ostatnim niemym ataku, tylne łapy obwiązane stalową linką, przeciągniętą przez dziurę w jednej z żelaznych belek na suficie. Krew wypływająca z pyska i z dziury za uchem, którą wyszła kula, kapała jednostajnie na metalową podłogę. Nigdy się nie dowie, czy to jego własne mięśnie przedramienia przycisnęły palec do spustu, czy zrobiła to szczęka

psa, ale wciąż wydawało mu się, że słyszy drganie metalowych ścian po wystrzale. Szóstym, odkąd przyjechał do tego przeklętego miasta. Teraz w pistolecie została mu już tylko jedna kula.

Jedna kula by wystarczyła, ale gdzie miał szukać Jona Karlsena? Potrzebował kogoś, kto by go poprowadził właściwą drogą. Pomyślał o tym policjancie. O Harrym Holem. Nie wyglądało mu to na popularne nazwisko. Może wcale nie będzie go tak trudno znaleźć?

Część trzecia

UKRZYŻOWANIE

20 PIĄTEK, 18 GRUDNIA. ŚWIĄTYNIA

Neon przy biurowcu Vika Atrium wskazywał, że dochodzi dwudziesta pierwsza i jest minus osiemnaście, kiedy Harry i Halvorsen stali w szklanej windzie i patrzyli, jak fontanna z tropikalnymi roślinami staje się coraz mniejsza. Halvorsen ułożył wargi, żeby coś powiedzieć, ale zrezygnował, potem znów nimi poruszył.

– Przeszklona winda jest w porządku – przerwał mu Harry. – Wysokość nie ma nic do rzeczy.

– Aha.

– Chcę, żebyś ty się zajął wstępem i pytaniami, ja się włączę z czasem, dobrze?

Halvorsen kiwnął głową.

Ledwie zdążyli wsiąść do samochodu po wizycie u Torego Bjørgena, kiedy zadzwonił Gunnar Hagen i kazał im jechać do Vika Atrium, gdzie Albert i Mads Gilstrupowie już czekali, żeby złożyć zeznania. Harry przypomniał, że wzywanie policji poza komendę w celu spisania zeznań nie jest zwykłą procedurą, poprosił więc, żeby zajął się tym Skarre.

– Albert Gilstrup to stary znajomy naczelnika Biura Kryminalnego – wyjaśnił Hagen. – Właśnie do mnie zadzwonił i powiedział, że postanowili nie zeznawać przed nikim innym, tylko przed prowadzącym śledztwo. Pozytywne natomiast jest to, że będą bez adwokata.

– No cóż...

– Dobrze. Docenię to.

A więc tym razem to nie był rozkaz.

Przy windzie czekał już na nich niewysoki mężczyzna w niebieskim blezerze.

– Albert Gilstrup – przedstawił się, minimalnie uchylając usta pozbawione warg. Krótko, lecz zdecydowanie uścisnął rękę Harry'ego. Miał siwe włosy i pomarszczoną smagłą twarz, ale młode oczy, które czujnie przyglądały się Harry'emu, gdy prowadził ich do drzwi z tabliczką informującą, że za nimi mieści się Gilstrup SA.

– Chciałbym zwrócić uwagę, że mój syn ogromnie to przeżył – powiedział. – Zwłoki były zmaltretowane, a Mads ma, niestety, wrażliwą naturę.

Harry z jego sposobu wyrażania się wywnioskował, że Albert Gilstrup albo jest człowiekiem praktycznym, który wie, że dla zmarłych niewiele już da się zrobić, albo też synowa nie zajmowała szczególnie wiele miejsca w jego sercu.

W niedużej, ale ekskluzywnie urządzonej recepcji wisiały znane obrazy z norweskimi motywami romantycznymi, które Harry widział już niezliczoną ilość razy. Mężczyzna z kotem na podwórzu. Baśniowy zamek Soria Moria. Różnica polegała na tym, że tym razem Harry wcale nie miał pewności, czy patrzy na reprodukcje.

Kiedy weszli do sali konferencyjnej, Mads Gilstrup siedział i wpatrywał się w szklaną ścianę wychodzącą na atrium. Ojciec

chrząknął, a wtedy odwrócił się powoli, jakby przeszkodzono mu w śnie, z którym nie chciał się rozstać. Harry'ego od razu uderzyło, że syn wcale nie jest podobny do ojca. Twarz miał szczupłą, lecz łagodne okrągłe rysy i kręcone włosy sprawiały, że Mads Gilstrup nie wyglądał na swoje trzydzieści kilka lat, które, jak przypuszczał Harry, musiał mieć. A może to przez spojrzenie, dziecięcą bezradność w piwnych oczach, które wreszcie skupiły się na nich, kiedy wstał.

– Dziękuję, że zechcieliście przyjść – szepnął Mads grubym głosem i uścisnął rękę Harry'ego tak żarliwie, że Harry zaczął się zastanawiać, czy może syn sądzi, że przyszedł pastor, a nie policja.

– Nie ma za co – powiedział Harry. – I tak chcielibyśmy z panem rozmawiać.

Albert Gilstrup chrząknął, ledwie otwierając usta, jakby uchylała się szczelina w drewnianej masce:

– Mads chciał wam podziękować za to, że przyszliście tutaj, na naszą prośbę. Wy pewnie wolelibyście rozmawiać na komendzie.

– A ja myślałem, że o tak późnej porze będzie pan wolał spotkać się z nami u siebie. – Harry zwrócił się do syna.

Mads niepewnie zerknął na ojca i dopiero gdy ten lekko skinął mu głową, odpowiedział:

– Nie mam siły tam teraz przebywać. Tam jest tak... pusto. Przenocuję dziś w domu.

– U nas – wyjaśnił ojciec, patrząc na Madsa wzrokiem, który, zdaniem Harry'ego, miał wyrażać współczucie, przypominał jednak pogardę.

Usiedli. Ojciec i syn przez stół podali Harry'emu i Halvorsenowi wizytówki. Halvorsen zrewanżował się dwiema swoimi. Gilstrup senior pytająco popatrzył na Harry'ego.

– Ja jeszcze sobie nie wydrukowałem – powiedział Harry. Była to prawda, jak zawsze. – Ale Halvorsen i ja pracujemy razem, więc

wystarczy zadzwonić do niego.

Halvorsen chrząknął.

– Mamy kilka pytań.

Zaczął dowiadywać się o poczynania Ragnhild w dniu śmierci, o to, co mogła robić w mieszkaniu Jona Karlsena i o ewentualnych wrogów. Odpowiedzią było wyłącznie kręcenie głowami.

Harry rozejrzał się za mlekiem do kawy. Zaczął go używać. To na pewno znak, że się starzeje. Kilka tygodni temu nastawił bezdyskusyjne dzieło Beatlesów *Sgt. Pepper's Lonely Hearts Club Band* i się rozczarował. Płyta też się zestarzała.

Halvorsen odczytywał pytania z notatnika i zapisywał, nie szukając kontaktu wzrokowego. Poprosił Madsa Gilstrupa, żeby wyjaśnił mu, gdzie był między dziewiątą a dziesiątą rano, bo tak patolog określił czas zgonu.

– Był tutaj – odpowiedział Albert Gilstrup. – Przez cały czas obaj pracowaliśmy. Zajmujemy się dużą, rewolucyjną operacją. – Zwrócił się do Harry'ego. – Przygotowaliśmy się na to pytanie. Czytałem, że w sprawach o zabójstwo policja zawsze podejrzewa przede wszystkim wdowca.

– Nie bez powodu – powiedział Harry. – Statystycznie patrząc.

– Dobrze – kiwnął głową Albert Gilstrup. – Ale to nie jest statystyka, mój dobry człowieku. To rzeczywistość.

Harry popatrzył w błyszczące niebieskie oczy Alberta Gilstrupa. Halvorsen zerkał na Harry'ego, jakby się czegoś obawiał.

– Wobec tego trzymajmy się rzeczywistości – zaproponował Harry. – Mniej kręćmy głowami, a więcej mówmy. Mads?

Głowa Madsa Gilstrupa poderwała się, jakby przebudził się ze snu. Harry zaczekał, aż nawiąże z nim kontakt wzrokowy.

– Co wiedziałeś o Jonie Karlsenie i swojej żonie?

– Proszę przestać! – huknęły drewniane usta Alberta Gilstrupa. – Tego rodzaju bezczelność pasuje być może do klienteli, z którą macie do czynienia na co dzień, ale nie tutaj!

Harry westchnął.

– Twój ojciec może tu siedzieć, jeśli tego chcesz, Mads. Ale jeśli będę musiał, to go wyrzucę.

Albert Gilstrup roześmiał się. Był to śmiech człowieka przywykłego do odnoszenia zwycięstw, który wreszcie trafił na godnego siebie przeciwnika.

– Proszę mi powiedzieć, komisarzu, czy będę musiał zadzwonić do mojego przyjaciela, naczelnika Biura Kryminalnego, i przekazać mu, jak jego ludzie traktują kogoś, kto właśnie stracił żonę?

Harry już miał odpowiedzieć, ale uprzedził go Mads, który uniósł rękę dziwnym, pełnym gracji, powolnym ruchem.

– Musimy próbować go znaleźć, ojcze. Musimy sobie nawzajem pomagać.

Czekali. Ale spojrzenie Madsa wróciło do szklanej ściany i tam już zostało.

– *All right* – powiedział Albert Gilstrup z brytyjskim akcentem. – Będziemy rozmawiać pod jednym warunkiem. Że omówimy to wyłącznie z tobą, Hole. Twój asystent może zaczekać w recepcji.

– My nie pracujemy w taki sposób – odparł Harry.

– Próbujemy współpracować, Hole, ale ten wymóg nie jest przedmiotem dyskusji. Alternatywą jest rozmowa z nami za pośrednictwem naszego adwokata. Jasne?

Harry czekał, aż wzbierze w nim złość, a kiedy tak się nie stało, nie miał już żadnych wątpliwości. Naprawdę się starzał. Kiwnął głową Halvorsenowi, który wyglądał na zaskoczonego, ale wstał. Albert Gilstrup zaczekał, aż sierżant zamknie za sobą drzwi.

– Owszem. Znaliśmy Jona Karlsena. Mads, Ragnhild i ja poznaliśmy go jako doradcę finansowego Armii Zbawienia. Przedstawiliśmy ofertę, która byłaby bardzo korzystna dla niego osobiście, ale on ją odrzucił. To bez wątpienia człowiek o wysokiej moralności. Oczywiście mógł flirtować z Ragnhild, nie byłby pierwszy. O ile dobrze wiem, przygody pozamałżeńskie nie trafiają już na pierwsze strony gazet. To jednak, co komisarz sugeruje, jest niemożliwe z powodu samej Ragnhild. Proszę mi wierzyć. Długo znałem tę kobietę. Była nie tylko szczerze kochanym członkiem rodziny, lecz również osobą o niezwykle mocnym charakterze.

– A jeśli powiem, że miała klucze do mieszkania Jona Karlsena?

– Nie chcę więcej o tym słyszeć! – zaprotestował ostro Albert Gilstrup.

Harry zerknął na szklaną ścianę i zobaczył w niej odbicie twarzy Madsa Gilstrupa, podczas gdy jego ojciec ciągnął:

– Przejdźmy do rzeczy i wyjaśnijmy, dlaczego chciałem spotkać się z tobą osobiście, Hole. Kierujesz śledztwem, a my myśleliśmy o wyznaczeniu nagrody za ujęcie sprawcy zabójstwa Ragnhild. Konkretnie mówiąc: dwieście tysięcy koron. Pełna dyskrecja.

– Słucham?

– *All right*. Wysokość kwoty to przedmiot do dyskusji. Najważniejsze dla nas, żeby ta sprawa miała u was priorytet.

– Proszę mi powiedzieć, czy to jest próba przekupstwa?

Albert Gilstrup uśmiechnął się kwaśno.

– Ależ to było bardzo dramatyczne, Hole. Zastanów się. Jeśli zechcesz, żeby te pieniądze poszły na fundusz dla wdów po policjantach, nie będziemy się do tego mieszać.

Harry nie odpowiedział. Albert Gilstrup klasnął nad stołem.

– Wobec tego uważam nasze spotkanie za zakończone. Bądźmy w kontakcie, komisarzu.

Halvorsen ziewał, gdy szklana winda opadała miękko i bezszelestnie. Właśnie tak wyobrażał sobie spadanie aniołów z nieba na ziemię w pastorałce.

– Dlaczego od razu nie wyrzuciłeś tego ojca? – spytał.

– Ponieważ jest interesujący – odparł Harry.

– A co powiedział, kiedy wyszedłem?

– Że Ragnhild to wspaniała osoba, która nie mogła mieć romansu z Jonem Karlsenem.

– Sami w to wierzą?

Harry wzruszył ramionami.

– Rozmawialiście jeszcze o czymś?

Harry zawahał się.

– Nie – odparł, zmrużonymi oczami patrząc na zieloną oazę z fontanną wśród marmurowej pustyni.

– O czym myślisz? – spytał Halvorsen.

– Nie bardzo wiem. Widziałem, że Mads Gilstrup się uśmiecha.

– Co?

– Widziałem jego odbicie w szybie. Zauważyłeś, że Albert Gilstrup przypomina drewnianą kukłę? Taką, z jakimi występują brzuchomówcy?

Halvorsen pokręcił głową.

Poszli w kierunku Sali Koncertowej wzdłuż Munkedamsveien, którą pędzili obładowani świątecznymi prezentami ludzie.

– Zimno – zatrząsł się Harry. – Szkoda, że mróz spycha spaliny nad ziemię. Miasto się dusi.

– To i tak lepsze od tego duszącego zapachu wody po goleniu tam, w środku – stwierdził Halvorsen.

Przy wejściu dla personelu Sali Koncertowej wisiał plakat informujący o koncercie świątecznym Armii Zbawienia.

Na chodniku pod plakatem siedział chłopak z wyciągniętą ręką, w której trzymał tekturowy kubek.

– Oszukałeś Bjørgena – powiedział Halvorsen.

– Tak?

– Dwa lata za jeden stesolid? A Stankić może mieć nawet dziewięciu żądnych zemsty braci. Nic o tym nie wiesz.

Harry wzruszył ramionami i spojrzał na zegarek. Był spóźniony na mityng AA. Zdecydował, że najwyższy czas posłuchać Słowa Bożego.

– Ale gdy Jezus powróci na ziemię, kto będzie w stanie go rozpoznać? – zawołał David Eckhoff, a płomień stojącej przed nim świecy pochylił się. – Może Zbawiciel krąży teraz wśród nas po tym mieście?

Wśród zebranych w dużym, pomalowanym na biało i skromnie umeblowanym pomieszczeniu poniósł się szmer. W Świątyni nie było ani ołtarza, ani prezbiterium, a jedynie znajdująca się między wiernymi a mównicą ławka pokutna, przy której można było uklęknąć i wyznać grzechy. Komandor spojrzał na zgromadzonych, zrobił artystyczną pauzę i podjął:

– Bo chociaż Mateusz pisze, że Zbawiciel przybędzie w chwale, a wraz z nim wszyscy aniołowie, to napisane jest również: „byłem przybyszem, a nie przyjęliście mnie; byłem nagi, a nie przyodzialiście mnie; byłem chory i w więzieniu, a nie odwiedziliście mnie”[4].

David Eckhoff nabrał powietrza, przerzucił kartkę i uniósł wzrok na wiernych. Mówił dalej, nie patrząc w tekst.

– „Wówczas zapytają i ci: Panie, kiedy widzieliśmy Cię [...] przybyszem, albo nagim, kiedy chorym, albo w więzieniu, a nie usłużyliśmy Tobie? Wtedy odpowie im: Zaprawdę powiadam wam: Wszystko, czego nie uczyniliście jednemu z tych najmniejszych,

tegoście i mnie nie uczynili. I pójdą ci na mękę wieczną, sprawiedliwi zaś do życia wiecznego”[5].

Komandor uderzył w mównicę.

– Słowa Mateusza to zawołanie wojenne. On wydaje wojnę egoizmowi i brakowi miłosierdzia – zagrzmiał. – A my, salwacjoniści, wierzymy, że gdy nastąpi koniec świata, odbędzie się Sąd Ostateczny, sprawiedliwi zostaną zbawieni na zawsze, a bezbożni poniosą wieczną karę.

Kiedy kazanie komandora dobiegło końca, nastąpił czas na świadectwa wiernych. Jakiś mężczyzna opowiadał o bitwie na Stortorvet, w której zwyciężyły wolność i Słowo Boże. Po nim wstał młody człowiek i zapowiedział, że wieczorne spotkanie zakończą pieśnią numer sześćset siedemnaście ze śpiewnika. Stanął na czele umundurowanej orkiestry, składającej się z ośmiu trębaczy i Rikarda Nilsena na wielkim bębnie, policzył do trzech. Odegrali jedną zwrotkę, następnie dyrygent dał znak zgromadzonym i w sali poniosła się potężna pieśń:

„Niech sztandar zbawienia powiewa, na świętą wojnę prowadząc nas!”.

Gdy pieśń dobiegła końca, na mównicę wrócił David Eckhoff.

– Drodzy przyjaciele, pozwólcie, że nasze wieczorne spotkanie zakończę informacją, iż kancelaria premiera potwierdziła dzisiaj przybycie premiera na doroczny koncert świąteczny w Sali Koncertowej.

Wiadomość przyjęto spontanicznymi oklaskami. Zgromadzeni wstali i wolno zaczęli przesuwać się do wyjścia. Salę wypełnił szmer rozmów. Tylko Martine Eckhoff zdawała się gdzieś spieszyć. Harry siedział w ostatniej ławce i obserwował ją, gdy szła środkiem. Ubrana była w wełnianą spódnicę, czarne pończochy i martensy, tak jak on, a na głowie miała białą robioną na drutach

czapkę. Patrzyła na niego bez najmniejszej oznaki, że go poznaje, ale w końcu twarz jej się rozjaśniła. Harry wstał.

– Cześć – przekrzywiła głowę z uśmiechem. – Praca czy głód duchowy?

– No cóż, twój ojciec to niezły mówca.

– Jako zielonoświątkowiec byłby gwiazdą światowego formatu.

Harry'emu wydało się, że w tłumie za dziewczyną dostrzega Rikarda.

– Posłuchaj, mam kilka pytań. Jeśli miałabyś ochotę przejść się na tym mrozie, to odprowadzę cię do domu.

Na twarzy Martine odmalował się wyraz niepewności.

– Jeśli oczywiście idziesz do domu – dodał czym prędzej Harry.

Rozejrzała się, zanim opowiedziała:

– Może raczej to ja ciebie odprowadzę, przecież mieszkasz po drodze.

Powietrze na zewnątrz było wilgotne, gęste, miało smak tłustych, słonych spalin.

– Spytam wprost – zaczął Harry. – Znasz i Roberta, i Jona. Czy to możliwe, że Robert mógłby chcieć uśmiercić brata?

– O czym ty mówisz?

– Zastanów się chwilę, zanim odpowiesz.

Minęli Teatr Rewiowy Edderkoppen i dalej dreptali po wyludnionych ulicach. Sezon przyjęć gwiazdkowych powoli się kończył, ale po Pilestredet taksówki wciąż krążyły ruchem wahadłowym, wożąc elegancko ubranych pasażerów o spojrzeniach, z których wyzierała akevitt, świąteczna wódka.

– Robert był trochę szalony – odparła Martine. – Ale żeby zabić? – Zdecydowanie pokręciła głową.

– Może mógł do tego namówić kogoś innego.

Martine wzruszyła ramionami.

– Nie miałam zbyt wiele do czynienia ani z Jonem, ani z Robertem.

– Dlaczego? Przecież razem dorastaliście.

– Owszem, ale ja właściwie z nikim nie miałam zbyt dużo do czynienia. Najbardziej lubiłam być sama. Tak jak ty.

– Ja? – zdumiał się Harry.

– Samotny wilk zawsze rozpozna drugiego samotnego wilka.

Harry zerknął na nią i napotkał jej wesołe spojrzenie.

– Ty na pewno też byłeś takim chłopcem, który lubi chadzać własnymi ścieżkami. Bardzo interesującym i niepozwalającym nikomu się do siebie zbliżyć.

Harry z uśmiechem pokręcił głową. Kiedy mijali beczki z ropą pod zrujnowaną, ale niezwykle barwną fasadą Blitzu, spytał:

– Pamiętasz, jak podczas okupacji tej kamienicy w osiemdziesiątym drugim był koncert punkowy, na którym grali Najgorsi, Mięso i wszystkie te inne zespoły?

– Nie – roześmiała się Martine. – Wtedy ledwie zaczęłam chodzić do szkoły. A Blitz nie był miejscem dla Armii Zbawienia.

Harry uśmiechnął się krzywo.

– No tak. Ale ja tam czasami bywałem. W każdym razie na początku, kiedy myślałem, że to może miejsce dla takich jak ja. Dla outsiderów. Ale tam też nie pasowałem. Bo w Blitzu także koniec końców chodziło o uniformizację i myślenie grupowe. Demagodzy mieli tam takie samo pole do popisu jak...

Urwał, ale Martine dokończyła za niego:

– ...jak mój ojciec dzisiaj w Świątyni?

Harry wepchnął ręce głębiej do kieszeni.

– Chodzi mi tylko o to, że człowiek szybko staje się samotny, kiedy chce do szukania odpowiedzi używać własnego mózgu.

– I do jakiej odpowiedzi doszedł ten twój samotny mózg? – Martine wsunęła mu rękę pod ramię.

– Wygląda mi na to, że zarówno Jon, jak i Robert mieli sporo historii z kobietami. Co jest niezwykłego w Thei, że obu tak zależało właśnie na niej?

– Robert interesował się Theą? Nie miałam takiego wrażenia.

– Jon twierdzi, że tak.

– No właśnie, mówiłam ci, że miałam z nimi mało do czynienia. Ale pamiętam, że Thea cieszyła się powodzeniem wśród chłopców, kiedy spędzaliśmy razem lato na Østgård. Wiesz, rywalizacja wcześnie się zaczyna.

– Rywalizacja?

– Tak. Chłopcy, którzy zamierzają zostać oficerami, muszą sobie znaleźć dziewczynę w szeregach Armii.

– Muszą? – zdumiał się Harry.

– Nie wiedziałeś? Jeśli poślubisz kogoś spoza Armii, natychmiast tracisz pracę. Cały system dowodzenia jest tak ukształtowany, że małżeństwa oficerskie mają razem mieszkać i razem pracować. Łączy ich wspólne powołanie.

– To zabrzmiało bardzo surowo.

– Jesteśmy organizacją wojskową. – Martine powiedziała to bez cienia ironii.

– I chłopcy wiedzieli, że Thea będzie oficerem, chociaż jest dziewczyną?

Martine z uśmiechem pokręciła głową.

– Chyba niewiele wiesz o Armii Zbawienia. Dwie trzecie oficerów to kobiety.

– Ale komandor to mężczyzna, tak jak szef administracji?

Martine kiwnęła głową.

– Nasz założyciel, William Booth, mawiał, że jego najlepsi ludzie to kobiety. A mimo to u nas jest tak samo jak w całym społeczeństwie. Głupi, pewni siebie mężczyźni rządzą mądrymi kobietami, które mają lęk wysokości.

– Więc chłopcy każdego lata walczyli o to, który będzie rządził Theą?

– Przez pewien czas. Ale Thea nagle przestała przyjeżdżać na Østgård i problem sam się rozwiązał.

– Dlaczego przestała?

Martine wzruszyła ramionami.

– Może już więcej nie chciała. Może nie chcieli jej rodzice. Tylu młodych ludzi razem przez całą dobę w tym wieku... No wiesz.

Harry kiwnął głową. Ale nie wiedział. Nie był nawet na obozie przedkonfirmacyjnym. Szli w górę Stensberggata.

– Tu się urodziłam. – Martine pokazała na mur, który otaczał Szpital Centralny przed jego zburzeniem. Wkrótce miało tam stanąć osiedle mieszkaniowe Pilestredet Park.

– Budynek oddziału położniczego zachowali i przerobili na mieszkania.

– Naprawdę ktoś tam mieszka? Pomyśl tylko o tym wszystkim, co się tam wydarzyło. O aborcjach i...

Harry kiwnął głową.

– Czasami, kiedy idzie się tędy koło północy, wciąż słychać stamtąd krzyk dzieci.

Martine popatrzyła na niego wielkimi oczami.

– Wygłupiasz się! Tam straszy?

– No cóż. – Harry skręcił w Sofies gate. – Oczywiście niewykluczone, że wprowadziły się tam rodziny z dziećmi.

Martine ze śmiechem klepnęła go w ramię.

– Nie żartuj sobie z duchów. Ja w nie wierzę.

– Ja też – powiedział Harry. – Ja też.

Przestała się śmiać.

– Mieszkam tutaj. – Harry wskazał na jasnoniebieskie drzwi frontowe.

– Nie masz więcej pytań?

– Mam, ale mogą zaczekać do jutra.

Martine przekrzywiła głowę.

– Nie jestem zmęczona. Masz herbatę?

Jakiś samochód podjechał po trzeszczącym śniegu, ale zatrzymał się przy chodniku pięćdziesiąt metrów dalej i oślepił ich białoniebieskim światłem. Zamyślony Harry patrzył na dziewczynę, szukając w kieszeni kluczy.

– Tylko kawę rozpuszczalną. Posłuchaj, zadzwonię...

– Kawa rozpuszczalna też może być.

Harry nacelował kluczem w zamek, ale Martine go uprzedziła i pchnęła jasnoniebieskie drzwi, a Harry zobaczył, że kiedy się cofają, lekko kładą się na futrynie, nie zatrzaskując automatycznie.

– To przez ten mróz – mruknął. – Dom się kurczy. – Starannie domknął drzwi, zanim ruszyli na górę po schodach.

– Ale u ciebie porządek! – powiedziała Martine, ściągając buty w przedpokoju.

– Mam mało rzeczy – odparł Harry z kuchni.

– Które najbardziej lubisz?

Harry zastanowił się.

– Płyty.

– A nie album ze zdjęciami?

– Nie wierzę w albumy ze zdjęciami.

Martine weszła do kuchni i usiadła na krześle. Harry ukradkiem obserwował, gdy miękkim kocim ruchem zwijała nogi pod sobą.

– Nie wierzysz? Co to ma znaczyć?

– One działają niszcząco na zdolność zapominania. Chcesz mleka?

Pokręciła głową.

– Ale wierzysz w płyty.

– Tak. Bo one kłamią w prawdziwszy sposób.

– Ale na zdolność zapominania też działają destrukcyjnie?

Harry, nalewając kawę, znieruchomiał w pół ruchu. Martine roześmiała się cicho.

– Nie do końca wierzę w rozgoryczonego, pozbawionego wszelkiej iluzji komisarza. Uważam, że jesteś romantykiem, Hole.

– Chodźmy do pokoju. Właśnie kupiłem fajną płytę. Na razie nie wiążą się z nią żadne wspomnienia.

Martine miękkim ruchem usiadła na kanapie, a Harry nastawił debiutancką płytę Jima Stärka, potem zajął miejsce w swoim zielonym fotelu z wysokim oparciem i przy wtórze pierwszych dźwięków gitary pogładził grubą wełnianą tkaninę. Przypomniał sobie, że kupił ten fotel w Elevatorze, sklepie z używanymi meblami prowadzonym przez Armię Zbawienia. Chrząknął.

– Możliwe, że Robert miał romans z dziewczyną znacznie od niego młodszą. Co o tym myślisz?

– Co myślę o związkach młodych kobiet ze starszymi mężczyznami? – zaśmiała się krótko, ale zaraz mocno się zarumieniła. – Czy wierzę, że Robert lubił nieletnie?

– Nie powiedziałem, że ona była nieletnia, ale może chodzić o nastolatkę. O Chorwatkę.

– *Izgubila sam se*.

– Słucham?

– To po chorwacku. Czy serbsko-chorwacku. Kiedy byłam mała, latem jeździliśmy do Dalmacji, zanim Armia Zbawienia kupiła Østgård. Tatuś jako osiemnastoletni chłopak pojechał do Jugosławii pomagać w odbudowie po drugiej wojnie światowej. Poznał

rodziny niektórych robotników budowlanych. Dlatego tak się zaangażował w przyjmowanie uchodźców z Vukovaru.

– Ą propos Østgård, pamiętasz Madsa Gilstrupa, wnuka ludzi, od których kupiliście gospodarstwo?

– O, tak. Spędził tam kilka dni tego lata, gdy przejęliśmy farmę. Nie rozmawiałam z nim. Nikt z nim nie rozmawiał, o ile dobrze pamiętam. Wydawał się zagniewany i zamknięty w sobie. Ale wydaje mi się, że jemu też podobała się Thea.

– Dlaczego tak uważasz, skoro nikt z nim nie rozmawiał?

– Widziałam, że na nią patrzył. A kiedy byłyśmy razem z Theą, nagle po prostu się pojawiał. Bez słowa. Wydawał mi się okropnie dziwny. Nawet trochę straszny.

– Tak?

– Nocował u sąsiadów, ale którejś nocy obudziłam się w sali dziewcząt i zobaczyłam twarz przyciśniętą do szyby. Zaraz zniknęła. Jestem prawie pewna, że to był on. Kiedy powiedziałam o tym dziewczynom, stwierdziły, że coś mi się przywidziało. Były przekonane, że to z moim wzrokiem coś musi być nie tak.

– Dlaczego?

– Nie zauważyłeś?

– Czego?

– Siadaj! – Martine poklepała kanapę obok siebie. – Pokażę ci.

Harry obszedł stolik.

– Widzisz moje źrenice? – spytała.

Harry nachylił się, poczuł jej oddech na twarzy. I wtedy to zobaczył. Źrenice okolone piwnymi tęczówkami wyglądały tak, jakby spływały w dół. Miały kształt dziurki od klucza.

– To wrodzone. Nazywa się *coloboma iridis*. Ale wzrok mam normalny.

– Interesujące.

Ich twarze znalazły się teraz tak blisko siebie, że czuł zapach jej skóry i włosów. Wciągnął powietrze i ogarnęło go przenikające dreszczem uczucie zanurzania się w wannie z gorącą wodą. Rozległ się krótki, ostry brzęczyk.

Upłynęła chwila, zanim Harry zrozumiał, że to dzwonek. Nie domofon. Ktoś stał na klatce, pod drzwiami jego mieszkania.

– To pewnie Ali – stwierdził, wstając z kanapy. – Sąsiad.

W ciągu sześciu sekund, jakie zajęło mu wstanie z fotela, wyjście na korytarz i otwarcie drzwi, zdążył jeszcze pomyśleć, że to dość późna pora jak na Alego. Zresztą Ali zwykle pukał. I że jeśli ktoś wszedł lub wyszedł z kamienicy po nim i Martine, to frontowe drzwi z całą pewnością znów są otwarte.

Dopiero w siódmej sekundzie zrozumiał, że nigdy nie powinien był otwierać. Patrzył na stojącą w drzwiach osobę i już się domyślał, co go czeka.

– Chyba się ucieszyłeś? – odezwała się Astrid nieco bełkotliwie.

Harry milczał.

– Wracam z przyjęcia gwiazdkowego. Nie zaprosisz mnie do środka, kochany? – Pomalowane na czerwono wargi napięły się na zębach, kiedy się uśmiechnęła, a buty na obcasach zastukały, gdy musiała zrobić krok, żeby złapać równowagę.

– Raczej mi to nie pasuje – powiedział Harry.

Zmrużyła oczy, przyglądając się jego twarzy.

– Masz gościa? Kobietę? To dlatego zwagarowałeś dzisiaj z naszego mityngu?

– Porozmawiajmy kiedy indziej, Astrid. Jesteś pijana.

– Omawialiśmy dzisiaj Krok Trzeci. *Postanowiliśmy powierzyć naszą wolę i nasze życie opiece Boga*. Ale ja nie widzę żadnego Boga, Harry? – Lekko zamierzyła się na niego torebką.

– Nie ma żadnego Trzeciego Kroku, Astrid. Każdy musi ratować się sam.

Zdrętwiała, wpatrując się w niego, a w oczach nagle wezbrały jej łzy.

– Wpuść mnie, Harry – szepnęła.

– To w niczym nie pomoże, Astrid. – Położył jej rękę na ramieniu. – Zadzwonię po taksówkę, żebyś mogła wrócić do domu.

Odepchnęła jego rękę z zaskakującą siłą. Głos zabrzmiał przenikliwie:

– Do domu? Ja nie zamierzam, do cholery, wracać do żadnego domu, ty przeklęty impotencie!

Okręciła się i chwiejąc się na nogach, ruszyła na dół po schodach.

– Astrid!

– Odwal się! Pieprz raczej tę swoją drugą dziwkę!

Harry patrzył na nią, dopóki nie zniknęła mu z oczu. Słyszał, jak przeklinając, walczy z frontowymi drzwiami, w końcu rozległ się zgrzyt, po którym zapadła cisza.

Kiedy się odwrócił, zobaczył, że Martine stoi za nim w korytarzu i zapina płaszcz.

– Ja... – zaczął.

– Późno już – uśmiechnęła się przelotnie. – Chyba jednak jestem trochę śpiąca.

Była trzecia w nocy, a Harry wciąż siedział w swoim fotelu. Tom Waits cicho śpiewał o Alice, a miotełki szorowały i szorowały o skórę wielkiego bębna.

– *It's dreamy weather we're on. You wave your crooked wang along an icy pond.*

Myśli przypłynęły, chociaż wcale tego nie chciał. O tym, że wszystkie bary są już zamknięte. Że nie napełnił piersiówki po opróżnieniu jej w psią paszczę w porcie kontenerowym.

I że mógłby zadzwonić do Øysteina. Øystein, który prawie co noc jeździł taksówką, zawsze miał pół butelki ginu pod siedzeniem.

– To w niczym nie pomoże.

Chyba że wierzy się w duchy. W to, co otoczyło fotel i wpatrywało się w niego ciemnymi, pustymi oczodołami. W Birgittę, która wyłoniła się z morza z kotwicą zawieszoną na szyi, w Ellen, która śmiała się z kijem bejsbolowym sterczącym z głowy, w Willy'ego, który niczym galion wisiał na statywie do suszenia bielizny, w kobietę w łóżku wodnym patrzącą przez niebieską gumę i w Toma, który przyszedł po swój zegarek i wymachiwał krwawym kikutem ręki.

Alkohol nie mógł go uwolnić, a jedynie podarować tymczasowe zwolnienie warunkowe. Ale akurat w tej chwili był skłonny zapłacić za to naprawdę dużo.

Podniósł telefon i wybrał numer. Odebrano po drugim dzwonku.

– Co tam u was słychać, Halvorsen?

– Zimno. Jon i Thea śpią. Ja siedzę w salonie z widokiem na drogę. Prześpię się rano.

– Mhm.

– Musimy jutro pojechać do mieszkania Thei i wziąć więcej insuliny. Ona ma cukrzycę.

– Dobrze, ale zabierzcie ze sobą Jona. Nie chcę, żeby tam siedział sam.

– Mógłbym ściągnąć tu kogoś innego.

– Nie! – zaprotestował ostro Harry. – Na razie nie chcę nikogo innego w to mieszać.

– To nie.

Harry westchnął.

– Posłuchaj. Wiem, że w zakresie obowiązków nie masz pełnienia funkcji niańki do dziecka. Powiedz, jak mogę ci się za to

odwdzięczyć.

– No...

– No mów!

– Obiecałem Beate, że któregoś wieczoru przed świętami zabiorę ją do restauracji, żeby spróbowała *lutefisk*[6]. Nigdy tego nie jadła, biedactwo.

– To obietnica.

– Dziękuję.

– I... wiesz, co Halvorsen?

– Tak?

– Jesteś... – Harry nabrał powietrza. – ...w porządku.

– Dzięki, szefie.

Harry odłożył słuchawkę. Tom Waits śpiewał o łyżwach, które na zamarzniętym stawie wypisują imię Alice.

21 SOBOTA, 19 GRUDNIA. ZAGRZEB

Trząsł się z zimna, siedząc na kartonie rozłożonym na chodniku biegnącym wzdłuż parku Sofienberg. Był poranny szczyt i ludzie mijali go w pośpiechu. Niektórzy mimo wszystko wrzucali mu kilka koron do tekturowego kubka. Niedługo święta. Płuca go bolały, bo przez całą noc wdychał dym. Podniósł wzrok i spojrzał na Gøteborggata.

To była jedyna rzecz, jaką mógł teraz zrobić.

Pomyślał o Dunaju płynącym przez Vukovar. Cierpliwie i niepowstrzymanie. On też musi taki być. Cierpliwie czekać, aż nadjedzie czołg, aż smok wystawi łeb z dziury. Aż Jon Karlsen wróci do domu. Spojrzał na kolana, które zatrzymały się tuż przed nim.

Podniósł głowę, zobaczył mężczyznę z rudymi obwisłymi wąsami i tekturowym kubkiem w ręku. Mówił coś, głośno i ze złością.

– *Excuse me?*

Mężczyzna odparł po angielsku. Powiedział coś o terytorium.

Wymacał w kieszeni pistolet. Z jedną kulą. Zamiast niego jednak z drugiej kieszeni wyjął duży, ostry kawałek szkła. Żebrak popatrzył na niego ze złością, ale podreptał dalej.

Nie dopuszczał do siebie myśli, że Jon Karlsen nie przyjdzie. Musi przyjść. A on w tym czasie będzie jak Dunaj. Cierpliwy i niepowstrzymany.

– Proszę wejść! – Pogodna kobieta o wydatnym biuście zaprosiła ich do mieszkania na Jacob Aalls gate. Jej akcent zdradzał, że języka uczyła się już w dorosłym wieku.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadzamy – powiedział Harry, wchodząc razem z Beate do przedpokoju. Prawie cała podłoga była tu zastawiona butami, dużymi i małymi.

Kobieta pokręciła głową, kiedy też chcieli zdjąć buty.

– Zimno – powiedziała. – Głodni?

– Nie, dziękuję, właśnie zjadłam śniadanie – odparła Beate.

Harry tylko przyjaźnie pokręcił głową.

Zaprowadziła ich do pokoju. Przy stole siedziała, jak Harry przypuszczał, rodzina Miholjeców, dwaj dorośli mężczyźni, chłopiec w wieku Olega, mała dziewczynka i dziewczyna, prawdopodobnie Sofia. Chowała oczy za zasłoną czarnej grzywki, a na kolanach trzymała niemowlę.

– *Zdravo!* – odezwał się starszy z mężczyzn, chudy, o siwiejących, ale gęstych włosach i czarnym spojrzeniu, które Harry rozpoznał. To było gniewne, przestraszone spojrzenie człowieka wyjętego spod prawa.

– To mój mąż – oznajmiła kobieta. – Rozumie po norwesku, ale mało mówi. A to wujek Josip. Przyjechał na święta. To moje dzieci.

– Cała czwórka? – spytała Beate.

– Tak – roześmiała się kobieta. – Ten ostatni to dar od Boga.

– Jest słodki. – Beate zaczęła stroić miny do niemowlęcia, które z zachwytem zagaworzyło, i, co Harry zdążył przewidzieć, nie powstrzymała się od uszczypnięcia dziecka w pucołowaty rumiany policzek. Dawał Beate i Halvorsenowi rok, maksimum dwa lata, zanim zrobią sobie podobne.

Mężczyzna coś mruknął, żona mu odpowiedziała. Potem zwróciła się do Harry'ego:

– On każe mi wam powiedzieć, że wy, w Norwegii, nie chcecie, żeby u was pracował ktoś inny, oprócz Norwegów. On stale próbuje, ale nie może znaleźć pracy.

Harry spojrzał na mężczyznę i skinął mu głową, ale nie doczekał się odpowiedzi.

– Siadajcie. – Kobieta wskazała dwa wolne krzesła.

Usiedli. Harry zobaczył, że Beate wyjmuje notes.

– Przyszliśmy spytać o...

– ...Roberta Karlsena – dokończyła kobieta, patrząc na męża, który ze zrozumieniem kiwnął głową.

– No właśnie. Co możecie nam o nim powiedzieć?

– Niewiele. Prawie go nie znaliśmy. Prawie. – Spojrzenie kobiety jakby przypadkiem padło na Sofię, która siedziała z nosem wtulonym w delikatne włoski niemowlęcia. – Jon kazał Robertowi nam pomóc, gdy latem przeprowadzaliśmy się z tego małego mieszkania na klatce A. Jon to dobry człowiek. Załatwił nam większe mieszkanie, kiedy mały się urodził. Rozumiesz? – zaśmiała się do dziecka. – Ale Robert głównie stał i rozmawiał z Sofią. I... No, ona ma dopiero piętnaście lat.

Harry zobaczył, że twarz młodej dziewczyny gwałtownie zmienia kolor.

– Mhm. My też chętnie porozmawialibyśmy z Sofią.

– No to rozmawiajcie – powiedziała matka.

– Najchętniej z nią samą.

Rodzice popatrzyli na siebie. Pojedynek trwał zaledwie dwie sekundy, lecz Harry i tak sporo zdążył z niego wyczytać: być może kiedyś to mężczyzna o wszystkim decydował, ale w tej nowej rzeczywistości, w nowym kraju, to kobieta wykazała się większą zdolnością przystosowania i decyzje należały do niej. Kiwnęła głową.

– Usiądźcie sobie w kuchni. Nie będziemy przeszkadzać.

– Dziękujemy – odparła Beate.

– Nie ma za co. Chcemy, żebyście złapali tego, który to zrobił. Wiecie coś o nim?

– Przypuszczamy, że to płatny zabójca z Zagrzebia – odparł Harry. – W każdym razie dzwonił z Oslo do tamtejszego hotelu.

– Do którego?

– Do hotelu International.

Zauważył, że ojciec Sofii z wujem wymieniają spojrzenia.

– Wiecie coś o tym? – spytał.

Ojciec pokręcił głową.

– Będę wdzięczny za każdą informację. Ten mężczyzna ściga teraz Jona. Podziurawił mu kulami drzwi.

Wyraz twarzy ojca Sofii zmienił się w niedowierzanie. Mężczyzna dalej jednak milczał.

Matka poszła przodem do kuchni, za nią niechętnie, powłócząc nogami, Sofia. Jak większość nastolatków, przypuszczał Harry. Pewnie Oleg za kilka lat będzie się zachowywał identycznie.

Po wyjściu matki Harry wyjął notatnik, a Beate zajęła miejsce na krześle naprzeciwko Sofii.

– Mam na imię Beate. Czy ty i Robert byliście parą?

Sofia spuściła wzrok i pokręciła głową.

– Byłaś w nim zakochana?

Znów przeczenie.

– Czy on ci zrobił krzywdę?

Po raz pierwszy od ich przyjścia Sofia odgarnęła zasłonę czarnych włosów i popatrzyła wprost na Beate. Harry domyślał się, że pod ciężkim makijażem kryje się bardzo ładna dziewczyna. Teraz widział w niej jedynie ojca, rozgniewanego i wystraszonego. I siniak na czole, którego nie zdołał zasłonić makijaż.

– Nie – powiedziała.

– To ojciec kazał ci nic nie mówić, Sofio? Widzę po tobie, że tak.

– Co ty możesz widzieć?

– Że ktoś cię skrzywdził.

– Kłamiesz.

– A skąd ten guz na czole?

– Uderzyłam się o drzwi.

– Teraz to ty kłamiesz.

– Udajesz taką mądrą – prychnęła Sofia – ale nic nie wiesz! Jesteś tylko starą policjantką, a tak naprawdę to wolałabyś siedzieć w domu z dzieciakami. Widziałam, co robiłaś z naszym maluchem.

Gniew wciąż w niej płonął, ale głos powoli zaczynał się łamać. Harry dawał jej jeszcze jedno zdanie. Maksymalnie dwa.

Beate westchnęła.

– Musisz nam ufać, Sofio. I musisz nam pomóc. Próbujemy złapać zabójcę.

– To przecież nie moja wina. – Głos przestał jej słuchać i Harry stwierdził, że poradziła sobie tylko z jednym zdaniem. Potem

przyszły łzy. Cały wodospad łez. Sofia pochyliła się i zasłona znów się zasunęła.

Beate położyła jej rękę na ramieniu, ale dziewczyna ją odepchnęła.

– Idźcie sobie! – zawołała.

– Wiedziałaś, że Robert był jesienią w Zagrzebiu? – spytał Harry.

Zerknęła na niego przez moment z niedowierzaniem widocznym na twarzy, zalanej rozmazanym makijażem.

– Nie powiedział ci o tym? – ciągnął Harry. – To pewnie też i nie mówił ci, że zakochał się w dziewczynie, która się nazywa Thea Nilsen?

– Nie – odparła Sofia szeptem. – I co z tego?

Harry próbował z jej twarzy wyczytać, czy ta informacja zrobiła na niej wrażenie, ale rozpływający się tusz to uniemożliwiał.

– Byłaś w sklepie Freteksu pytać o Roberta. Co chciałaś?

– Papierosa! – zawołała wściekła Sofia. – Idźcie stąd!

Harry i Beate popatrzyli po siebie, w końcu wstali.

– Namyśl się – powiedziała Beate. – Możesz zadzwonić do mnie pod ten numer. – Położyła na stole wizytówkę.

Matka czekała na nich w korytarzu.

– Przykro mi – przeprosiła Beate. – Ona się bardzo zdenerwowała. Może powinna pani z nią porozmawiać.

Wyszli na grudniowy poranek na Jacob Aalls gate i ruszyli w stronę Suhms gate, bo tam Beate udało się znaleźć miejsce do parkowania.

– *Oprostite!*

Odwrócili się. Głos dobiegał z bramy, w której świecił żar dwóch papierosów. Niedopałki upadły na ziemię i z cieni wyłoniło się dwóch mężczyzn. Ojciec Sofii i wujek Josip.

– Hotel International, tak? – powiedział ojciec.

Harry kiwnął głową. Ojciec Sofii kątem oka zerknął na Beate.

– Pójdę po samochód – rzuciła szybko. Harry nigdy nie mógł się nadziwić, jak dziewczyna, którą tak dużą część swojego krótkiego życia spędzała w samotności, oglądając nagrania wideo i ślady techniczne, potrafiła rozwinąć w sobie tak wielką inteligencję społeczną, znacznie przewyższającą jego własną.

– Ja pracował pierwszy rok w, no wiesz, przeprowadzki. Ale plecy kaput. Z Vukovarem byłem *electro engineer*, rozumiesz? Przed wojną. Tu mi nic nie dają robić. Cholera!

Harry kiwnął głową i czekał.

Wujek Josip coś powiedział.

– *Da, da* – mruknął ojciec Sofii i znów zwrócił się do Harry'ego: – Kiedy armia jugosłowiańska chciała zdobyć Vukovar w dziewięćdziesiątym pierwszym, tak? Był chłopiec, który wysadził w powietrze dwanaście czołgów, używał... *landmines*, tak? Nazywaliśmy go *Mali Spasitelj*?

– *Mali Spasitelj* – powtórzył wujek Josip z nabożeństwem w głosie.

– Mały Wybawiciel – przetłumaczył ojciec. – Taki był jego... imię, mówili w walkie-talkie.

– Pseudonim?

– Tak. Po kapitulacji Vukovaru Serbowie go szukali. Ale nie znaleźli. Ktoś mówił, że on nie żyje. Inni w to nie wierzyli. Mówili, że on nigdy nie był... nie istniał, tak?

– Jaki to ma związek z hotelem International?

– Po wojnie ludzie z Vukovaru nie mieli domów. Same gruzy. Jedni przyjechali tutaj. Ale głównie do Zagrzebia. Prezydent Tudjman...

– Tudjman – powtórzył wujek, przewracając oczami.

– I jego ludzie dali im pokoje w starym wielkim hotelu, gdzie ich mogli obserwować. Pilnować, tak? Jedli zupę i nie mieli pracy. Tudjman nie lubił ludzi ze Slawonii. Za dużo serbskiej krwi. Potem Serbowie z Vukovaru zaczęli umierać. Ludzie gadali, że *Mali Spasitelj* wrócił.

– *Mali Spasitelj* – zaśmiał się wujek Josip.

– Mówili, że Chorwaci mogą szukać pomocy. W hotelu International.

– Jak to?

Ojciec wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Plotki.

– Mhm. Czy ktoś jeszcze wie o tym... wybawicielu i o hotelu International?

– Jeszcze?

– Na przykład ktoś z Armii Zbawienia?

– No tak. David Eckhoff wie wszystko. I inni też. On dał głos... po obiedzie na Østgård latem.

– Przemawiał?

– Tak. Mówił *Mali Spasitelj*, i że niektórzy stale są na wojnie. Że wojna nigdy się nie kończy. Dla nich też.

– Naprawdę komandor tak powiedział? – spytała Beate, kierując samochód w oświetlony tunel Ibsena. Zahamowała i ustawiła się na końcu nieruchomego korka.

– Według pana Miholjeca – uściślił Harry. – I podobno wszyscy przy tym byli. Również Robert.

– I ty uważasz, że to mogło podsunąć Robertowi pomysł wynajęcia płatnego zabójcy? – Beate niecierpliwie zabębniła palcami w kierownicę.

– No cóż, w każdym razie wiemy, że Robert był w Zagrzebiu. A jeśli wiedział, że Jon spotyka się z Theą, to miał również motyw.

– Harry potarł brodę. – Posłuchaj, mogłabyś załatwić zabranie Sofii do lekarza na gruntowne badanie? O ile się nie mylę, jest więcej niż ten jeden siniak. A ja postaram się polecieć przedpołudniowym samolotem do Zagrzebia.

Beate rzuciła mu szybkie, surowe spojrzenie.

– Jadąc za granicę, powinieneś wspomagać policję danego kraju. Albo na urlop. Instrukcja mówi wyraźnie, że...

– To ostatnie się zgadza. Krótki przedświąteczny urlop.

Beate westchnęła z rezygnacją.

– Wobec tego mam nadzieję, że dasz też trochę urlopu Halvorsenowi. Planowaliśmy odwiedzić jego rodziców w Steinkjer. A ty gdzie będziesz w tym roku w święta?

W tej samej chwili zadzwoniła komórka i Harry zaczął jej szukać po kieszeniach, ale zdążył jeszcze odpowiedzieć:

– W zeszłym roku spędzałem święta z Rakel i Olegiem. Rok wcześniej z ojcem i Sio. A w tym roku nie miałem nawet czasu pomyśleć, co będę robił.

Myślał, że to Rakel, gdy zobaczył, że grzebiąc w kieszeni, musiał wcisnąć jakiś klawisz i odebrać połączenie, bo teraz przy uchu usłyszał śmiech:

– Możesz przyjść do mnie. W Wigilię mamy dom otwarty i zawsze potrzebujemy wolontariuszy. Do Latarni Morskiej.

Upłynęły dwie sekundy, nim Harry zrozumiał, że to nie Rakel.

– Zadzwoniłam tylko powiedzieć, że przykro mi z powodu wczorajszego wieczoru – ciągnęła Martine. – Nie chciałam wcale tak uciekać. Poczułam się trochę odrzucona. Dostałeś te odpowiedzi, których potrzebowałeś?

– A, to ty – odezwał się Harry neutralnym w swojej opinii głosem, ale i tak zauważył błyskawiczne spojrzenie Beate. Ta jej nadzwyczajna inteligencja emocjonalna...

– Mogę do ciebie oddzwonić?

– Oczywiście.

– Dziękuję.

– Nie ma za co – powiedziała to poważnym tonem, ale Harry usłyszał śmiech.

– Jeszcze tylko jedna maleńka rzecz.

– Tak?

– Co robisz we wtorek?

– Nie wiem – odparł Harry.

– Mamy dodatkowy bilet na koncert świąteczny w Sali Koncertowej.

– Aha.

– Chyba nie zemdlałeś z zachwytu.

– Przepraszam. Mam dużo roboty, a poza tym niezbyt dobrze sobie radzę na takich garniturowych galach.

– A artyści są zbyt zwyczajni i nudni.

– Tego nie powiedziałem.

– Ja to powiedziałam. A mówiąc, że mamy dodatkowy bilet, miałam właściwie na myśli siebie.

– Ach tak?

– Miałbyś okazję zobaczyć mnie w sukni. Całkiem nieźle w niej wyglądam. Brak mi tylko odpowiednio wysokiego starszego partnera. Pomyśl o tym.

– Dobrze – roześmiał się Harry. – Obiecuję, że pomyślę. Dziękuję.

– Nie ma za co.

Beate nie odezwała się ani słowem, kiedy się rozłączył, nie skomentowała uśmiechu, który nie chciał mu zejść z twarzy, powiedziała tylko, że według prognozy pogody pługi będą miały co robić. Czasami Harry zastanawiał się, czy Halvorsen ma świadomość, jak świetnie trafił.

Jon Karlsen jeszcze się nie pojawił. On sztywno wstał z chodnika przy parku Sofienberg. Miał wrażenie, że chłód rozchodzący się po jego ciele bije ze środka ziemi. Krew zaczęła krążyć w nogach, gdy tylko zaczął iść, ale musiał przy tym powitać ból. Nie liczył, ile godzin przesiedział po turecku nad tekturowym kubkiem przed sobą, obserwując kto wchodzi i wychodzi z kamienicy na Gøteborggata, ale światło dzienne powoli zaczynało już znikać. Wsunął rękę do kieszeni.

Użebrane pieniądze na pewno wystarczą na kawę, coś do zjedzenia i może na paczkę papierosów. Pospieszył w stronę skrzyżowania i kawiarni, w której dostał tekturowy kubek. Zauważył w środku automat telefoniczny, ale zrezygnował z tego pomysłu. Przed kawiarnią zatrzymał się, ściągnął niebieski kaptur i przejrzał się w wystawie. Nic dziwnego, że ludzie biorą go za biedaka w potrzebie. Broda rosła mu szybko, a na twarzy widniały smugi sadzy z ogniska w kontenerze.

W szybie wystawowej zobaczył, że światła zmieniają się na czerwone, a na jego wysokości zatrzymuje się samochód. Zajrzał do niego, już dotykając drzwi do kawiarni. I zamarł. Smok. Serbski czołg. Jon Karlsen. Na siedzeniu pasażera. Zaledwie dwa metry od niego.

Wszedł do kawiarni i stanął pod oknem, obserwując samochód. Wydawało mu się, że gdzieś już widział mężczyznę za kierownicą, ale nie mógł sobie przypomnieć gdzie. W Schronisku. Tak, to jeden z policjantów, którzy byli z Holem. Z tyłu siedziała kobieta.

Światła się zmieniły. Wybiegł i zobaczył siwy dym wydobywający się z rury wydechowej samochodu, który przyspieszył, jadąc ulicą wzdłuż parku. Ruszył biegiem za nim. Daleko przed sobą widział, że samochód skręca w Gøteborggata. Obszukał kieszenie. Zdrętwiałymi palcami, prawie pozbawionymi

czucia, wymacał kawałek szkła z okna baraku. Nogi nie chciały go słuchać, były niczym martwe protezy. Pomyślał, że jeśli źle stąpnie, to pękną jak sople lodu.

Park z drzewami, przedszkolem i nagrobkami skakał mu przed oczami jak obraz na płótnie ekranu. Ręka znalazła pistolet. Musiał skaleczyć się szkłem do krwi, bo lufa wydawała się lepka.

Halvorsen zaparkował przed Gøteborggata cztery i razem z Jonem wysiedli z samochodu, żeby rozprostować nogi. Thea sama poszła po insulinę.

Halvorsen patrzył w górę i w dół pustej ulicy. Jon kręcący się po chodniku też sprawiał wrażenie niespokojnego. Przez okno samochodu Halvorsen widział konsolę, na której leżała kabura ze służbowym rewolwerem; zdjął ją, bo przeszkadzała mu prowadzić. Gdyby coś zaszło, mógł po nią sięgnąć w ciągu dwóch sekund. Włączył komórkę i zobaczył, że w trakcie jazdy ktoś zostawił wiadomość na sekretarce. Wcisnął klawisz i znajomy głos powiedział mu, że ma jedną wiadomość. Potem rozległ się sygnał, a po sygnale głos, tym razem nieznajomy. Halvorsen słuchał z narastającym zdumieniem. Zobaczył, że Jon zareagował na głos w telefonie i przysunął się bliżej. Zdumienie Halvorsena przeszło w niedowierzanie.

Kiedy się rozłączał, Jon patrzył na niego pytająco, ale Halvorsen nic nie powiedział, tylko pospiesznie wybrał jakiś numer.

– Co to było? – spytał Jon.

– Przyznanie się do winy – odparł krótko Halvorsen.

– A co teraz robisz?

– Zgłaszam to Harry'emu.

Halvorsen podniósł głowę i zobaczył, że twarz Jona wykrzywiła się, oczy zrobiły się wielkie i czarne, wyglądały tak, jakby patrzyły na wskroś przez niego.

– Coś nie tak? – spytał.

Harry przeszedł przez kontrolę celną i wszedł do skromnego terminalu lotniska Pleso. Wsunął kartę VISA do bankomatu, który bez protestów wypłacił mu tysiąc koron w kunach. Połowę odłożył do brązowej koperty, potem wyszedł na zewnątrz i wsiadł do mercedesa z niebieskim szyldem taksówek.

– Hotel International – powiedział.

Taksówkarz wrzucił bieg i bez słowa ruszył.

Z niskiej pokrywy chmur padał deszcz na brunatne pola z plamami szarego śniegu. Jechali autostradą biegnącą przez uśpiony krajobraz na północny zachód, w stronę Zagrzebia.

Już po kwadransie miasto zaczęło nabierać kształtów. Na horyzoncie rysowały się betonowe bloki i wieże kościelne. Minęli czarną, spokojnie płynącą rzekę, Harry przypuszczał, że to Sawa. Wjechali do miasta szeroką aleją, która sprawiała wrażenie przesadnie dużej dla skromnego ruchu. Minęli dworzec kolejowy i wielki otwarty bezludny park z dużym przeszklonym pawilonem. Nagie drzewa wyciągały ku niebu po zimowemu czarne palce gałęzi.

– Hotel International – oznajmił taksówkarz, skręcając pod szary imponujący betonowy kolos z rodzaju tych, jakie zwykle budowały kraje komunistyczne dla swoich czołowych przywódców.

Harry zapłacił. Hotelowy odźwierny, wystrojony jak admirał, już otworzył drzwiczki samochodu i czekał gotowy z parasolem i szerokim uśmiechem.

– *Welcome, Sir. This way, Sir.*

Harry stanął na chodniku w tej samej chwili, gdy z obrotowych drzwi wyszło dwoje gości i wsiadło do mercedesa, który właśnie podjechał. Za drzwiami błyszczał kryształowy żyrandol. Harry nie ruszał się z miejsca.

– *Refugees?*

– *Sorry, Sir?*

– Uchodźcy – powtórzył Harry. – Vukovar.

Poczuł krople deszczu na głowie, kiedy parasol zniknął, podobnie jak szeroki uśmiech, a osłonięty rękawiczką palec admirała wskazał mu drzwi widoczne kawałek dalej.

Pierwszą rzeczą, jaka uderzyła Harry'ego po wejściu do wielkiego, nagiego lobby z wysokim sklepieniem, był zapach szpitala. A czterdzieści-pięćdziesiąt osób, które stały lub siedziały przy dwóch długich stołach na środku albo czekały w kolejce po zupę przy recepcji, skojarzyło mu się z pacjentami. Może chodziło o coś w ich ubraniach, bezkształtnych dresach, zniszczonych swetrach i dziurawych kapciach, świadczących o obojętności na wygląd. A może to przez głowy pochylone nad talerzami z zupą i senne, pozbawione energii spojrzenia, które ledwie zwróciły na niego uwagę.

Wzrok Harry'ego omiótł cały lokal i zatrzymał się przy barze. Przypominał raczej budkę z kiełbaskami i chwilowo nie miał żadnych klientów, tylko barman robił trzy rzeczy naraz: czyścił szkło, głośno komentował mecz piłkarski w telewizorze wiszącym pod sufitem do mężczyzn przy najbliższym stoliku i śledził każdy najmniejszy ruch Harry'ego.

Harry domyślił się, że dobrze trafił, i podszedł do kontuaru. Barman przeciągnął dłonią przez zaczesane do tyłu natłuszczone włosy.

– *Da?*

Harry usiłował zignorować butelki stojące na półce z samego tyłu budki z kiełbaskami, ale od razu rozpoznał swojego starego przyjaciela i wroga, Jima Beama. Barman, patrząc za jego wzrokiem,

pytającym gestem wskazał prostokątną butelkę z brunatną zawartością.

Harry pokręcił głową i nabrał powietrza. Nie było powodu, by wszystko jeszcze bardziej komplikować.

– *Mali Spasitelj?* – spytał tak cicho, że jedynie barman usłyszał go wśród hałasu telewizora. – Szukam Małego Wybawiciela.

Barman uważniej mu się przyjrzał, nim odpowiedział po angielsku z twardym niemieckim akcentem:

– Nie znam żadnego Wybawiciela.

– Od przyjaciela z Vukovaru dowiedziałem się, że *Mali Spasitelj* może mi pomóc. – Harry wyjął z kieszeni brązową kopertę i położył ją na ladzie.

Barman spojrzał na kopertę, ale jej nie tknął.

– Jesteś policjantem – powiedział.

Harry pokręcił głową.

– Kłamiesz – stwierdził barman. – Zorientowałem się od razu, kiedy wszedłeś.

– Zobaczyłeś kogoś, kto był policjantem przez dwanaście lat, ale już nim nie jest. Skończyłem z tym dwa lata temu. – Harry wytrzymał jego spojrzenie, zastanawiając się, za co ten człowiek mógł siedzieć. Sądząc po wielkości mięśni i tatuażach, musiało to być coś, za co siedział długo.

– Tu nie mieszka nikt, kogo by nazywano Wybawicielem. A ja znam wszystkich.

Już miał się odwrócić, kiedy Harry wychylił się przez kontuar i złapał go za ramię. Barman popatrzył na jego dłoń, a Harry poczuł napinający się biceps. W końcu go puścił.

– Mojego syna zastrzelił diler narkotyków, który sprzedawał towar pod szkołą, a mój syn zagroził, że powie dyrektorowi, jeśli tamten nie zniknie.

Barman nie odpowiedział.

– Miał jedenaście lat – dodał Harry.

– Nie mam pojęcia, po co mi pan to mówi, *mister*.

– Żebyś zrozumiał, dlaczego tu przyjechałem i mam zamiar siedzieć i czekać, aż zjawi się ktoś, kto będzie mógł mi pomóc.

Barman z namysłem kiwnął głową. Pytanie padło błyskawicznie:

– Jak miał na imię twój syn?

– Oleg.

Stanęli, mierząc się wzrokiem. Barman zmrużył oko. Harry czuł, że komórka wibruje bezgłośnie w kieszeni, ale jej nie odebrał.

Barman położył dłoń na brązowej kopercie i podsunął ją z powrotem Harry'emu.

– To nie jest konieczne. Jak się nazywasz i w jakim hotelu mieszkasz?

– Przyjechałem prosto z lotniska.

– Zapisz swoje nazwisko na serwetce i zatrzymaj się w hotelu Balkan koło dworca kolejowego. Przez most i dalej prosto. Czekaj w pokoju. Ktoś się z tobą skontaktuje.

Harry chciał coś powiedzieć, ale barman już odwrócił się do telewizora i znów zaczął komentować mecz.

Kiedy wyszedł na zewnątrz, zobaczył, że ma jedno nieodebrane połączenie. Od Halvorsena.

– *Do vraga!* – jęknął. Do diabła.

Śnieg na Gøteborggata wyglądał jak czerwony sorbet.

Stracił orientację. Wszystko odbyło się tak szybko. Ostatnia kula, którą posłał za uciekającym Jonem Karlsenem, wbiła się w fasadę kamienicy z miękkim plaśnięciem. Jon Karlsen zdążył doskoczyć do drzwi i zniknął.

Przykucając, usłyszał, jak zakrwawiony kawałek szkła rozdziera kieszeń kurtki. Policjant leżał na ziemi twarzą w śniegu, który

chłonął krew płynącą z ran w rozpięciu kołnierzyka.

Pistolet, pomyślał. Złapał policjanta za ramię i obrócił. Potrzebował czegoś, czym mógłby strzelać. Powiew wiatru zdmuchnął włosy z nienaturalnie bladej twarzy. Szybko przeszukał kieszenie płaszcza. Krew nie przestawała płynąć, gęsta i czerwona. Ledwie zdążył poczuć kwaśny smak żółci, a już miał jej pełne usta. Odwrócił głowę i żółta zawartość żołądka chlusnęła na przezroczysty lód. Wytarł usta. Kieszenie spodni. Znalazł portfel. Obmacał pasek od spodni. Do diabła, policjancie, musisz mieć pistolet, skoro kogoś chronisz!

Zza rogu wyłonił się samochód i zaczął zbliżać w ich stronę. On zabrał portfel, wstał, przeciął ulicę i zaczął iść. Samochód się zatrzymał. Nie wolno biec. Ruszył biegiem.

Przed sklepem na rogu poślizgnął się na chodniku i wylądował na biodrze, ale podniósł się w tej samej sekundzie, nie czując bólu. Skierował się w stronę parku, tą samą drogą, którą biegł ostatnio. To był jakiś koszmar. Koszmar pełen bezsensownych zdarzeń, które się powtarzały. Czy on oszalał, czy to naprawdę się działo? Zimne powietrze i żółć piekły w gardle. Kiedy dotarł do Markveien, usłyszał pierwsze syreny policyjne. I wtedy to poczuł. Poczuł, że się boi.

22 SOBOTA, 19 GRUDNIA. MINIATURKI

W popołudniowej ciemności Budynek Policji świecił jak choinka. Wewnątrz w pokoju przesłuchań numer dwa tkwił Jon Karlsen z głową w rękach. Po drugiej stronie okrągłego stolika w ciasnym pomieszczeniu siedziała sierżant Toril Li. Między nimi stały dwa mikrofony, leżał też wydruk protokołu z pierwszego przesłuchania

świadka. Przez szybę Jon widział Theę czekającą na swoją kolej w sąsiednim pokoju.

– Więc on was zaatakował? – spytała policjantka, czytając protokół.

– Mężczyzna w niebieskiej kurtce nadbiegł w naszą stronę z pistoletem w ręku.

– A potem?

– Wszystko działo się bardzo szybko. Przestraszyłem się tak, że pamiętam tylko urywki. Może to przez ten wstrząs mózgu.

– Rozumiem – powiedziała Toril Li z miną, która świadczyła o tym, że jest wprost przeciwnie. Zerknęła na czerwone światełko wskazujące, że urządzenie wciąż nagrywa.

– A Halvorsen pobiegł w stronę samochodu?

– Tak, miał tam pistolet. Pamiętam, że przed wyjazdem z Østgård położył go na środkowej konsoli.

– A ty co zrobiłeś?

– Wpadłem w panikę. Najpierw chciałem się schować w samochodzie, ale zmieniłem zdanie i pobiegłem w stronę wejścia do kamienicy.

– I wtedy sprawca do ciebie strzelił?

– W każdym razie usłyszałem huk.

– Mów dalej.

– Zamknąłem się na klatce, a kiedy wyjrzałem, zobaczyłem, że on się rzucił na Halvorsena.

– Który nie zdążył wsiąść do samochodu?

– Nie. Wcześniej się skarżył, że drzwiczki przymarzają.

– I ten człowiek zaatakował Halvorsena nożem, nie pistoletem?

– Na to wyglądało. Rzucił się na niego od tyłu i kilka razy go dźgnął.

– Ile razy?

– Cztery albo pięć, nie wiem, ja...

– A później?

– Zbiegłem na dół do piwnicy i zadzwoniłem do was pod numer alarmowy.

– Ale zabójca nie poszedł za tobą?

– Nie wiem. Wejściowe drzwi były przecież zamknięte.

– Mógł stłuc szybę. Przecież już i tak uderzył nożem policjanta.

– No tak, pewnie mógł.

Toril Li wpatrywała się w wydruk.

– Przy Halvorsenie znaleziono wymiociny. Przypuszczamy, że sprawcy, ale czy ty możesz to potwierdzić?

Jon pokręcił głową.

– Stałem na schodach do piwnicy, dopóki nie przyjechaliście. Może powinienem był pomóc, ale...

– Tak?

– Bałem się.

– Słusznie. Pewnie słusznie postąpiłeś.

I znów wyraz twarzy mówił co innego niż usta.

– Co powiedzieli lekarze? Czy on...

– Pozostanie w śpiączce, dopóki jego stan ewentualnie się nie poprawi. Ale jeszcze nie wiedzą, czy da się go uratować.

– To jakiś koszmar, który się powtarza – szepnął Jon. – To się cały czas dzieje. Ciągle od nowa.

– Nie każ mi stale przypominać, że powinieneś mówić prosto do mikrofonu – upomniała Toril Li beznamiętnym tonem.

Harry stał przy oknie w pokoju hotelowym i patrzył na ciemne miasto, w którym powykrzywiane i pogięte anteny telewizyjne wykonywały dziwne gesty na tle brązowożółtego nieba. Dźwięk szwedzkiej telewizji tłumiły grube ciemne dywany i zasłony. Max von Sydow grał Knuta Hamsuna. Drzwiczki do minibaru były

otwarte. Na stoliku leżały broszury z hotelu. Pierwszą stronę zdobiło zdjęcia pomnika Josipa Jelacšicia na placu jego imienia, a na Jelacšiciu leżały cztery miniaturowe buteleczki. Johnnie Walker, Smirnoff, Jägermeister, Gordon's. A także dwie butelki piwa marki Ožujsko. Żadna z butelek nie była otwarta. Na razie. Minęła godzina, odkąd zatelefonował Skarre i opowiedział, co się wydarzyło na Gøteborggata.

Chciał być trzeźwy podczas tej rozmowy.

Beate odebrała po czwartym dzwonku.

– Żyje – powiedziała, zanim Harry zdążył spytać. – Podłączyli go do respiratora i jest w śpiączce.

– Co mówią lekarze?

– Nie wiedzą, Harry. Mógł umrzeć na miejscu, bo wygląda na to, że Stankić próbował mu przeciąć główną tętnicę, ale Halvorsen zdołał zasłonić się ręką. Ma głęboką ranę na grzbiecie dłoni i krwawienia z mniejszych naczyń po obu stronach szyi. Stankić uderzył go też kilka razy nożem w pierś, tuż nad sercem. Lekarze mówią, że mógł dosięgnąć wierzchołka.

Oprócz ledwie wyczuwalnego drżenia głosu mówiła tak, jakby opowiadała o jakiejkolwiek ofierze. Harry zrozumiał, że najprawdopodobniej był to jedyny sposób, w jaki miała siłę teraz o tym mówić. Traktować to jak pracę. Zapadła chwila ciszy. Max von Sydow grzmiał pełnym urazy głosem. Harry szukał słów pocieszenia.

– Właśnie rozmawiałem z Toril Li – powiedział jednak. – Zreferowała mi zeznanie Jona Karlsena. Wiesz coś więcej?

– Znaleźliśmy kulę w fasadzie z prawej strony drzwi frontowych. Chłopcy z balistyki ją sprawdzają, ale jestem pewna, że będzie pasowała do kul z Egertorget, z mieszkania Jona i spod Schroniska. To Stankić.

– Dlaczego jesteś taka pewna?

– Ludzie, którzy akurat podjechali samochodem i zobaczyli Halvorsena leżącego na chodniku, powiedzieli, że chwilę wcześniej przeciął im drogę jakiś żebrak. Dziewczyna w lusterku zobaczyła, że kawałek dalej potknął się na chodniku. Sprawdziliśmy to miejsce. Mój kolega, Bjørn Holm, znalazł zagraniczną monetę wciśniętą głęboko w śnieg. W pierwszej chwili uznał, że leżała już tam od paru dni. Nie wiedział, co to za moneta, bo był na niej jedynie napis „Republika Hrvatska" i nominał, pięć kun. Więc to sprawdził.

– Dziękuję, znam odpowiedź. A więc to jednak Stankić.

– Żeby mieć całkowitą pewność, pobraliśmy próbki wymiocin z lodu. Zakład Medycyny Sądowej porównuje już DNA z włosami znalezionymi na poduszce w pokoju, który Stankić zajmował w Schronisku. Mam nadzieję, że jutro będziemy mieć wyniki.

– Przynajmniej mamy ślady DNA.

– Niby tak, ale kałuża wymiocin to jednak, o dziwo, wcale nie idealne miejsce na szukanie DNA. Komórki nabłonka z błon śluzowych są bardzo rozproszone, kiedy ilość wymiocin jest taka duża. A wymiociny pod gołym niebem...

– ...są narażone na zanieczyszczenie niezliczonymi innymi śladami DNA. Wiem to wszystko, ale przynajmniej mamy nad czym pracować. Co teraz robisz?

Beate westchnęła.

– Dostałam trochę dziwny SMS z Instytutu Weterynarii. Muszę do nich zadzwonić, dowiedzieć się, o co im chodzi.

– Z Instytutu Weterynarii?

– Tak, znaleźliśmy w wymiocinach trochę na wpół strawionych resztek mięsa, więc przesłaliśmy je do analizy DNA. Pomyślałam, żeby porównać je z archiwum mięsnym, które Wyższa Szkoła

Rolnicza w Ås wykorzystuje przy szukaniu miejsca pochodzenia i producenta mięsa. Jeśli mięso jest szczególnego gatunku, czasami daje się powiązać z konkretną restauracją w Oslo. To strzał w ciemno, ale jeżeli Stankić znalazł sobie jakąś kryjówkę w ostatniej dobie, to prawdopodobnie jak najmniej się z niej rusza. A jeśli najpierw zjadł coś gdzieś w pobliżu, to przypuszczalnie znów tam wróci.

– Dlaczego by nie próbować? A co jest w tym SMS-ie?

– Że to musi być chińska restauracja. Dość tajemnicze.

– Mhm. Zadzwoń do mnie, kiedy będziesz wiedziała coś więcej. I...

– Tak?

Harry dobrze wiedział, że to, co chce powiedzieć: że Halvorsen to twardziel, że lekarze dzisiaj potrafią robić najniezwyklejsze rzeczy i że wszystko na pewno będzie dobrze, to kompletny idiotyzm.

– Nic.

Kiedy Beate się rozłączyła, Harry odwrócił się do stolika z butelkami. Ene due like fake... Wypadło na Johnniego Walkera. Jedną ręką mocno ujął miniaturkę, a drugą odkręcił, a raczej zerwał korek. Czuł się jak Guliwer. Uziemiony w obcym kraju, gdzie są tylko butelki dla Pigmejów. Wciągnął znajomy słodkawy zapach z wąskiej szyjki. To wystarczyło, by organizm został poinformowany o ataku trucizny i wprawił się w stan gotowości. Harry z lękiem myślał o pierwszym nieuniknionym napadzie mdłości, ale wiedział, że to go nie powstrzyma. W telewizji Knut Hamsun mówił, że czuje się zmęczony i nie jest w stanie już więcej pisać.

Harry nabrał powietrza, jakby zamierzał zanurzyć się głęboko pod wodę.

Zadzwonił telefon.

Harry się zawahał. Telefon po jednym dzwonku ucichł.

Uniósł butelkę i wtedy telefon zadzwonił po raz drugi. Znów ucichł.

Wówczas uświadomił sobie, że dzwonią z recepcji.

Odstawił butelkę na nocny stolik i czekał. Kiedy zadzwonił po raz trzeci, podniósł słuchawkę.

– *Mister Hansen?*

– *Yes.*

– Ktoś chce się z panem zobaczyć w lobby.

Harry wpatrywał się w czerwony surdut dżentelmena na etykietce butelki.

– Proszę przekazać, że zaraz schodzę.

Ujął butelkę w trzy palce. Odchylił głowę i wlał zawartość wprost do gardła. Cztery sekundy później zginał się wpół nad sedesem i rzygał lunchem, zjedzonym w samolocie.

Recepcjonistka wskazała najbliższą pianina kanapę z fotelami, gdzie siedziała drobna siwowłosa kobieta w czarnym szalu narzuconym na ramiona. Obserwowała Harry'ego spokojnymi piwnymi oczami. Zatrzymał się przed stolikiem, na którym stało nieduże radio na baterie. Ożywione głosy komentowały jakieś wydarzenie sportowe, może mecz piłki nożnej. Przeplatały się z dźwiękami pianina za plecami kobiety, przy którym pianista przemykał palcami po klawiszach, warząc mdły kompot z zasuszonych przebojów filmowych.

– *Doktor Żywago* – odezwała się, wskazując głową na pianino. – Piękne, prawda, *mister* Hansen?

Wymowa i akcent angielski były prawidłowe, bardzo szkolne. Uśmiechała się lekko, jakby powiedziała coś zabawnego, i dyskretnym, ale zdecydowanym gestem dała mu znak, żeby usiadł.

– Lubi pani muzykę? – spytał Harry.

– A czy ktoś jej nie lubi? Kiedyś uczyłam muzyki. – Nachyliła się i głośniej nastawiła radio.

– Boi się pani, że ktoś nas może podsłuchiwać?

Z powrotem usiadła.

– Czego pan chce, panie Hansen?

Harry powtórzył historyjkę o synu i mężczyźnie pod szkołą, ale przeszkadzało mu pieczenie żółci w gardle, a w żołądku ujadanie bestii, która domagała się więcej. Historia nie wypadła przekonująco.

– Jak mnie pan znalazł?

– Podpowiedział mi ktoś z Vukovaru.

– Skąd pan przyjechał?

Harry przełknął ślinę. Język wydawał się suchy i obrzmiały.

– Z Kopenhagi.

Popatrzyła na niego. Harry czekał. Czuł kroplę potu spływającą między łopatkami, a inną zbierającą się już nad górną wargą. Do diabła z tym wszystkim, musi zażyć swoje lekarstwo. Teraz!

– Nie wierzę w to, co pan mówi – oświadczyła wreszcie.

– Trudno – powiedział Harry i wstał. – Muszę już iść.

– Proszę zaczekać! – Głos drobnej kobiety był zdecydowany. Ruchem ręki kazała mu usiąść. – To nie znaczy, że nie mam oczu w głowie.

Harry usiadł.

– Widzę nienawiść – dodała. – I cierpienie. Czuję też zapach alkoholu. Wierzę w to, co pan powiedział o zmarłym synu – uśmiechnęła się. – Czego pan oczekuje?

Harry próbował się pozbierać.

– Ile to kosztuje? I jak szybko może nastąpić?

– To zależy. Ale nie znajdzie pan poważnych rzemieślników, którzy byliby tańsi od nas. Zaczynamy od pięciu tysięcy euro plus wydatki.

– W porządku. W przyszłym tygodniu?

– To... Termin może się okazać zbyt krótki.

Wahanie kobiety trwało zaledwie ułamek sekundy, ale wystarczyło. Wystarczyło, żeby Harry wiedział. A teraz zorientował się, że ona również wie, że on wie. W radio głosy wrzeszczały podniecone, a publiczność wiwatowała. Ktoś zdobył punkt.

– Pani nie jest pewna, czy rzemieślnik zdoła tak szybko wrócić?

Długo mu się przyglądała.

– Pan wciąż jest policjantem, prawda?

Harry kiwnął głową.

– Jestem komisarzem z Oslo.

Mięśnie wokół jej oczu drgnęły.

– Ale dla pani jestem niegroźny. Chorwacja to nie moje terytorium jurysdykcyjne i nikt nie wie, że tu przyjechałem. Ani policja chorwacka, ani moi szefowie.

– Więc czego pan chce?

– Negocjować.

– Co? – Wychyliła się i ściszyła radio.

– Pani rzemieślnika w zamian za moją tarczę strzelecką.

– O co panu chodzi?

– O wymianę. O pani człowieka w zamian za Jona Karlsena. Jeśli zrezygnuje z polowania na Karlsena, puścimy go wolno.

Uniosła brew.

– Tylu was jest do pilnowania jednego człowieka przeciwko jednemu rzemieślnikowi, panie Hansen, i tak się boicie?

– Boimy się krwawej łaźni. Pani rzemieślnik już zabił dwoje ludzi i zranił nożem jednego z moich kolegów.

– On... – urwała. – To nie może być prawda!

– Ofiar będzie więcej, jeśli go pani nie przywoła z powrotem. I wtedy jedną z nich będzie on.

Przymknęła oczy. Długo tak siedziała. W końcu nabrała powietrza.

– Jeśli on zabije któregoś z pańskich kolegów, będziecie się mścić. Jak mogę ufać, że dotrzymacie waszej części umowy?

– Nazywam się Harry Hole. – Harry położył swój paszport na stoliku. – Jeśli wyjdzie na jaw, że przyjechałem tu bez zezwolenia władz chorwackich, będziemy mieć zatarg dyplomatyczny, a ja zostanę bez pracy.

Kobieta wyjęła okulary.

– Stawia się więc pan jako zakładnik? Uważa pan, że to brzmi wiarygodnie, panie... – Włożyła okulary na nos i przeczytała: – ...panie Harry Hole?

– Tyle mogę zaoferować w negocjacjach.

Kiwnęła głową.

– Rozumiem. I wie pan co? – Zdjęła okulary. – Być może zgodziłabym się na handel wymienny, ale co to da, skoro nie mogę go wezwać z powrotem?

– O czym pani mówi?

– Nie wiem, gdzie on jest.

Harry obserwował ją, zobaczył ból w spojrzeniu, usłyszał drżenie w głosie.

– No dobrze – powiedział. – Wobec tego musi pani negocjować, posługując się tym, co pani wie. Proszę mi podać nazwisko osoby, która zleciła zabójstwo.

– Nie.

– Jeśli ten policjant umrze... – Harry wyjął z kieszeni zdjęcie i położył między nimi na stole. – ...pani rzemieślnik

najprawdopodobniej zostanie zabity. Będzie to zapewne wyglądało na policyjne strzały w samoobronie. Tak to już jest. Chyba że ja to powstrzymam. Rozumie pani? Czy to jest ta osoba?

– Szantaż źle na mnie działa, Hole.

– Wracam do Oslo jutro rano. Na tym zdjęciu napiszę pani swój numer telefonu. Proszę do mnie zadzwonić, jeśli zmieni pani zdanie.

Schowała zdjęcie do torebki.

Harry powiedział szybko i cicho:

– To pani syn, prawda?

Zdrętwiała.

– Dlaczego pan tak myśli?

– Ja też mam oczy na właściwym miejscu. I też potrafię dostrzec cierpienie.

Kobieta dalej pochylała się nad torebką.

– A co z tobą, Hole? – Podniosła wzrok i popatrzyła na niego. – Nie znasz tego policjanta, skoro tak łatwo rezygnujesz z zemsty?

Harry miał tak sucho w ustach, że parzył go własny oddech.

– Nie – powiedział. – Nie znam go.

Wydało mu się, że słyszy pianie koguta, gdy śledził ją wzrokiem przez okno. Patrzył, jak przechodzi na drugą stronę ulicy, skręca w lewo i znika.

W swoim pokoju opróżnił resztę miniaturowych butelek, wyrzygał się, wypił piwo, znów się wyrzygał, przejrzał się w lustrze i zjechał windą do hotelowego baru.

23 NOC Z NIEDZIELI NA PONIEDZIAŁEK, 20 GRUDNIA. PSY

Siedział w ciemności kontenera i próbował myśleć. W portfelu policjanta było dwa tysiące osiemset koron norweskich i jeśli

dobrze zapamiętał kurs, to stać go było na jedzenie, nową kurtkę i bilet lotniczy do Kopenhagi.

Problemem pozostawała amunicja.

Strzał na Gøteborggata był siódmy i ostatni. Poszedł na Plata wypytać, gdzie można kupić naboje kalibru dziewięć milimetrów, lecz odpowiedzią były jedynie puste spojrzenia. Wiedział, że jeżeli dalej będzie rozpytywał na oślep, prędzej czy później natknie się na wywiadowcę.

Walnął swoim pustym llamą minimax o metalową podłogę.

Z identyfikatora uśmiechał się do niego mężczyzna, Halvorsen. Z całą pewnością otoczyli już Jona Karlsena pierścieniem. Pozostawała tylko jedna możliwość. Koń trojański. Wiedział, kto musi być tym koniem. Harry Hole. Sofies gate pięć, według kobiety z informacji telefonicznej, która powiedziała mu, że to jedyny Harry Hole w Oslo. Spojrzał na zegarek. I zdrętwiał.

Na zewnątrz rozległy się kroki.

Poderwał się, złapał odłamek szkła w jedną rękę, a pistolet w drugą i stanął przy wejściu.

Właz się otworzył. Na tle świateł miasta ujrzał zarys sylwetki. Człowiek prędko wszedł do środka i usiadł na podłodze po turecku.

On wstrzymał oddech.

Nic się nie działo.

Potem trzasnęła zapałka, oświetlając kąt i twarz intruza. W tej samej ręce co zapałkę trzymał łyżeczkę do herbaty. Drugą ręką i zębami rozrywał niedużą plastikową torebeczkę.

Rozpoznał chłopaka w jasnoniebieskiej dżinsowej kurtce.

Kiedy z ulgą znów zaczął oddychać, szybkie, sprawne ruchy chłopaka gwałtownie się urwały.

– Halo? – Zmrużył oczy w ciemności, czym prędzej chowając torebkę do kieszeni.

On chrząknął i wyszedł na skraj światła rzucanego przez zapałkę.

– *Remember me?*

Chłopiec patrzył na niego przerażony.

– Rozmawiałem z tobą pod dworcem. Dałem ci pieniądze. Masz na imię Kristoffer, prawda?

Kristoffer otworzył usta ze zdziwienia.

– *Is that you?* Ten cudzoziemiec, co mi dał pięć stów? O rany! Rzeczywiście, poznaję ten głos... Au! – Kristoffer wypuścił zapałkę, która zgasła na podłodze. W nieprzeniknionej ciemności jego głos zabrzmiał jakby bliżej: – Zgadzasz się, żebyśmy się dzisiaj podzielili chatą, kolego?

– Możesz ją mieć dla siebie. Właśnie się wyprowadzam.

Zapłonęła kolejna zapałka.

– Lepiej by było, gdybyś został. We dwóch cieplej. Naprawdę, człowieku. – Nabrał na łyżeczkę odrobinę płynu z buteleczki.

– Co to jest?

– Woda i kwas askorbinowy. – Kristoffer otworzył plastikową torebkę i wsypał proszek na łyżeczkę, nie roniąc nawet jednej grudki, a potem zręcznie przełożył zapałkę do drugiej ręki.

– Nieźle ci to idzie, Kristoffer.

Obserwował, jak ćpun umieszcza płomyk pod łyżeczką, a jednocześnie przygotowuje już kolejną zapałkę.

– Na Plata nazywają mnie *Steadyhand*.

– Nic dziwnego. Słuchaj, muszę już iść, ale zamieńmy się na kurtki, to może jakoś przetrwasz tę noc.

Kristoffer spojrzał najpierw na swoją cienką dżinsową kurtkę, a potem na jego grubą, niebieską.

– O rany, naprawdę?

– Oczywiście.

– Cholera, miło z twojej strony. Zaczekaj tylko, aż sobie strzelę. Potrzymasz zapałkę?

– A nie łatwiej by ci było, gdybym potrzymał strzykawkę?

Kristoffer spojrzał na niego ze złością.

– Może i jestem zielony, ale nie dam się złapać na najstarszą na świecie podpuchę. Trzymaj zapałkę.

Proszek rozpuścił się w wodzie i zmienił ją w przezroczystą brunatną ciecz. Kristoffer położył na łyżeczce maleńki kłębuszek waty.

– Żeby się pozbyć gówna, które może być w środku – wyjaśnił, zanim tamten spytał, i przez watkę wciągnął ciecz w strzykawkę. Potem założył igłę.

– Widzisz, jaką mam ładną skórę? Prawie nic nie widać. I dobre grube żyły. Mówią, że jak u dziewicy. Ale za parę lat pożółknie od zainfekowanych strupów jak u wszystkich innych i przestanę już być *Steadyhand*. Mam tego świadomość, ale dalej to robię. Idiotyczne, nie?

Gadając, potrząsał strzykawką, żeby ją ostudzić. Owinął ramię paskiem gumy, przyłożył czubek igły do żyły, która wiła się pod skórą jak niebieski wąż. Metal przebił skórę. Wstrzyknął heroinę do krwi. Powieki mu opadły, a usta się otwarły. Odchylił głowę, dopiero wtedy jego spojrzenie odnalazło kołyszące się w powietrzu truchło psa.

On długo patrzył na Kristoffera. W końcu wyrzucił spaloną zapałkę i rozpiął suwak niebieskiej kurtki.

Kiedy Beate Lønn wreszcie udało się dodzwonić, prawie nie słyszała Harry'ego z powodu dźwięczącej w tle dyskotekowej wersji *Jingle Bells*. Słyszała jednak dość, by zrozumieć, że nie jest trzeźwy. Nie dlatego, że bełkotał, przeciwnie, mówił bardzo wyraźnie. Opowiedziała mu o Halvorsenie.

– Tamponada serca? – zawołał Harry.

– Krwotok wewnętrzny, który wypełnia okolice serca krwią, nie pozwalając mu normalnie bić. Musieli mu usunąć dużo krwi. To się już teraz ustabilizowało, ale wciąż jest w śpiączce. Trzeba po prostu czekać. Zadzwonię do ciebie, jakby coś się działo.

– Dzięki. Coś jeszcze powinienem wiedzieć?

– Hagen wysłał Jona Karlsena i Theę Nilsen z powrotem na Østgård z dwiema niańkami. A ja rozmawiałam z matką Sofii Miholjec, obiecała zaprowadzić dzisiaj Sofię do lekarza.

– Mhm. A co z tą informacją z Instytutu Weterynaryjnego na temat kawałków mięsa w wymiocinach?

– Powiedzieli, że proponują poszukiwanie chińskiej knajpy, bo Chiny to jedyny znany im kraj, w którym ludzie jedzą coś takiego.

– To znaczy co?

– Psy.

– Psy? Zaczekaj!

Muzyka ucichła, teraz słychać było ruch uliczny. W końcu znów pojawił się głos Harry'ego:

– Ale przecież, do cholery, nie serwują psiego mięsa w Norwegii?

– Nie, to coś wyjątkowego. Instytut Weterynarii zdołał ustalić rasę, więc jutro zadzwonię do Norweskiego Związku Kynologicznego. Oni prowadzą rejestr wszystkich właścicieli psów czystej rasy.

– Nie bardzo wiem, jak by nam to miało pomóc. Przecież w Norwegii jest ze sto tysięcy psów.

– Czterysta tysięcy. Co najmniej jeden na pięć gospodarstw domowych. Sprawdziłam. Rzecz w tym, że to rzadka rasa. Słyszałeś o czarnym metznerze?

– Powtórz, proszę.

Powtórzyła. Przez parę sekund słyszała tylko samochody jadące ulicami Zagrzebia, ale w końcu Harry zawołał:

– To przecież najzupełniej logiczne! Człowiek bez dachu nad głową! Że też nie pomyślałem o tym wcześniej!

– O czym?

– Wiem, gdzie ukrywa się Stankić.

– Co?

– Musisz złapać Hagena, niech załatwi wezwanie Delty na akcję zbrojną.

– Co takiego? Co ty wygadujesz?

– Port kontenerowy. Stankić ukrywa się w którymś z kontenerów.

– Skąd wiesz?

– Bo w Oslo nie ma tak cholernie dużo miejsc, gdzie można zjeść czarnego metznera. Dopilnuj, żeby Delta i Falkeid otoczyli pierścieniem cały port, kiedy przylecę jutro pierwszym samolotem. Ale niech nikogo nie zatrzymują, dopóki nie wrócę. Jasne?

Kiedy Beate się rozłączyła, Harry dalej stał na ulicy wpatrzony w hotelowy bar. Ten, w którym dudniła plastikowa muzyka. I gdzie czekała na niego opróżniona zaledwie do połowy szklanka z trucizną.

Już go miał, *Malego Spasitelja*. Teraz potrzebna była jedynie jasna głowa i pewna ręka. Harry pomyślał o Halvorsenie, o sercu, które dławi się krwią. Mógł iść prosto do swojego pokoju, gdzie nie było już alkoholu, zamknąć drzwi na klucz, a klucz wyrzucić przez okno. Ale mógł wejść tam i dokończyć swojego drinka. Odetchnął głęboko i wyłączył komórkę. Potem wszedł do baru.

Pracownicy Kwatery Głównej Armii Zbawienia już dawno pogasili światła i rozeszli się do domów, ale w biurze Martine wciąż się świeciło. Dziewczyna wykręciła numer Harry'ego, zadając sobie te same pytania. Czy wydawał się taki interesujący, ponieważ był

starszy, czy może dlatego, że skrywał w sobie tyle zamkniętych uczuć. A może dlatego, że wyglądał na zatraconego? Epizod z odrzuconą kobietą na klatce schodowej powinien ją odstraszyć, ale z jakiegoś powodu stało się odwrotnie, jeszcze bardziej nastawiła się na... Czego właściwie chciała? Jęknęła, słysząc wiadomość, że abonent ma wyłączony telefon albo znajduje się poza zasięgiem sieci. Zadzwoniła do informacji, dostała numer telefonu stacjonarnego na Sofies gate i wykręciła. Serce podskoczyło jej w piersi, gdy usłyszała jego głos, ale to była tylko automatyczna sekretarka. Martine miała idealną wymówkę, żeby wpaść do niego w drodze do domu, a tymczasem jego nie ma! Nagrała wiadomość, że musi zostawić mu bilet na koncert świąteczny wcześniej, bo sama będzie pomagać w Sali Koncertowej już przed południem.

Odłożyła słuchawkę i w tej samej chwili poczuła, że ktoś w drzwiach ją obserwuje.

– Rikard! Nie rób tak, przestraszyłeś mnie!

– Przepraszam. Wracam do domu i chciałem tylko sprawdzić, czy jestem ostatni. Odwieźć cię?

– Dziękuję, ale...

– Przecież już włożyłaś kurtkę. Chodź, nie będziesz musiała męczyć się z alarmem – zaśmiał się trochę sztucznie.

Martine w zeszłym tygodniu już dwa razy udało się uruchomić nowy alarm, kiedy wychodziła jako ostatnia, i musieli płacić ochronie za przyjazd.

– No dobrze. Wobec tego dziękuję.

– Nie ma... – pociągnął nosem Rikard. – Nie ma za co.

Serce mu waliło. Czuł zapach policjanta Holego. Ostrożnie otworzył drzwi do pokoju i obmacując ręką ściany, znalazł przełącznik. W drugiej ręce trzymał pistolet skierowany w stronę łóżka, które ledwie widział w ciemności. Wstrzymał powietrze

i przekręcił przełącznik, sypialnię zalało światło. Okazała się niemal całkiem nagim pokojem z prostym łóżkiem, zaścielonym i pustym. Tak samo jak reszta mieszkania. Sprawdził już pozostałe pomieszczenia, a teraz stał w sypialni i czuł, że puls powoli mu się uspokaja. Holego nie było w domu.

Wsunął swój pusty pistolet do kieszeni brudnej dżinsowej kurtki i poczuł, że broń miażdży tabletki zapachowe, zabrane z toalety na Dworcu Centralnym przy automacie telefonicznym, z którego dzwonił do informacji, gdzie podano mu adres na Sofies gate.

Łatwiej się tu dostał, niż przypuszczał. Dwa razy zadzwonił z dołu, ale nikt nie odpowiedział, więc prawie już się poddał. Pchnął jednak frontowe drzwi i okazało się, że nie są wcale zamknięte, tylko przylegają do futryny, Pewnie przez ten mróz. Na trzecim piętrze widniało nazwisko Hole naskrobane na kawałku taśmy malarskiej. Przyłożył czapkę do szyby tuż nad zamkiem i lufą pistoletu uderzył w szkło. Pękło z kruchym trzaskiem.

Duży pokój wychodził na podwórze, zaryzykował więc zapalenie światła. Rozejrzał się. Prosto i spartańsko. Porządnie.

Ale jego trojańskiego konia, człowieka, który mógł go zaprowadzić do Jona Karlsena, tu nie było. Przynajmniej na razie. Miał jednak nadzieję, że znajdzie broń albo amunicję. Najpierw sprawdził miejsca, w których, jak mu się wydawało, policjant może przechowywać broń, szuflady i szafy, zajrzał pod poduszkę. Nic nie znalazł, więc zaczął przeszukiwać pomieszczenia tak systematycznie, jak potrafił. Ale wciąż bez rezultatu. Potem już szukał bez celu, co oznacza, że człowiek właściwie się poddał i kieruje się desperacją. Pod jakimś listem na stoliku z telefonem znalazł policyjny identyfikator ze zdjęciem Harry'ego Holego. Schował go do kieszeni. Przesuwał książki i płyty, zauważył, że stoją w porządku alfabetycznym. Na stole w pokoju leżał cały plik

papierów. Przerzucił je, zatrzymując się na fotografii z motywem, który widział już w wielu wariantach. Z martwym mężczyzną w mundurze. Robertem Karlsenem. Zauważył nazwisko Stankić, jakiś formularz z wypisanym na górze nazwiskiem Harry'ego. Powiódł wzrokiem w dół i spojrzenie zatrzymało się na krzyżyku widniejącym przy znajomych słowach. Smith&Wesson 38. Pod spodem widniał zamaszysty podpis. Zezwolenie na noszenie broni? Na jej wydanie?

Poddał się. Harry Hole musiał wziąć pistolet ze sobą.

Poszedł do ciasnej, ale czystej łazienki i odkręcił kran. Ciepła woda przyprawiła go o dreszcz. Sadza z twarzy pobrudziła umywalkę. Przełączył na zimną wodę, zakrzepła krew na dłoniach rozpuściła się i umywalka zrobiła się czerwona. Wytarł się i otworzył szafkę nad umywalką. Znalazł zwój bandaża, obwiązał nim rękę skaleczoną szkłem.

Czegoś tu brakowało.

Koło kranu dostrzegł krótki, sztywny włos. Jak po goleniu. Ale nie było żadnej maszynki, żadnego kremu do golenia. Nie było szczotki ani pasty do zębów, ani kosmetyczki. Czyżby Hole gdzieś wyjechał? W samym środku śledztwa? Może mieszkał u dziewczyny?

W kuchni otworzył lodówkę i znalazł karton mleka jeszcze przez sześć dni nadającego się do spożycia, słoik dżemu, ser, trzy puszki z lapskausem, mięsnym sosem z ziemniakami i warzywami, i plastikowe pudełko z pokrojonym gruboziarnistym chlebem zapakowanym w folię. Wyjął mleko, chleb, dwie puszki i włączył kuchenkę. Przy opiekaczu do grzanek leżała gazeta z dzisiejszą datą. Świeże mleko, świeża gazeta. Zaczął się skłaniać do teorii wyjazdu.

Wyjął szklankę z górnej szafki, ale nagły dźwięk przestraszył go tak, że wypuścił karton z mlekiem na podłogę.

Telefon.

Patrzył na mleko rozlewające się po czerwonych płytkach terakoty, gdy wsłuchiwał się w piski z przedpokoju. Po piątym dzwonku rozległy się trzy mechaniczne kliknięcia i nagle pomieszczenie wypełnił kobiecy głos. Słowa padały szybko, ale ton wydawał się wesoły. Kobieta roześmiała się i odłożyła słuchawkę. Było coś w tym głosie.

Ustawił otwartą puszkę z lapskausem na rozgrzanej patelni, tak jak robili podczas oblężenia. Nie dlatego, że nie mieli talerzy, tylko po to, żeby wszyscy wiedzieli, że dostają jednakowe porcje. Wyszedł do przedpokoju. Na małej czarnej sekretarce błyszczało czerwone światełko, a obok cyfra dwa. Wcisnął „play". Taśma zaczęła się przewijać.

„Rakel" powiedział kobiecy głos. Wydawał się nieco starszy niż dziewczyny, która nagrała się przed chwilą. Kobieta po paru zdaniach oddała słuchawkę chłopcu, który zaczął mówić z ożywieniem. Potem odtworzona została ostatnia wiadomość. Stwierdził, że wcale nic mu się nie przywidziało. Słyszał już kiedyś ten głos. To dzwoniła dziewczyna z białego autobusu.

Stanął, przyglądając się dwóm fotografiom wsuniętym pod ramę lustra. Na jednej siedział na śniegu Hole, jakaś ciemnowłosa kobieta i chłopiec, który mrużył oczy do aparatu. Drugie zdjęcie, stare i wyblakłe, przedstawiało małą dziewczynkę i chłopca, oboje w strojach kąpielowych. Dziewczynka miała mongoloidalne rysy twarzy, chłopiec – twarz Harry'ego Holego.

Usiadł w kuchni i jadł powoli, słuchając odgłosów z klatki schodowej. Szybę w drzwiach zakleił przezroczystą taśmą, znalezioną w szufladzie stolika z telefonem. Kiedy skończył jeść, poszedł do sypialni. Było zimno. Usiadł na łóżku, pogładził ręką miękką pościel. Powąchał poduszkę. Otworzył szafę ubraniową.

Znalazł szare obcisłe bokserki i złożony biały T-shirt z rysunkiem czegoś w rodzaju ośmioramiennego Śiwy, słowami ZBAWIONY pod nim i JOKKE&VALENTINERNE na górze. Ubranie pachniało mydłem. Rozebrał się i je włożył. Położył się na łóżku, zamknął oczy. Myślał o zdjęciu Holego. O Giorgim. Pistolet wsunął pod poduszkę. Chociaż był śmiertelnie zmęczony, poczuł, że ma erekcję, że członek wznosi się, naciskając na obcisłą miękką bawełnę. Zasnął w bezpiecznym przekonaniu, że obudzi się, gdyby ktoś dotknął wejściowych drzwi.

„Przewidywać nieprzewidywalne".

Takie było motto Siverta Falkeida, dowódcy oddziału Delta, specjalnej jednostki policji. Falkeid stał na wzgórzu za portem kontenerowym z krótkofalówką w ręku, mając za plecami szum nocnych taksówek i TIR-ów wracających do domów na święta. Przy nim stał nadkomisarz policji Gunnar Hagen w zielonej kurtce maskującej z postawionym kołnierzem. W zmrożonej ciemności na dole znajdowali się chłopcy Falkeida. Sivert spojrzał na zegarek. Za pięć trzecia.

Minęło dziewiętnaście minut od chwili, gdy jeden z wilczurów z psiego patrolu wskazał przy czerwonym kontenerze, że w środku ktoś jest. A jednak Falkeidowi nie podobała się ta sytuacja, chociaż zadanie było fajne. Nie to mu się nie podobało.

Do tej pory wszystko się składało. Pasowało jak ręka do rękawiczki. Zaledwie trzy kwadranse minęły od chwili, gdy zadzwonił do niego Hagen, do momentu, gdy pięciu wybrańców stawiło się na posterunku. Oddział Delta składał się z siedemdziesięciu osób, w przeważającej większości zmotywowanych i dobrze wytrenowanych mężczyzn o średniej wieku trzydzieści jeden lat. Wzywano ich wedle potrzeby, a w zakres obowiązków wchodziły między innymi tak zwane

trudne zadania z bronią i pod tę kategorię podlegała ich praca. Oprócz pięciu chłopców z Delty stawiła się też jedna osoba z FSK, specjalnej jednostki wojska. I tu zaczynało się to, co się Falkeidowi nie podobało. Tego snajpera wezwał osobiście Gunnar Hagen. Mężczyzna przedstawił się jako Aron, ale Falkeid wiedział, że nikt w FSK nie działa pod prawdziwym nazwiskiem. Cały oddział pozostawał tajemnicą od początku swego istnienia w 1981 roku i dopiero podczas osławionej Operation Enduring Freedom w Afganistanie media w ogóle zdobyły jakieś konkretne szczegóły na temat tej specjalistycznie wyszkolonej jednostki, która w opinii Falkeida przypominała raczej jakieś tajne bractwo.

– Ponieważ ufam Aronowi – krótko wyjaśnił sprawę Hagen. – Pamiętasz strzał w Torp w dziewięćdziesiątym czwartym?

Falkeid świetnie pamiętał dramat zakładników na lotnisku w Torp. Był przy tym. Nikt później nie dowiedział się, kto oddał strzał, który uratował tamten dzień, ale kula przeszła przez pachę kuloodpornej kamizelki zawieszonej w oknie samochodu i trafiła prosto w głowę uzbrojonego rabusia, która eksplodowała jak dynia na tylnym siedzeniu nowiusieńkiego volvo; dealer samochodowy przyjął je później w ramach rekompensaty, umył i sprzedał na nowo. Nie to mu przeszkadzało. Ani też to, że Aron miał karabin, jakiego Falkeid nigdy dotychczas nie widział. Napis „Mär" na kolbie nic mu nie mówił. Teraz Aron leżał gdzieś z laserowym celownikiem i noktowizorem i zgłaszał dobrą widoczność. Poza tym tylko burczał w odpowiedzi, kiedy Falkeid prosił o potwierdzenie łączności. Ale i nie o to chodziło. Falkeid po prostu uważał, że Aron nie miał tu co robić. Niepotrzebny im wcale żaden snajper.

Falkeid zawahał się chwilę. W końcu podniósł krótkofalówkę do ust.

– Błyśnij latarką, kiedy będziesz gotowy, Atle.

Błysnęło światełko przy czerwonym kontenerze.

– Wszyscy są na pozycjach – zgłosił Falkeid. – Jesteśmy gotowi do uderzenia.

Hagen kiwnął głową.

– Dobrze. Ale zanim zaczniemy, chcę się tylko upewnić, że podzielasz mój pogląd, Falkeid. Że lepiej będzie dokonać zatrzymania, nie czekając na Holego.

Falkeid wzruszył ramionami. Za pięć godzin zrobi się jasno. Stankić by wyszedł i bez kłopotu dogoniliby go z psami na otwartym terenie. Mówiono, że Gunnar Hagen z czasem zapewne zostanie komendantem głównym policji.

– Tak, to się wydaje rozsądne – odpowiedział.

– To dobrze. Tak będzie w moim raporcie. Że to była wspólna ocena. Na wypadek gdyby ktoś twierdził, że pospieszyłem się z zatrzymaniem, bo chciałem, żeby to mnie przypadła osobista chwała.

– Myślę, że nikt nie będzie cię o to podejrzewał.

– Dobrze.

Falkeid wcisnął łączność w krótkofalówce: „Gotowi za dwie minuty".

Hagen i Falkeid wypuścili z ust biały dym, który zmieszał się w jedną chmurkę, zanim się rozwiał.

– Falkeid... – to był głos z krótkofalówki. Atle szeptał. – W otworze kontenera właśnie ukazał się mężczyzna.

– Wszyscy w gotowości – nakazał Falkeid spokojnym, mocnym głosem. Przewidywać nieprzewidywalne. – Wychodzi?

– Nie, stoi. On... wygląda tak, jakby...

Pojedynczy strzał rozdarł ciemność nad Oslofjorden. Potem znów zapadła całkowita cisza.

– Co to, u diabła, było? – spytał Hagen.

Nieprzewidywalne, pomyślał Falkeid.

24 NIEDZIELA, 20 GRUDNIA. OBIETNICA

Był bardzo wczesny niedzielny poranek, a on wciąż spał. W mieszkaniu Harry'ego, w łóżku Harry'ego, w ubraniu Harry'ego. I śniły mu się koszmary Harry'ego. Duchy, zawsze duchy.

Rozległ się cichuteńki dźwięk, ledwie skrobnięcie o drzwi wejściowe. Ale to wystarczyło. Obudził się, sięgnął pod poduszkę i od razu był na nogach. Lodowata podłoga parzyła w nagie stopy, gdy skradał się do przedpokoju. Przez nierówną szybę w drzwiach widział zarys postaci. Pogasił wszystkie światła w środku i wiedział, że nikt z zewnątrz go nie zobaczy. Tamten człowiek wyglądał tak, jakby stał pochylony i w czymś grzebał. Nie mógł włożyć klucza w zamek? Czyżby Harry Hole był pijany? Może wcale nigdzie nie wyjechał, tylko przez całą noc gdzieś pił?

Stanął tuż przy drzwiach i sięgnął ręką do zimnego metalu klamki. Wstrzymał oddech i poczuł kolbę pistoletu dobrze przylegającą do dłoni. Ta druga osoba na zewnątrz też jakby wstrzymała oddech.

Miał nadzieję, że to nie będzie oznaczać więcej kłopotu niż to konieczne. Że Hole mimo wszystko okaże się dostatecznie rozsądny, by zrozumieć, że nie ma wyboru. Że albo będzie musiał zaprowadzić go do Jona Karlsena, albo, gdyby to okazało się zbyt trudne, ściągnąć Jona Karlsena tutaj, do mieszkania.

Z uniesionym pistoletem, tak by był od razu widoczny, mocno szarpnął drzwi. Osoba za nimi jęknęła i cofnęła się o dwa kroki.

Do klamki od zewnętrznej strony drzwi coś było przymocowane. Bukiet kwiatów owiniętych w papier i folię, a do papieru przyklejona duża koperta.

Rozpoznał ją od razu mimo przerażonej miny.

– *Get in here* – powiedział cicho.

Martine Eckhoff wahała się, dopóki nie podniósł pistoletu wyżej. Pokazał jej, że ma wejść do pokoju, i poszedł za nią. Uprzejmie poprosił, żeby usiadła w fotelu, a sam usadowił się na kanapie.

Wreszcie oderwała wzrok od pistoletu i popatrzyła na niego.

– Przepraszam za strój. Gdzie jest Harry Hole? – spytał.

– *What do you want?*

Zaskoczył go jej głos. Brzmiał spokojnie, niemal ciepło.

– Złapać Holego – odparł. – Gdzie on jest?

– Nie wiem. Czego chcesz od niego?

– To ja będę zadawał pytania. Jeśli nie powiesz mi, gdzie jest Harry Hole, będę musiał cię zastrzelić, rozumiesz?

– Nie wiem. Możesz strzelać. Jeśli uważasz, że to ci pomoże.

Szukał lęku w jej oczach, ale go nie znalazł. Może to przez jej źrenice. Było w nich coś dziwnego.

– Co tu robisz? – spytał.

– Przyniosłam Harry'emu obiecany bilet na koncert.

– A kwiaty?

– Tak mi tylko wpadło do głowy.

Przyciągnął do siebie jej torebkę, którą postawiła na stole. Przeszukiwał ją, aż znalazł portfel i kartę do bankomatu. Martine Eckhoff. Urodzona w 1977. Adres: Sorgenfrigata, Oslo.

– Ty jesteś Stankić – powiedziała.

– To ty byłaś w tym białym autobusie, prawda?

Znów na nią spojrzał, wytrzymała jego spojrzenie. Potem wolno kiwnęła głową:

– Przyszedłeś tu, bo chcesz, żeby Harry doprowadził cię do Jona Karlsena, prawda? A teraz nie wiesz, co masz robić, tak?

– Zamknij się! – warknął, ale nie wyszedł mu taki ton, jaki sobie zamierzył. Bo ona miała rację. Wszystko się rozpadało. Siedzieli w milczeniu w ciemnym pokoju, a za oknem powoli się rozjaśniało.

W końcu to jednak ona się odezwała.

– Ja cię mogę doprowadzić do Jona Karlsena.

– Co? – spytał zaskoczony.

– Wiem, gdzie on jest.

– Gdzie?

– Na farmie.

– Skąd wiesz?

– Ponieważ ta farma jest własnością Armii Zbawienia, a ja mam listę osób, które z niej korzystają. Policja dzwoniła do mnie z pytaniem, czy nikt nie będzie tam przeszkadzał przez kilka dni.

– Aha. Ale dlaczego chcesz mnie tam zaprowadzić?

– Bo Harry ci nic nie powie – odparła po prostu. – A wtedy ty go zastrzelisz.

Spojrzał na nią i uświadomił sobie, że ona naprawdę tak myśli. Kiwnął powoli głową.

– Ile osób jest na tej farmie?

– Jon, jego dziewczyna i jeden policjant.

Jeden policjant. W jego głowie zaczął kształtować się plan.

– Jak to daleko?

– Trzy kwadranse do godziny w porannym szczycie. Ale dzisiaj jest niedziela. Mam samochód pod domem.

– Dlaczego mi pomagasz?

– Przecież już mówiłam. Chcę, żeby to się wreszcie skończyło.

– Zdajesz sobie sprawę z tego, że strzelę ci w głowę, jeśli mnie okłamałaś?

Potaknęła.

– Jedziemy od razu – zdecydował.

O siódmej czternaście Harry wiedział, że żyje. Wiedział to, ponieważ każdym nerwem czuł ból. I ponieważ psy domagały się jeszcze. Otworzył oczy i rozejrzał się. Ubranie leżało rozrzucone po całym pokoju hotelowym. Ale był przynajmniej sam. Wycelował ręką w szklankę na nocnym stoliku i trafił. Pusta. Przeciągnął palcem po dnie i polizał. Słodkie. Cały alkohol wyparował.

Wstał z łóżka i zabrał ze sobą szklankę do łazienki. Unikając spojrzenia w lustro, napełnił szklankę wodą. Wypił powoli, psy protestowały, ale zdołał ją utrzymać. Potem jeszcze jedna szklanka. Samolot. Zerknął na nadgarstek. Gdzie, do cholery, podział się zegarek? I która mogła być godzina? Musiał się stąd wydostać i dotrzeć do domu. Tylko najpierw jeden drink... Znalazł spodnie. Wciągnął. Palce miał zdrętwiałe, opuchnięte. Torba. Jest. Kosmetyczka. Buty. Ale gdzie komórka? Przepadła. Wybrał dziewiątkę, połączenie z recepcją, i słuchał drukarki wypluwającej rachunek za plecami recepcjonisty, który trzykrotnie podawał mu godzinę, a do Harry'ego nie mogło to dotrzeć.

Wykrztusił po angielsku coś, co sam ledwie rozumiał.

– *Sorry, Sir* – odparł recepcjonista. – *The bar doesn't open till three p.m. Do you want to check out now?*

Harry kiwnął głową i w kurtce leżącej w nogach łóżka zaczął szukać biletu lotniczego.

– *Sir?*

– *Yes.* – Harry odłożył słuchawkę. Odchylił się na łóżku, żeby kontynuować poszukiwania w kieszeniach spodni, ale znalazł tylko norweską monetę dwudziestokoronową. I nagle przypomniał sobie, co się stało z zegarkiem. Kiedy chciał uregulować rachunek, bo bar już zamykano, i zabrakło mi kilku kun, na banknotach położył norweską dwudziestokoronówkę i chciał wyjść. Zanim jednak

dotarł do drzwi, usłyszał gniewny okrzyk i poczuł piekący ból z tyłu głowy. Zaraz potem spojrzał na dwudziestokoronówkę tańczącą na podłodze i wirującą między stopami. Wrócił więc do baru, a barman, mamrocząc ze złością, przyjął zegarek jako brakującą resztę pieniędzy.

Harry przypomniał sobie, że kieszenie w kurtce były podarte, zastanowił się i znalazł bilet na samolot pod podszewką wewnętrznej kieszonki, wydostał go stamtąd i sprawdził czas odlotu. W tej samej chwili rozległo się pukanie do drzwi. Najpierw raz, potem drugi, już mocniej.

Harry mało pamiętał z tego, co się wydarzyło po zamknięciu baru, więc jeśli pukanie miało związek z tym właśnie okresem, nie miał powodu, by przypuszczać, że czeka go coś przyjemnego. Ale z drugiej strony może ktoś znalazł jego komórkę. Z trudem dotarł do drzwi i lekko je uchylił.

– *Good morning* – powiedziała kobieta. – A może nie?

Harry oparł się o futrynę i próbował zmusić się do uśmiechu.

– Po co pani przyszła?

Z upiętymi włosami jeszcze bardziej wyglądała na nauczycielkę angielskiego.

– Zawrzeć umowę.

– Tak? A dlaczego teraz, a nie wczoraj?

– Ponieważ chciałam wiedzieć, co zrobisz po naszym spotkaniu. Czy na przykład nie spotkasz się z kimś z chorwackiej policji.

– I pani wie, że tego nie zrobiłem?

– Piłeś w barze, dopóki nie zamknęli. A potem ledwie dotarłeś do pokoju.

– Ma pani też szpiegów?

– Chodź, Hole. Musisz zdążyć na samolot.

Na zewnątrz czekał na nich samochód. Za kierownicą siedział barman z więziennymi tatuażami.

– Do katedry Świętego Stefana, Fred – poleciła kobieta. – Szybko, bo jego samolot odlatuje za półtorej godziny.

– Dużo pani o mnie wie – powiedział Harry. – A ja o pani nic.

– Możesz mnie nazywać Marią.

Wieża potężnej katedry Świętego Stefana znikała w porannej mgle wiszącej nad Zagrzebiem.

Maria poprowadziła Harry'ego przez wielką, niemal pustą nawę. Minęli konfesjonały i całą kolekcję świętych z należącymi do nich klęcznikami. Z ukrytych głośników sączyła się przypominająca mantrę chóralna pieśń z taśmy, cicha i przesycona echem, mająca zapewne skłaniać do kontemplacji, ale Harry'emu skojarzyła się z katolickim supermarketem. Maria zaprowadziła go do bocznej nawy, w której drzwi wiodły do niewielkiego pomieszczenia z podwójnymi klęcznikami. Przez kolorowe szybki do środka wpadało poranne światło, czerwone i niebieskie. Po obu stronach figury ukrzyżowanego Chrystusa płonęły dwie świece. Przed krucyfiksem klęczała figura woskowa, twarzą zwrócona ku niebu, z rękami wyciągniętymi jak w rozpaczliwej modlitwie.

– Święty Tomasz Apostoł, patron budowniczych – wyjaśniła, schyliła głowę i przeżegnała się. – Ten, który chciał iść na śmierć z Jezusem.

Niewierny Tomasz, pomyślał Harry, gdy Maria pochyliła się nad swoją torebką, wyjęła z niej niedużą świeczkę z wizerunkiem świętego, zapaliła i postawiła przed figurą apostoła.

– Uklęknij.

– Dlaczego?

– Po prostu zrób to, co mówię.

Harry niechętnie dotknął kolanami obdartego czerwonego aksamitu na klęczniku, a łokcie położył na pochyłej płycie z drewna poczerniałego od potu, tłuszczu i łez. Pozycja była dziwnie wygodna.

– Przysięgnij na Syna Bożego, że dotrzymasz swojej części umowy.

Harry zawahał się, w końcu pochylił głowę.

– Przysięgam... – zaczęła Maria.

– Przysięgam...

– W imię Syna Bożego, mojego Zbawiciela.

– W imię Syna Bożego, mojego Zbawiciela.

– Uczynić wszystko, co w mojej mocy, by ocalić tego, którego nazywają *Mali Spasitelj*.

Harry powtórzył.

Maria usiadła.

– To tutaj spotkałam się z kurierem klienta – wyjaśniła. – Tu zamówił robotę. Ale chodźmy stąd, to nie jest miejsce na handel ludzkimi losami.

Fred zawiózł ich do wielkiego przestronnego parku króla Tomisława, sam został w samochodzie. Harry i Maria znaleźli dla siebie ławkę. Zbrązowiałe, na wpół zwiędłe źdźbła trawy próbowały się podnosić, ale zimny wiatr wciskał je w ziemię. Za starym pawilonem wystawowym zadzwonił tramwaj.

– Ja go nie widziałam – powiedziała. – Ale miał młody głos.

– Głos?

– Pierwszy raz zadzwonił do hotelu International w październiku. Jeśli ktoś telefonuje do części uchodźców, przełączają go do Freda. On przełączył go dalej do mnie. Ten człowiek powiedział, że dzwoni w imieniu anonimowej osoby, która chciałaby zlecić robotę w Oslo. Pamiętam, że w tle słuchać było ruch uliczny.

– Pewnie budka telefoniczna.

– Prawdopodobnie. Odpowiedziałam, że nigdy nie załatwiam interesów przez telefon ani z anonimowymi osobami i odłożyłam słuchawkę. Dwa dni później zadzwonił jeszcze raz, poprosił, żebym za trzy dni przyszła do katedry Świętego Stefana. Podał mi konkretną godzinę i powiedział, do którego konfesjonału mam podejść.

Na gałęzi drzewa rosnącego przy ławce usiadła wrona. Przekrzywiła łepek i przyglądała im się ze smutkiem.

– Tego dnia w katedrze było wielu turystów. Podeszłam do umówionego konfesjonału w umówionym czasie. Na siedzeniu leżała zapieczętowana koperta. Otworzyłam ją. W środku była szczegółowa instrukcja mówiąca, jak i kiedy należy zlikwidować Jona Karlsena. Zaliczka w dolarach, dużo większa od tego, ile zwykle bierzemy, i propozycja końcowego rozliczenia. Było tam też napisane, że kurier, z którym już rozmawiałam przez telefon, skontaktuje się ze mną, żeby poznać moją odpowiedź i omówić detale, jeśli zaakceptuję propozycję rozliczenia. Kurier miał być naszym jedynym punktem kontaktowym, ale ze względów bezpieczeństwa nie był wtajemniczony we wszystkie szczegóły, dlatego w żadnych okolicznościach nie wolno mi się z niczym zdradzić. Zabrałam kopertę, wyszłam z katedry i wróciłam do hotelu. Pół godziny później zadzwonił kurier.

– Czyli ta sama osoba, która dzwoniła do pani z Oslo?

– Nie przedstawił się, ale jako była nauczycielka zazwyczaj zwracam uwagę na to, jak ludzie mówią po angielsku. A on miał bardzo charakterystyczny akcent.

– O czym rozmawialiście?

– Powiedziałam mu, że nie podejmiemy się zlecenia z trzech powodów. Po pierwsze dlatego, że z zasady chcemy znać przyczyny,

którymi kieruje się zleceniodawca. Po drugie, ponieważ ze względów bezpieczeństwa nigdy nie pozwalamy, by ktoś inny decydował o miejscu i czasie. A po trzecie, nie pracujemy dla anonimowych zleceniodawców.

– Co odpowiedział?

– Że to on jest odpowiedzialny za rozliczenie, więc muszę zadowolić się jego tożsamością. Spytał mnie też, o ile trzeba podnieść cenę, żebym zrezygnowała z pozostałych zastrzeżeń. Odparłam, że to więcej, niż jest w stanie zapłacić. Powiedział mi wtedy, ile może dać, a ja...

Harry obserwował ją, kiedy szukała właściwych angielskich słów.

– Byłam nieprzygotowana na taką sumę.

– Ile powiedział?

– Dwieście tysięcy dolarów. To piętnaście razy więcej niż zwykle bierzemy.

Harry kiwnął głową.

– I wtedy motyw przestał się już tak bardzo liczyć.

– Nie musisz wcale tego rozumieć, Hole. Ale my przez cały czas mieliśmy plan. Chcieliśmy, kiedy już zbierzemy dość pieniędzy, skończyć z tym, wrócić do Vukovaru. Tam zacząć nowe życie. Kiedy pojawiła się ta oferta, zrozumiałam, że to nasz bilet do życia. To miało być ostatnie zlecenie.

– Czyli że zasada prowadzenia idealistycznego przedsiębiorstwa zabijania musiała ustąpić? – Harry szukał po kieszeniach papierosów.

– A ty prowadzisz idealistyczne śledztwo w sprawie zabójstwa, Hole?

– I tak, i nie. Trzeba z czegoś żyć.

Uśmiechnęła się przelotnie.

– Więc chyba nie ma zbyt wielkiej różnicy między tobą a mną, prawda?

– W to wątpię.

– Ach tak? O ile się nie mylę, tak samo jak ja masz nadzieję, że rozprawiasz się wyłącznie z tymi, którzy na to zasługują?

– To oczywiste.

– Ale nie zawsze tak jest, prawda? Już odkryłeś, że wina ma różne odcienie, których nie brałeś pod uwagę, postanawiając zostać policjantem i wyzwalać ludzkość od zła. Już wiesz, że z reguły zła jest mało, za to mnóstwo ludzkiej małości. Wiele smutnych historii, w których człowiek odnajduje sam siebie. Ale tak jak mówisz, trzeba z czegoś żyć. Zaczęliśmy więc trochę kłamać. I przed tymi, którzy nas otaczają, i przed samymi sobą.

Harry nie mógł znaleźć zapałek. Wiedział, że jeśli wkrótce nie uda mu się zapalić tego papierosa, wybuchnie. Nie chciał myśleć o Birgerze Holmenie. Nie teraz. Poczuł suchy trzask pod zębami, gdy przegryzał filtr.

– Jak się przedstawił ten kurier?

– Pytasz tak, jakbyś już wiedział.

– Robert Karlsen – odparł Harry, rozcierając mocno twarz dłońmi. – A kopertę z instrukcjami przekazał ci dwunastego października.

Uniosła zgrabną brew.

– Znaleźliśmy jego bilet lotniczy. – Harry poczuł, że robi mu się zimno. Wiatr przewiewał go na wskroś, jakby był duchem. – A kiedy wrócił do domu, nieświadomie zajął miejsce tego, którego osobiście skazywał na śmierć. Można pęknąć ze śmiechu, prawda?

Nie odpowiedziała.

– Nie rozumiem tylko – ciągnął Harry – dlaczego twój syn nie zrezygnuje ze zlecenia, chociaż widzi w telewizji i czyta w gazetach, że zabił człowieka, który miał zapłacić rachunek.

– On się nigdy nie dowiaduje, kim jest zleceniodawca ani czym zawiniła ofiara. Tak jest najlepiej.

– Żeby nie mógł nic ujawnić, kiedy go złapią?

– Żeby nie musiał myśleć. Żeby mógł wykonać swoją robotę i ufać, że ja podjęłam słuszną decyzję.

– Słuszną zarówno moralnie, jak i finansowo?

Wzruszyła ramionami.

– W tym wypadku oczywiście lepiej by było, gdyby znał nazwisko zleceniodawcy. Problem w tym, że on się z nami nie skontaktował po zabójstwie. Nie wiem, dlaczego.

– Boi się – odparł Harry.

Maria zamknęła oczy, Harry zobaczył, że mięśnie jej drobnej twarzy drgają.

– Chciałeś, żeby moja część umowy polegała na wezwaniu mojego rzemieślnika z powrotem. Teraz rozumiesz, że to nie jest możliwe. Ale podałam ci nazwisko człowieka, który zlecił nam tę robotę. Więcej nie mogę zrobić, dopóki on się ewentualnie z nami nie skontaktuje. A czy ty mimo wszystko dotrzymasz swojej części umowy, Harry? Uratujesz mojego chłopca?

Harry nie odpowiedział. Wrona poderwała się nagle z gałęzi i na żwir spadło kilka kropli.

– Myślisz, że twój syn wycofałby się, gdyby zrozumiał, jak marne ma szanse?

Uśmiechnęła się lekko, ale zaraz ze smutkiem pokręciła głową.

– Dlaczego nie?

– Ponieważ on nie zna strachu i jest uparty. Ma to po ojcu.

Harry popatrzył na chudą kobietę z dumnie uniesioną głową i pomyślał, że tego ostatniego wcale nie jest pewien.

– Pozdrów Freda. Pojadę na lotnisko taksówką.

Maria popatrzyła na swoje dłonie.

– Wierzysz w Boga, Harry?

– Nie.

– A jednak przysiągłeś przed nim, że ocalisz mojego syna.

– Tak – powiedział Harry i wstał.

Maria dalej siedziała. Podniosła głowę, żeby spojrzeć na niego.

– Dotrzymujesz obietnic?

– Nie zawsze.

– Nie wierzysz w Boga ani we własne słowo? Co więc zostaje?

Harry ciaśniej owinął się kurtką.

– Powiedz mi, w co wierzysz, Harry.

– Wierzę w następną obietnicę. – Obrócił się i mrużąc oczy, popatrzył na szeroką aleję, na której był mały ruch, jak to w niedzielę. – Wierzę, że człowiek może dotrzymać obietnicy, chociaż złamał poprzednią. Wierzę w nowe początki. Chyba o tym nie mówiłem... – Skinął ręką, widząc niebieski szyld taksówki. – Ale właśnie dlatego jestem w tej branży.

W taksówce Harry uświadomił sobie, że nie ma gotówki, ale przypomniał sobie, że na lotnisku Pleso są bankomaty przyjmujące karty VISA. Przez całą drogę obracał w palcach dwudziestokoronówkę. Wspomnienie monety wirującej na podłodze w barze walczyło z myślą o pierwszym drinku na pokładzie samolotu.

Rozjaśniło się już, kiedy Jona zbudził odgłos samochodu podjeżdżającego pod Østgård. Dalej leżał, wpatrując się w sufit. Noc była długa i zimna, nie spał zbyt wiele.

– Kto to przyjechał? – spytała Thea, jeszcze przed chwilą głęboko uśpiona. Słyszał lęk w jej głosie.

– Na pewno ktoś na zastępstwo tego policjanta – powiedział Jon.

Silnik zgasł, dwukrotnie trzasnęły drzwiczki samochodu. Czyli dwie osoby. Ale żadnych głosów. Milczący policjanci. Z dużego

pokoju, w którym zainstalował się ich opiekun, dobiegło pukanie do drzwi frontowych. Raz. Dwa razy.

– Dlaczego on nie otwiera? – szepnęła Thea.

– Cicho, może go nie ma. Może poszedł do wygódki.

Pukanie rozległo się po raz trzeci. Mocne.

– Pójdę otworzyć – zdecydował Jon.

– Zaczekaj!

– Przecież musimy ich wpuścić. – Jon przeczołgał się ponad nią i wciągnął ubranie.

Otworzył drzwi do dużego pokoju. W popielniczce na stoliku dymił papieros, a na kanapie leżał odrzucony koc. Znów zastukano. Jon wyjrzał przez okno, ale nie zobaczył samochodu. Dziwne. Stanął tuż przy drzwiach.

– Kto tam? – krzyknął, już nie taki pewny.

– Policja – rozległ się głos z zewnątrz.

Możliwe, że Jon się mylił, ale wydało mu się, że głos ma dziwny akcent.

Drgnął, gdy zapukano jeszcze raz. Wyciągnął drżącą rękę do klamki. Potem odetchnął głęboko i szarpnięciem otworzył drzwi.

Poczuł się tak, jakby runęła na niego ściana wody, gdy uderzył go lodowaty wiatr, a ostre oślepiające światło zawieszonego nisko słońca kazało mu zmrużyć oczy, kiedy próbował się wpatrywać w dwie postaci stojące na schodach.

– Przyjechaliście na zamianę? – spytał Jon.

– Nie – odparł znajomy kobiecy głos. – Już po wszystkim.

– Po wszystkim? – zdziwił się Jon, zasłaniając ręką oczy. – Cześć, to ty?

– Tak, możecie się pakować, odwieziemy was do domu.

– Dlaczego?

Wyjaśniła.

– Jon! – krzyknęła Thea z sypialni.

– Chwileczkę. – Jon zostawił drzwi otwarte i poszedł do Thei.

– Kto to? – spytała Thea.

– Ta, która mnie przesłuchiwała – powiedział Jon. – Toril Li. I facet, który chyba też nazywa się Li. Mówią, że Stankić nie żyje. Zastrzelili go w nocy.

Policjant, który ich pilnował, wrócił z wychodka, spakował swoje rzeczy i odjechał. A dziesięć minut później Jon zarzucił torbę na ramię, zamknął drzwi i przekręcił klucz. Po własnych śladach przeszedł w głębokim śniegu do ściany domu, odliczył piątą deskę i zawiesił klucz na umocowanym od wewnątrz haczyku. Potem pobiegł za innymi do czerwonego golfa, który stał z włączonym silnikiem, parskając białymi spalinami. Wcisnął się na tylne siedzenie obok Thei. Kiedy ruszyli, objął ją i uściskał, a potem wychylił się między przednie siedzenia.

– Co się właściwie stało w tym porcie kontenerowym w nocy? – spytał.

Sierżant Toril Li zerknęła na kolegę, Olę Li, na siedzeniu pasażera.

– Mówią, że to wyglądało tak, jakby Stankić sięgał po broń – powiedział Ola Li. – To znaczy snajper ze specjalnego oddziału twierdzi, że tak to wyglądało.

– A Stankić wcale tego nie zrobił?

– Pytanie, co masz na myśli, mówiąc o broni. – Ola zerknął na Toril, która miała wyraźne kłopoty z zachowaniem powagi. – Kiedy go obrócili, leżał z rozpiętym rozporkiem i interesem na wierzchu. Zdaje się, że stanął w drzwiach, żeby się wysikać.

Toril chrząknęła, nagle surowa.

– Ale o tym nic nie wiecie – dodał czym prędzej Ola Li. – To chyba zrozumiałe, prawda?

– Chcesz powiedzieć, że tak po prostu go zastrzeliliście? – zawołała Thea z niedowierzaniem.

– Nie my – zaprotestowała Toril Li. – Snajper z FSK.

– Przypuszczają, że Stankić musiał coś usłyszeć i obrócić głowę – ciągnął Ola – bo kula weszła za uchem i wyszła tam, gdzie był nos. Koniec i bomba... Cha, cha!

Thea popatrzyła na Jona.

– Ciekawe, jakiego kalibru użył – zadumał się Ola. – Sam się niedługo przekonasz, Karlsen. Ciekawe, czy uda ci się zidentyfikować faceta.

– To i tak byłoby trudne – odparł Jon.

– Tak, tak, słyszeliśmy. – Ola pokręcił głową. – Gęba z pantomimy. Moim zdaniem to jakaś wierutna bzdura. Ale to poza protokołem.

Przez chwilę jechali w milczeniu.

– Skąd wiecie, że to on? – spytała nagle Thea. – Skoro twarz jest tak zmasakrowana?

– Rozpoznali kurtkę – powiedział Ola.

– To wszystko?

Ola i Toril wymienili spojrzenia.

– No nie. I na kurtce, i na kawałku szkła, który znaleźli w kieszeni, była zakrzepła krew. Sprawdzają teraz, czy to krew Halvorsena.

– Już po wszystkim, Theo. – Jon przyciągnął ją mocniej do siebie. Oparła głowę na jego ramieniu, a on zaczął wdychać zapach jej włosów. Wkrótce będzie spał. Długo. Między oparciami siedzeń widział dłoń Toril Li na kierownicy. Skręciła dość mocno na prawo, gdy z przeciwnej strony nadjechał nieduży biały elektryczny samochodzik, taki sam jak ten, który Armia Zbawienia dostała w prezencie od króla.

25 NIEDZIELA, 20 GRUDNIA. PRZEBACZENIE

Wykresy i cyfry na ekranach, którym towarzyszyły regularne elektroniczne piśnięcia obrazujące rytm serca, dawały iluzję kontroli.

Halvorsen miał na twarzy maskę zasłaniającą mu usta i nos, a na głowie coś podobnego do hełmu, co, jak wyjaśnił lekarz, rejestrowało zmiany aktywności mózgu. Na ciemnych powiekach widoczna była siateczka delikatnych żyłek. Harry uświadomił sobie, że nigdy nie widział tego wcześniej. Nigdy nie widział Halvorsena z zamkniętymi oczami. Zawsze miał otwarte. Skrzypnęły drzwi za jego plecami. Weszła Beate.

– Nareszcie – powiedziała.

– Przyjechałem prosto z lotniska – szepnął Harry. – On wygląda jak śpiący pilot myśliwca.

Dopiero na widok wymuszonego uśmiechu Beate zrozumiał złowieszczość tego porównania. Gdyby jego mózg nie był tak otępiały, może wybrałby inne. Albo po prostu trzymał gębę na kłódkę. W ogóle mógł jako tako zachować twarz wyłącznie dlatego, że samolot lecący z Zagrzebia do Oslo znajduje się w międzynarodowej przestrzeni powietrznej przez niespełna półtorej godziny, a stewardesa roznosząca alkohol musiała koniecznie obsłużyć wszystkich innych pasażerów, nim zauważyła lampkę świecącą nad głową Harry'ego.

Wyszli z pokoju Halvorsena i na końcu korytarza znaleźli kanapę z fotelami.

– Coś nowego? – spytał Harry.

Beate potarła ręką twarz.

– Lekarz, który badał Sofię Miholjec, zadzwonił do mnie późnym wieczorem. Nie znalazł żadnych innych śladów oprócz tego siniaka

na czole, który, jego zdaniem, mógł równie dobrze powstać w wyniku uderzenia o drzwi, tak jak twierdziła Sofia. Oświadczył, że poważnie traktuje obowiązek dochowania tajemnicy, lecz żona przekonała go, że powinien nam o tym powiedzieć, skoro rzecz dotyczy śledztwa w tak poważnej sprawie. Pobrał Sofii krew, analiza nie wykazała nic nienormalnego, dopóki przeczucie nie kazało mu zrobić badania poziomu HCG w surowicy. Stwierdził, że wynik nie pozostawia żadnych wątpliwości.

Beate przygryzła wargę.

– Bardzo interesujące przeczucie – stwierdził Harry. – Ale nie mam pojęcia, co to jest HCG.

– Sofia niedawno była w ciąży, Harry.

Próbował gwizdnąć, ale wargi miał za suche.

– Musisz z nią porozmawiać.

– Oczywiście, bo ostatnio serdecznie się zaprzyjaźniłyśmy – powiedziała cierpko Beate.

– Nie musisz się z nią przyjaźnić. Masz się dowiedzieć, czy nie została zgwałcona.

– Zgwałcona?

– Takie przeczucie.

Beate westchnęła.

– No dobrze. Ale chyba teraz już się z tym tak bardzo nie spieszy.

– Dlaczego?

– Po tym, co się stało w nocy.

– A co się stało w nocy?

Beate zrobiła wielkie oczy.

– Nie wiesz?

Harry pokręcił głową.

– Zostawiłam ci co najmniej cztery wiadomości w telefonie.

– Zgubiłem wczoraj komórkę. No, mów wreszcie!

Zobaczył, że Beate przełyka ślinę.

– Cholera! – zdenerwował się. – Powiedz, że nie jest tak, jak myślę.

– Zastrzelili Stankicia w nocy. Zginął na miejscu.

Harry zamknął oczy, głos Beate docierał do niego z daleka.

– Według raportu Stankić sięgnął po coś, ostrzeżono go w przepisowy sposób.

Raport, pomyślał Harry. Już.

– Niestety, jedyną bronią, jaką przy nim znaleziono, był kawałek szkła w kieszeni kurtki ze śladami krwi, którą Zakład Medycyny Sądowej obiecał zbadać na jutro. Pistolet prawdopodobnie gdzieś ukrył do czasu, kiedy znów zamierzał go użyć. To byłby przecież dowód, gdyby go przy nim zatrzymano. Nie miał też przy sobie żadnych dokumentów.

– Znaleźliście coś jeszcze? – Pytanie Harry'ego padło automatycznie, bo myślami był gdzie indziej, a konkretnie w katedrze Świętego Stefana. „Przysięgam w imię Syna Bożego".

– W kącie leżał sprzęt narkomana. Strzykawka, łyżeczka. Ciekawsze było to, że z sufitu zwisał martwy pies. Czarny metzner, według kierownika portu. Kawałki z niego odcięto.

– Cieszę się, że to słyszę – mruknął Harry.

– Co?

– Nic takiego.

– To tłumaczy, tak jak mówiłeś, resztki psiego mięsa w wymiocinach na Gøteborggata.

– Czy w tej akcji brał udział ktoś inny oprócz Delty?

– Według raportu nie.

– A czyj to właściwie raport?

– Dowodzącego akcją, oczywiście. Siverta Falkeida.

– Oczywiście.

– W każdym razie już po wszystkim.

– Nie!

– Nie musisz krzyczeć, Harry.

– Nie jest po wszystkim. Tam gdzie jest książę, musi być i król.

– Co właściwie chcesz przez to powiedzieć? – Beate zapłonęły policzki. – Zginął płatny zabójca, a ty się zachowujesz tak, jakby to był... kumpel.

Halvorsen, pomyślał Harry. Chciała powiedzieć Halvorsen. Zamknął oczy i światło zamigotało mu czerwono pod powiekami. Jak świeca. Jak świeca w kościele. Był zaledwie chłopcem, kiedy chowali matkę w Åndalsnes, w miejscu z widokiem na góry, bo o to prosiła, chorując. Stali tam, ojciec, Sio i on i słuchali, jak pastor mówi o osobie, której nigdy nie znał, ponieważ ojciec nie miał siły sam tego zrobić. I być może Harry już wtedy wiedział, że bez niej nie będą już rodziną. Dziadek, po którym Harry odziedziczył wzrost, nachylił się mocno, chuchnął mu w twarz świeżym alkoholem i stwierdził, że tak właśnie być powinno. Rodzice powinni odchodzić pierwsi. Harry przełknął ślinę.

– Znalazłem szefową Stankicia – odezwał się. – Potwierdziła, że zabójstwo zlecił Robert Karlsen.

Beate patrzyła na niego zaskoczona.

– Ale to wcale nie koniec. Robert był tylko kurierem. Stał za tym ktoś inny.

– Kto?

– Nie wiem. Wiem jedynie, że to ktoś, kogo stać na zapłacenie dwustu tysięcy dolarów za zabójstwo.

– I to wszystko powiedziała ci szefowa Stankicia ot, tak bez niczego?

Harry pokręcił głową.

– Zawarliśmy umowę.

– Jaką?

– Wolałabyś nie wiedzieć.

Beate mrugnęła dwa razy. W końcu kiwnęła głową. Harry patrzył na starszą panią, która z trudem poruszała się o kulach, i zastanawiał się, czy matka Stankicia i Fred śledzą norweskie gazety w internecie. Czy już wiedzą, że Stankić nie żyje.

– Rodzice Halvorsena poszli coś zjeść do stołówki. Zejdę do nich. Pójdziesz ze mną, Harry?

– Co? Przepraszam. Jadłem w samolocie.

– Myślę, że byłoby im miło. Mówią, że on zawsze tak ciepło się o tobie wyrażał. Jak o starszym bracie.

Harry pokręcił głową.

– Może później.

Kiedy odeszła, Harry wrócił do pokoju Halvorsena. Usiadł koło łóżka, przesunął się na brzeg krzesła i popatrzył na bladą twarz na poduszce. W torbie miał nieotwartą butelkę Jima Beama ze sklepu bezcłowego.

– My dwaj przeciwko całej bandzie – szepnął.

Wysunął rękę nad czoło Halvorsena i napiął palec wskazujący o kciuk. Palec mocno uderzył Halvorsena między oczami, ale powieki ani drgnęły.

– Jaszyn – szepnął grubym głosem. Kurtką zawadził o brzeg łóżka, stuknęła głucho. Harry sprawdził. Coś było pod podszewką. Zgubiona komórka.

Kiedy wróciła Beate z rodzicami Halvorsena, Harry już wyszedł.

Jon leżał na kanapie z głową na kolanach Thei. Oglądała w telewizji jakiś stary film, a Jon słuchał charakterystycznego głosu Bette Davis, wpatrując się w sufit i myśląc o tym, że zna ten sufit lepiej niż swój własny i że gdyby zapatrzył się dostatecznie mocno, w końcu zobaczyłby coś znajomego, coś innego niż ta

zmasakrowana twarz, którą pokazali mu w zimnej piwnicy Szpitala Centralnego. Pokręcił głową, gdy spytali, czy to człowiek, którego widział w drzwiach swojego mieszkania, a który później zaatakował policjanta nożem. „Ale to nie znaczy, że to nie on" – powiedział, a oni pokiwali głowami, zanotowali i wyprowadzili go.

– Jesteś pewien, że policja nie pozwoli ci nocować we własnym mieszkaniu? – spytała Thea. – Tyle będzie gadania, jeśli zostaniesz tu na noc.

– To miejsce zbrodni – powiedział Jon. – Jest zaplombowane, dopóki nie skończą badań.

– Zaplombowane – powtórzyła Thea. – To się kojarzy z bolącym zębem.

Bette Davis krzyczała na młodszą kobietę, potem skrzypce zagrały głośno i dramatycznie.

– O czym myślisz? – spytała Thea.

Jon nie odpowiedział. Milczał, ponieważ myślał o tym, że skłamał, mówiąc jej, że już po wszystkim. Że nie będzie po wszystkim, dopóki on sam nie zrobi tego, co musiał zrobić. A to, co musiał zrobić, to wziąć byka za rogi, powstrzymać wroga i być dzielnym żołnierzykiem. Bo teraz już wiedział. Stał dostatecznie blisko, gdy Halvorsen na Gøteborggata odsłuchiwał wiadomość od Madsa Gilstrupa, i słyszał przyznanie się do winy.

Zadzwonił dzwonek do drzwi. Thea podniosła się szybko, jakby tylko na to czekała. W progu stał Rikard.

– Przeszkadzam? – spytał.

– Nie – odparł Jon. – Właśnie wychodziłem.

Ubrał się w potrójnym milczeniu. Kiedy zamknął drzwi za sobą, przez kilka sekund stał, słuchając głosów ze środka. Szeptały. Dlaczego? Rikard wydawał się zły.

Pojechał tramwajem do miasta i dalej kolejką na Holmenkollen. W zimowe śnieżne niedziele w kolejce zwykle tłoczyli się narciarze, ale dziś najwyraźniej dla większości było za zimno. Wysiadł na ostatniej stacji i zobaczył Oslo daleko w dole.

Dom Ragnhild i Madsa zbudowano wysoko na wzgórzu. Jon nigdy wcześniej tu nie przyjeżdżał. Brama była stosunkowo wąska, podobnie jak podjazd, który okrążał grupkę drzew zasłaniającą większą część domu od strony drogi. Sam dom był niski i tak wpasowany w teren, że nie dawało się stwierdzić, jak jest duży, dopóki nie weszło się do środka i nie zaczęło się po nim chodzić. Tak przynajmniej mówiła Ragnhild.

Jon zadzwonił i po kilku sekundach z niewidocznego głośnika rozległ się głos.

– No proszę! Jon Karlsen!

Jon spojrzał w kamerę nad drzwiami.

– Jestem w salonie. – Głos Madsa Gilstrupa zadrżał i przeszedł w śmiech. – Przypuszczam, że znasz drogę.

Drzwi otworzyły się same. Jon Karlsen wszedł do holu wielkości całego swojego mieszkania.

– Halo?

Odpowiedzią było jedynie krótkie, twarde echo.

Ruszył w głąb korytarza, który, jak przypuszczał, będzie kończył się salonem. Na ścianach wisiały nieoprawione w ramy płótna olejne o mocnych kolorach. W środku unosił się dziwny zapach, który nabierał intensywności w miarę, jak Jon zapuszczał się w głąb. Minął kuchnię z wyspą kuchenną i stołem z dwunastoma krzesłami. W zlewie pełno było talerzy, szklanek, pustych butelek po piwie i wódce. Stąd bił wstrętny zapach zepsutego jedzenia i starego piwa. Jon poszedł dalej. W korytarzu leżało rozrzucone

ubranie. Po drodze zajrzał do łazienki. Stamtąd cuchnęło wymiocinami.

Skręcił za węgieł i nagle rozpostarł się przed nim panoramiczny widok na Oslo i Oslofjorden, jaki dotychczas widywał tylko wtedy, gdy razem z ojcem chodził na spacery po lasach Nordmarka.

Na środku salonu rozpięty był ekran, a po białym płótnie przesuwały się nieme obrazy, składające się najwyraźniej na amatorski film ze ślubu. Ojciec prowadził pannę młodą środkiem kościoła, a ona z uśmiechem kiwała głową gościom, raz na prawo, raz na lewo. Słychać było jedynie lekki szum wentylatora. Przed ekranem Jon zobaczył tył czarnego fotela z wysokim oparciem, obok na podłodze stały dwie opróżnione do połowy butelki.

Jon głośno chrząknął i podszedł bliżej.

Fotel powoli się obrócił.

A Jon znieruchomiał w pół kroku.

W fotelu siedział mężczyzna, w którym z wielkim trudem rozpoznał Madsa Gilstrupa. Mads miał na sobie czystą białą koszulę i czarne spodnie, ale był nieogolony, twarz mu nabrzmiała, a oczy się rozmyły, jak gdyby pokryła je sina jak wapno błona. Na kolanach leżała dubeltówka z pięknie rzeźbionymi motywami zwierzęcymi na ciemnoczerwonej kolbie. W tej pozycji celowała prosto w Jona.

– Polujesz, Karlsen? – spytał Mads Gilstrup ochrypłym, udręczonym alkoholem głosem.

Jon pokręcił głową, nie mogąc oderwać wzroku od strzelby.

– W naszej rodzinie poluje się na wszystko – ciągnął Gilstrup. – Żadna zwierzyna nie jest zbyt niepozorna, żadna nie jest za duża. Myślę, że można to nawet uznać za rodzinne credo. Mój ojciec strzela do wszystkiego, co się rusza. Każdej zimy jeździ do jakiegoś kraju, gdzie są zwierzęta, na które jeszcze nie polował. W zeszłym

roku był w Paragwaju. Podobno żyje tam rzadka leśna puma. Ja się do tego nie nadaję. Przynajmniej według ojca. Twierdzi, że brak mi niezbędnej do tego zimnej krwi. Powtarzał zwykle, że jedynym zwierzęciem, jakie udało mi się upolować, była ona. – Ruchem głowy wskazał na ekran. – Chociaż pewnie w głębi ducha uważał, że to ona upolowała mnie.

Odłożył strzelbę na stół i zrobił gest ręką.

– Siadaj! W tym tygodniu podpisujemy pełną umowę przekazania własności z twoim szefem, Davidem Eckhoffem, dotyczącą na początek nieruchomości na Jacob Aalls gate. Ojciec ci podziękuje za doradzenie tej sprzedaży.

– Obawiam się, że nie ma za co dziękować. – Jon usiadł na czarnej kanapie. Skóra była miękka i lodowata. – To czysto profesjonalna ocena.

– Tak? No to słucham.

Jon przełknął ślinę.

– Ocena pożytku, jaki przynoszą pieniądze zamrożone w nieruchomościach, w porównaniu z pożytkiem, jaki mogą przynieść w naszej pozostałej pracy.

– Ale inni być może wystawiliby nieruchomości na sprzedaż na wolnym rynku?

– My też chętnie byśmy tak zrobili. Ale postawiliście sprawę tak twardo i jasno daliście do zrozumienia, że jeśli macie kupić wszystkie nieruchomości, to nie zaakceptujecie żadnej licytacji.

– Mimo wszystko to twoja ocena była decydująca.

– Uznałem waszą ofertę za dobrą.

Mads Gilstrup uśmiechnął się.

– Cholera, moglibyście dostać dwa razy więcej.

Jon wzruszył ramionami.

– Być może gdybyśmy podzielili nieruchomości, rzeczywiście wyciągnęlibyśmy więcej. Ale to nam oszczędzi długiego i wymagającego wiele wysiłku procesu sprzedaży. A Rada Kierownicza położyła nacisk na zaufanie, jakie ma do was jako przyszłych wynajmujących. Mamy przecież sporo lokatorów, o których trzeba myśleć. Nie wiadomo, co by z nimi zrobili bardziej pozbawieni skrupułów kupujący.

– Klauzula o zamrożeniu czynszu i zachowaniu obecnych lokatorów obowiązuje zaledwie przez osiemnaście miesięcy.

– Zaufanie jest ważniejsze od klauzul.

Mads Gilstrup wychylił się do przodu.

– To, cholera, prawda, Karlsen! Zdajesz sobie sprawę, że przez cały czas wiedziałem o tobie i Ragnhild? Widzisz, jak jej się dogodziło, to miała takie rumieńce na policzkach. Identyczne się pojawiały, gdy tylko w biurze padło twoje nazwisko. Czytałeś jej na głos wersety z Biblii, kiedy się pieprzyliście? Bo wiesz, chybaby jej się to podobało...

Mads Gilstrup ze śmiechem opadł z powrotem na fotel i pogładził dłonią dubeltówkę na stole.

– Mam w tej strzelbie dwa naboje ze śrutem, Karlsen. Widziałeś, co takie naboje potrafią zrobić? Nie musisz nawet szczególnie dobrze celować, wystarczy nacisnąć spust, bum i rzuca cię na ścianę. Fascynujące, prawda?

– Przyszedłem powiedzieć, że nie chcę, żebyś był moim wrogiem.

– Wrogiem? – zaśmiał się Mads Gilstrup. – Zawsze będziecie moimi wrogami. Pamiętasz tamto lato, kiedy kupiliście Østgård, a ja zostałem tam zaproszony przez samego komandora Eckhoffa? Tak wam było mnie żal, nieszczęśliwego chłopca, któremu zabraliście wspomnienia z dzieciństwa. Jesteście bardzo wrażliwi, gdy chodzi o takie rzeczy. Boże, jak ja was nienawidziłem! – zaśmiał się Mads

Gilstrup. – Stałem i patrzyłem, jak się bawicie, jakby to było wasze miejsce. Szczególnie twój brat, Robert. Miał pociąg do dziewczynek. Łaskotał je, zabierał do stodoły i... – Mads przesunął stopę i uderzył nią w butelkę, która przewróciła się z brzękiem. Brunatny płyn, pluskając, popłynął na parkiet. – Wy mnie nie widzieliście. Nikt z was na mnie nie patrzył. Traktowaliście mnie tak, jakbym nie istniał. Byliście zajęci wyłącznie sobą. Pomyślałem wtedy, że dobrze, wobec tego będę niewidzialny. I pokażę wam, co potrafią zdziałać niewidzialni ludzie.

– To dlatego to zrobiłeś?

– Ja? – roześmiał się Mads. – Przecież ja jestem niewinny, Karlsen. My, uprzywilejowani, zawsze jesteśmy niewinni, tyle chyba już zrozumiałeś. Zawsze mamy czyste sumienie, ponieważ stać nas na kupowanie sumienia innych. Tych, których przeznaczeniem jest nam służyć. Wykonywać czarną robotę. Takie jest prawo natury.

– Dlaczego zadzwoniłeś do tego policjanta, żeby się przyznać?

Mads Gilstrup wzruszył ramionami.

– Właściwie chciałem skontaktować się z tym drugim, Harrym Holem, ale gnojek nie miał wizytówki, więc zadzwoniłem do tego, który dał mi swój numer. Do jakiegoś Halvorsena, nie pamiętam, byłem pijany.

– Mówiłeś o tym jeszcze komuś? – spytał Jon.

Mads Gilstrup pokręcił głową, podniósł z podłogi przewróconą butelkę i wypił łyk.

– Tylko ojcu.

– Ojcu? – zdziwił się Jon. – No tak, oczywiście.

– Oczywiście? – zaśmiał się Mads Gilstrup. – Kochasz swojego ojca, Karlsen?

– Owszem. Bardzo.

– I nie zgodzisz się ze mną, że w miłości do ojca kryje się przekleństwo?

Jon nie odpowiedział, więc Mads ciągnął:

– Ojciec przyszedł tu zaraz po moim telefonie do tego policjanta. Wiesz, co zrobił, kiedy mu o tym powiedziałem? Przyniósł swój kijek narciarski i mnie stłukł. Ciągle potrafi mocno bić, ten cholernik. Nienawiść dodaje sił. Zagroził, że jeśli komukolwiek wspomnę o tym bodaj słowem, jeśli wdepczę nazwisko rodziny w błoto, to mnie zabije. Powiedział dokładnie tak. I wiesz co? – Oczy Madsa nagle wypełniły się łzami, płacz ścisnął mu głos. – Ja go i tak kocham. I myślę, że właśnie za to on mnie tak strasznie nienawidzi. Za to, że ja, jego jedyny syn, jestem na tyle słaby, że nie potrafię nawet odwzajemnić nienawiści.

Odstawił butelkę na parkiet tak mocno, że po pokoju poniosło się echo.

Jon złożył dłonie.

– Wysłuchaj mnie teraz! Ten policjant, któremu się nagrałeś, leży w śpiączce. A jeśli przysięgniesz, że nie będziesz prześladował mnie i moich najbliższych, to ja przysięgnę, że nigdy nie zdradzę tego, co o tobie wiem.

Mads Gilstrup zdawał się nie słyszeć Jona. Jego wzrok prześlizgnął się na ekran, na którym młoda para stała obrócona tyłem.

– Spójrz! W tej chwili ona mówi „tak". Cały czas oglądam tę scenę, bo nie potrafię tego zrozumieć. Przecież przysięgła. Ona... – Pokręcił głową. – Myślałem, że może przez to znów mnie pokocha. Gdybym tylko zdołał zrealizować to... przestępstwo, zobaczyłaby mnie takiego, jaki jestem naprawdę. Przestępca musi być odważny. Silny. Musi być mężczyzną, prawda? A nie tylko... – Mocno wypuścił powietrze przez nos i wypluł słowa: – ...czyimś synem.

Jon wstał.

– Muszę już iść.

Mads Gilstrup kiwnął głową.

– Mam coś, co należy do ciebie. Nazwijmy to... – zamyślony uszczypnął się w wargę – ...pożegnalnym prezentem od Ragnhild.

W kolejce z Holmenkollen Jon nie odrywał oczu od czarnej torby, którą dostał od Madsa Gilstrupa.

Było tak zimno, że ci, którzy odważyli się na niedzielny spacer, szli, wciskając w ramiona spuszczone głowy owinięte w czapki i szaliki. Ale Beate Lønn nie czuła chłodu, gdy stała na Jacob Aalls gate i wciskała guzik domofonu do Miholjeców. Nie czuła już nic, odkąd w szpitalu dostała ostatnią wiadomość.

„To nie jego serce jest w tej chwili największym problemem – powiedział lekarz. – To z innymi organami są problemy. Przede wszystkim z nerkami".

Pani Miholjec czekała w drzwiach na klatce i zaprowadziła Beate do kuchni, gdzie siedziała już Sofia, bawiąc się włosami.

Pani Miholjec nalała wody do czajnika i wystawiła trzy filiżanki.

– Chyba najlepiej będzie, jeżeli porozmawiam z Sofią sama – zaczęła Beate.

– Ona chce, żebym przy tym była – oznajmiła pani Miholjec. – Kawy?

– Nie, dziękuję, zaraz wracam do szpitala. To może potrwać tylko chwilę.

– Aha. – Pani Miholjec wylała wodę z czajnika.

Beate usiadła przed Sofią. Usiłowała pochwycić jej wzrok, który bacznie obserwował końce włosów.

– Jesteś pewna, że nie powinnyśmy porozmawiać w cztery oczy, Sofio?

– Dlaczego? – spytała dziewczyna zbuntowanym tonem, którym zirytowane nastolatki z zaskakującą skutecznością osiągają swój cel: zirytować.

– To są sprawy bardzo osobiste, Sofio.

– Przecież to moja matka, kobieto!

– No dobrze – powiedziała Beate. – Miałaś aborcję?

Sofia zdrętwiała. Twarz wykrzywiły jej gniew i ból.

– Co ty wygadujesz? – spytała krótko, ale nie zdołała ukryć zaskoczenia w głosie.

– Kto był ojcem tego dziecka? – spytała Beate.

Sofia dalej rozplątywała nieistniejące kołtuny. Pani Miholjec otworzyła usta.

– Czy uprawiałaś z nim seks dobrowolnie? – ciągnęła Beate. – Czy on cię zgwałcił?

– Jak pani śmie mówić coś takiego do mojej córki! Przecież to jeszcze dziecko. A pani odzywa się do niej tak, jakby była... dziwką.

– Pani córka była w ciąży, pani Miholjec. A ja chcę jedynie wiedzieć, czy ten fakt może mieć jakiś związek ze sprawą zabójstwa, nad którą pracujemy.

Matka miała taką minę, jakby dolna szczęka wypadła jej z zawiasów. Beate znów pochyliła się nad dziewczyną.

– Czy to Robert Karlsen, Sofio? Tak było?

Widziała, że dolna warga dziewczyny zaczęła drżeć.

Matka podniosła się z krzesła.

– Co ona mówi, Sofio? Powiedz, że to nieprawda!

Sofia położyła głowę na stole i nakryła ją rękami.

– Sofio! – krzyknęła matka.

– Tak – szepnęła dziewczyna zduszonym od płaczu głosem. – To on. Robert Karlsen. Nie wierzyłam... Nie miałam pojęcia, że on potrafi być taki.

Beate wstała. Sofia szlochała, a matka wyglądała tak, jakby ktoś ją uderzył. Beate czuła tylko odrętwienie.

– Mężczyzna, który zabił Roberta, zginął dziś w nocy. Oddział specjalny zastrzelił go w porcie kontenerowym.

Czekała na jakąś reakcję, ale bez skutku.

– Pójdę już.

Nikt jej nie słuchał i sama musiała znaleźć drzwi.

Stał przy oknie, wpatrując się w falujący biały krajobraz, przypominający morze zamarzniętego nagle mleka. Na szczytach niektórych fal dostrzegał domy i czerwone stodoły. Wycieńczone słońce wisiało nisko nad wzgórzem.

– *They are not coming back* – powiedział. – Odjechali. A może wcale ich tu nie było? Może mnie okłamałaś?

– Byli. – Martine ściągnęła rondel z piecyka. – Kiedy przyjechaliśmy, w środku było ciepło. Zresztą sam widziałeś ślady na śniegu. Coś się musiało stać. Siadaj, jedzenie gotowe.

Położył pistolet przy talerzu i zaczął jeść lapskaus. Zauważył, że puszki są tej samej firmy co te, które jadł w mieszkaniu Holego. Na parapecie stało stare niebieskie radio tranzystorowe. Grało zrozumiałą muzykę popową, przerywaną niezrozumiałymi słowami. Akurat w tej chwili leciało coś, co słyszał kiedyś na filmie. Matka czasami grywała ten kawałek na pianinie, stojącym przy oknie, które „jako jedyne w całym domu miało widok na Dunaj", jak mawiał ojciec, żartując z matki. A kiedy dawała się sprowokować, zawsze łagodził kłótnię, pytając, jak taka inteligentna i piękna kobieta mogła na męża wybrać kogoś takiego jak on.

– Harry to twój chłopak? – spytał.

Martine pokręciła głową.

– To dlaczego przyniosłaś mu bilet na koncert?

Nie odpowiedziała.

– Chyba się w nim zakochałaś – stwierdził z uśmiechem.

Uniosła widelec, jakby chciała coś podkreślić, ale zrezygnowała.

– A co z tobą? Masz tam u siebie dziewczynę?

Pokręcił głową, popijając wodę ze szklanki.

– Dlaczego? Za dużo roboty?

Zachłysnął się, plując wodą na obrus. To z napięcia, pomyślał. Właśnie dlatego wybuchnął niekontrolowanym śmiechem. Martine śmiała się razem z nim.

– Może jesteś gejem? – spytała, wycierając oczy. – Może tam czeka na ciebie chłopak?

Roześmiał się jeszcze głośniej i śmiał się długo po tym, jak ona przestała.

Dołożyła im obojgu lapskausu.

– Ponieważ tak go lubisz, dam ci to – powiedział, rzucając na stół zdjęcie. Była to fotografia z lustra w korytarzu. Harry, ciemnowłosa kobieta i chłopiec. Martine wzięła zdjęcie do ręki i zaczęła mu się uważnie przyglądać.

– Wygląda na zadowolonego – stwierdziła. – Może było mu dobrze. Akurat wtedy.

– No tak.

Szarawy zmierzch nadpełzał przez okna i cieniem kładł się w pokoju.

– Może kiedyś znów mu będzie dobrze.

– Myślisz, że to możliwe?

– Żeby znów było dobrze? Oczywiście.

Spojrzał na radio za jej plecami.

– Dlaczego mi pomagasz?

– Przecież już ci mówiłam. Harry by ci nie pomógł, a wtedy ty...

– Nie wierzę ci. Musi chodzić o coś jeszcze.

Wzruszyła ramionami.

– Możesz mi powiedzieć, co tu jest napisane? – spytał. Rozłożył i podał jej formularz znaleziony w pliku papierów na stole Harry'ego.

Czytała, podczas gdy on przyglądał się zdjęciu Harry'ego w identyfikatorze zabranym z mieszkania. Policjant patrzył ponad obiektyw. Zrozumiał, że Harry zamiast na aparat patrzy na fotografa. I pomyślał, że to być może mówi coś o człowieku na zdjęciu.

– To wniosek o przydział czegoś, co się nazywa Smith&Wesson trzydzieści osiem – wyjaśniła Martine. – Proszą, żeby odebrał to w magazynie w Budynku Policji na podstawie podpisanego wniosku.

Wolno kiwnął głową.

– I to jest podpisany oryginał, prawda?

– Tak. Podpisał go... zaraz zobaczę. Nadkomisarz Gunnar Hagen.

– Innymi słowy to oznacza, że Harry nie odebrał swojej broni. I że w tej chwili jest niegroźny. Całkowicie bezbronny.

Martine mrugnęła dwa razy.

– Co ty właściwie zamierzasz?

26 NIEDZIELA, 20 GRUDNIA. CZARODZIEJSKA SZTUCZKA

Na Gøteborggata zapaliły się latarnie.

– Okej – powiedział Harry do Beate. – Więc Halvorsen parkował dokładnie w tym miejscu?

– Tak.

– Wyszli. I zostali zaatakowani przez Stankicia. Który najpierw strzelił do Jona, a Jon uciekł do środka. A potem Stankić rzucił się na Halvorsena, który biegł do samochodu po broń.

– Tak. Halvorsen leżał tuż przy samochodzie. Znaleźliśmy krew w kieszeniach płaszcza, w kieszeni spodni i przy pasku Halvorsena. To nie była jego krew, więc przypuszczamy, że Stankić go przeszukiwał. Zabrał mu portfel i komórkę.

– Mhm. – Harry potarł brodę. – Dlaczego on po prostu nie zastrzelił Halvorsena? Dlaczego użył noża? Nie dlatego, żeby nie narobić hałasu. Przecież już i tak postawił na nogi całą okolicę, strzelając do Jona.

– My też zadawaliśmy sobie to pytanie.

– I dlaczego uderzył Halvorsena nożem, a potem uciekał? Jedynym powodem unieszkodliwienia Halvorsena musiało być sprzątnięcie go z drogi, żeby później mógł w spokoju dopaść Jona. Ale on nawet nie spróbował.

– Przeszkodzono mu. Przyjechał jakiś samochód, prawda?

– Owszem, ale mówimy o facecie, który właśnie zranił nożem policjanta na środku ulicy. Dlaczego miałby się wystraszyć przypadkowego samochodu? I dlaczego użył noża, skoro już i tak miał wyciągnięty pistolet?

– No właśnie, dlaczego?

Harry zamknął oczy. Na długo. Beate w śniegu przestępowała z nogi na nogę.

– Harry – powiedziała wreszcie. – Chciałabym stąd iść, ja...

Harry powoli otwierał oczy.

– Skończyła mu się amunicja.

– Co?

– To była ostatnia kula Stankicia.

Beate westchnęła ciężko.

– To profesjonalista, Harry. Profesjonalistom nie kończy się amunicja.

– Właśnie dlatego – ożywił się Harry. – Jeśli masz szczegółowy plan zabójstwa, który wymaga jednej, a najwyżej dwóch kul, to nie nosisz przy sobie całego arsenału. Jedziesz do obcego kraju, prześwietlają ci cały bagaż, gdzieś musiałbyś to ukryć.

Beate nie odpowiedziała, Harry zatem ciągnął:

– Stankić wypuszcza ostatnią kulę do Jona i pudłuje. Potem atakuje Halvorsena nożem. Po co? Żeby zabrać mu służbowy pistolet i dalej ścigać Jona. Stąd ta krew przy pasku spodni Halvorsena. To nie jest miejsce, gdzie się szuka portfela, tylko broni. Ale Stankić nie znajduje żadnego pistoletu, bo nie wie, że broń leży w samochodzie. Jon zdążył się już zamknąć w kamienicy, a Stankić ma tylko nóż. Dlatego rezygnuje i ucieka.

– Świetna teoria – ziewnęła Beate. – Moglibyśmy spytać Stankicia, czy prawdziwa, ale on nie żyje. A w takim układzie to nie ma też większego znaczenia.

Harry spojrzał na Beate. Oczy miała małe i czerwone z niewyspania. Okazała się dostatecznie taktowna i nie wspomniała, że Harry cuchnie gorzałą, i przetrawioną, i świeżą. Albo była dostatecznie mądra, by wiedzieć, że nie ma sensu mu tego mówić. Ale on i bez tego rozumiał, że Beate w tej chwili nie ma do niego za grosz zaufania.

– Co mówiła ta kobieta, świadek, w samochodzie? – spytał. – Że Stankić uciekał lewą stroną ulicy?

– Tak. Obserwowała go w lusterku. Przewrócił się na rogu. Tam, gdzie znaleźliśmy tę chorwacką monetę.

Harry popatrzył na róg. Kiedy był tu poprzednio, w tym miejscu siedział żebrak z obwisłymi wąsami. Może on coś widział? Ale teraz było minus dwadzieścia dwa i żywej duszy na ulicy.

– Jedźmy do Zakładu Medycyny Sądowej – zdecydował.

Bez słowa wsiedli i pojechali w górę Toftes gate do drugiej obwodnicy. Zostawili za sobą Szpital Ullevål. Mijali białe ogrody, murowane wille w stylu angielskim na Sognsveien, gdy Harry nagle przerwał ciszę.

– Zjedź na bok.

– Teraz, tutaj?

– Tak.

Zerknęła w lusterko i zrobiła tak, jak kazał.

– Włącz awaryjne światła i skup się na mnie. Pamiętasz tę zabawę w intuicję, której cię uczyłem?

– Polegającą na mówieniu, zanim się pomyśli?

– Raczej na mówieniu tego, co myślisz, zanim pomyślisz, że nie powinnaś tak myśleć. Opróżnij mózg!

Beate zamknęła oczy. Chodnikiem minęła ich rodzina na nartach.

– Gotowa? No to dobra. Kto wysłał Roberta Karlsena do Zagrzebia?

– Matka Sofii.

– Mhm – mruknął Harry. – Skąd ci się to wzięło?

– Nie mam pojęcia. – Beate otworzyła oczy. – Nie wiemy o żadnym motywie, jakim mogłaby się kierować. I zdecydowanie nie jest typem osoby, która mogłaby to zrobić. Może dlatego, że jest Chorwatką tak jak Stankić. Moja podświadomość chyba nie jest aż tak skomplikowana.

– Wszystko to, co mówisz, może być prawdą – uznał Harry. – Oprócz tego o podświadomości. No dobrze, teraz spytaj mnie.

– Muszę pytać... na głos?

– Tak.

– Dlaczego?

– Po prostu spytaj. – Zamknął oczy. – Jestem gotowy.

– Kto wysłał Roberta Karlsena do Zagrzebia?

– Nilsen.

– Nilsen? Jaki Nilsen?

Harry znów otworzył oczy.

Mrugnął nieco zdezorientowany światłami nadjeżdżających z przeciwka samochodów.

– Chyba musi chodzić o Rikarda.

– Śmieszna zabawa – stwierdziła Beate.

– Jedź!

Na Østgård zapadł zmrok. Radio na parapecie okiennym dalej gadało.

– Naprawdę nikt nie potrafi cię rozpoznać? – spytała Martine.

– Owszem, potrafi, ale to trochę trwa. Potrzeba czasu, żeby nauczyć się mojej twarzy. Mało komu chce się tym zajmować.

– Więc to nie w tobie problem, tylko w innych?

– Może. Ale kiedy nie chcę, żeby mnie rozpoznano, coś... coś robię.

– Uciekasz.

– Nie, przeciwnie. Infiltruję. Dokonuję inwazji. Staję się niewidzialny i zakradam się tam, gdzie chcę.

– Ale jaki to ma sens, skoro nikt cię nie widzi?

Popatrzył na nią zdziwiony. W radiu rozległ się sygnał i damski głos zaczął mówić z neutralną powagą prezenterki wiadomości.

– Co ona mówi? – spytał.

– Będzie jeszcze zimniej. Zamykają przedszkola. Starym ludziom każą nie wychodzić z domu i nie oszczędzać na opale.

– Ale ty mnie zobaczyłaś – powiedział. – Ty mnie poznałaś.

– Patrzę na ludzi – odparła. – Ja ich widzę. To mój jedyny talent.

– Dlatego mi pomagasz? Dlatego ani razu nie próbowałaś uciec?

Obserwowała go uważnie.

– Nie, nie dlatego – odparła w końcu.

– No to dlaczego?

– Bo chcę, żeby Jon Karlsen umarł. Chcę, żeby był jeszcze bardziej martwy niż ty.

Drgnął. Czyżby zwariowała?

– Ja jestem martwy?

– Powtarzają to w wiadomościach od kilku godzin. – Kiwnęła głową w stronę radia. Nabrała powietrza i z władczą powagą prezenterki zaczęła recytować: – Mężczyzna podejrzewany o zabójstwo na Egertorget zginął dziś w nocy zastrzelony przez oddział specjalny policji podczas akcji w porcie kontenerowym. Według dowodzącego akcją Siverta Falkeida podejrzany odmówił poddania się i udał, że sięga po broń. Szef Wydziału Zabójstw, Gunnar Hagen, informuje, że sprawa rutynowo zostanie przesłana do SEFO, specjalnego oddziału dochodzeniowego policji. Według słów Hagena ta sprawa to kolejny przykład, że policja staje w obliczu coraz bardziej zbrutalizowanej przestępczości zorganizowanej, więc dyskusja o uzbrojeniu policji powinna toczyć się nie tylko pod kątem skutecznego stosowania prawa, lecz również osobistego bezpieczeństwa policjantów.

Mrugnął dwa razy. Trzy razy. W końcu do niego dotarło. Kristoffer. Niebieska kurtka.

– Ja nie żyję – powiedział. – Dlatego odjechali, zanim my przyjechaliśmy. Myślą, że już po wszystkim. – Nakrył ręką dłoń Martine. – Ty chcesz, żeby Jon Karlsen umarł.

Dziewczyna patrzyła przed siebie. Wzięła głęboki oddech, jakby zamierzała coś wyznać, ale wypuściła powietrze z jękiem, jak gdyby słowa, które znalazła, nie były właściwe i próbowała jeszcze raz. Przy trzeciej próbie jej się udało.

– Ponieważ Jon Karlsen wiedział. Wiedział przez wszystkie te lata. Dlatego go nienawidzę. I dlatego nienawidzę samej siebie.

Harry wpatrywał się w nagie martwe ciało na stole. Zwłoki w takich okolicznościach prawie przestały już robić na nim wrażenie. Prawie.

W pomieszczeniu panowała temperatura około czternastu stopni, a od gładkich cementowych ścian odbijało się ostre szczekliwe echo, gdy patolog sądowy odpowiadała na pytania Harry'ego.

– Nie, nie zamierzaliśmy przeprowadzać sekcji. I tak już mamy długą kolejkę, a w tym wypadku przyczyna jest dość oczywista, nie sądzisz? – Skinęła głową w stronę twarzy, w której widniała wielka czarna dziura, bo znaczna część nosa i górnej wargi zniknęły, odsłaniając zęby w górnej szczęce.

– Niezły krater – stwierdził Harry. – Nie wygląda na rezultat MP-5. Kiedy dostanę raport?

– Spytaj swojego szefa. Prosił, żeby przekazać go bezpośrednio jemu.

– Hagena?

– Tak. Poproś go o kopię, jak ci się spieszy.

Harry i Beate wymienili spojrzenia.

– Posłuchaj – powiedziała patolog, lekko ściągając kącik ust, co jak Harry zrozumiał, miało być uśmiechem. – Mamy przez weekend mało ludzi na dyżurze i trochę spraw mi się nawarstwiło. Mam nadzieję, że to rozumiecie.

– Oczywiście – potwierdziła Beate.

Razem z panią patolog ruszyła już w stronę drzwi, ale obie się zatrzymały, słysząc głos Harry'ego.

– Czy ktoś z was zauważył to?

Kiedy się odwróciły, zobaczyły, że Harry pochyla się nad zwłokami.

– On ma ślady po zastrzykach. Badaliście mu krew na narkotyki?

Patolog westchnęła.

– Przywieźli go rano i ledwie zdążyliśmy go włożyć do lodówki.

– Kiedy możecie to zrobić?

– Czy to ważne? – spytała, a widząc wahanie Harry'ego ciągnęła: – Dobrze by było, żebyś odpowiedział szczerze, bo jeśli damy temu pierwszeństwo, to wszystkie inne sprawy, o które tak marudzicie, opóźnią się jeszcze bardziej. Przed świętami to prawdziwe piekło.

– No cóż. Może zrobił sobie jakieś zastrzyki. – Wzruszył ramionami. – Ale on i tak nie żyje, więc to pewnie nie jest aż tak istotne. Zabraliście mu zegarek?

– Zegarek?

– Tak. Kiedy wyjmował pieniądze z bankomatu, miał na ręku seiko SQ50.

– Nie miał żadnego zegarka.

– Mhm. – Harry spojrzał na własny goły przegub. – Pewnie zgubił.

Kiedy wyszli z prosektorium, Beate powiedziała:

– Zajrzę na intensywną terapię.

– Dobrze – zgodził się Harry. – Wezmę taksówkę. Potwierdzili tożsamość?

– O co ci chodzi?

– Żebyśmy mieli sto procent pewności, że to Stankić tam leży.

– Oczywiście, to przecież zwykła procedura. Zwłoki mają grupę krwi A i to się zgadza z krwią, którą umazane były kieszenie Halvorsena.

– To najbardziej powszechna grupa krwi w Norwegii, Beate.

– Wiem, ale sprawdzą też profil DNA. Masz jakieś wątpliwości?

Harry wzruszył ramionami.

– To trzeba zrobić. Kiedy?

– Najwcześniej w środę, w porządku?

– Trzy dni? Nie w porządku.

– Harry...

Harry obronnym gestem podniósł ręce do góry.

– W porządku. Już idę. Prześpij się trochę, dobrze?

– Szczerze mówiąc, wyglądasz tak, jakbyś potrzebował tego bardziej niż ja.

Harry położył jej rękę na ramieniu. Poczuł, jak bardzo szczupła jest pod kurtką.

– To twardziel, Beate. I ma ochotę tu być, wiesz?

Beate przygryzła wargę. Wyglądała tak, jakby próbowała coś powiedzieć, ale skończyło się na przelotnym uśmiechu i kiwnięciu głową.

W taksówce Harry wyjął telefon i wstukał numer komórki Halvorsena, ale tak jak się tego spodziewał, nikt nie odebrał.

Zadzwonił więc do hotelu International. Po połączeniu z recepcją poprosił, żeby przełączono go do Freda w barze. Do Freda? W jakim barze?

– *The other bar* – wyjaśnił Harry.

– Mówi policjant – przedstawił się, kiedy w słuchawce wreszcie rozległ się głos barmana. – Ten, który był u was wczoraj i pytał o *Malego Spasitelja?*

– *Da*?

– Muszę z nią porozmawiać.

– Ona już dostała złe wiadomości – powiedział Fred. – Do widzenia.

Harry przez dłuższą chwilę wsłuchiwał się w odgłos zerwanego połączenia. W końcu schował telefon do wewnętrznej kieszonki i zaczął patrzeć przez okno na wymarłe ulice. Pomyślał, że pewnie poszła do katedry i zapala kolejną świecę.

– Restauracja U Schrødera – poinformował taksówkarz i zahamował.

Harry siedział przy swoim stałym stoliku i wpatrywał się w opróżnioną do połowy szklankę z piwem. Lokal nazwany szumnie restauracją był w rzeczywistości prostym, zniszczonym miejscem z wyszynkiem. Otaczała go jednak aura dumy i godności, może z powodu klienteli, może obsługi, a może będących tu trochę nie na miejscu wspaniałych malowideł, zdobiących brudne od dymu ściany. Albo też z powodu prostego faktu, że restauracja U Schrødera trzymała się już od tylu lat, widziała zmieniające się szyldy tylu sąsiednich lokali i właścicieli, a sama wciąż żyła.

W porze tuż przed zamknięciem w niedzielny wieczór nie było tu zbyt tłoczno. Ale właśnie zjawił się nowy gość. Szybkim spojrzeniem omiótł lokal, rozpinając płaszcz, spod którego ukazała się tweedowa marynarka, i zdecydowanym krokiem skierował się do stolika Harry'ego.

– Dobry wieczór, przyjacielu – powiedział Ståle Aune. – To najwyraźniej twój stały róg.

– To nie jest róg – sprzeciwił się Harry bez cienia bełkotu. – To kąt. Rogi są na zewnątrz. Można okrążyć róg, ale nie można w nim usiąść.

– A co z określeniem „narożny stolik"?

– To nie stół na rogu, tylko stół z rogami. Tak jak narożna sofa.

Aune uśmiechnął się zadowolony. To była rozmowa w jego stylu. Podeszła kelnerka i rzuciła mu krótkie podejrzliwe spojrzenie, kiedy zamówił herbatę.

– Wobec tego powiedzenie „stać w kącie" jest przesadzone? – Poprawił muszkę w czerwone i czarne kropki.

– Próbujesz mi coś przez to powiedzieć, panie psychologu? – spytał Harry z uśmiechem.

– No cóż, przypuszczam, że zadzwoniłeś do mnie, bo chcesz, żebym ci coś powiedział.

– Ile aktualnie bierzesz za godzinę mówienia ludziom, że powinni iść do kąta?

– Uważaj, Harry! Picie sprawia, że nie tylko łatwo popadasz w irytację, ale również stajesz się irytujący. Nie przyszedłem tu, żeby ci odbierać szacunek dla samego siebie, męskość czy piwo. Ale akurat w tej chwili twój problem polega na tym, że wszystkie te trzy elementy znajdują się w tej szklance.

– Masz po wieki wieków rację. – Harry uniósł szklankę. – I dlatego muszę to jak najszybciej wypić.

Aune wstał.

– Jeśli chcesz rozmawiać o piciu, to załatwimy to jak zawsze u mnie w gabinecie. Konsultacja skończona. Zapłacisz za herbatę.

– Zaczekaj – powstrzymał go Harry. – Spójrz! – Odwrócił się i resztę piwa odstawił na pusty stolik obok. – To moja czarodziejska sztuczka. Kończę ciąg półlitrówką piwa, które piję przez godzinę. Jeden mały łyczek co dwie minuty. Jak tabletka na sen. Potem idę do domu i od następnego dnia jestem trzeźwy. Chciałem z tobą porozmawiać o tej napaści na Halvorsena.

Aune zawahał się, w końcu z powrotem usiadł.

– Straszna sprawa. Znam szczegóły.

– I co w nich widzisz?

– Co mi się majaczy, Harry. A nawet „majaczy" to za dużo powiedziane. – Aune elegancko skinął głową kelnerce, która przyniosła herbatę. – Ale jak wiesz, majaczy mi się lepiej niż innym nierobom z mojej branży. W każdym razie dostrzegam podobieństwa między tym atakiem a zabójstwem Ragnhild Gilstrup.

– No to mów!

– Głęboki szczery gniew, który wreszcie znalazł ujście. Przemoc uwarunkowana frustracją seksualną. Ataki wściekłości, które, jak

wiesz, są typowe dla osobowości typu *borderline*.

– Owszem, oprócz tego, że ta osoba zdaje się umieć kontrolować swoją wściekłość. Gdyby było inaczej, znaleźlibyśmy więcej śladów w miejscu zdarzenia.

– Słuszna uwaga. To może być typ skłonnej do przemocy osoby napędzanej wściekłością – lub „osoby, która stosuje przemoc", jak stare ciotki w mojej branży każą nam to nazywać. Osoby, która na co dzień może sprawiać wrażenie zupełnie spokojnej, wręcz defensywnej. „American Journal of Psychology" zamieścił niedawno artykuł o osobach noszących w sobie to, co nazywają *slumbering rage*. A ja nazywam doktorem Jekyllem i mister Hyde'em. Kiedy zaś mister Hyde się budzi... – Aune machnął lewym palcem wskazującym, wypijając jednocześnie łyk herbaty. – ...następuje jednocześnie dzień Sądu Ostatecznego i Ragnarok. Ale takie osoby nie są w stanie kontrolować swojej wściekłości, kiedy już raz wybuchnie.

– To raczej mi nie wygląda na pożądaną cechę osobowości płatnego zabójcy, profesjonalisty.

– Zdecydowanie nie. Do czego zmierzasz?

– Stankić traci styl w zabójstwie Ragnhild Gilstrup i napaści na Halvorsena. Jest w tym coś... mało klinicznego. Zupełnie innego od zabójstwa Roberta Karlsena i tamtych innych spraw, o których informacje przekazał nam Europol.

– Pełen tłumionego gniewu i niezrównoważony psychicznie płatny zabójca? Hm. Wielu jest niestabilnych psychicznie pilotów i dyrektorów elektrowni atomowych. Nie każdy wykonuje taką pracę, jaką wykonywać powinien.

– Ich zdrowie.

– Nie myślałem w tej chwili o tobie. Zdajesz sobie sprawę z tego, że posiadasz pewne cechy narcystyczne, komisarzu?

Harry się uśmiechnął.

– Chcesz mi powiedzieć, dlaczego się wstydzisz? – spytał Aune. – Uważasz, że Halvorsena zaatakowano z twojej winy?

Harry chrząknął.

– W każdym razie to ja mu zleciłem pilnowanie Jona Karlsena. I to ja powinienem był go nauczyć, gdzie się trzyma broń, kiedy już jest się czyjąś niańką.

Aune pokiwał głową.

– Czyli że to wszystko twoja wina. Jak zwykle.

Harry odwrócił głowę i rozejrzał się po lokalu. Światła zaczęły mrugać, a goście, którzy jeszcze siedzieli, posłusznie dopijali, naciągając czapki i szaliki. Harry położył stówę na stoliku. A spod niego kopniakiem wysunął torbę.

– O tym następnym razem, Ståle. Nie byłem w domu od wyjazdu do Zagrzebia i muszę się przespać.

Ruszył za Aunem do drzwi, ale nie powstrzymał się, by nie spojrzeć jeszcze na szklankę z odrobiną piwa, która wciąż stała na sąsiednim stoliku.

Wchodząc do mieszkania, Harry zauważył zniszczoną szybę i głośno zaklął. Już drugi raz w tym roku ktoś się do niego włamywał. Zauważył, że złodziej poświęcił czas na zaklejenie szkła, żeby nie ściągać uwagi przechodzących obok mieszkańców. A mimo wszystko nie poświęcił czasu na zabranie wieży stereo i telewizora. Dość zrozumiałe, skoro nie były to tegoroczne modele. Ani zeszłoroczne. A innego łatwego do sprzedania towaru nie miał.

Ktoś przesunął plik papierów na stole w salonie. Harry poszedł do łazienki i zobaczył, że grzebano w apteczce nad umywalką, nietrudno było więc się domyślić, że to krążył narkoman.

Ciarki go przeszły na widok talerza na kuchennym blacie i pustych puszek po lapskausie w śmieciach w szafce pod zlewem.

Czyżby nieszczęsny złodziej pocieszał się jedzeniem?

Kładąc się, już czuł zapowiedź bólu, który przyjdzie, i miał nadzieję, że zdąży zasnąć, wciąż pozostając pod jako takim wpływem leku. Przez szparę między zasłonami księżyc wpuszczał światło, które kładło się na podłodze białą smugą sięgającą aż do łóżka. Harry rzucał się niespokojnie, czekając na duchy, słyszał ich szum, więc ich pojawienie się było jedynie kwestią czasu. I chociaż wiedział, że to jedynie pijacka paranoja, wydawało mu się, że z pościeli bije zapach krwi i śmierci.

27 PONIEDZIAŁEK, 21 GRUDNIA. APOSTOŁ

Przed salą konferencyjną w czerwonej strefie ktoś zawiesił świąteczny wieniec.

Za zamkniętymi drzwiami ostatnia poranna odprawa grupy śledczej miała się ku końcowi.

Harry stał przed zebranymi w ciasnym ciemnym garniturze i się pocił.

– Ponieważ zarówno sprawca, Stankić, jak i jego zleceniodawca, Robert Karlsen, nie żyją, grupa śledcza po tej odprawie zostaje rozwiązana – oznajmił. – A to oznacza, że większość z was może w tym roku liczyć na wolne w święta. Ale mam zamiar poprosić Hagena o przydzielenie mi kilku osób do dalszego śledztwa. Jakieś pytania, zanim skończymy? Tak, Toril?

– Powiedziałeś, że kontakt Stankicia w Zagrzebiu potwierdził nasze podejrzenie, że to Robert Karlsen zlecił zabójstwo Jona. Kto z tym kontaktem rozmawiał i jak?

– W to, niestety, nie mogę się zagłębiać – odparł Harry, ignorując pełne dezaprobaty spojrzenie Beate i czując pot spływający po plecach, wcale nie z powodu garnituru czy kłopotliwego pytania,

tylko dlatego że był trzeźwy. – No dobrze – powiedział. – Kolejnym zadaniem będzie stwierdzenie, z kim współpracował Robert. W ciągu dnia skontaktuję się ze szczęśliwcami, którzy będą brali w tym udział. Hagen jeszcze dzisiaj, ale trochę później, zorganizuje konferencję prasową i sam zajmie się tym, co należy mówić. – Harry machnął ręką. – A teraz kochani, biegnijcie do swoich papierów.

– Hej! – zawołał Skarre, przekrzykując szuranie krzeseł. – Nie uczcimy tego?

Hałas umilkł i wszyscy zebrani popatrzyli na Harry'ego.

– No cóż. – Wzruszył ramionami. – Nie bardzo wiem, co mamy czcić, Skarre. Że troje ludzi nie żyje? Że prawdziwy mocodawca wciąż jest wolny? Czy że nasz kolega leży w śpiączce?

Popatrzył na nich i nie zrobił nic, żeby skrócić nieprzyjemną ciszę.

Kiedy sala opustoszała, Skarre podszedł do Harry'ego, który porządkował zrobione o szóstej rano notatki i chował je z powrotem do teczki.

– *Sorry* – powiedział Skarre. – Kiepska propozycja.

– W porządku – odparł Harry. – Chciałeś dobrze.

Skarre chrząknął.

– Rzadko można cię zobaczyć w garniturze.

– O dwunastej w południe jest pogrzeb Roberta Karlsena – wyjaśnił Harry, nie podnosząc głowy. – Chcę zobaczyć, kto tam przyjdzie.

– Jasne. – Skarre zakołysał się na piętach.

Harry przestał przekładać papiery.

– Chciałeś coś jeszcze, Skarre?

– No tak. Tak. Pomyślałem sobie, że sporo ludzi u nas w wydziale ma rodziny i cieszy się na te święta, a ja jestem singlem...

– Mhm?

– I zgłaszam się dobrowolnie.

– Dobrowolnie?

– To znaczy mam nadzieję dalej pracować nad tą sprawą. Jeśli mnie chcesz – dodał czym prędzej.

Harry przyjrzał się Magnusowi Skarremu.

– Wiem, że mnie nie lubisz.

– Nie o to chodzi – powiedział Harry. – Ja już postanowiłem, kto dalej będzie nad tym pracował. I chcę mieć tych, których uważam za najlepszych do tego, a nie tych, których lubię.

Skarre wzruszył ramionami, a jabłko Adama podskoczyło mu w górę i w dół.

– No to dobrze. Wobec tego wesołych świąt. – Już ruszył do drzwi.

– Dlatego... – Harry wrócił do układania notatek w teczce – ...chcę, żebyś zaczął od sprawdzenia konta Roberta Karlsena. Zobacz, co tam wpływało i co wypływało przez ostatnie pół roku, i zwróć uwagę na wszelkie nieregularności.

Skarre zatrzymał się i odwrócił zdumiony.

– To samo z kontami Alberta i Madsa Gilstrupów. Dotarło do ciebie, Skarre?

Magnus Skarre z zapałem pokiwał głową.

– Sprawdź też w Telenorze, czy między Robertem a Gilstrupem nie było w tym okresie żadnych rozmów. A ponieważ Stankić najprawdopodobniej zabrał komórkę Halvorsena, to możesz też sprawdzić, czy nie było rozmów z jego numeru. Porozmawiaj z policyjnym prokuratorem o wglądzie w te konta.

– Nie muszę. Według najnowszej instrukcji mamy na bieżąco prawo do wglądu w konta.

– Mhm. – Harry popatrzył na Skarrego z powagą. – Tak właśnie myślałem, że dobrze mieć w grupie kogoś, kto przeczytał tę instrukcję.

Robert Karlsen nie miał stopnia oficerskiego, ale ponieważ zginął na posterunku, postanowiono jednak, że będzie miał grób na tym fragmencie cmentarza Zachodniego, którym dysponowała Armia Zbawienia dla swoich oficerów. Po pogrzebie miało się, jak zwykle, odbyć nabożeństwo żałobne w siedzibie korpusu na Majorstua.

Harry po wejściu do kaplicy zobaczył, że w pierwszej ławce siedzi tylko Jon z Theą, uznał więc, że rodzice Roberta nie przyjechali. Kiedy Jon się odwrócił, nawiązał z nim kontakt wzrokowy, ten kiwnął mu głową, krótko i z powagą, ale i z wdzięcznością w spojrzeniu.

Poza tym kaplica zgodnie z przewidywaniem była wypełniona po brzegi. Większość przybyłych nosiła mundury Armii Zbawienia. Harry zauważył Rikarda i Davida Eckhoffa, a przy nim Gunnara Hagena. Pojawiło się też sporo sępów z prasy. Moment później na sąsiednie miejsce w ławce wsunął się Roger Gjendem i spytał, czy Harry nie wie, dlaczego premier nie przyszedł, mimo że tak zapowiadano.

– Spytaj w Kancelarii Premiera – odparł Harry, chociaż wiedział, że kancelaria tego samego dnia rano otrzymała dyskretny telefon z informacją o możliwej roli Roberta Karlsena w całej sprawie. Urzędnicy odpowiedzieli, że szef rządu i tak będzie, niestety, musiał pojechać na inne, ważniejsze spotkania.

Do komandora Davida Eckhoffa też zatelefonowano z policji i w Kwaterze Głównej zapanowała wręcz panika, szczególnie że jedna z głównych osób zajmujących się przygotowaniami do pogrzebu, Martine Eckhoff, zadzwoniła rano z informacją, że jest chora i nie może przyjść do pracy.

Komandor jednak zdecydowanie oświadczył, że człowiek pozostaje niewinny, dopóki niezbicie nie udowodni się, że jest inaczej. Dodał też, że za późno już na zmianę całego planu

i uroczystość musi się odbyć. Poza wszystkim premier zapewnił komandora o tym, że umowa na jutrzejszy wieczorny koncert świąteczny tak czy owak pozostaje w mocy.

– A poza tym? – szepnął Gjendem. – Coś nowego w sprawach tych zabójstw?

– Na pewno dostaliście te informacje – odparł Harry. – Wszystko, co ma związek z prasą, musi przechodzić przez Gunnara Hagena albo rzecznika prasowego.

– Ale oni nic nie mówią.

– Widać znają się na swojej robocie.

– Dalej, Hole! Rozumiem, że coś się tu dzieje. Ten sierżant, którego pchnięto nożem na Gøteborggata, czy on ma jakiś związek z zabójcą, którego rozwaliliście wczoraj w nocy?

Harry pokręcił głową w sposób, który mógł znaczyć zarówno „nie", jak i „bez komentarza".

W tej samej chwili umilkła muzyka organowa, ucichły szepty, a na przód wystąpiła dziewczyna, która właśnie wydała debiutancką płytę, i zaśpiewała znany psalm, uwodząc długością przeciąganych tonów i początkami westchnień, a kropkę postawiła na ostatniej sylabie, modulując głos w sposób, jakiego mogłaby jej pozazdrościć Mariah Carey. Harry'ego na moment kompletnie przytłoczyła ogromna ochota na drinka. Piosenkarka jednak w końcu zamknęła usta i przy wtórze fleszy schyliła głowę w żałobie. Jej menedżer uśmiechał się zadowolony. Do niego najwyraźniej nikt z policji nie dzwonił.

Eckhoff przemawiał do zgromadzonych o odwadze i ofiarności.

Harry nie był w stanie się skupić. Patrzył na trumnę i myślał o Halvorsenie. I o matce Stankicia. A kiedy zamknął oczy, myślał też o Martine.

Później sześciu oficerów wyniosło trumnę. Jon i Rikard szli jako pierwsi.

Kiedy skręcali w wysypaną żwirem alejkę, Jon poślizgnął się na lodzie.

Harry wycofał się, gdy inni wciąż jeszcze stali zebrani wokół grobu. Szedł przez bezludną część cmentarza, kierując się w stronę parku Frogner, gdy usłyszał za plecami skrzypienie śniegu. W pierwszej chwili pomyślał, że to jakiś dziennikarz, ale gdy dotarł do niego podniecony oddech, zareagował bez zastanowienia i błyskawicznie się odwrócił.

To był Rikard. Gwałtownie się zatrzymał.

– Gdzie ona jest? – spytał, dysząc ze złością.

– Kto gdzie jest?

– Martine.

– Słyszałem, że jest chora.

– Tak, chora. – Rikardowi falowała pierś. – Ale w domu, w łóżku jej nie ma. I nie było jej przez całą noc.

– Skąd wiesz?

– Nie...! – Krzyk Rikarda zabrzmiał jak krzyk bólu, a twarz zaczęła mu się wykrzywiać, jakby nie był już w stanie kontrolować własnej mimiki. W końcu jednak nabrał powietrza i opanował się z widocznym wysiłkiem woli.

– Nie próbuj mi nic wmawiać – szepnął. – Ja i tak wiem. Oszukałeś ją. Zbrukałeś. Ona jest w twoim mieszkaniu, prawda? Ale tobie nie wolno...

Rikard zrobił krok do przodu, a Harry odruchowo wyciągnął ręce z kieszeni płaszcza.

– Posłuchaj. Nie mam pojęcia, gdzie jest Martine.

– Kłamiesz!

Rikard zacisnął pięści, a Harry pojął, że musi jak najszybciej znaleźć właściwe słowa, które uspokoją chłopaka. Zdecydował się na takie:

– Powiem ci parę rzeczy, które powinieneś rozważyć. Teraz, w tej chwili, Rikard. Nie jestem szczególnie szybki, ale ważę dziewięćdziesiąt pięć kilo i udało mi się wybić dziurę w dębowych drzwiach. A minimalna kara według paragrafu sto dwadzieścia siedem kodeksu karnego za napaść na funkcjonariusza to sześć miesięcy. Ryzykujesz więc szpital. I więzienie.

Rikard patrzył na niego ponuro.

– Jeszcze się zobaczymy, Harry Hole! – rzucił i pobiegł po śniegu między nagrobkami, kierując się w stronę kościoła.

Imtiaz Rahim był w złym humorze. Właśnie pokłócił się z bratem o to, czy będą wieszać gwiazdkowe dekoracje na ścianie za kasą. Zdaniem Imtiaza wystarczyło, że sprzedają kalendarze adwentowe, wieprzowinę i inne artykuły dla chrześcijan, więc nie muszą bluźnić Allahowi jeszcze i tym pogańskim obyczajem. Co powiedzą ich pakistańscy klienci? Ale brat Imtiaza uważał, że powinni myśleć również o innych klientach, na przykład tych z przeciwnej strony Gøteborggata, i nie zaszkodzi, jeśli w sklepie kolonialnym na parę dni pojawią się drobne elementy chrześcijańskie. Imtiaz wygrał gwałtowną dyskusję, ale nie sprawiło mu to żadnej radości. Dlatego ciężko westchnął, gdy dzwonek nad drzwiami zabrzęczał gniewnie i głośno, a do kasy podszedł szerokobary mężczyzna w ciemnym garniturze.

– Harry Hole, policja – przedstawił się, a Imtiaz w chwilowym przypływie paniki pomyślał, że w Norwegii istnieje prawo, które nakazuje wszystkim sklepom mieć gwiazdkowe dekoracje.

– Kilka dni temu tu, przed sklepem, stał żebrak – powiedział policjant. – Facet z rudymi włosami i takimi wąsami. – Powiódł

palcem nad ustami i w dół.

– Znam go – przyznał Imtiaz. – Przynosi butelki, żeby dostać zastaw.

– Wiesz jak się nazywa?

– Żebro. Albo Zastawka.

– Co?

Imtiaz roześmiał się. Znów miał dobry humor.

– On jest żebrakiem, prawda? I zastawia butelki...

Harry pokiwał głową. Imtiaz wzruszył ramionami.

– Bratanek mnie tego nauczył.

– Mhm. Całkiem nieźle. Ale...

– Nie wiem, jak naprawdę się nazywa. Ale wiem, gdzie go znajdziesz.

Espen Kaspersen jak zwykle siedział w Głównej Bibliotece Deichmana na ulicy Henryka Ibsena numer jeden ze stosem książek przed sobą, kiedy nagle zwrócił uwagę na stojącą nad nim postać. Podniósł wzrok.

– Hole, policja – przedstawił się mężczyzna i usiadł po drugiej stronie długiego stołu. Espen zobaczył, że czytająca dziewczyna na samym końcu stołu na nich zerka. Czasami się zdarzało, że nowy pracownik recepcji kazał mu pokazać torbę, gdy wychodził, a dwa razy podeszły do niego jakieś osoby i poprosiły, żeby sobie poszedł, bo cuchnie tak, że nie są w stanie skoncentrować się na pracy. Ale pierwszy raz przyszła do niego policja. Oczywiście z wyjątkiem tych sytuacji, kiedy żebrał na ulicy.

– Co czytasz? – spytał policjant.

Kaspersen wzruszył ramionami. Od razu się zorientował, że objaśnianie temu człowiekowi swojego projektu będzie marnowaniem czasu.

– Søren Kierkegaard? – Policjant, mrużąc oczy, spojrzał na książki. – Schopenhauer. Nietzsche. Filozofia. – Jesteś myślicielem?

Espen Kaspersen prychnął.

– Próbuję znaleźć właściwą drogę, a z tym łączy się zastanawianie, co oznacza bycie człowiekiem.

– Czy to nie zajęcie myśliciela?

Espen Kaspersen przyjrzał mu się uważniej. Może jednak się pomylił?

– Rozmawiałem z kupcem ze sklepu kolonialnego na Gøteborggata – powiedział policjant. – Twierdził, że codziennie tu przesiadujesz. A kiedy nie jesteś tu, żebrzesz na ulicy.

– Rzeczywiście, takie życie wybrałem.

Policjant wyjął notatnik, Espen Kaspersen w odpowiedzi na pytania podał mu swoje pełne nazwisko i adres u ciotecznej babki na Hagegata.

– A zawód?

– Mnich.

Espen Kaspersen ku swemu zadowoleniu zauważył, że policjant zanotował to bez mrugnięcia okiem.

Policjant pokiwał głową.

– No dobrze, Espen. Nie jesteś narkomanem, więc dlaczego żebrzesz?

– Ponieważ moim zadaniem jest służyć ludziom jako zwierciadło, w którym mogą się przejrzeć i zobaczyć, co jest wielkie, a co małe.

– A co jest wielkie?

Espen westchnął zrezygnowany, jakby miał dość powtarzania oczywistości.

– Miłosierdzie. Dzielenie się i pomaganie bliźniemu. Biblia mówi niemal wyłącznie o tym. Tak naprawdę trzeba cholernie długo szukać, żeby znaleźć coś o seksie przedmałżeńskim, o aborcji,

homoseksualizmie i prawie kobiet do przemawiania na zgromadzeniach. Ale faryzeuszom oczywiście łatwiej jest mówić głośno o zdaniach podrzędnych w Biblii, niż głosić i robić to, co naprawdę wielkie, a co Biblia stwierdza z całą mocą: połowę tego, co się ma, należy oddać komuś, kto nie ma nic. Codziennie umierają tysiące ludzi, którzy nie słyszeli Słowa Bożego, bo chrześcijanie ściskają w rękach swoje ziemskie dobra. Ja im daję szansę, żeby się nad tym zastanowili.

Policjant pokiwał głową.

Espen Kaspersen nagle się zdziwił.

– A skąd właściwie wiesz, że nie jestem narkomanem?

– Bo kilka dni temu widziałem cię na Gøteborggata. Żebrałeś, a ja szedłem razem z młodym mężczyzną, który dał ci monetę. Ale ty ją podniosłeś i rzuciłeś w niego z wściekłością. Narkoman nigdy by tak nie zrobił. Bez względu na to, jak mały byłby to grosz.

– Pamiętam.

– To samo przytrafiło mi się w Zagrzebiu dwa dni temu. I zacząłem się zastanawiać. To znaczy coś mnie w tym zdziwiło, ale zastanawiać się zacząłem dopiero teraz.

– Był jeszcze jeden powód, dla którego rzuciłem tą monetą – powiedział Espen Kaspersen.

– Właśnie to mi przyszło do głowy. – Harry położył na stole plastikową torebeczkę z jakimś przedmiotem. – Czy to jest ten powód?

28 PONIEDZIAŁEK, 21 GRUDNIA. POCAŁUNEK

Konferencja prasowa odbyła się w sali odpraw na czwartym piętrze. Gunnar Hagen i naczelnik Biura Kryminalnego siedzieli

na podium, a ich głosy odzywały się echem w wielkim nagim pomieszczeniu. Harry'emu polecono przyjść na wypadek, gdyby Hagen musiał uzgodnić z nim jakieś szczegóły dotyczące śledztwa. Ale pytania dziennikarzy obracały się w przeważającej mierze wokół dramatycznych wydarzeń w porcie kontenerowym, a Hagen miał trzy warianty odpowiedzi: „bez komentarza", „w to nie mogę się zagłębiać" i „odpowiedź na to pytanie musimy pozostawić SEFO".

Na pytanie, czy policja wie coś o możliwych współpracownikach zabójcy, Hagen odpowiedział: „Na razie jeszcze nie, ale prowadzimy w tej sprawie intensywne śledztwo".

Kiedy konferencja dobiegła końca, Hagen przywołał Harry'ego do siebie. Sala powoli pustoszała, a Hagen podszedł do brzegu podium, więc mógł z góry patrzeć na swojego wysokiego komisarza.

– Wydałem jasne polecenie, że od dzisiaj życzę sobie widzieć wszystkich podległych mi komisarzy z bronią. Dostałeś ode mnie podpisany wniosek o przydział. Gdzie twoja broń?

– Zajmowałem się śledztwem i nie nadałem tej sprawie odpowiedniego priorytetu.

– Więc go nadaj. – Słowa odbiły się echem.

Harry kiwnął głową.

– Coś jeszcze, szefie?

W swoim pokoju Harry usiadł wpatrzony w puste krzesło Halvorsena. W końcu zadzwonił do Wydziału Paszportowego na pierwszym piętrze i poprosił o listę paszportów wydanych rodzinie Karlsenów. Nosowy kobiecy głos spytał, czy sobie żartuje, podał więc numer osobisty Roberta i za pośrednictwem Biura Ewidencji Ludności i średnio szybko działającego komputera ograniczył swoje zapotrzebowanie do Roberta, Jona, Josefa i Dorthe.

– Rodzice, Josef i Dorthe, mają paszporty odnowione cztery lata temu. Jonowi nigdy nie wydawaliśmy paszportu. I... chwileczkę, ta maszyna dzisiaj jakoś wyjątkowo opornie chodzi... Tak, jest. Robert Karlsen ma dziesięcioletni paszport, który wkrótce straci ważność. Możesz mu więc powiedzieć, że...

– On nie żyje.

Harry wybrał wewnętrzny numer Skarrego i kazał mu zaraz przyjść.

– Nic – oświadczył Skarre, który albo przypadkiem, albo powodowany nagłym przypływem taktu przysiadł na brzegu biurka, zamiast na krześle Halvorsena.

– Sprawdziłem konta Gilstrupów. Nie ma żadnych powiązań z Robertem Karlsenem czy jakimiś kontami w Szwajcarii. Jedyną niezwykłą rzeczą jest wypłata gotówki, pięciu milionów koron w dolarach, z jednego z kont spółki. Zadzwoniłem w tej sprawie do Alberta Gilstrupa, a on odpowiedział mi wprost, że to doroczne świąteczne upominki dla kapitanów portów w Buenos Aires, Manili i Bombaju, których Mads zwykle odwiedza w grudniu. W niezłej branży siedzą ci chłopcy.

– A konto Roberta?

– Cały czas tylko wpływała pensja i jakieś drobne wypłaty.

– A co z telefonami Gilstrupów?

– Nic do Roberta Karlsena. Ale przeglądając abonament Gilstrupa, natrafiliśmy na coś innego. Zgadnij, kto dzwonił do Jona Karlsena setki razy? Czasami nawet w środku nocy?

– Ragnhild Gilstrup – odpowiedział Harry i zobaczył rozczarowaną minę Skarrego. – Coś jeszcze?

– Nie – odparł Skarre. – Oprócz tego, że pojawił się znajomy numer. Mads Gilstrup zadzwonił do Halvorsena tego samego dnia, w którym Halvorsena dźgnięto nożem. Połączenie nieodebrane.

– Aha. Chcę, żebyś sprawdził jeszcze jedno konto.

– Czyje?

– Davida Eckhoffa.

– Komandora? A czego mam szukać?

– Nie bardzo wiem. Po prostu je sprawdź.

Po wyjściu Skarrego Harry wybrał numer do Zakładu Medycyny Sądowej, którego pracownica bez najmniejszych protestów zobowiązała się przesłać faksem zdjęcie zwłok Christa Stankicia w celu identyfikacji pod numer, jak wyjaśnił, hotelu International w Zagrzebiu.

Harry podziękował, odłożył słuchawkę i sam połączył się z hotelem.

– Pozostaje jeszcze kwestia tego, co mamy zrobić ze zwłokami – powiedział, kiedy połączono go z Fredem. – Władze chorwackie nic nie wiedzą o żadnym Chriście Stankiciu i w związku z tym zapewne nie wystąpiły o wydanie ciała.

Dziesięć sekund później już słyszał jej szkolny angielski.

– Proponuję nowy handel wymienny – oświadczył.

Klausowi Torkildsenowi z Centrali Operacyjnej Telenor dla Regionu Oslo przyświecał właściwie jeden cel w życiu: święty spokój. A ponieważ miał dużą nadwagę, stale się pocił i był generalnie niesympatyczny, jego życzenie na ogół się spełniało. Jeśli już musiał się kontaktować z innymi ludźmi, starał się zachować jak największy dystans. Dlatego wiele czasu spędzał sam, zamknięty w pomieszczeniu operacyjnym, w towarzystwie jedynie wielu rozgrzanych urządzeń i chłodzących wentylatorów. Niewiele osób, jeśli w ogóle ktokolwiek, wiedziało, czym się zajmował. Pewne było jedynie, że jest niezastąpiony. Potrzeba dystansu mogła również być przyczyną, dla której przez wiele lat uprawiał ekshibicjonizm i w ten sposób był w stanie osiągnąć zaspokojenie

z partnerką znajdującą się w odległości od pięciu do pięćdziesięciu metrów od niego. Ale przede wszystkim Klausowi Torkildsenowi zależało na spokoju. A w tym tygodniu już dostatecznie często go naciskano. Najpierw ten Halvorsen, który kazał mu pilnować połączeń z jakimś hotelem w Zagrzebiu. Potem Skarre zażądał zestawienia rozmów Gilstrupów z Karlsenem. Obydwu skierował Harry Hole, wobec którego Klaus Torkildsen mimo wszystko miał pewien dług wdzięczności. Tylko i wyłącznie z tego powodu nie odłożył słuchawki, kiedy zadzwonił sam Hole.

– Mamy w firmie coś, co się nazwa Wydziałem Kontaktów z Policją – oświadczył Torkildsen niechętnie. – Zgodnie z zasadami musicie dzwonić tam, jeśli chcecie, żebyśmy wam pomogli.

– Wiem o tym. – Harry nic więcej nie musiał dodawać. – Dzwoniłem do Martine Eckhoff cztery razy, a ona nie odbiera. Nikt w Armii Zbawienia nie wie, gdzie jest, nawet jej ojciec.

– Ojcowie zwykle dowiadują się o wszystkim jako ostatni – zauważył Klaus, który osobiście nie miał o tym pojęcia, ale tego rodzaju wiedzę można zdobyć, kiedy się dużo chodzi do kina. Lub, tak jak Klaus Torkildsen, kiedy się chodzi do kina ekstremalnie dużo.

– Przypuszczam, że wyłączyła telefon, ale nie mógłbyś go zlokalizować? Tak, żebym wiedział, czy przynajmniej jest w mieście.

Torkildsen westchnął. Z czystej kokieterii, bo tak naprawdę uwielbiał te drobne przysługi dla policji. Szczególnie takie, które niechętnie oglądały światło dzienne.

– Podaj mi jej numer.

Piętnaście minut później Klaus oddzwonił z informacją, że przynajmniej karty SIM Martine nie ma w mieście. Dwie stacje bazowe, obie po zachodniej stronie drogi E6, odebrały sygnały. Wyjaśnił, gdzie leżą te stacje, i jaki mają promień zasięgu,

a ponieważ Hole szybko podziękował i się rozłączył, Klaus uznał, że był pomocny, i z zadowoleniem wrócił do studiowania repertuaru kin.

Jon otworzył kluczem drzwi do mieszkania Roberta.

Ściany wciąż pachniały dymem, a na podłodze koło szafy leżał brudny T-shirt. Jakby Robert przed chwilą tu był i tylko wyszedł do sklepu po kawę i papierosy.

Jon odstawił przy łóżku czarną torbę, którą dostał od Madsa, i podkręcił grzejnik. Zrzucił z siebie całe ubranie, wszedł pod prysznic i stał pod gorącą wodą, dopóki skóra mu się nie zaczerwieniła. Potem się wytarł, wyszedł z łazienki, nagi usiadł na łóżku i zaczął wpatrywać się w torbę.

Bał się ją otworzyć. Wiedział, co jest pod gładkim, gęstym materiałem. Zatracenie. Śmierć. Wydało mu się, że już czuje zapach zgnilizny. Zamknął oczy. Musi się zastanowić.

Zadzwoniła komórka.

Na pewno Thea martwi się, gdzie się podział. Nie miał siły z nią teraz rozmawiać. Ale telefon dalej dzwonił, uparcie i nieprzerwanie jak chińska tortura wodna, sięgnął więc w końcu po aparat i głosem, który, jak słyszał, trząsł się z wściekłości, spytał:

– O co chodzi?

Ale nikt nie odpowiedział. Spojrzał na wyświetlacz. Nie było numeru. Uświadomił sobie, że to nie Thea.

– Halo? Tu Jon Karlsen – powiedział ostrożnie.

Wciąż nic.

– Halo, kto mówi? Słyszę, że ktoś tam jest. Kto tam?

Malutka panika podbiegła na paluszkach i wspięła mu się po kręgosłupie.

– *Hello?* – usłyszał własny głos. – *Who is this? Is that you? I need to speak with you. Hello!*

Rozległo się kliknięcie i połączenie zostało przerwane.

To śmieszne, pomyślał Jon. Na pewno jakaś pomyłka. Przełknął ślinę. Stankić nie żył. Robert nie żył. I Ragnhild nie żyła. Wszyscy nie żyli. Tylko ten policjant jeszcze żył. I on sam. Zapatrzył się na torbę, poczuł pełznący chłód i naciągnął na siebie kołdrę.

Kiedy Harry skręcił z E6 i przejechał kawałek wąskimi drogami w głąb pokrytego śniegiem krajobrazu wśród pól, podniósł wzrok i zobaczył, że niebo jest pogodne, usiane gwiazdami. Ogarnęło go dziwne drżące wrażenie, że coś się w wkrótce wydarzy, a kiedy ujrzał spadającą gwiazdę, zataczającą parabolę po niebie, pomyślał, że jeśli istnieją znaki, to właśnie jakaś planeta na jego oczach uległa zagładzie.

Zobaczył światło w oknach na parterze Østgård.

A kiedy wjechał na podwórze i ujrzał elektryczny samochodzik, przeczucie, że coś się wkrótce wydarzy, jeszcze się wzmogło.

Ruszył w stronę domu, przyglądając się śladom na śniegu.

Stanął przy drzwiach i przyłożył do nich ucho. Ze środka dobiegały ściszone głosy.

Zapukał szybko trzy razy. Głosy ucichły.

Potem rozległy się kroki i miękki głos dziewczyny.

– Kto tam?

– Harry – powiedział. – Hole. – To ostatnie dodał, żeby nie wzbudzić niczyich podejrzeń, że z Martine Eckhoff łączą go osobiste więzi.

Przez chwilę siłowała się z zamkiem, w końcu drzwi się otworzyły.

Jego pierwszą i jedyną myślą było to, że dziewczyna jest śliczna. Miała na sobie miękką, białą i grubą koszulę z bawełny, rozpiętą przy szyi, a oczy jej promieniały.

– Tak się cieszę! – roześmiała się.

– Widzę – uśmiechnął się Harry. – I ja się cieszę.

Rzuciła mu się na szyję. Poczuł, że puls bije jej szybko.

– Jak mnie tu znalazłeś? – szepnęła mu do ucha.

– Nowoczesna technologia.

Ciepło jej ciała, błyszczące oczy i całe to ekstatyczne powitanie przyprawiło Harry'ego o poczucie nierzeczywistego szczęścia, przyjemnego snu, z którego nie miał ochoty tak od razu się budzić. Ale musiał.

– Masz gości? – spytał.

– Ja? Nie.

– Wydawało mi się, że słyszałem głosy.

– Aha – powiedziała, puszczając Harry'ego. – To tylko radio grało. Wyłączyłam je, kiedy usłyszałam pukanie. Trochę się nawet przestraszyłam, a to tylko byłeś ty. – Poklepała go po ramieniu. – Harry Hole.

– Nikt nie wie, gdzie jesteś, Martine.

– Cudownie.

– Niektórzy się niepokoją.

– Tak?

– Szczególnie Rikard.

– Ach, zapomnij o Rikardzie! – Wzięła Harry'ego za rękę i zaprowadziła go do kuchni. Z szafki wyjęła niebieską filiżankę. Harry zauważył, że w zlewie już stoją dwa talerze i dwie filiżanki.

– Nie wyglądasz na bardzo chorą – ocenił.

– Musiałam sobie zrobić dzień wolny po tym wszystkim, co się wydarzyło. – Nalała mu kawy. – Czarna, prawda?

Harry kiwnął głową. Martine solidnie napaliła w piecu, zdjął więc kurtkę i sweter, zanim usiadł przy stole.

– Ale jutro jest koncert świąteczny. Muszę wtedy wrócić – westchnęła. – Przyjdziesz?

– No cóż, obiecałaś mi bilet...

– Powiedz, że przyjdziesz! – Martine nagle przygryzła dolną wargę. – Załatwiłam dla nas bilety w loży honorowej. Trzy rzędy za premierem. Ale musiałam oddać twój bilet komuś innemu.

– Nic nie szkodzi.

– I tak siedziałbyś sam. Ja muszę pracować za sceną.

– Wobec tego wszystko jedno.

– Nie! – roześmiała się. – Chcę, żebyś tam był.

Ujęła go za rękę, a Harry patrzył, jak jej drobna dłoń ściska i głaszcze jego wielką łapę. Było tak cicho, że słyszał w uszach krew dudniącą jak wodospad.

– Po drodze widziałem spadającą gwiazdę. Czy to nie dziwne, że widok zagłady jakiejś planety uważany jest za zwiastun szczęścia?

Martine w milczeniu pokiwała głową. Potem wstała, nie puszczając ręki Harry'ego, obeszła stół, usiadła mu okrakiem na kolanach, twarzą zwrócona w jego stronę. Objęła go za szyję.

– Martine... – zaczął.

– Pst! – położyła mu palec na ustach i nie odrywając go, nachyliła się i dotknęła wargami jego ust.

Harry zamknął oczy i czekał. Czuł, że serce wali mu ciężko i słodko, ale siedział nieruchomo. Pomyślał, że zaczeka, aż jej serce zacznie bić równym rytmem z jego sercem, ale właściwie wiedział jedno: że musi czekać. Poczuł, że Martine rozchyla wargi, odruchowo więc również otworzył usta, opierając język na zębach, by przyjąć jej język. Palec Martine miał ekscytujący gorzki smak mydła i kawy, który zapiekł w czubek języka. Mocniej objęła go za szyję.

W końcu poczuł jej język. Przyciskał się do palca, czuł go więc po obu stronach, jakby był rozdwojony niczym język węża, jak

dwie połówki pocałunku.

Nagle go puściła.

– Nie otwieraj oczu – szepnęła mu do ucha.

Harry odchylił głowę, walcząc z pragnieniem położenia dłoni na jej biodrach. Mijały sekundy. W końcu poczuł miękką bawełnę na grzbiecie dłoni, kiedy koszula zsunęła jej się na podłogę.

– Teraz możesz otworzyć – szepnęła.

Harry usłuchał.

Siedział i patrzył na nią. Jej twarz wyrażała mieszankę lęku i oczekiwania.

– Jesteś piękna – powiedział dziwnym, nieswoim głosem. Zdezorientowanym.

Zobaczył, że przełyka ślinę, a potem na jej twarzy pojawił się triumfalny uśmiech.

– Podnieś ręce – kazała. Złapała za dół jego T-shirtu i ściągnęła mu go przez głowę.

– A ty jesteś brzydki – powiedziała. – Cudownie brzydki.

Harry poczuł ukłucie bólu, kiedy ugryzła go w brodawkę piersi. Pogładziła go ręką po plecach i przesunęła ją między jego nogi. Jej oddech, który czuł na szyi, przyspieszył, druga ręka sięgnęła do klamry paska. Podtrzymał jej krzyż. I właśnie wtedy to poczuł. Mimowolne drżenie mięśni. Spięcie, którego nie była w stanie ukryć. Bała się.

– Zaczekaj, Martine – szepnął. Jej ręka zamarła.

Harry pochylił się do jej ucha:

– Chcesz tego? Wiesz, na co się porywasz?

Czuł na skórze jej oddech, wilgotny i szybki, gdy wydusiła z siebie:

– Nie. A ty?

– Nie. Może więc nie będziemy...

Wstała. Patrzyła na niego zranionym, zrozpaczonym wzrokiem.

– Ale ja... przecież ja czuję, że ty...

– Oczywiście. – Harry pogładził ją po włosach. – Mam na ciebie ochotę. Miałem na ciebie ochotę już wtedy, kiedy pierwszy raz cię zobaczyłem.

– Naprawdę? – Złapała go za rękę i przyłożyła ją do rozpalonego policzka.

Harry uśmiechnął się.

– A już na pewno za drugim.

– Za drugim?

– No dobrze, to za trzecim. Każda dobra muzyka wymaga trochę czasu.

– I ja jestem dobrą muzyką?

– Oszukuję, to było już za pierwszym razem. Ale to nie znaczy, że łatwo mnie kupić, okej?

Martine uśmiechnęła się, potem zaczęła się śmiać. Harry też. Pochyliła się i przyłożyła czoło do jego piersi. Zanosiła się od śmiechu, klepiąc go w ramię, i dopiero gdy Harry poczuł na brzuchu jej łzy, zorientował się, że płakała.

Jon obudził się z zimna. Tak mu się wydawało. W mieszkaniu Roberta było ciemno i nie znalazł żadnego innego wyjaśnienia. Ale zaraz w jego mózgu film zaczął przewijać się do tyłu i zrozumiał, że to, co wziął za ostatnie fragmenty snu, wcale nim nie było. Naprawdę słyszał klucz przekręcany w zamku i drzwi naprawdę się otworzyły. Ktoś oddychał w pokoju.

Z wrażeniem déjà vu, z uczuciem, że ten koszmar się powtarza, obrócił się błyskawicznie.

Nad łóżkiem pochylała się postać.

Jonowi dech zaparło w piersi, gdy śmiertelne przerażenie zaatakowało, zatapiając zęby w ciele i docierając aż do okostnej.

Miał pełną świadomość, był pewien, że ta postać pragnie jego śmierci.

– *Stigla sam* – usłyszał.

Jon nie znał zbyt wielu chorwackich słów, ale te, których nauczył się od lokatorów z Vukovaru, wystarczyły, by zrozumieć, co mówi głos:

– Jestem.

– Zawsze byłeś samotny, Harry?

– Chyba tak.

– Dlaczego?

Wzruszył ramionami.

– Nigdy nie byłem szczególnie towarzyski.

– To wszystko?

Harry wypuścił kółko z dymu pod sufit i poczuł, że Martine wącha jego sweter i szyję. Leżeli w sypialni, on na kołdrze, ona pod nią.

– Bjarne Møller, mój poprzedni szef, mówi, że tacy jak ja zawsze idą po linii największego oporu. To tkwi w tym, co nazywa naszą „przeklętą naturą". Dlatego w końcu zawsze zostajemy sami. Nie wiem. Lubię być sam. Może z czasem spodobałem się też sobie jako samotnik. A ty?

– Chcę, żebyś ty mówił.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Lubię słuchać, jak mówisz. Jak ktoś może lubić swój obraz jako osoby samotnej?

Harry głęboko się zaciągnął. Zatrzymując dym w płucach, pomyślał, że człowiek powinien umieć wydmuchać z dymu kształty, które potrafiłyby wyjaśnić wszystko. W końcu wypuścił dym z przeciągłym sykiem.

– Myślę, że aby przeżyć, trzeba znaleźć w sobie coś, co się lubi. Niektórzy powiedzą, że życie samotne to aspołeczność i egoizm. Ale człowiek jest wtedy niezależny i nie pociąga za sobą w otchłań innych, jeśli tam zmierza. Wielu ludzi boi się samotności. Ale mnie pomogła stać się wolnym, silnym i nietykalnym.

– Silny przez samotność?

– Właśnie.

– Tak jak powiedział doktor Stockmann: „Najsilniejszym człowiekiem na świecie jest ten, kto jest zupełnie sam”[7].

– Najpierw Süskind, a teraz Ibsen.

Harry roześmiał się.

– To linijka, którą cytował mój ojciec – westchnął i dodał: – Zanim mama umarła.

– Powiedziałeś, że to c i p o m o g ł o stać się nietykalnym. Już tak nie jest?

Harry poczuł, że popiół z papierosa upadł mu na pierś. Zostawił go.

– Poznałem Rakel i... No tak, Olega. Oni mnie do siebie przywiązali. To mi otworzyło oczy i pokazało, że również w moim życiu są inni ludzie. Ludzie, którzy są moimi przyjaciółmi i których ja obchodzę. Pokazało też, że ich potrzebuję. – Dmuchnął na żar, który się rozjarzył. – A co gorsza, oni mogą potrzebować mnie.

– I wtedy przestałeś być wolny?

– Tak, wtedy przestałem być wolny.

Leżeli wpatrzeni w ciemność.

Martine wtuliła nos w jego szyję.

– Bardzo ich kochasz, prawda?

– Tak. – Harry przytulił ją mocniej. – Tak, kocham.

Kiedy zasnęła, Harry ześlizgnął się z łóżka i starannie otulił ją kołdrą. Sprawdził godzinę na jej zegarku. Punkt druga. Wyszedł

na korytarz, włożył buty i otworzył drzwi na gwiaździstą noc. Po drodze do wychodka obserwował ślady, próbując sobie przypomnieć, czy od niedzieli rano padał śnieg. W wychodku nie było światła, ale zapalił zapałkę, żeby się zorientować. Kiedy już gasła, dostrzegł dwie litery wyryte na ścianie pod pożółkłym zdjęciem księżny Monaco, Grace. W ciemności pomyślał, że ktoś siedział tu kiedyś tak jak on teraz i nożem cierpliwie ył to proste wyznanie: R + M.

Kiedy wyszedł z wychodka, dostrzegł jakiś ruch przy węgle stodoły. Zatrzymał się. Widać było linię śladów.

Zawahał się. Bo znów pojawiło się to wrażenie, że coś się stanie. Właśnie w tej chwili. Coś ustalonego z góry, czemu nie mógł zapobiec. Sięgnął za drzwi wychodka, wymacał łopatę, którą wcześniej tam zauważył. Ruszył po śladach w stronę stodoły.

Przy węgle zatrzymał się, mocniej zacisnął rękę na łopacie. Oddech zdawał mu się grzmieć w ustach. Przestał oddychać. Teraz. To się działo teraz. Rzucił się za róg, zamierzając się łopatą.

Przed nim na środku pola połyskującego w blasku księżyca czarodziejską bielą, która zdawała się go oślepiać, zobaczył lisa biegnącego w stronę zagajnika.

Ciężko oparł się o drzwi stodoły i z drżeniem wciągnął powietrze.

Kiedy huknęły drzwi, odruchowo uskoczył w tył.

Czyżby został odkryty? Ta osoba po drugiej stronie drzwi nie mogła tu wejść.

Przeklął własną nieostrożność. Bobo zwymyślałby go za takie eksponowanie się, za taką amatorszczyznę.

Drzwi były zamknięte na klucz, ale on mimo wszystko rozejrzał się za narzędziem, którego mógłby użyć, gdyby ten ktoś w jakiś sposób utorował sobie dostęp.

Nóż. Nóż do chleba, który jeszcze przed chwilą miał w ręku. Został w kuchni.

Drzwi znów huknęły.

No i przecież miał pistolet. Wprawdzie pusty, ale i tak by wystarczył do wystraszenia rozsądnie myślącego człowieka.

Problem tkwił w tym, że ten człowiek nie wydawał się rozsądny.

Przyjechał samochodem i zaparkował pod domem Martine na Sorgenfrigata. Nie zauważył go, dopóki przypadkiem nie podszedł do okna i nie omiótł wzrokiem aut stojących przy krawężniku. Wtedy właśnie dostrzegł w jednym niespokojną postać. A kiedy ta postać poruszyła się, wychyliła jakby po to, by lepiej widzieć, już wiedział, że jest za późno. Że został odkryty.

Odsunął się od okna, odczekał pół godziny, w końcu opuścił rolety i pogasił wszystkie światła w mieszkaniu Martine. Powiedziała, że mogą się palić, piece w mieszkaniu miały bowiem termostat, a ponieważ dziewięćdziesiąt procent energii w żarówce to energia cieplna, to ilość prądu, jaką się oszczędzi na gaszeniu żarówek, pójdzie na piece, które postarają się o zrekompensowanie utraty ciepła.

„Prosta fizyka", powiedziała. Szkoda, że zamiast tego nie wyjaśniła mu, kto to jest. Jakiś szalony zalotnik? Zazdrosny były narzeczony? W każdym razie nie policja. Bo znów się zaczęło to bolesne, rozpaczliwe wycie, od którego przenikały go ciarki.

– Mar-ti-ne! Mar-ti-ne! – Potem kilka roztrzęsionych słów po norwesku i znów prawie ze szlochem: – Martine...

Nie miał pojęcia, w jaki sposób ten facet dostał się na klatkę, ale teraz usłyszał, że otwierają się któreś z sąsiednich drzwi i wśród niezrozumiałych zdań usłyszał słowo, którego zdążył się już nauczyć. Policja.

Drzwi sąsiada się zatrzasnęły.

Dotarł do niego jęk rezygnacji i drapanie palcami w drzwi, a w końcu oddalające się kroki. Odetchnął z ulgą. Miał za sobą długi dzień. Martine odwiozła go rano na dworzec. Podmiejskim pociągiem dojechał do miasta. Przede wszystkim poszedł do biura podróży na dworcu kolejowym i kupił bilet na ostatni samolot do Kopenhagi odlatujący wieczorem następnego dnia. Nikt nie zareagował na norwesko brzmiące nazwisko, które im podał. Halvorsen. Zapłacił gotówką z portfela Halvorsena, podziękował i wyszedł. Z Kopenhagi zadzwoni do Zagrzebia i poprosi Freda, żeby przyleciał tam z nowym paszportem. Przy odrobinie szczęścia na Wigilię zdąży do domu.

Był u trzech fryzjerów, wszędzie kręcili głowami, mówiąc, że tuż przed świętami mają długie kolejki. U czwartego kiwnęli głową na młodziuteńką dziewczynę, która siedziała w kącie, żując gumę, i wyglądała na kompletnie zatraconą. Uczennicę, jak zrozumiał. Po kilku próbach wyjaśnienia jej, czego sobie życzy, pokazał jej w końcu zdjęcie. Przestała wtedy żuć, popatrzyła na niego oczami ciężkimi od maskary i spytała z akcentem wyuczonym z MTV:

– *You sure, man?*

Później złapał taksówkę, która zawiozła go na Sorgenfrigata. Otworzył drzwi do mieszkania kluczami, które dała mu Martine, i rozpoczął czekanie. Telefon dzwonił kilka razy, lecz poza tym panował spokój. Tak było aż do chwili, gdy bezmyślnie podszedł do okna w oświetlonym pokoju.

Odwrócił się, żeby wrócić do salonu.

W tej samej chwili huknęło. Powietrze zadrżało, lampa na suficie się zakołysała.

– Mar-tine!

Usłyszał, że ten człowiek znów bierze rozpęd i skacze na drzwi, które zdawały się już wybrzuszać.

Imię dziewczyny padło jeszcze dwa razy i dwukrotnie nastąpiło uderzenie. W końcu usłyszał odgłos kroków zbiegających ze schodów.

Przeszedł do salonu, stanął przy oknie i patrzył, jak ten człowiek wybiega. Kiedy zatrzymał się przy samochodzie, żeby otworzyć drzwiczki, padło na niego światło latarni. Wtedy go rozpoznał. To był ten chłopak, który pomógł mu w Schronisku. Niclas, Rikard... coś takiego. Samochód ruszył z rykiem i przyspieszył w zimową ciemność.

Godzinę później spał. Śniły mu się pejzaże, wśród których kiedyś chodził, i obudził się dopiero wtedy, gdy usłyszał odgłos pospiesznych kroków i gazet lądujących pod drzwiami na klatce.

O ósmej Harry się obudził. Otworzył oczy i powąchał wełniany koc naciągnięty do połowy na twarz. Ten zapach coś mu przypomniał. Zrzucił go z siebie. Spał ciężko, bez snów i miał dziwny humor. Był w dobrym nastroju. Po prostu radosny.

Wyszedł do kuchni, nastawił kawę, obmył twarz nad zlewem, cicho nucąc *Morning song* Jima Stärka. Nad niskim wzgórzem na wschodzie niebo rumieniło się jak panna. Ostatnia gwiazda już bladła. Za kuchennym oknem rozciągał się nowy, nietknięty świat, optymistycznie falujący bielą aż po horyzont.

Nakroił chleba, znalazł ser, nalał wody do szklanki, a parującej kawy do czystej filiżanki. Wszystko to umieścił na tacy i zaniósł do sypialni.

Czarne rozwichrzone włosy ledwie wystawały spod kołdry, a oddech był niemal bezgłośny. Postawił tacę na nocnym stoliku, przysiadł na łóżku i czekał.

Zapach powoli roznosił się po pokoju.

Jej oddech przestał być równy. Uchyliła powieki. Zobaczyła go, potarła twarz i przeciągnęła się zawstydzona. Ktoś jakby przekręcił

przełącznik, bo z jej oczu zaczął bić coraz mocniejszy blask, a na ustach ukazywał się coraz szerszy uśmiech.

– Dzień dobry – powiedział.

– Dzień dobry.

– Śniadanie?

– Mhm. – Uśmiechnęła się i on się uśmiechnął. – A ty nie będziesz jadł?

– Ja zaczekam. Na razie wystarczy mi to, jeśli pozwolisz. – Wyjął papierosy.

– Dużo palisz – zauważyła.

– Zawsze tak jest, kiedy pęknę. Nikotyna zabija głód.

Spróbowała kawy.

– Czy to nie paradoks?

– Co?

– Że ty, który tak się bałeś stracić wolność, zostałeś alkoholikiem?

– Owszem. – Otworzył okno, zapalił papierosa i położył się na łóżku przy niej.

– Czy ze mną też się tego boisz? – spytała, tuląc się do niego. – Że ci odbiorę wolność? To dlatego... dlatego nie chcesz się ze mną kochać?

– Nie, Martine. – Zaciągnął się papierosem, skrzywił i spojrzał na niego z niechęcią. – Dlatego że ty się boisz.

Poczuł, że zesztywniała.

– Ja się boję? – spytała ze zdumieniem w głosie.

– Tak. I ja na twoim miejscu też bym się bał. W ogóle nigdy nie mogłem pojąć, że kobiety mają odwagę spać w tym samym łóżku z kimś, kto tak bardzo przewyższa je siłą fizyczną. – Zgasił papierosa na talerzyku stojącym na nocnym stoliku. – Mężczyźni nigdy by się na coś takiego nie odważyli.

– Dlaczego uważasz, że ja się boję?

– Czuję. Przejmujesz inicjatywę i chcesz decydować, ale głównie dlatego, że boisz się tego, co się może stać, jeśli pozwolisz, żebym to ja decydował. Dla mnie to w porządku, ale nie chcę, żebyś to robiła, jeśli się boisz.

– Ale ty przecież nie możesz decydować, czy ja tego chcę! – zawołała gniewnie. – Nawet jeśli się boję.

Harry patrzył na nią. Nagle go objęła, chowając twarz w zagłębieniu jego szyi.

– Na pewno myślisz, że jestem dziwna – powiedziała.

– Ani trochę – odparł Harry.

Ścisnęła go mocno, bardzo mocno.

– A jeśli ja zawsze będę się bała? – szepnęła. – A jeśli nigdy... – urwała.

Harry czekał.

– Coś się stało – powiedziała. – Nie wiem co.

On dalej czekał.

– To znaczy wiem. Zostałam zgwałcona. Tu, na farmie. Wiele lat temu. I trochę się rozpadłam.

Zimny krzyk wrony z lasu przerwał ciszę.

– Chcesz...

– Nie, nie chcę o tym rozmawiać. Nie ma za bardzo o czym. To było już dawno temu, a ja się pozbierałam. Tylko... – Znów się do niego przytuliła. – ...troszeczkę się boję.

– Zgłosiłaś to?

– Nie, nie miałam siły.

– Wiem, że to bardzo trudne, ale powinnaś była to zrobić.

Uśmiechnęła się.

– Tak, tak, słyszałam, że tak trzeba. Bo następna dziewczyna może już stać w kolejce, prawda?

– To nie żarty, Martine.

– Przepraszam, tatusiu.

Harry wzruszył ramionami.

– Nie wiem, czy przestępstwo się opłaca, ale wiem, że się powtarza.

– Dlatego że to tkwi w genach, prawda?

– Tego akurat nie wiem.

– Nie czytałeś badań o adopcji, które pokazują, że dzieci przestępców dorastające w normalnej rodzinie razem z innymi dziećmi, nawet bez świadomości, że zostały adoptowane, mają o wiele większe szanse na złamanie prawa niż pozostałe dzieci w rodzinie? Wobec tego musi istnieć gen przestępczości.

– Owszem, czytałem – powiedział Harry. – Możliwe, że schematy działania są dziedziczne. Ale bardziej wierzę w to, że notorycznie powtarzamy swoje zachowania, każdy z nas na swój sposób.

– Wierzysz, że jesteśmy zaprogramowanymi zwierzętami, działającymi na zasadzie wyuczonych odruchów? – Połaskotała Harry'ego palcem pod brodą.

– Myślę, że w jedno wielkie działanie rachunkowe wpychamy wszystko: żądzę, strach, napięcie, chciwość i inne podobne rzeczy. A mózg jest fantastycznie sprawną maszyną, prawie nigdy nie dokonuje złych obliczeń, dlatego za każdym razem dochodzi do tych samych odpowiedzi.

Martine uniosła się na łokciach i popatrzyła na niego z góry.

– A moralność i wolny wybór?

– To również elementy tego wielkiego rachunku.

– Uważasz więc, że przestępca zawsze będzie...

– Nie. Wtedy nie wytrzymałbym swojej pracy.

Pogładziła go palcem po czole.

– Więc ludzie jednak mogą się zmieniać?

– Przynajmniej mam taką nadzieję. Że ludzie się uczą.

Przytuliła się do niego czołem.

– A czego można się nauczyć?

– Można się nauczyć... – zaczął, ale przerwał mu dotyk jej ust na wargach. – ...nie być samotnym. Można się nauczyć... – czubek języka wsunął się pod wargę. – ...nie bać się. I można...

– ...nauczyć się całować?

– Tak. Pod warunkiem że nie jest to dziewczyna, która właśnie się obudziła i ma na języku paskudny biały nalot, który...

Jej dłoń trafiła go w policzek z hukiem, a śmiech zadzwonił jak kostki lodu w szklance. Gorący język odnalazł jego język, naciągnęła na niego kołdrę, podsunęła do góry sweter i koszulkę. Poczuł na brzuchu rozgrzaną snem skórę jej brzucha.

Wsunął jej ręce pod koszulę na plecy, wyczuł łopatki przesuwające się pod skórą i mięśnie napinające się i rozluźniające, gdy przyciskała się do niego.

Powoli zaczął rozpinać jej koszulę, przytrzymując ją wzrokiem. Powiódł dłonią po jej brzuchu, po żebrach, aż w zagłębieniu między kciukiem a palcem wskazującym poczuł jej wyprężony sutek. Owionął go ciepły oddech, gdy pocałowała go z otwartymi ustami, a kiedy wsunęła rękę między ich przyciśnięte do siebie biodra, wiedział, że tym razem nie zdoła się powstrzymać i że wcale tego nie chce.

– Dzwoni – powiedziała.

– Co?

– Telefon w twoich spodniach. W kieszeni. Wibruje. – Zaczęła się śmiać. – Zobacz.

– *Sorry.* – Harry wyjął z kieszeni milczącą komórkę i odłożył ją na stolik, wyginając się ponad Martine. Ale telefon ułożył się bokiem i wyświetlacz tańczył mu przed oczami. Próbował go zignorować, było już jednak za późno. Już zobaczył, że to Beate.

– Cholera – mruknął. – Chwileczkę.

Usiadł, obserwując twarz Martine, która z kolei patrzyła na niego, kiedy słuchał Beate. Jej twarz była jak lustro, jakby bawili się w naśladowanie. Oprócz tego, że mógł w niej widzieć siebie samego, Harry dostrzegł też na jej twarzy swój lęk, swój ból, a w końcu rezygnację.

– Co się stało? – spytała, kiedy się rozłączył.

– On nie żyje.

– Kto?

– Halvorsen. Umarł dziś w nocy. Dziewięć minut po drugiej. Wtedy, kiedy stałem przy stodole.

Część czwarta

ŁASKA

29 WTOREK, 22 GRUDNIA. DOWÓDCA

To był najkrótszy dzień w roku, ale komisarzowi Holemu wydawał się nieskończenie długi, jeszcze zanim się naprawdę zaczął.

Kiedy dowiedział się o śmierci Halvorsena, najpierw wyszedł się przejść. Brnął przez głęboki śnieg aż do lasu, tam usiadł i patrzył, jak wstaje dzień. Miał nadzieję, że mróz go zamrozi, ukoi, a przynajmniej wprawi w odrętwienie.

W końcu wrócił. Martine patrzyła na niego pytająco, ale nic nie mówiła. Harry wypił filiżankę kawy, pocałował ją w policzek i wsiadł do samochodu. W lusterku Martine, gdy stała na schodach z rękami założonymi na piersi, wyglądała na jeszcze drobniejszą.

Harry zajrzał do domu, wziął prysznic, przebrał się i trzy razy przeszukał papiery leżące na stole, zanim wreszcie się poddał. Po raz enty od przedwczoraj chciał spojrzeć na zegarek, ale zobaczył tylko goły nadgarstek. Wyjął z szuflady nocnego stolika zegarek Møllera. Wciąż chodził, Harry uznał więc, że przynajmniej tymczasowo się nada. Pojechał do Budynku Policji i zaparkował w garażu obok audi Hagena.

Wchodząc po schodach na szóste piętro, słyszał głosy, kroki i śmiechy w atrium, ale kiedy drzwi Wydziału Zabójstw się za nim zamknęły, miał wrażenie, że ktoś nagle wyłączył głośność. W korytarzu spotkał funkcjonariusza, który popatrzył na niego w milczeniu, pokręcił głową i poszedł dalej.

– Cześć, Harry.

Odwrócił się. To była Toril Li. Nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek wcześniej zwróciła się do niego po imieniu.

– Jak sobie radzisz? – spytała.

Harry chciał odpowiedzieć, otworzył usta, ale poczuł nagle, że nie ma głosu.

– Pomyśleliśmy, że moglibyśmy się zebrać po porannej odprawie na chwilę wspomnień – czym prędzej dodała Toril, jakby chciała go ratować.

Harry w milczeniu z wdzięcznością kiwnął głową.

– Mogłabyś znaleźć Beate?

– Oczywiście.

Harry długo stał pod drzwiami do własnego pokoju. Bał się tej chwili. W końcu wszedł.

Na krześle Halvorsena ktoś się huśtał, jakby czekał.

– Dzień dobry, Harry – odezwał się Gunnar Hagen.

Harry powiesił kurtkę na wieszaku, nie odpowiadając.

– Przepraszam – powiedział Hagen. – Niezręcznie się wyraziłem.

– O co chodzi, szefie? – Harry oparł głowę na rękach.

– Chciałem wyrazić swój najgłębszy żal z powodu tego, co się stało. Powtórzę to jeszcze na odprawie, ale najpierw chciałem powiedzieć tobie. Jack był przecież twoim najbliższym kolegą.

– Halvorsen.

– Słucham?

– Zawsze mówiliśmy do niego Halvorsen.

Hagen kiwnął głową.

– Halvorsen. I jeszcze jedno, Harry...

– Myślałem, że mam ten wniosek o przydział broni w domu – ciągnął Harry. – Ale zawieruszył się na amen.

– A, o to chodzi? – Hagen zmienił pozycję na krześle. Sprawiał wrażenie, że jest mu niewygodnie. – Nie myślałem teraz o broni. W związku z obcinaniem wydatków na delegacje poprosiłem księgowość o przedstawianie mi wszystkich rachunków do akceptacji. Okazuje się, że byłeś w Zagrzebiu. Nie przypominam sobie, żebym wydawał zgodę na podróż zagraniczną. A jeśli policja norweska prowadziła tam śledztwo, oznacza to złamanie regulaminu.

Nareszcie coś mają, pomyślał Harry, wciąż nie unosząc głowy. Mają ten błąd, na który tak czekali. Formalną przyczynę wylania z pracy komisarza alkoholika i wyrzucenia go tam, gdzie jego miejsce, do kręgu nieucywilizowanych cywilów. Harry próbował zorientować się, co czuje. Ale czuł jedynie ulgę.

– Jutro masz moje wymówienie na biurku, szefie.

– Nie rozumiem, o czym mówisz. Przecież właśnie wychodzę z założenia, że w Zagrzebiu nie było prowadzone żadne śledztwo. To narobiłoby nam wszystkim samych kłopotów.

Harry podniósł głowę.

– O ile dobrze rozumiem, to odbyłeś krótką podróż w celach szkoleniowych.

– Szkoleniowych, szefie?

– Tak, bliżej nieokreśloną podróż w celach szkoleniowych. A tu masz moje pisemne zezwolenie wydane na twoją ustną prośbę o umożliwienie ci wyjazdu do Zagrzebia w celach szkoleniowych. – Zapisana na maszynie kartka A4 przesunęła się po biurku i wylądowała przed Harrym. – Koniec tej sprawy. – Hagen wstał

i podszedł do ściany, na której wisiało zdjęcie Ellen Gjelten. – Halvorsen to już twój drugi partner, którego straciłeś, prawda?

Harry kiwnął głową. W ciasnym pomieszczeniu bez okna zapadła cisza. W końcu Hagen chrząknął.

– Widziałeś ten kawałek kości, który mam na biurku? Kupiłem go w Nagasaki. To kopia skremowanego małego palca Yoshito Yasudy, słynnego japońskiego dowódcy batalionu. – Hagen odwrócił się do Harry'ego. – Japończycy bowiem zwykle kremują zmarłych, ale w Birmie musieli ich grzebać, ponieważ tylu ich ginęło, a spalenie zwłok może trwać nawet do dziesięciu godzin. Zamiast tego więc obcinali poległym mały palec, który po skremowaniu wysyłali do domu rodzinom. Po decydującej bitwie pod Pegu wiosną czterdziestego trzeciego Japończycy zostali zmuszeni do odwrotu i ukrycia się w dżungli. Dowódca batalionu, Yoshito Yasuda, błagał swoich zwierzchników o zezwolenie na wznowienie ataku jeszcze tego samego dnia wieczorem, żeby mogli zdobyć kości swoich poległych. Odmówiono mu, przewaga była zbyt duża, więc wieczorem tego samego dnia stanął w blasku ogniska zapłakany przed swoimi ludźmi i poinformował ich o decyzji komendanta. Ale gdy dostrzegł beznadzieję na twarzach podwładnych, otarł łzy, wyjął bagnet, położył dłoń na pniaku, odciął sobie mały palec i rzucił go w ogień. Żołnierze się uradowali. Komendant dowiedział się o tym i następnego dnia Japończycy zaatakowali z pełną siłą.

Hagen podszedł do biurka Halvorsena, wziął z niego temperówkę i zaczął się jej uważnie przyglądać.

– Popełniłem sporo błędów podczas pierwszych dni jako szef tutaj. Nie wiem, może niektóre pośrednio stały się przyczyną śmierci Halvorsena. Próbuję teraz powiedzieć... – odłożył temperówkę i nabrał powietrza: – ...że chciałbym tak jak Yoshito Yasuda wprawić was w zachwyt. Ale nie bardzo wiem jak.

Harry nie miał pojęcia, co odpowiedzieć.

– Powiem więc tylko tak. Chcę, żebyś znalazł tego czy tych, którzy stoją za tymi zabójstwami. To wszystko.

Dwaj mężczyźni unikali patrzenia na siebie. W końcu Hagen złożył ręce, jakby chciał zgnieść ciszę.

– Ale wyświadczysz mi przysługę, nosząc broń, Harry. Wiesz, wobec innych... Przynajmniej do Nowego Roku. Wtedy odwołam ten nakaz.

– W porządku.

– Dziękuję. Wypiszę ci nowy wniosek.

Harry kiwnął głową i Hagen ruszył w stronę drzwi.

– I jak to się skończyło? – spytał nagle Harry. – Z tym japońskim atakiem?

– A, z tym! – Hagen uśmiechnął się krzywo. – Rozbito ich w pył.

Kjell Atle Orø pracował w policyjnym magazynie w piwnicy Budynku Policji od dziewiętnastu lat, a tego poranka siedział nad kuponem zakładów piłkarskich i zastanawiał się, czy być na tyle bezczelnym, żeby zakreślić zwycięstwo gości dla Fulham podczas meczu z Southampton w drugi dzień świąt. Chciał, by kupon wysłał mu Oshaug, kiedy wyjdzie na lunch, musiał się więc pospieszyć, dlatego cicho zaklął, słysząc, że ktoś uderza w metalowy dzwonek.

Wstał, stękając. Swego czasu grał w pierwszej lidze w drużynie Skeid, miał za sobą długą bezkontuzyjną karierę i dlatego wciąż odczuwał rozgoryczenie tym, że pozornie niewinne naciągnięcie mięśnia podczas towarzyskiego meczu w drużynie policji sprawiło, że nawet teraz, po dziesięciu latach, wciąż powłóczył prawą nogą.

Przed kontuarem stał mężczyzna z jasnymi, krótko ostrzyżonymi włosami.

Orø wziął od niego wniosek o przydział broni i mrużąc oczy, próbował odczytywać litery, które z każdym dniem wydawały mu

się coraz mniejsze. W zeszłym tygodniu, kiedy powiedział żonie, że chciałby dostać na gwiazdkę większy telewizor, zaproponowała, żeby raczej poprosił Mikołaja o zamówienie wizyty u optyka.

– Harry Hole, Smith&Wesson trzydzieści osiem. No tak. – Orø stęknął i pokuśtykał do magazynu broni, gdzie znalazł służbowy rewolwer, z którym poprzedni właściciel raczej dobrze się obchodził, a przynajmniej na to wyglądał. Uświadomił sobie, że niedługo pewnie przyniosą broń tego funkcjonariusza, którego zadźgano na Gøteborggata. Dobrał kaburę i trzy przewidziane pudełka z nabojami.

– Podpisz wydanie tutaj. – Pokazał na wniosku. – I pokaż identyfikator.

Mężczyzna, który już zdążył położyć identyfikator na kontuarze, wziął długopis podany mu przez Orø i podpisał się we wskazanym miejscu. Orø, mrużąc oczy, zerknął na identyfikator Harry'ego Holego i na namazany podpis. Ciekawe, czy Fulham zdoła powstrzymać Thierry'ego Henry?

– Pamiętaj, strzelaj tylko do złych chłopaków – powiedział Orø, ale nic w odpowiedzi nie usłyszał.

Kuśtykając z powrotem do kuponu, uświadomił sobie, że milczenie policjanta być może wcale nie powinno dziwić. Z identyfikatora wynikało, że jest z Wydziału Zabójstw, a chyba tam właśnie pracował ten zmarły funkcjonariusz.

Harry zaparkował samochód przy Centrum Henie-Onstad na Høvikodden i oddalając się od niskiego pięknego budynku, ruszył łagodnym zboczem w kierunku wody.

Na lodzie ciągnącym się w stronę Snarøya widział samotną czarną postać.

Na próbę postawił stopę na płacie kry sterczącym ukośnie w stronę brzegu. Pękła z kruchym trzaskiem. Harry zawołał Davida

Eckhoffa, ale postać na lodzie ani drgnęła. Zaklął więc, pomyślał, że komandor nie może ważyć dużo mniej niż jego własne dziewięćdziesiąt kilogramów, i balansując między spiętrzonymi płatami lodu, ostrożnie przesunął nogę na zdradliwym, przysypanym śniegiem podłożu. Utrzymało. Zaczął sunąć po lodzie krótkimi, szybkimi krokami. Droga okazała się dłuższa, niż to wyglądało z brzegu, i kiedy wreszcie zbliżył się na tyle, by móc z całą pewnością stwierdzić, że ubrana w wilczurę postać na składanym stołeczku, trzymająca w grubej rękawicy wpuszczoną do przerębli linkę z haczykami, to faktycznie komandor Armii Zbawienia, zrozumiał, dlaczego Eckhoff go nie usłyszał.

– Jest pan pewien, że lód jest bezpieczny, Eckhoff?

David Eckhoff odwrócił się i najpierw spojrzał na buty Harry'ego.

– Lód na fiordzie Oslo w grudniu nigdy nie jest bezpieczny – odparł, wypuszczając z ust chmurę siwej pary. – Dlatego trzeba łowić w samotności. Ale ja zawsze używam tego. – Wskazał na narty przypięte do nóg. – Ciężar się lepiej rozkłada.

Harry wolno pokiwał głową. Wydało mu się, że słyszy, jak lód pęka pod jego stopami.

– W Kwaterze Głównej powiedzieli mi, że tu pana znajdę.

– To jedyne miejsce, w którym można usłyszeć własne myśli.

Obok puszki z przynętą i noża leżała „Dagbladet". Pierwsza strona zapowiadała odwilż pierwszego dnia świąt. Ani słowa o śmierci Halvorsena. Pewnie gazeta za wcześnie poszła do druku.

– Dużo jest tych myśli? – spytał Harry.

– Hm. Wraz z żoną będziemy gościć premiera podczas wieczornego koncertu świątecznego. No i sprzedajemy nieruchomości Gilstrupowi. Transakcja zostanie podpisana jeszcze w tym tygodniu. Sporo tego.

– Właściwie chciałem zadać tylko jedno pytanie. – Harry koncentrował się na rozłożeniu ciężaru ciała równomiernie na obie nogi.

– Tak?

– Poprosiłem sierżanta Skarrego, żeby sprawdził, czy były jakieś przelewy między pana kontem a kontem Roberta Karlsena. Nie było. Ale Skarre znalazł innego Karlsena, który regularnie dokonywał przelewów. Josefa Karlsena.

David Eckhoff wpatrywał się w krąg czarnej wody z kamienną twarzą.

– Moje pytanie jest następujące. – Harry skupił spojrzenie na Eckhoffie. – Dlaczego przez ostatnich dwanaście lat co kwartał otrzymywał pan osiem tysięcy koron od ojca Roberta i Jona?

Eckhoff drgnął, jakby na haczyk złapała się wielka ryba.

– I co? – spytał Harry.

– Czy to naprawdę takie ważne?

– Tak sądzę, panie Eckhoff.

– W takim razie musi zostać między nami.

– Tego nie mogę obiecać.

– Wobec tego nie odpowiem.

– Wobec tego ja będę musiał pana zabrać do Budynku Policji i poprosić o złożenie oficjalnych zeznań.

Komandor podniósł głowę, zmrużył jedno oko i uważniej przyjrzał się Harry'emu, jakby chciał ocenić siłę potencjalnego przeciwnika.

– Gunnar Hagen to zaakceptuje?

– Zobaczymy.

Eckhoff miał coś powiedzieć, ale zrezygnował, jak gdyby wyczuł zdecydowanie komisarza, a Harry pomyślał, że przywódca stada

zostaje nim wcale nie z powodu swojej siły, tylko zdolności właściwego rozumienia sytuacji.

– No dobrze – westchnął komandor. – Ale to długa historia.

– Mam czas – skłamał Harry, czując chłód lodu przez podeszwy butów.

– Josef Karlsen, ojciec Jona i Roberta, był moim najlepszym przyjacielem. – Eckhoff utkwił wzrok gdzieś na wyspie Snarøya. – Studiowaliśmy razem, pracowaliśmy razem, obaj byliśmy ambitni i, jak się to mówi, dobrze się zapowiadaliśmy. Ale najważniejsze, że obaj dzieliliśmy wizje silnej Armii Zbawienia, która będzie wykonywać na ziemi dzieło Boże. I zwyciężyć. Rozumiesz?

Harry kiwnął głową.

– Awansowaliśmy też razem – ciągnął Eckhoff. – I owszem, z czasem znaleźli się tacy, którzy uważali, że Josef i ja rywalizujemy ze sobą o moje obecne stanowisko. Właściwie nie wierzyłem, że stanowisko jest takie ważne. Myślałem, że najważniejsza jest wizja. Ale kiedy wybór padł na mnie, z Josefem coś się stało. Jakby się załamał. Kto wie, może ja zareagowałbym w taki sam sposób? Tak czy owak, Josefowi powierzono ważne stanowisko szefa administracji i chociaż nasze rodziny utrzymywały kontakt tak jak poprzednio, nie było takiego samego... – Eckhoff szukał słowa. – ...zaufania. Josefa coś boleśnie dręczyło. To było jesienią dziewięćdziesiątego pierwszego. Razem z naszym głównym księgowym, Frankiem Nilsenem, ojcem Rikarda i Thei, odkryliśmy, w czym rzecz. Josef dopuścił się malwersacji.

– I co się wydarzyło?

– W Armii Zbawienia mamy, prawdę mówiąc, niewielkie doświadczenie z tego rodzaju sytuacjami, więc dopóki nie wiedzieliśmy, co zrobić, Nilsen i ja zachowaliśmy to w tajemnicy. Oczywiście Josef bardzo mnie rozczarował, ale jednocześnie

dostrzegałem związek przyczynowy, którego sam byłem elementem. Czułem, że kiedy ja zostałem wybrany, a on odrzucony, mogłem zachować się z większą... delikatnością. W każdy razie Armia w tamtym okresie przeżywała okres słabej rekrutacji i nie cieszyła się taką popularnością jak dzisiaj. Po prostu nie stać nas było na żaden skandal. Miałem letni domek po rodzicach na południu kraju, z którego rzadko korzystaliśmy, ponieważ wakacje na ogół spędzaliśmy na Østgård. Czym prędzej go więc sprzedałem za sumę wystarczającą na pokrycie niedoboru w kasie, zanim został zauważony.

– Pan? – spytał Harry. – Pan pokrył manko Josefa Karlsena ze swoich prywatnych środków?

Eckhoff wzruszył ramionami.

– Innego wyjścia nie było.

– Nie jest rzeczą zwyczajną w firmie, żeby szef osobiście...

– To nie jest zwykła firma, Hole. Czynimy dzieło Boże. Dlatego to i tak jest sprawa osobista.

Harry z namysłem kiwnął głową. Pomyślał o kości z małego palca na biurku Hagena.

– A Josef Karlsen przestał pracować w Armii Zbawienia i wyjechał za granicę razem z żoną. I nikt się o tym nie dowiedział?

– Zaproponowałem mu niższe stanowisko – powiedział Eckhoff. – Ale on oczywiście nie mógł tego zaakceptować. To by wywołało najrozmaitsze pytania. Z tego, co wiem, mieszkają w Tajlandii, niedaleko Bangkoku.

– Więc ta historia o chińskim wieśniaku i ukąszeniu żmii to jedynie bajka?

– Nie. Josef naprawdę zwątpił. To zdarzenie wywarło na nim ogromne wrażenie. Josef miał wątpliwości, takie, jakie od czasu do czasu nachodzą nas wszystkich.

– Pana również, komandorze?

– Mnie również. Wątpliwości to cień wiary. Jeśli nie masz zdolności, by wątpić, nie możesz wierzyć. To tak jak z odwagą, komisarzu. Jeśli nie odczuwa się strachu, nie można być odważnym.

– A pieniądze?

– Josef uparł się, że mnie spłaci. Nie chodzi mu o zrehabilitowanie się. Co się stało, to się nie odstanie. A poza tym on nie zarabia dostatecznie dużo, by kiedykolwiek mu się to udało. Ale przypuszczam, że traktuje to jako pokutę, która dobrze mu robi. Dlaczego miałbym mu tego odmawiać?

Harry z namysłem kiwnął głową.

– Czy Robert i Jon o tym wiedzieli?

– Tego nie wiem – odparł Eckhoff. – Ja nigdy o tym nikomu nie wspomniałem. Postanowiłem jedynie, że postępek Josefa nigdy nie będzie przeszkodą w karierze jego synów w Armii. Przede wszystkim Jona. Jon stał się jednym z naszych najlepszych fachowców. Proszę tylko spojrzeć na tę sprzedaż nieruchomości. Najpierw na Jacobs Aalls gate, a z czasem reszta. Być może, koniec końców, Gilstrup odkupi także Østgård. Gdyby ta sprzedaż miała miejsce dziesięć lat temu, do realizacji tej transakcji potrzebowalibyśmy najprzeróżniejszych konsultantów. Ale mając w szeregach tak kompetentnych ludzi jak Jon, nie musieliśmy nikogo zatrudniać.

– Chce pan powiedzieć, że to Jon pokierował sprzedażą?

– Ależ nie, skąd! Decyzję oczywiście podjęła Rada Kierownicza, ale bez jego opracowań i przekonujących konkluzji prawdopodobnie nie mielibyśmy odwagi na taki ruch. Jon to nasz człowiek przyszłości. Nie mówiąc już o teraźniejszości. A najlepszym dowodem na to, że ojciec nie jest dla niego przeszkodą, jest to, że Jon dziś wieczorem zasiądzie razem z Theą Nilsen u boku

premiera. – Eckhoff zmarszczył czoło. – Próbowałem zresztą złapać dzisiaj Jona, ale nie odbiera komórki. A do was przypadkiem nie dzwonił?

– Niestety. A gdyby Jon nie żył...

– Słucham?

– Przepraszam. Załóżmy, że Jon by nie żył, tak jak planował zabójca, kto by wtedy zajął jego miejsce?

David Eckhoff uniósł teraz nie jedną, lecz obie brwi.

– Dziś wieczorem?

– Nie, nie, miałem na myśli stanowisko.

– A, o to chodzi. No cóż, nie zdradzę chyba żadnej tajemnicy, jeśli powiem, że Rikard Nilsen. – Zaśmiał się. – Niektórzy mruczą, że dostrzegają paralelę między Jonem i Rikardem a mną i Josefem w tamtych czasach.

– Taka sama rywalizacja?

– Tam, gdzie są ludzie, tam zawsze jest rywalizacja. Również w Armii. Miejmy nadzieję, że z czasem samo życie plasuje ludzi tam, gdzie przynoszą najwięcej pożytku dla siebie i najlepiej służą wspólnej sprawie. Tak, tak. – Komandor wyciągnął linkę. – Mam nadzieję, że dostałeś odpowiedź na swoje pytanie, Harry. Frank Nilsen może potwierdzić historię Josefa, jeśli uznasz to za niezbędne, ale mam nadzieję, że rozumiesz, dlaczego nie chcę, by wyszła na jaw.

– Jeszcze jedno pytanie, skoro i tak już rozmawiamy o tajemnicach Armii.

– Słucham – powiedział komandor zniecierpliwionym tonem, pakując sprzęt rybacki do worka.

– Słyszał pan o gwałcie, do którego doszło na Østgård dwanaście lat temu?

Harry wychodził z założenia, że twarz taka jak Eckhoffa ma ograniczoną zdolność pokazywania zaskoczenia. A ponieważ ta granica została teraz w sposób widoczny przekroczona, uznał za całkiem pewne, że dla komandora to coś zupełnie nowego.

– To musi być jakaś pomyłka. Gdyby to była prawda, byłoby to straszne. O kogo chodzi?

Harry miał nadzieję, że jego twarz nic nie zdradza.

– Mam obowiązek dochowania tajemnicy.

Eckhoff podrapał się w brodę rękawicą.

– Oczywiście, ale... czy to przestępstwo i tak się już nie przedawniło?

– Pytanie, jak się na to patrzy. – Harry spojrzał na ląd. – Idziemy?

– Lepiej, żebyśmy szli oddzielnie. Ciężar...

Harry przełknął ślinę i kiwnął głową.

Kiedy w końcu udało mu się suchą nogą dotrzeć do brzegu, obrócił się. Zerwał się wiatr, który unosił śnieg. Przypominało to zasłonę dymną. Eckhoff wyglądał tak, jakby szedł po chmurach.

Na parkingu Harry zobaczył, że szyby samochodu pokryły się już cienką warstewką szronu. Wsiadł, włączył silnik i nastawił ogrzewanie na maksimum. Ciepło popłynęło na zimne szkło. Kiedy czekał, aż odzyska widoczność, przypomniało mu się, co powiedział Skarre: że Mads Gilstrup dzwonił do Halvorsena. Wyjął wizytówkę, którą wciąż miał w kieszeni, i wybrał numer, nie było odpowiedzi. Już miał schować telefon, kiedy komórka zadzwoniła. Po numerze poznał, że to hotel International.

– *How are you?* – spytała kobieta swoim szkolnym angielskim.

– Tak sobie – odparł Harry. – Udało się pani...

– Owszem.

Harry nabrał powietrza.

– To był on?

– Tak – westchnęła. – To był on.

– Jest pani pewna? Niełatwo zidentyfikować człowieka jedynie po...

– Harry?

– Tak.

– *I'm quite sure*.

Harry domyślał się, że nauczycielka angielskiego mogłaby mu powiedzieć, że wprawdzie *quite sure* w dosłownym tłumaczeniu znaczy „całkiem pewna", ale w tym kontekście oznacza „najzupełniej pewna".

– Dziękuję – powiedział i się rozłączył.

Z wielką nadzieją, że ona się nie myli. Bo teraz się dopiero zacznie.

I rzeczywiście się zaczęło.

Kiedy Harry uruchomił wycieraczki, które zaczęły zgarniać płaty topniejącego szronu na obie strony, telefon zadzwonił jeszcze raz.

– Harry Hole.

– Mówi Miholjecowa. Matka Sofii. Powiedział pan, że mogę zadzwonić pod ten numer, jeśli...

– Tak?

– Coś się stało. Z Sofią.

30 WTOREK, 22 GRUDNIA. MILCZENIE

Najkrótszy dzień w roku.

Ta informacja znalazła się na pierwszej stronie gazety „Aftenposten", leżącej na stoliku przed Harrym w poczekalni pogotowia na Storgata. Popatrzył na zegar na ścianie, zanim wreszcie przypomniał sobie, że ma własny zegarek.

– Teraz pana kolej, Hole – zawołał kobiecy głos z okienka, gdzie zgłosił, że chce rozmawiać z lekarzem, który kilka godzin wcześniej przyjął Sofię Miholjec i jej ojca. – Trzecie drzwi po prawej stronie korytarza – dodała kobieta.

Harry wstał, opuszczając nieszczęsne milczące stadko w poczekalni.

Trzecie drzwi na prawo. Oczywiście los mógł posłać Sofię do drugich drzwi na prawo. Albo do trzecich na lewo. Ale nie. Trzecie drzwi na prawo.

– Cześć, słyszałem, że to ty – uśmiechnął się Mathias Lund-Helgesen. Wstał i wyciągnął rękę. – W czym ci mogę pomóc tym razem?

– Chodzi mi o pacjentkę, którą badałeś dziś rano. Sofię Miholjec.

– Ach, tak? Rozgość się, Harry.

Harry nie dał się zirytować kumplowskiemu tonowi lekarza, ale tego zaproszenia nie chciał przyjąć. Nie dlatego, że był zbyt dumny, po prostu uważał to za zbyt kłopotliwe dla nich obydwu.

– Matka Sofii zadzwoniła do mnie i powiedziała, że rano obudził ją płacz dobiegający z pokoju córki – zaczął Harry. – Weszła do niej i zastała córkę zakrwawioną i pobitą. Sofia tłumaczyła się, że wyszła gdzieś z koleżankami, a w drodze do domu poślizgnęła się na lodzie. Matka zbudziła ojca, który przywiózł ją tutaj.

– To się może zgadzać – stwierdził Mathias. Wychylił się, opierając na łokciach, jakby dla podkreślenia, że sprawa szczerze go interesuje.

– Ale matka Sofii twierdzi, że dziewczyna kłamie – ciągnął Harry. – Po wyjściu Sofii sprawdziła łóżko. Znalazła krew. I nie tylko na poduszce, ale również na prześcieradle. „Tam", jak się wyraziła.

– Hmmm. – Dźwięk, jaki wydał z siebie Mathias, nie był ani potwierdzeniem, ani zaprzeczeniem, tylko odgłosem, który, jak

Harry wiedział, naprawdę ćwiczą na zajęciach z psychologii w części poświęconej terapii. Wznoszący się akcent na końcu mruczenia miał zachęcić pacjenta do dalszych zwierzeń. Akcent Mathiasa rzeczywiście się wzniósł.

– Teraz Sofia zamknęła się w pokoju – podjął Harry. – Płacze i się nie odzywa. Zdaniem matki, nic nie powie. Pani Miholjec obdzwoniła jej koleżanki, żadna nie widziała się wczoraj z Sofią.

– Rozumiem. – Mathias ścisnął palcami grzbiet nosa między oczami. – A ty przyszedłeś mnie prosić, żebym dla ciebie zrezygnował z obowiązku dochowania tajemnicy?

– Nie – powiedział Harry.

– Nie?

– Nie dla mnie. Dla nich. Dla Sofii i jej rodziców. I dla innych, które on mógł zgwałcić i które zgwałci.

– Bardzo ostre słowa – uśmiechnął się Mathias, ale uśmiech zgasł, gdy nie doczekał się odpowiedzi. Chrząknął. – Na pewno rozumiesz, że muszę to najpierw rozważyć, Harry.

– Czy ona dziś w nocy została zgwałcona, czy nie?

Mathias westchnął.

– Harry, obowiązek dochowania tajemnicy...

– Wiem, co to jest – przerwał mu Harry. – Ja też mu podlegam. Prosząc cię, żebyś w tym wypadku się z niego zwolnił, wcale go nie lekceważę. Dokonałem oceny przestępstwa i jestem przekonany o jego ciężkim charakterze i niebezpieczeństwie, że się powtórzy. Jeśli mi zaufasz i oprzesz się na mojej ocenie, będę wdzięczny. Jeśli nie, spróbuj z tym żyć najlepiej, jak potrafisz.

Zadał sobie pytanie, ile razy klepał już to samo w podobnych sytuacjach.

Mathias uciekł wzrokiem, rozchylił usta.

– Wystarczy, że kiwniesz albo pokręcisz głową – nie ustępował Harry.

Mathias Lund-Helgesen kiwnął głową.

A więc znów zadziałało.

– Dziękuję – powiedział Harry, wstając. – Wszystko u ciebie w porządku z Rakel i Olegiem?

Mathias jeszcze raz kiwnął głową i uśmiechnął się blado w odpowiedzi. Harry nachylił się i poklepał lekarza po ramieniu.

– Wesołych świąt, Mathias.

Wychodząc z gabinetu, zobaczył, że Mathias Lund-Helgesen siedzi na krześle z opuszczonymi ramionami i wygląda tak, jakby ktoś mocno go uderzył.

Ostatnie resztki dziennego światła spływały z pomarańczowych chmur ponad wierzchołkami świerków i dachami domów po zachodniej stronie największego cmentarza w Norwegii. Harry minął pomnik poległych w Jugosławii podczas wojny, aleję Partii Pracy, nagrobki premierów, Einara Gerhardsena i Trygvego Bratteli i przeszedł na obszar Armii Zbawienia. Tak jak się spodziewał, przy najświeższym grobie zastał Sofię. Siedziała wprost na śniegu, owinięta obszerną puchową kurtką.

– Cześć. – Harry usiadł przy niej. Zapalił papierosa i wypuścił dym, który szybko rozwiał lodowaty wiatr. – Twoja matka powiedziała, że po prostu wyszłaś. I zabrałaś kwiatki, które kupił dla ciebie ojciec. Nie było trudno odgadnąć.

Sofia nie odpowiedziała.

– Robert był dobrym przyjacielem, prawda? Kimś, komu można było zaufać. I porozmawiać. Nie był gwałcicielem.

– To zrobił Robert – szepnęła bezsilnie.

– Na grobie Roberta leżą twoje kwiaty, Sofio. Myślę, że zgwałcił cię ktoś inny i że dziś w nocy zrobił to znów. Możliwe, że zdarzało

się to częściej.

– Zostawcie mnie w spokoju! – krzyknęła, próbując się podnieść. – Słyszysz!

Harry z papierosem w jednej ręce, drugą złapał ją za ramię i ściągnął z powrotem na śnieg.

– Ten, który tu leży, już nie żyje, Sofio. Ty żyjesz, słyszysz? Żyjesz! I jeśli masz zamiar dalej żyć, musimy go teraz złapać. Jeśli nie, to będzie dalej trwało. Nie byłaś pierwsza, nie będziesz ostatnia. Spójrz na mnie! Spójrz na mnie, mówię!

Sofia przestraszona jego nagłym krzykiem odruchowo usłuchała.

– Wiem, że się boisz. Ale obiecuję ci, że go złapię. Tak czy owak.

Harry zobaczył, że w jej oczach coś się budzi. Jeśli miał rację, była to nadzieja. Czekał. W końcu Sofia szepnęła coś niesłyszalnie.

– Co powiedziałaś? – Harry nachylił się do dziewczyny.

– Kto mi uwierzy? – szepnęła. – Kto mi teraz uwierzy, kiedy Robert nie żyje?

Harry delikatnie położył jej rękę na ramieniu.

– Spróbuj, zobaczymy.

Pomarańczowe chmury zaczęły przybierać odcień czerwieni.

– Zagroził, że nas zniszczy, jeśli go nie posłucham. Doprowadzi do wyrzucenia nas z mieszkania i będziemy musieli wracać. A my nie mamy do czego wracać. A gdybym im powiedziała, to kto by mi uwierzył? Kto... – urwała.

– ...oprócz Roberta – dokończył Harry. I czekał.

Harry znalazł adres na wizytówce Madsa Gilstrupa i postanowił go odwiedzić. Przede wszystkim chciał spytać, dlaczego Mads dzwonił do Halvorsena. Po adresie zorientował się, że jadąc, będzie mijał dom Rakel i Olega, również położony na wzgórzu Holmenkollen.

Przejeżdżając tamtędy, nie zwolnił, tylko zerknął na podjazd. Poprzednio zauważył przed garażem jeepa cherokee, prawdopodobnie należącego do lekarza. Teraz dostrzegł jedynie samochód Rakel. W pokoju Olega się świeciło.

Pokonywał ostre zakręty między najdroższymi willami w Oslo. Wreszcie droga się wyprostowała i zaczęła piąć po stromym zboczu, mijając biały obelisk stolicy: skocznię narciarską Holmenkollen. W dole leżało miasto i fiord, nad którym między przysypanymi śniegiem wyspami unosiły się płaty zimnej mgły. Krótki dzień, składający się właściwie wyłącznie ze wschodu i zachodu słońca, mrugał już na dobranoc, a w mieście zapalały się latarnie jak adwentowe świece przy ostatnim odliczaniu.

Miał już prawie wszystkie kawałki układanki.

Zadzwonił do drzwi Gilstrupa cztery razy, ale nikt mu nie otworzył, więc się poddał. Wracał już do samochodu, gdy z sąsiedniego domu wybiegł mężczyzna i spytał, czy jest znajomym Gilstrupów, bo chociaż nie chciałby zakłócać prywatności, to rano z tego domu dobiegł głośny huk, a Mads Gilstrup tak niedawno stracił żonę, więc może należałoby zadzwonić na policję.

Wobec tego Harry wrócił i wybił okno przy drzwiach wejściowych. Natychmiast włączył się alarm.

Przy wtórze nieprzerwanie powtarzających się dwóch przeraźliwych tonów Harry zdołał dotrzeć do salonu. Z myślą o raporcie zerknął na zegarek i odjął dwie minuty, o które popchnął go Møller. Piętnasta trzydzieści siedem.

Mads Gilstrup był nagi i nie miał już tyłu głowy.

Leżał na parkiecie przed oświetlonym ekranem, a coś, co wyglądało na dubeltówkę z czerwoną kolbą, wyrastało mu z ust. Lufa była długa, a sądząc po pozycji, Mads użył wielkiego palca

u nogi, by z niej odpalić. Wymagało to nie tylko dużej zdolności koordynacji, lecz również silnego pragnienia śmierci.

Alarm gwałtownie się urwał i Harry usłyszał szum projektora, który rzucał na ekran zatrzymany drżący obraz, zbliżenie młodej pary idącej środkiem kościoła. Twarze, białe uśmiechy i białą ślubną suknię pokrył czerwony wzór, który zakrzepł na ekranie.

Na stoliku pod pustą butelką po koniaku leżał list pożegnalny. Krótki.

Wybacz mi, ojcze, Mads.

31 WTOREK, 22 GRUDNIA. ZMARTWYCHWSTANIE

Przejrzał się w lustrze. Kiedyś, może w przyszłym roku, wyjdą rano z domku w Vukovarze, a ta twarz być może znów stanie się taką, którą sąsiedzi witają z uśmiechem, mówiąc „*zdravo*", tak jak się pozdrawia miłych znajomych. I dobrych.

– Idealny – powiedziała kobieta za jego plecami.

Uznał, że miała na myśli smoking, w którym stał ubrany przed lustrem w wypożyczalni strojów połączonej z pralnią chemiczną.

– *How much?* – spytał.

Zapłacił i obiecał zwrócić smoking przed dwunastą następnego dnia.

Wyszedł w szary zmrok. Znalazł kawiarnię, w której mógł napić się kawy, a jedzenie nie było zbyt drogie. Pozostawało jedynie czekanie. Popatrzył na zegarek.

Zaczęła się najdłuższa noc. Zmierzch barwił ściany domów i pola na szaro, gdy Harry zjeżdżał z Holmenkollen, ale zanim dojechał do Grønland, ciemność już spowiła parki.

Z domu Madsa Gilstrupa zadzwonił na pogotowie policji i powiedział, że mają przysłać samochód. Sam wyszedł, niczego nie dotykając.

Zaparkował samochód w garażu K3 w Budynku Policji i poszedł do swojego pokoju. Stamtąd zadzwonił do Torkildsena.

– Komórka mojego kolegi, Halvorsena, zniknęła, a chciałbym wiedzieć, czy Mads Gilstrup nie zostawił mu jakiejś wiadomości.

– A jeśli zostawił?

– To chcę ją odsłuchać.

– To już się kwalifikuje jako podsłuch. A tego się boję – westchnął Torkildsen. – Zadzwoń do naszego Wydziału Kontaktów z Policją.

– Musiałbym mieć nakaz sądu, a nie mam na to czasu. Masz jakąś propozycję?

Torkildsen się zastanowił.

– Czy Halvorsen ma komputer?

– Siedzę przy nim.

– Nie, zresztą zapomnij o tym.

– A o czym myślałeś?

– Można mieć dostęp do wszystkich swoich wiadomości na automatycznej sekretarce przez stronę internetową Telenor Mobil. Ale trzeba oczywiście znać hasło.

– To hasło każdy wybiera sam?

– Tak. Ale jak nie znasz hasła, to trzeba mieć naprawdę dużo szczęścia, żeby...

– Spróbujemy – zdecydował Harry. – Jaki jest adres tej strony?

– Musiałbyś mieć naprawdę dużo szczęścia – powiedział Torkildsen tonem człowieka, który nie był do szczęścia przyzwyczajony.

– Mam wrażenie, że je znam.

Kiedy wyświetliła mu się strona, w pole hasła wpisał: „Lew Jaszyn" i otrzymał komunikat, że podane hasło jest nieprawidłowe. Skrócił je więc do „Jaszyn". No i trafił. Osiem wiadomości. Sześć od Beate, jedna z jakiegoś numeru z Trøndelag i jedna z numeru komórki podanego na wizytówce, którą trzymał w dłoni. Madsa Gilstrupa.

Kliknął przycisk odtwarzania i głos człowieka, którego niespełna pół godziny wcześniej widział martwego w jego własnym domu, przemówił do niego z metalicznym pogłosem przez plastikowe głośniki komputera.

Kiedy wiadomość się skończyła, Harry miał w ręku ostatni kawałek układanki.

– Naprawdę nikt nie wie, gdzie jest Jon Karlsen? – spytał Harry Skarrego przez telefon, schodząc po schodach do piwnicy w Budynku Policji. – Próbowałeś w mieszkaniu Roberta? – Wszedł do magazynu i zadzwonił dzwonkiem na ladzie.

– Tam też telefonowałem – odparł Skarre. – Bez efektu.

– To zajrzyj tam. Jeśli nikt ci nie otworzy, wejdź do środka. Okej?

– Klucze są w Wydziale Techniki Kryminalistycznej, a jest już po czwartej. Zwykle Beate siedzi tam przez całe popołudnie, ale dzisiaj z Halvorsenem i...

– Zapomnij o kluczach – powiedział Harry. – Weź ze sobą łom.

Usłyszał szuranie stóp i zaraz pojawił się mężczyzna w niebieskim magazynowym fartuchu, z twarzą pokrytą siatką zmarszczek i okularami na czubku nosa. Nie poświęcając Harry'emu nawet jednego spojrzenia, wziął wniosek o przydział broni, który Harry położył na kontuarze.

– A nakaz przeszukania? – spytał Skarre.

– Nie trzeba. Ten, który już raz dostaliśmy, wciąż obowiązuje – skłamał Harry.

– Naprawdę?

– Jak ktoś cię będzie pytał, to powiedz, że to bezpośrednie polecenie ode mnie.

– Dobra.

Mężczyzna w granatowym fartuchu chrząknął. Potem pokręcił głową i oddał wniosek Harry'emu.

– Zadzwonię do ciebie później, Skarre. Mam tu chyba jakiś kłopot.

Schował telefon do kieszeni i ze zdziwieniem popatrzył na magazyniera.

– Nie możesz dwa razy odbierać tej samej broni, Hole.

Harry nie bardzo rozumiał, co miał na myśli Kjell Atle Orø, zrozumiał za to swędzenie na karku. Zrozumiał je, bo czuł je już nie raz. Wiedział, co to oznacza. Koszmar wcale się nie skończył. Właśnie się zaczął.

Żona Gunnara Hagena wygładziła suknię i wyszła z łazienki. Przed lustrem w korytarzu stał jej mąż i usiłował zawiązać czarną muszkę do smokingu. Zatrzymała się przy nim, wiedząc, że zaraz prychnie zirytowany i poprosi ją o pomoc.

Rano, kiedy zatelefonowano z komendy z wiadomością, że Jack Halvorsen nie żyje, Gunnar oświadczył, że ani nie ma ochoty, ani nie uważa, że powinien iść na jakikolwiek koncert. Wiedziała, że zaczyna się tydzień rozmyślań. Od czasu do czasu zastanawiała się, czy ktokolwiek oprócz niej wie, jak głęboko takie sytuacje dotykają Gunnara. Później jednak komendant główny policji poprosił Gunnara, by mimo wszystko przyszedł na koncert, ponieważ Armia Zbawienia postanowiła uczcić śmierć Halvorsena minutą ciszy, naturalne więc było, żeby policję reprezentował jego zwierzchnik. Widziała jednak, że mąż wcale się nie cieszy. Powaga obciskała mu czoło jak ciasny hełm.

Prychnął zirytowany i zerwał muszkę.

– Lise!

– Jestem tutaj – odparła spokojnie i podeszła. Stanęła za nim i wyciągnęła rękę. – Daj!

Zadzwonił telefon na stoliku pod lustrem. Gunnar pochylił się i podniósł słuchawkę.

– Słucham, Hagen.

Usłyszała daleki głos na drugim końcu.

– Dobry wieczór, Harry. Nie, jestem w domu. Idziemy z żoną na ten koncert. Dlatego wcześniej wyszedłem z firmy. Coś nowego?

Lisa Hagen zobaczyła, jak wyimaginowany hełm napina się jeszcze bardziej w miarę, jak mąż słuchał w milczeniu.

– Dobrze – powiedział w końcu. – Zaraz zadzwonię na pogotowie policji i ogłoszę pełny alarm. Angażujemy w pościg całą dostępną załogę. Niedługo wychodzę do Sali Koncertowej i będę tam ze dwie godziny, ale ustawię komórkę na wibracje, więc możesz dzwonić przez cały czas.

Odłożył słuchawkę.

– Co się stało? – spytała Lise.

– Jeden z moich komisarzy, Harry Hole, właśnie wrócił z magazynu, skąd miał pobrać broń na podstawie wniosku, który mu dzisiaj wypisałem. Zastępczo za dokument, który zaginął po włamaniu do jego mieszkania. Okazuje się, że dzisiaj ktoś już wcześniej pobrał broń i amunicję na podstawie tamtego pierwszego wniosku.

– To najgorsze, co... – zaczęła Lise.

– Nie – westchnął Gunnar Hagen. – To, niestety, jeszcze nie jest najgorsze. Harry zaczął podejrzewać, kto to mógł zrobić, zadzwonił do Zakładu Medycyny Sądowej i uzyskał potwierdzenie.

Lise ku swemu przerażeniu zobaczyła, że mąż całkowicie szarzeje na twarzy. Jak gdyby konsekwencje tego, co przekazał mu Harry, uświadomił sobie dopiero teraz, gdy głośno powiedział o tym żonie.

– Analiza krwi pobranej od mężczyzny, którego zastrzeliliśmy w porcie kontenerowym, wykazała, że to nie był ten sam człowiek, który wymiotował obok Halvorsena. Ani ten, który pobrudził krwią jego płaszcz i zostawił włosy na poduszce w Schronisku. Krótko mówiąc, ten, którego zastrzeliliśmy, to nie był Christo Stankić. Jeśli Harry ma rację, to Stankić wciąż krąży po mieście. Z bronią.

– Ależ... To znaczy, że on wciąż może ścigać tego nieszczęśnika... Jak mu tam?

– Jon Karlsen. Owszem, właśnie dlatego muszę zadzwonić na pogotowie policji i zmobilizować wszystkie dostępne siły, żeby szukały i Jona Karlsena, i Stankicia. – Hagen przycisnął dłonie do oczu, jak gdyby to tam tkwił ból. – A poza tym do Harry'ego właśnie zadzwonił inny funkcjonariusz, który wszedł do mieszkania Roberta Karlsena, szukając Jona.

– I co?

– Wyglądało tak, jakby ktoś tam walczył. A na pościeli były ślady krwi, Lise. I nie było Jona Karlsena, tylko pod łóżkiem składany nóż z czarną zakrzepłą krwią na ostrzu.

Odjął ręce od twarzy, a ona w lustrze zobaczyła, że oczy mu się zaczerwieniły.

– Jest źle, Lise.

– Rozumiem to, Gunnarze, mój drogi. Ale... ale kim wobec tego był ten człowiek, którego zastrzeliliście w porcie kontenerowym?

Gunnar Hagen ciężko przełknął ślinę, nim odpowiedział:

– Nie wiemy, Lise. Wiadomo tylko, że nocował w kontenerze i że miał we krwi heroinę.

– O mój Boże, Gunnar...

Położyła mu rękę na ramieniu, próbując uchwycić jego spojrzenie w lustrze.

– Trzeciego dnia zmartwychwstał – szepnął Gunnar Hagen.

– Co?

– Zbawiciel. Zabiliśmy go w sobotę w nocy. Dzisiaj jest wtorek. Trzeci dzień.

Martine Eckhoff wyglądała tak pięknie, że Harry'emu dech zaparło.

– Cześć, to ty? – przywitała go głębokim altem, który zapamiętał z ich pierwszego spotkania w Latarni Morskiej. Była wtedy w mundurze. Teraz stała przed nim w prostej eleganckiej sukience bez rękawów, równie czarnej i lśniącej jak jej włosy. Oczy wydawały się jeszcze większe i ciemniejsze niż zwykle, skóra biała, delikatna, niemal przezroczysta.

– Właśnie się stroję – roześmiała się. – Spójrz! – Uniosła rękę, w opinii Harry'ego, niepojęcie miękkim ruchem, jakby tanecznym, stanowiącym przedłużenie innego pełnego gracji ruchu. W dłoni trzymała białą perełkę w kształcie łzy, w której odbijało się słabe światło klatki schodowej. Druga perła zwisała już z ucha.

– Wejdź – zaprosiła go do mieszkania, cofając się i puszczając drzwi.

Harry przekroczył próg i wpadł wprost w jej objęcia.

– Jak dobrze, że przyszedłeś. – Przyciągnęła jego głowę do swojej i dmuchnęła mu w ucho ciepłym powietrzem, szepcząc: – Cały czas o tobie myślałam.

Harry zamknął oczy i przytulił ją mocno, czując ciepło drobnego, kociego ciała. Już drugi raz w ciągu doby tak ją obejmował. I nie chciał puścić. Bo wiedział, że to już ostatni raz.

Kolczyk leżał mu na policzku pod okiem niczym wystygła łza.

Uwolnił się z jej objęć.

– Coś się stało? – spytała.

– Siądźmy – powiedział Harry. – Musimy porozmawiać.

Weszli do salonu, Martine usiadła na kanapie, Harry stanął przy oknie i wyjrzał na ulicę.

– Na dole ktoś siedzi w samochodzie i patrzy tutaj.

– To Rikard – westchnęła Martine. – Czeka na mnie, bo ma mnie zawieźć do Sali Koncertowej.

– Mhm. Wiesz, gdzie jest Jon, Martine? – Harry skupił się na odbiciu jej twarzy w szybie.

– Nie – odparła, przechwytując jego wzrok. – Chcesz powiedzieć, że jest jakiś szczególny powód, dla którego miałabym to wiedzieć? Mam na myśli sposób, w jaki pytasz.

Z jej głosu zniknęła słodycz.

– Włamaliśmy się do mieszkania Roberta, z którego, jak sądzimy, korzystał Jon – oznajmił Harry. – I zastaliśmy zakrwawione łóżko.

– Nie wiedziałam – odparła Martine ze zdumieniem, które zabrzmiało całkiem szczerze.

– Wiem, że nie wiedziałaś. W Zakładzie Medycyny Sądowej sprawdzają teraz grupę krwi. To znaczy jest już chyba określona. I jestem całkiem pewien, jaki będzie wynik.

– Krew Jona? – spytała bez tchu.

– Nie. Ale może miałaś nadzieję, że tak będzie?

– Dlaczego tak mówisz?

– Dlatego, że to Jon cię zgwałcił.

W pokoju zapadła cisza. Harry wstrzymał oddech, by usłyszeć, jak Martine zapiera dech, a potem, dłuższą chwilę później, jak zdyszana wypuszcza powietrze.

– Dlaczego tak myślisz? – spytała z nieznacznym tylko drżeniem w głosie.

– Powiedziałaś, że to się wydarzyło na Østgård, a mimo wszystko nie tak wielu znów mężczyzn gwałci. A Jon Karlsen owszem. Krew w łóżku Roberta to krew Sofii Miholjec. Przyszła wczoraj do mieszkania Roberta, bo Jon jej kazał. Tak jak się umówili, otworzyła sobie drzwi kluczem, który swego czasu dostała od Roberta, swojego najlepszego przyjaciela. Jon najpierw ją zgwałcił, a potem pobił. Przyznała się, że czasami tak robił.

– Czasami?

– Sofia twierdzi, że Jon zgwałcił ją pierwszy raz któregoś popołudnia latem ubiegłego roku. Było to w mieszkaniu Miholjeców pod nieobecność rodziców dziewczyny. Jon przyszedł pod pozorem przeprowadzenia inspekcji. Na tym między innymi polegała jego praca. Jak również na decydowaniu o tym, komu wolno będzie zatrzymać mieszkanie.

– Chcesz powiedzieć... że on jej groził?

Harry kiwnął głową.

– Mówił, że jej rodzina zostanie wyrzucona i odesłana do kraju, jeśli Sofia nie zrobi tego, co on jej każe. I nie dochowa tajemnicy. Twierdził, że szczęście i nieszczęście całej rodziny jest uzależnione wyłącznie od jego widzimisię. I od jej uległości. Biedna dziewczyna nie śmiała mu się sprzeciwiać. Ale kiedy się okazało, że jest w ciąży, ktoś musiał jej pomóc. Jakiś przyjaciel, któremu mogła się zwierzyć, ktoś starszy, kto bez zadawania zbędnych pytań mógł się zająć praktyczną sprawą aborcji.

– Robert – domyśliła się Martine. – Boże, ona z tym poszła do Roberta!

– Tak. I chociaż nic mu nie wyjawiła, przypuszczała, że Robert od razu zrozumiał, że to Jon. I ja też tak myślę. Bo Robert wiedział, że Jon gwałcił już wcześniej, prawda?

Martine nie odpowiedziała. Skuliła się tylko na kanapie, podciągnęła nogi i objęła się za gołe ramiona, jakby zmarzła albo chciała zamknąć się w sobie.

Wreszcie zaczęła mówić tak cicho, że Harry słyszał cykanie zegarka Bjarnego Møllera.

– Miałam czternaście lat. Kiedy on to robił, leżałam i myślałam, że jeśli tylko dostatecznie mocno skoncentruję się na gwiazdach, będę mogła zobaczyć je przez sufit.

Harry słuchał opowieści o tamtym upalnym dniu na Østgård, o zabawie z Robertem, o karcącym wzroku Jona, pociemniałym z zazdrości. I o tym, jak drzwi wygódki się otworzyły i stanął w nich Jon ze składanym nożem brata w dłoni. O gwałcie i o bólu, kiedy została, płacząc, a on wrócił do domu. I o tym, co było kompletnie niepojęte, że niedługo później ptaki zaczęły śpiewać.

– Ale najgorszy nie był sam gwałt – powiedziała Martine głosem grubym od łez, ale z suchymi policzkami. – Najgorsze było to, że Jon wiedział. Wiedział, że nie musi mi nawet grozić, żebym milczała. Wiedział, że mam świadomość, że nawet gdybym pokazała podarte ubranie i gdyby ktoś mi uwierzył, to i tak zawsze pozostałby cień wątpliwości co do przyczyny i winy. I że to kwestia lojalności. Ja, córka komandora, miałabym być tą, która wciąga naszych rodziców i całą Armię w rujnujący naszą reputację skandal? Przez wszystkie te lata Jon patrzył na mnie wzrokiem, który mówił: ja wiem. Wiem, jak się trzęsłaś ze strachu i jak potem cicho płakałaś, żeby nikt cię nie usłyszał. Wiem i na co dzień widzę twoje nieme tchórzostwo. – Po policzku spłynęła jej pierwsza łza. – Właśnie za to tak go nienawidzę. Nie za to, że mnie zgwałcił. To jakoś bym mu wybaczyła. Ale za to, że przez cały czas mi pokazywał, że wie.

Harry wyszedł do kuchni, urwał kawałek papierowego ręcznika, wrócił i usiadł przy niej.

– Uważaj na makijaż. – Podał jej ręcznik. – Pamiętaj o premierze.

Delikatnie przycisnęła bibułę do oczu.

– Stankić był na Østgård – powiedział nagle Harry. – To ty go tam zabrałaś?

– O czym ty mówisz?

– On tam był.

– Dlaczego tak mówisz?

– Z powodu zapachu.

– Zapachu?

Harry kiwnął głową.

– Tak, takiego słodkiego perfumowanego zapachu. Pierwszy raz go poczułem, kiedy otworzyłem Stankiciowi drzwi w mieszkaniu Jona. Za drugim razem, kiedy stanąłem w jego pokoju w Schronisku. A trzeci raz, kiedy się obudziłem na Østgård dzisiaj rano. Ten zapach utkwił w kocu.

Przyjrzał się źrenicom w kształcie dziurek od klucza.

– Gdzie on jest, Martine?

– Myślę, że powinieneś już sobie pójść.

– Najpierw mi odpowiedz.

– Nie muszę mówić o czymś, czego nie zrobiłam.

Doszła już do drzwi salonu, kiedy Harry ją dogonił. Stanął przed nią i złapał za ramię.

– Martine...

– Muszę zdążyć na koncert.

– On zabił jednego z moich najlepszych przyjaciół.

Twarz miała zamkniętą i twardą, gdy odpowiadała:

– Nie powinien był stawać mu na drodze.

Harry puścił ją, jakby się sparzył.

– Nie możesz po prostu pozwolić, żeby Jon Karlsen zginął. Gdzie wybaczenie? Nie w tej branży robicie?

– To ty wierzysz, że ludzie mogą się zmienić – odparła Martine. – Nie ja. I nie wiem, gdzie jest Stankić.

Weszła do łazienki i zamknęła drzwi. Harry stał.

– Poza tym mylisz się co do naszej branży – powiedziała przez drzwi. – Tu nie chodzi o wybaczenie. Robimy w tej samej branży co wszyscy inni. W zbawianiu, prawda?

Mimo zimna Rikard stał przy samochodzie, oparty o maskę z rękami na piersiach. Na skinienie głową Harry'ego nie odpowiedział.

32 WTOREK, 22 GRUDNIA. EXODUS

Było pół do siódmej, ale w Wydziale Zabójstw panowała gorączkowa aktywność.

Harry zastał Olę Li przy faksie. Zerknął na wydruk. Nadawcą był Interpol.

– Co się dzieje, Ola?

– Gunnar Hagen obdzwonił wszystkich i wezwał cały wydział. Są tu absolutnie wszyscy. Będziemy łapać tego, kto zabił Halvorsena.

W głosie Oli Li była zawziętość, która, jak Harry instynktownie wyczuł, stanowiła odbicie atmosfery panującej tego wieczoru na szóstym piętrze.

Skarre stał za biurkiem, głośno i szybko mówił do telefonu:

– Możemy narobić więcej kłopotów tobie i twoim chłopcom, Affi, niż jesteście w stanie sobie wyobrazić. Jeśli mi nie pomożesz i nie wyślesz chłopaków na ulice, to znajdziecie się na pierwszym miejscu naszej listy *most wanted*. Wyraźnie mówię? Więc tak. Chorwat. Średniego wzrostu...

– Jasne, bardzo krótko ostrzyżone włosy – dodał Harry.

Skarre podniósł wzrok i kiwnął mu głową.

– Jasne, bardzo krótko ostrzyżone włosy. Zadzwoń, jak będziesz coś dla mnie miał.

Odłożył słuchawkę.

– Jest taki nastrój jak podczas Band-Aid. Zaangażowało się wszystko, co się rusza. W życiu czegoś takiego nie widziałem.

– Mhm – mruknął Harry. – Wciąż nie ma żadnych śladów Jona Karlsena?

– Nic. Jego dziewczyna Thea, mówi tylko, że umówili się w Sali Koncertowej dziś wieczorem. Mają chyba miejsca w loży honorowej.

Harry spojrzał na zegarek.

– No to Stankić ma półtorej godziny na wykonanie swojej roboty.

– Jak to?

– Dzwoniłem do Sali Koncertowej. Wszystkie bilety wyprzedano już cztery tygodnie temu. A bez biletu nikogo nie wpuszczą. Nawet do foyer. To znaczy, że Jon Karlsen w momencie wejścia do Sali Koncertowej będzie bezpieczny. Zadzwoń do Telenoru i sprawdź, czy Torkildsen jest w pracy i czy może odnaleźć komórkę Karlsena. Dopilnuj, żeby pod Salą Koncertową było dość policji. I żeby wszyscy byli uzbrojeni i znali rysopis. Potem zadzwoń do Kancelarii Premiera i uprzedź ich o wyjątkowych środkach ostrożności.

– Ja? – zdumiał się Skarre. – Do... Kancelarii Premiera?

– Oczywiście. Jesteś już dużym chłopcem.

W swoim pokoju Harry wybrał jeden z sześciu numerów, które znał na pamięć.

Pięć pozostałych było do Sio, do domu rodziców na Oppsal, na komórkę Halvorsena, na stary telefon stacjonarny Bjarnego Møllera i nieczynny już telefon Ellen Gjelten.

– Słucham, Rakel.

– To ja.

Usłyszał, że nabiera powietrza.

– Tak myślałam.

– Dlaczego?

– Bo myślałam o tobie – zaśmiała się cicho. – Tak po prostu jest. A co?

Harry zamknął oczy.

– Chyba mógłbym się spotkać z Olegiem jutro. Tak jak się umawialiśmy.

– Świetnie. On się bardzo ucieszy. Przyjedziesz tu po niego? – A słysząc jego wahanie, dodała: – Będziemy sami.

Harry i miał ochotę, i jej nie miał, by spytać, co przez to rozumie.

– Spróbuję być koło szóstej.

Według Klausa Torkildsena telefon komórkowy Jona Karlsena znajdował się gdzieś na wschodnich obrzeżach Oslo, na Haugerud albo Høybråten.

– Wiele nam to nie pomoże.

Pokrążywszy przez godzinę niespokojnie od pokoju do pokoju, żeby dowiedzieć się, jak idzie innym, Harry w końcu włożył kurtkę i zapowiedział, że jedzie do Sali Koncertowej.

Zaparkował nieprawidłowo w jednej z uliczek dochodzących do Victoria terrasse, minął Ministerstwo Spraw Zagranicznych, zszedł po szerokich schodach na Ruseløkkveien i skręcił w prawo do Sali Koncertowej.

Przez duży otwarty plac przed szklaną fasadą spieszyli odświętnie ubrani ludzie, walcząc z kąsającym zimnem. Przed wejściem stało dwóch potężnie zbudowanych mężczyzn w płaszczach, z zatyczkami w uszach, a wzdłuż fasady rozstawionych było jeszcze sześciu policjantów w mundurach, których drżący z zimna goście obrzucali

zdziwionymi spojrzeniami, nieprzywykli do widoku miejskiej policji z pistoletami maszynowymi.

Harry w jednym z mundurowych rozpoznał Siverta Falkeida.

– Nie wiedziałem, że wezwano Deltę.

– Bo wcale nie wezwano – odparł Falkeid. – Zadzwoniłem na pogotowie policji i spytałem, czy możemy w czymś pomóc. On był twoim partnerem, prawda?

Harry kiwnął głową, z wewnętrznej kieszonki wyjął papierosy i poczęstował Falkeida, ale ten pokręcił głową.

– Jon Karlsen jeszcze się nie pojawił?

– Nie – odparł Falkeid. – A po przyjściu premiera nikogo więcej już nie wpuścimy do loży honorowej. O wilku mowa... – Właśnie w tej chwili na plac podjechały dwie czarne limuzyny.

Harry widział, jak premier wysiada i zostaje prędko wprowadzony do środka. Gdy otworzyły się wejściowe drzwi, Harry'emu przed oczami mignął również komitet powitalny. Zdążył zobaczyć uśmiechniętego Davida Eckhoffa i nie bardzo uśmiechniętą Theę Nilsen, oboje w mundurach Armii Zbawienia.

Zapalił papierosa.

– Cholera, ale zimno – rzucił Falkeid. – Straciłem już czucie w nogach i w połowie głowy.

Zazdroszczę ci, pomyślał Harry.

Kiedy papieros wypalił się do połowy, powiedział głośno:

– On nie przyjdzie.

– Na to wygląda. Miejmy nadzieję, że nie zdążył jeszcze dopaść Karlsena.

– Ja mówię właśnie o Karlsenie. Zrozumiał, że gra skończona.

Falkeid zerknął na wielkiego policjanta, którego kiedyś, zanim doszły go słuchy o jego skłonności do alkoholu i nieokiełznaniu, uważał za świetny materiał dla Delty.

– Jaka gra? – spytał Falkeid.

– To długa historia. Wchodzę do środka. Gdyby Jon Karlsen mimo wszystko się pojawił, należy go aresztować.

– Karlsena? – zdumiał się Falkeid. – A co ze Stankiciem?

Harry wyrzucił papierosa, który z sykiem wtopił się w śnieg przy jego stopach.

– No właśnie – powiedział z namysłem, jakby do siebie. – Co ze Stankiciem?

Siedział w półmroku i międlił w palcach skrawek płaszcza, przełożonego przez kolana. Z głośników płynęła cicha muzyka harf. Wąskie snopy światła z reflektorów na suficie przysuwały się po publiczności, co, jak przypuszczał, miało stworzyć atmosferę napięcia i wyczekiwania na to, co wkrótce miało się wydarzyć na scenie.

Pojawiła się grupa licząca mniej więcej tuzin osób i w rzędach publiczności przed nim zapanowało nagle poruszenie. Niektórzy chcieli wstawać, ale poniosły się szepty i ludzie siadali z powrotem. Najwyraźniej w tym kraju politycznych przywódców nie traktowano z czołobitnością. Orszak usadzono trzy rzędy przed nim, na miejscach, które przez pół godziny, odkąd tu przyszedł, pozostawały puste.

Wypatrzył mężczyznę w garniturze z kabelkiem odchodzącym mu od ucha, ale umundurowanej policji nie widział. Liczba policjantów przed wejściem również nie była alarmująca, spodziewał się, że będzie ich więcej. Martine powiedziała mu przecież, że przyjedzie premier. Z drugiej strony, jakie znaczenie ma liczba policji, skoro on był niewidzialny, jeszcze bardziej niewidzialny niż zwykle. Rozejrzał się z zadowoleniem. Ile setek mężczyzn było tu w smokingach? Już wyobrażał sobie ten chaos. I prosty, ale skuteczny odwrót. Zajrzał tu dzień wcześniej i opracował trasę ucieczki, a tuż przed wejściem

na salę sprawdził jeszcze, czy nikt nie założył zamków w oknach męskiej toalety. Zwykłe zamarznięte szybki na pewno dadzą się łatwo wypchnąć, były też dostatecznie duże i znajdowały się dostatecznie nisko, aby w prosty i szybki sposób wydostać się na gzyms na zewnątrz. Dalej należało jedynie spuścić się trzy metry w dół na któryś z samochodów stojących na parkingu poniżej. Potem pozostawało już tylko włożenie płaszcza, wyjście na uczęszczaną ulicę Haakona VII, dwie minuty i czterdzieści sekund szybkiego marszu na peron stacji Teatr Narodowy, gdzie co dwadzieścia minut zatrzymywał się pociąg na lotnisko. Ten, w który zamierzał wsiąść, odjeżdżał o dwudziestej dziewiętnaście. Przed wyjściem z męskiej toalety wsunął do kieszeni dwie tabletki odświeżające.

Przy wejściu na salę musiał drugi raz pokazać bilet. Z uśmiechem pokręcił głową, gdy kobieta spytała o coś po norwesku, pokazując na jego płaszcz. Spojrzała na bilet i wskazała mu miejsce w loży honorowej, którą stanowiły właściwie cztery zwyczajne rzędy na środku sali, na tę okazję ogrodzone czerwonymi taśmami. Martine wyjaśniła mu, gdzie będzie siedział Jon Karlsen i jego dziewczyna Thea.

Wreszcie przyszli. Zerknął na zegarek. Sześć po ósmej. Salę spowijał półmrok, a światło bijące ze sceny było zbyt mocne, aby dało się zidentyfikować osoby wchodzące w skład delegacji, lecz nagle jedną z twarzy oświetlił któryś z małych reflektorów. Przed oczami mignęło mu tylko blade udręczone oblicze, lecz nie miał wątpliwości: to była ta sama kobieta, którą widział na tylnym siedzeniu samochodu razem z Jonem Karlsenem na Gøteborggata.

Po lekkim zamieszaniu wokół miejsc z przodu, w końcu najwyraźniej zapadły decyzje i goście zasiedli w fotelach. Zacisnął dłoń na rękojeści rewolweru. W bębenku tkwiło sześć naboi. Nie

był przyzwyczajony do tej broni, miała twardszy spust niż jego pistolet, ale ćwiczył cały dzień i wiedział już, w którym momencie pada strzał.

Wreszcie, jak na niewidzialny sygnał, w sali zapadła cisza.

Na scenę wyszedł mężczyzna w mundurze, przypuszczalnie powitał gości, a potem powiedział coś, co sprawiło, że wszyscy obecni na sali wstali. On też tak zrobił, przyglądając się ludziom wokół siebie, którzy w milczeniu spuścili głowy. Prawdopodobnie ktoś umarł. Mężczyzna na scenie znów coś powiedział i wszyscy z powrotem usiedli.

A potem, w końcu, kurtyna poszła w górę.

Harry stał w ciemności z boku sceny i widział, jak kurtyna się podnosi. Światło z brzegu sceny uniemożliwiało mu zobaczenie publiczności, wyczuwał ją jednak jak wielkie dyszące zwierzę.

Dyrygent uniósł batutę i chór gospel Trzeciego Korpusu Oslo rozpoczął pieśń, którą Harry słyszał już w Świątyni:

Niech sztandar zbawienia powiewa,
Na świętą wojnę prowadząc nas!

– Przepraszam – usłyszał głos, odwrócił się i ujrzał młodą kobietę w okularach ze słuchawkami na uszach. – Co pan tu robi? – spytała.

– Policja – odparł Harry.

– Jestem inspicjentką. Proszę, żeby nie stał pan w przejściu.

– Szukam Martine Eckhoff – wyjaśnił Harry. – Powiedziano mi, że jest tutaj.

– Ona jest tam. – Inspicjentka wskazała chór. I wtedy Harry ją zobaczył. Stała zupełnie z tyłu, na najwyższym stopniu, z poważną, niemal cierpiętniczą miną, jakby śpiewała o utraconej miłości, a nie o walce i zwycięstwie.

Obok Martine stał Rikard, który w przeciwieństwie do niej miał na wargach błogi uśmiech. Jego twarz, kiedy śpiewał, wyglądała zupełne inaczej. Zniknęła gdzieś twardość i zaciętość, a młode oczy mu świeciły, jakby całym sercem był za tym, o czym śpiewał. Za podbojem świata dla dobrego Boga, dla miłosierdzia i miłości bliźniego.

Harry ku swemu zdziwieniu poczuł, że i melodia, i tekst robią na nim wrażenie.

Kiedy pieśń dobiegła końca, chór przyjął oklaski i zszedł ze sceny, Rikard obrzucił Harry'ego zdziwionym spojrzeniem, ale nic nie powiedział. Martine na jego widok spuściła wzrok, próbowała go wyminąć. Ale Harry był szybki. Zagrodził jej drogę.

– Daję ci ostatnią szansę, Martine. Bardzo cię proszę, nie marnuj jej.

Westchnęła ciężko.

– Nie wiem, gdzie on jest. Już mówiłam.

Harry złapał ją za ramę, szepcząc:

– Skażą cię za współudział. Naprawdę chcesz mu sprawić taką radość?

– Radość? – uśmiechnęła się zmęczona. – Tam, dokąd on pójdzie, nie będzie radości.

– A ta pieśń, którą przed chwilą śpiewaliście? „Pełen miłosierdzia, prawdziwy przyjaciel grzeszników", to nic nie znaczy, to tylko słowa?

Nie odpowiedziała.

– Rozumiem – ciągnął Harry – że to trudniejsze od tego łatwo przychodzącego wybaczania, które w uwielbieniu dla siebie rozdzielasz w Latarni Morskiej. Ale kim jest ćpun, który okrada nieznane z imienia i nazwiska osoby, bo jest na głodzie, w porównaniu z tym, kto naprawdę potrzebuje twojego

wybaczenia? W porównaniu z prawdziwym grzesznikiem zmierzającym wprost do piekła?

– Przestań – powiedziała ze łzami w głosie, bezsilnie próbując go odepchnąć.

– Ty wciąż możesz ocalić Jona, Martine. Dać mu nową szansę. Tak, żebyś i ty mogła ją dostać.

– On ci dokucza, Martine? – To był głos Rikarda.

Harry nie odwracając się, zacisnął prawą dłoń. Przygotował się, ale nie odrywał wzroku od mokrych oczu dziewczyny.

– Nie, nie, Rikardzie. Wszystko w porządku.

Harry usłyszał, że kroki Rikarda się oddalają, ale cały czas patrzył na Martine. Ze sceny dobiegło brzdąkanie na gitarze, potem fortepian. Harry rozpoznał piosenkę. Z Egertorget tamtego wieczoru. I z radia na Østgård. *Morning song*. Wydawało mu się, że słyszał ją wieki temu.

– Obaj zginą, jeśli nie pomożesz mi tego powstrzymać.

– Dlaczego tak mówisz?

– Ponieważ Jon ma osobowość *borderline* i kieruje nim wściekłość, a Stankić nie boi się niczego.

– Chcesz mi wmówić, że tak ci zależy na ich uratowaniu, ponieważ na tym polega twoja praca?

– Tak – powiedział Harry. – I dlatego, że złożyłem obietnicę matce Stankicia.

– Matce? Rozmawiałeś z jego matką?

– Przysiągłem jej, że spróbuję ocalić jej syna. Jeśli nie powstrzymam teraz Stankicia, zostanie zastrzelony, tak jak ten człowiek w porcie kontenerowym. Uwierz mi.

Harry jeszcze raz na nią spojrzał, potem odwrócił się do niej plecami i zaczął się oddalać. Dotarł do schodów, gdy usłyszał z tyłu jej głos:

– On jest tutaj.

Harry zdrętwiał.

– Co?

– Dałam Stankiciowi twój bilet.

W tej samej chwili zapłonęły światła sceny.

Kontury postaci siedzących w rzędach przed nim rysowały się ostro na tle migotliwej kaskady świateł. Osunął się w fotel, ostrożnie uniósł dłoń, przyłożył krótką lufę do oparcia fotela z przodu, tak aby mieć wolny tor strzału w ubrane w smoking plecy po lewej stronie Thei. Zamierzał oddać dwa strzały. Potem wstać i strzelić trzeci raz, gdyby okazało się to konieczne. Ale już wiedział, że nie będzie.

Spust wydawał się lżejszy niż wcześniej, ale miał świadomość, że to z powodu adrenaliny. A jednak już się nie bał. Cyngiel przesuwał się i przesuwał, aż wreszcie dotarł do punktu, w którym przestał istnieć wszelki opór. Do tej połówki milimetra będącej ziemią niczyją, gdzie ustępowało napięcie, bo nie było już drogi odwrotu, kontrolę przejmowały nieubłagane prawa mechaniki i przypadkowości.

Głowa tkwiąca na tych plecach, w które wkrótce miała trafić kula, odwróciła się do Thei, coś mówiąc.

W tej samej chwili jego mózg poczynił dwie obserwacje. Po pierwsze, że Jon Karlsen, o dziwo, miał na sobie smoking, nie zaś mundur Armii Zbawienia. A po drugie, że było coś nie tak w fizycznym dystansie między Theą a Jonem. W Sali Koncertowej, gdzie głośno gra muzyka, kochankowie powinni pochylać się ku sobie.

Mózg desperacko usiłował cofnąć już rozpoczętą czynność, zacisk palca wskazującego na spuście.

Rozległ się głośny huk.

Tak głośny, że Harry'emu zadzwoniło w uszach.

– Co? – zawołał do Martine, przekrzykując gwałtowny atak perkusisty na talerze, który na chwilę go ogłuszył.

– Siedzi w rzędzie dziewiętnastym, trzy rzędy za Jonem i premierem. Miejsce dwadzieścia pięć, na środku. – Próbowała się uśmiechnąć, ale wargi za bardzo jej drżały. – Załatwiłam ci najlepsze miejsce na sali.

Harry spojrzał na nią. I ruszył biegiem.

Jon Karlsen starał się zmusić nogi, by poruszały się rytmicznie jak pałeczki bębniarza po peronie na Dworcu Centralnym, ale nigdy nie był dobrym sprinterem. Automatyczne drzwi wydały z siebie przeciągłe westchnienie, zasunęły się i lśniący srebrny pociąg na lotnisko ruszył akurat w chwili, gdy Jon do nich dotarł. Jęknął, odstawił walizkę, ściągnął z ramienia mały plecak i opadł na jedną z nowoczesnych ławek na peronie. Na kolanach trzymał jedynie czarną torbę. Dziesięć minut do następnego pociągu. Nic się nie stało. Miał dużo czasu. Całe morze czasu. Tyle że właściwie pragnął, by było go choć trochę mniej. Wpatrywał się w otwór tunelu, z którego miał wyłonić się następny skład. Nad ranem, po wyjściu Sofii, wreszcie zasnął w mieszkaniu Roberta, ale przyśnił mu się sen. Zły sen, w którym sztywno wpatrywało się w niego oko Ragnhild.

Spojrzał na zegarek.

Koncert już się rozpoczął. Biedna Thea siedzi sama, niczego nie rozumiejąc. Inni też nic nie pojmują. Jon zaczął chuchać w dłonie, ale mróz chłodził wilgotny oddech tak szybko, że ręce jeszcze bardziej mu zmarzły. Musiał tak postąpić, innego sposobu nie było. Wszystko się spiętrzyło. Sprawy zaczęły wymykać się spod kontroli i nie mógł ryzykować, zostając tu dłużej.

To był tylko i wyłącznie jego błąd. W nocy z Sofią stracił panowanie nad sobą, a powinien był to przewidzieć. Znał przecież to napięcie, które potrzebowało ujścia. Rozwścieczyło go to, że Sofia przyjęła go bez jednego słowa, bez dźwięku. Spojrzenie miała zamknięte, skierowane w siebie. Niczym nieme jagnię ofiarne. Uderzył ją w twarz. Zaciśniętą pięścią. Skóra na kostce mu pękła, więc uderzył po raz drugi. Idiotycznie. Żeby na nią nie patrzeć, odwrócił ją do ściany i dopiero po wytrysku trochę się uspokoił. Ale za późno. Gdy ją obserwował przed wyjściem, już wiedział, że tym razem nikt nie uwierzy w tłumaczenie, że wpadła na drzwi albo przewróciła się na lodzie.

Drugą rzeczą, która zmusiła go do wyjazdu, był ten wczorajszy telefon. Sprawdził numer rozmówcy. Należał do hotelu w Zagrzebiu. Hotelu International. Nie miał pojęcia, skąd mogli mieć numer jego komórki. Nie była nigdzie zarejestrowana. Domyślał się jednak, co to oznacza: chociaż Robert nie żył, oni wciąż uważali, że zadanie nie zostało wykonane. Nie tak to sobie zaplanował. Nie pojmował też, co chcą zrobić. Może przyślą do Oslo kogoś innego. Tak czy owak, on musiał stąd wyjechać.

Kupiony w pośpiechu bilet obowiązywał na lot do Bangkoku przez Amsterdam. Wystawiony na Roberta Karlsena. Tak jak ten, który w październiku kupił do Zagrzebia. I teraz, tak jak wtedy, miał w kieszeni dziesięcioletni paszport brata. Nikt nie mógł odmówić podobieństwa między nim a osobą na zdjęciu paszportowym. Z tego, że wygląd młodego człowieka może się w ciągu dziesięciu lat zmienić, zdają sobie sprawę wszystkie osoby kontrolujące paszporty.

Kupiwszy bilet, pojechał na Gøteborggata, spakował walizkę i plecak. Do odlotu wciąż pozostawało jeszcze dziesięć godzin, musiał się gdzieś ukryć. Wybrał więc jedno z należących do Armii

tak zwanych „częściowo umeblowanych” mieszkań do wynajęcia na Haugerud, do którego miał klucze. Mieszkanie od dwóch lat stało puste, miało uszkodzenia od wilgoci, a w środku stała kanapa i fotel, któremu z oparcia wychodziły wnętrzności, i jeszcze łóżko z poplamionym materacem. To tutaj Sofia miała obowiązujący do odwołania rozkaz stawiać się w każde bez wyjątku czwartkowe popołudnie o szóstej. Niektóre plamy zostawiła ona. Inne zrobił, kiedy był sam. Zawsze wtedy myślał o Martine. To było jak głód, zaspokojony tylko jednokrotnie, i tego właśnie uczucia szukał od tamtej pory. Odnalazł je wreszcie z piętnastoletnią chorwacką dziewczyną.

Ale pewnego dnia jesienią przyszedł do niego wzburzony Robert i oświadczył, że Sofia mu się zwierzyła. Jon wściekł się tak, że ledwie nad sobą zapanował. To było takie... upokarzające. Tak samo jak wtedy, gdy miał trzynaście lat, a ojciec sprał go pasem, bo matka znalazła na jego pościeli plamy spermy.

Kiedy więc Robert zagroził, że ujawni wszystko dowództwu Armii, jeśli on bodaj zbliży się jeszcze raz do Sofii, Jon zrozumiał, że ma tylko jedno wyjście. I nie była nim wcale rezygnacja ze spotkań z Sofią. Bo ani Robert, ani Ragnhild, ani Thea nie rozumieli, że on musiał ją mieć. Że to przynosiło mu ulgę i prawdziwe zaspokojenie. Za parę lat Sofia będzie już za stara, a on poszuka sobie nowej. Ale do tej pory mogła być jego małą księżniczką, światłem jego duszy i płomieniem lędźwi, tak jak Martine, kiedy magia zadziałała po raz pierwszy tamtej nocy na Østgård.

Na peronie pojawiło się więcej ludzi. Może nic się nie stanie. Może będzie mógł po prostu przeczekać parę tygodni i wrócić. Wrócić do Thei. Wyjął telefon, wybrał jej numer i wpisał wiadomość:

„Ojciec zachorował. Lecę wieczorem do Bangkoku. Zadzwonię jutro".

Wysłał SMS i poklepał czarną torbę. Pięć milionów koron w banknotach dolarowych. Ojciec tak się ucieszy, kiedy będzie mógł wreszcie uwolnić się od długu. Ja dźwigam cudze grzechy, pomyślał. Ja od nich wyzwalam.

Zapatrzył się w tunel, w czarny oczodół. Osiemnaście po ósmej. Co z tym pociągiem?

Gdzie był Jon Karlsen? Wpatrywał się w rzędy pleców przed sobą, powoli opuszczając rewolwer. Palec usłuchał i zwolnił nacisk na spust. Jak blisko był oddania strzału, tego miał się nigdy nie dowiedzieć. Ale wiedział już jedno, Jona Karlsena tu nie było. Nie przyszedł. Stąd to zamieszanie przy zajmowaniu miejsc.

Muzyka zaczęła grać spokojniej, miotełki szurały o skórę bębna, a palce na strunach gitary mknęły naprzód.

Zobaczył, że dziewczyna Jona Karlsena pochyla się, a jej ramiona się poruszają, jakby szukała czegoś w torebce. Przez kilka sekund siedziała spokojnie z pochyloną głową. Potem wstała. Śledził ją wzrokiem, gdy nierównymi zniecierpliwionymi ruchami przesuwała się wzdłuż rzędu ludzi, którzy podnosili się, żeby ją przepuścić. Od razu wiedział, co musi zrobić.

– *Excuse me* – powiedział, wstając. Nie zważał na karcące spojrzenia gości, którzy unosili się z udawanym wysiłkiem i westchnieniami, przejęty tym, że jego ostatnia możliwość dotarcia do Jona Karlsena opuszcza salę.

Zatrzymał się od razu, gdy tylko wyszedł do foyer i usłyszał, jak obite tkaniną drzwi do sali zamykają się za nim, a muzyka cichnie jak za pstryknięciem palcami. Dziewczyna nie zdążyła zajść daleko. Stała przy kolumnie na środku foyer i przyciskała klawisze telefonu. Dwaj mężczyźni w garniturach rozmawiali przy drugim wejściu

na salę, a za kontuarem siedziały dwie szatniarki z nieobecnymi spojrzeniami. Sprawdził, czy płaszcz przerzucony przez ramię wciąż skrywa rewolwer, i już miał podejść do dziewczyny, gdy nagle z prawej strony usłyszał odgłos biegnących kroków. Odwrócił się w porę, żeby zobaczyć wysokiego mężczyznę o czerwonej twarzy i szeroko otwartych oczach, mijającego go jak burza. Harry Hole. Wiedział, że jest już za późno. Że płaszcz nie pozwoli mu z odpowiednią szybkością wycelować rewolweru. Zatoczył się pod ścianę, gdy ręka policjanta trafiła go w bark. I ze zdumieniem patrzył, jak Hole sięga po klamkę u drzwi na salę, otwiera je i znika.

Oparł głowę o ścianę i mocno zacisnął oczy. Potem wolno się wyprostował, zobaczył, że dziewczyna przestępuje z nogi na nogę z telefonem przyłożonym do ucha i zrozpaczoną miną. Ruszył w jej stronę. Stanął tuż przed nią, odchylił płaszcz, tak by zobaczyła rewolwer, i powiedział powoli i wyraźnie:

– *Please, come with me*. Inaczej będę musiał cię zabić.

Widział, jak jej oczy robią się czarne, kiedy strach rozszerzył źrenice. Wypuściła komórkę z ręki.

Komórka upadła, z lekkim stuknięciem uderzając o tory. Jon wpatrywał się w telefon, który nie przestawał dzwonić. Przez moment, nim zorientował się, że to Thea, pomyślał, że to znów dzwoni ten bezdźwięczny głos. Nie odezwała się ani słowem, ale to była kobieta. Tego był pewien. To na pewno ona, Ragnhild. Stop! Co się stało, czyżby postradał zmysły? Skoncentrował się na oddychaniu. Nie wolno mu teraz tracić kontroli. Mocno ścisnął w ręku czarną torbę, kiedy pociąg wsunął się na peron.

Drzwi wagonu westchnęły, Jon wsiadł, wstawił walizkę na stojak bagażowy i znalazł puste miejsce.

Puste miejsce szczerzyło się do niego jak dziura po wybitym zębie. Harry przyjrzał się twarzom po obu jego stronach, lecz były albo za stare, albo za młode, albo nie tej płci. Podbiegł do pierwszego siedzenia w rzędzie dziewiętnastym i kucnął przy starym siwowłosym mężczyźnie.

– Policja. Jesteśmy...

– Co? – spytał mężczyzna głośno, przykładając rękę za uchem.

– Policja – powiedział Harry głośniej. Zauważył, że siedzący kilka rzędów bardziej z przodu człowiek z kabelkiem odchodzącym od ucha, poruszył się i zaczął coś mówić w klapę marynarki.

– Szukamy osoby, która siedziała na środku tego rzędu. Widział pan kogoś, kto wyszedł albo...

– Co?

Starsza pani, najwyraźniej towarzyszka staruszka, wychyliła się:

– Właśnie wyszedł. Wyszedł z sali. W samym środku piosenki. – To ostatnie dodała takim tonem, jakby przypuszczała, że policja szuka winowajcy z tego powodu.

Harry znów pobiegł przejściem na górę, otworzył drzwi, przemknął przez foyer i zbiegł po schodach do holu przed wejściem. Dostrzegł na zewnątrz plecy w mundurze i jeszcze ze schodów zawołał:

– Falkeid!

Sivert Falkeid się odwrócił. Widząc Harry'ego, otworzył drzwi.

– Wychodził tędy przed chwilą mężczyzna?

Falkeid pokręcił głową.

– Stankić tu jest. Ogłoś alarm.

Falkeid kiwnął głową i uniósł połę kurtki. Harry czym prędzej wrócił do foyer, zauważył nieduży czerwony telefon na podłodze i spytał szatniarek, czy nie widziały kogoś wychodzącego z sali. Popatrzyły na siebie i chórem odpowiedziały: „nie". Próbował się

więc dowiedzieć, czy jest jakieś inne wyjście oprócz schodów do holu.

– Tylko wyjście awaryjne – powiedziała jedna.

– Tak, ale ono się tak głośno zamyka, że na pewno byśmy usłyszały – dodała druga.

Harry stanął znów przy drzwiach na salę i zaczął skanować foyer wzrokiem, usiłując wymyślić możliwe drogi ucieczki. Czy Martine powiedziała mu prawdę, czy naprawdę Stankić był tutaj? W tej samej chwili pojął, że tak. Słodkawy zapach, chociaż trudno wyczuwalny, wciąż jeszcze wisiał w powietrzu. Ten mężczyzna, który stanął mu na drodze, kiedy biegł. W tej samej chwili zrozumiał, którędy musiał uciec Stankić.

Kiedy Harry otwierał drzwi do męskiej toalety, uderzyło go w twarz lodowate powietrze lejące się z otwartego okna w głębi pomieszczenia. Podszedł do okna, zerknął na gzyms i na parking.

– Jasna cholera! – Z wściekłością uderzył w parapet.

Z którejś z kabin dobiegł jakiś dźwięk.

– Halo? – powiedział Harry głośno. – Jest tu ktoś?

Jak w odpowiedzi woda w pisuarze spłynęła z pełnym złości szumem.

Znów ten dźwięk. Jakby pisk. Harry omiótł spojrzeniem drzwi do poszczególnych kabin i na jednych zauważył czerwony znaczek: zajęte. Rzucił się na brzuch, zobaczył dwie łydki i stopy w czółenkach.

– Policja! – zawołał. – Jesteś ranna?

Popiskiwanie ustało.

– Czy on sobie poszedł? – spytał drżący kobiecy głos.

– Kto?

– Ten, który mi kazał tu siedzieć przez piętnaście minut.

– Poszedł.

Drzwi do kabiny się uchyliły. Thea Nilsen tkwiła na podłodze, między sedesem a ścianą, ze szminką rozmazaną na twarzy.

– Groził, że mnie zabije, jeśli nie powiem, gdzie jest Jon – wydusiła przez łzy. Jakby chciała się usprawiedliwić.

– I co mu powiedziałaś?

Harry pomógł jej wstać i usiąść na sedesie.

Mrugnęła dwa razy.

– Thea, co mu powiedziałaś?

– Jon przysłał mi SMS. – Wpatrywała się w ścianę kabiny nieobecnym spojrzeniem. – Napisał, że jego ojciec zachorował. Że wylatuje wieczorem do Bangkoku. Pomyśl tylko, że to się musiało stać akurat dziś wieczorem!

– Do Bangkoku? Powiedziałaś o tym Stankiciowi?

– Mieliśmy dziś poznać premiera. – Po policzku Thei stoczyła się łza. – A on nawet nie odebrał, kiedy dzwoniłam. Ten... ten...

– Thea, powiedziałaś mu, że Jon dziś wieczorem wylatuje?

Nieprzytomnie kiwnęła głową, jakby to wszystko ani trochę jej nie dotyczyło.

Harry wyszedł do foyer, gdzie Martine i Rikard rozmawiali z mężczyzną, w którym Harry rozpoznał członka ochrony premiera.

– Możecie odwołać alarm – oznajmił głośno. – Stankicia już tu nie ma.

Wszyscy troje odwrócili się do niego.

– Rikard, siostra cię potrzebuje. Jest tam. Możesz się nią zająć? A ty, Martine, pójdziesz ze mną.

Nie czekając na odpowiedź, złapał ją pod ramię. Musiała biec, żeby dotrzymać mu kroku na schodach prowadzących do wyjścia.

– Dokąd my idziemy? – spytała.

– Na lotnisko.

– Po co ja ci tam jestem potrzebna?

– Będziesz moimi oczami, kochana Martine. Musisz dla mnie wypatrzeć niewidzialnego człowieka.

Obserwował własne rysy twarzy odbitej w szybie pociągu. Czoło, nos, policzki, usta, brodę, oczy. Próbował zobaczyć, co to jest, w czym kryje się tajemnica, ale nad czerwoną apaszką nie mógł dostrzec nic szczególnego. Jedynie twarz bez wyrazu z oczami i włosami, które na tle ścian tunelu między Dworcem Centralnym a Lillestrøm wydawały się równie czarne jak panująca na zewnątrz noc.

33 WTOREK, 22 GRUDNIA. NAJKRÓTSZY DZIEŃ

Dokładnie dwie minuty i trzydzieści osiem sekund zajęło Harry'emu i Martine przebiegnięcie z Sali Koncertowej na stację Teatr Narodowy, gdzie dwie minuty później wsiedli do pociągu InterCity zatrzymującego się na Dworcu Centralnym oraz w Porcie Lotniczym Oslo w drodze do Lillehammer. Wprawdzie pociąg jechał wolniej, lecz i tak mogli być na lotnisku szybciej, niż gdyby czekali na następny bezpośredni skład. Padli na jedyne dwa wolne miejsca w wagonie pełnym żołnierzy jadących do domu na świąteczną przepustkę i grupek studentów w mikołajowych czapkach popijających wino z kartonu.

– Co się dzieje? – spytała Martine.

– Jon ucieka.

– Czy on wie, że Stankić żyje?

– On nie ucieka przed Stankiciem, tylko przed nami. Wie, że został odkryty.

Martine popatrzyła na niego wielkimi oczami.

– Co zostało odkryte?

– Sam nie wiem, od czego zacząć.

Pociąg wjechał na Dworzec Centralny. Harry rozejrzał się po peronie, ale wśród pasażerów nie było Jona Karlsena.

– Zaczęło się od tego, że Ragnhild Gilstrup zaproponowała Jonowi dwa miliony koron za pomoc Gilstrupom w zakupie części nieruchomości będących własnością Armii Zbawienia – opowiadał Harry. – Jon jej odmówił, ponieważ nie wierzył, że jest dostatecznie pozbawiona skrupułów, by utrzymać język za zębami. Za jej plecami rozpoczął bezpośrednie negocjacje z Madsem i Albertem Gilstrupami. Zażądał pięciu milionów koron i postawił warunek, że Ragnhild nigdy się nie dowie o tej umowie. Zaakceptowali to.

– Skąd to wszystko wiesz? – zdumiała się Martine.

– Po śmierci Ragnhild Mads Gilstrup najwyraźniej się załamał. Postanowił wszystko ujawnić. Zadzwonił więc na policję pod ten numer, który miał. Pod numer na wizytówce Halvorsena. Halvorsen nie odbierał, więc Mads zostawił mu wiadomość na sekretarce. Kilka godzin temu ją odsłuchałem. Gilstrup powiedział między innymi, że Jon zażądał pisemnej umowy.

– Jon lubi porządek – stwierdziła cicho Martine.

Pociąg ruszył z dworca. Minął Willę Valle, niegdyś dom naczelnika stacji, i zanurzył się w szary pejzaż wschodnich dzielnic, w podwórza z zardzewiałymi rowerami, nagimi sznurami do suszenia bielizny i przyprószonymi sadzą oknami.

– Jaki to ma związek ze Stankiciem? – spytała Martine. – Kto go wynajął? Mads Gilstrup?

– Nie.

Wessała ich czarna nicość tunelu. W ciemności głos Martine ledwie wzbijał się ponad turkot pociągu.

– Czy zrobił to Rikard? Powiedz, że to nie Rikard...

– Dlaczego sądzisz, że to mógł być Rikard?

– Tamtej nocy, kiedy Jon mnie zgwałcił, to Rikard znalazł mnie w wygódce. Powiedziałam, że potknęłam się po ciemku, ale wiedziałam, że mi nie uwierzył. Pomógł mi wrócić po cichu do łóżka, i chociaż nigdy więcej o tym nie wspomniał, to zawsze miałam wrażenie, że zobaczył Jona i pojął, co się stało.

– Mhm – mruknął Harry. – Więc dlatego tak zawzięcie cię chroni. Wygląda na to, że Rikard szczerze cię kocha.

Kiwnęła głową.

– Pewnie dlatego ja... – zaczęła, ale urwała.

– Tak?

– Pewnie dlatego tak bym chciała, żeby to nie był on.

– To nie on. – Harry spojrzał na zegarek. Jeszcze piętnaście minut, zanim będą na miejscu. Martine popatrzyła na niego zdezorientowana.

– Ty... ty chyba nie chcesz powiedzieć, że...

– Że co?

– Że ojciec coś wiedział o tym gwałcie. Że on...

– Nie. Twój ojciec nie ma z tym nic wspólnego. Człowiekiem, który zlecił zabójstwo Jona Karlsena...

Nagle wyjechali z tunelu i czarne usiane gwiazdami niebo zawisło nad białymi fosforyzującymi polami.

– ...był sam Jon Karlsen.

Kobieta w mundurze SAS-u podała Jonowi bilet z uśmiechem białym od wybielacza zębów i wcisnęła guzik, który miała przed sobą. Rozległ się dzwonek i do okienka podszedł następny klient, wymachując numerkiem jak maczetą.

Jon odwrócił się i spojrzał na ogromną halę odlotów. Był tu już wcześniej, ale nigdy nie widział tylu ludzi co teraz. Hałas rozmów, kroków i komunikatów wznosił się pod sklepienie wysokie jak

w kościele. Pełna napięcia i wyczekiwania kakofonia, mieszanina języków i urywków niezrozumiałych słów. Do domu na święta. Z domu na święta. Znieruchomiałe kolejki do stanowisk odprawy wiły się między przegradzającymi taśmami jak boa dusiciele.

Oddychaj, tłumaczył sobie. Masz czas. Oni nic nie wiedzą. Na razie jeszcze nie. Może się nigdy nie dowiedzą. Stanął za jakąś starszą panią, nachylił się i pomógł jej przesunąć walizkę, gdy kolejka poruszyła się o dwadzieścia centymetrów. Gdy odwróciła się z wdzięcznością i uśmiechnęła, zobaczył, że jej skóra jest tylko śmiertelnie bladą cienką serwetką naciągniętą na trupią czaszkę.

Odpowiedział uśmiechem. Ale mimo hałasu żywych ludzi on przez cały czas słyszał jej krzyk. Nieznośny, niekończący się krzyk, który usiłował zagłuszyć ryk elektrycznego silnika. Kiedy trafił do szpitala i dowiedział się, że policja przeszukuje jego mieszkanie, uświadomił sobie, że mogą znaleźć umowę z Gilstrup Invest w jego sekretarzyku. Tę, w której zapisano, że Jon Karlsen otrzyma pięć milionów koron, jeśli Rada Kierownicza zaakceptuje ofertę. Umowę podpisaną przez Alberta i Madsa Gilstrupów. Kiedy więc policja zawiozła go do mieszkania Roberta, pojechał stamtąd na Gøteborggata po umowę. Ale gdy tam dotarł, okazało się, że ktoś już tam jest. Ragnhild. Nie usłyszała go z powodu włączonego odkurzacza. Siedziała nad umową. Zobaczyła to. Zobaczyła jego grzechy, tak jak matka dostrzegła plamy spermy na pościeli. I tak jak matka, Ragnhild mogła go upokorzyć. Zniszczyć. Opowiedzieć o tym wszystkim. Opowiedzieć ojcu. Nie mogła tego zobaczyć. Zabrałem jej oczy, pomyślał. Ale ona wciąż krzyczy.

– Żebracy nie odrzucają jałmużny – powiedział Harry. – To tkwi w naturze sprawy. Uderzyło mnie to w Zagrzebiu. I to dosłownie. W postaci norweskiej monety dwudziestokoronowej, którą we mnie rzucono. Kiedy zobaczyłem, jak wiruje na podłodze,

przypomniało mi się, że technicy dzień wcześniej znaleźli chorwacką monetę wbitą w śnieg przed sklepem na rogu Gøteborggata. Automatycznie powiązali ją ze Stankiciem, który tamtędy uciekał, podczas gdy Halvorsen wykrwawiał się kawałek dalej na ulicy. Jestem z natury niedowiarkiem, ale kiedy zobaczyłem tę wirującą monetę w Zagrzebiu, odniosłem wrażenie, że jakaś wyższa moc chce mi coś wskazać. Kiedy pierwszy raz spotkałem Jona, żebrak rzucił w niego monetą. Pamiętam, zdumiałem się wtedy, że żebrak w ogóle może odmówić jałmużny. Wczoraj odnalazłem go w Bibliotece Deichmana i pokazałem mu monetę znalezioną przez techników. Potwierdził, że cisnął w Jona jakimś zagranicznym pieniążkiem, możliwe, że wręcz tym samym. I prawdopodobnie tak właśnie było.

– Może Jon był kiedyś w Chorwacji. To chyba nie jest zabronione?

– Oczywiście. Ale mnie powiedział, że nigdy w życiu nie był nigdzie za granicą z wyjątkiem Danii i Szwecji. Skontaktowałem się z urzędem paszportowym i okazało się, że nigdy nie wystawiano paszportu na nazwisko Jona Karlsena, natomiast Robert Karlsen miał paszport wydany przed dziesięcioma laty.

– Może Jon dostał tę monetę od Roberta?

– Masz rację – przyznał Harry. – Ta moneta niczego nie dowodzi. Ale sprawia, że otępiałe mózgi, takie jak mój, zaczynają się zastanawiać. A jeśli Robert nigdy nie był w Zagrzebiu? Jeśli to Jon tam był? Jon miał klucze do wszystkich mieszkań wynajmowanych przez Armię Zbawienia, również do mieszkania Roberta. A jeśli to on po kryjomu wziął paszport Roberta, wyjechał do Zagrzebia, posługując się nazwiskiem brata, i jako Robert Karlsen zlecił zabójstwo Jona Karlsena, przez cały czas planując, że to Robert ma zginąć?

Martine w zamyśleniu gryzła paznokieć.

– Jeśli Jon chciał uśmiercić Roberta, to dlaczego zlecił zabójstwo samego siebie?

– Żeby zdobyć idealne alibi. Nawet gdyby Stankić został złapany i przyznał się, Jona nikt nie mógł podejrzewać. To przecież on miał być w zamierzeniu ofiarą. To, że akurat tego dnia zamienił się z Robertem na dyżur, wyglądałoby na zrządzenie losu. Stankić wykonywał jedynie otrzymane instrukcje. A gdyby Stankić i Zagrzeb później odkryli, że zabili własnego zleceniodawcę, nie mieliby żadnego powodu, by mimo wszystko wykonać zlecenie, zabijając Jona. Nikt przecież nie zapłaciłby rachunku. Ten plan rzeczywiście miał cechy geniuszu. Jon mógł obiecać Zagrzebiowi tyle pieniędzy, ile tylko by zażądali, bo przecież miało nie być adresata, któremu można by było wystawić rachunek. Ani też jedynej osoby, która mogłaby dowieść, że to nie Robert Karlsen był tego dnia w Zagrzebiu, i która mogłaby przedstawić alibi na czas zlecenia zabójstwa: Roberta Karlsena. Ten plan był niczym logicznie zamknięty krąg, iluzja węża, który zjada własny ogon, samoniszcząca się konstrukcja, której wszystkie elementy znikną, nie pozostawiając żadnych luźnych nitek.

– Jon lubi porządek – powtórzyła Martine.

Dwóch studentów zaintonowało biesiadną pieśń, próbując śpiewać ją na dwa głosy przy akompaniamencie głośnego chrapania jednego z rekrutów.

– Ale dlaczego? – spytała dziewczyna. – Dlaczego on musiał zabić Roberta?

– Ponieważ Robert stanowił zagrożenie. Według sierżant major Rue Robert miał grozić Jonowi, „że go zniszczy”, jeśli ten znów zbliży się do jakiejś kobiety. W pierwszej chwili pomyślałem, że rozmawiali o Thei, ale ty miałaś rację, Robert nie żywił dla Thei

żadnych gorętszych uczuć. To Jon twierdził, że Robert chorobliwie interesował się Theą, bo chciał to w przyszłości wykorzystać jako motyw, który popchnął Roberta do zabójstwa Jona. Ale groźba wypowiedziana przez Roberta miała związek z Sofią Miholjec, piętnastoletnią Chorwatką, która właśnie mi opowiedziała o tym, jak Jon regularnie zmuszał ją do współżycia pod groźbą wyrzucenia całej jej rodziny z mieszkania Armii Zbawienia i z kraju, gdyby mu się sprzeciwiła lub komuś o tym opowiedziała. Ale kiedy Sofia zaszła w ciążę, zwierzyła się Robertowi. Pomógł jej, a poza tym obiecał, że powstrzyma Jona. Niestety, Robert nie poszedł prosto na policję ani do dowództwa Armii Zbawienia. Uznał to zapewne za sprawę rodzinną i postanowił załatwić ją sam. Z tego, co zrozumiałem, macie w Armii Zbawienia taką właśnie tradycję.

Martine wpatrywała się w pokryte śniegiem, blade wśród nocy pola, które przesuwały się za szybą jak fale.

– A więc taki był plan – powiedziała. – A co zawiodło?

– To, co zawsze zawodzi – odparł Harry. – Pogoda.

– Pogoda?

– Gdyby lotu do Zagrzebia nie odwołano z powodu opadów śniegu tamtego wieczoru, Stankić wróciłby do domu, stwierdził, że w wyniku nieszczęśliwego zbiegu okoliczności uśmiercił zleceniodawcę, i na tym historia by się zakończyła. On jednak musiał zostać w Oslo jeszcze na jedną noc i zorientował się, że zabił niewłaściwą osobę. Ale on nie wie, że Robert Karlsen to również nazwisko, które podano im jako nazwisko zleceniodawcy, więc kontynuuje swoje polowanie na człowieka.

Nadany przez głośnik komunikat zapowiedział stację Port Lotniczy Oslo, Gardermoen, wyjście na prawą stronę.

– A ty chcesz teraz złapać Stankicia.

– To moja praca.

– Zamierzasz go zabić?

Harry spojrzał na nią.

– Przecież on zabił twojego kolegę – dodała Martine.

– Tak ci powiedział?

– Uprzedziłam go, że nie chcę wiedzieć o niczym, więc nic nie mówił.

– Jestem policjantem, Martine. My aresztujemy ludzi, a skazuje ich sąd.

– Tak? To dlaczego nie ogłosiłeś alarmu? Dlaczego nie zadzwoniłeś do policji na lotnisku? Dlaczego żaden radiowóz na syrenach tam nie pędzi? Dlaczego jesteś sam?

Harry nie odpowiedział.

– Nikt inny nie wie nawet tego, co mi teraz opowiedziałeś, prawda?

Harry zobaczył, że za szybą pociągu pojawiają się gładkie i szare niczym wzór nowoczesności cementowe płaszczyzny lotniska.

– Nasz przystanek – oznajmił.

34 WTOREK, 22 GRUDNIA. UKRZYŻOWANIE

Od stanowiska odprawy dzieliła Jona już tylko jedna osoba, kiedy poczuł słodkawy zapach mydła, który niejasno mu o czymś przypomniał. O czymś, co wydarzyło się całkiem niedawno. Zamknął oczy, próbując sobie uzmysłowić, co to mogło być.

– Następny, proszę.

Jon przesunął się do przodu, walizkę i plecak postawił na taśmie, a bilet z paszportem położył na kontuarze przed opalonym mężczyzną w białej koszuli linii lotniczych.

– Robert Karlsen – powiedział mężczyzna, zerkając na Jona, który potwierdził skinieniem głowy. – Dwie sztuki bagażu. A to

podręczny? – Wskazał na czarną torbę.

– Tak.

Mężczyzna kartkował coś i wstukiwał, wreszcie parskająca drukarka wypluła paski z informacją, że bagaż leci do Bangkoku. Właśnie wtedy Jon przypomniał sobie, skąd zna ten zapach. Z tej jednej sekundy w drzwiach mieszkania, z ostatniej sekundy, w której czuł się bezpiecznie. Mężczyzna pod drzwiami powiedział po angielsku, że ma dla niego wiadomość, a potem podniósł czarny pistolet. Jon zmusił się, by się nie obejrzeć.

– Przyjemnej podróży, panie Karlsen – pracownik lotniska z ultraszybkim uśmiechem wręczył mu bilet i paszport.

Jon natychmiast ruszył ku kolejkom do urządzeń prześwietlających bagaż. Gdy wsuwał bilet do kieszeni, prędko zerknął przez ramię.

Patrzył wprost na niego. Przez jeden szalony moment zastanawiał się, czy nie został rozpoznany, ale spojrzenie Jona powędrowało dalej. Zaniepokoiła go jednak przestraszona mina Karlsena.

Odrobinę się spóźnił na to, żeby złapać Jona Karlsena przy stanowisku odprawy. A teraz trzeba się było spieszyć, bo obiekt już stanął w kolejce do kontroli bezpieczeństwa, gdzie prześwietlano wszystko i wszystkich, więc rewolwer skazany był na wykrycie. To się musiało stać po tej stronie.

Złapał oddech, napiął i zwolnił uścisk na rękojeści broni pod płaszczem. Miał wielką ochotę strzelić do obiektu na miejscu, jak to miał w zwyczaju, lecz chociaż mógłby skryć się w tłumie, to z pewnością zamknięto by lotnisko i sprawdzano tożsamość wszystkich pasażerów, a on straciłby nie tylko samolot do Kopenhagi odlatujący za czterdzieści pięć minut, lecz również wolność na następnych dwadzieścia lat.

Ruszył ku plecom Jona Karlsena. To powinno stać się szybko i zdecydowanie. Musiał do niego podejść, mocno przycisnąć mu rewolwer do żeber i przedstawić swoje ultimatum w krótki, łatwo zrozumiały sposób. Następnie spokojnie przeprowadzić go przez zatłoczoną halę odlotów na parking, gdzieś za samochód, strzał w głowę, zwłoki pod auto, pozbyć się rewolweru przed kontrolą bezpieczeństwa, wyjście trzydzieści dwa, samolot do Kopenhagi.

Już wyciągał rewolwer, a od Jona Karlsena dzieliły go zaledwie dwa kroki, gdy ten nagle wyszedł z kolejki i szybkim krokiem ruszył w przeciwny koniec hali odlotów. *Do vraga!*

Obrócił się i poszedł za nim, zmuszając się, żeby nie biec. Przecież on cię nie widział, powtarzał sobie.

Jon tłumaczył sobie, że nie wolno mu biec, bo w ten sposób ujawni, że zrozumiał, iż został odkryty. Nie poznał twarzy, ale wcale nie musiał. Ten człowiek nosił czerwoną apaszkę. Na schodach prowadzących do hali przylotów Jon poczuł, że oblewa go pot. Kiedy znalazł się na dole, skręcił w przeciwną stronę. Gdy nie był już widoczny dla ludzi na schodach, złapał torbę pod ramię i puścił się biegiem. Twarze migały mu przed oczami. Miały puste oczodoły Ragnhild i zanosiły się nieprzerwanym krzykiem. Zbiegł po jeszcze jednych schodach i nagle wokół niego nie było już żadnych ludzi, jedynie wilgotne zimne powietrze i echo jego własnych kroków. I oddech w szerokim korytarzu schodzącym w dół. Zrozumiał, że znalazł się w przejściu na parking. Przez chwilę się zawahał. Zapatrzył się w czarne oko kamery monitoringu, jakby mogła dać mu odpowiedź. Kawałek dalej przed sobą dostrzegł nad drzwiami podświetloną tabliczkę, na której widniał jakby jego obraz: postać zagubionego mężczyzny. Męska toaleta. Kryjówka. Możliwość zniknięcia z oczu. Mógł się tam zamknąć, zaczekać i wyjść dopiero przed samym odlotem.

Usłyszał echo zbliżających się szybkich kroków. Podbiegł do toalety, otworzył drzwi i wszedł do środka. Wnętrze zalało go białym światłem, tak jak wyobrażał sobie niebo ukazujące się umierającemu. Zważywszy na położenie toalety, kompletnie na uboczu, była bezsensownie duża. Puste rzędy białych pisuarów czekały wzdłuż jednej ściany, wzdłuż drugiej – tak samo białe kabiny. Usłyszał, że drzwi się za nim zamykają z cichym metalicznym kliknięciem.

Powietrze w ciasnej dyżurce ochrony dworca lotniczego było nieprzyjemnie ciepłe i suche.

– Tam – powiedziała Martine, pokazując palcem.

Harry i dwaj ochroniarze obrócili się na krzesłach najpierw do niej, dopiero potem do wskazywanej przez nią ściany z monitorami.

– Na którym? – spytał Harry.

– Tutaj. – Martine podeszła bliżej monitora, pokazującego pusty korytarz. – Widziałam, jak tędy przechodził, jestem pewna, że to on.

– To kamera na dole w przejściu na parking – stwierdził strażnik z Securitas.

– Dziękuję, dalej zajmę się tym sam.

– Chwileczkę – zaprotestował strażnik. – To międzynarodowe lotnisko i chociaż masz identyfikator policyjny, to musisz mieć też autoryzację... – urwał gwałtownie, bo Harry zza paska spodni wyszarpnął rewolwer, ważąc go w dłoni.

– Powiedzmy, że to na razie wystarczy, dobrze?

Nie czekał na odpowiedź.

Jon usłyszał, że ktoś wchodzi do toalety. Ale teraz docierał do niego jedynie szum wody w białych miskach w kształcie łzy na zewnątrz kabiny, w której się zamknął.

Siedział na zamkniętej klapie sedesu. Kabiny były otwarte od góry, ale drzwi sięgały do samej podłogi, nie musiał więc podciągać nóg.

Wreszcie szum zagłuszył plusk.

Ktoś sikał.

W pierwszej chwili Jon pomyślał, że to nie może być Stankić, bo nikt nie ma do tego stopnia zimnej krwi, by myśleć o oddawaniu moczu tuż przed zabójstwem. Moment później dotarło do niego, że ojciec Sofii mógł mówić prawdę, opowiadając o Małym Wybawicielu, którego wynajmowało się za grosze w hotelu International w Zagrzebiu i o tym, że ten człowiek nie zna lęku.

Jon całkiem wyraźnie usłyszał chrzęst zapinanego rozporka, a potem znów rozległa się wodna muzyka białej porcelanowej orkiestry.

Urwała się, jak na rozkaz batuty. Zastąpił ją dźwięk wody lejącej się z kranu. Ktoś mył ręce. Starannie. W końcu wodę zakręcono. I znów kroki. Lekko zatrzeszczały drzwi. Coś kliknęło metalicznie.

Jon skulił się na sedesie, ściskając torbę na kolanach.

Stukanie do drzwi kabiny.

Trzy lekkie stuknięcia, ale z pogłosem czegoś twardego. Jakby stali.

Krew nagle odmówiła Jonowi wpłynięcia do mózgu. Nie ruszył się, zamknął tylko oczy i wstrzymał oddech. Ale serce mu biło. Wyczytał gdzieś, że są drapieżniki obdarzone zdolnością słyszenia bicia serca wystraszonej ofiary, że właśnie w taki sposób ją znajdują. Oprócz bicia serca cisza była totalna. Zacisnął oczy i pomyślał, że jeśli tylko zdoła się odpowiednio skoncentrować, będzie mógł przez sufit zobaczyć zimowe pogodne niebo, usiane

gwiazdami. Dostrzec niewidzialny, lecz dający poczucie bezpieczeństwa plan i logikę planety. Dostrzec sens wszystkiego.

Rozległ się nieunikniony huk.

Jon poczuł podmuch powietrza na twarzy i pomyślał, że wywołał go strzał. Ostrożnie otworzył oczy. Tam, gdzie przedtem był zamek, teraz sterczały drzazgi, a drzwi wisiały krzywo.

Stojący przed nim mężczyzna rozpiął płaszcz. Pod spodem miał czarny smoking i koszulę równie olśniewająco białą jak ściany za nim. Na szyi nosił czerwoną apaszkę.

Ubrał się odświętnie, pomyślał Jon.

Wciągnął zapach moczu i wolności, patrząc na skuloną postać przed sobą. Na wyrośniętego, śmiertelnie przerażonego chłopca, który trząsł się, czekając na śmierć. W innych okolicznościach zadałby sobie pytanie, co mógł zrobić ten chłopak o zamglonym niebieskim spojrzeniu. Ale wyjątkowo wiedział. I po raz pierwszy od czasu ojca Giorgiego podczas świątecznego obiadu w Dalju miało mu to sprawić osobistą satysfakcję. Już się nie bał.

Nie opuszczając rewolweru, szybko spojrzał na zegarek. Trzydzieści pięć minut do odlotu. Zauważył kamerę na zewnątrz, co oznaczało, że prawdopodobnie również na parkingu są kamery. Trzeba to zrobić tu, w toalecie. Zaciągnąć go do sąsiedniej kabiny, zastrzelić, zamknąć kabinę od środka i samemu wyjść. Nie znajdą Jona Karlsena, dopóki nie będą zamykać lotniska na noc.

– *Get out!*

Jon Karlsen wyglądał tak, jakby był w transie, nawet nie drgnął. Odbezpieczył więc rewolwer i wycelował. Jon Karlsen wolno wyszedł z kabiny. Zatrzymał się. Otworzył usta.

– Policja! Rzuć broń!

Harry trzymał rewolwer obiema rękami, wycelowany w plecy mężczyzny w czerwonej jedwabnej apaszce, gdy usłyszał, że drzwi za nim zamykają się z metalicznym kliknięciem.

Stankić, zamiast odłożyć broń, wciąż celował w głowę Jona Karlsena. Z angielską wymową, którą Harry doskonale rozpoznawał, powiedział:

– *Hello, Harry!* Masz dobrą linię strzału?

– Idealną. Prosto w tył twojej głowy.

– Skąd mogę wiedzieć, że trzymasz broń, Harry? Przecież mam twój rewolwer.

– Mam ten, który należał do kolegi. – Harry zobaczył, że palec sam zgina mu się na spuście. – Do Jacka Halvorsena. Tego, którego zakłułeś nożem na Gøteborggata.

Harry zobaczył, że stojący przed nim mężczyzna sztywnieje.

– Do Jacka Halvorsena – powtórzył Stankić. – A co cię przekonuje, że to ja?

– Twoje DNA w wymiocinach. Twoja krew na jego płaszczu. I świadek, który stoi przed tobą.

Stankić powoli kiwnął głową.

– Rozumiem. Zabiłem twojego kolegę. Ale jeśli w to wierzysz, to dlaczego jeszcze mnie nie zastrzeliłeś?

– Ponieważ między tobą a mną jest różnica – powiedział Harry. – Ja nie jestem mordercą, tylko policjantem. Więc jeśli teraz rzucisz broń, to odbiorę ci tylko połowę życia. Mniej więcej dwadzieścia lat. Decyzja należy do ciebie, Stankić.

Harry'ego już zaczęły boleć mięśnie ramion.

– *Tell him!*

Harry zrozumiał, że Stankić krzyknął to do Jona dopiero wtedy, gdy Jon zdawał się budzić.

– *Tell him!*

Jabłko Adama w szyi Jona poruszało się jak spławik. W końcu pokręcił głową.

– Jon – odezwał się Harry.

– Ja nie mogę...

– On cię zastrzeli, Jon. Mów!

– Nie wiem, co chcecie, żebym...

– Posłuchaj, Jon! – Harry nie odrywał oczu od Stankicia. – Nic, co powiesz z pistoletem przyłożonym do głowy, nie może zostać użyte przeciwko tobie podczas procesu, rozumiesz? Akurat w tej chwili nie masz nic do stracenia.

Szczęk napinanej sprężyny rewolweru odbił się nienaturalnie ostrym, głuchym echem od twardej, gładkiej powierzchni w toalecie.

– Przestań! – Jon zasłonił się rękami. – Powiem wszystko.

Ponad ramieniem Stankicia napotkał spojrzenie policjanta i zorientował się, że on już wie. Może wiedział od dawna. Ale rzeczywiście nie miał nic do stracenia. Nic z tego, co powie, nie mogło zostać wykorzystane przeciwko niemu, a najdziwniejsze, że chciał mówić. Właściwie niczego bardziej nie pragnął.

– Staliśmy koło samochodu i czekaliśmy na Theę – zaczął Jon. – Halvorsen odsłuchał wiadomość zostawioną na sekretarce. Usłyszałem, że to Mads, i zrozumiałem, że zostanę odkryty, kiedy policjant powiedział, że to przyznanie się do winy i zaraz zadzwoni do ciebie. Miałem składany nóż Roberta i zareagowałem instynktownie.

Przypomniał sobie, jak próbował unieruchomić ręce policjanta z tyłu, ale tamtemu udało się wyrwać jedną rękę i zasłonić nią szyję przed nożem. Jon tę rękę ciął i ciął, nie dochodząc do tętnicy, z wściekłością szarpiąc policjantem jak szmacianą lalką. Nie przestawał zadawać mu ciosów, aż wreszcie nóż ześlizgnął się

na pierś, z ciała policjanta wydobyło się jakby westchnienie i zrobił się bezwładny. Jon podniósł z ziemi jego telefon komórkowy i schował do kieszeni. Chciał jeszcze zadać mu cios łaski.

– Ale Stankić ci przeszkodził? – spytał Harry.

Jon już podnosił nóż, żeby poderżnąć gardło nieprzytomnemu policjantowi, gdy usłyszał wołanie w jakimś obcym języku, podniósł wzrok i zobaczył biegnącego w ich stronę mężczyznę w niebieskiej kurtce.

– Trzymał pistolet, więc musiałem uciekać. – Jon czuł, jak wyznanie go oczyszcza, uwalnia od ciężaru. Zobaczył, że Harry kiwa głową. Widział, że ten wysoki, jasnowłosy mężczyzna rozumie. I że wybacza. Jon tak się wzruszył, że w gardle go ścisnęło i ledwie mógł mówić:

– Strzelił do mnie, kiedy wbiegałem na klatkę. O mały włos nie trafił. On chciał mnie zabić! To morderca, szaleniec! Zastrzel go, Harry! Musimy go złapać. Ty i ja. My...

Zobaczył, że policjant wolnym ruchem opuszcza rewolwer i wsuwa go za pasek.

– Co... co ty robisz, Harry?

Wysoki komisarz zapiął płaszcz.

– Idę na urlop świąteczny, Jon. To tyle.

– Harry? Zaczekaj...

Świadomość tego, co się dzieje, w ciągu kilku sekund wyssała Jonowi całą wilgoć z gardła i ust. Wyschnięte śluzówki ledwie pozwalały wypowiadać słowa.

– Możemy się podzielić tymi pieniędzmi, Harry. Posłuchaj, starczy dla trzech. Nikt nie musi o niczym wiedzieć.

Ale Harry już się odwrócił i odezwał do Stankicia po angielsku:

– W tej torbie znajdziesz chyba dość pieniędzy na to, żeby więcej osób z hotelu International mogło się pobudować w Vukovarze.

A twoja matka zapewne odda część apostołowi z katedry Świętego Stefana.

– Harry! – Krzyk Jona brzmiał ochryple jak rzężenie. – Każdy człowiek zasługuje na nową szansę!

Policjant zatrzymał się z ręką na klamce.

– Spójrz w głąb swego serca, Harry. Musisz w nim znaleźć wybaczenie!

– Problem w tym... – Harry potarł brodę. – ...że ja nie robię w branży wybaczania.

– Co? – zdumiał się Jon.

– Zbawienie, Jon. Ja też się tym zajmuję. Zbawianiem.

Kiedy Jon usłyszał metaliczne kliknięcie drzwi zamykających się za Harrym i zobaczył, że odświętnie ubrany mężczyzna unosi rewolwer, spojrzał wprost w czarny oczodół lufy. Strach zmienił się w fizyczny ból i nie wiedział już, czyje są te krzyki. Czy to krzyczy Ragnhild, on sam, czy ktoś inny? Ale zanim kula roztrzaskała mu czoło, zdążył jeszcze uświadomić sobie jedną prawdę, która przebiła się przez lata wątpliwości, wstydu i rozpaczliwych modlitw: że ani krzyków, ani modlitw nikt nie słyszy.

Część piąta

EPILOG

35 WINA

Harry wyszedł ze stacji kolejki podziemnej na Egertorget. Był wieczór przed Wigilią. Ludzie pędzili, polując na ostatnie prezenty, a jednak spokój świąt już zdawał się spływać na miasto. Widać to było po twarzach przechodniów, którzy uśmiechali się z zadowoleniem, ponieważ świąteczne przygotowania dobiegły końca, lub ze zmęczoną rezygnacją. Jakiś człowiek w puchowym kombinezonie, kołysząc się na nogach jak astronauta, przeszedł wolno, wydmuchując z okrągłych czerwonych policzków kłęby pary. Ale Harry dostrzegł jedną zdesperowaną twarz. Blada kobieta w cienkiej czarnej skórzanej kurtce z dziurą na łokciu przestępowała z nogi na nogę przy ścianie zakładu zegarmistrza.

Młody człowiek za kontuarem rozjaśnił się na widok Harry'ego. Szybko skończył obsługiwać poprzedniego klienta i zniknął na zapleczu. Wrócił stamtąd z zegarkiem dziadka i z dumą położył na ladzie.

– Chodzi – powiedział Harry z podziwem.

– Wszystko da się naprawić – odparł młody zegarmistrz. – Niech pan tylko uważa, żeby nie nakręcać go mocniej, niż trzeba, bo to niszczy mechanizm. Proszę spróbować, ja pokażę.

Przy nakręcaniu zegarka Harry czuł szorstkie tarcie metalu i opór sprężyny. Nagle jednak zorientował się, że sprzedawca wlepia w niego wzrok.

– Przepraszam. Czy mogę spytać, skąd ma pan ten zegarek?

– Dostałem od dziadka – odpowiedział Harry, zdumiony nagłym nabożeństwem w głosie zegarmistrza.

– Nie ten. Ten! – Zegarmistrz wskazał na rękę Harry'ego.

– Prezent od mojego byłego szefa, kiedy odchodził z pracy.

– To dopiero! – Zegarmistrz nachylił się nad lewym nadgarstkiem Harry'ego, uważnie przyglądając zegarkowi. – Bez wątpienia prawdziwy. Bardzo wyjątkowy prezent.

– Tak? A co w nim szczególnego?

Zegarmistrz spojrzał na niego z niedowierzaniem.

– Nie wie pan?

Harry pokręcił głową.

– To jest lange 1 tourbillon firmy A. Lange&Söhne. Pod spodem jest numer seryjny, który mówi, ile egzemplarzy takich zegarków wyprodukowano. Jeśli dobrze pamiętam, sto pięćdziesiąt. Nosi pan na ręku najwspanialszy werk, jaki kiedykolwiek wytworzyły ludzkie ręce. Pytanie, czy warto go nosić. Przy cenie rynkowej tych zegarków powinien raczej leżeć w sejfie bankowym.

– W sejfie? – Harry spojrzał na anonimowo wyglądający zegarek, który kilka dni wcześniej wyrzucił przez okno sypialni. – Wcale nie wygląda na ekskluzywny.

– I właśnie o to chodzi. W komplecie miał zwykły czarny skórzany pasek, szarą tarczę, nie ma w nim ani jednego diamentu, ani grama złota. Ale to, co wygląda na zwykłą stal, to platyna. Prawdziwa wartość tkwi jednak w tym, że to rękodzieło inżynierii podniesione do rangi sztuki.

– Aha. Jak pan sądzi, ile może być wart?

– Nie wiem. Ale w domu mam katalogi z cenami aukcyjnymi rzadkich zegarków. Mogę je jutro przynieść.

– Proszę rzucić jakąś sumę, tak na oko.

– Na oko?

– Żebym miał jakieś pojęcie.

Młody człowiek wysunął dolną wargę i zaczął kołysać głową z boku na bok. Harry czekał.

– W każdym razie nie sprzedałbym go za mniej niż za czterysta tysięcy.

– Czterysta tysięcy koron? – zawołał Harry.

– Nie, nie. Czterysta tysięcy dolarów.

Kiedy Harry znów znalazł się przed zakładem, nie czuł już zimna. Ani tej senności, która wciąż tkwiła w ciele nawet po dwunastu godzinach głębokiego snu. I nie zauważył kobiety z zapadniętymi oczami o spojrzeniu narkomanki, tej w cienkiej skórzanej kurtce. Zwrócił na nią uwagę, dopiero gdy do niego podeszła i spytała, czy Harry nie jest tym policjantem, z którym rozmawiała kilka dni wcześniej, i czy nie wie nic o jej synu, bo od czterech dni nikt go nie widział.

– Gdzie go widziano ostatnio? – spytał odruchowo.

– A jak myślisz? Na Plata, oczywiście.

– Jak się nazywa?

– Kristoffer. Kristoffer Jørgensen. Halo? Słyszysz mnie?

– Co?

– Wyglądasz, jakbyś odjeżdżał, człowieku.

– Przepraszam. Przynieś jego zdjęcie do Budynku Policji i zgłoś się z nim na pierwsze piętro.

– Zdjęcie? – zaśmiała się chrapliwie. – Mam jego zdjęcie, kiedy miał siedem lat. Myślisz, że to wystarczy?

– Nowszego nie masz?

– A kto by miał je zrobić?

Harry zastał Martine w Latarni Morskiej. Kawiarnia była zamknięta, ale recepcjonista ze Schroniska wpuścił Harry'ego od zaplecza.

Stała sama w pralni przy magazynie z odzieżą i odwrócona plecami opróżniała pralkę. Chrząknął cicho, żeby jej nie przestraszyć.

Obserwował jej łopatki i mięśnie karku, gdy odwracała głowę, i zastanawiał się, skąd w niej ta miękkość. I czy zawsze będzie ją miała. Martine się wyprostowała, przekrzywiła głowę, odgarnęła z twarzy kosmyk włosów i uśmiechnęła się.

– Cześć, Harry.

Stała w odległości zaledwie jednego kroku od niego z rękami spuszczonymi wzdłuż boków. Uważnie się jej przyjrzał. Patrzył na zimowobladą skórę, z której mimo wszystko bił dziwny blask. Na wrażliwe rozszerzone nozdrza, na dziwne oczy z przelewającymi się źrenicami, przywodzącymi na myśl częściowe zaćmienie księżyca. I na wargi, które podświadomie wciągnęła, żeby zwilżyć, a potem złączyła. Miękkie i wilgotne, jakby sama się ze sobą całowała. Gdzieś w tle warczała suszarka.

Byli sami. Martine odetchnęła głęboko, lekko odsuwając głowę w tył. Dzielił ich tylko krok.

– Cześć – powiedział Harry i nie ruszył się z miejsca.

Martine dwa razy zamrugała. Potem uśmiechnęła się przelotnie, nieco zdezorientowana, odwróciła się do blatu i zaczęła składać ubrania.

– Niedługo skończę, zaczekasz?

– Muszę się uporać z raportami, zanim ferie na dobre się rozpoczną.

– Organizujemy tu jutro świąteczny obiad. – Lekko się do niego odwróciła. – Miałbyś ochotę przyjść i pomóc?

Pokręcił głową.

– Inne plany?

„Aftenposten” leżała otwarta obok niej, na blacie. Gazeta poświęciła całą stronę oficerowi Armii Zbawienia, którego wczoraj wieczorem znaleziono w toalecie na lotnisku. Cytowano nadkomisarza policji Gunnara Hagena, który oświadczył, że nie wiedzą nic o sprawcy ani motywie tej zbrodni, ale uważają, że sprawa może mieć związek z zabójstwem na Egertorget w ubiegłym tygodniu.

Ponieważ obaj zabici byli braćmi, a podejrzenia policji kierowały się przede wszystkim ku niezidentyfikowanemu Chorwatowi, dzisiejsze gazety zaczęły już spekulować, czy tłem obu zabójstw mogła być kłótnia rodzinna. „VG” przypominała, że rodzina Karlsenów dawniej spędzała wakacje w Chorwacji, a znając chorwackie tradycje krwawej zemsty, takie wyjaśnienie sprawy nie było wykluczone. Wstępniak w „Dagbladet” ostrzegał przed uprzedzeniami i przed wrzucaniem Chorwatów do jednego worka z przestępczymi elementami wśród Serbów i kosowskich Albańczyków.

– Jestem zaproszony do Rakel i Olega – wyjaśnił. – Właśnie u nich byłem. Zaniosłem Olegowi prezent, spytali, czy przyjdę.

– Oni?

– Ona.

Martine dalej składała pranie, kiwając głową, jak gdyby Harry powiedział coś, co musiała starannie przemyśleć.

– Czy to znaczy, że wy...

– Nie – odparł Harry. – Nie znaczy.

– Czy ona ciągle jest z tym drugim? Z tym lekarzem?

– Z tego, co wiem, tak.

– Nie spytałeś? – Wychwycił w jej głosie urażoną złość.

– To nie moja sprawa. On po prostu spędza święta z rodzicami, to wszystko. A ty będziesz tutaj?

W milczeniu kiwnęła głową, nawet na moment nie odrywając się od tego, co robi.

– Przyszedłem się pożegnać.

Znów tylko kiwnęła głową.

– Do widzenia.

Przestała składać. Widział, że ramiona lekko jej drżą.

– Zrozumiesz – powiedział. – Być może teraz w to nie wierzysz, ale z czasem zrozumiesz, że nie mogło być... inaczej.

Odwróciła się. Oczy miała pełne łez.

– Wiem, Harry. Ale i tak tego chciałam. Przynajmniej na chwilę. Za dużo wymagałam?

– Nie. – Harry uśmiechnął się krzywo. – Chwila byłaby dobra. Ale lepiej pożegnać się teraz, niż czekać, aż zacznie boleć.

– Już boli, Harry. – Pierwsza łza się oderwała.

Gdyby Harry nie wiedział o Martine Eckhoff tego, co wiedział, pomyślałby, że niemożliwe, aby taka młoda dziewczyna wiedziała, czym jest ból. Zamiast tego pomyślał o czymś, co w szpitalu powiedziała kiedyś matka: że tylko jedno jest bardziej puste od życia bez miłości, a mianowicie życie bez bólu.

– Idę już, Martine.

I wyszedł. Podszedł do samochodu zaparkowanego przy chodniku i zastukał w boczną szybę. Szyba opadła.

– Ona jest już dużą dziewczynką – oświadczył. – Więc nie wiem, czy aż tak bardzo trzeba jej pilnować. Mam świadomość, że i tak z tego nie zrezygnujesz, ale po prostu chciałem, żebyś to usłyszał. Życzę ci wesołych świąt i powodzenia.

Rikard wyglądał tak, jakby chciał coś powiedzieć, ale poprzestał na kiwnięciu głową.

Harry ruszył w stronę Eika. Już czuł, że robi się cieplej.

Halvorsena pochowano w pierwszy dzień po świętach. Padał deszcz, woda z roztopionego lodu płynęła ulicami, a śnieg na cmentarzu był szary i ciężki.

Harry niósł trumnę. Przed nim szedł młodszy brat Halvorsena. Harry poznał go po ruchach.

Później zebrali się w Valkyrien, staroświeckim barze, bardziej znanym jako Valka.

– Chodź tu. – Beate zabrała Harry'ego od pozostałych do stolika w kącie. – Wszyscy przyszli – powiedziała.

Harry kiwnął głową, nie mówiąc głośno tego, o czym myślał. Że Bjarne Møller nie przyszedł. Nikt nie miał od niego nawet żadnych wiadomości.

– Parę rzeczy muszę wiedzieć, Harry. Ponieważ ta sprawa nie została rozwiązana.

Spojrzał na nią, twarz miała bladą, ściągniętą smutkiem. Wiedział, że nie jest abstynentką, ale w szklance miała tylko wodę mineralną. Zastanawiał się, dlaczego. Sam, gdyby był w stanie, zażyłby wszelkie dostępne środki znieczulające.

– Sprawa nie jest zakończona, Beate.

– Harry, ty myślisz, że ja nie mam oczu w głowie? Przejął ją teraz jeden nierób i pół sierżanta z Kripos, co tylko przekładają papiery i drapią się w głowy, których nie mają.

Harry wzruszył ramionami.

– Ale ty tę sprawę rozwiązałeś, prawda? Wiesz, co się stało, tylko nie chcesz nikomu powiedzieć.

Harry wypił łyk kawy.

– Dlaczego, Harry? Dlaczego tak ci zależy, żeby nikt nie wiedział?

– Tobie miałem zamiar powiedzieć. Jak minie trochę czasu. To nie Robert wynajął zabójcę w Zagrzebiu. Zrobił to sam Jon.

– Jon? – Beate popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

Harry opowiedział jej o monecie i Espenie Kaspersenie.

– Ale musiałem mieć pewność. Zawarłem więc umowę z jedyną osobą, która była w stanie zidentyfikować Jona jako człowieka z Zagrzebia. Podałem matce Stankicia numer komórki do Jona. Zadzwoniła do niego tego samego wieczoru, w którym zgwałcił Sofię. Powiedziała, że Jon najpierw mówił po norwesku, ale kiedy nie odpowiadała, przeszedł na angielski i spytał „*Is that you?*", najwyraźniej sądząc, że to Mały Wybawiciel. Później do mnie oddzwoniła i potwierdziła, że to był ten sam głos, który dzwonił w Zagrzebiu.

– Miała pewność?

Harry kiwnął głową.

– Użyła wyrażenia *quite sure*. Jon miał podobno akcent nie do pomylenia z nikim innym.

– A co ty jej zaoferowałeś w zamian?

– Dopilnowanie, że nasi ludzie nie wykonają na nim egzekucji.

Beate wypiła łyk wody, jak gdyby musiała spłukać tę informację.

– Obiecałeś jej to?

– Przysiągłem. A teraz usłyszysz to, co miałem ci powiedzieć. To nie Stankić zabił Halvorsena, tylko Jon Karlsen.

Aż otworzyła usta. Potem łzy napłynęły jej do oczu i z goryczą w głosie szepnęła:

– To prawda, Harry? Czy mówisz tak jedynie po to, żebym się lepiej poczuła? Ponieważ wydaje ci się, że nie mogłabym żyć ze świadomością, że sprawca uciekł?

– No cóż. Mamy ten składany nóż, znaleziony pod łóżkiem w mieszkaniu Roberta dzień po tym, jak Jon zgwałcił tam Sofię. Jeśli po cichu poprosisz Zakład Medycyny Sądowej o zbadanie, czy

krew na ostrzu pasuje do profilu DNA Halvorsena, to chyba znajdziesz spokój duszy.

Beate zajrzała do swojej szklanki.

– Wiem, że w raporcie napisałeś, że byłeś w tej toalecie, ale nikogo tam nie widziałeś. Wiesz, co myślę? Myślę, że spotkałeś Stankicia, ale go nie powstrzymałeś.

Harry nie odpowiedział.

– Sądzę, że nikomu nie powiedziałeś, że wiesz, kto jest winien, bo nie chciałeś, żeby ktokolwiek ingerował, dopóki Stankić nie wykona swojego zlecenia. Dopóki nie zabije Jona Karlsena. – Głos Beate drżał z gniewu. – Ale jeśli myślisz, że ja ci za to podziękuję, to się mylisz.

Mocno odstawiła szklankę na stół, aż parę osób się na nich obejrzało. Harry nic nie mówił, tylko czekał.

– Jesteśmy policjantami, Harry. My tylko łapiemy, nie skazujemy. A ty nie jesteś moim przeklętym osobistym Zbawicielem. Rozumiesz?

Głęboko wciągnęła powietrze i przetarła dłonią oczy, z których zaczęły spływać łzy.

– Skończyłaś? – spytał Harry.

– Tak. – Spojrzała na niego ze złością.

– Nie znam wszystkich powodów, dla których postąpiłem tak, a nie inaczej. Mózg to dziwna maszyna do liczenia. Może masz rację. Może dołożyłem się do tego, co się stało. Ale jeśli tak, to chcę, żebyś wiedziała, że nie zrobiłem tego dla twojego zbawienia, Beate. – Jednym łykiem opróżnił filiżankę z kawą i wstał. – Tylko dla swojego.

W przerwie między świętami a Nowym Rokiem deszcz do czysta umył ulice, śnieg całkiem zniknął, a kiedy Nowy Rok przyniósł kilka stopni mrozu i leciutki jak puch świeży śnieg, można było

odnieść wrażenie, że zima otrzymała nowy, lepszy początek. Oleg dostał na gwiazdkę narty zjazdowe, więc Harry zabrał go do na stok Wyllerløypa i zaczął uczyć zjeżdżania pługiem. Trzeciego dnia w drodze samochodem do domu chłopiec spytał Harry'ego, czy nie mogliby wkrótce spróbować z bramkami.

Harry zobaczył, że samochód Lund-Helgesena stoi przed garażem, więc wypuścił Olega przy podjeździe, pojechał do domu, położył się na kanapie i gapił się w sufit, słuchając płyt. Starych.

W drugim tygodniu stycznia Beate powiedziała mu, że jest w ciąży. Że latem urodzi dziecko Halvorsena. Harry cofał się myślą w przeszłość, zastanawiając się, jak można być tak ślepym.

W ogóle styczeń upływał mu na myśleniu, bo wydawało się, że ta część ludzkości, która mieszka w Oslo, postanowiła nagle zrobić sobie przerwę w zabijaniu się nawzajem. Zastanawiał się więc, czy nie pozwolić Skarremu przenieść się do siebie do sześćset pięć, „Gabinetu Rozwikłań". Zastanawiał się też nad tym, co zrobić z resztą swego życia. I czy człowiek kiedykolwiek dowie się, czy dobrze je przeżył.

Dopiero pod koniec lutego zarezerwował bilet lotniczy do Bergen.

W mieście wśród siedmiu wzgórz wciąż panowała bezśnieżna jesień, a na Fløyen Harry'ego ogarnęło wrażenie, że otula ich chmura. Ta sama co poprzednio. Møllera zastał przy stoliku w restauracji Ludowej na Fløyen.

– Podobno ostatnio tu przesiadujesz – rzucił Harry.

– Czekałem – odparł Bjarne Møller i wypił. – Nie spieszyłeś się.

Wyszli na zewnątrz i stanęli przy balustradzie w punkcie widokowym. Møller wydawał się jeszcze bledszy i chudszy niż poprzednio. Oczy miał przytomne, ale twarz nabrzmiałą i trzęsły mu się ręce. Harry domyślał się, że to raczej tabletki niż alkohol.

– Nie od razu zrozumiałem, o czym mówiłeś – zaczął Harry – kiedy powiedziałeś, że mam iść za pieniędzmi.

– Nie miałem racji?

– Owszem, miałeś. Ale sądziłem, że mówiłeś o mojej sprawie. A nie o swojej.

– Mówiłem o wszystkich sprawach, Harry. – Wiatr rzucił Møllerowi w twarz kosmyki długich włosów. – Nie zdradziłeś mi zresztą, czy Gunnar Hagen jest zadowolony z twojego rozwiązania sprawy, a raczej z braku jej rozwiązania.

Harry wzruszył ramionami.

– Davidowi Eckhoffowi i Armii Zbawienia oszczędzono nieprzyjemnego skandalu, który mógłby bardzo zaszkodzić ich renomie i pracy. Albert Gilstrup stracił jedynego syna, synową i kontrakt, który być może ocaliłby rodzinną fortunę. Sofia Miholjec i jej rodzina wracają do Vukovaru. Otrzymali wsparcie od lokalnego dobroczyńcy, który niedawno się pojawił, i zbudują tam sobie dom. Martine Eckhoff spotyka się z chłopakiem, który się nazywa Rikard Nilsen. Krótko mówiąc, życie toczy się swoim torem.

– A co z tobą? Spotykasz się z Rakel?

– Czasami.

– A ten doktorek?

– Nie zadaję pytań. Oni mają swoje problemy.

– Ona chce, żebyś wrócił, o to chodzi?

– Myślę, że chciałaby, żebym potrafił żyć tak jak on. – Harry podniósł kołnierz kurtki i mrużąc oczy, usiłował wypatrzyć miasto, które, jak twierdzono, znajdowało się gdzieś tam w dole. – I ja czasami też bym tak chciał.

Zamilkli.

– Zaniosłem zegarek Toma Waalera do sprawdzenia pewnemu młodemu zegarmistrzowi, który się na tym zna. Pamiętasz, jak ci

mówiłem, że śnią mi się koszmary, w których ten rolex cały czas cyka na odciętej ręce Waalera?

Møller przytaknął.

– Znalazłem wyjaśnienie. Najdroższe zegarki świata mają mechanizm tourbillon działający z częstotliwością dwudziestu ośmiu tysięcy na sekundę. Dlatego wygląda to tak, jakby wskazówka sekundnika przesuwała się jednym ruchem. A napęd mechaniczny sprawia, że odgłos cykania jest bardziej intensywny niż w innych zegarkach.

– Roleksy to niezłe zegarki.

– Logo Rolex umieścił na tym zegarku jakiś zegarmistrz, żeby zakamuflować, co to tak naprawdę za machina. To lange 1 tourbillon. Jeden ze stu pięćdziesięciu egzemplarzy. Z tej samej serii co zegarek, który dostałem od ciebie. Kiedy ostatnio lange 1 tourbillon sprzedano na aukcji, cena wyniosła prawie trzy miliony koron.

Møller kiwnął głową. Na ustach ukazał mu się cień uśmiechu.

– Tak sobie płaciliście? – spytał Harry. – Zegarkami za trzy miliony?

Møller zapiął płaszcz i podniósł kołnierz.

– Mają bardziej stabilną wartość, mniej rzucają się w oczy niż drogie samochody. Mniej ostentacyjne niż cenne dzieła sztuki, łatwiejsze do przemycenia niż gotówka i nie trzeba ich prać.

– No i można je oddać w prezencie.

– Właśnie.

– Co się wydarzyło?

– To długa historia, Harry. Tak jak wiele tragedii, zaczyna się od najlepszych zamiarów. Była nas niewielka grupka, każdy chciał się przyczynić do naprawienia błędów, z którymi praworządne społeczeństwo samo nie potrafiło sobie poradzić. – Møller wciągnął

czarne rękawiczki. – Niektórzy twierdzą, że tak wielu przestępców chodzi wolno, ponieważ system prawny to sieć z wielkimi okami. Ale to absolutnie błędny obraz. To bardzo delikatna sieć z drobnymi oczkami, w którą wpadają małe rybki, ale pęka, gdy uderzą w nią te wielkie. Chcieliśmy stworzyć drugą sieć, taką, która byłaby w stanie wyłapywać rekiny. Tworzyli ją ludzie nie tylko z policji, ale również z sądów, politycy i urzędnicy, którzy widzieli, że nasza struktura społeczna, prawodawstwo i system sądowniczy nie są przygotowane do tego, by radzić sobie z międzynarodową zorganizowaną przestępczością, która zaatakowała nasz kraj po otwarciu granic. Policja nie miała pełnomocnictw, pozwalających nam na granie w grę przestępców. Dlatego dopóki nie zaktualizowano prawa, musieliśmy działać w ukryciu. – Møller pokręcił głową, wpatrując się we mgłę. – Ale w miejscu zamkniętym, tajemniczym, którego nie można przewietrzyć, zawsze pojawia się zgnilizna. U nas wyrosła flora bakteryjna, która najpierw twierdziła, że musimy przemycać do kraju broń, by dostosować się do broni, którą dysponowali nasi przeciwnicy. Później, że musimy ją sprzedawać, aby móc sfinansować naszą pracę. To dziwny paradoks. Ale ci, którzy się temu sprzeciwili, prędko się przekonali, że to właśnie ta flora bakteryjna przejęła kontrolę. A potem pojawiły się prezenty. Początkowo drobiazgi. Inspirujące do dalszych działań, jak mówiono. I sygnalizowano, że nieprzyjęcie upominku zostanie zrozumiane jako brak solidarności. Ale właściwie był to już następny etap zgnilizny. Skorumpowanie ogarniające cię niepostrzeżenie aż do momentu, gdy orientowałeś się, że utkwiłeś w tym gównie po uszy. Żadnej możliwości odwrotu nie było, za dużo na ciebie mieli. A najgorsze, że nie wiedziałeś, kim są ci „oni". Zorganizowaliśmy się w kilkuosobowe komórki, które kontaktowały się

za pośrednictwem tylko jednej osoby, objętej obowiązkiem dochowania tajemnicy. Nie wiedziałem, że Tom Waaler był jednym z nas, że to on zorganizował przemyt broni, ani że w ogóle istnieje ktoś o pseudonimie Książę. Dopiero ty z Ellen to odkryliście, a ja wtedy zrozumiałem, że dawno straciliśmy z oczu nasz pierwotny cel. Że od dawna nie kierują nami inne motywy niż chęć wzbogacenia się. Że jestem skorumpowany. I że jestem współwinny temu, że... – Odetchnął głęboko. – ...że giną tacy policjanci jak Ellen Gjelten.

Kłębki mgły unosiły się, odrywały i przepływały obok nich, jak gdyby cały szczyt fruwał.

– Któregoś dnia nie mogłem dłużej tego znieść. Próbowałem się wyrwać. Podsuwali mi alternatywy. Proste. Ale ja się nie boję. Boję się jedynie, że skrzywdzą moją rodzinę.

– Dlatego się od nich wyprowadziłeś?

Bjarne Møller kiwnął głową.

Harry westchnął.

– I dałeś mi ten zegarek, żeby z tym skończyć?

– To musiałeś być ty, Harry. Nikt inny.

Harry czuł ściskanie w gardle. Myślał o tym, co Møller powiedział, kiedy poprzednim razem stali na szczycie góry: że w odległości zaledwie sześciu minut od centrum drugiego co do wielkości miasta Norwegii człowiek może zabłądzić i umrzeć. I że można znajdować się w tym, co uważa się za centrum sprawiedliwości, i nagle stracić wszelkie poczucie kierunku, nagle stać się tym, co się zwalcza. Pomyślał też o wielkim rachunku w jego własnej głowie. O wszystkich mniej i bardziej ważnych wyborach, które doprowadziły go do tych ostatnich minut na lotnisku w Oslo.

– A jeśli ja tak bardzo nie różnię się od ciebie, szefie? Gdybym powiedział, że mógłbym być tam, gdzie ty się znalazłeś?

Møller wzruszył ramionami.

– Bohatera od przestępcy dzielą jedynie zbiegi okoliczności i niuanse. Zawsze tak było. Praworządność to cnota leniwych i pozbawionych wizji. Gdyby nie ludzie nieposłuszni i łamiący prawo, do dziś żylibyśmy w feudalizmie. Ja przegrałem, Harry. Po prostu. Wierzyłem w coś, ale oślepłem, a kiedy odzyskałem wzrok, okazało się, że moje serce jest skorumpowane. Tak się dzieje cały czas.

Harry zadrżał na wietrze, szukając słów. Kiedy wreszcie jakieś znalazł, jego głos brzmiał obco, pełen udręki:

– Przykro mi, szefie. Nie mogę cię zwinąć.

– Wszystko w porządku, Harry. Resztę załatwię sam. – Głos Møllera brzmiał spokojnie, wręcz pocieszająco. – Chciałem jedynie, żebyś zobaczył wszystko i zrozumiał. Może czegoś się nauczył. Nic więcej.

Harry zapatrzył się w nieprzeniknioną mgłę, na próżno starając się zrobić to, o co prosił go jego szef i przyjaciel. Zobaczyć wszystko. Trzymał oczy otwarte, dopóki nie pociekły mu łzy. Kiedy się odwrócił, Bjarnego Møllera już nie było. Zawołał go przez mgłę, chociaż wiedział, że Møller miał rację. Niczego więcej już nie było. Uznał jednak, że ktoś i tak powinien go zawołać.

PRZYPISY

[1] *Biblia Tysiąclecia*, Wydawnictwo Pallottinum, Poznań 1965 (przyp. tłum.).

[2] Główny dowódca Armii Zbawienia na terytorium obejmującym Norwegię, Islandię i Wyspy Owcze ma stopień komandora, odpowiadający stopniowi komisarza (*commissioner*) w innych krajach (przyp. tłum.).

[3] Fretex – sieć prowadzonych przez norweską Armię Zbawienia sklepów z rzeczami używanymi (przyp. tłum.).

[4] Ewangelia wg św. Mateusza, 25,43, *Biblia Tysiąclecia*, Wydawnictwo Pallottinum, Poznań 1965 (przyp. tłum.).

[5] Tamże, 25,44–45.

[6] *lutefisk* – tradycyjna świąteczna potrawa norweska, ryba suszona i macerowana w ługu (przyp. tłum.).

[7] Henryk Ibsen, *Wróg ludu,* przeł. Cecylia Wojewoda, [w:] Henryk Ibsen, *Dramaty*, PIW, Warszawa 1956, s. 474 (przyp. tłum.)

.